

Fiona Neill

Sekretne życie  
mamuški

Dla Eda

Każda kobieta to nauka i choćby mężczyzna ślęczał nad nią przez całe życie, w końcu i tak się przekona, że brakuje mu wiedzy na jej temat.

John Donne

Można mieć różne sny, dzieląc to samo łóżko.  
Przysłowie chińskie

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Głuchy mąż i ślepa żona zawsze tworzą szczęśliwą parę

Na noc zostawiam soczewki kontaktowe w kubku do kawy, by się moczyły, i gdy budzę się rano, odkrywam, że wypił je mój Mąż w Gorącej Wodzie Kapany. Po raz drugi w ciągu niespełna roku.

- Ale mówiłam ci, że tam są - protestuję.

- Chyba nie oczekujesz, że będę pamiętał o tego typu drobiazgach - odpowiada. - I tym razem nie mam zamiaru zmuszać się do wymiotów. Noś okulary.

Tom siedzi w łóżku, włosy odstają mu na wszystkie strony i ma na sobie pogniecioną piżamę w prążki, zapiętą po szyję. W obronnym geście krzyżuje ramiona na piersi. Ja mam na sobie piżamę w kratkę, przy której z kolei brakuje guzików. Zastanawiam się, czy moment, kiedy oboje zaczynacie wkładać do łóżka piżamy, oznacza początek czy koniec czegoś w związku. Tom wyciąga rękę, by na swoim nocnym stoliku ułożyć trzy książki według rozmiarów oraz by ustawić kubek, w którym jeszcze niedawno znajdowały się moje soczewki, w równej odległości pomiędzy książkami a stojącą na drugim końcu blatu lampką.

- A poza tym nie pojmuję, dlaczego włożyłaś je do kubka. Miliony ludzi w tym kraju odprawiają ten rytuał każdego dnia i nigdy nie uciekają się do korzystania z kubka, jeśli chodzi o przechowywanie czegoś tak integralnie związanego z ich codzienną rutyną. To forma sabotażu, Lucy, ponieważ wiesz, że istnieje ryzyko, iż będę chciał w nocy się napić.

- Ale czy nie masz czasami ochoty na odrobinę ryzyka? - pytam. - Kusić nieco przeznaczenie, nie krzywdząc jednocześnie tych, których kochasz?

- Gdybym uważał, że kryją się za tym pozostawione bez odpowiedzi pytania filozoficzne, nie zaś pusta butelka po winie i wynikająca z niej amnezja, martwiłbym się o twój stan

psychiczny. Możliwe, że okazałbym więcej współczucia, gdybyś ty z kolei wykazała się odrobiną troski o mnie. Mogłoby się to przecież skończyć na pogotowiu - mówi z rozdrażnieniem.

- Ale ostatnio się nie skończyło - chcę szybko udaremnić nieuchronne wpłynięcie na wody hipochondrii.

Mam ochotę przypomnieć mu, że w chwili obecnej są inne priorytety, w tym odstawienie dzieci do szkoły o wyznaczonej godzinie w pierwszy dzień nowego roku szkolnego. Powstrzymuję się jednak od tej uwagi. Przypomina mi się, że kilka miesięcy temu upuściłam soczewkę kontaktową na dywan, i przeprowadzam skrupulatne oględziny podłogi po mojej stronie łóżka. Oto, co odkrywam, niekoniecznie w takiej kolejności: szkło, które w zeszłym tygodniu nasz najmłodszy wyjął z moich okularów; na wpół zjedzone jajko z niespodzianką, leżące od tak dawna, że przeobraziło się w skamielinę; niezapłacony mandat za parkowanie, który pospiesznie wsuwam na powrót pod łóżko.

- Potrzebne ci są systemy, Lucy - oświadcza Mąż w Gorącej Wodzie Kapany, nieświadomy odkryć dokonywanych właśnie zaledwie pół metra od niego. - Wtedy życie stanie się dużo prostsze. A tymczasem może będziesz nosić swoje stare okulary? Nie musisz przecież na nikim robić wrażenia.

Wstaje z łóżka i udaje się do łazienki na kolejną część swych porannych rytuałów.

Dziesięć lat temu, u zarania naszego związku, taka wymiana zdań kwalifikowałaby się do miana karczemnej awantury, gwałtownego wybuchu o sile zdolnej pogrzebać cały romans. Nawet pięć lat temu, mniej więcej w połowie naszego małżeństwa, uchodziłaby za znaczącą sprzeczkę. Teraz jest ledwie uwagą na marginesie w relacji z życia małżeńskiego.

Gdy wchodzę po schodach na piętro, by obudzić nasze dzieci, uznaję, że związki są niczym kawałki gumy, gdzie dozwolona, a nawet wskazana jest odrobina napięcia, jeśli dwa końce mają pozostać ze sobą złączone. Zbyt dużo luzu i wszystko się rozpada, tak jak te małżeństwa, w których ludzie mówią, że nigdy się ze sobą nie kłócą, a potem w ciągu jednego dnia przekształcają się w dosłownie nic, gdzie brak jest nawet wzajemnych oskarżeń. Zbyt wiele napięcia i następuje trzask. Wszystko polega na równowadze. Problem w tym, że zazwyczaj nie otrzymuje się zawczasu ostrzeżenia o zagrożeniu równowagi.

Klnę, gdy potykam się o leżący na schodach model lego. Rozpada się na małe kawałki, łącząc siły z kilkoma samochodzikami i ręką, która kiedyś należała do Action Mana. Moja broda ląduje na górnym schodku, ja zaś zauważam wciśnięty pod skraj dywanu maleńki świetlny miecz, długi najwyżej na centymetr, należący do jednej z figurek z Gwiezdných wojen z kolekcji Joego. Kilka miesięcy temu zaginął w podejrzanych okolicznościach, po tym, jak nasz pełen energii najmłodszy syn, Fred, we wczesnych godzinach porannych przeprowadził tajną operację w sypialni swoich braci.

Ileż godzin poświęciłam na szukanie tego świetlnego miecza? Ile łez zostało wylanych z powodu jego zaginięcia? Na chwilę opieram głowę o dywan, czując coś zbliżonego do satysfakcji.

Zatrzymuję się przed sypialnią chłopców i delikatnie otwieram drzwi. Sam, najstarszy, śpi na najlepszym miejscu, czyli na górze piętrowego łóżka, Joe na dole, a Fred na podłodze pod nimi. Jak sandwich klubowy. Choćbym nie wiadomo ile razy odnosiła Freda do jego pokoju, on, kierowany wbudowanym urządzeniem

samonaprowadzającym, i tak wróci do sypialni braci albo w nogi naszego łóżka, gdzie często znajdujemy go rankiem.

Wpatruję się z zachwytem w moje śpiące dzieci, ich kończyny swobodnie rozrzucone na łóżkach i podłodze, i mija mi całe wcześniejsze zniecierpliwienie. W ciągu dnia znajdują się w ciągłym ruchu i nie sposób zatrzymać ich na dłużej niż kilka sekund. Gdy śpią, mam w końcu szansę obserwować dokładny kąt nachylenia nosa lub konstelację piegów. Dotykam ręki Sama, by go obudzić, lecz jego palce zaciskają się tylko na mojej dłoni. Ich zegary biologiczne są jeszcze ustawione na czas wakacyjny. Natychmiast przenoszę się myślami do tej chwili zaraz po jego urodzeniu, kiedy zrobił to po raz pierwszy - zalała mnie wtedy fala niewypowiedzianej matczynej miłości i wiedziałam, że już nic nigdy nie będzie takie samo.

Sam ma prawie dziewięć lat. Mniej więcej dwa lata temu stwierdziłam, że nie dam rady go podnosić. Jest za duży, by siedzieć mi na kolanach, i nie wolno mi już całować go na pożegnanie przed szkolną bramą. Wkrótce będzie dla mnie zupełnie stracony. Ale całe to ciepło z okresu wczesnego dzieciństwa będzie miało na niego wpływ. Z całą pewnością znajdą się pokłady uczuć, do których będzie mógł sięgać podczas ponurych lat nastych, kiedy dostrzeże wszystkie nasze wady. Kiedy tak leży na łóżku, a jego ciało o długich kończynach nosi już znamiona niezdarności charakterystycznej dla nieuchronnie zbliżającego się wieku dojrzewania, dociera do mnie, że przyglądam się ostatnim śladom dzieciństwa. Na pewno to właśnie dlatego niektóre kobiety bez końca rodzą dzieci - aby zawsze mieć chętny pojemnik, do którego przeleją swą miłość.

Joe pierwszy zaczyna się ruszać. Ma lekki sen, tak jak ja.

- Kto pomoże majorowi Tomowi? - pyta, nim jeszcze zdąży otworzyć oczy, a ja czuję, jak lekko ściska mi się serce.

Puszczanie Davida Bowie podczas drogi do Norfolk w czasie wakacji wydawało się wielkim krokiem naprzód w pełnym napięcia świecie systemu samochodowego audio. Pomyśleliśmy sobie, że narracyjny charakter tekstów jego piosenek przemówi do wyobraźni chłopców. I tak też się stało. Nigdy jednak nie wykroczyliśmy poza pierwszy utwór albumu Changes.

- Dlaczego rakietą go zostawiła? - pyta teraz Joe, zerkając spod kołdry.

- Został oddzielony - odpowiadam.

- Dlaczego nie było innego pilota, który by mu pomógł?

- Chciał być sam - mówię, głaszcząc synka po włosach.

Pięcioletni Joe jest podobny do mnie jak dwie krople wody, z niesfornymi brązowymi lokami i zielonymi oczami, ale temperament odziedziczył po ojcu.

- Czy rakietą go zostawia?

- Tak, ale pewna część niego pragnie uciec - wyjaśniam. Joe milczy przez chwilę.

- Mamusiu, czy ty czasem chcesz od nas uciec? - pyta.

- Od czasu do czasu, ale tylko do sąsiedniego pokoju

- śmieję się. - Nie mam w planach wycieczek w kosmos.

- Ale kiedy czasami do ciebie mówię, nie słyszysz. To gdzie jesteś wtedy?

Sam zdążył już zejść na dół po drabince i zakłada właśnie szkolny mundurek. Popędzam Joego, by wziął przykład z brata. Ubranie dwuipółletniego Freda zostawiam sobie na ostatnią chwilę. Gdybym go ubrała i choćby na chwilę odwróciła się do niego plecami, natychmiast by się rozebrał. Udaję się z powrotem do naszej łazienki w poszukiwaniu Toma - męża, nie majora.

Swego czasu ablucje Toma prawdziwie mnie fascynowały, ale choć nadal pozostają niezwykle w swej drobiazgowości, czas wyraźnie nadwerężył urok nowości. W skrócie wygląda

to tak, że mój mąż idzie do łazienki i szykuje sobie wszystko, czego potrzebuje do golenia. Pędzel, pianka i maszynka czekają na niewielkim stoliku przy zlewie. Odkręca nad wanną kurek z zimną wodą na dokładnie trzy minuty, po czym przenosi uwagę na kurek z wodą gorącą. W ten sposób, jak mówi, nie marnuje się wody. Zawsze utrzymywałam, że lepiej by to wszystko działało w odwrotnej kolejności, ale Tom nigdy nie podjął wyzwania. „Skoro coś się sprawdza, dlaczego miałyby się to zmieniać, Lucy?” W czasie gdy do wanny nalewa się woda, on włącza radio i słucha programu Today.

Proces mycia można uznać za interesujący już choćby dlatego, że Tom w nieskończoność pociera mydło gąbką. Często podczas tego etapu procedury ma ochotę na pogawędkę. Nawet kiedy mieszkaliśmy ze sobą już od kilku lat, zdarzało mi się błędnie obliczyć tę chwilę, kiedy przekomarzanie się stawało się dopuszczalne. Przedwczesne wtrącenie się mogło skutkować złym humorem mojego męża, który niełatwo było rozwiązać. Ale jeśli idealnie wyczułam stosowny moment, Tom stawał się serdeczny i wielkoduszny. Ten powolny taniec małżeński został więc doprowadzony do perfekcji.

Kiedy grzebię w łazienkowych szufladach, próbuję wytłumaczyć Tomowi, że jasnoniebieskie okulary z kasy chorych, w stylu lat osiemdziesiątych, nie należą do dodatków, które powinno się nosić podczas odprowadzania dzieci do szkoły. On jednak zdążył już przejść do kolejnego etapu obrządku. A mianowicie zanurzył się niemal całkowicie, z wyjątkiem czubka nosa, i zamknął oczy w podwodnej pozie medytacyjnej, z której nie są w stanie go wyrwać żadne dziecięce krzyki.

Teraz znajduje się poza zasięgiem, a ja siedzę na taborecie ze skrzyżowanymi nogami, z łokciem na kolanie, dłonią



podpierając podbródek i mówiąc sama do siebie: oto metafora naszego związku.

Cofam się przelotnie myślami do pierwszej nocy, którą spędziłam z Tomem w jego mieszkaniu w Shepherd's Bush w 1994 roku. Obudziłam się rano z postanowieniem szybkiego ulotnienia się i skradałam się po sypialni w poszukiwaniu swoich ubrań. Ponieważ nie mogłam ich znaleźć, skierowałam kroki do salonu, pamiętając wyraźnie, iż dość długo przebywaliśmy na sofie, zanim wreszcie udaliśmy się do łóżka. Ale tam też ich nie znalazłam. Byłam zupełnie naga i przypomniałam sobie, że Tom coś napomknął o współlokatorach. Biegając z powrotem do sypialni, na palcach, by nikogo nie obudzić, zaczęłam się zastanawiać, czy to stanowi dla niego przyjemną rozrywkę. Albo czy wbrew rekomendacjom ciemna strona jego osobowości każe mu przetrzymywać w niewoli kobiety, które przespały się z nim na pierwszej randce. Kiedy znalazłam się z powrotem w sypialni, okazało się, że on zdążył zniknąć, i wtedy na serio zaczęła mnie ogarniać panika. Wołałam go, ale nie usłyszałam odpowiedzi, ostrożnie więc włożyłam na siebie wiszący na drzwiach włochaty szlafrok, by zabrać się za metodyczne przeszukanie wszystkich pomieszczeń.

Weszłam do łazienki i wrzasnęłam. Tom znajdował się pod wodą, miał zamknięte oczy, a jego ciało pozostawało zupełnie nieruchome. Pomyślałam, że zasnął i się utopił. Ogarnęło mnie autentyczne poczucie żalu, że już nigdy nie będę uprawiać seksu z tym facetem, ponieważ okazał się naprawdę dobry. Następnie wyobraziłam sobie, że dzwonię na policję i próbuję wyjaśnić, co się stało. A jeśli uznaliby, że jestem w to jakoś zamieszana? Wskazywałyby na to wszelkie ekspertyzy medycyny sądowej. Przez chwilę rozważałam ucieczkę. Wtedy przypomniałam sobie, że nie mam żadnych ubrań. Powoli więc, starając się miarowo oddychać, zbliżyłam

się do krawędzi wanny, przyglądałam mu się przez kilka sekund, zwracając uwagę na woskowy odcień jego skóry, po czym dźgnęłam go mocno palcem wskazującym w delikatne wgłębienie pomiędzy brwiami, by sprawdzić, czy jest przytomny. Ulgę, którą poczułam w chwili, gdy jego dłoń silnie odepchnęła moją, szybko zastąpił wstrząs, bo Tom chwycił mnie za ramię tak mocno, że pobieliała mu skóra pomiędzy palcami.

- Boże, chcesz mnie zabić?! - zawołał. - Sądziłem, że to była całkiem udana noc.

- Myślałam, że się utopiłeś - odparłam. - Nie mogłam znaleźć swoich ubrań.

Wskazał palcem na komodę stojącą przy podeście schodów tuż za drzwiami. Leżały tam w schludnym stosiku. Wczorajsze majtki, pieczołowicie złożone w pół na pamiętającym lepsze czasy staniku i starych lewisach 501.

- Ty to zrobiłeś? - zapytałam nerwowo.

- Skrupulatność, Lucy - odparł. - To podstawa. - Po czym na powrót osunął się pod wodę.

Rozmowa dobiegła końca, ale nikt nie może powiedzieć, że od samego początku nie wiedziałam, co mnie czeka. Owszem, wróciliśmy do łóżka.

Podczas gdy on rozwala się w wannie, ja, myjąc zęby, dokonuję krytycznego przeglądu jego ciała, począwszy od góry. Włosy nadal ciemne, prawie czarne; delikatne zakola, ale dostrzeże to tylko wyjątkowo uważne oko. Wokół oczu walczą o przewagę zmarszczki mimiczne od śmiechu i od zmartwień. Stopień zmarszczenia brwi uzależniony od postępów jego projektu biblioteki w Mediolanie. Podbródek nieco zaokrąglony, ponieważ mój mąż więcej je, kiedy się martwi. Mniej ostrych kątów na całym ciele, brzuch i klatka piersiowa bardziej miękkie, ale zaskakująco urocze. Muszę pamiętać, by mu o tym powiedzieć. Niezawodny mężczyzna,

który obiecuje pocieszenie i konwencjonalny seks, wykorzystując dobrze wyćwiczony repertuar. Atrakcyjny facet, jak mówią mi moje przyjaciółki. Głowa Toma wyskakuje spod wody, a on sam pyta mnie, na co tak patrzę.

- Jak długo się znamy? - pytam.

- Jakies dwanaście lat - odpowiada - i trzy miesiące.

- W którym momencie naszego związku zaczęliśmy oboje wkładać piżamy na noc?

Zastanawia się.

- Myślę, że to było zimą dziewięćdziesiątego ósmego, kiedy mieszkaliśmy w zachodnim Londynie i pewnego ranka obudziliśmy się, a okno było zamrożone od wewnątrz. Prawdę powiedziawszy, zwykle pożyczłaś sobie moją.

Miał rację: na początku do dzielenia się miałam podejście osobiste i swobodne, czułam, iż odzwierciedla ono głębię i rozległość naszego związku. Ale po pierwszym spędzonym wspólnie roku Tom posadził mnie za stołem w kuchni i oświadczył, że nie uda nam się, o ile nie przestanę używać jego szczoteczki do zębów.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile zarazków znajduje się w naszych ustach? Każdy szanujący się dentysta powie ci, że masz ich więcej w ustach niż w tyłku. Ślina przenosi choroby wszelkiego rodzaju.

- Nie wierzę w to - odparłam, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Zapalenie wątroby, AIDS, wirus Ebola, wszystkie mogą być przenoszone drogą ustną - upierał się.

- Ale zaraziłbyś się i tak, ponieważ uprawiamy seks - próbowałam z nim polemizować.

- Nie, gdybyśmy używali prezerwatyw. Skoro lizasz swoje soczewki kontaktowe przed założeniem, równie dobrze możesz je sobie wsadzić w tyłek, a potem do oczu.

Wyraźnie było widać, że ta rozmowa wisiała w powietrzu już od jakiegoś czasu. Ustąpiłam w obu kwestiach i już nigdy nie stanowiło to problemu. Nadal liżę soczewki i pożyczam sobie jego szczoteczkę do zębów, ale nigdy w obecności Toma. Zdarza się jednak, że wieczorem przesuwam po niej palcem i mierzy mnie podejrzliwym spojrzeniem, zastanawiając się, dlaczego włosie jest wilgotne.

- O czym myślałeś pod wodą? - pytam z autentyczną ciekawością.

- Wyliczyłem, ile czasu zaoszczędzilibyśmy rankiem, gdybyśmy wsypywali płatki do misek poprzedniego wieczoru. Mogłyby to być nawet cztery minuty - oświadczam, po czym ponownie znika pod wodą.

Ale po kilku sekundach wynurza się, by oznajmić, tytułem przeprosin za swój wcześniejszy wybuch, że zawiezie Freda do jego nowego żłobka.

- Naprawdę chcę to zrobić - mówi. - Poza tym możliwe, że ty tam nie trafisz.

I cieszę się, ponieważ choć powinnam czuć ulgę, iż Fred zaczyna chodzić do żłobka i po raz pierwszy od ośmiu lat będę mieć czas dla siebie, ten dzień jest nacechowany ogromnym poczuciem straty i wiem, że mogłabym się rozplakać.

W taki oto sposób pół godziny później idę chodnikiem z dłonią na ramieniu Sama, w geście, mam nadzieję, matczynym, kierując się w stronę szkoły.

- Jesteśmy spóźnieni? - pyta mój syn, znając już odpowiedź, ponieważ kiedy już, już mieliśmy wyjść, Joe przebiegł obok stołu w kuchni i wylał karton mleka na swój szkolny mundurek oraz moje dzinsy, powodując krytyczne, dziesięciominutowe opóźnienie. Pomimo dopracowanego wcześniej planu, drugiego śniadania naszykowanego wczoraj wieczorem, ubrań ułożonych schludnie na krzesłach, butów ustawionych parami przy drzwiach, śniadania gotowego na

stole, szczoteczek do zębów czekających obok kuchennego zlewu, nie da się walczyć z nieprzewidzianymi katastrofami. Dotarcie do szkoły na czas jest równie precyzyjnie skorelowane jak kontrola przestrzeni powietrznej na Heathrow: każda niewielka zmiana w rozkładzie może wprowadzić cały system w stan chaosu.

- Nie jakoś strasznie - odpowiadam.

Niesamowicie zadziwia mnie to, że kiedyś byłam w stanie zebrać do kupy informacje dnia w Newsnight w niecałą godzinę, natomiast w osobliwy sposób nie potrafię sprostać wyszykowaniu każdego ranka moich dzieci do szkoły.

Wydaje się niewiarygodne, że potrafiłam namówić ministrów do zjawienia się późnym wieczorem w studiu po to, by wymagłował ich Jeremy Paxman, nie jestem zaś w stanie przekonać mego najmłodszego syna, by nie ściągał z siebie ubrań.

- Czy Pan Bóg jest większy od ołówka? - pyta Joe, który martwi się zdecydowanie zbyt wiele jak na pięciolatka. - A jeśli nie, to czy może go zjeść pies?

- Nie pies z tej okolicy - odpowiadam uspokajająco. - Tutejsze psy są za grzeczne.

I taka jest prawda. Przemierzamy właśnie rejon górnego progu podatkowego w północno - zachodnim Londynie. Nie ma tutaj wyprowadzających pitbulle chłopaków o ziemistej cerze i grubo ciosanych rysach twarzy. Żadnych zakładów bukmacherskich William Hill ani parówek indyjskich. Brak nastolatek w ciąży. Znajdujemy się w samym sercu krainy uroczystych kolacji.

To pierwszy dzień nowego semestru, a standardy zdały już ulec obniżeniu. Idące chodnikiem dzieci uzupełniają kęsy tostu garściami płatków śniadaniowych z różnogatunkowych zestawów.

Miopia ogranicza mój wzrok do najbardziej impresjonistycznych pociągnięć pędzla i przypomina mi się moment sprzed dwóch tygodni na plaży w Norfolk, kiedy stałam na wprost Morza Północnego w wełnianej czapce nasuniętej na brwi, opatulona szalikiem, który zakrywał mi szyję, usta i nos. Wschodni wiatr, nietypowy jak na tę porę roku, wiał mi w twarz i sprawiał, że łzawiły mi oczy. Musiałam mrugać, by cokolwiek widzieć. To było niczym patrzenie przez pryzmat. Kiedy tylko skupiłam wzrok na mewie lub jakimś szczególnie ładnym kamyku, scena ta rozpadała się w spektrum różnych kształtów i barw. Uderzyła mnie wtedy myśl, że to dokładnie tak, jak sama się czuję. Z upływem lat jakoś rozbiłam się na atomy. Teraz, gdy mam przed sobą perspektywę, że trzy przedpołudnia w tygodniu moje najmłodsze dziecko będzie spędzać w żłobku, nadszedł czas na odbudowanie samej siebie, ale nie pamiętam już, jak dopasować kawałki układanki. Jest Tom, są dzieci, moja rodzina, przyjaciele, szkoła, wszystkie te różne elementy, ale brak spójnej całości. Nie ma nici, która by wszystko łączyła. Gdzieś w domowym wirze zatraciłam siebie. Widzę, skąd przyszłam, ale nie mam pewności, dokąd zmierzam. Próbuję trzymać się kurczowo większego obrazu, nie pamiętam już jednak, co on ma przedstawiać. Zrezygnowałam z ukochanej pracy producentki wiadomości telewizyjnych osiem lat temu, kiedy odkryłam, że trzynastogodzinne dni pracy i macierzyństwo stanowią niestabilną mieszankę. Ten, kto twierdził, że praca na pełen etat plus posiadanie dzieci równa się posiadaniu wszystkiego, nie był zbyt dobry z matematyki. Zawsze czegoś brakowało. Włączając w to stan naszego konta, ponieważ po opłaceniu niani nie zostawało nam za wiele. A poza tym zbyt mocno tęskniłam za Samem.

Natomiast tu i teraz, z dziedzińcem szkolnym malującym się w oddali, powinnam wymyślić kilka szablonowych

odpowiedzi na te przyjacielskie gadkiszmatki, oznaczające początek nowego roku szkolnego. Coś pobieżnego, ponieważ większość ludzi tak naprawdę nie jest zainteresowana szczegółami. „Lato było ciężką harówką, zwieńczoną koszmarem urlopem na polu namiotowym w Norfolk, ponieważ cierpimy na niedobór gotówki. Wpadłam w swój obecny introspekcyjny nastrój, ponownie oceniając kluczowe obszary mego życia, w tym - bez zachowania jakiejś szczególnej kolejności, ponieważ mój mąż ma rację: nie rozumiem znaczenia słowa «priorytet» - moją rezygnację z pracy po urodzeniu dzieci, stan mego małżeństwa i nasz brak pieniędzy". Wyobrażam sobie, jak to mówię, prawą dłonią podkreślając głębię swych odczuć. „Och, a czy wspominałam już, że mój mąż chce, byśmy wynajęli nasz dom i na rok wprowadzili się do teściowej, dopóki nie poprawi się nasza sytuacja finansowa?" Ten urlop okazał się przełomem, oboje o tym wiedzieliśmy. Ale jego reperkusje nie tak od razu stały się oczywiste.

- Mamo, mamo, słuchasz mnie? - dopytuje się Sam.

- Przepraszam, po prostu się rozmarzyłam - odpowiadam, a on mnie pyta, czy jest niczym pies przewodnik.

- Coś w tym rodzaju - mówię, patrząc spod przymrużonych powiek na ulicę.

Dostrzegam zamazaną sylwetkę jednego z ojców dzieciaków ze szkoły. Idzie w naszym kierunku. Rozmawia przez telefon komórkowy i gestem znanym mi z zeszłego roku szkolnego przeczesuje palcami gęste ciemne włosy. To Seksowny Udomowiony Tata z rozbijającymi opiniami na temat tego, co stanowi odżywczą zawartość pudełka na kanapki, i upodobaniem do kawowych poranków dla matek. Ale nie te akurat cechy skupiają na nim moją uwagę. Chodzi o to, jak wygląda i jak się porusza. Coś znacznie bardziej

pierwotnego. Właściwie to im mniej mówi, tym bardziej wydaje się atrakcyjny.

Nawet z daleka rozpoznaję jego sylwetkę. W tym dziwnym zestawieniu przypadkowych myśli nagle uświadamiam sobie, że pojawiając się akurat w tym momencie, w sposób niezamierzony stał się częścią większego obrazu, o którym właśnie rozmyślałam. Przeklinam w duchu pospiesznie narzucony na siebie drugi zestaw ciuchów: spodnie od piżamy w kratkę pod długim, niechlujnym płaszczem, w którym to stroju miałam nadzieję wyglądać swobodnie i jednocześnie szykownie w stylu „bielizna jako odzież wierzchnia”. Lecz za późno na to, by ukryć się za żywopłotem z synkami, więc w lusterku bocznym zaparkowanej terenówki sprawdzam ukradkiem wczorajszy, niezmyty makijaż oczu.

Podskakuje, gdy automatyczna szyba się opuszcza i ktoś przechyla się nad siedzeniem pasażera, pytając, co ja robię.

- Mój Boże, wyglądasz jak panda - oświadcza Niezła Mamuśka Nr 1, moja odzieżowa nemezis. Otwiera schowek, ukazując zawartość w stylu spa, w której skład wchodzi między innymi pół butelki Moet, świeczka Jo Malone i chusteczki do demakijażu oczu.

- Jak ty to robisz? - pytam ją, wycierając z wdzięcznością oczy. - Masz jakiś system?

Wygląda na zdziwioną.

- Nie, tylko służbę - odpowiada.

- Udana lato? - pytam.

- Cudowne. Toskania, Kornwalia. A wasze?

- Świetne - mówię, ale ona patrzy już przed siebie na drogę i stuka palcami w kierownicę.

- Muszę jechać, bo spóźnię się na zajęcia astangi. A tak przy okazji, czy ty masz na sobie kratkę? Jakież to trendy.



Seksowny Udomowiony Tata zmierza powoli ulicą w moim kierunku. Widzę, jak macha jedną ręką, i muszę z nim porozmawiać. Nagle zauważam, że drugą ręką ma w gipsie. Och, cóż za zrzędzenie losu: to oczywisty temat do rozmowy.

- Złamałeś rękę - mówię nieco zbyt entuzjastycznie.

- Tak - odpowiada. - Spadłem z drabiny w domu przyjaciela w Chorwacji.

Przygląda mi się wyczekująco. Następnie uśmiecha się, a ja słyszę samą siebie, mówiącą nienaturalnie powoli:

- To musi być naprawdę... odprężające.

Tyle że mówię to powoli, głosem gardłowym, niczym Mariella Frostrup.

Jego uśmiech nieco blednie. To nie pasuje do znanego mu wzorca towarzyskich wymian zdań między rodzicami.

- Co może być odprężającego w złamaniu ręki? Zwłaszcza w Chorwacji.

Sam patrzy na mnie równie skonsternowany.

- Pan ma rację, mamo.

- Właściwie, Lucy, to jest naprawdę... bolesne. - Seksowny Udomowiony Tata naśladuje moją intonację. - I nie sądzę, by moja żona także uznała to za odprężające. Nie ma ze mnie obecnie zbyt wielkiego pożytku. Nie mogę w ogóle pracować, bo pisanie na klawiaturze sprawia mi ból.

Uśmiecha się. Nagle myślę o przypadkowych spotkaniach podczas życia przedmałżeńskiego i ich nieskończonych możliwościach, a w mojej głowie pojawiają się nieproszone obrazy z tamtego okresu. Pasiaste podkolanówki z każdym palcem oddzielnie, walkmany Sony, spiczaste buty. Pamiętam, jak kupiłam album The Cure w Bristolu od chłopaka, który był ubrany w wyjątkowo obcisłe džinsy - rurki oraz moherową bluzę i pachniał olejkiem paczuli. Pamiętam nawet słowa większości tych piosenek. Pamiętam lot do Berlina, podczas którego pewien facet zapytał mnie, czy chciałabym udać się

razem z nim do hotelu, i ja się zgodziłam, a wtedy z fotela przed nami odwróciła się jego żona i uśmiechnęła. Pamiętam, jak zakochałam się na studiach w kimś, kto nigdy nie rozpakował swojej torby i miał trzy pary identycznych lewisów oraz trzy białe koszule, które zmieniał każdego dnia. Tomowi by się spodobał. Dlaczego te akurat wspomnienia pozostały w mojej głowie, gdy tymczasem inne są stracone na zawsze? Skoro to właśnie pamiętam teraz, czy za dwadzieścia lat też tak będzie?

Wzmianka o żelaznej żonie Seksownego Udomowionego Taty usadza mnie na miejscu, ponieważ nigdy nie myślałam o nim w liczbie mnogiej, i staram się wyglądać przyjacielsko, lecz rzeczowo.

- Co u niej, udało jej się zrelaksować?

- Nie jest w tym dobra, ma w sobie zbyt wiele energii. Słuchaj, a może masz ochotę na kawę, kiedy już odprowadzisz dzieci?

- Super - odpowiadam, starając się sprawiać wrażenie opanowanej w obliczu tego nieoczekiwanego wtargnięcia do mych marzeń. Wtedy zauważam, że on przygląda się podejrzliwie moim stopom.

- Czy ty masz pod płaszczem piżamę w kratkę? - pyta. - Może tę kawę.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Zbliżające się wydarzenia rzucają przed sobą cień

Choć w trakcie tego spotkania otrzymałam zróżnicowane komunikaty i doznałam niewielkich upokorzeń, w moim wnętrzu formuje się pewien geologiczny uskok. Płyty poruszające się po długim okresie uśpienia. Jakże inaczej mogę wytłumaczyć to nowe uczucie podekscytowania, którego doświadczam w ciągu następnych dni? Myślę, że w taki właśnie sposób dochodzi do kataklizmów. Praktycznie niedostrzegalne ruchy gdzieś w głębi, kończące się niewyobrażalną katastrofą. Tak się czuję, kiedy palę wyżebranego papierosa poza zasięgiem wzroku swoich dzieci, na chwilę jednocząc się na nowo z poczuciem swobody, wiążącym się z innym okresem w moim życiu, kiedy przyjemność oznaczała coś, co można sobie czerpać.

Podczas kilku kolejnych dni wychodzę rano z domu w pełnym nadziei oczekiwaniu na przypadkowe spotkanie z Seksownym Udomowionym Tata, a następnie gromię się w duchu za to, że kiedy się nie pojawia, czuję nadmierne rozczarowanie. Być może ponownie zabrał się za pracę i to żona odprowadza dzieci do szkoły, choć wiem, że ona ma Ważną Posadę w City, co oznacza, że o ósmej musi się znaleźć za biurkiem. Może mają au pair, która zajmuje się dziećmi.

Pozwalam sobie na zanurzenie się w niegroźnych snach na jawie i wyobrażam go sobie, jak w British Library prowadzi badania na potrzeby pisanej akurat książki. Mógłby to robić z jedną ręką w gipsie, natomiast prawie na pewno nie mógłby się posługiwać klawiaturą. Dyktowałby mi, a ja wszystko bym zapisywała. Wyobrażam sobie, jak siedzi w starym wygodnym fotelu, z rękami na poręczach. W panującej dookoła ciszy jego palce wyciągają strzępki wyściółki, a on patrzy na mnie z podziwem. Moglibyśmy spędzać całe dni zamknięci w jego

gabinecie (dzieci nie mieszczą się w tej wizji), a ja udzielałabym mu trafnych rad i kreśliła szkic jego biografii. Z biegiem czasu staję się niezastąpiona, on nie umie już pracować beze mnie. Co nie znaczy, że wiem, o czym pisze, dopóki pewnego wieczoru po położeniu dzieci spać nie wstukuję jego nazwiska w Google i nie dowiaduję się, że spóźnia się z oddaniem rękopisu na temat wkładu Ameryki Łacińskiej w światową kinematografię. Bardzo niszowe. I na ten temat nie wiem absolutnie nic. Tak oto nastaje kres moich fantazji. Łagodny.

- Przepraszam panią, życzy sobie pani coś do picia, chciałaby pani coś zamówić?

Nagle uświadamiam sobie, że kelner delikatnie puka mnie w ramię. Ma na sobie nieskazitelnie czysty i wolny od zagnieceń długi biały fartuch kilkakrotnie zawiązany wokół pasa, ze zgrabną kokardą z przodu, tuż nad brzuchem. Myślę o wojnie pozycyjnej, która toczy się w naszym domu, gdzie stosy niewyprasowanych koszul i pościeli grożą obłężeniem kuchni. Naszą polską sprzątaczkę, która ma przychodzić raz w tygodniu, dręczy tak silny artretyzm, że może się zajmować najwyżej pobieżnym wycieraniem kurzu. Już kilka miesięcy temu pozostawiła stos prania swojemu losowi.

Zastanawiam się, czy zapytać kelnera, gdzie zanoszą rzeczy do prania, albo nawet poprosić, by zajął się tym w moim imieniu. Czy spanie w pościeli równie gładkiej i chłodnej jak gotowy lukier przywróciłoby mi równowagę ducha? Zduszam w sobie ochotę oparcia głowy o jego fartuch i zamykam oczy. To są właśnie domowe problemy, przez które przyjaciółki mojej matki sięgały po valium. Mówię sobie, że w dzisiejszych czasach te sprawy nie mają już znaczenia. W domowym arsenale pojawiły się przecież nowe rodzaje broni: łatwe do prasowania koszule, pieluchy jednorazowe i szybko

gotujący się makaron. Już dawno temu zapomniano o krochmalu, saturatorach i trzepaniu dywanów.

Poza tym domowy chaos jest uwarunkowany genetycznie. Moja matka sprytnie przekształciła go w deklarację intelektualną i dorastałam, wysłuchując, że schludny dom jest antyfeministyczny. Kobiety powinny poświęcać więcej czasu na dostrajanie swych umysłów, mniej zaś na porządkowanie szafek z pościelą, jeśli chcą zrzucić domowe kajdany, uniemożliwiające im wykorzystanie potencjału intelektualnego. To właśnie słyszałam od niej, kiedy byłam dzieckiem.

Kelner zachęca mnie, bym przyjrzała się długiej i zagmatwanej liście koktajli. Wszystkie obiecują lepsze jutro i mają nazwy w stylu „Słoneczne marzenia” lub „Tęcza optymizmu”. Nie ma żadnego o nazwie „Niepewny rozejm” czy „Nadciągająca burza”. Czuję się jak obcokrajowiec na nieznanym sobie ziemi i proszę o piwo imbirowe, częściowo dlatego, że sprawia wrażenie znajomego, głównie jednak z powodu tego, że druk jest tak mały, iż nie jestem w stanie odczytać listy składników poszczególnych koktajli.

Jeszcze rok i będą mi potrzebne okulary dwuogniskowe.

Czekam w klubie członkowskim w Soho na jeden z tych rzadkich wieczorów, kiedy spotykam się z przyjaciółkami singelkami. W starych georgiańskich salach jadalnych ściany mają barwę głębokiego szkarłatu i nawet w przyćmionym świetle rzucają ciepłą poświatę, oferując kuszącą intymność i szeptane niedyskrecje. Ludzie poruszają się wokół niczym ćmy, szukając znajomych twarzy. Podniesieni na duchu alkoholem, zdają się nie wątpić w jakość swego szczęścia.

Siedzę sama na środku dużej sofy w stylu regencji z drewnianymi poręczami i wyblakłym obiciem z pluszu. Co jakiś czas podchodzą do mnie ludzie i proszą, bym się posunęła i zrobiła dla nich miejsce, ale moja potrzeba

samotności wygrywa z pragnieniem życzliwości i mówię im, że czekam na przyjaciół. Wiem, że minie jeszcze trochę czasu, nim ktoś się pojawi, ale chciałam uciec od chaosu towarzyszącego porze kąpieli i kładzenia spać dzieci, więc powiedziałam Tomowi, że muszę się tutaj zjawić przed wpół do ósmej. Po to, bym mogła dogonić samą siebie. Czasami odgrywam tyle ról w ciągu dnia, że wydaje mi się, iż cierpię na pewną odmianę macierzyńskiej schizofrenii. Kucharka, kierowca, sprzątaczką, kochanka, przyjaciółka, rozjemca. To tak, jakby się brało udział w pantomimie, nie mając pewności, czy ma się być tylną częścią osiołka, czy też grać główną rolę.

Spoglądając na zegarek i spokojnie sącząc organiczne piwo imbirowe Luscombe Bay, rozważam ewentualne awarie domowego systemu. Wyobrażam sobie, jak nasz najmłodszy odmawia wyjścia z wanny i wymyka się z uścisku Toma niczym śliski węgorz. Bracia trzymają się nóg Freda i drą się jak potępieńcy. Mój mąż klnie pod nosem, a następnie starsza dwójka bez końca woła: „Tatuś powiedział słowo na «k»!", aż w końcu Tom traci panowanie nad sobą. Jutro niewątpliwie mnie obarczy odpowiedzialnością za tę anarchię. Ale od tej chwili dzieli mnie jeszcze cała noc. Mimo że to moje pierwsze wyjście od prawie miesiąca, czynię sobie nieustanne wyrzuty. Poczucie winy jest powojem macierzyństwa - są one tak nieubłagane splecione ze sobą, że trudno jest stwierdzić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie.

Mój brat Mark, który jest psychologiem, twierdzi, że współczesne matki to niewinne ofiary debaty nad tym, co jest ważniejsze: geny czy wychowanie. Według niego dźwigamy brzemień najnowszych trendów w psychoterapii, odrzucających pogląd, że dzieci rodzą się z jedynym w swoim rodzaju zestawem cech, i zamiast tego cały ciężar odpowiedzialności za każdy aspekt rozwoju składających na naszych ramionach.

Tak więc matki winią siebie za każdy niedobór w osobowości swych pociech - twierdzi Mark. - Tablice punktacji, grupki małych geniuszy, chwyt ołówkowy, to skutki przekonania, że dzieci można lepić niczym glinę, gdy tymczasem prawda wygląda tak, że o ile unika się skrajności, rezultat okaże się mniej więcej taki sam".

Pragnę mu wierzyć, lecz kiedy zastanawiam się nad chaosem panującym w moim życiu osobistym, odpowiedzi szukam niezmiennie w naszym dzieciństwie.

- Czy mógłbym się przysiąc? - pyta wyglądający na zmęczonego mężczyzna ze stertą gazet pod pachą. - Będę tu tylko pół godziny. - Kiedy posyłam mu powątpiewające spojrzenie, dodaje z desperacją: - Chcę tylko przeczekać kładzenie dzieci do łóżek.

I wtedy wiem, że mówi prawdę. Drugi dezenter z domowej linii frontu. Wyjmuję z torby gazetę, by dać mu złudzenie prywatności i szansę odpoczynku z własnymi myślami.

Postanawiam, niemal pod wpływem impulsu, że znowu zacznę palić jak należy i pytam mężczyznę, czy zajmie mi przez chwilę miejsce. Kiwa ze znużeniem głową, nie odzywając się ani słowem. Już tak dawno nie kupowałam papierosów, że na widok ceny muszę szukać drobnych w kieszeniach płaszcza. A potem nie mogę sobie przypomnieć, jak się korzysta z automatu. Czy najpierw się wrzuca pieniądze, czy wybiera papierosy? W końcu wciskam niewłaściwy przycisk i kończy się to tak, że trzymam w dłoni paczkę playersów.

Zapalam pierwszego i choć podle smakuje, a w głowie kręci mi się tak, jakbym miała za chwilę zemdleć, zawzięcie palę dalej, jakbym chciała coś sobie samej udowodnić. To powinno być jak jazda na rowerze, ale nie jest. Naprawdę muszę częściej wychodzić. Niczym uczennica, która stara się skończyć papierosa, nim zauważy ją nauczycielka, palę

playersa tak szybko, że ustnik nieprzyjemnie się rozgrzewa, a wokół mojej głowy kłębi się gęsty dym. Zaczynam kaszleć i charczeć. Przez dym dostrzegam Przyjaciółkę z Niewiarygodnie Udaną Karierą, która krąży po sąsiedniej sali, szukając mnie. Zamiast pomachać albo ją zawołać, przyglądam się ze zdumieniem, jak wędruje od stolika do stolika, zerkając na twarze i co jakiś czas zatrzymując się, by się z kimś przywitać. Swoboda Emmy zadziwia mnie. Ubrana jest w czarne rurki Sass & Bide, skórzane kozaczki do kolan i fantastyczny srebrny top z frędzlami, które są tak długie, że tworzą za nią strumień zaśmigłowy. Ale nie chodzi tylko o to, co ona ma na sobie, choć z całą pewnością ogólny efekt przyciąga uwagę. Chodzi bardziej o sposób, w jaki zajmuje przestrzeń. O to, że nie tylko dym czyni mnie niewidzialną. Ani fakt, że mam na sobie aksamitną marynarkę w tym samym kolorze co sofa, tak że zlewam się z nią w jedną całość.

- Lucy - uśmiecha się promiennie Emma, siadając obok mnie. - W końcu cię znalazłam. - Frędzle nareszcie się uspokajają, kiedy przygląda się pustym kufłom stojącym przede mną. - Co pijesz? - pyta.

- Piwo imbirowe - odpowiadam.

- Sporo, jak widzę. Wspaniała Piątka.

Natychmiast zjawia się kelner i wita ją wylewnie w sposób, który sprawia przyjemność im obojgu, a ona zamawia butelkę szampana. Trzeba powiedzieć, że Emma zajmuje teraz tak wysoką pozycję w agencji prasowej, że większość jej życia kwalifikuje się do wrzucania w koszyki, więc się nawet nie wzdrygam.

Kiedy sączę szampana z wysokiego, wąskiego kieliszka na eleganckiej długiej nóżce, pojawia się Seksowna Samotna Mama i każe mi, jako gościowi honorowemu, przesunąć się na środek sofy.



- Lucy, fantastycznie cię widzieć! Już nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz dokądś razem wyszliśmy - zachwyca się Cathy, ściskając mnie mocno.

- Co słychać u mojego słodkiego chrześniaka? - pytam ją.

- Wszystko świetnie. Dzisiaj nocuje u swego taty - odpowiada.

Sprężyny na środku sofy są najslabsze i opadam niżej, bezpiecznie wciśnięta pomiędzy dwie najbliższe przyjaciółki, czując coś bliskiego zadowoleniu. Wtedy pojawia się koleżanka Cathy z pracy. Kiedy siada, ja nie mogę się nadziwić światu takiej spontaniczności, gdzie ludzie nie odpowiadają przed nikim z wyjątkiem siebie, wolni od skomplikowanych ustaleń angażujących strony trzecie, listy numerów telefonicznych i instrukcji, co zrobić, jeśli dzieci się obudzą.

Nagle nie jestem już jedyną mężatką z przedmieścia na jednodniowym wychodnym, lecz częścią atrakcyjnej grupy nominalnie wolnych trzydziestokilkuletnich kobiet, które bardzo dobrze się bawią. Dziękuję bardzo. Wyobrażam sobie, że ludzie patrzą na nas i zastanawiają się, jak się ze sobą dogadujemy. Tyle że w takim miejscu ludzie są zbyt pochłonięci problemami własnego życia, by nasze przykuło ich uwagę.

Teraz wydaje się to niewiarygodne, ale miałyśmy taki okres po dwudziestce, kiedy wiodłyśmy podobne żywoty, pracując nad swoimi udanymi karierami i mniej poważnymi związkami. Wtedy poznałam Toma na imprezie, którą zorganizowała Emma. Był jednym z architektów zaangażowanych w projektowanie nowej siedziby jej firmy. Cathy zaś podczas kręcenia reklamy poznała faceta, którego nazywamy teraz Beznadziejnym Mężem. Obie wyszłyśmy za mąż, a Emma wielokrotnie prawie wyszła.

Po narodzinach Bena Cathy wróciła do agencji i pracowała trzy dni w tygodniu jako copywriter. Przez dobrych kilka lat w jej dni wolne od pracy włączyłyśmy się po tych samych grupach dla niemowląt. Razem piłyśmy ze styropianowych kubków lurowatą herbatę. Prowadziłyśmy rozmowy z mężami przez telefony komórkowe, pchając jednocześnie wózki przez place zabaw, których wcześniej w ogóle nie zauważałyśmy, pomimo ich skłonności do barw podstawowych. Pieczołowicie sprawdzałyśmy piaskownice w poszukiwaniu starych strzykawek, przed którymi ostrzegały nas inne matki.

Podczas gdy monotonia moich rozmów z Tomem często wprawiała mnie w odrętwienie, ponieważ zawsze dotyczyły one problemów domowych w stylu: „Jak wyciągnąć Action Mana z syfonu w ubikacji”, rozmowy Cathy stawały się coraz głośniejsze i jadowitsze.

Jej mąż raz starał się wyrobić sobie pozycję projektanta mebli, innym razem pracował nad projektami budowlanymi, ale żadne z tych zajęć nie przynosiło większych dochodów. Cathy musiała więc wrócić do pracy na pełny etat i krótko potem awansowała na dyrektorkę, przez co jego dręczyło jeszcze większe poczucie niższości. Rzecz jasna, było to bardziej skomplikowane, bo zawsze tak jest. Jej mąż znalazł sobie terapeuta, który oświadczył mu, że to żona go hamuje, tak więc postanowił uwolnić się od niej oraz dziecka i zamieszkać na powrót z rodzicami. Teraz Cathy wie o podwójnym życiu: jest odpowiedzialną matką pięciolatka i ostrą balangowiczką - zależnie od tego, czy jej były zabiera syna na weekend - a jednocześnie ma zatrudnioną na pełny etat nianię, która zajmuje się resztą.

Wypiwszy jednym haustem trzeci kieliszek szampana i teraz bardziej już niż zadowolona z jakości swego szczęścia, zaczynam analizować prywatne kluby, do których należę.

- Oczywiście, że nie ma listy oczekujących, a jeśli człowiek chce się napić, musi iść do ubikacji z piersiówką, ale według hierarchii ważności mamy, raz: klub pływacki Mali Nurkowie, dwa: grupę muzyczną Munchkin i trzy: grupę przedszkolną Wóz Strażacki.

- Ta akurat brzmi nieźle - stwierdza Cathy. - Potrzebna mi odrobina nieokrzesa.

Wtedy Emma wydaje z siebie pisk.

- Coś chciało podrzeć mi rajstopy!

Cała nasza czwórka schyla się, by zajrzeć pod stół.

- To wcale nie miejscowa fauna - stwierdza Cathy. - To owłosione nogi Lucy.

Wszystkie domagają się przeprowadzenia inspekcji, przesuając ze zdumieniem dłońmi po moich łydkach.

- Boże, Lucy, masz nogi jak sarenka - mówi Cathy.

Staram się im wyjaśnić, że posiadanie trójki dzieci wymaga zminimalizowania czynności upiększających. Szykowanie się na imprezę trzeba ograniczyć do trzyminutowego prysznic, czasami popartego użyciem dezodorantu lub pospieszną depilacją wąsika. Woskowanie nóg stało się luksusem dostępnym dwa razy w roku, bo późnowieczorne próby woskowania w domowych pieleszach skończyły się katastrofą z udziałem włochatej pościeli.

Odpowiedzią są spojrzenia pełne niedowierzania.

- Ale co ty robisz przez cały dzień? - pyta Emma. - Czy nie wypełnia ci go joga i kwieciste tkaniny od Cath Kidston? I co z domowymi wypiekami?

Relacjonuję im więc rozwój wydarzeń dnia z domowego pola bitwy.

- Dzisiaj wstałam o szóstej trzydzieści, naszykowałam dwa drugie śniadania, wysłuchałam, jak Joe czyta, w pośpiechu odwiozłam do szkoły starszą dwójkę, ustaliłam szczegóły przyjscia najlepszego przyjaciela Sama na

podwieczorek, poszukałam w kartonie ze zgubami bluzy Joego, a potem pognałam do żłobka z Fredem - oświadczam, nachylając się dla większego dramatyzmu. - I to wszystko przed dziewiątą.

- Nie - mówią z respektem.

- Czy naprawdę chcecie usłyszeć więcej? - pytam. Kiwają głowami.

- Pojechałam na zakupy, pędem wróciłam do domu, by wszystko wypakować, obniżyłam górę z rzeczami do prania o mniej więcej trzydzieści centymetrów, odkryłam, że od dwóch tygodni Fred sika do kosza w łazience, a potem popędziłam po niego do żłobka. Do Freda przyszedł kolega, więc zadzwoniłam do mamy, gdy oni byli na górze. Następnie odkryłam, że z komody powyciągali wszystkie ubrania Sama, musiałam więc uprzątnąć ten bajzel. Tymczasem nadeszła pora, by wrócić do szkoły po Sama i Joego. Potem była praca domowa, podwieczorek, kąpiel i bajki. Och, i zapomniałam wspomnieć, że po podwieczorku przez pół godziny bawiłam się w „Jestem Jens Lehmann”. - Zdziwione spojrzenia. - To bramkarz Arsenalu. Jest niemal członkiem rodziny.

- Ale to przecież nie może tak być - oświadcza Emma.

- Twoje życie to dla nas idylla. Nie psuj nam tego.

Prawdę powiedziawszy, to był całkiem udany dzień i nawet podobało mi się odgrywanie roli Jensa Lehmana, ale nie mówię im tego. Nie było żadnych ran. Żadnej choroby. Żadnych stłuczeń. Niczego, co spowodowałoby wykołowanie się status quo. Nie wspominam o czynnościach, które wykonuję rutynowo, takich jak niekończący się cykl gotowania, sprzątania, prania i prasowania, częściowo dlatego, że stało się to moją drugą naturą, ale głównie z tego powodu, że nawet mnie trudno jest uwierzyć w to, że kontury mego życia nakreśla ten domowy kołowrót.

Poza tym jestem prawie pewna, że Emmę zbyt zajmuje cieszenie się własnym życiem, by patrzyła z zazdrością na moje. Ma mieszkanie w Norting Hill i wyraźnie wzdryga się podczas naszych nieczęstych odwiedzin z dziećmi, które zostawiają mnóstwo małych śladów palców na blatach ze stali nierdzewnej i jeżdżą traktorami tam i z powrotem po nieskazitelnym dębowym parkiecie.

Rozmowa szybko schodzi na prostsze tematy, w tym analizę nowego chłopaka.

- Powiedźcie mi, czy to jest choćby bliskie normalności - prosi koleżanka Cathy, a znużenie w jej głosie przeczy temu, co słyszymy po chwili. - Uprawia ze mną seks tylko wtedy, gdy moją twarz przykrywa poduszka albo gdy leżę na brzuchu. A po wszystkim nie życzy sobie żadnego kontaktu fizycznego.

- Chodzi ci o to, że ma ciągoty do podduszania? - pyta Emma.

- Może to być mała poduszka czy też musi być duża?

- pytam, po czym dodaję szybko: - Może ma fetysz wnętrzarski.

- To znaczy, że wszystko byłoby w porządku, gdyby pozbawiał ją tlenu za pomocą tej cudnej poduszki Lucindy Chambers z Rug Company? - pyta Cathy.

- Nie bardzo wiem, o jaką ci chodzi, ale w wypadku małej poduszki jest to być może mniej złowieszcze - odpowiadam.

- Przede wszystkim są bardziej kolorowe.

- Wiesz co, najpewniej to po prostu gej - stwierdza Emma.

- Po prostu gej - powtarza koleżanka Cathy, a jej głos lekko drży. - Ale to jest nawet gorsze, gdyż w takim razie nie ma żadnej nadziei. Mogę robić wiele rzeczy, ale nigdy nie uda mi się przemienić w mężczyznę.

Emma potwierdza, że nadal testuje hotele w Bloomsbury z żonatym ojcem czworga dzieci, z którym romansuje od ośmiu miesięcy. Poznali się podczas kolacji organizowanej przez firmę PR w celu promowania relacji pomiędzy bankowcami a dziennikarzami.

- Mówi, że odkąd mnie poznał, doznaje seksualnego objawienia - oznajmia radośnie moja przyjaciółka. - Po raz pierwszy od piętnastu lat jest w stanie uprawiać seks więcej niż raz w ciągu jednej nocy.

- Założę się, że Tom też by mógł, gdyby spał z tobą - mówię. - To nie chodzi tak naprawdę o ciebie, ale o urok nowości, jakim jest uprawianie seksu z kimś, kto nie jest jego żoną, i nie ma w tym nic głębokiego.

- Uważam, że ułatwiam mu pozostanie w związku małżeńskim - oświadcza Emma takim tonem, jakby opowiadała, że w czasie Bożego Narodzenia pracowała w stołówce dla bezdomnych.

Cathy wyznaje, że uprawiała seks bez zabezpieczenia z kimś, kogo poznała na imprezie, a potem zaczyna zastanawiać się głośno nad nawet bardziej egzotycznymi praktykami seksualnymi.

- O mój Boże - mówię, nieco zaskoczona niezwykłym jak na nią brakiem rozwagi.

. - Powinnaś to zachować na później - stwierdza Emma.

Podczas tej rozmowy mam niewiele do dodania. Wydaje mi się, że od czasu naszego ostatniego spotkania w ogóle nie uprawiałam seksu. Ale czasami, tylko czasami, zwłaszcza w chwilach takich jak ta, nie wydaje się to aż takie złe.

- Chyba podoba mi się jeden z ojców w szkole - mówię ni z tego, ni z owego.

Nawet gdy wypowiadam te słowa, zastanawiam się, czy przez przypadek nie przechwyciłam scenariusza życia kogoś innego, kogoś siedzącego być może przy sąsiednim stoliku,

ponieważ nie jest to coś, co zamierzałam powiedzieć. W każdym razie spodziewam się, że zostanie to potraktowane przez moje przyjaciółki z równym spokojem.

Zamiast tego zapada pełna zdumienia cisza.

- Lucy, to naprawdę okropne - oświadcza Emma. - Szokujące. Skandaliczne.

- Zignorujcie mnie, próbuję jedynie zwrócić na siebie uwagę - żartuję. Patrzą na mnie z poważnymi minami. Zaczynam się natychmiast wycofywać. - Nic się nie wydarzyło. Tak naprawdę to nigdy nie przebywałam z nim sam na sam. Nie dotarłam nawet do etapu fantazji seksualnych. Nie mam na to czasu. - Śmieję się sztucznie, czekając, aż któraś się do mnie przyłączy. - Prawda jest taka, że zamieniłam z nim zaledwie kilka słów. - I znowu niepokój na ich twarzach. To po prostu hipokryzja. Przyjaciółki są gorsze od rodziców: jeszcze bardziej wymagają, że dostosujesz się do wyznaczonej roli. - Słuchajcie, to nie Peter i Jane w północno - zachodnim Londynie - mówię. - Wolno mi sobie pomarzyć.

- Czy ktoś jeszcze o tym wie? - pyta z dezaprobatą Cathy.

- Wie o czym? Tu nie ma o czym wiedzieć. On odprowadza dzieci do szkoły - odpowiadam w nadziei, że to wszystko wyjaśni.

- Myślę, że powinniśmy się tam udać i go sobie obejrzyć - stwierdza Cathy. - Zupełnie nowa strefa podrywu.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Od wzniosłości do śmieszności tylko jeden krok

Po powrocie z imprezy nie idę prosto do łóżka. Snuję się po domu, niczym przyjaciół przytulając do siebie ciemność i ciszę. W pokoju Sama i Joego pali się światło i wchodzę tam, z ulgą przekonując się, że wszystkie dzieci śpią. Po rozłożonych na podłodze torach z labiryntem mostów, szlaków wijących się zakosami i tuneli, które mógł stworzyć tylko Tom, widać jasno, że układanie do snu się przedłużyło. Robienie tego w pojedynkę jest zawsze dla mojego męża doświadczeniem otrzeźwiającym, podającym w wątpliwość jego przekonanie, że istnieje magiczna formułka wyczarowująca porządek w chaosie domowego życia.

Fred śpi sobie pośrodku toru. Leży na brzuchu, z pupą w górze, a jego nos niemal dotyka przejazdu kolejowego. Sam i Joe zdążyli już skopać z siebie kołdry i z czułością ponownie ich otulam, po czym obchodzę ich pokój, przetrząsając akcesoria dzieciństwa. Skrawki materiału tak cenne, że nie mogą bez nich spać. Muszę je prac po kryjomu, gdyż moi synowie tak bardzo kochają ich zapach. Płatanina misiów, książek i pociągów. Ostrożnie wsuwam te ukochane skarby pod ich kołderki i obiecuję, że nigdy nie uczynię niczego, co zakłóciłoby spokojny sen moich dzieci, choć akurat w tym ustaleniu nie będzie obowiązywać zasada wzajemności. W ciągu ostatnich ośmiu lat niezakłócona niczym noc stała się czymś godnym zaznaczenia, tematem rozmów, tak jak spotkanie w Londynie borsuka.

Delikatnie podnoszę Freda, a on wydaje uspokajające odgłosy, prychając i stękając w moją klatkę piersiową niczym małe wierzgające stworzenie. Wyjmuję z dłoni Sama piłeczkę do krykieta i odnoszę najmłodszego syna do jego pokoju.

Kiedy schodzę ponownie do kuchni, włączam światło, parzę sobie herbatę i siadam za stołem. Podnoszę głowę i



przekonuję się, że patrzę prosto na obraz, który podarowała nam moja teściowa, Petra. To portret olejny namalowany przez artystę, którego rodzina wkrótce po zakończeniu II wojny światowej przeprowadziła się do Maroka. Tom twierdzi, że jego matka była krótko związana z tym artystą, nie ma pewności, jak długo, ale odmówiła wyjazdu wraz z nim za granicę. To wyjaśnienie zdaje się satysfakcjonować mojego męża. Wiele razy próbowałam przycisnąć Petrę i wydobyć z niej więcej szczegółów, używając tego obrazu jako pretekstu, ale nigdy nie dała się podejść. Jest niedokończony, a zielone tło namalowano tak cienką warstwą farby, że w niektórych miejscach widać włókno płótna. Petra twierdzi, że nie wie, kto pozował do tego portretu, choć dla mnie jest oczywiste, że ona.

- Jeżeli go nie chcesz, Lucy, oddam go komuś - rzekła, wręczyszy mi go podczas jednej z wizyt. Wtedy właśnie zapytałam ją, czy była zakochana w mężczyźnie, który go namalował. Bądź co bądź zaledwie kilka miesięcy później zaręczyła się z ojcem mego męża, co określiłabym jako klasyczny związek zamienny.

- Jeśli ma się dość wyobraźni, można pokochać każdego, Lucy - odparła, przyglądając mi się uważnie.

Wchodzę po schodach na bosaka, zygzakiem od jednej strony do drugiej, z wprawą manewrując tak, by nie nadepnąć na skrzypiące deski, które mogłyby zdradzić moją obecność. W sypialni nie zapalam światła, tylko wyciągam przed siebie dłoń, wiedząc, że róg komody znajdę cztery kroki od wejścia po prawej stronie. Ostrożnie otwieram szafę i w skórzanych kozakach chowam kupione wcześniej papierosy.

Szeptę do Toma coś uspokajającego, kiedy mruczy: „Już wróciłaś”, choć wkrótce za oknem zacznie się robić jasno. Słucham, jak kaloryfery bulgoczą z dezaprobatą, i wybaczam im, że nie potrafią porządnie ogrzać domu.

Następnie wślizguję się do łóżka, stosując technikę powolnych, niedostrzegalnych ruchów, całkowicie nieruchomiejąc, kiedy wyczuwam po drugiej stronie jakąś reakcję. Nie chcę obudzić męża. Kiedy jestem już wystarczająco blisko, przerzucam ramię przez jego klatkę piersiową i kładę się na brzuchu, czując ciepło Toma, pozwalając, by sen przyszedł do mnie dokładnie wtedy, kiedy jest mi najbardziej potrzebny. Jedyne osoba cierpiąca na bezsenność lub matka od lat pozbawiana snu znają płynącą z tego przyjemność.

Nie istnieje żaden logiczny powód, dla którego brak snu i zbyt duża ilość alkoholu miałyby wywołać inny skutek niż dzień zmiennych nastrojów i wzmożonej skłonności do płaczu. A jednak tak się nie dzieje. Nazajutrz rano w przegrzanej sali gimnastycznej biorę udział w zebraniu, którego celem jest uczczenie rozpoczęcia nowego roku szkolnego. Joe zawsze się niepokoi, gdy nie widzi mojej twarzy w tłumie, więc odpuszczam sobie śniadanie, byle zdążyć do szkoły i zająć dobre miejsce blisko brzegu.

- Gdzieś pośrodku boiska na skrzydle, dobrze? - pyta Joe, patrząc na mnie z nadzieją, kiedy przechodzimy przez szkolną bramę. Wiem, co nastąpi za chwilę. - Czy możemy pobawić się w Jensa Lehmana, kiedy wrócę do domu?

Próbuję mu wytłumaczyć, że w ciągu roku szkolnego na popołudnie składa się przygotowanie podwieczorku, posprzątanie po podwieczorku, dopilnowanie odrobienia pracy domowej, kąpiel, bajki i kładzenie do łóżek, i że tylko cudem można to wszystko wcisnąć w cztery godziny. Potem ustępuję, kiedy widzę, jak mała buzia Joego zaczyna się krzywić.

- A może zamiast tego pogramy w krykieta? - proponuję łagodnie. - Mogę być Shane'em Warne'em, a ty możesz być Freddie'em Flintoffem. Tylko przez dziesięć minut.

Podskakuje z ekscytacji. Tak łatwo jest zadowolić pięciolatka.

Gdy wchodzę na szkolny dziedziniec obładowana niczym juczny koń, pchając wózek z Fredem, zatrzymuję się, jak zawsze, czekając na milczący aplauz za to, że po raz kolejny udało mi się zdążyć przed dziewiątą. Widzę, jak zaaferowana dyrektorka szkoły wita rodziców na schodach. „Gratuluję, pani Sweeney” - wyobrażam sobie jej słowa. - „Brawo, nie tylko za pojawienie się tutaj z kaczkiem i po ledwie czterech godzinach snu, ale także za przyprowadzenie dwóch nakarmionych chłopców w mundurkach i najmłodszego synka, co prawda jedzącego jeszcze tosta, niemniej jednak ubranego i częściowo nakarmionego, dwóch wolnych od orzeszków drugich śniadań i jednej pary butów gimnastycznych. Pani i te wszystkie inne matki oraz kilku ojców - choć wiem, że to matki tak naprawdę o wszystkim pamiętają - jesteście prawdziwymi bohaterami”. Co prawda nikt nie wiwatuje, ale i tak ogarnia mnie ogromna radość.

Czuąc się zaniedbana, marzę o porannej anonimowości, wkrótce jednak okazuje się, że na sali gimnastycznej po jednej stronie mam Niezłą Mamuszkę Nr 1, a po drugiej Seksownego Udomowionego Tatę. Staram się wybadać, czy są jakieś inne krzesła, na których mógł usiąść, i dostrzegam, że jest jeszcze mnóstwo wolnych miejsc. Serce zaczyna mi szybko walić i czuję, że po raz pierwszy od lat się rumienię. Chyba cierpię na połączenie przedwczesnej menopauzy i spóźnionego dojrzewania.

Próbuję się skupić na sprzęcie sportowym. Liny, tyczki, kozły, drabinki. Niewiele się zmieniło. Szkoły zdołały uniknąć przeobrażenia wewnątrz. Nie widać tu niedbałego szyku ani minimalistycznej estetyki. A zapach brudnych skarpetek i potu jest tak znajomy, że kiedy zamykam oczy i zapominam o małym dziecku siedzącym mi na kolanach, znajduję się z

powrotem w szkole. Kiedy odprowadza się dzieci do szkoły, samemu także cofa się w czasie. Tak więc siedząca za nami Mama Alfa, dawna przewodnicząca klasy i kapitan drużyny hokejowej, zgodnie z przewidywaniami zasiada w komitetach rodzicielskich i przygląda się wszystkiemu z dezaprobatą. Osoby niegdyś prześladowane charakteryzuje nerwowy niepokój, który znika dopiero wtedy, gdy opuszczają teren szkoły, a ich ramiona wreszcie się rozluźniają. A te z nas, które pochłaniało oglądanie się za chłopcami, a do takich na przykład moim zdaniem należy Niezła Mamuśka Nr i - cóż, nadal pochłania oglądanie się za chłopcami.

Wtedy przypomina mi się Simon Miller. Mój pierwszy chłopak. Kiedy Simon Miller zapytał, czy mógłby mnie odprowadzić do domu po zajęciach z angielskiego w październiku 1982 roku, udaliśmy się w milczeniu, zgodnym krokiem, do szopy obok sali gimnastycznej, na którą nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi. W mojej klasie żadna by mu nie odmówiła, a jednak wyglądało na to, że nigdy nie miał dziewczyny. Nawet wtedy zdawałyśmy sobie sprawę z tego, że Simon Miller to poważna sprawa.

Dopóki nie zamknęliśmy za sobą drzwi, prawie w ogóle się nie dotykaliśmy. Nie sądzę, byśmy nawet zbyt wiele rozmawiali. Jedyne słowa, jakie wypowiedział, to: „Chcę, żebyś była moją dziewczyną, ale nie chcę, by ktokolwiek o tym wiedział, gdyż wtedy moi koledzy będą chcieli wiedzieć ze szczegółami, jak to jest uprawiać z tobą seks, a bardziej ekscytujące będzie zachować to w tajemnicy”.

Skinęłam głową na znak zgody, a on wyciągnął dłoń i pogłaskał mnie po policzku, ja zaś poczułam, jak przez moje ciało przebiega dreszcz i usiłowałam nie kaszleć w oparach wody po goleniu Aramis.

Niezdarna płatanina na zimnych plastikowych matach gimnastycznych, z którymi w tym semestrze mieliśmy do

czynienia co tydzień, stanowiła typową mieszankę na wpół rozebranego młodzieńczego pożądania i starań. Groziło nam nakrycie, za każdym razem musieliśmy uciekać się do wybiegów i czuliśmy wzajemne przyciąganie, a wszystko to wywoływało nieokiełznane podniecenie. Ku memu zdziwieniu, on też nigdy wcześniej nie uprawiał seksu, a skoro startowaliśmy z równych pozycji, byliśmy wobec siebie bardzo szczodrzy. Simon Miller z całą pewnością obdarowywał później rozkoszą wiele kobiet, ponieważ nawet w wieku szesnastu lat wykazywał zrozumienie i zamiłowanie do seksu oralnego, którymi niewielu moich późniejszych chłopaków mogło się pochwalić. Dopiero kiedy skończyłam szkołę i odkryłam, że co najmniej trzy moje koleżanki wcześniej zaangażowały się w podobnie tajne związki z nim, poznałam wyrafinowanie jego taktyki. Ustanowił jednak pewien standard, a to zasługa dożywotnia.

I od tamtej pory znałam korzyści płynące z dochowywania tajemnicy. Nigdy nie odczuwałam potrzeby dzielenia się z nikim poplątanymi młodzieńczymi uczuciami. Wiedziałam po prostu, że pewnego dnia to wszystko nabierze sensu. Zastanawiam się, co się stało z Simonem Millerem. Gdybym zalogowała się na stronie Friends United, najpewniej przed końcem dnia mogłabym wysłać do niego e - mail i dowiedzieć się, że jest dentystą w Dorking, ma dwoje dzieci oraz żonę z idealnie prostymi zębami. Niektóre rzeczy lepiej pozostawić w sferze wspomnień.

Fred wierci mi się na kolanach, a mnie robi się coraz bardziej gorąco.

- Jeść, mamusiu - mówi.

Wyjmuję z kieszeni żakietu paczkę rodzynek.

Siedząca z tyłu Mama Alfa nachyla się tak blisko, że czuję, jak łaskocze mnie w szyję kołnierzykiem swojej idealnie wyprasowanej białej bluzki.

- Czy wiesz, że zawierają osiem razy więcej cukru niż winogrona? - szepcze mi do ucha.

- Eee, nie - odszeptuję.

- Czy wiesz, że ona jest osiem razy bardziej toksyczna niż przeciętna matka? - szepcze do mnie konspiracyjnie Niezła Mamuśka Nr 1.

Przypomina mi się nagle, że zapomniałam przynieść „smak jesieni” na szkolną prezentację i grzebię w torbie w poszukiwaniu czegokolwiek, co można by pod to podpiąć. Uśmiech losu sprawia, że znajduję zgniły ogryzek, który zdaje się idealnie podsumowywać porę mgieł i dojrzałej urodzajności w całej swej rozkładającej się chwale. Muszę jedynie powiedzieć Joemu, że to dzikie jabłko. Wprawiona w dobry humor swoją zaradnością, odwracam się do Niezłej Mamuśki Nr 1.

- Zabrałaś coś ze sobą? - pytam, zastanawiając się, czy zdarza jej się zapomnieć o dniach prezentacji.

Wskazuje na wyraźnie atrakcyjnego dwudziestokilkulatka, który opiera się niedbale o ścianę z tyłu sali, on zaś macha do nas.

- Nowy semestr, nowy osobisty trener - uśmiecha się. - Kick boxing. Zarzeka się, że to działa.

- Jest zbyt duży, by umieścić go na jesiennym stole - odpowiadam. - Mógłby poślizgnąć się na kasztanie.

- O mój Boże, zapomniałam o prezentacji - mówi leniwie.  
- Później podeślę tu moją gosposię z torbą kasztanów z naszego ogrodu.

Rozmyślam nad faktem, że nigdy nie widziałam jej z najmłodszymi dziećmi ani z mężem. Trudno powiedzieć, że nie odstępują się nawet na krok.

- Chodzi o to - kontynuuje, uważnie dobierając słowa i zerkając przez ramię na osobistego trenera - że trzeba mieć odpowiednią motywację do codziennych ćwiczeń na siłowni,

a ten mężczyzna widzi w pocie czoła coś wysublimowanego, nawet jeśli mówi tylko o grupach mięśni i znaczeniu owsianki. Porcja piękna każdego dnia jest bardzo ważna, nie sądzisz? A im jesteś starsza, coraz mniejsze znaczenie ma to, co facet mówi.

- Myślisz o nim, kiedy nie jesteś z nim? - pytam, by zbadać zakres i głębię tego związku.

Patrzy na mnie speszona.

- Tylko wtedy, gdy sięgam po paczkę ciastek i wyobrażam sobie, jak grozi mi palcem i mówi: „To bardzo niegrzeczne”, no i wtedy ich nie jem.

Próbuję usiąść prosto i wciągnąć brzuch, on jednak odmawia współpracy. Zamiast tego ulga płynąca z rozluźnienia zwiotczałych mięśni, które z całych sił próbują się w miarę przyzwoicie zachowywać, powoduje, że znad paska mych dzinsów uwalnia się nieco tłuszczu. Nikt tego oczywiście nie widzi, niemniej jednak pozostaje to przejawem buntu. Po urodzeniu dzieci trzeba się dużo nawciągać brzucha, a twoje ciało już nigdy nie zachowuje się lojalnie.

- Ty także powinnaś przychodzić, byłoby naprawdę fajnie - stwierdza Niezła Mamuśka Nr 1 tonem bardziej przyjacielskim niż krytycznym, choć najprawdopodobniej jest nieszczerą.

Chciałabym jej wytłumaczyć, że żyjemy w zupełnie różnych finansowych stratosferach i że jeśli nie liczyć cierpiącej na reumatyzm sprzątaczkę, która nie jest już w stanie dosięgnąć podłogi, to ja jestem w domu personelem, ale to wszystko zbyt długo by trwało, a poza tym ona jest kobietą, która lubi żyć w idealnym świecie, gdzie ludzie nie muszą się tłoczyć z plecakami w metrze, gdyż wszędzie jeżdżą taksówkami, a dług Trzeciego Świata można spłacić dzięki wydawanej dwa razy w roku kolacji na cele dobroczynne z darmowym szampanem.

Fred zasypia mi na kolanach, przez co moja łydka opiera się wygodnie o łydkę Seksownego Udomowionego Taty, a ja odczuwam nagłą wdzięczność za brak perfekcji Toma w kwestii kładzenia dzieci spać. Ciesz się prostymi, gratisowymi przyjemnościami, myślę sobie. Staram się żyć tą chwilą, ale moje myśli zaczynają błędzić i ku swemu zaniepokojeniu przyłapuję się na pragnieniu, by przycisnął stanowczo swoje udo do mojego. Następnie mimowolnie przyglądam się jego prawej nodze. Przez kilka minut pozostaje nieruchoma, a gumowa podeszwa konwersów idealnie przylega do podłogi. Kiedy jednak nauczycielka muzyki zaczyna grać na pianinie, on wystukuje stopą rytm i wtedy wydaje mi się, że jego noga przysuwa się do mojej. A przynajmniej czuję jej ciepło. Gdy muzyka milknie, jego udo znajduje się zdecydowanie bliżej mego niż na początku. Teraz wszystko się komplikuje. Wydaje mi się, że powinnam ostrożnie przesunąć nogę, po prostu na wypadek, gdyby uważał, że reaguję na jego dotyk, ale potem uznaję, że mogłoby to wyglądać niegrzecznie, jeśli w gruncie rzeczy nieświadomie przysunął swoją nogę do mojej. Tak jakbym oskarżała go o zbytnią fizyczną poufałość.

Próbuję zerknąć ponad jego kolanami, by się przekonać, czy jego druga noga znajduje się równie blisko nogi innego ojca, który siedzi obok niego, a potem ogarnia mnie przygnębienie, kiedy dostrzegam, że rzeczywiście tak właśnie jest. Być może ma upodobanie do obu płci. Ta myśl mną wstrząsa: jak doszłam do tego punktu? Myślę o Tomie, który jest teraz w pracy, starając się przełamać biurokratyczny impas mediolańskiego projektu. Wyobrażam sobie, że stoję obok jego biurka, środkowym palcem wygładzając zmarszczkę między brwiami męża, gdy tymczasem on rozmawia ze współpracownikiem z Włoch o tym, że udało się pokonać ostatnie przeszkody w ich planach. Ale Tom nie chciałby, żebym tam była. Wiem, ponieważ kiedy dzwonię do



niego do pracy, on stara się mnie splawić jak najszybciej. Rozumiem jego stres, ale nie podoba mi się, że sprawy zawodowe tak go pochłoneły. Przynajmniej myślenie o Tomie przywraca mi poczucie rzeczywistości.

W chwili, gdy ponownie zaczynam się zachowywać jak rozsądna dorosła osoba, zastanawiając się, co ugotować na obiad i czy w drodze do domu udać się z Fredem do parku, Seksowny Udomowiony Tata zupełnie zmienia pozycję i zakłada lewą nogę na prawą, i nagle się przekonuję, że łączy mnie z nim nie tylko górna część jego uda, lecz także spory fragment jego pośladka.

Nachyla się i mówi półgłosem do mego ucha:

- Dobrze, że nie włożyłaś dzisiaj piżamy, bo tu jest naprawdę parno.

Patrzę na niego i przez chwilę się zastanawiam, czy on myśli o zakazanych przyjemnościach w hotelach w Bloomsbury, które, jak twierdzi Emma, pełne są ludzi przeżywających gorące romanse.

- To pewnie przez te wszystkie małe dzbanki do herbaty. Szukam w słowach „dzbanek do herbaty” podtekstu seksualnego, nie znajduję go jednak. Jestem raczej na bieżąco z iPodami, Rabbitami i strefami bezprzewodowymi, ale mogłam coś przegapić w minionych latach. Dzieci z pierwszej klasy, w tym nasze, wstają, by zaśpiewać bardzo słodko o byciu niskim i silnym oraz dokonać interpretacji „Jestem małym dzbankiem do herbaty”. Następnie przechodzą płynnie w „Panie i Ojcie ludzkości, wybacz nam nasze przewinienia”, i wszelkie rodzące się fantazje szybko zduszają się w zarodku.

Po hymnie dyrektorka szkoły prosi o zgłoszenie się ochotników, którzy będą towarzyszyć klasie podczas wycieczki do Londyńskiego Akwarium.

- Zrobię to - szepcze Seksowny Udomowiony Tata.

- Osoby zainteresowane bardzo proszę o podniesienie ręki, a potem przejście do przodu w celu poznania dalszych szczegółów - oświadcza dyrektorka, machając kopertą.

Zrywam się z krzesła na tyle szybko, na ile jestem w stanie z Fredem w ramionach, i wyciągam rękę.

- Cieszę się bardzo na widok takiego entuzjazmu - mówi dyrektorka, a wszyscy odwracają się i patrzą na mnie, starając się ustalić, czy jestem przepełnioną poczuciem winy pracującą na pełny etat mamą, która próbuje w ten sposób zrekompensować fakt, że nigdy jej nie ma, czy też jedną z tych nadgorliwych, rozpychających się łokciami osób, które swoim dzieciom na podwieczorek serwują makaron w kształcie literek, by mogły ćwiczyć pisownię. Prawda jest znacznie bardziej płytka: idę, ponieważ czyni to Seksowny Udomowiony Tata, i myślę, że on także o tym wie. Cóż może być w tym złego?

Nachylam się i zaczynam się podnosić, by przejść na przód sali, a jednocześnie zerkam w dół, by sprawdzić, czy mam na sobie te dzinsy, które mają wydłużać nogi, czy te, które podnoszą tyłek. Z przerażeniem dostrzegam, że o Seksownego Udomowionego Tatę opiera się nie tylko moja noga, ale także duże wybrzuszenie, sterczące mi z lewej łydki. Wczorajsze majtki. Czuję, jak mój oddech przyspiesza, ale nie ma sposobu, bym mogła wyplątać się z tego nieprzewidywalnego ciągu zdarzeń. Przeklinam w duchu powrót obcisłych dzinsów - nawet pęsetą nie udałoby się usunąć majtek przez nogawkę.

- Co to? - pyta Niezła Mamuśka Nr 1, która potrafi rozpracować ubiór niczym stado sępów rozszarpujących padlinę. Przygląda się podejrzliwie mojej nodze.

- To pewne urządzenie - słyszę wydobywające się z mych ust słowa. Na czoło występują mi krople potu. Ocieram je tylną częścią kurtki Freda.

Seksowny Udomowiony Tata wygląda na zainteresowanego.

- Mam nadzieję, że nie takie, które można zdetonować - mówi.

- By obniżyć stres. Kiedy się odczuwa niepokój, trzeba to ścisnąć - ripostuję, gorączkowo ściskając wczorajsze majtki.

- Coś takiego jak piłeczka stresu? - pyta z powątpiewaniem.

- Dokładnie - odpowiadam pewnym siebie głosem.

Oboje pochylają się nad Fredem, by to pomacać. Otoczone gipsem ramię Seksownego Udomowionego Taty spoczywa ciężko na moim kolanie. W każdej innej sytuacji to naruszenie mojej przestrzeni osobistej z całą pewnością można by uznać za chwilę wzniosłości.

- Cóż, ja osobiście od razu czuję się bardziej zrelaksowany - mówi Seksowny Udomowiony Tata głosem zaprawionym sarkazmem.

- A ja nie jestem pewna - stwierdza Niezła Mamuśka Nr 1.

- Pani Sweeney, czy mogłaby pani tutaj podejść? - odzywa się dyrektorka.

Akcentuje powoli każde słowo i wychyla się na boki, by mieć na nas lepszy widok. Wwiercają się we mnie spojrzenia setek oczu. Wtedy nadchodzi ratunek. Całe to macanie przesunęło majtki w dół w kierunku kostek i wyłania się metka M&S. Schylam się, czując napływającą do głowy krew, i ostrożnie chwytam za koniec metki. Umiejętnie wydobywam majtki jednym pociągnięciem, wstaję, wkładam je nonszalancko do torebki i z rozespanym Fredem na ręku udaję się wzdłuż rzędu rodziców, by odebrać moją kopertę. Kręci mi się w głowie od zbyt długiego schylania się i cała jestem spocona, ale myśl o dniu spędzonym w akwarium z Seksownym Udomowionym Tatą napawa mnie optymizmem.

Kiedy jednak wracam na swoje miejsce, widzę, że on patrzy na mnie z wyrazem twarzy znanym mi z pierwszych lat mego związku z Tomem. W jego spojrzeniu widać nieufność, ni to uśmiecha się, ni to krzywi, cały spięty z powodu nieodłącznych sprzeczności takich bezładnych emocji. Jego ciało skuliło się w sobie. Nogi i ramiona ma skrzyżowane, tułów pochylony nad kolanami, stara się zajmować jak najmniej przestrzeni, a wokół niego unosi się atmosfera cichego niedowierzania. Nie odzywa się ani słowem. Zamiast tego ostrożnie mnie przepuszcza, uważając na to, by żadna część jego ciała nie zetknęła się z moją.

- To wydarzenie rodem z najgorszego koszmaru sennego - szepcze mi do ucha Niezła Mamuśka Nr 1, kiedy wreszcie siadam na krześle. - Mówię o majtkach z M&S; nawet moja matka już ich nie nosi. Ale nie przejmuj się, jestem pewna, że nikt inny ich nie zauważył. Poza tym mogli sobie pomyśleć, że M to skrót od Myła.

Stara się podnieść mnie na duchu, co jest miłe, nie mam jednak pojęcia, kim jest Myła.

Wstajemy, by opuścić salę, i patrzę z podziwem na Niezłą Mamuśkę Nr 1 idącą wzdłuż rzędu krzesel. Zgrabnie wygląda we wzorzystej portfelowej sukience i kozaczkach do pół łydki na niemożliwie wysokich obcasach. Kiedy robi się zbyt wąsko, wdzięcznie przechodzi bokiem i zauważam, że jest cienka jak bibułka, że niemal straciła cechy trójwymiarowości. Idzie pewnym siebie krokiem. Nie ma obawy, że się przewróci, pomimo ciężaru długiego brązowego kożucha, który miała na sobie przez cały czas trwania występów.

- Joseph. Prezent od męża na przeprosiny za to, że latem tak często musiał wyjeżdżać - mówi, kiedy się zatrzymujemy, wyczuwając moją zazdrość.

Tyle że ja tak naprawdę patrzę z zazdrością nie na płaszcz, lecz na jego czystość. Nie ma na nim śladów niczego, co by

zdradzało, co dała dzieciom na śniadanie, nie ma plam po dżemie, żadnych wycieków z długopisów pozostawionych bez nakrętek w kieszeniach, żadnych rozdarć ani plam. Szminkę i tusz do rzęs Niezła Mamuśka Nr 1 ma nałożone z dyskretną perfekcją. Nawet pachnie wytwornie, nie w krzykliwy sposób - jest to po prostu ponadczasowy, elegancki zapach udoskonalony przez pokolenia. Jest taka niedościgniona i idealna. Och, ten wysiłek, który trzeba włożyć w to, by wyglądać naturalnie. No i Seksowny Udomowiony Tata. Cóż, szybkim krokiem udaje się w przeciwnym kierunku, choć to nieco okrężna trasa. Kiedy widzę go po raz ostatni, ze złamaną ręką jedzie jak najszybciej na rowerze po Fitzjohn's Avenue.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Jednemu wolno ukraść konia, a drugi nie może nawet zerknąć przez płot

O piątej nad ranem w następnym tygodniu porzucam wszelką nadzieję, że uda mi się jeszcze zasnąć, i przechylam się nad Tomem, by spojrzeć na jeden z jego budzików. Ten, który stoi po lewej stronie szafki nocnej, jest elektryczny i budzi nas, powtarzając powolnym mechanicznym głosem: „Tom, wychodź z łóżka”. Ten po prawej działa na baterie; Tom zabrał go Samowi, kiedy nasz syn był jeszcze za mały, by to zauważyć. Ma głowę królika i jeśli pozwoli mu się dzwonić zbyt długo, przesunie się na brzeg szafki i spadnie na podłogę, taka jest siła jego dzwonka.

Trzeba przyznać, że odkąd jesteśmy razem, nigdy nie zaspaliśmy. Żaden z budzików przez te lata nie zawiódł i podczas tych rzadkich okazji, kiedy nasze dzieci pozwalały nam spać dłużej niż do siódmej, budził nas chór dzwonek. Był taki czas, kiedy kusiło mnie, żeby cofnąć zegarki o godzinę, by pokazać Tomowi, że wcale nie nastąpi koniec świata, jeśli wszystko zrobimy sześćdziesiąt minut później.

Bezsensowność daje mnóstwo czasu, by przeanalizować dawne kłótnie. Rankiem oczywiście wszystkie wnioski ulegają zapomnieniu i pozostaje ci w ustach jedynie przykry smak, ale te zacięte spory, w których każdy obstaje przy swoim, powracają nocą z regularną częstotliwością. Dzisiaj analizuję od dawien dawna ulubioną kość niezgody, czyli kwestię mojego spóźniania się i przekonania Toma, że na świecie dobrze się dzieje, jeśli wszystko robione jest na czas. Świetna cecha u architekta, nieco jednak mniej urocza u męża.

Ostatnia runda odbyła się w spizarni w domu moich rodziców w Mendips, kilka tygodni przed feralną wyprawą na kemping do Norfolk. Gdyby się sporządzało wykres z ważnymi wydarzeniami w mojej rodzinie, ta spizarnia

zostałaby przedstawiona nieproporcjonalnie jako tło. To tam właśnie powiedziałam przed laty mojej matce, że wychodzę za Toma, a ona pogratulowała mi ze łzami w oczach, po czym oświadczyła: „Zdajecie sobie chyba sprawę z tego, że gdybyście byli doświadczeniem chemicznym, to byście eksplodowali?”. A mój ojciec nadszedł w tamtej chwili, mruczając pod nosem o pierwiastkach zmiennych i wyższości eksplozji nad implozją jako przepisie na inspirujący związek małżeński.

- Nie ma atrakcji bez reakcji - rzekł wtedy mądrze.

Nie pamiętam dokładnie, jak zaczęła się kłótnia pomiędzy Tomem a mną, ale przypominam sobie, że płytki na podłodze były tak lodowate, że palce u mych gołych stóp zaczęły drętwieć, a jednak nawet pomimo zimna czułam narastającą woń kawałka starego sera pleśniowego, zostawionego tam podczas Bożego Narodzenia. Szukaliśmy słoika z kawą.

- Nie rozumiem, jak twoim rodzicom mogło się skończyć coś tak niezbędnego jak kawa - oświadczył Tom, uskakując na bok, gdy przed jego butem pojawiła się pułapka na myszy. - To powinno stanowić podstawowy produkt w każdej spiżarni, zwłaszcza w tak dużej jak ta.

- Mają na głowie inne rzeczy - odparłam, próbując go rozbawić.

- Jak na przykład niemożność zrobienia czegokolwiek punktualnie, nawet w dniu naszego ślubu - rzekł.

- W życiu jest tyle gorszych rzeczy niż spóźnianie się - odpowiedziałam, nie mając pewności, czy powinnam cieszyć się z tego, że nasza rozmowa zeszła z tematu kawy, czy też niepokoić się jej nowym kierunkiem. Wiedziałam, że krytyka moich rodziców odnosi się ostatecznie do mnie, nie do nich. Ponieważ Tom mnie zignorował, dodałam: - Tak właściwie to pojawianie się przed czasem jest niegrzeczne. A może spróbujemy pożyć odrobinę niebezpiecznie i przez następne

cztery tygodnie, w ramach eksperymentu, zaczniemy się zjawiać wszędzie pół godziny spóźnieni?

- Mówisz o życiu niebezpiecznym, Lucy. W tej chwili znajdujemy się już na etapie, kiedy nie ma to zastosowania. Mamy swoje przyzwyczajenia i powinniśmy otaczać się tym, co jest nam znane. Na przykład starymi sofami.

- Na mojej twarzy musiał malować się sceptycyzm, ponieważ Tom zrobił się nieco bardziej wylewny. - Sofa w naszej jadalni ma obłuzowaną sprężynę w prawym rogu. Na środku oparcia widnieje lepka plama od czegoś słodkiego, co przykleiło się tam przed wieloma laty - wydaje mi się, że to cytrynowa oranżada w proszku - a z boku jest dziura, która robi się coraz większa, ponieważ jedno z dzieci używa jej do przechowywania pieniędzy. - Nie mogłam uwierzyć w to, że zauważył każdą z tych rzeczy. - Chociaż wszystko to powinno być nieco irytujące, wcale tak nie jest, a to dlatego, że swojskość tych niedoskonałości poprawia nastrój. Nie zauważyłaś, że nie odzywam się już ani słowem, kiedy gubisz swoją kartę kredytową? Oczy patrzają przed siebie. Oddech w normie. Brwi nieruchome. Wszystkie tiki pod kontrolą.

- Sądziłam, że zaczęłaś rozumieć, że zgubienie karty kredytowej to po prostu nic takiego - mruknęłam, ale on pozostał głuchy na te słowa.

- Kiedy człowiek zrozumie, że nie jest nieśmiertelny, ustalony porządek dodaje otuchy, Lucy. Pomyśl, jak bardzo byłaś wytrącona z równowagi, kiedy Cathy porzucił męża. Wtedy nie narzekałaś na robienie wszystkiego na czas. Tak naprawdę, Lucy, ty w gruncie rzeczy nie lubisz zmian. Nie zniosłabyś, gdybym nagle zaczął się spóźniać.

I jak zwykle, na koniec przyznałam mu rację. Ponieważ najprawdopodobniej ją miał.

Tom spał całą noc w dokładnie takiej samej pozycji, na brzuchu, z nogami rozłożonymi, ramionami obejmując



poduszkę. Ja, z drugiej strony, miałam do czynienia ze zwyczajowymi nocnymi wizytami. Leżąc w łóżku, z uchem mniej więcej na tej samej wysokości co głowa Freda, około pierwszej trzydziści aż podskoczyłam, budząc się gwałtownie na dźwięk głębokiego, zachrypniętego głosu szepczącego mi do ucha:

- Chcę się tulić. Teraz, zaraz.

Jakąś godzinę później pojawił się Joe i oznajmił ze łzami w oczach, że się kurczy.

- Jestem niższy niż wtedy, gdy szedłem do łóżka - rzekł, ściskając mi ramię tak mocno, że rankiem nadal znajdowały się na nim ślady małych palców.

- Zapewniam cię, że jesteś tak samo wysoki - odparłam. - Przyjrzyj się swojej dłoni: wpasowuje się w moją dokładnie w taki sam sposób, jak wczoraj, kiedy szliśmy do szkoły.

- Ale czuję, że kurczą mi się nogi - powiedział z takim przekonaniem, że przez chwilę się zastanawiałam, czy może nie ma przypadkiem racji.

- To bóle wzrostowe - oświadczyłam. Szablonowa odpowiedź na wszelkie niewytłumaczalne nocne bóle. - Tatuś i ja też je mieliśmy.

- A skąd wiesz, że to nie bóle kurczeniowe? - nie dawał za wygraną Joe. - Babcia jest niższa niż kiedyś. Kiedy przyjdiesz rano, będę taki mały, że mnie nie zobaczysz. - Jego głos stawał się coraz cichszy. - A potem w drodze do szkoły mogę zostać zjedzony przez psa.

Wstałam więc z łóżka i poszłam z nim na dół do kuchennych drzwi, na których Tom od czasu do czasu zaznacza wzrost naszych dzieci.

- Popatrz, jesteś nawet wyższy niż wtedy, kiedy ostatnio cię mierzyliśmy - pokazałam mu.

Uśmiechnął się i mnie uściskał, a ja zabrałam go z powrotem na górę do łóżka i jakoś udało mi się zasnąć, nim dopadła mnie zwykła poranna bezsenność.

Popęlniam błąd i zaczynam liczyć, ile dokładnie godzin snu podarowano mi tej nocy, i daję za wygraną przy pięciu godzinach i trzech kwadransach. Tkwiąc w tym podziemiu pomiędzy głębokim snem a byciem w pełni rozbudzoną, uświadamiam sobie klucie w brzuchu, przypomnienie niepokoju, który noszę w swym ciele, nie w pełni świadoma jego źródła. Zaczynam analizować po kolei zwyczajowe scenariusze, które zakradają się o tej porze. Nie spóźnia mi się okres. Wiem, gdzie zaparkowałam samochód. Dobrze schowałam papierosy. Czają się wczorajsze majtki, ale tę akurat porażkę udało mi się już zaksięgować w najgłębszych zakamarkach podświadomości. Niektóre sprawy są tak szczerze paskudne, że ich analiza nie przynosi niczego dobrego.

Wtedy przypomina mi się to, o czym zapomniałam. Sam musi dziś oddać projekt zatytułowany „Sześciu wielkich światowych artystów”. Trzech przebrzmiałych, trzech modnych. Jednym susem wyskakuję z łóżka, zaskakując rozleniwione mięśnie niecodziennym zdecydowaniem.

Nie jest dobrze, ale można temu zaradzić. Nie chcąc przeszkadzać Tomowi, udaję się pospiesznie do pokoju gościnnego i narzucam na siebie szlafrok, który wisi na drzwiach. To ten sam, który włożyłam, gdy się poznaliśmy - szlafrok przypominający włochaty dywan, długi i beznadziejny do prania. Mój mąż dostał go od matki, kiedy był nastolatkiem.

Dlatego też jego obecność poprzedza nawet moje pojawienie się na scenie i teraz jest używany tylko w czasach wielkiej niepewności. Kiedyś, gdy myślałam o Tomie z okresu przede mną, czułam zazdrość o wszystkie te rzeczy, których

nie dane nam było dzielić. Teraz się nimi delektuję. Ponieważ nadchodzi taki moment w małżeństwie, kiedy nieznane staje się bardziej interesujące niż to znane. Próbuję przekonać Toma, by zaznajomił mnie z wyczynami seksualnymi z moimi poprzedniczkami, ale on jest zbyt honorowy, by zaspokoić mą lubieżną ciekawość.

Na polach tego szlafroka znajdują się plamy oraz szorstkie fragmenty i wyobrażam sobie, że to pozostałości po ukradkowych młodzieńczych potyczkach, okruchy niezidentyfikowanego jedzenia tkwiące głęboko w kosmatym włosiu i niewytłumaczalne wytarte skrawki. To lepszy zapis nastoletnich lat Toma niż niezliczone slajdy i zamazane zdjęcia robione przez jego matkę.

Szlafrok pochodzi z czasów tkanin Laury Ashley i nagrań Status Quo. Wyczuwam coś w kieszeni i częściowo spodziewam się, że to pognieciona i poplamiona kartka ze zdjęciem ulubionej piersiastej modelki z „Playboya” z 1978 roku. Jestem jednak w wielkim błędzie. To kartka wydartą ze starego wydania pani Beeton. Przebiegam wzrokiem po kilku zdaniach: Zawsze sądziłam, że nie ma bardziej owocnego źródła niezadowolenia w rodzinie niż kiepska kuchnia i brak dbałości o porządek ze strony żony. Mężczyźni są jednak teraz tak dobrze obsługiwani poza domem - w swych klubach, świetnie funkcjonujących karczmach i jadłodajniach - że aby rywalizować z atrakcyjnością tych miejsc, pani domu musi być gruntownie zaznajomiona z teorią i praktyką sztuki gotowania, jak również doskonale znać wszelkie inne sposoby czynienia i utrzymywania domu wygodnym.

Pani Beeton ponosi odpowiedzialność za wiele spraw - myślę, markotnie upychając kartkę z powrotem głęboko do kieszeni. Nie rozumiem, jak mogła się tutaj znaleźć i próbuję sobie przypomnieć, kiedy ten szlafrok po raz ostatni znajdował się w gotowości bojowej. Jako ostatnia w tym

pokoju spała moja teściowa. Notuję sobie w pamięci, by później przemyśleć to odkrycie, zastanawiając się, czy Petra nie próbuje przypadkiem przesłać mi jakichś podprogowych informacji, ale akurat w tej chwili mam inne priorytety. Nie mija kilka minut, a zapominam o zawartości kieszeni szlafroka.

Przed drzwiami pokoju gościnnego wpadam na Freda, potykającego się w przejściu i trącego oczy. Na tym etapie można go namówić, by wrócił do łóżka. Ale wyczuwa poziom mojego stresu i dostrzega, że jestem opatulona czymś nieznanym i długim aż do ziemi, więc protestuje i oznajmia, że chce zejść na dół. W kuchni dokonuję pospiesznej oceny sytuacji, szukając jednocześnie pędzli i farbek, z mocą otwierając i zamykając szafki oraz mrużąc pod nosem:

- Degas przebrzmiał, Goya przebrzmiał, Constable przebrzmiał.

Fred powtarza za mną każdą frazę, z podekscytowaniem zdając sobie sprawę z tego, że ta nieoczekiwana zmiana porannej rutyny może się okazać dla niego korzystna. Siedzam go na taborecie za stołem kreślarskim Toma i wręczam nożyczki, słoiczki z farbą oraz inne zakazane skarby. Jak mus, to mus. Jak mus, to mus, powtarzam w myślach. Wiele razy, nawet w domach, gdzie telewizję wolno oglądać tylko w weekendy, matki uciekają się do sprytnych podstępów, by odzyskać tych kilka chwil, które określą sukces bądź porażkę nie jedynie reszty tego dnia, lecz nawet reszty ich życia, ponieważ czasami drobne sprawy zdają się mieć niezwykle echo. To efekt motyla.

Okazuje się, że hałasuję bardziej, niż mi się wydaje, gdyż w samym środku tego całego zamieszania w kuchni pojawia się Tom.

- Muszę zrobić Van Gogha, Jacksona Pollocka i Matisse'a  
- mówię, wymachując mu przed twarzą bibułą. - Wszystkich przed ósmą.

- Co ty wyprawiasz, Lucy? Wracajcie do łóżek, oboje. Na pewno śnił ci się jakiś koszmar o malarstwie abstrakcyjnym.

- Wtedy dostrzega, że Fred operuje wielkimi nożyczkami.  
- Dlaczego jego także obudziłaś?

- Oczywiście, że go nie obudziłam. Znacznie łatwiej by mi było zrobić to wszystko samej. Fred tnie bibułę do kolażu Matisse'a - wyjaśniam.

- Tobie się to może wydawać logiczne, ale z mojego punktu widzenia nie sposób tej wypowiedzi uznać za racjonalne wyjaśnienie tego wszystkiego.

- Sam ma projekt z plastyki. Zrobił już połowę, ale na szczęście przypomniałam sobie, że resztę ma oddać dzisiaj. A jeśli Sam tego nie skończy, to ja zostanę obarczona odpowiedzialnością.

- Ale przecież Sam tego nie kończy, ty to robisz za niego.

- Tak jest szybciej i mniej bałaganu. Gdyby on to robił, nigdy by nie skończył. Najważniejsze, że jeśli tego nie odda, będzie to znaczyć, że poniosłam porażkę jako matka.

- Lucy, to absurdalne; nikt nie ocenia cię na takiej podstawie.

Odkładam farbki i biorę głęboki oddech.

- I właśnie tutaj się mylisz. Jeśli Samowi coś nie wychodzi, zarzuty stawiane są mnie. Taka jest po prostu natura macierzyństwa w nowym milenium - oświadczam, wymachując pędzlem dla podkreślenia swych słów.

- Odłóż to, Lucy. Popatrz, co zrobiłaś z moją pizamą - mówi Tom.

Cała jest pokryta maleńkimi plamkami czerwonej farby. Fred zakrywa usta dłonią i chichocze w taki sposób, w jaki

robią to dzieci, kiedy wyczuwają, że rodzic traci panowanie nad sobą.

- Są ludzie, w większości matki, ale także kilku ojców, którzy pojawiają się dzisiaj z projektem swego dziecka pod tytułem „Światowi artyści” na płycie, przekształconym w prezentację w PowerPoincie.

- Ale to nie jest przecież projekt rodziców - mówi Tom zaskoczony. - A poza tym i tak byś nie umiała tego zrobić. Ja zresztą też nie.

- Dokładnie. A więc najmniejsza rzecz, jaką mogę zrobić, absolutne minimum, to zapewnienie Samowi skończonego projektu.

- Zaraz będziemy mieli pozory rzeczywistości, ponieważ ten tam obetnie sobie ucho - stwierdza mój mąż, wskazując na Freda, który właśnie oddaje się niebezpiecznemu cięciu powietrza. Wtedy Tom dostrzega plamy od farby na swym stole i na ścianie. - Jak to się stało? Jak to możliwe, że robicie tyle bałaganu?

- Próbowaliśmy poradzić sobie z Jacksonem Pollockiem - wyjaśniam. - Prawdę mówiąc, wygląda to całkiem nieźle. - Prezentuję mu nasze wcześniejsze dzieło. - Mogło być gorzej, gdyby Sam wybrał Damiena Hirsta.

- Marynowanie złotych rybek narobiłoby mniej bałaganu niż to. Lucy, gdybyś zapisywała sobie, co trzeba zrobić, wszystko byłoby dużo prostsze.

- Nie zdajesz sobie sprawy, o ilu rzeczach pamiętam w ciągu dnia; skupiasz się tylko na tym, o czym zapominam.

- Nie żyjemy w stanie obłączenia, gdzie trudno jest cokolwiek planować, ponieważ w każdej chwili można znaleźć się pod ostrzałem, bez zapasów wody i jedzenia.

- Ty nie, ale ja tak - odpowiadam. - Jestem obłączona. Tak właśnie się czuję.

- Pewnie robisz to samo każdego kolejnego dnia? Wiem, że to trochę kierat, ale czy nie jest to po prostu kwestia powtarzania każdego ranka tej samej formuły?

- Nie wyobrażasz sobie, ile rzeczy trzeba zrobić każdego dnia, by się przekonać, że drepcze się w miejscu. Wiem, że nie osiągnie się wszystkiego i że w każdej chwili to wszystko może runąć niczym domek z kart.

- Niby w jaki sposób? - pyta Tom nieufnie.

- Wybuchają bójki, różne rzeczy się rozlewają, pojawiają się niewytłumaczalne choroby, stłuczenia, straty, ewentualności, na które człowiek nigdy nie jest w stanie się przygotować - wyjaśniam. - Rzeczy, które kosztują cię miesiące. Jak na przykład ospa. Pamiętasz? Przez wiele tygodni nie mogłam opuszczać domu. Co gorsza, pewna część mnie cieszy się z nieoczekiwanego, ponieważ stanowi to jakąś odmianę i dodaje memu życiu nieco ekscytacji.

Mój mąż wygląda na zdumionego.

- Chcesz powiedzieć, że element utajonego chaosu jest dla ciebie pociągający? - pyta, z całych sił starając się zrozumieć to, co mówię. - W takim razie nie ma nadziei.

Obrzuca mnie tym zabawnym spojrzeniem z ukosa, a usta ma lekko uchylone, jakby nieco wysiłku kosztowało go to, by nie powiedzieć niczego więcej. To nie jest coś, co przychodzi naturalnie człowiekowi, który lubi mieć ostatnie słowo.

Jakby nigdy nic, do kuchni wchodzi Sam. Jest już ubrany w szkolny mundurek i ma ze sobą piłeczkę do krykieta, którą raz po raz wyrzuca w powietrze, a potem łapie. Kieszenie ma wypchane kartami futbolowymi. Robię mu tost - z dżemem, bez masła - i mówię co najmniej pięć razy, by przestał bawić się piłeczką podczas jedzenia. Następnie zastanawiam się, czy nie powinnam go zachęcać do wielozadaniowości w nadziei, że gdy dorośnie, będzie takim mężczyzną, który potrafi jednocześnie gotować brokuły, zmieniać pieluchę i rozmawiać

o swojej pracy. Zjadłszy dwa tosty, posłusznie pisze krótkie teksty, które mają towarzyszyć każdemu dziełu sztuki. Czytam ten, który mam najbliżej:

„Vincent był człowiekiem z wielką pasją. Gdyby interesował się krykietem, pewnie nie obciąłby sobie ucha. Matisse był bez wątpienia fanem krykieta”.

Postanawiam, że pojedziemy do szkoły samochodem, tak by malunki mogły wyschnąć na nawiewach, i ponieważ dochodzę do wniosku, że po ciężkim poranku zamknięcie w przytulnej przestrzeni podziała na mnie kojąco.

- Czy ukończenie tej pracy można nazwać małym krokiem dla człowieka, ale wielkim krokiem dla ludzkości, mamu? - pyta Sam z tylnego siedzenia.

- Czy Sam mówi o majorze Tomie? - chce wiedzieć Joe.

- Coś w tym rodzaju - udzielam jednej odpowiedzi na obydwa pytania.

- Dlaczego zawsze mówisz: „Coś w tym rodzaju”? Czy coś nie jest albo dobre, albo złe? - pyta Sam.

- Życie jest głównie szare - odpowiadam mu. - Niewiele chwil jest albo czarnych, albo białych.

- Chyba że jesteś zebra - dorzuca Joe. Milknie, ale ja wiem, że chce powiedzieć coś jeszcze. - Może major Tom znalazł się na Księżycu i było tak pięknie, że tam został.

Zauważam, że ulice są bardzo spokojne. Człowiek zapuszkowany w samochodzie z intensywnie pracującymi nawiewami łatwo może poczuć się odcięty od świata. Kiedy zatrzymuję się na następnym skrzyżowaniu, widzę mnóstwo rodziców, którzy odprowadzają swoje dzieci do szkoły z nienaturalnie radosnymi minami, z założenia symbolizującymi życzliwość i kolektywizm. Przypominam sobie nagle, że mamy dzisiaj Dzień Pieszej Drogi do Szkoły. Będę się teraz paskudnie kojarzyła z otyłością dziecięcą, globalnym



ociepleniem i zatłoczonymi drogami. Zmniejszam ogrzewanie i wyjaśniam dzieciom zaistniałą sytuację.

- Jadąc do szkoły samochodem, uwalniamy do atmosfery szkodliwe związki chemiczne. Dzisiaj mnóstwo dzieci w Londynie idzie do szkoły pieszo, by pokazać, że troszczą się o to. Ja zapomniałam, poza tym jesteście spóźnieni, dlatego jedziemy samochodem. Ale jeśli wejdziecie do bagażnika i będziecie leżeć na podłodze, dopóki nie powiem wam, byście wyszli, może jakoś nam się upiecze.

Zakładam należącą do Joego czapkę Spidermana i kurczę się za deską rozdzielczą, by zatrzymać się w odległości dwustu metrów od szkoły. Następnie siedzimy tam, cicho czekając na lukę w chmarze rodziców zdążających chodnikiem.

Dostrzegam Mamę Alfa, maszerującą w ciężkich traperach i z plecakiem. Mieszka wiele kilometrów stąd. To niemożliwe, by doszła tutaj na piechotę, ale na to właśnie wskazuje malująca się na jej twarzy gorliwość. Dokładnie w chwili, gdy ona zrównuje się z samochodem, Fred wstaje i zaczyna walić w szybę.

- Pomocy, pomocy! - woła.

Próbuję go odciągnąć, ale on małą rączką wyciera zaparowaną szybę. Pojawia się nos przyciśnięty do szyby, jeden z tych zadartych, lekko wyniosłych, na których nigdy nie pojawiają się piegi, gdyż jest zawsze chroniony przed słońcem kapeluszami z szerokim rondem i filtrem numer czterdzieści. Następnie para oczu, szeroko otwartych i mrugających, próbuje się skupić na drobnej twarzyczce w środku. Robi to upiorne wrażenie i Fred zaczyna głośniej płakać. To Mama Alfa.

- Ktoś zostawił dziecko zamknięte w tym pojeździe! - woła głośno. Widać, że to kobieta, która lubi obejmować

kontrolę w nagłych wypadkach. - Powiadomię o tym szkołę. Zostaną tu państwo i spróbują je uspokoić?

Słyszę, jak trapezy Mamy Alfa głośno tupią po chodniku, aż w końcu cichną. Zamykam oczy, ćwicząc techniki głębokiego oddychania, dzięki któremu mam nadzieję zachować szyby w stanie zaparowania. Wtedy od strony ulicy słyszę inny głos:

- Popatrzcie na ten bałagan na przednim siedzeniu: ogryzki od jabłek, rozpuszczone dropsy czekoladowe, ubrania, plastikowe talerze; to niewiarygodne. I co na desce rozdzielczej robią te wszystkie dziwaczne rysunki?

To Niezła Mamuśka Nr 1. Do rozmowy włącza się drugi głos, należący do mężczyzny i w innych okolicznościach nadzwyczaj chętnie słyszany.

- Poznają niektóre z tych rzeczy. Czy to nie samochód Lucy? - pyta Seksowny Udomowiony Tata.

Wraca Mama Alfa w towarzystwie dyrektorki szkoły.

- Pani Sweeney, jest tam pani?

Otwieram drzwi samochodu i wychodzę z niego w teatralny sposób.

- Ćwiczyliśmy instalację Tracey Emin do projektu „Światowi artyści”. Nosi tytuł „Zabałaganione auto” - oświadczam z podekscytowaniem.

Dyrektorka z radością klaszcze w dłonie.

- Jakież to pomysłowe. Musimy się umówić na zdjęcia, by cała szkoła mogła to zobaczyć. Dobra robota, pani Sweeney. Naprawdę pełne inwencji twórczej.

Bierze za rękę dwoje starszych dzieci i prowadzi je w stronę szkoły. Po chwili Sam wraca do mnie biegiem.

- Mamo, przypomnij mi, czego nie mogę mówić - szepcze.

- Nie mów pani, że to ja namalowałam połowę twoich prac, i nie mów nikomu, że samochód zawsze tak wygląda.

Nie proszę cię, żebyś kłamał, proszę cię jedynie o to, byś był oszczędny w mówieniu prawdy.

- Czy to szara sytuacja? - pyta.

- Właśnie tak.

Kiedy stoję na chodniku, trzymając się kaptura kurtki Freda, zamykam na moment oczy w nadziei na chwilę wytchnienia. Nie ma jeszcze nawet dziewiątej. Otwieram oczy i stwierdzam, że mój najmłodszy syn ma spodnie opuszczone do kostek i siusia właśnie na koło.

- Moje koło - mówi dumnie, a ja pakuję go z powrotem do peugeot.

Podnoszę wzrok i widzę Seksownego Udomowionego Tatę siedzącego na rowerze. Odchyła się do tyłu, nogi ma szeroko rozstawione i lekko zgięte w kolanach, by utrzymać stabilność na chodniku. Ze złamanej ręki zwisa mu kask. Ma na sobie dzinsy i wygląda satysfakcjonująco niechlujnie, a spod nieco za malej kurtki o prostym kroju wystaje biały T - shirt. Chętnie bym powiedziała, że jest nieświadomy efektu ogólnego, ale wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z odrobiną próżności. Seksowny Udomowiony Tata zawsze pamięta, by przed wejściem do szkoły zdjąć kask i przeczesać palcami włosy.

Dostrzegam zarys brzucha w miejscu, gdzie kurtka się nie dopina, a T - shirt mu się roluje.

- To kurtka żony - mówi przeproszającym tonem, kiedy widzi, że mu się przypatruję. Obciąga kurtkę. Pomimo tego wszystkiego i pomimo jego północnolondyńskiej obsesji na punkcie fasoli borlotti i jazdy na rowerze jako suplementów religii, jest w nim coś nieodparcie surowego i nieprzyzwoitego. - Dobra jesteś w improwizacji - stwierdza, przerzucając prawą nogę przez ramę i schodząc z roweru.

Nie mam pewności, czy to komplement, czy też zarzut, a wiem, że powinnam natychmiast jechać do domu, ponieważ

nawet ta mała uwaga będzie rozbrzmiewać dłużej niż powinna, dopóki dzięki niekończącym się powtórkom nadane zostanie jej znaczenie, którego autor nigdy nie miał na myśli. I wtedy uświadamiam sobie, że moja teściowa nieco się myli. Mniej wyobraźni angażujemy w miłość do męża niż w opracowywanie szczegółów nieodwzajemnionej fantazji. Próbując raczej zakończyć niż zacząć rozmowę, odpowiadam tonem, który ma być suchy i lakoniczny:

- Lata praktyki, Robercie.

To jeden z tych wczesnojesiennych poranków, kiedy jest na tyle zimno, że człowiek widzi własny oddech, a on teraz znajduje się tak blisko, że kiedy się odzywam, nasze oddechy splatają się ze sobą. Nie mam na twarzy ani odrobiny makijażu i czuję, jak z zimna moje policzki robią się czerwone.

- Przepraszam, że wczoraj musiałem tak szybko odjechać - mówi Seksowny Udomowiony Tata. - W pracy przechodzę coś w rodzaju kryzysu. Jakoś nie mogę znaleźć właściwej struktury dla tej książki, a Amerykanie chcą ją wypromować przed przyszłorocznym festiwalem filmowym w Sundance.

Mogłoby to brzmieć tak, jakby się popisował, ale tak wcale nie jest. On stara się nawiązać rozmowę.

- W tej chwili piszę o westernach zapatowskich - mówi.

- To te, których akcja toczyła się w czasie rewolucji meksykańskiej, jak na przykład Garść dynamitu, ale choć były zainspirowane historią Meksyku, niewiele się w nich pojawiało realiów Ameryki Łacińskiej...

Kiwam głową ze zrozumieniem.

Wykorzystuję jednak tę niezwykłą jak na niego wylewność do dokonania gruntownej oceny jego prawego przedramienia, które nagle zostało uwolnione od kurtki żony, kiedy Seksowny Udomowiony Tata wymachuje ręką, by podkreślić swe słowa.

Według mnie żadna inna część męskiego ciała nie przedstawia sobą w tak doskonały sposób obietnicy tego, co znajduje się głębiej, niż właśnie przedramię. Właściwie posunęłabym się do stwierdzenia, że jeśli zobaczy się przedramię mężczyzny, można całkiem precyzyjnie określić, jak wygląda reszta jego ciała, on zaś nie ma pojęcia, ile można wywnioskować z choćby najbardziej przelotnego spojrzenia. Można ocenić umięśnienie, gładkość skóry, długość kości, ile czasu spędza na siłowni, czy ostatnio był za granicą. Przedramię Seksownego Udomowionego Taty jest niemal doskonałe: średniej wielkości, silne, lecz nie masywne, ma dość włosów, by emanować męskością, ale na tyle jasnych i cienkich, by raczej gwarantować ich brak na plecach. Uśmiecham się do niego.

- Co o tym myślisz? - pyta.

- Obiecujące - mówię zdecydowanie. - Uwielbiam Sergia Leone.

- To dobrze. - Obciaga z powrotem rękaw kurtki. - Tyle że nie o to cię pytałem. Przeskoczyłem na inny temat, kiedy zobaczyłem, że twój wzrok zrobił się szklany. Nic nie szkodzi. Bez przerwy tak się dzieje, chyba że zacznym mówić o Benicio Del Toro, wtedy kobiety na ogół słuchają z uwagą. Pytałem, czy masz zamiar ubiegać się o stanowisko przewodniczącej trójki klasowej. Pomogę ci, ale nie mogę osobiście kandydować, bo goni mnie termin oddania książki. Chcę coś zrobić, by pomóc szkole. - Przerywa. - Wyglądasz na zaskoczoną.

Nie wiem, czy zdziwiłabym się bardziej, gdyby poprosił mnie o polizanie jego przedramienia.

- Cóż, oczywiście, że się nad tym zastanawiam; mój najmłodszy syn właśnie zaczął chodzić do żłobka i pora byłaby odpowiednia, by zająć się czymś takim. Ale nie chcę

wyglądać na taką, co to rozpycha się łokciami. - Te słowa brzmią tak wiarygodnie, że niemal sama w nie wierzę.

- Będę na ciebie głosował - mówi przyjaźnie. - Isobel także. Mówiła, że byłoby naprawdę zabawnie, gdybyś wygrała.

- Och, naprawdę? - pytam, nie ufając motywom Niezłej Mamuśki Nr 1.

- Opowiedziałem mojej żonie o tym, co się stało wczoraj. No wiesz, o tej, eee, scence z bielizną. Uznała to za bardzo zabawne. Sympatyczne. Ja też.

Zastanawiam się, w jakim kontekście było to omawiane, jakich przymiotników użył, czy powiedział jej, że siedzieliśmy tak blisko siebie, iż czułam gorąco jego uda. Po tym, jak ugotował obiad, czy też kiedy byli w łóżku? Co mieli na sobie w łóżku?

- ...piżamę - mówi. - Opowiedziałem jej także o piżamie.

Wiem, że powinnam się cieszyć, iż podzielił się tym z żoną, bo to zapowiedź przyjaźni. Wyobrażam sobie, jak nasza czwórka spotyka się na kolacji, rodzinne pikniki w Hampstead Heath, nawet wakacje za granicą. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że nie chcę, by ktoś z zewnątrz zakłócał moje fantazje, gdyż mogłoby to osłabić ich eskapistyczny potencjał.

Wieczorem leżę na jednym końcu sofy, przyglądając się, jak Tom na drugim końcu czyta zeszłotygodniową „Gazetę Architekta”. Po niemal rocznych opóźnieniach wreszcie mają się zacząć prace budowlane jego biblioteki w Mediolanie i mój mąż jest w bardzo dobrym nastroju. Nasze stopy stykają się ze sobą. Godzina duchów minęła. Dzieci znajdują się w łóżkach, a zamiast kolacji skonsumowaliśmy butelkę wina.

Za dwa tygodnie Tom wyjeżdża do Mediolanu. Mówi mi o tym przepaszającym tonem i usiłuje wykazać się świadomością ciężaru, jaki przez to spadnie na mnie. Wiem jednak, że jest podekscytowany, ponieważ dzisiejszego

wieczoru nie nastąpiło poszukiwanie w lodówce produktów, które zdążyły już stracić datę przydatności do spożycia. Żadnego uważnego śledzenia wyciągów z konta, szukania dowodów na mandaty i inne występki. Żadnych pytań o nowe rysy na boku samochodu.

- Zostawię ci budzik, żebyś się rano nie spóźniała. W szufladzie w komodzie zostawię sto funtów w gotówce, na wypadek, gdybyś zgubiła kartę kredytową. Po powrocie będę się zajmował dziećmi. Sam sobie kupię skarpetki na lotnisku.

Im mniej mówię, tym bardziej ekstrawaganckie stają się jego propozycje, milczę więc.

- Już nigdy więcej nie pojedziemy na pole kempingowe. Następnym razem wynajmiemy dom. Już nigdy nie będziemy mieć tak koszmarnych wakacji. I może nawet będziemy mogli sobie pozwolić na sprzątaczkę dwa razy w tygodniu.

W odpowiedzi czynię wiele pochopnych obietnic:

- Nie będę kłamać na temat różnych drobiazgów. Będę przygotowywać szkolne mundurki wieczorem. Zanim pojedę na zakupy, zajrzę do lodówki.

Wtedy dzwoni telefon. Po krótkich negocjacjach Tom podnosi słuchawkę po piątym sygnale, ja zaś rewanżuję się otwarciem następnej butelki wina.

- Do ciebie - mówi. - Jakiś tata ze szkoły. - Unosi brew i trzyma słuchawkę tak, że nie mogę do niej dosięgnąć.

- Powiedz mu, że jestem zajęta - szepczę, ale Tom wciska mi słuchawkę w dłoń.

- Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam - mówi Seksowny Udomowiony Tata. - Jesteście w trakcie jedzenia?

Klepię się po policzkach w desperackiej próbie otrzeźwienia.

- Nie, nie, właśnie skończyliśmy kolację - odpowiadam bełkotliwie. - Potrawkę z warzyw, którą mój mąż upichcił naprędce. Pyszna.

Tom przygląda mi się ze zdumieniem.

- Dlaczego kłamiesz? Powiedz mu, że wpisałaś niewłaściwy miesiąc do zamówienia z Ocado i w lodówce mamy tylko jedną cebulę i słoik marmolady - mruczy, ruszając chwiejnie w moim kierunku z błyskiem pożądania w oku. - Uwielbiam, kiedy próbujesz kręcić; jesteś w tym taka kiepska.

Nie teraz, nie teraz - myślę, rozważając złożony dylemat: zakończyć trwającą dwa miesiące seksualną posuchę czy też ryzykować obrazę Seksownego Udomowionego Taty na samym początku naszej przyjaźni. Odpycham Toma stopą.

- Chodzi o to - kontynuuje nieświadomy niczego Seksowny Udomowiony Tata - że podałem twoje nazwisko jako kandydatki na przewodniczącą trójki klasowej. - Natychmiast ulatniają się myśli o seksie z którymkolwiek mężczyzną. - Ale zdążyła się już pojawić konkurentka i teraz obdzwania innych rodziców, by ostrzec ich przed tobą. Prowadzi coś w rodzaju kampanii oszczerstw. - Z całych sił staram się przetrwać tę wiadomość. - Zasadniczo twierdzi, że nie masz żadnego doświadczenia w zarządzaniu czymkolwiek i że twoje egzotyczne zwyczaje domowe nie stanowią właściwej rekomendacji.

- To Niezła Mamuśka Nr 1, prawda? Wiedziałam, że nie można jej ufać - oświadczam. - Co ona wie o moich zwyczajach domowych?

Tom właśnie zdejmuje koszulę i pokazuje na sofę.

- Posłuchaj, możemy porozmawiać o tym innym razem  
- mówi Seksowny Udomowiony Tata, wyraźnie zaniepokojony moim tonem. - A tak w ogóle to nie Isobel. To ta, której dzieci uczą się mandaryńskiego.

Z mojego gardła wydobywa się jęk.

- Mama Alfa. Dość tego, koniec rozejmu! - wrzeszczę do słuchawki.



- Hej, nie strzelaj do posłańca - mówi wkurzony Seksowny Udomowiony Tata. - Zadzwoń, by ci zaproponować, że zostanę menedżerem twojej kampanii.

Połączenie zostaje przerwane i ponownie zastanawiam się nad tym, co zrobić. Wtedy rozbrzmiewa dzwonek przy drzwiach. To goniec ze zrobionymi przez Internet zakupami. Wygląda na nieco zatroskanego.

- Gdzie mamy zostawić tę całą cebulę? - pyta Toma.

- Myśleliśmy, że dostarczamy to do włoskiej restauracji.

Wnosi trzy duże worki do kuchni. Mój mąż zaczyna je przeglądać.

- Wytłumacz mi, jak to jest możliwe - mówi skonsternowany.

- Myślałam, że zamawiam na sztuki, nie na kilogramy.

- Ale dlaczego chciałaś zamówić trzydzieści czerwonych cebul? Idę do łóżka.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Matka intrygi jest nie większa od skrzydła muchy

Zbliża się zima, a wiem to dlatego, że rozpoczęła się coroczna wojna pozycyjna o ogrzewanie. Podkreścam termostat, kiedy Tom wychodzi z domu, a potem rzadko pamiętam o tym, by przykręcić go przed jego powrotem. Ale nawet kiedy udaje mi się nie zapomnieć, mąż odkrywa mój podstęp, kładąc dłoń na kaloryferze, który wisi na korytarzu niedaleko drzwi.

- Mieliśmy umowę. A ciepło kaloryfera jest wprost proporcjonalne do skali oszustwa - mówi pewnego piątkowego wieczoru pod koniec października.

Na dole w kuchni Emma otworzyła właśnie drugą butelkę wina i z braku czegoś innego niechętnie skubie chipsy Little Bear. Dzieci śpią już w swoich łóżkach.

- Wiem, że mówiliśmy o listopadzie, ale pogoda nie zależy od naszej woli. Zapowiada się, że to będzie najostrzejsza zima, jaką zanotowano, zimniejsza nawet od tej zimy stulecia w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim, i uważam, że będziemy musieli zawiesić działania wojenne aż do wiosny - odpowiadam, używając języka, który wiem, że zrozumie.

Rozlega się pukanie do drzwi. Kiedy Tom idzie korytarzem, by je otworzyć, szybko przesuwam termostat o kilka kresek. Odwraca się, ja zaś zastygam w bezruchu z dłonią w powietrzu nieco nad tarczą. Gramy w dorosłą wersję „Baba Jaga patrzy”.

- No dobrze, Lucy, do wiosny to ty zarządzasz ogrzewaniem - ustępuje mój mąż. Myślę, że z ulgą pozbył się tej odpowiedzialności, choć nigdy by się do tego nie przyznał.

W każdym małżeństwie istnieją tajemnice. Oszustwa na dużą skalę. Ale także te mniejsze, bardziej niewinne. Chociaż jesteśmy małżeństwem od prawie dziesięciu lat, Tom nadal

nie odkrył następujących faktów: 1) mam pięć źródeł długów na kartach kredytowych, 2) samochód skradziono krótko po tym, jak zgubiłam zapasowe kluczyki, 3) nie przyznałam się do niewierności w drugim roku naszego związku. To ostatnie można zakwalifikować jako wielkie, tyle że wiem, iż na nim ciąży zarzut podobnej wagi.

Otwiera drzwi i z autentyczną radością wita stojącą w progu Cathy.

- Cathy, cóż za przemiała niespodzianka - mówi niewymuszenie, tak jakby jej przybycie było zupełnie niespodziewane.

Podczas gdy niektórym mężczyznom nie podobają się przyjaciółki żon, Tom od zawsze cieszy się towarzystwem moich, wskutek czego one odwzajemniają mu się nieprzemyślanym przypochebieniem się. Cathy całuje go entuzjastycznie i przechodzi przez wąski korytarz, by zejść na dół, ściskając mnie po drodze. Ona znajduje się w ciągłym ruchu. Jest jedną z tych osób, które zajmują dużo przestrzeni, choć są drobne, jakby ludzi dookoła wciągała jakaś siła odśrodkowa. Przychodzi z bagażem: torebkami, zakupami i laptopem. Tom natychmiast daje się wciągnąć w cień aerodynamiczny i udaje się za nią na dół.

- Boże, ale tu gorąco! - woła do mnie Cathy.

Kiedy schodzę na dół, stwierdzam, że ona zdążyła już włączyć komputer, odłączyć z gniazdka nasz telefon i teraz siedzi, stukając w klawiaturę, nie zdjęwszy nawet płaszcza.

- Masz jakiś kryzys w pracy? - pyta Tom.

- Nie, nie, nie - odpowiada Cathy z podekscytowaniem. - Muszę wam wszystkim pokazać zdjęcie następnego faceta z Internetu, z którym się umówiłam.

Emma leży leniwie na sofie.

- Przyniesiesz go tutaj, Cathy, żeby nie musiała wstawać?

- Jasne - odpowiada tamta. - Na tym właśnie polega piękno Internetu: faceci dostarczani na twoją własną wygodną sofę.

- Naprawdę nie mogę pojąć, dlaczego musisz szukać sobie mężczyzn przez sieć. Nie możesz ich poznawać normalnymi kanałami? - pyta Tom, otwierając lodówkę.

- Mężczyźni, których poznaję normalnymi kanałami, są nieodmiennie pełni wad - stwierdza Cathy.

- Cóż, w moim biurze jest wielu wolnych mężczyzn. Sprawiają wrażenie normalnych.

- Może mi w takim razie ich przedstawiś? Uprawiam obecnie randkowanie mnogie.

Na ekranie pojawia się całe mnóstwo twarzy wielkości znaczków pocztowych. Cathy pokazuje na jedną z nich.

- Co myślicie? - pyta. - To była trudna decyzja. Jest tak duży wybór.

- Ciężko powiedzieć. To znaczy ma wszystkie kluczowe cechy we właściwych miejscach, co zawsze stanowi dobry początek - mówię, patrząc spod przymrużonych powiek na ekran.

Cathy zaczyna więc powiększać zdjęcie, aż klatka po klatce twarz mężczyzny nabiera kształtu i przyglądamy się ładnie wykrojonemu, aczkolwiek nieco dużemu nosowi, krótkim, niemal nastroszonym brązowym włosom i wyzywającemu spojrzeniu piwnych oczu.

Kiedy jego twarz jest już naturalnych rozmiarów, siadamy w rzędzie i w milczeniu wpatrujemy się w nieznanego. Na czole i wokół oczu widać kilka zmarszczek.

- Absolutnie twój typ - stwierdza Emma.

- Cóż, z całą pewnością można go nazwać nieokiełznanym - mówię po długim milczeniu.

- Z czego to wnioskujeś? - woła Tom z wnętrza lodówki.

- Po prostu jest coś w tych zmarszczkach na jego czole. Nie pochodzą od zbyt częstego śmiechu ani zamartwiania się; to są zmarszczki, które się pojawiają, kiedy zbyt często budzisz się i nie pamiętasz, gdzie jesteś ani z kim.

Tom wydaje z siebie prychnięcie i kontynuuje przekopywanie się przez lodówkę.

- Jeśli chcesz wiedzieć, Tom, to Lucy ogólnie nie myli się w takich kwestiach - oświadcza Cathy. - Miała rację co do mojego męża na długo przed pojawieniem się u niego zmarszczek winy. No dobra, nieważne. Ale czy nie jest boski? To prawnik, trzydzieści siedem lat, mieszka w Earl's Court, czegoż więcej można pragnąć? Jediną kwestią sporną do tej pory pozostaje to, że on uważa, iż powinnam obciąć włosy na „zgrabnego małego pazia”.

- To takie rozczarowujące - mówię. - Nie wygląda na takiego.

- A jak wygląda facet, który lubi kobiety ze zgrabnymi małymi paziami? - pyta Tom z autentyczną ciekawością.

- No cóż, ogólnie mówiąc, nigdy nie porzucił lat osiemdziesiątych. Najpewniej nosi spodnie w barwach podstawowych i półbuty z dziurkami, nawet podczas wakacji nad morzem - wyjaśnia Emma. - Zimą zakłada te grube swetry w norweskie wzory. Ma sensowną pracę, solidne zarobki, a w weekend lubi sobie pograć w golfa. Nigdy nie wciągnął ani ścieżki koki. Czyta „Telegraph”. I nie lubi świntuszyć w rozmowach łóżkowych, przynajmniej nie z kobietami.

- Ale to takie ogromne uogólnienie - stwierdza Tom.

- Wcale nie, to truizm - protestuje Emma. - Czy chce, żebyś sprawiła sobie labradora?

Tom podchodzi do nas i obrzuca spojrzeniem ekran.

- Już raczej wściekłego psa - mówi enigmatycznie. - Napisz do niego i zapytaj, czy mówi mu coś nazwisko Pomarańczowy, ponieważ drugą kwestią sporną jest to, że

wcale tak nie wygląda. To nie jest prawnik z zachodniego Londynu, to aktor Tim Roth i mieszka w L.A. Facet, z którym chcesz się umówić, to oszust.

Cathy milczy, patrząc ponownie na zdjęcie, po czym mówi:

- Umawiam się z gwiazdą filmową. Jestem przygotowana na przeprowadzkę do Hollywood, jeśli to wypali.

- A co ze szkołami? - pytam.

- Będziemy mieszkać w Palo Alto, rzucę pracę i zajmę się domowym nauczaniem.

- Ale to byłby koszmar - stwierdzam. - Zwłaszcza, gdybyś się zdecydowała na kolejne dziecko.

- Myślę, że musimy nieco przystopować - mówi Tom.

- Po pierwsze, Tim Roth jest żonaty.

- Nie pozwól, by to cię powstrzymywało - mówi Emma.

- Ci czterdziestokilkuletni faceci są niczym dzikie zwierzęta, kiedy się uwalniają z więzów małżeństwa. W ciągu tygodnia mają ochotę zrobić wszystko, czego nie robili przez ostatnie dziesięć lat.

Na twarzy Toma maluje się zainteresowanie.

- Sądziłem, że jesteśmy już poza granicami. Braterstwo kobiet i tego typu rzeczy. No, a co z tym? - pyta, klepiąc się po brzuchu, tak że wydaje głuchy odgłos.

- Są inne kompensacje - odpowiada znacząco Emma.

- Ogólnie jesteście u szczytu swych zawodowych sukcesów, a pieniądze i władza stanowią silny afrodyzjak. Ponadto jesteście bardziej spójni emocjonalnie niż dwudziestolatkowie. A tak naprawdę, to kiedy odkrywacie na nowo popęd seksualny, waga po prostu spada.

- W takim razie przyjrzę się tym atrakcyjnym młodym singelkom w moim biurze w zupełnie nowym świetle - stwierdza Tom.

- Jakim atrakcyjnym młodym singelkom? - pytam.

- Nie znasz ich - odpowiada. - Ale żadna z nich nie mogłaby konkurować z twoim rozemocjonowaniem, nieprzewidywalnością i ogólną cudownością. - Podchodzi i kładzie dłoń na moim brzuchu. - Zwłaszcza tą okrągłą cudownością.

- Skoro ogłasza się w Internecie, to można chyba rzec, że jest do wzięcia - mówi Cathy.

- Prawda jest taka, że Tim Roth nie musi sobie szukać kobiet przez Internet. Najprawdopodobniej kobiety rzucają się na niego na okrągło - oświadcza Tom, tracąc cierpliwość, choć tylko ja wyczuwam subtelną zmianę jego tonu.

- Ale to tak, jakby powiedzieć, że Hugh Grant nie musiał płacić za obciążanie druta na Sunset Boulevard - nie daje za wygraną Cathy.

- Słuchaj, ten facet może i jest prawnikiem z zachodniego Londynu, ale nie wygląda właśnie tak. W najlepszym wypadku będziesz się umawiać z kłamcą o wzroście metr pięćdziesiąt - mówi Tom. - W najgorszym... cóż, stanowczo powinnaś zabrać kogoś ze sobą na wypadek, gdyby okazał się niebezpieczny. Ja mogę iść, jeśli chcesz.

Cathy wzrusza ramionami i oznajmia:

- Wracamy do punktu wyjścia. Mówi to w sposób wskazujący na zamknięcie tematu i koniec dyskusji. Tim Roth kurczy się, kliknięcie po kliknięciu, aż wreszcie jest tylko jedną z twarzy w tłumie.

- Patrz, jest jeszcze jeden - mówię, pokazując na inny znaczek w lewym górnym rogu. - Powiększ.

Cathy powiększa zdjęcie i oto mamy kolejnego mężczyznę udającego Tima Rotha, aczkolwiek przy użyciu nowszej fotografii, na której nawet ja rozpoznaję go jako rabusia z Pulp Fiction. Tym razem twierdzi, że jest inżynierem budownictwa z północnej Anglii. Wtedy Emma znajduje Davida Camerona.

- Jak ten facet może być tak głupi i sądzić, że kobiety nie rozpoznają lidera partii konserwatywnej? - mówi Tom.

- Poza tym jakoś mi się nie wydaje, by podobał się wielu kobietom. - Milczenie. - Nie wierzę, że wszystkim wam się podoba David Cameron - oświadcza z niedowierzaniem.

- Czasami zupełnie nie pojmuję kobiet. Uważam, że powinnaś poprosić o zwrot pieniędzy, Cathy. Albo kilka darmowych randek. Albo przynajmniej dwie randki ze zniżką, jeśli na to przystaną. Nie mogę uwierzyć, że jakikolwiek facet może posunąć się do czegoś takiego, byle umówić się na randkę. Co jest z nimi nie tak?

- Właściwie to odnoszą z tego całkiem sporo korzyści. Facet, z którym ostatnio się umówiłam, sypiał z pięcioma różnymi kobietami - wyjaśnia Cathy. - Co o tym myślisz, Lucy?

- Myślę, że powinnaś najpierw przebadać facetów z biura Toma. I jeśli to możliwe, unikać żonatych. Choć wiem, że czasami ciężko jest to wyczuć albo trudno się oprzeć.

- Bardzo bym chciała, żebyś poszła ze mną, Lucy, i użyła swego radaru, by oddzielić ziarno od plew.

- Cóż, wiszę jej kilka wieczorów opiekowania się dziećmi, więc może zabierzesz ją ze sobą? - proponuje Tom.

- Jaki on kochany - gruchają chórem moje przyjaciółki.

- Cóż za wspaniały mąż.

Nie mówię nic na temat tego, że mężczyźni rzadko zwracają tego rodzaju długi i że skoro mediolański projekt ruszył do przodu, Tom w dającej się przewidzieć przyszłości bardzo często będzie podróżował do Włoch. Mój mąż pławi się w pochlebstwach. Właściwie uważam, że on zaspokaja ich oczekiwania. W domowej grze na zdobywanie punktów nie ma czegoś takiego jak wyrównane szanse. Kobiety zawsze zaczynają na pogórze, muszą wyżej się wspinać i niżej spadać. Mężczyzna, który zmienia pieluchę, odbija się naprzód, gdy



tymczasem kobieta, która wykonuje to samo zadanie w o połowę krótszym czasie, używając trzech ekonomicznych ruchów i jednej czwartej wilgotnych chusteczek, ledwie czyni jakiś postęp. Wystarczy zastanowić się nad fenomenem chlubnego gotowania mężczyzn na prośzone kolacje, podczas których goście prześcigają się w wynajdywaniu przymiotników trafnie podsumowujących wspaniałość uczyty i inwencję kucharza. Rzeczywistość jest jednak taka, że dziesięć lat temu nauczyli się dwóch przepisów w River Cafe i bezwstydnie poddają je recyklingowi, kiedy tylko trafia się szansa na poklask, gdy tymczasem przygotowanie posiłków dla dzieci uznają za zajęcie poniżej ich godności.

Nikt nie zawraca sobie głowy przyznawaniem punktów za rumiane spaghetti bolognese, skromne pieczone ziemniaki czy też proste zapiekanki pasterskie, które matki rozstawiają na stole dwa razy dziennie. Potrawy te nie trafiają przecież z lodówki na stół same. A w ich powtarzalności jest pradawna biegłość przywodząca na myśl mrówki, które noszą kawałki liści do swych gniazd, wytrwale i bez ociągania wywiązując się z uwarunkowanego genetycznie zakresu obowiązków.

Patrzę na rozmawiającego z moimi przyjaciółkami Toma i próbuję przyjrzeć mu się ich oczami: mężczyzna pewny siebie, przedstawiający swoje zdanie na temat stosunków intymnych tej grupy kobiet w sposób, który nie jest ani zbyt wścibski, ani apodyktyczny. Mężczyzna, który chętnie grywa w tygodniu z kolegami w piłkę nożną i który co najmniej przez dwa miesiące potrafi czerpać przyjemność ze zdobycia trzech punktów. Mężczyzna, który udaje się do pubu na kilka piw i rzeczywiście na tym poprzestaje. Patrząc oczami moich przyjaciółek, wiem, że powinnam się uważać za szczęściarę. Nikt jednak nie potrafi zajrzeć w głąb małżeństwa z wyjątkiem dwojga zaangażowanych w nie osób, a nawet wtedy trudno dostrzec to, co kryje się w zakamarkach. I

zawsze istnieje wiele punktów widzenia. Na przykład lekkość na sercu, którą człowiek czuje, kiedy już położy spać trójkę dzieci, trzeba przyrównywać do przeraźliwego zmęczenia, pojawiającego się wraz z końcem dnia. Czy to dobry moment, by wspomnieć, że znowu zgubiło się klucze od domu? Czy ulga niesiona przez ciszę wynagradza poranną irytację niczym wieczorne wyjście?

Rozmyślałam nad nieznośnymi kapryсами związku, zgodnie z którymi rzeczy niegdyś atrakcyjne przekształcają się w negatywne cechy bądź elementy przestarzałe. Na przykład kiedyś uwielbiałam przyglądać się, jak Tom zwija skręty. Potrafił to robić jedną ręką, długimi palcami zręcznie wyrównywał tytoń na bibułce, fachowo wkruszał do tego odrobinę trawki, po czym podawał mi z uśmiechem. Potem, kiedy przekroczył trzydziestkę, nagle rzucił palenie, stał się hipochondrykiem i od tamtej pory gromił mnie za to, że nie jestem w stanie pozbyć się tego paskudnego nawyku. Następnie przyszedł moment, kiedy Tom po raz pierwszy uświadomił sobie, że nie jestem już dobrym słuchaczem, że kiedy patrzę mu prosto w oczy i wysłuchuję problemów z którymś z projektów budowlanych, tak naprawdę przebywam we własnym świecie. Zmieniliśmy się, tylko udajemy, że wciąż jesteśmy tacy sami.

- Lucy, Lucy, przestań, tylko powiększasz tę dziurę - mówi Tom, przerywając bieg moich myśli. W roztargnieniu skubałam dziurę z boku sofy i nagle pieniądze, które składował tam Sam, spadają z brzękiem na podłogę. Zgarnęłam pulę.

Emma ziewa głośno.

- Jestem taka zmęczona - mówi.

- Masz jakiś kryzys w pracy? - pyta Tom w nadziei na powrót rozmowy na bezpieczne terytorium. Widzę, że dusi w sobie chęć poproszenia mojej przyjaciółki, by zdjęła kozaczki

na obcasie, skoro leży na sofie. Zastanawiam się, jak to jest, że potrafi okazać powściągliwość wobec niej, ale już nie wobec mnie.

- Nie, tak naprawdę to pół nocy nie spałam, uprawiając seks przez telefon - odpowiada Emma z zamkniętymi oczami.

- Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak ktoś, kto ma żonę i czworo dzieci, znajduje czas na telefoniczny seks - mówię.

- Robi to tylko wtedy, gdy wyjeżdża albo pracuje do późna, ale tak właśnie się dzieje na ogół - wyjaśnia ona.

- Jak uprawiasz telefoniczny seks? Ustawiasz aparat na wibracje? - pytam.

Pełne drwiny prychnięcia przerywa bipnięcie jej telefonu.

- Jest nienasycony - mówi Emma. - Mam zamiar go ignorować. Chłopcy są tacy wymagający. - Otwiera wiadomość tekstową i rzuca mi telefon.

- Nie wiem, czy formalnie rzecz biorąc możesz nazywać go chłopakiem, skoro jest żonaty - zauważam.

Ignoruje mnie.

- Mogę iść i zerknąć sobie na dzieci, Lucy? - pyta.

- Oczywiście - odpowiadam. Lepiej niż ktokolwiek inny znam regenerującą moc tej czynności.

Emma znika na górze, a ja rozmyślam o postępie technologicznym, jaki dokonał się od czasów, kiedy Tom i ja zaczęliśmy się spotykać. Wtedy wystarczająco wiele niepewności wiązało się z czekaniem na telefon. Teraz mamy BlackBerry, telefony komórkowe, nawigację satelitarną. Po raz pierwszy od pobytu w Norfolk czuję, jak ogarnia mnie fala ulgi, że jestem zameżna, po czym czytam wiadomość: „Chcę cię mieć w swoim gabinecie, pochyloną nad biurkiem, zaraz wejdzie sekretarka w bardzo krótkiej spódnicy...” Wstrząśnięta upuszczam telefon.

- Co się stało z grą wstępną? - pytam.

Podchodzi Cathy i rzuca spojrzenie na ekranik telefonu.

- Mam nadzieję, że schował do szuflady zdjęcie swojej idealnej rodziny, zanim to rozpoczął - mówię.

Tom oświadcza, że postanowił udać się do pubu, by pooglądać piłkę nożną, i że nie będzie go przez resztę wieczoru.

- Tylko tyle jestem w stanie znieść - szepcze mi do ucha, gdy wychodzi. - Możliwe, że pewnego dnia poznam tego faceta.

Bezmyślnie biorę do ręki telefon Emmy i nagle się okazuje, że wystukuję odpowiedź. „Konkretnie jak krótkiej?” - piszę, i zanim zdążę pomyśleć, jakaś pierwotna chęć skłania mnie do jej wysłania.

- Boże, Lucy - mówi Cathy, zaglądając mi przez ramię.

- Kiedy się nauczyłaś wysyłać esemesy?

Telefon obwieszcza odebranie wiadomości. „Tak krótkiej, że możesz dotknąć jej tyłeczka” - brzmi odpowiedź. Nie mogę złapać tchu:

- Dlaczego on pisze to wszystko ręcznie? - pyta Cathy.

- Nic dziwnego, że nie śpią całą noc. Dotarcie do końca musi trwać całą wieczność.

Dawno temu panów w średnim wieku demaskowało to, że spodnie nazywali portkami i do wszystkich kobiet poniżej sześćdziesiątki zwracali się per „dziewczyny”. Teraz czyni to ręczne pisanie esemesów.

- Czy ty także się bawisz w sexy esemesy? - rzucam do Cathy tonem osoby pytającej o to, czy woreczki z lawendą to właściwy sposób na zapewnienie słodkiego zapachu w szafach, jednocześnie pisząc odpowiedź.

- Jasne - mówi. - Choć wolę to robić w realu. „Chcę, żeby weszła twoja seksowna żona, a nie sekretarka” - piszę i wysyłam wiadomość.

- Lucy, to takie nieprzyzwoite - oświadcza Cathy w chwili, gdy Emma wraca do pokoju. Jej telefon ponownie wydaje z siebie bipnięcie, więc podchodzi i bierze go ode mnie.

Odpowiedź wygląda następująco: „Mojej żony do tego nie mieszaj”.

- Lucy, co się tutaj dzieje? - pyta Emma, odtwarzając kroki tej wirtualnej rozmowy. Gorączkowo wystukuje kolejną wiadomość, ale nie otrzymuje odpowiedzi.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś - posyła mi spojrzenie pełne irytacji. - Wzmianki o żonie naprawdę go stresują.

- No właśnie - odpowiadam. - Tak być powinno. Dlaczego miałby go łączyć z tobą związek wolny od poczucia winy?

- Niektórzy ludzie chodzą na masaże, by się zrelaksować. On ma mnie. Dom nie stanowi dla niego spokojnej kryjówki przed światem: to miejsce, gdzie dzieci domagają się uwagi, a żona wysuwa nedorzeczne żądania na temat wakacji na Karaibach i rachunków rozliczeniowych w Josephie. Jej miesięczny budżet przekracza moje miesięczne dochody.

- Ależ oczywiście, że przebywanie w domu go stresuje: ma czworo dzieci, które pragną, by poświęcał im uwagę, ponieważ za mało go widują, a to z tego powodu, że kiedy nie pracuje, przebywa z tobą. Po przyjściu na świat dzieci dom raz na zawsze przestaje być spokojną kryjówką. I oczywiście, że ona pragnie jakiegoś zadośćuczynienia, taka jest właśnie umowa z bankowcami: urodziła czworo dzieci, teraz czas na zapłatę. A tak w ogóle to powinnaś przestać mówić o sobie tak, jakbyś była zabiegiem aromaterapeutycznym, którego raison d'etre jest kojenie skołatanych nerwów mężczyzny wykonującego stresującą pracę. Mogłabyś mieć każdego, kogo byś chciała, na pewno w twojej pracy jest całe mnóstwo

dostępnych mężczyzn. Uważam, że jesteś uzależniona od tajemnicy.

- Lucy, jeśli chcesz wiedzieć, to całkiem poważnie myślę o tym mężczyźnie. Chcę prowadzić z nim życie domatorskie.

- Co to oznacza? - pytam z niedowierzaniem.

- No wiesz, mycie naczyń w żółtych gumowych rękawicach, gdy tymczasem on je wyciera, gotowanie według przepisów Nigelli Lawson, prasowanie mu rano koszul.

- Żyjesz złudzeniami. On ma żonę i czwórkę dzieci. Jesteś dla niego jedynie rozrywką.

- W takim razie dlaczego wynajął dla nas mieszkanie w Clerkenwell na pół roku?

Cathy i ja gramy na zwłokę, ponieważ nie taki kierunek tej rozmowy sobie wyobrażałyśmy, Emma zaś kładzie się z powrotem na sofie z satysfakcją osoby, której mimo wszystko udaje się wyciągnąć królika z kapelusza.

Wtedy ja się odzywam:

- Ponieważ ma tam blisko z pracy? Prawdę mówiąc, nie pojmuję, dlaczego mógłby chcieć wynajmować mieszkanie w Clerkenwell, skoro ty masz własne.

- Może wyznaje staromodne poglądy na temat posiadania kochanki? - sugeruje Cathy.

- Jesteśmy razem już ponad rok - mówi Emma. - Nie lubi przyjeżdżać do Notting Hill, bo mógłby wpaść na kogoś znajomego, postanowiłam więc przeprowadzić się na wschód i podnająć moje mieszkanie. On będzie opłacał czynsz i kupiliśmy już razem łóżko.

Z jakiegoś powodu właśnie ten ostatni szczegół robi na mnie największe wrażenie. Wspólne kupowanie łóżka jest czymś więcej niż zwykłą transakcją. To jeden z tych subtelnych, określających momentów, które nadchodzą, kiedy najmniej się ich oczekuje. Szerokość łóżka, odwieczna kość niezgody, zazwyczaj wiąże się z pewnego rodzaju

spekulacjami na temat tego, czy para planuje mieć dzieci, psy, które śpią na łóżkach lub, co jest jeszcze bardziej radykalne, na temat nocowania osób trzecich. Cena określa stopień zaangażowania. Im droższe łóżko, tym dłuższa gwarancja.

- Ile kosztowało? - pytam. - Chodzi ci o czynsz? - pyta Emma.

- O łóżko. Drogie było?

- Dziewięć tysięcy sprężyn, dwadzieścia pięć lat gwarancją bardzo duże, cztery cyfry z trójką z przodu.

Trzeba przyznać, że nieźle go wzięło.

- Ale czy nie ryzykowaliście, że w sklepie z łóżkami ktoś was zobaczy? Sądziłam, że bankowcy są przeciwni podejmowaniu ryzyka - mówię, wyobrażając sobie, jak podskakują na materacach w dziale łóżek u Johna Lewisa.

- Złożył zamówienie przez telefon.

Wtedy już wiem, że kupił dokładnie takie samo łóżko, jakie w domu dzieli z żoną. Założę się, że mieszkali w Clerkenwell, nim przeprowadzili się do zachodniego Londynu.

- Wiecie co, naprawdę chcę, żebyście wszyscy go poznali, wtedy się przekonacie, jaki to uroczy facet. Jest uwięziony w tej sytuacji. Jego małżeństwo skończyło się na długo, zanim mnie poznał. To czysta formalność. Uprawiali seks jedynie dwa razy w miesiącu.

- Dwa razy w miesiącu - bełkoczę z ustami pełnymi chipsów Little Bear. - To całkiem niezły wynik, biorąc pod uwagę czwórkę dzieci i absorbującą pracę.

- Ale to było coś zdawkowego, zupełnie pozbawionego znaczenia. W samym środku nagle przypomniała sobie o czymś, co zapomniała powiedzieć gospodyni, i przerywała, by zapisać „Zarezerwować klauna Coco” lub coś w tym rodzaju.

Już, już mam się przyznać, że mnie także zdarzyło się zrobić coś takiego, ale pewne kwestie lepiej przemilczeć, nawet w gronie bliskich przyjaciółek.

- Tak czy inaczej, Lucy, uważam, że zachowujesz się trochę jak hipokrytka, zważywszy na twoje wyznanie podczas naszego ostatniego wyjścia.

- To coś zupełnie innego - mówię, odstawiając nieco zbyt energicznie drinka na stolik obok Emmy. - Grałam pod publiczność, próbując wymyślić coś pikantnego, by dotrzymać wam kroku.

Przyglądają mi się speszone.

- Tak naprawdę to powoli się zaprzyjaźniamy - upieram się.

- No więc mając na względzie przyjaźń, opowiedz nam, jaki jest ten Seksowny Udomowiony Tata - mówi Cathy.

Emma niemrawo przyjmuje pozycję siedzącą i wyczekująco opiera się o poduszki, a ja uznaję, że zważywszy na jej wysiłek, zasługuje na coś nieco pikantniejszego od raczej nijakiej rzeczywistości naszych dotychczasowych kontaktów.

- Cóż, nie ma w nim tego przesadnego samozadowolenia, cechującego mężczyzn, których poczucie własnej wartości określa wysokość ich rocznych premii, nie jest łysy i w żadnym wypadku nie ubiera się w stylu Crew - zaczynam.

- Nie mów nam, jaki on nie jest; powiedz lepiej, jaki jest - nalega Emma.

- Wysoki, ciemnowy, zamyślony, o ile się oczywiście nie odzywa, ponieważ wtedy może wszystko zepsuć, mówiąc coś w stylu: „Najzdrowszy na drugie śniadanie dla dzieci jest chleb razowy pełnoziarnisty, nie sądzisz?”. Nawet przy rozbudowanej wyobraźni trudno jest opacznie zrozumieć coś takiego.

Pozostają obojętne.



- Rozmawiałaś z nim więcej? - naciska Cathy.
- Uważa, że powinnam kandydować na przewodniczącą trójki klasowej, i mówi, że mi pomoże.
- Nie sądzę, by można było w tym zbyt wiele się dopatrywać - stwierdza Cathy. - Choć podejrzewam, że dzięki temu mielibyście mnóstwo pretekstów, by spędzać razem czas.
- W pierwszy dzień roku szkolnego zaprosił mnie na kawę. Emma zdobywa się na wysiłek, by usiąść na skraju sofy.
- Sam na sam? - pyta.
- Kiwam głową, rozkoszując się ich pełnymi nabożnego skupienia minami.
- Nigdy nam o tym nie mówiłaś - mówi Emma.
- Ponieważ do tego spotkania nie doszło - odpowiadam zagadkowo.
- Chcesz powiedzieć, że mu odmówiłaś? - pyta Cathy.
- Nie, to się okazało bardziej skomplikowane.
- Boże, Lucy, nie rozumiem, jak mogłaś nie pisać na ten temat ani słowa! - oświadcza Emma, zakrywając usta dłonią.
- Co się stało, wszystkie szczegóły, natychmiast! - nakazuje Cathy.
- Kiedy zobaczył, że pod płaszczem mam piżamę, wycofał zaproszenie, nie całkowicie, ale tymczasowo, a od tamtej pory w ogóle o tym nie wspomniał.
- Lucy, to takie beznadziejne - śmieje się Cathy. - Nikomu nie ujdzie na sucho noszenie piżamy poza domem, chyba że masz ponad siedemdziesiąt lat albo zatrzasnęły ci się drzwi.
- Cóż, nie powinien był na to patrzeć - mówię. - A poza tym desperackie zdarzenia wymagają desperackich środków. Nie macie pojęcia, jak to jest każdego kolejnego dnia zjawiać się w szkole na czas. Próbowaliście kiedyś ubrać marudnego trzylatka? To jakby grać w piłkę z meduzą. Wolałabym już, by

przemaglował mnie John Humphreys lub żeby mi kazano włożyć bikini na zakupy w Sainsbury's albo mieć romans z Davidem Blunketem, albo...

- Rozumiemy sytuację. Nie może być aż tak źle - mówi Emma, po czym na chwilę milknie. - Być może powinnaś się zastanowić nad kładzeniem Freda do łóżka już w ubraniu?

A ja uśmiecham się do siebie, gdyż to przypomina mi pewien wieczór sprzed dziesięciu lat, kiedy wróciłam późno z pracy i zobaczyłam, że Tom leży na łóżku w ubraniu. Pograżony w głębokim śnie, leżał na plecach, a biała koszula i dżinsy były porozpinane. Prześlizgnęłam się dłonią od szyi aż do okolic jego pępka, wciąż opalonych po lecie, po czym wsunęłam ją do dżinsów. Działo się to w czasach, kiedy do rozpalenia ognia namiętności wystarczało przeciągłe spojrzenie. Nawet we śnie jego oddech przyspieszył. Próbowałam się domyślić, czy zasnął w ubraniu, czy też był ubrany i gotowy do porannego biegu na wczesny pociąg do Edynburga, gdzie miał zajrzeć na budowę.

Wtedy zauważyłam, że na poduszce z mojej strony łóżka leży kartka, na której napisał, że znalazł moją kartę kredytową w lodówce. To był okres w naszym związku, kiedy panowała przyjemna harmonia pomiędzy moimi stratami a poszukiwaniami Toma, jakby stanowiło to oznakę naszej kompatybilności.

Wiedziałam jednak, że zanim rankiem wyszłam do pracy, gruntownie przeszukałam lodówkę i nie znalazłam tam karty. Przez chwilę zastanawiałam się, czy on przypadkiem nie chowa różnych rzeczy, tak by móc mi sprawić przyjemność ich odnajdywaniem, udałam się więc do kuchni, by przeprowadzić dochodzenie. Lodówka była nieco bardziej wypełniona niż rankiem, a na dolnej półce stało samotnie duże i puszyste ciasto czekoladowe. Wyglądało na domowej roboty. Wyjęłam je z lodówki, a kiedy włączyłam w kuchni światło,

zobaczyłam, że na środku ciasta znajduje się srebrny pierścionek z czterema małymi kamieniami w różnych kolorach. A obok pierścionka napisane było lukrem: „Obudź mnie, jeśli odpowiedzią jest tak”. Oblizałam pierścionek z czekolady, włożyłam na palec - pasował idealnie.

W drzwiach stał Tom, przyglądając się mojej twarzy.

- Potrzebowałam dużo silnej woli, by oprzeć ci się na górze - rzekł.

- Lucy, Lucy, znowu się rozmarzyłaś! - mówi Cathy, szturchając Emmę. - Na pewno myśli o Seksownym Udomowionym Tacie.

- O nie; myślałam o tym, jak Tom mi się oświadczył - wyjaśniam.

- To dobrze - stwierdza Cathy. - Któregoś dnia przeczytałam, że granice, które określają niewierność, stały się znacznie bardziej zamazane, i że nawet przyjaźń z elementami lekkiego flirtu z innym mężczyzną stanowi zdradę. Tak czy inaczej, ty i Tom jesteście najporządniejszą parą, jaką znam, a wizyta u was niesamowicie poprawia nastrój. To tak jak odwiedzanie rodziców. Nie może źle się dziać, w przeciwnym razie coś bym zauważyła. Co byśmy zrobiły, gdybyście wy się rozstali, nie przechodząc nawet wcześniej kiepskiego okresu?

Ale czy to nie powinno chodzić o mnie? - pytam się w myślach.

- Cóż, nie ma w tym żadnej niestosowności - mówię kategorycznie. - To jedynie niegroźne fantazje w mojej głowie. Mile widziane urozmaicenie. A poza tym on wyraźnie szaleje za swoją żoną.

- Skąd o tym wiesz? - pyta Emma.

- Ponieważ opowiedział jej o tym incydencie z pizamą i majtkami.

- Z jakimi majtkami?!

Przedstawiam im więc skróconą wersję, a one tak bardzo pokładają się ze śmiechu, że wszelkie napięcie się ulatnia.

- Najpewniej skończy się to tak, że zostaniecie naprawdę dobrymi przyjaciółmi - stwierdza Cathy.

Przerywa jej bipnięcie mojej komórki. Mierzę aparat podejrzliwym wzrokiem, gdyż otrzymanie esemesa nadal pozostaje dla mnie nowością. Ale nim dane mi jest ją odczytać, Cathy bierze do ręki telefon i otwiera wiadomość. Jest od Seksownego Udomowionego Taty. Musiał spisać sobie mój numer z klasowej listy. Brzmi ona tak: „Wybory do trójki klasowej w następny poniedziałek wieczorem”. Cathy wstukuje kilka słów, pokazuje mi ekranik, bym mogła je przeczytać, ale nim zdążę zaprotestować, wciska „wyślij”. „A potem co?” - napisała. Po kilku minutach komórka ponownie się odzywa. Tym razem szybko ją przechwytyję. „Może skoczmy na drinka?” - odpisuje Seksowny Udomowiony Tata. Pełna lęku wyłączam telefon.

- Cathy, coś ty najlepszego zrobiła? - pyta Emma.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

W życiu pewne są tylko dwie rzeczy: śmierć i podatki

Właśnie wybieramy się na kolację w Islington razem z Cathy i architektem z biura Toma, ponieważ dotrzymując złożonej niecały tydzień temu obietnicy, mój mąż wybrał spośród kolegów z pracy odpowiedniego wolnego faceta i niemal bez żadnych konsultacji umówił nas czworo na spotkanie.

Jest wyjątkowo spokojnie jak na tę porę dnia, gdyż opiekunka zjawiała się wcześniej i zaproponowała, że położy dzieci spać. Leżę więc w naszym pokoju i przyglądam się ze zdumieniem, jak Tom pakuje walizkę, choć do wylotu do Mediolanu zostały jeszcze trzy dni.

Uważnie liczy slipki, skarpetki, koszule, piżamy i spodnie, układając je w schludne małe stosiki. Następnie pod spód wkłada szczoteczkę do zębów, pastę, nić dentystyczną, dezodorant i maszynkę do golenia, wszystko w równej odległości od siebie. Wiem, że kiedy przybędzie do hotelu Central (zdążył mi już przekazać szczegóły), wszystko zostanie wyjęte i ułożone na szklanej półce w łazience dokładnie w takiej samej kolejności.

Nie używamy tej samej pasty od czasu starcia na temat tego, w jaki konkretnie sposób powinno wyciskać się tubkę. Ja preferuję styl wolny. W celu uniknięcia dalszych sprzeczek, przed laty zaczęłam kupować pastę w wysokich stojących opakowaniach i temat ten, według mnie, został wyczerpany. Tom jednak upiera się przy tradycyjnych tubkach i wyciska ich zawartość od samego końca, uważnie je rolując, by mieć pewność, że nic się nie marnuje. Od czasu do czasu zdarza mu się martwić, co zrobi, kiedy takie opakowania odejdą w końcu do lamusa. Gwiżdże przez zęby z wyraźną satysfakcją i stawia krok w tył, dłonie kładzie na biodrach, zadowolony z wykonanej właśnie pracy. Podziwiam eksperta, żałując, że ja

nie potrafię czerpać z tego typu czynności podobnej przyjemności.

Zanim nadejdzie poniedziałkowy ranek, świat może ulec wielkim zmianom, Tom jednak wie dokładnie, jakiego koloru slipki będzie miał na sobie, stawiając im czoło. Jest, bądź co bądź, mężczyzną stałym. Aż do niedawna uważałam siebie za kogoś w dużej mierze stałego w swych niespójnościach. Można być pewnym, że zgubię kartę kredytową średnio sześć razy do roku, że zostawię okruszki tostu pomiędzy klawiszami za każdym razem, gdy będę przeglądać e - maile i że zaniżę o jedną czwartą cenę wszystkich kupowanych przeze mnie ubrań, kiedy mój mąż spyta, ile kosztowały. Ostatnimi czasy jestem bardziej niepewna w swej niepewności, co po głębszym namyśle jest prawdopodobnie gorsze nawet od bycia tego pewną.

- O czym myślisz? - pyta Tom, patrząc na mnie kątem oka, gdy tymczasem jego uwaga skupia się nadal na procesie układania i pakowania.

- Co sądzisz o romansie Emmy z tym mężczyzną? Nigdy nie myślałam, że zwiąże się z kimś żonatym. Ona lubi mieć wszystko jasno sprecyzowane, a bez względu na ostateczny wynik, to wszystko i tak będzie bardzo pogmatwane.

- Uważam, że trzeba pozwolić ludziom żyć tak, jak chcą, Lucy - odpowiada, wyjmując z szafy pokrowiec na garnitur i biorąc szmatkę, by go wyczyścić. - A poza tym to wszystko wydaje się dość fascynujące: kradziony seks w jego gabinecie, w windach, na tylnych siedzeniach samochodów. Potajemne spotkania to silny afrodyzjak.

- Skąd wiesz o tym wszystkim? - pytam.

- Powiedziała mi, kiedy ty poszłaś zajrzeć do Freda. W kółko o tym nawija. Boże, mam nadzieję, że ty nigdy nie opowiadasz o mnie w tak otwarty sposób.

Ignoruję to i mówię:

- No, ale co z jego żoną?
- Cóż, jest najpewniej zbyt wykończona. Tego rodzaju rzeczy można robić tylko z osobą relatywnie obcą.
- Nie o to mi chodziło. To się wydaje takie niesprawiedliwe, że ona nawet nie zdaje sobie sprawy, iż bierze udział w batalii o serca i myśli. Chodzi mi o to, że gdyby wiedziała o istnieniu rywalki, mogłaby się nieco bardziej postarać - stwierdzam.
- W jaki sposób?
- Nie wiem; depilować okolice bikini, chodzić na siłownię, przygotowywać pyszne kolacje, zastanowić się nad nowymi pozycjami seksualnymi, skakać koło niego, kiedy wraca z pracy.
- Może więc tobie potrzebna jest rywalka - żartuje Tom.
- Jeśli to właśnie tego typu rzeczy mają znaczenie, w takim razie nie jest to zbyt solidny związek małżeński, prawda? Być może ona robi to wszystko, a nawet więcej, a to i tak nie wystarcza. Natomiast naprawdę nie pojmuję, dlaczego on chce mieć z Emmą wspólne mieszkanie. Zacisze domowe stanowi przecież podzwonne dla tego typu namiętności.
- Nie, jeśli się przebywa w tym zaciszu wyłącznie w określonych godzinach. Nie rozumiem, dokąd to zmierza.
- Wydaje mi się, że tak naprawdę ma to więcej wspólnego z tobą niż z nią, Lucy.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Uważam, że przerysowujesz sytuację innych ludzi, a to wywołuje w tobie niepokój - stwierdza Tom.

Kiedy się zaczyna robić interesująco, do sypialni wbiega Fred. Jednym imponującym susem ląduje na środku stosików ojca i podskakuje w górę. Sterta ubrań podskakuje razem z nim, rękawy koszul obejmują slipki, skarpetki ulegają rozdzieleniu, na podłogę zaś spada to, co miało pójść do prania. Maszynce do golenia nie dane jest dotrzeć do

Mediolanu i dołącza do odłamu pod łóżkiem. Małe dzieci to urodzeni anarchiści.

- Fred, powinieneś już spać! - woła Tom, po czym chwytając synka i wsadza sobie pod ramię, by odnieść go do jego pokoju niczym piłkę do rugby. Małe nóżki dziko machają w powietrzu.

Dzieci zawsze wyczuwają, kiedy rodzic opuszcza linię frontu i przekazuje dowodzenie oficerowi dyżurnemu.

Ale opiekunka, Polly, najmłodsza córka jednych z naszych sąsiadów, jest teraz zbyt zajęta pisaniem wypracowania z filozofii, by przejmować się tym, co się dzieje na górze. Schodzę do kuchni, by wręczyć jej listę numerów na wypadek, gdyby musiała się z nami skontaktować, i zerkam na monitor jej komputera: „Sokrates twierdzi, że ludzie czynią źle nie dlatego, że są z natury źli, lecz dlatego, że nie mają pewności, co jest dla nich najlepsze. Rozwiń ten temat”.

- Chce pani, żebym zajęła się praniem, kiedy dzieci już zasną? - pyta Polly.

W rogu kuchni stoją kosze z praniem, równie przepelnione jak podczas jej ostatniej bytności u nas. Jakies dwa tygodnie temu stosy z czystymi i brudnymi rzeczami połączyły siły i zamiast bliźniaczych wzgórz mamy tu małą górę ze swego rodzaju wierzchołkiem, składającym się z majtek i staników. Polly robi sobie właśnie trochę miejsca na stole, by rozłożyć więcej książek. Odnosi plastikowe kubki w jaskrawych kolorach, do połowy wypełnione mlekiem, talerze z okruchami po tostach i skorupkami od jajek, które stały na stole od podwieczorku, sprawnie zrzuca resztki jedzenia do kosza, a następnie wkłada naczynia do zmywarki.

- Przepraszam, przed wyjściem zawsze wszystko się robi w biegu - mówię, przyjacielsko przyłączając się do załadowywania zmywarki i mając nadzieję, że Tom teraz tu nie wejdzie, gdyż Polly w dolnej części ustawia talerze na



chybił trafił oraz miesza razem noże i widelce w stojaku na sztućce. - Miałam zamiar posprzątać po wykąpaniu chłopców, ale potem Fred rozciął sobie w wannie wargę, a Tom bez końca telefonował do Włoch. Gdybyś znalazła czas na pranie, byłoby naprawdę super.

Gdy stoi obok mnie, zerkam na jej brzuch. Ma na sobie dzinsy Seven, które jak nic kosztowały ponad sto funtów, i wielowarstwowy top, który podjeżdża w górę, gdy Polly schyla się, by wstawić naczynia do zmywarki, odsłaniając naturalnie płaski brzuch i kolczyk w pępku. Niewyobrażalne jest to, że pewnego dnia ta dziewczyna może zostać postawiona naprzeciw zbuntowanych stert brudnego prania i kilku głodnych gąb, zamoczona regałami do samodzielnego montażu i planami lekcji, prowadząca rozmowy z mężem na temat najlepszego sposobu ładowania zmywarki. A jednak kiedyś byłam taka jak ona. Zastanawiam się, co Polly myśli sobie na mój temat. Zauważam, że przygląda się wiszącej na lodówce liście rzeczy do zrobienia. Joe - buty sportowe. Fryzjer. Prezenty gwiazdkowe, podkreślone trzy razy. Telefon do hydraulika. Szampon na wszy, ponieważ dzieci znowu je skądś przyniosły.

Wiem, że nie posegreguje teraz ubrań. Nie dlatego, że jest leniwa czy też jej propozycja była nieszczerą. Ale dlatego, że uzna, iż jeśli popracuje nieco intensywniej i nieco dłużej nad wypracowaniem, to może otrzyma oceny na tyle dobre, by zagwarantowały jej przyszłość zupełnie niepodobną do mojego życia.

Gdy wkładamy naczynia do zmywarki, pytam ją o plany na przyszłość.

- Chcę studiować historię - oświadczam.
- Och, to tak jak ja w Manchesterze - odpowiadam z entuzjazmem.

Wygląda na nieco zaniepokojoną, ale ma na tyle przyzwoitości, by się zaczerwienić.

- Pracowała więc pani przed urodzeniem dzieci? - pyta z wahaniem, tak naprawdę wcale nie pragnąc poznać odpowiedzi. I część mnie ma ochotę skłamać, powiedzieć jej, że ona stanie przed innymi wyborami i że wszystko będzie łatwiejsze.

- Tak - mówię. - A potem, kiedy urodził się Sam, próbowałam pracować w niepełnym wymiarze godzin, ale ponieważ Tom miał nienormowany czas pracy, musiałam znaleźć nianię, która gotowa była siedzieć u nas aż do północy. Potem zaszłam w ciążę z Joem.

- Pracowała pani w systemie zmianowym? - pyta.

- Coś w tym rodzaju - odpowiadam, wyjmując ze zlewu resztki makaronu.

- Czym konkretnie pani się zajmowała? - nie daje za wygraną.

- Byłam producentką w Newsnight.

- Ale to straszne, że musiała pani z tego wszystkiego zrezygnować!

- Kiedy na świat przychodzą dzieci, człowiek raz na zawsze przestaje być prawdziwie wolny - mówię. - I jest to zarazem straszne i cudowne. Na początku miałam wrażenie, jakby rola, do której przygotowywałam się przez całe życie, została mi odebrana, dokładnie w chwili, gdy kurtyna się podniosła, a ja się przekonałam, że nie tylko nie gram głównej roli, ale wręcz robię za tło. Jednak koszmarem było tak naprawdę niewidywanie Sama. To zabawne: jeśli myśl o czasie spędzonym z dziećmi napełnia cię strachem, jest to najpewniej znak, że zbyt dużo z nimi przebywasz, a jeśli budzisz się wcześniej w sobotę i wstajesz, by przygotować się do wycieczki do zoo albo muzeum i przyrządzasz na śniadanie

naleśniki, bez wątpienia nie spędzasz z dziećmi wystarczająco dużo Czasu.

- Ale przecież musi być jakiś złoty środek.

- No cóż, pomocny okazuje się naprawdę bogaty mąż, gdyż można się wtedy wykupić z wielu bardziej nużących czynności domowych - żartuję. - Ale z drugiej strony nigdy go nie ma w domu. No i istnieją zawody, które są bardziej kompatybilne z macierzyństwem. Albo można sobie znaleźć męża zajmującego się domem.

- Myślę, że postaram się o dzieci, kiedy będę jeszcze młoda, a dopiero potem popracuję nad karierą - mówi Polly z namysłem.

- Uważam, że to doskonały pomysł - kłamię, ponieważ nie ma sensu próbować jej wyjaśniać niekompatybilności macierzyństwa z wszystkim tym, co je poprzedzało. - Tak czy inaczej, na razie nie musisz się tym wszystkim martwić, lecz po prostu dobrze się bawić. Czym się zajmuje twoja mama?

- Jest radcą prawnym - odpowiada Polly. - Żartujemy sobie, że to kret, ponieważ nigdy jej nie widywaliśmy za dnia. Wiem, że ja nie chcę czegoś takiego.

Słyszę krzyki i biegnę na górę w celu wszczęcia dochodzenia. Fred znowu wyszedł z łóżka, a dwaj starsi chłopcy pochłonięci są ulubioną nową zabawą, zainspirowaną odcinkiem Ostrego dyżuru, który Sam oglądał z nami kilka miesięcy temu. Polega ona na przeprowadzaniu na sobie nawzajem operacji, a każda kolejna jest bardziej groteskowa i krwawa od poprzedniej. Tym razem kolej na Freda, by leżał unieruchomiony na podłodze. Z kuchni wzięli keczup, który ma udawać krew, i teraz jest nim upačkana cała pościel. Daje to podstawy do kłótni, ale jej perspektywa jest zbyt wyczerpująca, więc jedynie podnoszę keczup i obdarzam Sama, który jako najstarszy powinien zachowywać się bardziej odpowiedzialnie, spojrzeniem wyrażającym, mam

nadzieję, wiele uczuć, w tym rozczarowanie, wściekłość i irytację.

- Przeprowadzamy transplantację mózgu, mamó - mówi Sam.

- Po to, żeby pamiętał, jak się liczy do dwudziestu - uzupełnia Joe.

- Też chcesz, mamó? - pyta Sam.

Udaję się do naszej sypialni w poszukiwaniu Toma, dostrzegając kątem oka przekrzywioną zasłonę, którą Fred pociągnął podczas zabawy w chowanego, odsłaniając plamę na ścianie, tam, gdzie w zeszłym roku nastąpił przeciek z rynny.

Całemu domowi przydałoby się malowanie. Ale podobnie jak w przypadku marzenia o szafie na zabawki wypełnionej identycznymi plastikowymi pudłami z wypisanymi na ściankach imionami, by wskazywać, gdzie będą składowane rzeczy, remont nie stanowi najwyższego priorytetu. Nagle zaczynam się zastanawiać, co w takim razie nim jest. Być może znalezienie nowej sprzątaczkii? Najpewniej ustalenie szczegółów przyjęcia urodzinowego Sama? Z całą pewnością uprawianie seksu z Tomem? Absolutnie koniecznie rozwiązanie mego obecnego kryzysu?

Jedno nie ulega kwestii: niepewność stanowi podatny grunt dla jeszcze większej niepewności. Podejmuję próbę prześledzenia przebiegu mojej niedawnej utraty wiary. Tom ma rację. Ziarno zostało zasiane najprawdopodobniej ponad rok temu w wyniku telefonu od Cathy. Zadzwoiła tuż po północy i zapytała zduszonym głosem, będącym efektem wielu godzin płaczu, czy mogłaby przyjechać do nas na noc. Powiedziała, że opowie nam wszystko, kiedy zjawi się razem z Benem, który wtedy miał trzy latka, ale my i tak wiedzieliśmy, co się stało. Rozdźwięk w jej małżeństwie był wyraźny już od jakiegoś czasu. Odbyły się spotkania z

psychologiem rodzinnym, kiedy gorycz zdążyła się już zagnieździć tak głęboko, że nawet powietrze wokół nich miało gorzki smak, i na imprezie z okazji czterdziestych urodzin mojego brata doszło do wścieklej awantury, bo Cathy zapomniała wcześniej powiedzieć mężowi, że musi pracować w weekend, co oznaczało, że on z kolei musi zająć się Benem i odwołać masaż siatsu.

- Słuchaj, jeśli nie będę pracować, nie wystarczy nam pieniędzy! - zawołała.

- Mój terapeuta mówi, że muszę mieć przestrzeń, by pomyśleć i odnaleźć moje wewnętrzne dziecko! - ryknął w odpowiedzi.

- Myślę, że najpierw musisz odnaleźć w sobie zewnętrznego dorosłego - odparowała.

- Najgorsze jest to - stwierdziła Cathy po kilku butelkach wina, kiedy już ulokowaliśmy Bena na górze - że on posunął się tak daleko w procesie podejmowania decyzji, iż nie ma nadziei na pogodzenie się. Wydaje ci się, że znasz myśli drugiej osoby, potem ona ci mówi, że nie jest pewna, czy w ogóle cię kochała, a ty zaczynasz się zastanawiać nad prawdziwością własnych uczuć i tracić w nie wiarę.

Pokiwaliśmy mądrze głowami. W tamtym czasie w ogóle nie kwestionowałam siły naszych więzów uczuciowych. Tom poszedł na górę i przyniósł chusteczkę. Kiedy podał ją Cathy, ona jeszcze rzewniej zaczęła płakać z powodu jego dobroci.

- Jesteś taki niezawodny, Tom. Szkoda, że nie wysłałam za mężczyznę, który ustawia przyprawy w porządku alfabetycznym - zaszlochała.

- Szkoda, że nie ożeniłem się z kobietą, która docenia tę cechę - zazartował w odpowiedzi.

- Sądziłam, że fakt bycia małżeństwem sprawi, iż będziemy się starać, aby nam wyszło, nawet jeśli wszystko się

sprzysięgnie przeciwko nam. Jestem pewna, że ma kogoś, bo on nie jest zdolny do samodzielnego podjęcia takiej decyzji.

Kiedy tamtej nocy udaliśmy się do łóżka, Tom rzekł:

- Cóż, no to koniec spotykania się z nim w pubie w środowe wieczory i oglądania piłki nożnej. - A potem zasnął. I naprawdę wyglądało na to, że taki jest właśnie rozmiar jego żalu.

- Rzeczy się zmieniają, ludzie nie, życie płynie dalej, Lucy - oświadczył nazajutrz rano. - A poza tym Cathy najprawdopodobniej lepiej będzie bez niego. On nigdy nie dojrzeje.

- Lucy, Lucy, chodź już, bo się spóźnimy - ponagla mnie Tom, wpadając do sypialni i zakładając kurtkę i szalik.

Kiedy zamykamy za sobą drzwi, ogarnia mnie uczucie lekkości, które pojawia się wraz z oddaniem władzy ariergardzie na kilka godzin. Tom, podniesiony na duchu podobnymi myślami, wyciąga rękę, a ja ją ujmuję. Czas spędzany sam na sam jest cennym towarem i oboje się delectujemy już samą myślą o byciu, które zastąpi codzienne robienie. Kilka metrów pokonujemy w milczącej harmonii, a mnie zalewa fala optymizmu i mówię sobie, że moja rozchwiana równowaga mogłaby ulec poprawie, gdybyśmy tylko więcej czasu spędzali razem. Przez może minutę powracam myślami do czasów sprzed dzieci, kiedy byliśmy tylko Tom i ja, kiedy mogliśmy leżeć w łóżku podczas weekendów, czytać wszystkie gazety i wyjeżdżać na krótkie wakacje. Wtedy uświadamiam sobie, że samochód zniknął.

- O Boże. Zostawiłam go dziś po południu przed szkołą, gdyż chłopcy chcieli iść do domu pieszo. Naprawdę strasznie mi przykro - mówię, starając się przewidzieć, jak długo będę płacić za to naruszenie. Jest to robocze wyliczenie, w którego skład wchodzi ocena, do jakiego stopnia zbliżający się wyjazd Toma wynagradza nieobecność w lokalu podczas

dokonywania wzajemnej prezentacji, szczególnie, który uznałby za ważny, aczkolwiek nie niezbędny. Bilans mych wyliczeń jest taki, że biblioteka w Mediolanie działa na moją korzyść. I nie myślę się. Czas spędzony sam na sam w zgodzie jest według mojego męża produktem wartościowym.

- Nie przejmuj się, pobiegnę po niego, a ty idź w kierunku szkoły - mówi, po czym oddała się sprintem, który po mniej więcej stu metrach na pewno nie będzie już tak energiczny.

Myślę o piszącej wypracowanie Polly. Zastanawiam się, gdzie się podziały te wszystkie wiadomości, które nabyłam podczas tego intensywnego okresu od rozpoczęcia szkoły do końca studiów. Czy są stracone już na zawsze? Z całą pewnością mój upadek rozpoczął się wraz z narodzinami dzieci, kiedy otworzyły się całe nowe obszary specjalistycznych zainteresowań. Wózki spacerowe na przykład. Kilka lat temu potrafiłabym napisać obszernie wypracowanie na temat wózków. Kupowanie naszego pierwszego trwało dłużej niż zakup samochodu. Musieliśmy obejrzeć go przed zakupem więcej razy niż nasz dom.

Pamiętam rozmowę w pracy z dwoma kolegami, którzy mieli właśnie zostać ojcami, ja zaś byłam w ciąży z Samem. Wykończeni weekendami spędzonymi w sklepach z artykułami dziecięcymi, skonsternowani i zamroczeni ogromnym wyborem wózków, zaszyliśmy się razem w sali konferencyjnej wraz z mnóstwem katalogów, mając nadzieję, że zdążymy już zebrać i przeanalizować tyle informacji, iż wspólnie dojdziemy do jakichś wniosków. Minęło jednak pół godziny, a my nadal byliśmy pochłonięci gorącą dyskusją na temat kwestii takich jak waga, modele z przekładaną rączką kontra wózki składane, sportowe czy wiejskie. Statystyczne analizy pozostawały poza naszymi możliwościami.

Potem, kiedy na świat przyszedł Sam, nowym priorytetem stała się znajomość zagadnień medycznych. Kwestią

zasadniczą okazała się wiedza, jak za pomocą kieliszka odróżnić wysypkę wirusową od wywołanej meningokokowym zapaleniem opon mózgowych, warto było wiedzieć, że odczyty na termometrach cyfrowych zawsze są nieco za wysokie, zaś upokarzające okazało się odkrycie, że kapusta włoska i mrożony groszek, dzięki swoim właściwościom przeciwzapalnym, stały się czymś więcej niż warzywami. Teraz zakres specjalistycznej tematyki uległ jeszcze większemu poszerzeniu. Na samym szczycie listy znajdują się szkoły. Głębia wiedzy wymagana do dominacji na tym konkretnie obszarze jest warta doktoratu.

Podnoszę głowę i widzę, że Tom biegnie w moim kierunku, machając rękami.

- Nie ma go tam! - woła.

- Boże, znowu ktoś go musiał ukraść - mówię. Przynajmniej tym razem wiem, że nie zgubiłam zapasowych kluczyków.

- Jesteś pewna, że zostawiłaś go pod szkołą? Zapytam Sama, czy to pamięta.

Tom natychmiast obejmuje kontrolę nad sytuacją i pędzi z powrotem w stronę domu. Po kilku minutach wybiega na dwór. W tym jego pośpiechu jest coś komicznego, jak gdyby żył w przyspieszonym tempie, gdy tymczasem ja błąkam się z włączoną funkcją „odtworzenie” i „przewijanie do tyłu”, więc zaczynam chichotać.

- Nie rozumiem, dlaczego uważasz to za zabawne, jesteśmy w plecy już trzy kwadransy! - woła Tom, tym razem z gniewem, ponieważ jego twarz znajduje się tak blisko mojej, że nie musi podnosić głosu. - Sam mówi, że zostawiłaś go przed Starbucksem.

Ale im większy jego gniew, tym głośniejsze chichoczę.

- To dziwne, bo kiedy biegłem z powrotem, widziałem na rogu tej ulicy niebieskiego peugeota, ale oczywiście nie



przyszło mi do głowy, że zaparkowałaś go w zupełnie innym miejscu.

Biegniemy więc razem. Mijamy te same drzewa i domy, obok których przechodzę każdego dnia w drodze do szkoły, macham miłemu człowiekowi z czarnym labradorem, zmierzającemu w przeciwnym kierunku, zauważam, że jedna z ulicznych lamp jest zepsuta, mijamy nowy sklep Tesco Metro, przeskakując nad nogami bezdomnego, który zawsze siedzi przed drzwiami. Choć nasze kroki są zsynchronizowane i biegniemy w jednym tempie - i ludzie, których mijamy na chodniku z pewnością odnajdują w naszych ruchach przyjemną fizyczną symetrię - tak naprawdę nie moglibyśmy znajdować się od siebie dalej, niż w tej właśnie chwili. Znajdujemy jednak samochód.

- Na szczęście coś takiego stało się dzisiaj, a nie rankiem przed szkołą - mówię.

- To nie ma nic wspólnego ze szczęściem, Lucy, ale z kiepskim planowaniem - odpowiada Tom.

Chciałabym kontynuować naszą wcześniejszą rozmowę, wiem jednak, że całą energię muszę teraz przeznaczyć na poprawienie nastroju, który uległ zdecydowanemu pogorszeniu.

Tom prowadzi w milczeniu, ściskając kierownicę w bezgłośniej wściekłości, a cisza jest najgorszą możliwą karą. Cieszę się, że księżyc jest dzisiaj schowany. Cieszę się, że jedziemy kiepsko oświetlonymi ulicami północnego Londynu. Najbardziej jednak cieszę się z tego, że Tom nie znajduje się na siedzeniu pasażera. A to dlatego, że samochód nadal wygląda niczym niezaścielone łóżko i mam świadomość, że siedzenie i ja stanowimy całość, jako że leżące na nim czekoladowe dropsy powoli się rozpuszczają i przywierają do mego płaszcza. Mam też świadomość, że kiedy się poruszam, nawet niezwykle delikatnie, pod spodem szeleszczą puste

opakowania po chipsach i kawałki papieru ze szkoły. Kiedy Tom skręca w prawo w Marylebone Road, wyciągam spod hamulca ręcznego dwa ogryzki i chowam je do torebki.

Ruch uliczny jest sparaliżowany. Samochody poruszają się tak wolno, że nikt nawet nie zawraca sobie głowy używaniem klaksonu. Tak wolno, że niektórzy ludzie wyłączyli silniki i stoją przy trójpasmowej drodze, dyskutując ze sobą na temat tego, co mogło się stać. Nie da się jechać naprzód ani zawrócić. A żadne z nas nie chce być pierwszą osobą, która przerwie milczenie.

Przypomina mi się zeszłe lato i droga do domu z imprezy z okazji czterdziestych urodzin mojego brata. Jechałam tą samą ulicą, a Tom zasnął na siedzeniu pasażera chwilę po tym, jak opuściliśmy dom Marka w zachodnim Londynie. Tuż za zjazdem z Westway natknęłam się na niewytłumaczalny nocny korek i miałam dużo czasu na przetrwanie rozmów, które podczas przyjęcia odbyłam z różnymi ludźmi.

Mniej więcej w połowie wieczoru Emma oznajmiła, że chce mi coś powiedzieć, ujęła mnie za ramię i zaprowadziła do spokojnego kąta na korytarzu tuż obok drzwi wejściowych. Jej wycucie czasu nieszczególnie mi się spodobało, ponieważ prowadziłam wtedy rozmowę z bratem na temat powodów, dla których śmierć mego teścia kilka lat temu mogła zapoczątkować obsesję matki Toma na punkcie opróżniania domu.

- To najprawdopodobniej sposób na uwalnianie uczuć - stwierdził Mark. - Za każdym razem, gdy coś oddaje, analizuje wszystkie wspomnienia wiążące się z tym przedmiotem, a potem posuwa się do przodu. Albo chodzi o to, albo czyni przygotowania do własnej śmierci.

- Cóż, to zupełnie odmiennie koncepcje - odparłam. Wtedy podeszła Emma. Między nią a moim bratem były jakieś niedokończone sprawy sprzed lat, nie chciałam znać

szczegółów, i zanim mnie odciągnęła, nastąpiła krótka, lecz niezręczna wymiana zdań.

- Poznałam pewnego faceta - rzekła, ścisząc głos do szeptu. - Ale nie możesz nikomu o tym powiedzieć, gdyż jest żonaty.

Kiedy Tom i ja zamieszkaliśmy razem mniej więcej rok po naszym poznaniu, jedną z pierwszych dokonanych przez niego obserwacji na temat mego wewnętrznego funkcjonowania była ilość zwierzeń, które mimowolnie prowokowałam. Niektórzy mężczyźni mogliby to uznać za irytujące, jako że często w grę wchodziły długie rozmowy telefoniczne o niezbyt fortunnych porach i butelki wina opróżniane przy stole w kuchni późnym wieczorem. Ale Tom powiedział, że to znacznie bardziej interesujące niż rozmowy, które prowadził ze swoimi znajomymi, i zastanawiał się, jak pozory wiążące się z czymś życiem dają mylne wyobrażenie o tym, co kryje się pod powierzchnią. Pochodził z rodziny, w której szczerłość emocjonalna nie była w powszechnym użyciu i traktowano ją podejrzliwie. To był dla niego zupełnie nowy świat.

Emma wyjaśniła, w jaki sposób poznała tego mężczyznę na kolacji dla kierownictwa jej agencji prasowej i starannie wyselekcjonowanej grupy bankowców. Opowiedziała mi całą historię powoli i dokładnie, tak jakby każdy szczegół był ważny. Różniło się to od sposobu, w jaki zazwyczaj mówiła o związkach, starając się bagatelizować ich znaczenie poprzez traktowanie wszelkich poważnych pytań z humorem i podchodząc nieufnie do jakichkolwiek prób zaangażowania uczuciowego.

- Normalnie w ogóle nie interesują mnie tego typu faceci. Tak naprawdę to nie da się z nimi porozmawiać na zbyt wiele tematów poza pracą. Pracują tak ciężko, że nie ma w ich życiu miejsca na nic innego, nawet na rodzinę. Siedział obok mnie i podczas posiłku prawie w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy.

Zupełnie jakbyśmy oboje wiedzieli, że to nie jest dobry pomysł. Przynajmniej tak właśnie powiedział mi później. Zdecydowanie zaiskrzyło między nami, nie chodzi tylko o pożądanie, ponieważ na tamtym etapie jeszcze nawet nie zdążyłam uważnie mu się przyjrzeć. To było bardziej uczucie, że coś cię do kogoś przyciąga. Kiedy roznoszono kawę, zadzwoniła moja komórka, schyliłam się więc, by wyjąć ją z torebki. W tym samym czasie on lewą ręką stracił łyżeczkę ze stołu na podłogę i kiedy próbował ją podnieść, jego palec dotknął mojego palca. Tak właściwie to było to coś mniej niż dotyk, bardziej wrażenie, że coś się ociera, ale poczułam, jak w moim wnętrzu coś się budzi, i on poczuł coś podobnego. Oboje o tym wiedzieliśmy od razu, gdy na siebie spojrzeliśmy. To było takie szybkie i proste. Niczym prąd elektryczny.

- Brzmi niesamowicie. Robił już wcześniej coś takiego? Spojrzała na mnie krzywo, gdyż ludzie zawsze lubią traktować własną sytuację jako wyjątkową, kontynuowałam więc odważnie.

- Tom ma teorię - oświadczyłam - że romanse zdarzają się nie dlatego, że ludzie uznają innych za atrakcyjnych, ale dlatego, że pozwalają sobie na znalezienie się w sytuacjach, gdzie może się to rozwijać. A kiedy zrobiło się to raz, coś takiego może się stać zwyczajem, który trudno jest przełamać.

- No cóż, on z całą pewnością doprowadził do takiej sytuacji, gdyż w poniedziałek rano zadzwonił do mnie i zaprosił na lunch. Nawet nie udawał, że będziemy rozmawiać o pracy. Doszliśmy tylko do pierwszego dania. Było między nami tyle napięcia, że udaliśmy się do hotelu w Bloomsbury. W windzie staliśmy, nie dotykając się. Chyba nawet się do siebie nie odzywaliśmy. Zamknął za nami drzwi do pokoju i wtedy mnie dotknął. Po raz pierwszy, odkąd poznaliśmy się na tej kolacji.

- Skąd wiedziałaś o tym hotelu? - zapytałam.

- Lucy, ty zawsze zadajesz takie nietypowe pytania - odparła Emma. - Zaspokoję jednak twoją ciekawość. Byłam już tam. On nie, i sądząc po jego paranoi, że jego żona dowie się o wszystkim, naprawdę uważam, że po raz pierwszy zabawiał się w taki sposób. Da się rozpoznać faceta, który ma coś takiego w zwyczaju. Tak czy inaczej, to było niesamowite, nieokiełznane. Od tamtej pory spotykamy się codziennie.

I dużo więcej rozmawiamy.

Podczas gdy stoimy w korku, myślę o perspektywie wyprawy do pubu sam na sam z Seksownym Udomowionym Tatą w poniedziałkowy wieczór i uświadamiam sobie, że tak naprawdę nie mam ochoty tam iść. Choć moje ostatnie marzenia związane z Seksownym Udomowionym Tatą przekształciły się w rodzaj snów na jawie, którymi nie dzieli się z przyjaciółmi, a na które składa się obściskiwanie w alejkach w Soho, gdzie ludzi uprawiających seks na ulicy można spotkać częściej niż na przedmieściach, pozostają one fantazją. Uznaję, że dochodzi teraz do głosu moje wewnętrzne dziecko, które dostaje napadu złości z powodu czegoś, czego nie ma, a potem odrzuca to coś, kiedy dostaje je na tacy. Bez entuzjazmu uświadamiam sobie, że snucie fantazji niekoniecznie musi oznaczać, że ma się ochotę na zmiany w rzeczywistość. Wiem, że prawdopodobnie przesadzam w tym momencie, ponieważ nie ma najmniejszego powodu, dla którego nie powinnam iść z jednym z rodziców ze szkoły na drinka, który jest zwykłym towarzyskim spotkaniem i niczym więcej. Drink i być może chwila rozmowy na temat jego książki i tego, jak konkretnie ma zamiar mi pomóc w pełnieniu przyszłej funkcji przewodniczącej trójki klasowej.

Powodem mego rozdrażnienia odnośnie Seksownego Udomowionego Taty jest częściowo fakt, że to ja wykonałam pierwszy krok, wysyłając zagadkowego esemesa: „A potem co?”. To dziwne, jak zestawienie trzech niewinnych słów

może być równoznaczne z czymś bliskim propozycji. Prawda jest taka, że on będzie oczekiwał ode mnie pokierowania tą sytuacją, jako że to ja do niej doprowadziłam.

Nie mam szans wycofać się z tej sytuacji tak, żeby nie wyglądało, że odrzucam zaproszenie, bo żywię wątpliwości co do jego domniemanych intencji. Jestem pewna, że jego propozycja to tylko i wyłącznie przyjacielski gest. I właśnie w tym sęk. Uświadamiam sobie z nagłą jasnością, że tak naprawdę nie chcę się zaprzyjaźnić z Seksownym Udomowionym Tatą, ponieważ źle to wpłynie na potencjalne fantazje.

Pomijając dawnych znajomych płci męskiej, minęły już całe lata, odkąd robiłam coś sama z kimś względnie obcym. Prawda jest taka, że odkąd zrezygnowałam z pracy, nie licząc snu, najprawdopodobniej spędziłam nie więcej niż cztery godziny sama. Poważnie, w ogóle nie powinno mi być wolno wypuszczać się samej. Fred zaczął chodzić do żłobka, a starsza dwójka spędza w szkole większość dnia, tak więc staje się jasne, że muszę ponownie przyłączyć się do świata dorosłych i nauczyć od nowa podstawowych zasad towarzyskich.

- A tak przy okazji, to moja matka powiedziała, że zostanie z dziećmi w poniedziałek wieczorem, żebyś mogła pójść na to szkolne zebranie. Przyjedzie na cały dzień i zostanie na noc - odzywa się Tom, przerywając milczenie. Impas został przełamany.

- Świetnie - odpowiadam. - Dzięki, że się tym zająłeś.

- Nie masz w planie zbyt późnego powrotu, prawda? Wiesz przecież, jak ona przejmuje się tym, że mogłaby zasnąć i nie słyszeć dzieci, gdyby się przebudziły.

- Nie, możliwe, że wybiorę się po zebraniu na drinka z kilkoma matkami. No wiesz, żeby się lepiej poznać - mówię. -

A teraz chyba powinnam zadzwonić do Cathy i uprzedzić ją, że się spóźnimy.

- Dobry pomysł.

Z upływem lat stałam się ekspertem w domowej kalkulacji. Wymaga to błyskawicznej i dogłębnej analizy sytuacji, podczas której należy być oszczędnym w mówieniu prawdy, tak by chronić harmonię i nie dopuścić do kłótni. Nie uważam więc swojej odpowiedzi za kłamstwo, lecz za częściową prawdę. Szarą strefę.

- Nadal tak naprawdę nie rozumiem, dlaczego chcesz się wikłać w to całe zamieszanie z trójką klasową, Lucy. Nigdy nie postrzegałem cię jako miłośniczki pracy w komitetach i jeśli mam być szczery, nie uważam, by dobra organizacja należała do twoich mocnych stron - stwierdza Tom, stukając palcami w kierownicę.

- Co uważasz w takim razie za moje mocne strony? - pytam.

- Uważam, że jesteś wspaniałą mamą, może czasami nieco wybuchową, ale zawsze wspierającą swoje dzieci. A podczas tych rzadkich okazji, kiedy oboje w tym samym czasie nie śpimy, a w naszym łóżku nie ma dzieci, nadal bardzo lubię uprawiać z tobą seks - mówi, patrząc prosto na mnie. - I dobrze rysujesz.

O tym akurat zdążyłam zapomnieć.

Następnie Tom postanawia włączyć płytę. Czuję, jak krew zaczyna mi szybciej krążyć w żyłach, gdyż wiem, że płyty są zupełnie pomieszane. Bierze do ręki album The Strokes i znajduje w opakowaniu Best of the Mr Men.

- Nie powiem na ten temat ani słowa - oświadcza.

- Kiedy wyjmuję płytę, by ją włączyć, na ogół wkładam tę, którą wyjęłam, do pudełka należącego do tej, którą właśnie włożyłam - wyjaśniam, starając się zażegnać potencjalny kryzys.

- Dlaczego nie wkładasz jej do właściwego pudełka? - pyta.

- Hm, ponieważ w nim jest ta płyta, którą wyjęłam, by włączyć nową - odpowiadam.

Na jego twarzy maluje się konsternacja.

- „Ryba na drzewie, jak to jest, nie wiem” - mruczy, cytując ulubioną kwestię Freda z Dr Seuss.

- Coldplay będzie w Goblet of Fire, ponieważ właśnie ta płyta ją zastąpiła - mówię. I mam rację.

, - Gdzie jest w takim razie Goblet of Fire? - pyta. - W The Best of Bob Dylan - odpowiadam pewnie.

- A gdzie jest The Best of Bob Dylan? Chociaż nie, tak naprawdę to nie chcę tego wiedzieć. To trochę jak zabawa w „Spakowałem torbę”.

- Dokładnie. To jest system jak najbardziej logiczny. Wymaga jedynie nieco psychologii wstecznej. Powiedz mi, czego szukasz, a ja to znajdę.

- David Gray, White Ladder - mówi. Zastanawiam się przez chwilę.

- Znajdziesz go w Lwie, czarownicy i starej szafie.

I rzeczywiście.

Mogło być znacznie gorzej. Tom układa pudełka na desce rozdzielczej, a płyty kładzie na kolanach. Ale to dobre zajęcie, kiedy człowiek jest zamknięty w niewielkiej przestrzeni i nie może dotrzeć na kolację z powodu korków w piątkowy wieczór. Spoglądam na zegarek. Prawie za dwadzieścia dziesiąta. Stoimy tu od trzech kwadransów. I uważam, że zachowujemy się bez zarzutu.

Tom zerka przez przednią szybę, gdy kierowca samochodu stojącego przed nami uruchamia silnik. Następnie inni ludzie zaczynają wracać powoli do swych pojazdów. W równie tajemniczy sposób, w jaki wcześniej się utworzyła, skomplikowana sieć samochodów zaparkowanych zderzak w



zderzak jak tylko okiem sięgać rozplątuje się i każdy powoli odjeżdża w kierunku dramatu własnej egzystencji.

- Jedziemy do domu? - pyta Tom zmęczonym głosem. - Zanim dotrzemy do restauracji, zdążą już zamknąć kuchnię.

Dzwonię więc ponownie do Cathy, by przekazać jej kolejne, jak mi się wydaje, złe wieści. Randki w ciemno można w najlepszym wypadku uznać za delikatne przedsięwzięcia, a gdybyśmy i my tam byli, moglibyśmy przynajmniej nie dopuścić do niezręcznej ciszy.

- Tak bardzo cię przepraszam, Cathy, wiem, że naprawdę cię wrobiliśmy, ale były tragiczne korki. Przez ostatnią godzinę tkwiliśmy w jednym miejscu i teraz równie dobrze możemy jechać do domu - mówię. - Mam nadzieję, że nie idzie ci zbyt źle z tym architektem Toma.

- Wiesz co, jest dobrze, właściwie to nawet lepiej niż dobrze - odpowiada. - Właściwie to aż tak dobrze, że pewnie świetnie się składa, iż was tutaj nie ma. Ostro sobie flirtujemy, a przy świadkach byłoby to krępujące. On jest w tej chwili w toalecie i zaraz wybieramy się razem do Soho House.

- To super, dobrze w takim razie, że nie przyjechaliśmy. No więc jaki on jest? - pytam.

- Świetny. Jeden z tych typów do tańca i do różańca - stwierdza Cathy.

- Brzmi zachęcająco, tylko nie wiedziałam, że chcesz się modlić.

- Lucy, musisz więcej wychodzić. Chodzi o to, że on lubi imprezowy styl życia, ale można też z nim pogadać o poważnych sprawach. To podniecająca kombinacja. Znałam już wcześniej tego typu facetów. Tak czy inaczej jest cudowny, podziękuj Tomowi w moim imieniu, dobrze? Wiesz co, właśnie wraca, nie dzwoń do mnie jutro zbyt wcześnie, sama dam ci znać, jak poszło - kończy rozmowę moja przyjaciółka.

- Jak im idzie? - Tom wygląda na trochę zaniepokojonego.

- Dobrze. Lepiej niż dobrze. Najpewniej się ze sobą prześpią.

- Cóż, to już jakiś pomysł - stwierdza. - A tak w ogóle to miło było spędzić trochę czasu sam na sam.

- Nie nazwałabym tego czasem najlepiej wykorzystanym - odpowiadam. - Chodzi mi o to, że osobiście nie zdecydowałabym się na wieczór spędzony w cieniu Westway.

- Ale czuję, jakbyśmy się na nowo połączyli. Czasami mam wrażenie, że oddalasz się ode mnie, Lucy, do swojego hermetycznego świata. A tak przy okazji to uważam, że powinnaś wysłać Cathy esemesa, że nie powinna iść z nim do łóżka na pierwszej randce.

- To nieco trąci hipokryzją, nie sądzisz? - odpowiadam.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chleb spada zawsze na stronę posmarowaną masłem

Zawsze jest tak, że najbardziej doceniam Toma wtedy, gdy wyjedzie. Bez niego domowy szybkowar nieustannie pozostaje w stanie wrzenia. Brakuje mi jego umiejętności jednoczesnego wsypywania płatków i nalewania mleka do misek w trakcie śniadania, sposobu, w jaki układa przy drzwiach trzy kurtki, a na nich drugie śniadania, i jego niezwyklej zdolności lokalizowania moich kluczy. Dzisiaj brakuje mi zwłaszcza tego ostatniego.

Tom wyleciał do Mediolanu bardzo wczesnym rankiem i zgodnie z moimi instrukcjami, niechętnie zamknął za sobą drzwi na dwa zamki.

- Pozostaje dla mnie niezgłębioną tajemnicą, jak osoba, która zostawiła w tym tygodniu klucze w drzwiach wejściowych nie raz, a dwa razy, może tak paranoicznie bać się porannych włamań - wyszeptał mi do ucha, gdy się nachylił do łóżka, by pocałować mnie na pożegnanie. - Powodzenia w wyborach. Jeśli wygrasz, tak bardzo zapunktujesz, że szkoła będzie musiała przyjąć Freda z otwartymi ramionami. - Rozważył to ponownie. - Oczywiście, jeśli okażesz się beznadziejna, może się zdarzyć coś wprost przeciwnego. To dobra motywacja.

Dziesięć po ósmej, dziesięć minut przed codzienną godziną zero, ustawiam dzieci w rzędzie przed drzwiami wejściowymi i rozpiera mnie samozadowolenie. Nieźle. Książki z biblioteki są. Buty są. Kurtki są. Klucze od domu... brak w zasięgu wzroku. Na początku postanawiam, że nie będę panikować. Bądź co bądź, jak na razie wszystko dobrze idzie. Szukam tam, gdzie zwykle: kieszenie płaszcza, torebka, szuflada w kuchni. Bez rezultatu.

- Nie zapomnij zajrzeć do lodówki! - woła z góry Joe. - Tam właśnie były ostatnio, mamó, pamiętasz?

Lodówka jest pusta.

- Może powinnaś poszukać w swoim hipokampie - oświadcza Sam. - Tam przechowywane są wspomnienia.

- Skąd to wiesz? - pytam, pod odpowiednim wrażeniem.

- Musimy otworzyć ci mózg - odpowiada mój syn.

Każę dzieciom wywrócić kieszenie na drugą stronę i szczegółowo przepytuję Freda, ponieważ mój najmłodszy syn to urodzony winowajca. Opuszcza wzrok na swoje stopy i przestępuje z nogi na nogę, a na jego twarzy maluje się poczucie winy. Dzieci udają się za mną na dół do kuchni, gdzie wyrzucam na podłogę zawartość kosza na śmieci, na wypadek, gdyby wrzucił klucze właśnie tam. Nie byłby to pierwszy raz.

Zapach okazuje się przytłaczający. Smród psującego się mięsa walczy o palmę pierwszeństwa z mdlącym zapachem gnijących owoców. Dzieci zakrywają usta dłońmi i w zaszokowanym milczeniu wpatrują się w matkę przeszukującą śmieci z ostatnich kilku dni, potrząsającą cuchnącym korpusem kurczaka, na wypadek, gdyby miało się okazać, że klucze utknęły w jego wnętrzu, grzebiącą w pleśniejących kawałkach chleba i owocach, które rozpadają się w rękach. Wstrzymuję oddech tak długo, jak jestem w stanie, po czym biegnę do kuchenki, robię wydech, ponownie wciągam powietrze i wracam do boju. Dłonie mam pokryte wilgotnymi fusami z rozerwanej torebki herbaty.

- Czy wiecie, że w biednych krajach dzieci przetrząsają śmieci na olbrzymich wysypiskach, szukając czegoś, co można by sprzedać, i jedzenia? - mówię, podnosząc głowę i dostrzegając wpatrujące się we mnie trzy pary oczu. - My naprawdę mamy szczęście.

Nie wyglądają na przekonanych.

- Mamusiu, mogę cię o coś spytać? - odzywa się Sam.

- Kiedy umrzemy, to czy możemy zostać pochowani w mauzoleum, tak jak Egipcjanie, bo wtedy zawsze będziemy mogli być razem?

- Sam, to bardzo interesujący pomysł. Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy porozmawiali o tym później? - pytam.

- Moglibyśmy tam zrobić specjalne miejsce dla kluczy - proponuje Joe.

Przerywam poszukiwania i przez chwilę kucam, a porozrzucane wokół mnie śmieci wyglądają jak martwa natura. Muszę zmierzyć się z realiami obecnej sytuacji. Moje klucze od domu zaginęły, a ponieważ Tom zamknął drzwi na dwa zamki, jestem uwięziona w środku wraz z dziećmi. Powtarzam to kilkakrotnie na głos niczym mantrę, trzymając się za boki głowy, z nadzieją na boską interwencję.

Zdesperowana dzwonię po radę do Cathy.

- Wyjdźcie przez okno w salonie - mówi. - Zadzwoń do szkoły i powiedz, że się spóźnicie, ponieważ czegoś zapomniałaś. To brzmi jak najbardziej wiarygodnie. W przeciwieństwie do tego, co rzeczywiście się stało. Nie rozwódź się zbyt, w ten sposób najłatwiej się zdradzić.

- Jak tam poszło z architektem? - pytam. - Chcę tylko skróconej wersji. - Od dwóch dni walczyłam z pokusą zadzwonienia do niej.

- Pojechaliśmy do jego mieszkania i skończyło się to tak, że spędziłam z nim cały weekend, ale dzisiaj czuję się paskudnie. Nie sądzę, bym w ciągu ostatnich trzech nocy spała więcej niż osiem godzin, tak były naładowane chemią. Martwię się także tym, że uprawiałam, eee, egzotyczny seks na pierwszej randce. Tego akurat szczegółu nie przekażę Tomowi, który przez weekend dalej rozprawiał na temat korzyści płynących z abstynencji podczas pierwszego miesiąca.

- Później zaznajomię cię ze wszystkimi drastycznymi szczegółami - obiecuje Cathy.

- Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że usłyszałam już dość - odpowiadam, wyjmując z kuchennej szuflady zapasowe kluczyki do auta.

Dzieci są bardzo podekscytowane, kiedy każę im wydostać się na dwór przez okno w salonie, ponieważ takiej właśnie zabawy rodzice zazwyczaj zakazują. Mam nadzieję, że nikt się temu nie przygląda, zwłaszcza szukający okazji złodzieje, ponieważ muszę zostawić okno otwarte aż do powrotu ze złobka Freda. To samo się tyczy sąsiadów, których dzieci chodzą do tej samej szkoły, gdyż nie jest to zachowanie przystojące świetnie zorganizowanej pełnoetatowej mamie, która wkrótce zostanie wybrana do pełnienia ważnej roli w zarządzaniu szkołą, a jednocześnie odegra niewielką rolę w przyszłości edukacji tego kraju. Zawsze jestem na bieżąco lub prawie.

- To lepsze niż Mission Impossible, mamó - oświadcza Sam, prześlizgując się przez wąski otwór na dole okna i zeskakując na trawę.

Stoją w ogrodzie przed domem, wszyscy trzymają się za ręce, ponieważ wyczuwają, że to jedna z tych rzadkich sytuacji, kiedy rodzina naprawdę musi być razem, i przyglądają się, jak staram się przecisnąć na drugą stronę. Podciągnęłam koszulę i T - shirt aż do żeber, by być jak najchudsza w pasie. Przeciskam się, wykonując powolne pchnięcia, zatrzymując się co chwila, by wciągnąć brzuch.

- Powinniśmy byli natrzeć masłem twój brzusek, mamusiu - mówi Sam, ciągnąc mnie za ramiona. - Widziałem coś takiego w Błękitnym Piotrusiu.

- Jak wyciągają mamusie przez okna? - pyta Joe.

- Nie, aby pomóc wyrzuconym na brzeg fokom na wybrzeżu Szkocji - odpowiada roztropnie Sam, gdy

tymczasem mnie udaje się wreszcie precyzyjnie i opadam na klomb.

Uradowana tym, że w obliczu kryzysu nie straciłam głowy, podczas krótkiej jazdy do szkoły zgadzam się na bardzo głośne odtwarzanie w samochodzie płyty Best of Bond Theme Tunes. Prawie w ogóle się nie spóźnimy. Mniej więcej pięćdziesiąt metrów od szkolnego dziedzińca moja dobra passa się kończy i samochód zatrzymuje się ze zgrzytem w połowie The Man with the Golden Gun. Jesteśmy unieruchomieni. Wskaźnik paliwa pokazuje zero. Przed nami i za nami zaczyna się tworzyć korek. Doświadczam jednego z tych przeżyć, kiedy człowiek odnosi wrażenie, że opuścił własne ciało i przygląda się życiu kogoś innego.

- Mamo, nie możesz udawać, że to się nie dzieje - mówi Sam, wyczuwając, co jest grane.

Dzwonię więc z komórki do Toma i spokojnie wyjaśniam mu zaistniałą sytuację.

- Czego ode mnie oczekujesz w tej chwili? Jestem w drodze do Mediolanu - przekrzykuje jakieś trzaski.

- Co ty byś zrobił w takiej sytuacji? - pytam błagalnie.

- W ogóle bym się w niej nie znalazł - odpowiada. Zniecierpliwieni kierowcy, łącznie z Niezłą Mamuszką Nr 1 dwa samochody za mną, zaczynają rytmicznie trąbić. Wsiadam, w sposób ostentacyjny otwieram maskę peugeota i zaczynam grzebać przy silniku.

- Pewnie padł mi akumulator - wołam do nikogo w szczególności. - Ma ktoś może przewody rozruchowe?

Byłabym dobra w strefie działań wojennych. Świetnie bym sobie radziła z interwencjami medycznymi na linii frontu. Okazałabym się fantastyczna w obliczu klęski żywiołowej. „Nie jestem po prostu zbyt dobra w tych drobnych sprawach” - myślę sobie, wyciągając jednocześnie z silnika kilka wtyczek i czyszcząc je szmatką. Tak się jednak niefortunnie składa, że

to te małe szczegóły określają teraz moje życie. Szukam w kieszeniach czegoś, co można by uznać za ostry przedmiot, jako że akurat w tym momencie zastanawiam się nad przedziurawieniem silnika. Wszystko, byle tylko uniknąć przyznania się, że skończyła mi się benzyna.

Pojawia się Seksowny Udomowiony Tata. Idzie sobie wolnym krokiem od strony szkoły. Jego ręka nie jest już w gipsie.

- Jakiś problem? - pyta.

Podchodzi, by zerknąć do silnika. Idzie krokiem kowbojskim, jakiego miejscy mężczyźni używają, kiedy wyczuwają rzadką okazję do popisania się męskimi cechami. Ma nawet na sobie kraciastą koszulę. To północno - zachodni Londyn, a nie Brokeback Mountain, mam ochotę powiedzieć. Z jego ust wydobywają się takie słowa, jak „uszczelka”, „świeca zapłonowa” i „gaźnik”. Jego dłonie pozostają jednak wciśnięte w kieszenie džinsów, które są tak luźne, że dostrzegam wystające nieco spod nich szare slipki. Oboje zaglądamy pod maskę.

Dołącza do nas Niezła Mamuśka Nr 1, która nachyla się nad silnikiem, odsłaniając idealny dekolt, jędrny, ale nie za okrągły.

- To sprzeczne z naturą - mówię bezmyślnie.

- Co takiego? - pyta Seksowny Udomowiony Tata.

- Lucy, powiem tylko trzy słowa - odpowiada Niezła Mamuśka Nr 1, patrząc ponad silnikiem prosto na mnie. - Rigby and Peller. (Firma produkująca ekskluzywną bieliznę (przyp. tłum.))

- To firma prawnicza? - pyta Seksowny Udomowiony Tata, a wygląda na skonsternowanego.

Wydaje się nieporuszony widokiem. Następnie bierze się za brudną robotę, to znaczy zdejmuje z różnych części silnika gumowe zatyczki. Nadal nie jestem przekonana, czy on wie,



co robi. Ale przynajmniej zapewnia mi dobrą przykrywkę. Podaje Niezłej Mamuśce Nr 1 coś oleistego. Jej idealnie wymanikiowane dłonie są teraz umazane smarem.

- To trochę jak jeden z tych parafinowo - woskowych zabiegów Micheline Arcier - mówi, przyglądając im się powątpiewająco.

Podchodzi Mama Alfa. Stara się bardzo, by na jej twarzy malowało się udawane współczucie, brwi ma zmarszczone i usta lekko uchylone, ale nie jest w stanie ukryć samozadowolenia.

- Och, biedactwo - mówi, mierząc wzrokiem korek, który utworzył się za mną. - Oczywiście mieszkaś tak blisko, że bez problemu mogłabyś chodzić pieszo.

- Ale wtedy nie da się nosić butów na wysokich obcasach - stwierdza Niezła Mamuśka Nr 1, postukując z irytacją obcasami kozaczków od Christiana Louboutina.

- Jak prowadzisz w nich samochód? - pyta Mama Alfa.

- Nie prowadzę. Noszę kaszmirowe kapcie, a kozaczki zakładam dopiero przy wysiadaniu - odpowiada Niezła Mamuśka Nr 1.

Pojawia się dyrektorka szkoły, by zbadać przyczyny hałasu oraz ogólnego chaosu, i zaczyna kierować samochodami, by wycofały się do końca ulicy.

- Witam, pani Sweeney - mówi. - Poznaje pani samochód z tamtego razu.

- Co robisz, mamó? - wrzeszczy Sam, opuszczając szybę. Zapomniałam, że w samochodzie są dzieci.

- Znalazłem klucze od domu schowane za oparciem fotela. To dobrze, prawda? - woła Joe przez drugie okno.

- Cudownie, kochanie! - odkrzykuję. Ulicę wypełniają dźwięki Nobody Does it Better.

- Powiedz: „Kochanie, jesteś najlepszy"! - woła ponownie Joe.

- Cóż za uczynne dzieci - stwierdza szyderczo Mama Alfa. Widać, że w myślach sporządza listę tego typu incydentów.

- Przyciszcie muzykę, nie słyszę własnych myśli! - wołam z wymuszoną wesołością.

- Ale przecież nie musisz myśleć, musisz jedynie iść na stację benzynową i przynieść kanister benzyny - oświadcza Sam.

Nie da się zaprzeczyć, że przemawia przez niego racjonalizm. Wszyscy nieruchomieją.

- Chcesz powiedzieć, że skończyła ci się benzyna? - pyta Seksowny Udomowiony Tata, obejmując głowę umazanymi smarem dłońmi.

- Dokładnie o czymś takim mówiłam - stwierdza dobitnie Mama Alfa, a jej głos wprost ocieka sarkazmem. - Ona jako przewodnicząca trójki klasowej to byłaby katastrofa. I niebezpieczeństwo.

- Wiesz co, zaprowadzę dzieci do szkoły - proponuje Seksowny Udomowiony Tata.

- Dziękuję - mamrocze, gdy tymczasem Sam i Joe radośnie gramolą się z samochodu.

- A ja zawiozę cię na stację benzynową - mówi Niezła Mamuśka Nr 1.

- A ja zorganizuję ludzi, by zepchnęli auto na pobocze

- uzupełnia dyrektorka.

- A ja pójdę przygotować mowę zwycięzcy na dzisiejszy wieczór - wtrąca swoje trzy grosze Mama Alfa i odchodzi z nosem w górę, pozostawiając nas na ulicy.

- Cóż, możesz mimo wszystko liczyć na mój głos - mówi Niezła Mamuśka Nr 1, gdy instaluję Freda w foteliku na tylnym siedzeniu. - Szkolne życie byłoby z całą pewnością znacznie mniej nudne, gdybyś to ty znajdowała się w zarządzie.

- To jeden z tych dwuznacznych komplementów, ale zbyt mocno pochłania mnie zaznajamianie się z tym, co znajduje się z tyłu jej auta. Po pierwsze, na oparciach przednich foteli umieszczone są ekrany telewizyjne, zaś w niewielkim schowku za hamulcem ręcznym znajdują się płyty DVD, każda we właściwym pudełku. Na oparciach wiszą także przezroczyste organizery z kieszeniami o różnych kształtach i rozmiarach. W jednej skrywają się długopisy. W innej papier. No i jeszcze dostosowane do wieku książeczki. Wszystko uporządkowane i symetryczne. Bardzo przyjemne dla oka. - Uważam, że to bardziej Piet Mondrian niż Tracey Emin - mówi Niezła Mamuśka Nr 1, uśmiechając się do mnie, gdy siadam obok niej na przednim siedzeniu. - Tak naprawdę to dzieło mojej niani.

Zatraskuję drzwi i napotykam ciszę. To niczym znalezienie się w innym wszechświecie, nawet powietrze inaczej pachnie. Robię głęboki wdech i zamykam oczy. Nie ma jeszcze nawet dziewiątej.

- To mieszanka rozmarynu i lawendy. Powstają specjalnie dla mnie, by dostosować się do moich zmiennych nastrojów. Ta akurat nazywa się „Filizanka aromatycznej herbaty w drodze do Marrakeszu”.

Parskam śmiechem, ale ona nie żartuje. Następnie podaje mi ze schowka Bach Rescue Remedy (Spray o działaniu antystresowym i uspokajającym (przyp. tłum.)). Nie zbladłabym nawet wtedy, gdyby wyjęła z tego sezamu roślinę doniczkową albo talerzyk galaretek w cukrze.

- Choć nie sądzę, by na tę kobietę istniało jakiegokolwiek antidotum - stwierdza.

Jedziemy na stację, kupuję kanister benzyny, a Niezła Mamuśka Nr 1 podrzuca mnie z powrotem do samochodu. Tak naprawdę to całkiem proste. Wszystko wyglądałoby

inaczej, gdybym tylko miała kogoś, kto organizowałby mi życie.

Później tego dnia udaję się do łazienki, by przygotować się na czekający mnie wieczór. Zastanawiam się, w jaki sposób poranna katastrofa może wpłynąć na bieg wydarzeń. Z jednej strony zapewniła amunicję szeptanej propagandzie Mamy Alfa, co nie znaczy, że istniała jakakolwiek potrzeba kolejnych niepotwierdzonych źródeł mojej ewidentnej niekompetencji. Z drugiej jednak strony uczyniła mnie ludzką, a jest to cecha, której mojej rywalce wyraźnie brakuje.

Kiedy nie ma Toma, moja kolej na wylegiwanie się w wannie. Tak długo w niej leżałam, mocząc się w olejku lawendowym, który Niezła Mamuśka Nr 1 dała mi rano łaskawie, mówiąc, że mnie jest bardziej potrzebny niż jej, iż czuję się tak, jakby wsiąkł w moją skórę, i że gdybym zaczęła się pocić, ten pot byłby słodki, a nie słony. Na dole dziećmi zajmuje się Petra, moja teściowa.

Tom dotarł już do Mediolanu. Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, gdy napuszczałam do wanny wody, sprawiał wrażenie radosnego. Zdażył już zajrzeć na budowę, a firma budowlana wreszcie zaczęła kopać fundamenty pod jego bibliotekę. Powiedział mi, że czyta krótkie opowiadanie argentyńskiego pisarza, które dostał od jednego z kolegów z pracy.

- Jest bardzo ekscytujące, ponieważ opowiada o pomysle na bibliotekę, będącą wszechświatem zbudowanym z łączących się sześcioboków, a przecież właśnie tak wyobrażam sobie ten budynek.

Usiłowałam zainteresować się tą analizą, częściowo dlatego, że już od wieków całych nie słyszałam, by Tom tak bardzo entuzjasmował się jakimś projektem, ale głównym powodem było to, że może się ona okazać użyteczna podczas rozmowy z Seksownym Udomowionym Tata.

- Nakręcono na jego podstawie film? - zapytałam z nadzieją.

- Nie - odpowiedział Tom, wyraźnie zaskoczony moim nagłym zainteresowaniem. - To krótkie opowiadanie i głównym bohaterem jest biblioteka. A tak w ogóle to powodzenia wieczorem, Lucy, jeśli jesteś pewna, że tego właśnie chcesz - dodał.

Na chwilę wytrąciło mnie to z równowagi, gdyż wydawało mi się, że nawiązuje on do drinka z Seksownym Udomowionym Tata, i nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Wiesz co, jestem pewny, że cokolwiek się wydarzy, będzie niezapomniane - dodał mój mąż. - Muszę kończyć, zamierzamy przed kolacją przypuścić atak na minibar.

Kiedy tylko zaczynam się martwić tym, co mnie czeka, odkręcam stopą kran z gorącą wodą, czekam, aż woda w wannie stanie się nie do zniesienia, a wtedy wszelkie troski ulegają rozproszeniu. Skórę mam pomarszczoną, a rozstępy na brzuchu zrobiły się takie czerwone, że wyglądam niczym pokryty plamami rozpuszczony stilton. Dawno temu wyrzekłam się mego brzucha, skazując go na mroczną egzystencję i na zawsze usuwając z zasięgu ludzkiego wzroku. Rozumiem już, dlaczego starsze panie spowijały się kiedyś w skomplikowaną bieliznę z zamkami błyskawicznymi i wiązaniami, by uwięzić niezdyscyplinowane fragmenty ciała.

Moje piersi z przyjemną elastycznością kiwają się pod wodą. Uważam je za niezawodnych starych przyjaciół, godnych zaufania sojuszników, których można wezwać na specjalne okazje w celu przywołania uczucia pewności siebie i młodości, ale być może nie bardzo mają ochotę zaakceptować utracony przez lata status. Reszta mojego ciała pozostaje w stanie buntu, przez cały czas strasząc, że ode mnie ucieknie. Lata całe trwałoby poskromienie tych rewolucyjnych elementów, powstrzymanie ich i objęcie nad nimi kontroli.

Bardziej prawdopodobnym scenariuszem jest powolne zmniejszanie się zakresu mojej władzy. Od czasu do czasu trudzę się, by odzyskać przewagę i zgubić kilka kilogramów, ale zniweczenie krągłości wymagałoby samokontroli rozwiniętej do niedostępnego mi stopnia.

Kiedy wychodzę z wanny i rzucam okiem na elektryczny budzik Toma, uświadamiam sobie, że została mi niecała godzina na wyszykowanie się i dotarcie do szkoły. Elektryczny budzik wygląda na samotny i porzucony, stojąc w pojedynkę na szafce przy łóżku, odrzucony na rzecz wysłużonego metalowego budzika z twarzą królika i poszarpanymi uszami, który Tom zabrał ze sobą. Pośród warstwy kurzu widać błyszczącą owalną przestrzeń w miejscu, gdzie zazwyczaj stoi, i wyobrażam sobie, jak dziwacznie musi wyglądać w minimalistycznym pokoju hotelowym w Mediolanie. Tomowi nigdy nie przyjdzie do głowy, by schować go w szafie, kiedy do jego pokoju przyjdą koledzy z pracy. Najpewniej uznają za słodkie to, że mężczyzna w średnim wieku wozi ze sobą budzik należący do jego ośmioletniego synka. Zwłaszcza te młode wolne kobiety, o których wspomniał pewnego wieczoru.

Jedną z największych życiowych zagadek pozostaje to, że równanie mężczyźni plus dzieci niezmiennie daje wynik wspanialszy niż suma jego części składowych, podnosząc jakość obu stron, gdy tymczasem zestawienie kobiety plus dzieci zazwyczaj daje ci zaległości. Jest to w większości przestarzałe, mało seksowne i niechlujne.

Może to brzmieć naiwnie, ale nigdy nie martwię się o to, że podczas tego typu podróży służbowej mój mąż może odczuć pokusę, by zbłądzić. Zastanawianie się nad takimi ewentualnościami wydaje się bezsensowne, skoro istnieje tyle pilnych kłopotów, na których należy się skupić. Poza tym Tom jest tak pochłonięty tym swoim projektem, że wszystko,

co pojawia się z zewnątrz, traktuje jako niepotrzebne rozpraszacze uwagi. Diabeł tkwi w szczegółach, tak zawsze mówi. Plany trzeba dostroić, biorąc pod uwagę zarówno opinie inżynierów budowlanych, jak i klientów, których pragnienia zbyt często pozostają w skrajnej opozycji. Kiedy się angażuje w wielki miejski projekt taki jak ten, ma w sobie najwięcej żaru. Kilka lat temu podobną satysfakcję zapewniały mu dwupiętrowe przybudówki ze szkła i przebudowa loftu, ale dla architekta pokroju Toma rozmiar ma zdecydowane znaczenie i teraz przyciągnąć jego uwagę może co najmniej cały budynek.

Żałuję, że codzienny rytm mego własnego życia nie dostarcza mi podobnej satysfakcji. Być może nieco odpowiedzialności stanie się źródłem nowego poczucia celu.

Minęły trzy minuty i muszę w końcu podjąć decyzję, w co się ubrać. Podłogę zaścielają porozrzucane ubrania, a czarny top z długimi rękawami i dekoltem w szpic, który przymierzyłam jako pierwszy i teraz stanowi preferowaną opcję, gdzieś się zapodział. Czołgam się po podłodze w czarnym staniku i majtkach, aż wreszcie znajduję niesforny top pod łóżkiem, wkładam dzinsy, które miałam na sobie wcześniej i postanawiam, że umaluję się w drodze do szkoły.

- Lucy, bo się spóźnisz! - woła moja teściowa. Zbiegam ze schodów po dwa stopnie naraz. Na dole Petra stoi z miną pełną wyrzutu i trójką chłopców. Nie pochwała tego, że jej synowa wychodzi wieczorem bez męża, nawet jeśli jest to szkolne zebranie. Cieszę się, że nie zdążyłam się umalować.

- Chcesz, żebym zrobiła porządek z praniem? - pyta.

- Wyprasuję też kilka tych koszul. Co robi Tom, jeśli rano nie ma naszykowanej koszuli?

- Hm, sam ją prasuje, a jeśli naprawdę nie ma na to czasu, zdarzyło się już tak, że w drodze do pracy kupuje nową

- odpowiadam bezmyślnie. - I tak naprawdę byłoby super, gdyby udało ci się poskromić tę stertę prania. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam dno kosza.

- Lucy, uważam, że wszystkie twoje problemy uległyby rozwiązaniu, gdybyś przeznaczyła jeden dzień na pranie i jeden na prasowanie - oświadcza Petra.

Interesująca teoria, ale nie zanosi się na to, by jej skuteczność została natychmiast sprawdzona w praktyce.

- Babcia ma rację, mamó - wtrąca Sam, starając się być pomocny.

- Zostanę jutro rano, jeśli chcesz, i pomogę ci to rozwiązać - mówi moja teściowa, otwierając drzwi wejściowe i wypychając mnie na zimne wieczorne powietrze. - Powodzenia. Uważam za godne pochwały to, że zamierzasz przyjąć na siebie nowe obowiązki, choć nieco się martwię, że to dla ciebie nadmierny wysiłek.

Postanawiam jechać samochodem, częściowo dlatego, by nie pić podczas spotkania z Seksownym Udomowionym Tata, ale także z tego powodu, że w samochodzie jest lusterko, które mogę wykorzystać, by na czerwonych światłach pośpiesznie pomalować rzęsy i przejechać po ustach szminką.

Wchodzę do szkoły przez ciężkie drzwi za innymi rodzicami z naszego rocznika i zatrzymuję się w holu, by przyrzeć się kilku autoportretom namalowanym przez dzieci z klasy Joego i znaleźć jego pracę. Uderza mnie to, że w przeciwieństwie do innych dzieci, które namalowały głowy nieproporcjonalnie duże w porównaniu z małymi patykowatymi ciałami, autoportret Joego jest niewielki, mniej więcej o połowę mniejszy od pozostałych. Ale dbałość o szczegóły jest zdumiewająca: piegi, zęby i dziurki w nosie, setki kręconych, narysowanych ołówkiem włosów na głowie, czerwone usta i nawet malutki pieprzyk, który ma na brodzie. Głowa jest jednak nieduża. Zastanawiam się, co to może



znaczyć. Musi mieć to jakiś związek z jego lękiem przed skurczeniem się. Nie jest znacząco niższy od dzieci w swojej klasie. Muszę porozmawiać z jego wychowawczynią i może zadzwonić do Marka, by zapytać, co on o tym myśli. Dzieci nie są jego specjalnością - nie ma jeszcze własnych - ale nigdy nie wzdraga się przed eksploracją podświadomości swych siostrzeńców.

Odzywa się mój telefon i otwieram wiadomość od Emmy, proszącej o pilną rozmowę w sprawie nowych powikłań w jej i tak nazbyt zagmatwanym życiu uczuciowym. Wyraźnie zapomniała, jak duże znaczenie ma dla mnie ten wieczór, co jest nieco irytujące, skoro była obecna przy tym, jak Cathy dodała zupełnie nowy, stresujący wymiar do i tak trudnej sytuacji.

- Wiesz, że przygotowuję się do objęcia funkcji filaru społeczeństwa - szepczę do telefonu, ostrzegając, że długa rozmowa nie wchodzi w grę w mojej nowo odkrytej roli godnej szacunku matki trojga dzieci.

- Naprawdę cię przepraszam, Lucy. Po prostu nie wiem, jak sobie z tym poradzić - odszeptuje.

Wyobrażam sobie, jak stoi w kącie swego gabinetu, odwrócona tyłem do biurka. Choć ma własny szklany boks, drzwi pozostają zawsze otwarte i Emma jest przekonana, że dziennikarze, którzy z natury są mistrzami w czytaniu gazet do góry nogami na stołach innych ludzi, potrafią także czytać z ust.

Przez drzwi z nisko zawieszoną mosiężną klamką wchodzę do toalety dla dzieci, znajdującej się na samym końcu holu, gotowa na kryzysową rozmowę. Jest tu lodowato. Okna są częściowo otwarte, ale to i tak nie wystarcza, by przezwyciężyć silny zapach środka dezynfekującego oraz moczu. Uznaję, że mocz ma przewagę. Wchodzę do kabiny, by służyć mej przyjaciółce radą, i siadam na skraju niewielkiej

muszli klozetowej, nogą zamykając drzwi. Słyszę, jak na zewnątrz inni rodzice udają się do klasy, by głosować.

- Lucy, pamiętasz, jak ci mówiłam, że Guy ma fantazje na temat seksu z dwiema kobietami? - szepcze Emma.

- Czy tak właśnie ma na imię twój bankowiec? - pytam. Mówiąc o nim, nigdy wcześniej nie używała jego imienia.

Kolejny znak, że ich związek wkracza w nową fazę. Emma ignoruje moje pytanie.

- Przestał na jakiś czas o tym mówić i przerzucił się na seks w miejscach publicznych, ale nagle znowu zaczął mieć na tym punkcie obsesję.

- Każdy facet fantazjuje o uprawianiu seksu z dwiema kobietami - pochylam się, szepcząc do telefonu - zwłaszcza żonaty ojciec czworga dzieci, ale to nie oznacza, że naprawdę to zrobi. Nigdy nie powinnaś się była na to godzić, nawet pod wpływem chwili.

- No cóż, myślałam, że to tylko fantazja, i jako taka w ogóle mi nie przeszkadzała - odpowiada. - Ale zadzwonił, by mi powiedzieć, że zamówił nam na wieczór dziewczynę, którą znalazł w Internecie: Żonie powiedział, że jest w Paryżu. Mówi, że ona jest naprawdę olśniewająca. Co powinnam zrobić?

Emma jest cała spanikowana. Zastanawiam się przez chwilę.

- Powiedz mu, że miałaś depilację brazylijską i dostałaś od niej wysypki. Zyskasz w ten sposób na czasie, a potem na kolejnym spotkaniu delikatnie mu to wyperswaduj, o ile, rzecz jasna, nie zdecydujesz się przemyśleć tego jeszcze raz - mówię. Po czym, na wypadek, gdybym wydała się zbyt wyzwolona, dodaję: - Powinnaś przynajmniej sprawdzić tę dziewczynę. Może nawet ci się spodoba. Później do ciebie zadzwonię.

Zatrząskuję telefon i siedzę przez chwilę, by odzyskać panowanie nad sobą. Wtedy słyszę jakiś szelest przy zlewie. Natychmiast wiem, że oprócz mnie w tym pomieszczeniu znajduje się ktoś jeszcze. Wstaję z wahaniem i zerkam ponad drzwiami dziecięcych rozmiarów. Nie tylko nie jestem sama, ale to nie kto inny, jak Seksowny Udomowiony Tata właśnie zdejmuje kask rowerowy i koszulkę, odsłaniając wspaniałość lekko opalonego i umięsnionego brzucha w odległości zaledwie dwóch metrów ode mnie. Na szczęście w momencie, gdy patrzę na niego, zdejmuje akurat koszulkę przez głowę. Mimowolnie robię gwałtowny wdech, zakrywam w szoku dłonią usta, po czym ponownie daję nura za drzwi.

Postanawiam stanąć na sedesie z ugiętymi nogami, tak by nie widział moich stóp. Nie mija minuta, a nogi bolą mnie tak bardzo, że muszę wsadzić w usta zaciśniętą pięść i gryźć knykie, byle tylko nie myśleć o bólu promieniującym z mych łydek i górnych części ud. Modłę się o ratunek z tego lilipuciego koszmaru. Nie zasługuję na to, mówię sobie w duchu. Próbuję wyliczyć, kiedy dokładnie wszedł. Jeśli mam szczęście, a jakoś nie wygląda na to, bym miała je akurat w tej chwili, mogło się to zdarzyć na końcu mojej rozmowy z Emmą.

Ponownie zerkam ponad drzwiami, mając zamiar natychmiast się schować, Seksowny Udomowiony Tata jednak jest w trakcie zamieniania spodni rowerowych na dzinsy. Tak naprawdę to stoi teraz w tych samych szarych slipkach, które miałam okazję dostrzec rano. Przyglądam się na tyle długo, by zdać sobie sprawę z tego, że to całe jeżdżenie na rowerze zapewniło mu silne, jędrne pośladki.

Kucam po raz kolejny, ale efekt jest taki, że w stanie szoku spadam z mej grędy. Podchodzi Seksowny Udomowiony Tata i nieufnie otwiera drzwi.

- Lucy, na litość boską, co ty wyprawiasz? Nic ci się nie stało? - pyta.

Pochyla się nade mną i chwyta za ramię, by pomóc mi wstać. Drugą ręką przytrzymuje džinsy, ma rozpiętą koszulę i kiedy wyciąga mnie z ciasnej przestrzeni obok małej muszli klozetowej, moja twarz ociera się o jego brzuch. To niezwykle intymna chwila, ale ja czuję jedynie strach i zakłopotanie. To bardziej zwarcie niż prąd czy też połączenie.

- Ćwiczyłam moją zwycięską mowę - mówię, otrzepując džinsy i starając się nie patrzeć na jego slipy.

- I była taka dobra, że aż cisnęło tobą w bok? - pyta on.

Wychodzę pospiesznie z ubikacji i udaję się na dziedziniec, by zaczerpnąć tak bardzo mi teraz potrzebnego świeżego powietrza.

Kiedy wchodzę do klasy, zebranie jest już w toku i jedyne wolne miejsce to dziecięce krzesło pomiędzy Niezłą Mamušką Nr 1 a Seksownym Udomowionym Tata. Wślizguję się tam i czuję na sobie spojrzenia obecnych w klasie osób, nie bardzo jednak widzę, co dzieje się przy biurku nauczycielki.

Seksowny Udomowiony Tata spogląda na mnie z nerwowym uśmiechem.

- Przegapiłaś głosowanie, Lucy, byłaś o włos od zwycięstwa. Zostałaś wybrana sekretarzem, a ja jestem skarbnikiem - mówi, patrząc z niepokojem na Mamę Alfa. - Ona jest przerażająca.

Niezła Mamuška Nr 1 nachyla się i potwierdza, że głosowała na mnie.

- Dla walorów rozrywkowych.

- Proszę o uwagę was wszystkich - rozbrzmiewa głos Mamy Alfa, mierzącej nas wzrokiem. - Lucy, może zechcesz sporządzać notatki do protokołu - dodaje, podając mi długopis i kartkę papieru.

Następnie Seksowny Udomowiony Tata nachyla się ku mnie i szepcze:

- Nie przejmuj się, Lucy, słyszałem, że sympatyczne trójki to powszechna męska fantazja. Nadal masz ochotę wybrać się na tego drinka? Naprawdę by mi się przydał po tym wszystkim.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie wyciągaj ramienia dalej, niż sięga twój rękaw

Nie taki wynik sobie wyobrażałam. Nie taki wieczór sobie wyobrażałam. Prawdę powiedziawszy, nie takie życie sobie wyobrażałam. Kiedy zebranie dobiega końca, Seksowny Udomowiony Tata mówi od niechcienia, że wychodzi. Nie jestem tym zbyt zmartwiona, gdyż wiem, że gdzieś na ulicy będzie na mnie czekał, więc bez pośpiechu podnoszę torebkę, gawędzę z innymi rodzicami i powoli wychodzę.

Znajduję go na Fitzjohn's Avenue. Czai się pod gałęziami bzu, który wy dostał się z bezpiecznego przedmiejskiego ogrodu, by tworzyć nad chodnikiem buntownicze łuki. Tak gęste, że światło ulicznej latarni oświetla jedynie nogi i znajome konwersy, a ja w duchu gratuluję Seksownemu Udomowionemu Tacie, że znalazł krzewy tak chętne do udziału w naszej intrydze.

Wychodzi spod gałęzi i mówi:

- Lucy Sweeney, jak sądzę?

Śmieję się nieco zbyt skwapliwie, po czym osadza mnie na miejscu uświadomienie sobie, że zupełnie wyleciało mi z głowy jego nazwisko. Wiem, że to jakaś ryba, ale nie mogę sobie przypomnieć, jaka.

- Robert Cod, Robert Haddock, Robert Hake, Robert Dory (Z ang. kolejno: dorsz, łupacz, morszczuk, piotrosz (przyp. tłum.)) - szepczę do siebie, wypróbując różne możliwości. Wiem, że to ryba, którą się łowi w Morzu Północnym.

- Robert Bass ( Bass (ang.) - okoń (przyp. tłum.)) - mówi mi.

Jestem w lekkim szoku, gdyż dociera do mnie, że mówiłam to na głos. Milczę przez chwilę.

- Ilustruję książkę dla dzieci - słyszę własne słowa.

- To niezwykle ekscytujące.

- To są główni bohaterowie. To alegoria na temat zmniejszania się ilości ryb w Morzu Północnym.

- Jest w niej jakiś czarny charakter?

- Crawford Langusta - odpowiadam. - Import z Ameryki. Po czym milknę. Czuję przerażenie i jestem jednocześnie pod wrażeniem własnej umiejętności kłamania na zawołanie. Wiem, że nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach prawda jest subiektywna, niemniej jednak wkraczam w całe nowe sfery oszustwa.

Wolnym krokiem udajemy się do pobliskiego hałaśliwego pubu, który mijamy podczas odprowadzania dzieci do szkoły, wymieniając po drodze kilka frazesów. Zauważam, że kiedy przejeżdża obok nas jakiś samochód, oboje kurczymy się pod płaszcami i nerwowo zerkamy na stopy. Pub znajduje się na cichej ulicy mieszkalnej. Na chodniku przed nim wystawiono ławki i stoliki. Dwa cierpliwe psy z długą sierścią przywiązane są do nóg stołu skórzanymi smyczami, powiązаныmi w skomplikowane węzły. Wstają, by powitać nas z nadzieją. Robert Bass ostrożnie otwiera drzwi i wiem, że omiata pomieszczenie szybkim spojrzeniem, by sprawdzić, czy nie ma tam innych rodziców ze szkoły. Wygląda na to, że dobrze się zna na sztuce podstępów.

Strzępki setek rozmów i nosowe dźwięki starej piosenki Oasis niemal odrzucają nas do tyłu. Kiedy ostatni raz byłam w tym pubie, jakieś sześć lat temu, stanowił on niezbyt zachęcający melanz brudnej wykładziny i beżowych ścian pokrytych obficie żółtą warstwą nikotyny. Jeśli się przejeżdżało paznokciem po tapecie z wypukłym wzorem, zostawał biały ślad. Pod sufitem wisiała na okrągło chmura dymu, a na porozstawianych pod ścianami ławkach leżały długie, nierówne poduszki. Było to miejsce, w którym królowały skręty i smażone krewetki.

Teraz brzydką brązową wykładzinę w krzykliwe geometryczne wzory zastąpiło drewno. Znajdują się tutaj twarde ławki i drewniane krzesła z prostymi oparciami. Bar serwuje oliwki, orzechy nerkowca i warzywne chipsy. Wnętrze jest zminimalizowane i proste, ale znacznie mniej przytulne. Brak miękkich mebli oznacza, że hałas nie ma sobie dokąd pójść. Odbija się od jednej twardej powierzchni do drugiej niczym w kabynie pogłosowej. Ludzie, nawet ci poniżej trzydziestki, otaczają dłońmi uszy, by usłyszeć rozmowy.

Dostrzegam, że jakaś para opuszcza mały okrągły stolik w kącie i prowadzę nas do ławki, która wygląda tak, jakby ostatnie dwa wieki spędziła w niewielkim wiejskim kościele we wschodniej Anglii. Nie pasuje tu w takim samym stopniu jak my. Na oparciu ma wyryte postacie świętych w długich szatach i starannie wyrzeźbione wybrzuszenia, które wbijają nam się boleśnie w tył głowy. Jest niska, wąska, wyjątkowo niewygodna i zmusza nas do natychmiastowej fizycznej zażyłości. Opieramy się o siebie niczym para starych drzew, które przez lata były zmuszone do pozostawiania w związku niechcianej fizyczności, by stanowić dla siebie nawzajem wsparcie. Jedyny problem w tym, że pozostając w tej pozycji, nie możemy się ruszać. Kiedy on krzyżuje nogi, ja tracę równowagę i przechylam się w stronę stolika, kiedy zaś ja pochylam się do przodu i odrywam ramię od jego ramienia, on odpływa w próżnię.

Robert Bass mówi, że prawie nigdy nie chodzi do pubów, ponieważ nie może znieść dymu. Przyznaję mu rację, nogą wsuwając paczkę playersów na dno torby. Prawda jest taka, że minęło tyle czasu, odkąd byliśmy w pubie, że przez chwilę siedzimy i jedynie się przyglądamy.

- Wydaje mi się, że moglibyśmy powiedzieć Mamie Alfa, że nie mamy zamiaru się angażować - odzywam się,



przyglądając się uważnie podkładce pod piwo. - To wszystko jest zbyt absurdalne. Ona należy do kobiet, które nie powinny były rezygnować z pracy zawodowej, ma w sobie za dużo niecierpliwej energii.

- Prawdę mówiąc, to po wszystkim dyrektorka przyparła mnie do muru i powiedziała, oczywiście zupełnie prywatnie, że byłaby bardzo wdzięczna, gdybyśmy mogli „powściągnąć brak umiaru”; to jej słowa, nie moje - wyjaśnia Robert Bass, z podkładek do piwa tworząc skomplikowaną konstrukcję na swojej części stolika. - Powiedziała, że byłaby to operacja mająca na celu zmniejszenie szkód. Głosowała przeciwko niej. Chciała, żebyś ty wygrała.

- Musimy więc przez to przejść? - pytam, starając się, by w moich słowach nie było słycać zbyt dużej nadziei.

- Tak - odpowiada. - Na przyszły tydzień zwołała zebranie w swoim domu, by dokonać uzgodnień odnośnie imprezy bożonarodzeniowej. Możemy tam jechać razem.

Uśmiecha się lekko. Jest to półuśmiech z wysuniętą do przodu dolną wargą, jakby mimowolny. Nie ośmielam się patrzeć na niego, bo za dużo między nami podtekstów, i gdybym spojrzała mu w oczy, mogłoby mnie wessać do środka. Zaczynam natomiast obdzierać rogi podkładki.

Wiem, że on mi się przygląda, i czuję, jak gorąco płynące z jego twarzy pali mi lewy policzek. Odwrócenie się w jego stronę wymaga czegoś więcej niż dwudziestostopniowej rotacji głowy. Dyskretne ruchy mają czasami dużo większe znaczenie niż doniosłe gesty, zwłaszcza kiedy dotyczą ludzi pozostających w związkach małżeńskich. Odwracam się, napotykam jego spojrzenie i nieco zbyt długo wpatrujemy się w siebie w milczeniu. Następnie odzywamy się w tym samym momencie.

- Myślę, że gdybyśmy oboje nachylili się jednocześnie do przodu, moglibyśmy zdjąć płaszcze i żadne z nas nie spadłoby z tej ławki - mówi Robert Bass.

Pozbywamy się więc warstw grubych płaszczy i szalików i wiem, że kiedy ponownie się oprzemy, nasze gołe ramiona będą się stykać i wtedy wszystko może się zdarzyć.

- Chyba powinnam przynieść nam coś do picia - mówię. Robert Bass odpowiada, że musi zadzwonić do au pair, by ją uprzedzić, że wróci później. Jego żona jest jeszcze w pracy.

- Rzadko wraca do domu przed dziesiątą, a następnego dnia wychodzi do pracy o wpół do ósmej. Czasami nie widuję jej przez kilka dni i komunikujemy się za pomocą maili oraz pozostawianych w kuchni kartek - wyjaśnia.

W jego głosie nie ma ani śladu gorzkości. To jedynie stwierdzenie faktu. Porządny, postmodernistyczny, wirtualny związek.

Podkładka do piwa leży na małym stoliku cała w strzępach. Została rozdzielona na pół, a potem porozdzierana na maleńkie kawałki, które spadają na podłogę, gdy obok naszego stolika przechodzą ludzie. Pamiętam czasy, dawno temu, kiedy darcie podkładek na małe kawałki stało się użyteczną czynnością zastępczą podczas trudnych rozmów.

Wstaję, by udać się do baru, i postanawiam, że nie zadzwonię do teściowej. Pewnie i tak jest już w łóżku, gdyż pomimo zapewnień, że nigdy nie zasypia przed naszym powrotem do domu, ani razu nie zastaliśmy jej rozbudzonej podczas tych rzadkich okazji, kiedy przegapiliśmy swoją godzinę policyjną, a poza tym, gdybym zadzwoniła po to, by powtórzyć to, co już zostało powiedziane, nawet jeśli miała nastąpić maleńka zmiana w ustalonym planie, z całą pewnością wywołałabym niewspółmierną reakcję.

Przeciskam się przez tłum przy barze, by znaleźć się na początku, po czym czekam niczym pełne nadziei psy na

zewnątrz. Podskakuję, staję na palcach, macham, następnie staję na mosiężnej barierce, która biegnie na dole baru, zyskując jakieś piętnaście centymetrów. Nadal jednak pozostaję niewidoczna.

Obok mnie pojawia się dziewczyna. Wygląda na jakieś dwadzieścia lat i ma na sobie srebrną minisukienkę, kozaczki do kolan i żadnych rajstop, choć przecież jest zima. Długie ciemne włosy zwisają wokół jej twarzy w sposób, który wygląda na swobodny, ale najpewniej całe wieki trwało uzyskanie takiego efektu. Natychmiast podchodzi barman i przyjmuje od niej zamówienie. Obok mnie jakiś mężczyzna jednocześnie rozmawia przez komórkę i zamawia drinki. Odwracam się i zerkam w stronę Roberta Bassa, a on odpowiada mi lekko zdziwionym spojrzeniem. Wzruszam ramionami i powracam do czekania przy barze, myśląc o ostatnim razie, kiedy z taką namiętnością darłam w pubie podkładki do piwa.

Jak to jest, że nie udaje mi się zebrać do kupy podstawowych faktów z wczoraj, a jednak coś, co wydarzyło się ponad dziesięć lat temu, powraca do mych myśli z takim bogactwem szczegółów? Dokładnie jedenaście lat temu. Tom i ja krótko wcześniej wprowadziliśmy się do mieszkania w zachodnim Londynie. Pewnego wieczoru wracałam do domu z pracy, mniej więcej o jedenastej. Byłam nieco wstawiona. Właściwie to wracałam wcześniej niż zazwyczaj. Nazajutrz musiałam wstać rankiem, by jechać do Manchesteru, więc koledzy z pracy wsadzili mnie do taksówki i kazali iść spać. Tom powiedział mi wcześniej, że wychodzi gdzieś z kumplami. Bez szczegółów. Prowadziliśmy wtedy tak intensywne życie, że nakreślaliśmy jedynie zarysy, dopiero później zaś wypełnialiśmy je detalami.

Kiedy dojechałam do naszej ulicy, okazało się, że jest zablokowana przez radiowóz. W pobliżu Uxbridge Road

dokonano jakiegoś napadu i skierowano nas na ulicę równoległą. W ogóle nie powinno więc mnie tam być. I kiedy jechaliśmy powoli tą ulicą, zobaczyłam całującą się parę. Mężczyzna przysiadł na niskim murku przed niewielkim domem segmentowym i przyciągnął kobietę między swe nogi, tak że stykali się ze sobą górnymi częściami ciała, przechylając się w stronę rosnącego za murkiem żywopłotu. Wiedziałam, jeszcze zanim zdążyłam zobaczyć twarz tego mężczyzny, że to Tom. Widziałam znajomą oszczędność ruchów w sposobie, w jaki jedna z jego dłoni dotykała kobiety, palec niespiesznie zataczał małe kółka na jej karku, po czym przeniósł się na dekolt jej T - shirtu. Odchyliła się z wyraźną przyjemnością, a on ją pocałował.

Kazałam taksówkarzowi zatrzymać się, ponieważ musiałam zadzwonić. To było na samym początku ery technologii komórkowej i telefon był tak duży, że zasłaniał mi większość twarzy. Skuliłam się na tylnym siedzeniu taksówki i zadzwoniłam do Cathy.

- To ja - wyszeptałam, choć Tom nie miał szansy mnie słyszeć.

- Wszystko w porządku, Lucy? - zapytała, ponieważ zamilkłam.

- Chyba tak. Siedzę w taksówce, przyglądam się, jak Tom ma dość intymne kontakty z inną kobietą, właściwie to bardzo intymne, wzięwszy pod uwagę, że znajdują się w miejscu publicznym, mniej niż sto metrów w linii prostej od naszego mieszkania...

- Lucy, powiedz mi w skrócie, co konkretnie widzisz - poleciała.

- Widzę więc, jak całuje jakąś kobietę. Przynajmniej tak mi się wydaje, że to kobieta, ponieważ druga możliwość byłaby zbyt okropna, gdyż uważam, że kobiety potrafią być

biseksualne, natomiast mężczyźni, którzy mają ciągotki do obu płci, to z całą pewnością geje, choć istnieją wyjątki...

- Lucy, wiem, że to trudne, ale proszę, trzymaj się sedna sprawy - przerwała mi Cathy.

- Cóż - zaczęłam ponownie. - Widzę, jak całuje jakąś kobietę z krótkimi ciemnymi włosami. Ma na sobie dzinsową minispódniczkę rozpinaną z przodu, obcisły top i klapki. Niewiele pozostawiła wyobraźni. Minus jest taki, że to pocałunek z gatunku stanowiącego preludium do czegoś bardziej intymnego. Z drugiej jednak strony tak się całuje ludzi tylko wtedy, kiedy smakują nowością i podekscytowaniem, nie może więc się to ciągnąć zbyt długo. Wchodzą do ogrodu tego domu i wydaje mi się, że są za żywopłotem. Resztę mogę sobie tylko wyobrazić.

- Jesteś pewna, że to on? Wiesz przecież, jakim jesteś krótkowidzem.

- Oczywiście, że jestem pewna; znajduję się tak blisko, że gdybym otworzyła okno i wychyliła się, mogłabym go prawie dotknąć.

- To okropne. Co za gówno, Lucy.

- Jeszcze jedno. Pomijając fakt, że ta kobieta jest dokładnie moim przeciwieństwem, wydaje mi się, że ją poznaję. Jestem całkiem pewna, że w zeszły weekend była na imprezie u Emmy. Chyba razem pracują.

- Rozmawiali ze sobą na tej imprezie? - zapytała Cathy.

- Zauważyłam, że przez jakiś czas rozmawia z tą samą kobietą, ale w ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

- Co więc zrobisz? Chcesz, żebym do ciebie przyjechała?

- Nie, nie przejmuj się, coś wymyślę, chciałam powiedzieć ci o tym, ponieważ to pomaga złagodzić cios. Zadzwoń jutro.

Przez kilka minut wpatrywałam się w żywopłot, wiedząc, że Tom i ta kobieta znajdują się za nim. Strasznie mnie kusiło,

by wysiąść z taksówki i tak długo stać przy bramce do ogrodu, aż mnie zauważą. Wiedziałam jednak, że gdybym rzeczywiście usłyszała, co się dzieje, odtwarzałabym po wielokroć tę samą scenę dodatkowo z odgłosami i nie byłoby od tego odwrotu. Podśluchiwanie, jak ktoś uprawia seks, jest dużo gorsze niż przyglądanie się temu z wyłączonym dźwiękiem.

A więc oto, co zrobiłam, choć nigdy nikomu o tym nie powiedziałam, ponieważ w następnych miesiącach odgrywałam rolę pokrzywdzonej dziewczyny i czułam, że dam radę utrzymać wszystko w kupie, o ile tylko będę mieć podtrzymujący mnie sekret.

Zamiast udać się do domu, powiedziałam kierowcy, by zabrał mnie z powrotem do pracy i czekał na zewnątrz przez dwadzieścia minut. Wszyscy nadal pili tanie wino w Green Roomie, zapuszczonej, wysłużonej i dusznej sali w piwnicy pod studiami. Kończyliśmy tam każdego wieczoru po emisji Newsnight, razem z gośćmi, którzy przybyli do programu, jedząc kiepskie pasztety i wiórowate kanapki, leżące tutaj od wielu godzin. Kolegów nieszczególnie zdziwiło moje ponowne pojawienie się i wiedziałam, że zwłaszcza jeden z nich w duchu się ucieszył.

Ponieważ mężczyzna ten jest obecnie dość znanym filmowcem, raczej nie fair byłoby wymieniać go tutaj z nazwiska. Jakkolwiek jednak niewiarygodnie brzmiałoby to teraz, w tamtym czasie oboje byliśmy starszymi producentami w BBC i łączyła nas jedna z tych zawodowych relacji, która oscylowała od otwartej rywalizacji do bezwstydnego flirtu. Tamten wieczór okazał się szczególnie stresujący. Udało mi się dostarczyć taśmę o nielegalnych imigrantach, których znaleziono martwych na pace ciężarówki w Kent, o 10.28, dwie minuty przed rozpoczęciem emisji programu, przebijając tego mężczyznę w ważności dostarczonych newsów i

otrzymując rzadką, a przez to niezwykle cenną pochwałę od Jeremy'ego Paxmana.

Weszłam ponownie do Green Roomu w brawurowym nastroju, odczuwając dziwną euforię, choć z perspektywy czasu uważam, że najprawdopodobniej znajdowałam się w stanie szoku. Ten mężczyzna podszedł do mnie i podjęliśmy rozmowę, którą zawiesiliśmy niespełna godzinę wcześniej. Nazajutrz wyjeżdżał na tydzień do Kosowa.

- Wiem, że to pewnie pytanie trochę nie z tej planety, Lucy, ale czy nie chciałabyś pojechać do mnie do domu? - zapytał kilka minut po tym, jak się pojawiłam.

To było proste. Zero wstępów. Całowaliśmy się i obściskiwaliśmy ile się dało w taksówce, świadomi tego, że kierowca obserwuje nas w lusterku, po czym wślizgnęliśmy się cicho do jego domu, tak by nie widzieli mnie jego współlokatorzy. Miał dziewczynę, z którą się później ożenił, ale w tamtym czasie nie mieszkali razem.

Uprawialiśmy seks kilka razy. Nacechowany był namiętnością wywołaną miesiącami niepohamowanego flirtu i świadomością, że to się już nigdy więcej nie zdarzy. Powiedział mi wtedy, że chyba się we mnie zakochał, na co ja mu odpowiedziałam, że on kocha wszystkie kobiety i że zapomni o mnie, gdy tylko ponownie spotka się ze swoją kosowską tłumaczką. Wyglądał na zaskoczonego, ponieważ zdążył zapomnieć, że powiedział mi o tym, a ja uznałam, że to dobry moment, by wezwać kolejną taksówkę, która zawiozła mnie do domu.

Kiedy wreszcie wróciłam do naszego mieszkania, Tom leżał w łóżku i udawał, że śpi. Jego koszula leżała starannie złożona na krześle i kiedy się nachyliłam, by powąchać kołnierzyk, poczułam mdlący zapach Opium, perfumowe tło dla tak wielu związków w latach dziewięćdziesiątych. Powitał mnie wylewnie i skończyło się to tak, że uprawialiśmy seks.

Żadne z nas nie zapytało, gdzie było to drugie. Przez następne trzy tygodnie martwiłam się tym, że mogę być w ciąży, że Tom może nie być ojcem, że ktoś się dowie. Obiecałam sobie, że nigdy ponownie nie wplączę się w tego typu sytuację, ponieważ w przeciwieństwie do Emmy, która często angażowała się w romanse o skomplikowanych kształtach, od trójkątów do sześciokątów, ja nie potrafiłam z tym sobie poradzić. Uznałam, że pasuje mi monogamia.

Następnego dnia przejrzałam kieszenie Toma i znalazłam numer telefonu zapisany dzieciennym pismem na kawałku papieru. Miał ten sam prefiks co numer Emmy, więc zadzwoniłam do niej, wyjaśniłam zaistniałą sytuację, a ona powiedziała mi, jak się nazywa ta kobieta. Joanna Saunders. Pracowała w dziale towarowym. I wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że nie jest trudno nienawidzić kogoś, kogo się zupełnie nie zna.

Emma, której przeznaczeniem już wtedy były górne szczeble kariery i znajdowała się o kilka z nich wyżej niż Joanna Saunders, umówiła ją ze mną na lunch, mówiąc, że zajmuję się transakcjami pochodnymi i że mogę się okazać świetnym źródłem historyjek finansowych.

Pojawiłam się w pubie z przyklejonym do twarzy uśmiechem, który po drodze ćwiczyłam w lusterku, podeszłam do niewielkiego okrągłego stolika i usiadłam naprzeciwko Joanny. Jeszcze zanim podała mi dłoń i potwierdziła nazwisko, poczułam zapach perfum. Ogarnęły mnie mdłości. Postanowiłam od razu przejść do sedna, jako że w takich sytuacjach nie ma sensu uprawiać gadekszmatek.

- Jestem dziewczyną Toma - oświadczyłam. Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś tak zdumionego. Jej twarz rozpadła się na wiele kawałków, ukazując tyle uczuć w tak krótkim czasie, że pomyślałam, iż może nigdy nie złożyć się z powrotem w całość. - Nie ma zbytnio sensu kłamać, ponieważ



widziałam was razem któregoś wieczoru, więc powiedz mi, co się dzieje. Nie chcę urządzać sceny i jestem pewna, że ty także nie, ponieważ znajduje się tutaj wielu twoich kolegów z pracy - dodałam, machając do Emmy siedzącej w drugim kącie sali.

Joanna powiedziała mi, że poznali się na imprezie u Emmy.

- Przykro mi, ale to niewystarczające szczegóły - stwierdziłam.

- Tam się po raz pierwszy spotkaliśmy - uzupełniła. Przyłapałam się na tym, że podziwiam jej cerę. Była blada i angielska. W pełnych ustach trzymała słomkę, przez którą piła dietetyczną colę. Włosy miała obcięte na bezładnego pazia i wciąż odsuwała z twarzy potargane pasma. Ubrana była w grozdkowozielony płaszcz z różową podszewką z jedwabiu i potrzebowałam dużo samokontroli, by nie zapytać, gdzie go kupiła.

- Wiedziałaś, że ma dziewczynę? - zapytałam, ściskając kieliszek z winem tak mocno, że pomyślałam, iż może pęknąć.

- Tak, powiedział mi, że mieszkacie razem i że najprawdopodobniej weźmiecie ślub - odparła.

Tego się nie spodziewałam.

- Spaliście ze sobą?

- Tak - powiedziała, nie podnosząc wzroku. - Zadzwoił do mnie kilka dni po imprezie i poszliśmy na drinka do pubu niedaleko mojego domu, a potem wróciliśmy do mnie i on został do około trzeciej nad ranem.

Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy to mogło być, i powstrzymałam chęć wyjęcia terminarza i natychmiastowego określenia tego z największą dokładnością.

- Ile razy uprawialiście seks? - zapytałam.

Choć mogło się to wydawać masochistyczne, było coś uspokajającego w ustalaniu faktów, tak jakby mogło to nadać wszystkiemu sens.

- Nie pamiętam - odparła. - Naprawdę chce pani to wszystko wiedzieć?

- Uprawialiście seks tamtego wieczoru?

- O czym pani mówi?

- Widziałam was na ulicy zaraz obok stacji metra.

- Nie. Chcieliśmy, ale przerwali nam właściciele domu, no i Tom powiedział, że musi iść, ponieważ pani miała niedługo wrócić - rzekła Joanna Saunders.

Tym razem do jej oczu wkradł się wyzywający wyraz - było to spojrzenie, którym kobieta obdarza inną kobietę, gdy wie, że trzyma w ręku część kart.

Wtedy podniosłam z podłogi torebkę, wyjęłam komórkę i zadzwoniłam do Toma.

- Mam tutaj kogoś, kto chce z tobą porozmawiać - rzekłam tonem niezdradzającym niczego, podając telefon Joannie Saunders, której twarz była w tej chwili bardzo blada.

- Powiedz coś do niego.

- Cześć, Tom, ja, eee, jestem na lunchu z twoją dziewczyną - odezwała się do słuchawki. - Chyba lepiej będzie, jak natychmiast się tu zjawisz, ponieważ ja sobie z tym nie radzę.

Jakieś dziesięć minut później w pubie pojawił się Tom. Podeszła do niego Emma, pocałowała na powitanie i zaprowadziła do stolika, przy którym siedziałam w towarzystwie Joanny Saunders. Nalałam mu kieliszek wina z butelki, z której piłam.

- Lucy, uważam, że powinniśmy o tym porozmawiać gdzieś indziej, sami - rzekł poblądły, wiedząc, że został przyparty do muru.

- Uważam, że powinniśmy porozmawiać o tym teraz i tutaj. Obecne są wszystkie główne postacie - oświadczyłam. - A poza tym, jeśli kiedykolwiek ponownie przyjdzie wam ochota na wspólny seks, zawsze przypomnicie sobie tę chwilę,

a wydaje mi się, że to z całą pewnością przytemperuje wasz apetyt. Szczęśliwe zakończenia potrzebują dobrych początków, a to się na coś takiego nie kwalifikuje.

Joanna Saunders skuliła się na swoim krześle, a ja siedziałam, drąc podkładki do piwa.

- Lucy, tak bardzo cię przepraszam - rzekł Tom, wyglądając na zrozpaczonego. - To nic nie znaczyło. To była chwila szaleństwa. Już się nigdy więcej nie powtórzy. - Milczałam.

- Tak często cię nie było w domu. Oddalaliśmy się od siebie; nie mów mi, że ciebie nigdy nie kusiło.

- Owszem, ale nigdy się temu nie poddałam. A to wielka różnica. W niewierności nie ma szarych stref.

Myślę, że to było największe kłamstwo, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się powiedzieć, i wiedziałam, że pewnego dnia przyjdzie mi za nie zapłacić. Nie chciałam po prostu wyrównywać rachunku od razu wtedy. Nigdy jednak nie nadszedł odpowiedni moment na takie wyznanie i kiedy z biegiem czasu wszystko wróciło do normalności, absurdalne wydawało się ponowne rozdrapywanie ran. A poza tym przyzwyczaiałam się do tego, że Tom stara się zmienić na lepsze. Znacznie łatwiej jest odgrywać rolę ofiary niż czarnego charakteru. A gdybym nie przeżyła tamtej rozpoczętej w Green Roomie nocy, wtedy być może nigdy nie wybaczyłabym Tomowi.

- Czego sobie pani życzy, młoda damo? Przepraszam, chce pani coś do picia czy też stanowi pani dekorację? - pyta barman.

Wtedy sobie przypominam, że jeśli chcesz być obsłużony w londyńskim pubie, musisz być nonszalancki, tak jakby w gruncie rzeczy nie zależało ci na tym. Żadnych słów, jedynie kilka subtelnych ruchów dłonią.

- Poproszę kieliszek wina i dwa kufle piwa - mówię, zadowolona z własnej efektywności. Zastanawiam się, kiedy po raz ostatni ktoś nazwał mnie młodą damą.

- Jakie piwo? - pyta całkiem słusznie.

- A jakie macie?

- Cóż, skoro już pani pyta, to gorzkie, jasne pełne i portera.

- Co zamawia większość mężczyzn? Patrzy na mnie obojętnie.

- Cóż, to kwestia tego, co kto lubi. Mamy Adnamsa, IPA, Stella Artois, co tylko sobie pani życzy. Co zazwyczaj pije pani chłopak?

- To nie jest mój chłopak - odpowiadam lodowato.

- No to w takim razie pani mąż - mówi, patrząc na obrączkę na moim palcu.

- Nie jest także moim mężem. Barman unosi jedną brew.

- Czy lubi jasne piwo? - pyta cierpliwie.

- Nie jestem pewna, co lubi - odpowiadam, wzdychając. -  
Wie pan co, poproszę o dwa kufle tego - dodaję, wskazując na najbliższy kurek.

Wracam więc do stolika, tuląc do piersi trzy drinki, kontemplując chwilę, kiedy usiądę i się dotkniemy. Ciało przy ciele. To nieuchronne, gdyż ławka jest taka wąska. Oczekiwanie przypomina wpatrywanie się w talerz z pysznym jedzeniem, kiedy człowiek jest naprawdę wygłodniały i powstrzymuje się jak najdłużej dla tego pierwszego kęsa, wiedząc, że żaden późniejszy nie będzie smakował tak dobrze ani nie będzie tak satysfakcjonujący.

- Dzięki, jesteś bardzo hojna - mówi Robert Bass.

Stawiam drinki, obchodzę stolik, by dojść do ławki, siadam, krzyżuję nogi, kładę przedramię na udzie i opieram się, uderzając głową o ostrą, spiczastą stopę jednej z małych

rzeźbionych figurek na oparciu. To święty Eustachy, patron trudnych sytuacji.

Robert Bass pochłonięty jest ustawianiem piw. Przez chwilę martwię się, że ustawia je w linii, sprawdzając odległość pomiędzy kuflami w sposób, który przypomina mi Toma. Nie dlatego, że manie mojego męża mi przeszkadzają, ale z tego powodu, że naprawdę nie chcę myśleć o nim właśnie teraz.

Wtedy uświadamiam sobie, że tak naprawdę Robert Bass przesuwa je na bok, tak by móc podnosić kufel lewą ręką. Stwierdzam natomiast, patrząc na nieco bardziej rozwinięte mięśnie jego prawego ramienia, że z całą pewnością nie jest leworęczny. Co oznacza, że powstała kombinacja ruchów, dzięki którym jego prawe ramię znajduje się w pozycji równoległej z moim, jest dokonana z premedytacją. Zachwycam się misternością tego planu.

Emanuje z nas instynktowna potrzeba kontaktu, tak jakbyśmy byli w stanie odprężyć się dopiero wtedy, gdy pokonamy tę przeszkodę. Czuję gorąco bijące od jego ramienia i każdy najmniejszy ruch. Jestem nawet w stanie zmierzyć szybkość i siłę jego oddechu. Czekam na wydechy, ponieważ wtedy włoski na jego ramieniu delikatnie ocierają się o wrażliwą skórę mego przedramienia, a poczucie straty ogarnia mnie za każdym razem, kiedy on czyni wdech i oddala się ode mnie.

Żadne z nas nie powinno być tutaj. Teraz, kiedy siedzę przy stoliku, wiem z absolutną pewnością, że w małżeństwie nie ma przestrzeni pozwalającej na późnowieczorne drinki z osobami praktycznie obcymi w miejscu, na które przystaliście oboje, ponieważ skrycie rozumiecie, iż istnieje małe prawdopodobieństwo tego, że wpadniecie tam na kogoś znajomego. Wypływam na nieznane wody, lekkomyślnie oddalając się od brzegu, ale nie jest to nieprzyjemne uczucie.

- Jak ci idzie książka? - pytam.

Nerwowo pocieram grubym pasmem włosów o górną wargę, by podrapać się po czubku nosa. To nawyk, którego nabrałam wiele lat temu podczas powtarzania do egzaminów. Muszę się postarać i wymyślić inne tematy ogólnej rozmowy, ale ten przynajmniej gwarantuje choć trochę rozwinięcia.

- Nie pytaj - mówi, opuszczając wzrok na piwo. - Poradziłem sobie z tamtym kryzysem, ale teraz uwikłałem się w nowy.

- A jaki kształt przybrał ten nowy kryzys? - pytam.

- Naprawdę cię to interesuje? Obiecuję, że nie poczuję się urażony, jeśli jest inaczej - mówi i nie czeka na moją odpowiedź. - Piszę rozdział o tym, jak wstrząsy polityczne w Ameryce Łacińskiej wpływały na przemysł filmowy w latach osiemdziesiątych.

Milczę, ponieważ jego ramię mocno się teraz opiera o moje i martwię się, że jeśli coś powiem, on może je przesunąć. Zastanawiam się, czy jest w takim stopniu jak ja świadomy tej bliskości. Może przecież myśleć o tym, czy Arsenal wygrał dzisiaj z Charlton, albo o estetycznych wartościach wąsów podkreślonych do góry, takich jak u głównego bohatera westernów zapatowskich. Gorące, zatłoczone puby nagle wydają się pełne niezliczonych możliwości. Bardzo się staram skoncentrować.

- Kilka filmów z Ameryki Łacińskiej zdobyło naprawdę spory rozgłos, tak jak Wersja oficjalna, który bądź co bądź zdobył Oscara, o czym oczywiście muszę wspomnieć. Opowiadał o kobiecie, która odkryła, że adoptowane przez nią dziecko zostało skradzione matce przez wojsko. Potem, rzecz jasna, nastał nurt hollywoodzkich hitów takich jak Salvador Olivera Stone'a, który jest szczególnie interesujący, zważywszy na interesy USA w Ameryce Środkowej. Mam dylemat, czy analizować, jak europejscy i amerykańscy

filmowcy byli inspirowani tymi samymi wydarzeniami oraz jak różne mają kulturalne i polityczne podejście do tego samego tematu.

- Bardzo interesujące - mówię nieprzytomnie. Powietrze ponownie staje się ciężkie od ciszy, postanawiam więc raz jeszcze udać się do baru i kupić jakieś chipsy.

Kiedy wracam, dostrzegam, że po drugiej stronie naszego stolika pojawił się taboret. Zdążyłam już się poczuć jak właściciel naznaczonego przez nas terytorium i zastanawiam się, skąd się tam wziął. Wtedy dostrzegam leżący na wierzchu znajomy kozuch.

- Nie jesteśmy sami - odzywa się Robert Bass.

Pojawia się Niezła Mamuśka Nr 1 i siada na taborecie. Zauważam, że ma tak mały tyłek, iż nic jej nie zwisa. Ubrana jest w białą koszulową bluzkę, która podkreśla idealny dekolt.

- Odpowiadając na twoje pytanie, uważam, że powinieneś jak najbardziej zawrzeć i jedno, i drugie. Dzięki temu zwiększy się grono odbiorców twojej książki, a mając na uwadze to, co w tej chwili dzieje się w Iraku, w samą porę przypomni to o innych błędach polityki zagranicznej USA - mówię. Cóż za wspaniała odpowiedź. Jestem z siebie dumna.

- Tak więc uczynię - uśmiecha się do mnie Robert Bass. - Potrzebowałam kogoś, kto poprze moje zdanie. Dzięki.

- Spotkanie intelektów, jak widzę - odzywa się Niezła Mamuśka Nr 1, przyglądając się naszym ramionom. - Cóż, fajnie tu jest. Bardzo przytulnie.

Ze wszystkich sił staram się odsunąć od Roberta Bassa.

- Chyba zamówię szampana.

- Nie jestem pewna, czy w pubach można kupować szampana na kieliszki - mówię.

Mimo że dla nas pub może stanowić umiarkowanie nieprzyjazne środowisko, potrafimy przynajmniej wtopić się w tło. Dla Niezłej Mamuśki Nr 1 jest to miejsce totalnie obce.

Przywołuje gestem ludzi, by zamówili dla niej drinki, po czym proponuje młodej dziewczynie w srebrnej sukience napiwek, jeśli zanieśie do szatni jej płaszcz. Kulę się z zakłopotania.

- Właściwie to myślałam o butelce - mówi z podekscytowaniem. - To znaczy wiem, że ściśle rzecz biorąc nie ma czego świętować, ale być może powinniśmy smucić się z klasą. - Wstaje i udaje się do baru.

- W grupie bezpieczniej - odzywa się Robert Bass.

- Nie dla owiec - mówię, wskazując na kozuch, a on się śmieje.

- Powiedziała, że jechała do domu i zobaczyła, jak wchodzimy do pubu, i pod wpływem impulsu postanowiła do nas dołączyć. - Wzrusza ramionami. - Naprawdę cię dopingowała podczas głosowania. Kiedy Mama Alfa oświadczyła, że jesteś osobą, która dałaby snickersa dziecku z alergią na orzeszki, ona wstała i powiedziała, że można o tobie mówić wiele rzeczy, ale nikt nie może ci zarzucić, że jesteś mało troskliwą matką, i że zmieniłaś w życiu więcej pieluch, niż ona zjadła kromek chleba.

- To z całą pewnością prawda, ponieważ od lat jest na diecie eliminującej pieczywo - stwierdzam. - A ty co powiedziałeś?

- No cóż, tak naprawdę to nic nie powiedziałem - odpowiada. Muszę wyglądać na rozczarowaną, gdyż dodaje: - Uznałem, że mogłoby to wyglądać tak, jak... - Wtedy milknie, a ja przyglądam mu się, pragnąc, by dokończył to zdanie, w przeciwnym wypadku spędzę resztę nocy i cały następny tydzień na zastanawianiu się, co też chciał powiedzieć. - Pomyślałem, że mogłoby to wyglądać, jakbym...

Ale tak jak i ja jest pochłonięty obserwowaniem Niezłej Mamuśki Nr 1. Przyglądamy się ze zdumieniem, jak tłum ludzi rozstępuje się bez szemrania, by umożliwić jej przejście,



a barman natychmiast podchodzi przyjąć od niej zamówienie. Rozpoznają w swoim gronie egzotyczne stworzenie. Wraca do stolika z pustymi rękami, a ja patrzę na nią ze współczuciem.

- Ten miły człowiek wszystkim się zajmie - wyjaśnia.

I jak na zawołanie kilka minut później do stolika podchodzi troskliwy barman z butelką szampana, którą otwiera teatralnym gestem, oraz paczką papierosów.

- Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, że się do was dosiadłam. Naprawdę potrzebowałam odprężenia po tej porażce. Oddzwoniłaś do tej przyjaciółki, która ma kryzys? Wisi nam wszystkim drinka. Gdybyś nie zniknęła wtedy, byłby remis - mówi Niezła Mamuśka Nr 1.

Robert Bass przesuwają się z zażenowaniem na ławce i między naszymi ramionami otwiera się przepaść. Nie mam pojęcia, ile jej powiedział, więc wybieram odpowiedź wymijającą.

- Później do mnie zadzwoni - mówię, starając się uniknąć rozwijania tematu.

Choć Niezła Mamuśka Nr 1 należy do kobiet, które ujawniają jedynie najmniej znaczące fakty ze swego życia, cechuje ją niesamowita umiejętność podstępnego nakłaniania innych ludzi do strasznej niedyskrecji, po czym odnoszenia się z dezaprobatą do ich emocjonalnej niepowściągliwości.

Nie można o niej powiedzieć, że jest nieżyczliwa. Tak naprawdę jest uprzejma i troskliwa, choć podejrzewam, że wielu z nas nieszczególnie ją interesuje. Pewnie lubi rywalizować, ale ja nie jestem ani wystarczająco bogata, ani wytworna czy chuda, by kwalifikować się na prawdziwą rywalkę. Nie jestem również dostatecznie obyta, na co składa się skomplikowana wiedza, ile nosić rzeczy z Top Shop, ile designerskich, a ile vintage. Nie mogę powiedzieć, czy ona stoi na pewnym gruncie, ponieważ o jej życiu wiem nie więcej niż przed rokiem, kiedy ją poznałam. Czasem pojawiają się

oznaki wskazujące na złożony dialog wewnętrzny. Może jej życie ma po prostu łatwy scenariusz. Żadnych chwil przygnębienia. Żadnych wątpliwości.

Kiedyś chwytałam tych kilka okruchów, które mi rzucała, szukając wskazówek odsłaniających czający się gdzieś w tle ponury dramat. Ale nie mogłam zadawać tyle pytań, żeby ocenić, czy jej potrzeba coraz bardziej ekstrawaganckich przeróbek domu może odzwierciedlać wewnętrzny kryzys związany z jakością jej szczęścia.

Dzisiaj zwracam uwagę na to, że na lewej dłoni ma przyklejony duży plaster i opatrunek. Jej dłonie są kościste i drobne, niemal jak u dziecka, a skóra tak przezroczysta, że pod jej powierzchnią widać strukturę kości. Sprawiają, że ma się je ochotę ująć i głaskać.

- Co ci się stało w rękę? - pytam w nadziei na trop, który mógłby prowadzić do jakiegoś skrywanego dramatu.

- To nieco krępujące - odpowiada Niezła Mamuśka Nr 1 konspiracyjnie, a ja nachylam się ku niej, ponieważ z całą pewnością stanowi to obietnicę zwierzeń. - Mój mąż musi lecieć na kilka dni do Brukseli - kontynuuje - zabrał mnie więc na kolację do Ivy i gdy próbowałam uciąć szczególnie oporny staw w odnózu homara, nożyczki się obsunęły i rozcięły mi skórę dłoni.

Śmieje się głośno. Próbuje ukryć rozczarowanie.

- A to się niefortunnie złożyło - mówię. - Jak ci minął dzień?

- Zajęty, zajęty, zajęty - odpowiada.

Już jakiś czas temu zauważyłam, że Niezła Mamuśka Nr 1 często powtarza słowa trzy razy, zwłaszcza przymiotniki. To cecha, którą omawiałam z Tomem. Choć przyznał, że taki tik może stanowić efektywną strategię odpierania pytań, nie miał ochoty na dalszą analizę.

„Ta kobieta ma świetny tyłek, to wszystko, co muszę o niej wiedzieć” - rzekł wtedy mój mąż.

- Co dokładnie, dokładnie, dokładnie robiłaś? - nie daję za wygraną.

Seksowny Udomowiony Tata powstrzymuje uśmiech.

- Przez cały dzień byłam w biegu, zdążając przed ostatecznym terminem, zapinając wszystko na ostatni guzik, pilnując, by wszystko chodziło jak w zegarku - odpowiada Niezła Mamuśka Nr 1, po czym zauważa, że nadal mi to nie wystarcza, i kontynuuje: - Byłam na zajęciach kick boxingu z tym fantastycznym osobistym trenerem, zjadłam lunch z przyjaciółką, po czym pojechałam do mieszkania, które kupiliśmy jako inwestycję pod wynajem, by sprawdzić, czy dekorator wewnątrz robi wszystko, jak należy.

To już bardziej mi się podoba. Oczywiście, że ta kobieta wie życie godne pozazdroszczenia. Być może Niezła Mamuśka Nr 1 reprezentuje sobą logiczną ewolucję gospodyni domowej z lat pięćdziesiątych, myślę sobie w chwili nagłej przytomności umysłu. Uosabia wszystkie dawne symbole prowadzenia gospodarstwa domowego: jej dom jest nieskazitelny, pościel świeżo wyprasowana, a dzieci z różowymi policzkami siedzą przy stole i jedzą domowe posiłki. Ona po prostu płaci innym ludziom, by osiągnąć ten efekt, i przygląda się temu wszystkiemu. Jest widzem we własnym życiu.

Przekazanie obowiązków, o to w tym wszystkim chodzi. I pomniejsza kwestia wystarczająco wysokiego dochodu, pozwalającego na taki styl życia. Za pieniądze nie kupi się miłości, ale można kupić czas i młodość. Wycieczki na siłownię, wypadki do Selfridges, zabiegi aromaterapeutyczne. Byłabym w tym dobra. Naturalnie istniałyby jakieś poświęcenia. Na przykład nigdy więcej czekolady. Ale nie byłaby to wysoka cena.

- Oddzwoniłaś więc do swojej przyjaciółki? - pyta Robert Bass, ponownie odwracając się do mnie. - Całkiem niezła była ta wasza rozmowa. Czynisz wiele założeń na temat żonatych mężczyzn.

Płynnym ruchem odsuwam od niego ramię, zirytowana tym, że podzielił się szczegółami mojej rozmowy w ubikacji z Niezłą Mamuską Nr 1. Częściowo dlatego, że to podkreśla głębię znajomości z nią, której mnie nigdy nie udało się osiągnąć, ale także dlatego, że znam przyjemność, jaką da jej dostęp do brudnego podwozia życia innej osoby. Nagle zaczynam się zastanawiać, czy jej przybycie nie było przypadkiem częścią planu, który on uknuł, by uniknąć spędzenia ze mną wieczoru sam na sam.

- Prawdę powiedziawszy, to dość skomplikowana sytuacja - mówię, próbując naprowadzić rozmowę z powrotem na bezpieczne terytorium, ponieważ z całą pewnością musi istnieć płaszczyzna porozumienia pomiędzy tematem seksu w trójkącie a dniem z życia Niezłej Mamuski Nr 1. - Ma romans z żonatym mężczyzną - dodaję.

- Jak bardzo żonatym? - pyta Niezła Mamuska Nr 1.

- Małżeństwo to kwestia czarno - biała, nieprawdaż? - odpowiadam. - Nie powinno być innych odcieni. - Ale nawet wypowiadając te słowa, nie jestem pewna, czy zgadzam się z własną hipotezą. Mój moralny kompas jest ostatnio szalenie niezsynchronizowany. - Ale jeśli chcesz wiedzieć, to ma jedną żonę, czworo dzieci, ponad dziesięć lat w związku małżeńskim.

- To tak jak ja - uśmiecha się ona. - I ty. Aczkolwiek minus jedno dziecko. Czy jego żona wie?

- Nie wydaje mi się, by miała o czymkolwiek pojęcie. Właściwie to szkoda mi jej, najprawdopodobniej jest tak pochłonięta dziećmi, że męża odłożyła na później, kiedy będzie mniej zmęczona - mówię. - Nie odczuwasz czasami

ochoty, by zadzwonić na jedną z tych linii dla zaginionych osób i zgłosić zaginięcie samej siebie? „Pomocy, nie wiem, dokąd się udałam, wyszłam za męża, urodziłam dzieci, zrezygnowałam z pracy, sprawiłam, by wszyscy wokół mnie byli szczęśliwi, po czym zniknęłam. Proszę o wysłanie ekipy poszukiwawczej”.

Patrzy na mnie ze zdumieniem.

- Zaniechywanie męża zawsze jest kiepskim pomysłem. Mężczyźni nie znoszą, gdy się ich odsuwa na boczny tor. Lubią wtedy zbłądzić. Dlatego właśnie co roku spędzamy sami dwa tygodnie na Karaibach. Wszyscy powinni tak robić - oświadcza z emfazą.

- Być może - mówi dyplomatycznie Robert Bass - nie każdy może sobie pozwolić finansowo na zapewnienie opieki dzieciom, by móc zrobić coś takiego.

- Kiedy ma się dzieci, mężowie spadają coraz dalej i dalej w porządku dziobania - stwierdzam. - Nawet za domowe zwierzęta. Nawet za złote rybki.

Robert Bass milczy. Zatoczyliśmy pełne koło, wracamy do początku i rozmowy o rybach.

- Oczywiście niewierność można by postrzegać jako akt wierności sobie - odzywa się on, nie podnosząc wzroku.

- To pojęcie radykalne - kontruję, wpatrując się w pustą butelkę po szampanie.

- Możemy skończyć na dzisiaj? Jeżeli chcecie, mogę podwieźć was do domu - mówi Niezła Mamuśka Nr 1, mierząc nas podejrzliwym wzrokiem, jakby sobie uświadamiała, że w tej rozmowie znajdują się ukryte podteksty, do których ona nie ma dostępu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nieczystemu sumieniu niepotrzebny oskarżyciel

W salonie leci na wideo film Dźwięki muzyki i dzieci się kłócą, ponieważ Joe chce cofnąć scenę, w której naziści próbują schwytać rodzinę von Trapp.

- Joe, nic się nie zmieni! - słyszę, jak krzyczy na niego sfrustrowany Sam. - Zawsze będzie tak samo, zawsze uciekają. Nawet jeśli będziesz to oglądał sto razy, wszystko będzie się działo dokładnie w taki sam sposób.

- Ale zmienił się kolor ich spodenek. Wcześniej były ciemnozielone, a teraz są wyraźnie jasnozielone - oświadcza Joe, obronnie przytulając się do ekranu telewizora, tak by Sam nie mógł go wyłączyć.

- Bo mamusia usiadła na pilocie i zmieniła ustawienia! - woła Sam.

- A więc rzeczy się zmieniają. Chcę obejrzeć jeszcze raz, na wypadek, gdyby mieli ich złapać naziści - upiera się Joe, żując rękaw piżamy. Ma taki zwyczaj od całkiem niedawna, ale mankiety wszystkich jego szkolnych koszul i bluz są już całe w strzępach.

- Gdyby złapali ich naziści, to ten film nie byłby odpowiedni dla dzieci i mama nie pozwoliłaby nam go oglądać - mówi Sam, próbując uspokoić brata bardziej logiką niż brutalną siłą. - Nikt nie zdradzi von Trappów.

Fred chowa się za sofą. Odkąd weszłam do pokoju, cicho bawi się traktorami i przyczepkami. Choć wiem, że milczące dziecko jest równoznaczne z niewybuchem, postanawiam, że cokolwiek by robił, warto zaryzykować, tak bym mogła zabrać się za nieprzeczytaną pocztę z ostatnich kilku tygodni, która uzbierała się w górnej szufladzie mojego biurka. Później będę sobie radzić z konsekwencjami.

By uniknąć niepokojenia Toma, co kilka dni biorę koperty, które leżą na małym stoliku przy drzwiach, i chowam

je do tej szuflady, aż robi się pełna. Wtedy stawiam czoło zaległościom. Nie jest to system, który pochwaliliby mój mąż, ale jego prostota ma pewne zalety, zwłaszcza że pozwala mi na cenzurowanie wszystkiego, co może się okazać przyczyną sporu.

Zastanawiam się, czy powinnam interweniować w wymianie zdań odbywającej się w drugiej części pokoju. Problem tkwi w tym, czy ulec nerwicom Joego i pozwolić mu na przewinięcie, czy też zmusić go do kapitulacji przed Samem. Wiem, że moje zaangażowanie się w utrzymanie pokoju doprowadzi do dalszych żądań kradnących mój czas. Prośby o bawienie się w różne gry, czytanie książek, uprawianie zapasów czy odgrywanie Shane'a Warne'a. Za niecałą godzinę mam się zjawić na kolacji w nowym mieszkaniu Emmy, więc ich ignoruję. Tak wiele bym osiągnęła, gdybym mogła zniknąć na dwie godziny dziennie.

Siedzę przy biurku na drugim końcu salonu, próbując zaprowadzić porządek w chaosie, który tworzą nieotwarte rachunki, wyciągi z konta i anonimowe koperty, by zdążyć przed dzisiejszym powrotem Toma z Włoch. To przedsięwzięcie zrodzone ze skruchy. Od czasu wyjścia do pubu z Robertem Bassem na początku tygodnia dokuczają mi napady poczucia winy. Nie okłamałam Toma. Ale zachowałam wstrzeźliwość, jeśli chodzi o prawdę. Jeśli zapyta mnie, co robiłam w poniedziałek wieczorem, co mu odpowiem? Że doprowadziłam do sytuacji, w której mogłam siedzieć wystarczająco blisko mężczyzny, który tak mi się podoba, że włoski stawały mi na ręce, kiedy nasze ciała się stykały? Że mam zamiar spotkać się z tym samym mężczyzną jeszcze w tym tygodniu? Że sugestywnie marzę o odwzajemnieniu tych uczuć? Zlekceważyłam Roberta Bassa jako fantazję, pożądaną rozrywkę, równie nieszkodliwą jak roślina, która obdarowuje kolorami pośród szarości

londyńskiej zimy. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że przyrównywanie go do kwitnącego w naszym ogrodzie oczaru wirgińskiego jest nieszczerze. No i jeszcze kwestia dzieci. Moje myśli gonią jedna drugą, tak jak to się dzieje, kiedy władzę nad nimi obejmują nieprzyjemne emocje, i wyobrażam sobie, jak dzieci dorastają, opowiadając przyjacielom o zdradzie matki i jaki to miało wpływ na ich zdolność tworzenia trwałych związków z płcią przeciwną, i jaki to będzie miało wpływ na ich dzieci i dzieci ich dzieci, aż w końcu będzie to przekazywane kolejnym pokoleniom w kodzie genetycznym.

Niezdolna do rozstrzygnięcia tego dylematu, zmuszam się do skoncentrowania się na zadaniu, które mam pod ręką, to znaczy na segregowaniu papierów na trzy stosiki. W pierwszym znajduje się poczta w szczególności do Toma, w drugim rachunki, które trzeba natychmiast zapłacić, a trzecia to zbiór nieokreślony, z którym trzeba się rozprawić w znacznie późniejszym terminie, może nawet nigdy. Ten wędruje z powrotem do szuflady. Uśmiecham się do siebie, spodziewając się radości Toma na widok schludnego stosika czekającej na niego poczty. A potem natychmiast ponownie czuję się winna, wiedząc, że coś tak prostego sprawi mu tyle przyjemności. Pod wieloma względami łatwo go zadowolić. Mógłby trwać w niezwykle harmonijnym związku małżeńskim z kobietą innego pokroju. Gdyby ożenił się ze swoją matką, na przykład.

Koperty, których w żadnym wypadku nie chcę pokazać Tomowi, upycham w szufladzie na samym dole. Jest wśród nich kilka zapomnianych opłat, mandatów za nieprawidłowe parkowanie i rachunków za karty kredytowe. W tej chwili mam siedem różnych długów na kartach. Nie stanowi to powodu do dumy. Przekonałam się jednak, że jestem zadziwiająco dobra w żonglowaniu tymi rachunkami i



przetrzęsaniu Internetu w poszukiwaniu najlepszych ofert. Nieoprocentowany kredyt przez pierwsze dwanaście miesięcy. Mały druk i twoje serce śpiewa. Kiedy wracam do domu ze szkoły po wyjątkowo gorącym okresie wymiany długów, przyłapuję się na zdawaniu Fredowi raportu.

- Przelej z Amexu do Visy, przelej z Visy do MasterCard, przelej z MasterCard do Amexu! - śpiewam głośno, zmieniając melodię stosownie do nastroju. Obecnie najczęściej wybieram Jingle Bells. Czuję się niczym ostry gracz w City, handlujący długami na rynku międzynarodowym. Kupić. Sprzedać. Przytrzymać.

Mandaty drogowe pozostają moim słabym punktem. W zeszłym miesiącu na progu zjawił się urzędnik sądowy z wezwaniem do zapłacenia mandatu, który otrzymałam jakieś dwa lata temu. Tak się akurat złożyło, że Tom był w domu, pracując nad jakimiś planami architektonicznymi. Urzędnik, wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, ubrany był w kiepsko skrojony szary garnitur zrobiony z tak syntetycznego materiału, że kiedy wyjął z górnej kieszeni marynarki długopis, bym mogła pokwitować odbiór, poleciało kilka iskieł.

Nie był nieprzyjemny. Prawdę powiedziawszy, był zaskakująco łagodny, którą to cechę potęgowały jego powieki, opadające lekko niczym u przyjaznego posokowca. Nie widać było dowodu na to, że miały na niego wpływ agresja i stres, które musiały towarzyszyć jego pracy. Jego twarz była niemal pogodna. Moja z kolei zmarszczona z niepokoju. Nie bałam się sprawy sądowej, ale tego, że Tom może odkryć moje finansowe machlojki.

Kiedy więc usłyszałam, jak mój mąż wchodzi z kuchni na górę, by zobaczyć, kto przyszedł, przekonałam urzędnika sądowego, by udawał świadka Jehowy. Był to blef, na który

zaskakująco posłusznie się zgodził. Sprawiał wrażenie zupełnie swobodnego w tej odmiennej dla siebie roli.

- Nadchodzi Armagedon - oświadczył głośno, zerkając ponad moje ramieniem na Toma, który nadal ubrany był w piżamę. - Ocaleją jedynie wybrani. Jako grzesznik można odczuwać żal za grzechy, ale tylko wtedy, jeśli się załatwiło wszystkie zaległe kwestie mandatowe.

Mój mąż wyglądał na nieco zdeprymowanego i podrapał się po głowie, przez co włosy zaczęły mu sterczeć.

- Z całą pewnością jest wiele gorszych grzechów - stwierdził. - Tak czy inaczej, statystyczne prawdopodobieństwo tego, że jeden z wybranych okaże się strażnikiem miejskim jest znikome, nikt się więc o tym nie dowie.

- Najlepiej nie dawać się wciągnąć w rozmowę, w przeciwnym wypadku nigdy sobie nie pójdzie - wyszeptałam do niego, popychając go na dół. - Zajmę się tym, a ty wracaj do pracy.

Cofnęłam się do drzwi i podpisałam wezwanie.

- To nie moja sprawa - odezwał się urzędnik - ale naprawdę uważam, pani Sweeney, że powinna pani spróbować się z tym wszystkim uporać. To musi być strasznie stresujące, takie ukrywanie różnych rzeczy przed mężem.

- Och, proszę się tym nie przejmować, robię coś takiego na okrągło - odparłam nonszalancko. - Kobiety są bardzo dobre w zonglowaniu prawdą. To element wielozadaniowości.

Pokręcił głową, otworzył wysłużoną skórzaną teczkę i upchnął w niej moje papiery, po czym ponownie ją zamknął i uściśnął mi dłoń.

Wiem, że pewnego dnia powinnam zasięgnąć porady u kogoś praktycznego - na przykład u Emmy, która nigdy nie ma nawet debetu - jak to wszystko rozwiązać. Albo przynajmniej zsumować wszystkie rachunki za karty

kredytowe i mandaty za parkowanie, by określić, ile konkretnie wynosi moje zadłużenie. Ale po prostu nie potrafię stawić czoła tej sytuacji. Minęło już tyle czasu, odkąd popadłam w długi, że już nawet nie pamiętam, jakie powodowane impulsem zakupy stały się powodem tego katastrofalnego łańcucha zdarzeń. Najprawdopodobniej zostały wiele lat temu wyrzucone.

- Mamo, czy to prawda, że naziści nigdy nie zabiorą Marii? - woła niespokojnie Joe.

- Prawda, ona zdecydowanie zbyt słodko pachnie! - odkrzykuję z drugiego końca pomieszczenia, mając nadzieję, że to zamknie dyskusję.

- Mamo, myślisz, że mógłbym kiedyś zrobić sobie krótkie spodenki z zasłon w moim pokoju? - pyta.

- Oczywiście, kochanie - odpowiadam z roztargnieniem, upychając koperty z tyłu szuflady, po czym zacieram za sobą ślady stertą katalogów.

- Być może Joe nie powinien już oglądać tego filmu - odzywa się moja teściowa.

Nie zauważyłam, że przyszła na górę z kuchni. Zatrząskuję szufladę nieco zbyt mocno i dostrzegam, że Petra przygląda mi się podejrzliwie.

- On ma te same problemy bez względu na to, co ogląda. Nawet jeśli jest to coś zupełnie niewinnego - mówię, wstając i odchodząc od biurka. - Jest po prostu bardzo wrażliwym dzieckiem.

- Kim jest ten major Tom, o którym ciągle mówi? To jakiś znajomy twoich rodziców?

Wciąż gapi się na dolną szufladę, a ręce ma wciśnięte głęboko w kieszenie szlafroka Toma. Został wyprany i zmienił kolor z brudnopomarańczowego na bladożółty. Jest tak wielki na jej drobnej postaci, że musi zakładać jego poły za plecy. Jej

stopy i twarz, jeszcze zaczerwienione po kąpieli, wystają z obu stron niczym dżem sączący się z pękatej rolady.

Moja teściowa spędziła tutaj cały tydzień i nie zanosi się na jej rychłą wyprowadzkę. Z każdym dniem coraz bardziej się tutaj zakorzenia. To znajomy wzorzec. Z poruszeniem tematu jej wyjazdu będę musiała poczekać do powrotu Toma. Kiedy tylko sytuacja zbliża się do kategorii nieznośnych, na przykład gdy otwieram szafę i odkrywam, że Petra poukładała jego slipki w dopasowane kolorystycznie stosiki, postanawiam, że poproszę ją o opuszczenie naszego domu. Wie, że przekroczyła dopuszczalne granice, i przez resztę dnia stara się powstrzymywać, ale jej wewnętrzny przymus organizatorski jest silniejszy niż wszystko inne. Próbuje mi to wynagrodzić, pytając, której dokładnie części domu przydałoby się dalsze dokładne sprzątanie, i proponuje opiekę nad dziećmi, a tej to akurat wie, że nie odrzucę. Przez większość czasu to przekupywanie przegania fale paniki. Góra prania jest teraz wielkości porządnego wzgórza, nadal pofałdowana, lecz mniej imponująca. Wszystkie koszule Toma są wyprasowane. Skarpetki, które wiele lat temu utraciły partnerów, na nowo się połączyły, a te, którym nie było to pisane, zostały skazane na kosz na śmieci.

- Tak się zastanawiałam, Lucy, czy nie mogłybyśmy w przyszłym tygodniu zjeść razem lunchu - mówi Petra, nerwowo bawiąc się sznurem pereł na szyi, gdy tymczasem ja próbuję wyjść z domu. Tom zgodnie z planem wraca późnym wieczorem, ale nie widać ani śladu spakowanych toreb.

- Ale, Petro, w tym tygodniu jadłyśmy razem lunch prawie codziennie - odpowiadam, czując lekką panikę i sięgając po płaszcz, by zasygnalizować rychłe wyjście.

- Chcę porozmawiać z tobą o czymś ważnym. Musi to się stać w jakimś miejscu neutralnym. Może spotkałybyśmy się u Johna Lewisa i połączyłybyśmy to ze świątecznymi

zakupami? Muszę coś kupić dla twoich rodziców. - Milczy przez chwilę, nie podnosząc oczu znad kubka z kawą. - Proszę, nie wspominaj nic Tomowi o tym spotkaniu. A tak przy okazji, to przykro mi, że wtedy przegrałaś wybory. Być może tak będzie lepiej, mając na uwadze wszystko, co masz na głowie.

Choć zdążyłam już ruszyć w stronę drzwi, zatrzymuję się w pół kroku. Przyjmuję założenie, że w ciągu minionego tygodnia moje wewnętrzne rozedrganie dotarło do powierzchni i zaczęło się wydobywać na zewnątrz przez pory, tak że teraz czuć ode mnie zwątpieniem i niepewnością. Moja teściowa ma wiele dziwactw, ale knucie intryg na dużą skalę z całą pewnością do nich nie należy. W ciągu dwunastu lat, które minęły od naszego poznania się, to jej najbardziej znamienne propozycja wystosowana do mnie i wiem, że musi to być coś poważnego, ponieważ Petra ma naturalną awersję do emocjonalnej szczerości. Przynajmniej mam kilka dni na przygotowanie przekonującej obrony.

Później tego wieczoru, zainstalowana w katedralnej przestrzeni, która jest nowym domem Emmy w Clerkenwell, pijąc drogie wino z nią i z Cathy, zaczynam się odprężyć. Moja teściowa najwyraźniej postanowiła interweniować, ponieważ boi się o syna. Z drugiej jednak strony nie lubi słyszeć prawdy, jeśli ta jest zbyt trudna do przełknięcia lub niepokojąca. Wyobrażam sobie warstwy oszustw emocjonalnych, sprasowanych ze sobą niczym osady, w kolorach, które z upływem lat zaczynają na siebie nachodzić, tak że niemożliwe jest uważne przyjrzenie się którejkolwiek części.

Ściany loftu Emmy są bardzo białe, niemal kliniczne. Niektóre nachodzą na siebie na niewidzialnych prowadnicach, tworząc nowe pomieszczenia i przestrzenie. Takie triki wizualne podobają się Tomowi. Mnie z kolei wydają się dość

denerwujące. Nie chcę, by mój dom był świętem ruchomym. Kiedy więc Emma pokazuje Cathy i mnie, w jaki sposób salon można przekształcić w dodatkową sypialnię i jak sypialnia może podwoić swój rozmiar, zbiera mi się lekko na mdłości.

Nie jestem pewna, dla kogo zostało zaprojektowane to mieszkanie. Z całą pewnością nie dla rodziny ani osoby cierpiącej na depresję. Są tutaj zdradzieckie spadki z balkonów i wielkie donice z modnymi gatunkami traw, które przecinają skórę, jeśli przechodzi się obok nich zbyt szybko. Jest to jednak miejsce świetnie nadające się na imprezy.

Rozpoznaję kilka rzeczy z mieszkania Emmy w Notting Hill, między innymi dwie grafiki Patricka Herona i kiczowaty wazon z wielkimi kwiatami poprzyklejanymi wokół krawędzi, który podarowałam jej na trzydzieste urodziny. Wydają się małe w porównaniu z przestrzenią. Wjeżdżająca z parteru winda otwiera się w imponujący sposób na salon, ale we dwie musimy rozsuwać ciężkie metalowe kraty i zastanawiam się, jak Emmie sama tu wchodzi.

Jesteśmy wyjątkowo milczące. Emma walczy z ponurym kubelkiem małży. Szoruje je gniewnie.

- Miałam kiepski dzień - odzywa się wreszcie. - Musiałam zadzwonić do rodziców jednego z naszych korespondentów w Iraku i powiedzieć im, że ich syn zginął, wpadłszy w zasadzkę. Nie chcę o tym mówić. Cholernie ciężko czyści się te małże.

- Może łatwiej byłoby ci to robić czymś większym niż szczoteczka do zębów - mówi łagodnie Cathy.

Kiepskie dni Emmy są zawsze na wielką skalę w porównaniu z moimi, często wiążą się z ważnymi wydarzeniami na poziomie światowym. Począwszy od tsunami aż do wojny domowej. Problemy robiące wrażenie. Nieszczerólnie może z nimi rywalizować odkrycie, że

teściowa poukładała slipki mojego męża według kolorów, nie pytając, czy może wejść do naszej sypialni.

Rozglądam się po kuchni, obejmując spojrzeniem ekspres do kawy Gaggia, robot kuchenny Kitchen Aid i bliźniacze zmywarki do naczyń. Tylko jedna zmywarka jest używana. Wszystko jest stworzone na tak wielką skalę, że Emma wygląda, jakby znajdowała się w Brobdingnag, kiedy stoi na drabince, by otworzyć szafki pozostające poza zasięgiem zwykłych śmiertelników, zagląda do ogromnej lodówki w amerykańskim stylu, w której nie ma nic oprócz mnóstwa butelek białego wina, Pulligny Montrachet, jak napisane jest na nalepkach, i paczki zwiędłej rukoli. Wygląda jeszcze drobniej niż normalnie i osobiście domowo w fartuchu, ściskając w ręce drewnianą łyżkę w taki sposób, w jaki małe dziecko trzyma po raz pierwszy w życiu widelec. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek wcześniej jadła ugotowany przez nią posiłek.

- Co jemy? - pytam.

- Małże, a po nich smażone na patelni przegrzebki z boczkiem - odpowiada Emma, posyłając krzywe spojrzenie księżce kucharskiej Jamiego Olivera i ustawiając na granitowym blacie zupełnie nowe garnki Le Creuset. Dlaczego ludzie, którzy nigdy nie gotują, wybierają przepisy stanowiące wyzwanie nawet dla zawodowego kucharza? Wkłada wszystko do piekarnika i nieco zbyt mocno zatrzaskuje drzwiczki. - Usiądźmy i się napijmy. Bycie domową boginią to ciężka praca. Nie wiem, jak tobie się to wszystko udaje, Lucy - mówi, przechodząc na drugi koniec pomieszczenia i padając na ogromną sofę. Jej kozaczki na obcasach niewspółmiernie hałasują na podłodze z lanego cementu.

Wiele godzin straciłam na wyjaśnianiu Emmie przyczyn, dla których nie kwalifikuję się do statusu domowej bogini, ale

jakiś rok temu wreszcie dotarło do mnie, że podtrzymywanie tej iluzji jest dla niej ważne. Kiedy przewija newsy na ekranie komputera w swym szklanym boksie, wiem, że wyobraża mnie sobie w kwaciastym fartuchu Cath Kidston, jak wyjmuję z piekarnika bułeczki, które zrobiłam wraz z dziećmi, i planuję, w jaki sposób je udekorować - skomplikowane przedsięwzięcie angażujące różnokolorowy lukier, małe srebrne groszki i posypkę.

Emma lubi przypisywać swoim przyjaciółom cechy, które niewiele mają wspólnego z rzeczywistością, ale są zawsze pozytywne, co sprawia, że zwyczaj ten da się tolerować. W jej wyobrażeniach pozostają więc olśniewającą, szczupłą matką trójki dzieci, z zadowolającym stanem konta, czystym domem i chętnymi do pomocy pociechami. Tb obraz namalowany barwami podstawowymi, ponieważ myśl, że któraś z nas może prowadzić nijakie życie, jest dla Emmy wyklęta. W ten sposób unika także konfrontacji z newralgicznymi aspektami życia. I czasami łatwiej jest wierzyć w mit, ponieważ dzięki temu ma się lepsze samopoczucie.

- No więc jak się wam żyje osobno razem? - pytam ją, spodziewając się relacji w różowych barwach wraz z dowcipnymi obserwacjami i zabawnymi anegdotami.

- No więc wreszcie dostarczono nam łóżko i jest ono naprawdę boskie. Czasami budzę się w nocy, a Guy leży obok mnie i jestem taka podekscytowana, że nie mogę z powrotem zasnąć. Nie chcę mu przeszkadzać, gdyż pragnę, by został, a jednocześnie jestem przerażona, że jeśli nie odeślę go do domu, to jego żona o wszystkim się dowie. A czasami czuję się trochę jak uwięziony w klatce ptak - mówi Emma, zrzucając z nóg kozaczki i odpinając górny guzik dzinsów. - I nadal w czasie lunchu chodzimy do hoteli, gdyż ciężko się uwolnić od tego przyzwyczajenia. Zbyt wiele wieczorów spędzam na czekaniu na telefon od Guya, ponieważ nie znam



prawie nikogo, kto mieszka w tej okolicy. Staram się nie robić innych planów na wypadek, gdyby pojawiła się szansa, że on może wymknąć się z pracy i jakoś usprawiedliwić przed żoną swoją nieobecność. A potem, gdy tylko się tutaj zjawia, zapominam, jak się czułam, i gotuję wymyślne potrawy według przepisów z którejs z tych książek, piję mnóstwo wina i uprawiam fantastyczny seks.

- To wszystko brzmi niesamowicie - mówię, ponieważ w dużej mierze tak właśnie jest i to właśnie Emma pragnie usłyszeć. Nie chciałyby, żebyśmy rozwodziły się nad wizją ptaka w klatce. Ale w jej głosie pobrzmiewa nutka niepewności. Sprawia wrażenie bezradnej.

- Ale mimowolnie myślę, że to od samego początku związek opóźniony w rozwoju. Chuchrowaty związek, który nigdy nie przerodzi się w nic innego - kontynuuje. - Istniejemy jedynie w obrębie tego mieszkania. W tych rzadkich chwilach, kiedy jesteśmy razem gdzieś na zewnątrz, nawet się nie dotykamy. Choć coś takiego akurat sprawia, że kiedy można się dotknąć, jest jeszcze bardziej podniecająco. Biermy się za jedzenie. Powinno być już gotowe. Nie zniosę dłużej dźwięku swego głosu.

Przechodzimy do kuchennego stołu, by zjeść przygotowaną przez Emmę kolację. Przy każdym miejscu znajduje się złożona kombinacja noży, widelców i łyżek, którym towarzyszą dwa kieliszki: jeden do wody i jeden do wina. Pośrodku stoi koszyk z chlebem pokrojonym w cienkie kromki, który zdążył już trochę obeschnąć. Jest coś przejmującego w tych staraniach, jakby moja przyjaciółka próbowała zaznaczyć nowe terytorium, które tak naprawdę do niej nie należy. Wszystko jest pożyczone z życia kogoś innego.

W muszlach nadal znajduje się piasek, a przegrzebki są wysuszone i gumowate, ponieważ Emma włożyła je do

piekarnika zamiast usmażyć krótko na gorącym oleju. Przez kilka minut siedzimy więc w przyjacielskiej ciszy. Żuję jednego mięczaka w prawym policzku, aż mięśnie błagają o litość, a potem zmieniam stronę. Kiedy odkrywamy, że przegrzebki stawiają opór wszelkim próbom przekształcenia w nieco bardziej jadalną konsystencję, przełykamy je, popijając czerwonym winem, jakbyśmy łykały witaminy. Mimo to gratulujemy Emmie rodzących się umiejętności kulinarnych.

- Nie musicie udawać, wiem, że kucharka ze mnie gówniana - mówi ze śmiechem, jakby czuła ulgę, że jedna z jej najbardziej stałych cech nie uległa zmianie. - Tak naprawdę to Guy najczęściej gotuje. W domu żona nie dopuszcza go w pobliże kuchni.

Przy stole kuchennym może się zmieścić czternaście, może nawet i szesnaście osób. Jest tak nowy, że przyłapuję się na tęsknocie za niedoskonałościami naszego stołu razem z jego plamami po farbie oraz niewielkimi rowkami wyżłobionymi przez dzieci małymi łyżeczkami i widelcami. Może i jest brudny, ale ma przynajmniej swoją historię.

Siedzimy obok siebie w jednym rogu i wyzwala to poczucie samotności. Nie wyobrażam sobie, że Emma spożywa tutaj posiłki sama, choć przecież musi co rano jeść śniadanie. Jeśli akurat siedzi się tyłem do kuchenki, można podziwiać widok na Londyn. Być może to stanowi jakąś rekompensatę.

- Świetne miejsce na imprezy - odzywa się Cathy.

- Z taką właśnie myślą zaprojektowano to mieszkanie, ale nigdy nie urządzimy tutaj wspólnej imprezy - odpowiada Emma, odkładając nóż i widelec. - Nie wpadną do nas nawet na kolację wspólni znajomi ani nie będziemy włóczyć się po pokojach w piżamach w sobotni rano, choć mam nadzieję, że podczas ferii świątecznych, kiedy jego żona wyjeżdża wraz z dziećmi do ich domu na wsi, może uda nam się spędzić razem

weekend. Posiadanie drugiego domu to naprawdę supersprawa. Tak dobrze było nam latem, kiedy jego żona przebywała w Dorset.

Gryzę się w język i przypominam sobie radę Toma o tym, by pozwolić innym żyć tak, jak chcą.

- Moglibyście zaprosić kogoś na kolację. Na przykład nas, a ja mogę zaprosić mojego nowego chłopaka - mówi z entuzjazmem Cathy. - Strasznie bym chciała, żebyście go poznały.

- Byłoby fajnie. Spróbuję namówić Guya - odpowiada Emma. - Chodzi o to, że jego życie jest takie zaszufiadkowane. Lubi mieć mnie dla siebie. Nie chce się mną dzielić. Wychodzenie gdzieś ze znajomymi utożsamia z żoną, nie ze mną. Nie jestem większością jego życia. Jestem jedynie ułamkiem.

- Ale nie da się mierzyć głębi ułamków, jedynie ich rozległość - mówię, próbując jakoś podnieść przyjaciółkę na duchu, gdyż wydaje się wyjątkowo przygnębiona. - Może zostawi żonę - kontynuuję, pragnąc dać jej odrobinę nadziei.

- Nie zostawi, ponieważ zdecydowanie jest to ktoś, kto działa ostrożnie. Ostatnie, czego pragnie Guy, to kobieta robiąca karierę zawodową. To on przekonał żonę, by od razu po zajściu w ciążę zrezygnowała z pracy. Ja jestem zaledwie małym urozmaiceniem w jego portfolio - stwierdza Emma, przeczesując palcami włosy i drapiąc się z zaciętością.

- Cóż, ma dwie rzeczy naraz - stwierdzam. Postrzegam tę rozmowę jako pewnego rodzaju postęp.

Po raz pierwszy, odkąd Emma wdała się w ten romans ponad rok temu, okazuje jakiegokolwiek oznaki zwątpienia. Jej dotychczasowa pewność siebie była nienaturalna i nieco niepokojąca.

- Tak naprawdę to pewnie chcę jakiegoś dowodu, że on pragnie uczuciowej ewolucji. Sprawia wrażenie tak bardzo

usatysfakcjonowanego istniejącą sytuacją, a dla mnie jest to niczym zdrada - oświadcza.

Zdrada przyjmuje tak wiele form, myślę sobie. Może się podkraść niepostrzeżenie, stanowić nagromadzenie oszukiwania samego siebie i małych, niewinnych kłamstw lub opaść nagle niczym mgła. Zdrady bankowca Emmy nie należy się doszukiwać w jego słowach. On nie obiecał niczego więcej, niż jest w stanie dać. Należy jej szukać w tym, czego nie mówi. Znajduje się ona w pustych gestach, tym, że każe sekretarce wysłać żonie kwiaty na urodziny, w skrupulatnym kasowaniu esemesów od Emmy każdego wieczoru przed wejściem do domu, a potem całowaniu dzieci z jeszcze świeżym zapachem kochanki w ustach.

Następnie porównuję to z moim zachowaniem. Mój drink z Robertem Bassem może się wydawać małym piwem w porównaniu z sytuacją pomiędzy Emmą a Guyem, ale to taka sama zdrada. Czas, który spędziłam na rozmyślaniu o nim i fantazjowaniu, zdążył już osłabić mój związek z Tomem. Niczym statek zbliżający się do brzegu po długim czasie spędzonym na morzu, czuję się szczęśliwsza, im bardziej skraca się czas do naszego następnego spotkania. Oczywiście, że w przeciwieństwie do Emmy i Guya mój flirt z Robertem Bassem nigdy nie zostanie skonsumowany. Ale to, co się zaczęło jako nieszkodliwe oderwanie od innych zajęć, teraz przywłaszcza sobie przestrzeń w mej głowie, którą powinny raczej zajmować czynności pasujące do milenijnej matki. Na przykład złożenie półki na buty z Ikei, od dwóch lat czekającej przy drzwiach obok płataniny butów, albo nauka obsługi ekspresu do kawy, który w zeszłym roku na Gwiazdkę dostaliśmy od Petry, albo depilacja przystająca kobiecie przed czterdziestką.

- Lucy, Lucy, czy ty w ogóle słuchasz? - pyta Emma. - Co o tym myślisz?

Uświadamiam sobie, że przegapiłam niezwykle istotne fragmenty chwili wątpliwości mojej przyjaciółki, i czuję skruchę.

- Zastanawiam się, czy czujesz się czasem winna wobec jego żony? - wyrzucam z siebie.

Cathy wpatruje się we mnie lekko zaszokowana, ale nie jest dla mnie jasne, czy to dlatego, że pytanie jest nie na miejscu w stosunku do tego, co zostało powiedziane wcześniej, czy też jest po prostu nie na miejscu i już. Gdybym była bardziej pewna własnych uczuć, powiedziałabym Emmie, że to nie tyle próba osądzania, co egocentryzm. Pytanie wisi przez chwilę w powietrzu, a Emma drapie się w zamyśleniu po głowie.

- W zeszłym miesiącu był ze mną pewnego piątkowego wieczoru i zapomniał, że miał iść na kolację z żoną i jakimiś znajomymi, ponieważ wcześniej wyłączył komórkę. Ona nie mogła go złapać aż do mniej więcej pierwszej w nocy, kiedy wreszcie wyczołgał się z łóżka i włączył telefon, i zobaczył te wszystkie wiadomości od niej. Poszła na kolację sama, kłamiąc znajomym, że musiał nagle wyjechać za granicę. Czuł się okropnie, i ja też. Ale wydaje mi się, ponieważ nie mam dzieci, a moje życie rodzinne było popieprzone, że moja zdolność odczuwania winy jest ograniczona - mówi Emma w rzadkiej chwili brutalnej szczerości wobec siebie. - Mówi, że jest z nią, ponieważ ma mnie, ale ja wiem, że to nieprawda. Jakkolwiek głębokie są moje złudzenia, wiem, że nie ratuję ich małżeństwa. Bardzo często czuję do niej pogardę, że nie zdaje sobie sprawy z tego, co się dzieje. - Podnosi głowę, mówiąc te słowa, wiedząc, że tak łatwo ich nie zaakceptujemy. - Nic się nie zmieni. Jest tak i koniec - kontynuuje, zataczając ręką koło. - On nigdy nie zostawi żony i dzieci, a ja nie jestem pewna, czy w ogóle tego chcę. Związki, które zaczynają się w taki sposób, rzadko dobrze się

kończą. Od samego początku jest zbyt wiele poczucia winy. Jego żona zaangażowałaby całą swoją energię w to, by mieć pewność, że to się nigdy nie uda, a dzieci już zawsze by mnie nienawidziły. A poza tym nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za koniec jego małżeństwa.

- Nie ma czegoś takiego jak dobry rozwód, to jedno jest pewne - mówi Cathy, która nadal ponosi konsekwencje swojego, spierając się o finanse, opiekę nad Benem i o to, jak podzielić meble. Uniwersalny przepis na wspólne nieszczęście. Arsenał nieudanego małżeństwa może i nie ma zbyt wyrafinowanej broni, ale to wcale nie czyni walk mniej krwawymi.

- Dwa weekendy w miesiącu bez dzieci nie wydają mi się czymś złym - mówię gładko, w nadziei, że poprawię tym ogólny nastrój.

- To dlatego, że nie chodzisz do pracy - odpowiada Cathy.  
- Oddawanie Bena w co drugi weekend, kiedy nie widuję go wystarczająco często w ciągu tygodnia, sprawia, że czuję się chora. Nowa dziewczyna jego ojca tak bardzo mu się podlizuje, że mam ochotę krzyczeć. Nie chcę, by choćby dotykała Bena.

- A jak tam architekt Toma? - pyta Emma, sygnalizując koniec autoanalizy.

- Jest fantastyczny - odpowiada Cathy. - Światelko w tunelu. Pod każdym względem. Niemal. Jest bystry, zabawny, uprawiamy świetny seks, niesamowity seks. Jestem za niego Tomowi tak bardzo wdzięczna. Jedynym minusem jest facet, z którym dzieli dom, a który, tak się akurat składa, jest jego najlepszym przyjacielem.

- Chcesz już się do niego wprowadzić? Nie sądzisz, że to nieco za wcześnie?

- Lucy, już nigdy z nikim nie zamieszka - odpowiada Cathy. - Nie mam zamiaru tak się narażać. Zorganizowałam

sobie życie, zarabiam porządne pieniądze, Ben przyzwyczał się do szkoły. Już nigdy nie chcę być finansowo zależna od mężczyzny.

- Cóż, można to nazwać lekką skrajnością - mówię. - Choć to prawda, że większość architektów żyje w ciągłym stanie ekonomicznej niepewności.

- Chodzi mi o to, że ten mężczyzna, z którym on mieszka, wydaje się być w pewien sposób o mnie zazdrosny - oświadcza Cathy.

- Myślisz, że są między nimi jakieś ukryte seksualne ciągotki? - woła Emma z głową w lodówce, z której wyjmuje kolejną butelkę białego wina. Liczę butelki na kuchennym stole i wychodzi na to, że zdążyliśmy już wypić prawie po jednej na głowę.

- Nie rozmawiałam o tym z Peterem, ponieważ choć mnie się to wydaje naprawdę oczywiste, on sprawia wrażenie nieświadomego. Jak na razie jednak nie pojawiło się nic, co mogłoby świadczyć o jego ukrytym homoseksualizmie - mówi Cathy. - Może z wyjątkiem upodobania do seksu analnego.

- Skąd więc wiesz, że tamten jest zazdrosny? - pytam zaintrygowana.

- No cóż, na początku to były drobiazgi. Jeśli dzwonię do Peter'a do domu, na przykład, jego współlokator nigdy nie przekazuje wiadomości i parę razy powiedział, że Petera nie ma, choć wiedziałam, że jest. Bez problemu przymknęłabym na to oko, ale potem te kilka razy, kiedy się razem spotykaliśmy, zachowywał się naprawdę dziwnie. Za pierwszym razem, kiedy jadłam tam kolację z nimi obydwoma, co już samo w sobie jest nieco dziwne, Pete gotował w kuchni, a on siedział w salonie i oświadczył mi, że Peter jest klasycznym związkofobem, który nigdy nie zdoła stworzyć z nikim stałego związku. Że jest niczym sroka, zawsze patrzy z zazdrością na dziewczyny swoich kolegów,

nieustannie niezadowolony z własnych, że pozostawia za sobą pasmo cierpienia.

- Może to prawda, a jego przyjaciel próbował cię ostrzec, byś nie angażowała się zbyt mocno, ponieważ wie, że swoje już w życiu przeszłaś - stwierdza Emma.

- Naprawdę chętnie uwierzyłabym mu na słowo także i w tej kwestii - odpowiada Cathy. - A potem pewnego wieczoru uprawiałam esemesowy seks z Pete'em i odkryłam, że to ktoś inny.

- Skąd możesz to wiedzieć? - pytam.

- Zastawiłam pułapkę - mówi Cathy, uśmiechając się złośliwie. - Napisałam o czymś, czego Pete i ja nigdy razem nie robiliśmy, w taki sposób, jakby to się naprawdę zdarzyło, i on połknął haczyk.

- Co to było? - pytam.

- Udawałam, że Pete i ja byliśmy na imprezie, na której uprawialiśmy seks z inną kobietą w łazience. Napisałam to tak, jakby to było coś, co rzeczywiście razem zrobiliśmy, a potem na końcu on stwierdził, że to było najbardziej erotyczne przeżycie w jego życiu i że naprawdę chciałby to powtórzyć. Jestem pewna, że to był jego współlokator. Kto jeszcze miałby dostęp do telefonu Pete'a późnym wieczorem?

- Co jest takiego z facetami i trójkątami? - pytam.

- To tak naprawdę wcale nie są trójkąty, wiecie? - odpowiada Cathy. - Tu chodzi o uprawianie seksu z dwiema kobietami i wcale nie o to, by te kobiety uprawiały seks ze sobą, ale o to, że facetowi nadskakują dwie kobiety. Nie ma w tym nic demokratycznego.

- Co zrobiłaś z tym planem Guya? - pytam Emmę.

- Poszłam za twoją radą i powiedziałam, że mam wysypkę po depilacji brazylijskiej, poszłam zrobić depilację brazylijską, by dodać temu autentyzmu, co było jak do tej pory najbardziej bolesnym doświadczeniem w moim życiu, i



rzeczywiście dostałam wysypki. Guy przerzucił się na inne fantazje i teraz nawija o uprawianiu seksu w swoim gabinecie, co jest znacznie mniej skomplikowane do spełnienia i tak naprawdę bardzo ekscytujące, gdyż istnieje spore ryzyko, że zostaniemy przyłapani. Za tę akurat fantazję winię ciebie, Lucy, gdyż pojawiła się po tych esemesach, które mu wysłałaś.

- Co więc jeszcze nabroił ten zuchwały współlokator? - pytam ponownie Cathy.

- No cóż, pewnego wieczoru przyjechałam przed Pete'em i on zaczął ze mną flirtować w naprawdę oczywisty sposób - odpowiada.

- Co zrobił? - chcę wiedzieć.

Od czasu mojego drinka z Robertem Bassem nauczenie się odczytywania tego typu sygnałów wydaje się czymś niezwykle ważnym. Ale w tym, co mówi Cathy, nie ma niczego subtelnego.

- Stał za mną, kiedy otwierałam butelkę wina, i przebiegł palcem wzdłuż mego kręgosłupa. To było prawie niezauważalne; zaczął u góry i powoli przesuwiał się w dół mego T - shirtu, zatrzymał się, kiedy dotarł do skóry poniżej, i wtedy zabrał palec.

Emma i ja bierzemy gwałtowny wdech.

- Okropne jest to, że choć powinnam uznać coś takiego za odrażające i natychmiast przerwać, pozwoliłam mu, ponieważ tak naprawdę miałam na to ochotę. On także jest bardzo atrakcyjny, w taki gładki, metroseksualny sposób - dodaje Cathy.

- Może lubią się dzielić dziewczynami - sugeruję.

- Kto wie. Nie chcę niczego mówić Pete'owi, ponieważ może to wprowadzić rozłam w ich przyjaźni, a między nami najpewniej i tak wszystko się skończy jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Zobaczę po prostu, dokąd to mnie zaprowadzi.

Inna sprawa, że Pete zawsze chce go z nami zabierać. Zupełnie jakby byli małżeństwem. Mieszkają razem od ośmiu lat.

- Bardzo intrygujące; będę musiała zapytać Toma o jego spostrzeżenia - mówię. - Wydaje się niesamowite, że spędza z tym facetem każdy dzień, a mimo to nigdy nie wspomniał na jego temat niczego w tym rodzaju.

- Pete jest zdecydowanie seksualnie otwarty na wszystko - mówi Cathy. - Naprawdę nie ma zahamowań, zabiera mnie do miejsc, w których zapominam, kim jestem.

- Dla mnie brzmi to nieźle - oświadczam, próbując wyrwać ją z introspekcji.

- Uprawiałam wystarczająco dużo dobrego seksu, by wiedzieć, że nie oznacza on miłości - odzywa się cicho Emma. - I tak naprawdę wydaje mi się, że muszę pamiętać, kim jestem. Najlepsze, co mogłabym zrobić, to zakończyć wszystko teraz. Problem w tym, że pożądanie jest wiecznie żywe. Nigdy nie nadchodzi moment zaspokożenia. I z każdym dniem coraz bardziej tracę kontrolę. Nigdy nie znajduję się w punkcie, gdzie wszystko staje się rutynowe i domowe, trwam w stanie nieustannej żądzy.

- Nie wydaje się to stanowić zbyt ciężkiego doświadczenia - stwierdzam. - Wiecie co, gdyby tamtego wieczoru Seksowny Udomowiony Tata uczynił choćby pół ruchu, nie wiem, jakbym się temu oparła. Dotyk jego ramienia na mojej skórze był cudowny. Czasami wydaje mi się, że mogłabym przeżyć to jeszcze jeden jedyny raz i umrzeć.

- Och. - Emma wygląda na lekko zaszokowaną. - A więc poszłicie wtedy sami na drinka, tak? No, nieźle.

- Jeśli pamiętasz, zorganizowała to Cathy - mówię obronnym tonem. - I nie byliśmy zbyt długo sami, gdyż dołączyła do nas inna matka.

- Tak naprawdę nie sądziłam, że rzeczywiście do tego dojdzie - stwierdza Cathy. - W żadnym wypadku nie chciałabym być odpowiedzialna za zrobienie czegoś, co mogłoby narazić na szwank twój związek z Tomem. Jeśli wam się nie uda, to jaka nadzieja pozostanie dla reszty?

- Może nie ma żadnej nadziei dla nikogo z nas - mówię.

- Nie mogłabyś cofnąć się do początku swego związku z Tomem i odtworzyć nieco tamtej napiętności? - pyta z ciekawością.

- To jak próba rozpalenia ognia, który już dawno wygasł. Problem w tym, że choć seks tworzy dzieci, to dzieci zabijają seks - wyjaśniam. - Nigdy nie ma na niego czasu i jesteśmy non stop wykończeni. No i nasze seksualne zegary nie są zsynchronizowane. - Na twarzach moich przyjaciółek maluje się konsternacja. - Kobiety lubią uprawiać seks wieczorem, a mężczyźni szczytową seksualną formę osiągają o ósmej rano. To metoda antykoncepcyjna matki natury.

- Myśmy w małżeństwie nigdy nie dotarli do tego etapu, więc może powinniście traktować to jako osiągnięcie - mówi Cathy.

- A poza tym nigdy nie jesteśmy sami w łóżku - kontynuuję. - Czasami przypomina to zabawę w komórki do wynajęcia. Budzimy się rano i żadne z nas nie znajduje się w tym samym łóżku, w którym się położyło wieczorem.

- Nie da się odłożyć dzieciaków z powrotem do własnych łóżek? - pyta Emma.

- Da się, ale często jesteśmy zbyt wykończeni, by wstać, a poza tym oni są tak sprytni, że wślizgują się i leżą w naszych nogach, a my ich nie zauważamy. Jak psy.

- A może spróbowalibyście czegoś innego, na przykład seksu tantrycznego? - pyta Emma.

- Na to trzeba za dużo czasu. Cokolwiek byśmy robili, nie może trwać to dłużej niż dwadzieścia minut - wyjaśniam. -

Znajduje się to jednak na szczycie mojej listy rzeczy do zrobienia.

- Ale co? - pyta Cathy.

- Uprawianie seksu z Tomem.

- Co jeszcze masz na tej liście? - pyta Cathy, patrząc na mnie z niedowierzaniem.

- No cóż, rozwiązanie problemu długów na moich kartach kredytowych - odpowiadam. - Zatrudnienie sprzątaczk, która będzie mogła rzeczywiście zająć się praniem i prasowaniem. Znalezienie pracy na pół etatu. I rozrzucenie prochów mojej babci w miejscu, w którym się urodziła. Zapomniałam to zrobić, kiedy pojechalismy do Norfolk.

- Gdzie więc są teraz? - pyta Emma.

- W szafce z pościelą. Uznałam, że to dobre miejsce. Jest tam przytulnie i bezpiecznie. W jej stylu.

- Ale to wszystko brzmi jak priorytety - stwierdza Emma, na chwilę odrywając się od własnych problemów.

- Śmierć, długi, brudne ubrania, zero seksu. Nic dziwnego, że jesteś wytrącona z równowagi własnym życiem. A prawda jest taka, że naprawdę łatwo sobie z nimi poradzić.

- Ale jeśli to zrobię, co mi wtedy zostanie? - pytam. Przyjaciółki patrzą na mnie z autentyczną konsternacją.

- Chodzi mi o to, że gdyby wszystkie te sprawy zostały załatwione, mogłabym się przekonać, że tak naprawdę były one spoiwem łączącym wszystko, i że teraz to wszystko po prostu się rozpada - wyjaśniam. - Staram się postępować sprzecznie z intuicją.

- To takie irracjonalne, Lucy - mówi Cathy. - Mogłabyś odczuwać większą kontrolę, gdybyś to wszystko załatwiła.

- Może nie chcę mieć poczucia kontroli - oświadczam brawurowo. Ale kiedy widzę malującą się na ich twarzach troskę, ustępuję. - Albo chcę nie mieć kontroli przez jakiś określony czas, po to, by przypomnieć sobie, jak to jest.

- Co znajduje się na twojej liście krótkoterminowej? - pyta Cathy.

Podaję im swój terminarz i pokazuję kilka brudnych kartek na końcu. Kartki są poprzecierane, ich rogi poobdzierane i przebija się atrament z drugiej strony. Wygląda to niczym hieroglify z dziwnymi słowami napisanymi różnokolorowymi długopisami.

- Czy to jakiś kod? - pyta Emma. Zaczynam czytać stronę po prawej.

- Szampon na wszy, urodzinowe przyjęcie Sama, szczoteczka do zębów Freda, MMR, cytologia, woskowanie bikini...

Emma ponownie drapie się po głowie.

- To dlatego, że przeczytałam „szampon na wszy”. Jeśli masz osobowość łatwo ulegającą wpływom, na sam widok tych słów zaczyna cię swędzieć głowa - wyjaśniam.

- Po co ci woskowanie bikini w połowie zimy? - pyta Emma.

- Znajduje się na liście od maja.

- Nie próbuj odwracać mojej uwagi, już ja znam te twoje taktyki unikania rozmowy - mówi Emma, licząc pozycje na liście. Przerywa, kiedy dochodzi do dwudziestu dwóch. - Nie rozumiem, jak to wszystko może być aż tak skomplikowane. Mogłabyś przecież robić jedną z tych rzeczy każdego dnia i nie minąłby miesiąc, a wszystko byłoby załatwione i mogłabyś się przerzucić na listę długoterminową.

- Każdego dnia dodaję do tej listy nowe pozycje - mówię.  
- Na lodówce wisi druga lista z jeszcze bardziej pilnymi sprawami do załatwienia. I nie zawiera przecież rzeczy, które muszą być wykonywane rutynowo, jak na przykład przygotowywanie drugiego śniadania, gotowanie przemysłowych ilości sosu bolognese, odrabianie pracy domowej, pranie... - Już, już mam wspomnieć o bałaganie,

który zostawiłam po sobie w salonie, kiedy widzę, że Emma zaczyna wyglądać na znudzoną.

Tuż przed wyjściem przekonałam się, że przyszło mi zapłacić wysoką cenę za te dziesięć minut poświęconych segregowaniu poczty, ponieważ Fred z szafki z zabawkami wyjął sobie wszystkie puzzle oraz gry i używał ich do uzupełniania swej kolekcji przyczep. Jego ciężarówki załadowane były elementami pochodzącymi z Monopoly, Scrabble i Cluedo. Setki, a może i tysiące fragmentów, które trzeba posortować. Godziny, a nawet dni pracy, która nie znajduje się w ogóle na liście. Spustoszenie na wielką skalę, a trwało ono krócej niż dziesięć minut. Czy to się kwalifikuje jako dwa kroki w przód i jeden w tył, czy też pozostawia mnie to z wartością negatywną, zastanawiałam się, upychając wszystko pod sofą, po czym kierując się do wyjścia. Dlatego właśnie zawsze będę się znajdować jeden krok w tyle.

Czasami podczas wczesnoporannej bezsenności sporządzam w myślach listy Rzeczy Zagubionych. Obecna lista zawiera plastikowy młotek z zestawu narzędzi Freda, osłonę na baterie w samochodzie na pilota, wielką kostkę ze Snake and Ladders i wieżę z kompletu szachów.

Wyobrażam sobie, że niczym lekarz sądowy przeszukuję każdy centymetr podłogi w domu, szukam za oparciami krzeseł, pod szafami, w butach, nawet pod deskami na podłodze, by zlokalizować wszystkie te rzeczy i przywrócić ład oraz porządek. To nigdy nie nastąpi, częściowo dlatego, że zawsze brakuje mi czasu, ale głównie z tego powodu, że wiem, iż nie minie kilka dni, a chaos ponownie obejmie dowodzenie.

Zginęła gdzieś także jedna słuchawka telefoniczna i klucze od drzwi do ogrodu, ale nie wspomniałam o tym jeszcze Tomowi, wiedząc, że to mnie obarczy odpowiedzialnością. Nie spędza w domu wystarczająco dużo czasu, by być

świadomym tego, że dzieci są niczym mrówki bez systemu, nieustannie w ruchu, przenosząc rzeczy z jednego pomieszczenia do drugiego i ukrywając je w miejscach niewidocznych dla dorosłego oka.

Gdyby nie było u nas Petry, uciekłabym się do przyprawiającego o ból krtani krzyku, który uwalnia mnie od gniewu, Sam zaś wspomina wtedy o reklamach NSPCC, które mówią, że krzyk jest równoznaczny z maltretowaniem dzieci. Ich twórca powinien się tu zjawić i posprzątać to wszystko.

Fred podszedł, by ułożyć się na moich kolanach, mając nadzieję na ułaskawienie, mnie zaś piekły oczy z wysiłku potrzebnego do zneutralizowania gniewu. Ponieważ Fred zrobił już to wcześniej, niecałe dwa tygodnie temu. Wyobraziłam sobie żyły w moim mózgu nabrzmiące od ciśnienia krwi przepływającej przez głowę, usilnie się starające, by nie wystąpić z brzegów niczym niewielkie rzeczki podczas silnych opadów deszczu. Potrzeba jedynie jednej chwili słabości, a mój mózg ogarnie powódź niczym deltę Okawango podczas pory deszczowej, pozostawiając moje dzieci sierotami.

Zamknęłam oczy i wdychałam zapach delikatnej skóry szyi Freda, tej delikatnej części pod długimi lokami z tyłu jego głowy, do których obcięcia nie mogę się zmusić, gdyż reprezentują ostatnie ślady jego wczesnego dzieciństwa. Zachichotał, ponieważ łaskotało go to, ale pozwolił mi na chwilę smutku. Pachniał słodką mieszaniną czystej pizamy, mydła i nieskazitelnej czystości niedawno umytego dziecka, i poczułam, że się rozpląwam. Ogarnęła mnie fala nostalgii za bobasem, którym on już nigdy nie będzie, i przez chwilę myślałam, że się rozplaczę. Czasami to kwestia przetrwania kolejnych dni, ale czasami znikąd pojawiają się chwile, które się chce zachować na zawsze.

- Uważam, Lucy, że chyba straciłaś z oczu wartość pewności w twoim życiu - mówi Cathy. - Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jakim przywilejem jest być pewną różnych rzeczy.

- Moja osiemnastoletnia niania powiedziała mi kiedyś, że jesteśmy zbyt sfiksowani na punkcie idei szczęścia jako końca samego w sobie - mówię, nagle przypominając sobie rozmowę z Polly. Przeglądam uważnie terminarz, usilnie starając się rozszyfrować moje własne listy. - Powiedziała, że nasze niezadowolenie opiera się na przekonaniu, że mamy fundamentalne prawo do bycia szczęśliwymi i gdybyśmy potrafili zaakceptować to, że wszystko, co nie jest okropne, stanowi bonus, to wszyscy bylibyśmy bardziej zadowoleni.

Może więc muszę uznać to, że jeden związek nie może zawierać wszystkiego.

- Boże, mam nadzieję, że dobrze jej płacisz - mówi Emma.

- Być może kluczem jest opowiedzenie się za szarymi strefami i przyglądanie się ekstremum z podejrzliwością - stwierdza Cathy.

- Nie ufam tym, którzy zbyt mocno w coś wierzą - oznajmia Emma. - Dlatego właśnie w przyszłym tygodniu idę na pogrzeb. Tony Blair i jego boskie przekonanie, że ma rację. Wszyscy za to płacimy. To długoterminowy dług.

Wstaje od stołu i udaje się w kierunku trzech olbrzymich sof na drugim końcu przestronnego pomieszczenia. Idziemy za nią, po czym siadamy razem na jednej sofie z kolejną butelką wina i wstawione zaczynamy bawić się w grę, którą wymyśliłyśmy przed wieloma laty, polegającą na podnoszeniu stron z butami z błyszczących magazynów i sprawdzanie, która potrafi rozpoznać parę butów od Jimmy'ego Choo z mniej więcej trzech metrów. Choć nigdy nie byłam właścicielką butów od Jimmy'ego Choo - nawet kiedy



pracowałam na pełny etat, należałam do ligi adidasów - od zawsze udaje mi się wygrywać akurat tę konkurencję i dzisiejszy wieczór nie okazuje się wyjątkiem.

Jesteśmy przy trzeciej rundzie i zdążyłam już objąć zdecydowane prowadzenie, mimo że nie widzę obwodowo, gdyż po raz kolejny mam na nosie moje wierne okulary z kasy chorych.

- Lucy, to wyjątkowo trudna zagadka - mówi Emma, podnosząc do góry „Vogue'a” otwartego na sekcji o sezonie imprezowym. - Nic więcej nie powiem.

Cathy sięga właśnie do lodówki po jeszcze jedną butelkę wina.

- To ta para zupełnie z prawej w dolnym rzędzie - mówię, popychając okulary wysoko na nos i przyglądając się długo i twardo dziewięciu parom butów. - I jest jeszcze jedna para, górny rząd w środku - triumfuję.

- Jak ty to robisz? - pyta Cathy, jak zawsze pod wrażeniem.

- To kwestia matematyki: można dostrzec wyjątkowy związek pomiędzy obcasem a podeszwą, nieuchwytny stosunek, który czyni je naprawdę eleganckimi. Potrafię to robić tylko z butami od Jimmy'ego Choo - odpowiadam, rozwalając się na nowej sofie, niepewnie trzymając w dłoni pełen kieliszek wina i zastanawiając się, w jaki sposób moje poczucie własnej wartości stało się zależne od tak bezużytecznej umiejętności. - Niestety, nie zbiję na tym majątku.

- Pytam z ciekawości, Lucy, co ma Seksowny Udomowiony Tata, a czego brakuje Tomowi? - pyta Cathy.

- Pewnie chodzi o to, że mało go znam, a więc pozostaje dużo miejsca dla wyobraźni - odpowiadam. - I wydaje mi się, że jest nieco szalony. Nieodpowiedzialny.

A potem czuję się nielojalna, że powiedziałam coś takiego.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nadzieja to dobre śniadanie, ale kiepska kolacja

Kiedy wreszcie docieram do domu, jest prawie druga w nocy. Z żalem liczę, ile dni potrzeba będzie na dojście do siebie po dzisiejszych ekscesach - jest to równanie, w którym dodaje się do siebie wypite kieliszki wina i odejmuje liczbę kolejnych godzin snu, które udaje mi się skraść.

Ku memu zdziwieniu na dole przy kuchennym stole siedzi Tom i patrzy w dal na portret swojej matki. Gra radio. Mój mąż słucha programu na World Service o meksykańskim architekcie Luisie Barraganie i nie słyszy, jak schodzę po schodach.

Na stole znajduje się model biblioteki w Mediolanie, a Tom gestem właściciela dotyka ramieniem jej boku, jak mężczyzna trzymający dłoń na pośladku nowej dziewczyny. Ubrany jest w niebieską piżamę w paski, którą musiał sobie kupić we Włoszech. Jest taka sztywna, że pozostaje nieruchoma, kiedy Tom się porusza. Kołnierzyk sterczy w górę, mój mąż wygląda więc tak, jakby miał wokół szyi krezę. Ogólne wrażenie elżbietańskiego dworzanina nasila fakt, że przez ostatni tydzień nie zawracał sobie głowy goleniem się i teraz jego oblicze pokrywa całkiem pokaźna warstwa czarnego zarostu, utrudniająca odgadnięcie wyrazu jego twarzy.

Patrzę na portret z dołu schodów i próbuję sobie wyobrazić, o czym może teraz myśleć mój mąż. Nie bez wysiłku starając się utrzymać równowagę, skupiam się na włosach Petry. Odkąd ją poznałam, w jej fryzurze nie nastąpiła żadna zmiana. Właściwie to jej wygląd ogólnie prawie w ogóle się nie zmienił. Paleta kolorystyczna jej stroju, składającego się ze schludnych bliźniaków i praktycznych butów na płaskim obcasie firmy Russell and Bromley, może i

stała się nieco mniej stonowana, ale praktyczność pozostała ta sama.

Jej włosy są niezmiennie poddawane trwałej ondulacji w tym samym stylu co tydzień od tak wielu lat, że już się nie ruszają, nawet kiedy Petra się schyla. Nigdy ich nie dotknęłam, ale wyobrażam sobie, że przypominają szczotkę drucianą. Nawet podczas silnego wiatru pozostają równie nieruchome jak grządka karczochów w mroźny poranek, niezmienione od dnia, w którym wyszła za ojca Toma.

Na tym obrazie jednak, namalowanym niecały rok przed ich ślubem, jej twarz otaczają długie brązowe włosy, opadające leniwymi falami niczym dwie zasłony po obu stronach pięknych, przejrzystych niebieskich oczu. Na jej twarzy maluje się łagodność, każdy najmniejszy mięsień jest rozluźniony. Wygląda sennie i leniwie. Wtedy w chwili pijackiej klarowności dociera do mnie, że ma wygląd kobiety zaspokojonej.

- Co się stało, Lucy? Wpatrujesz się we mnie, jakbyś zobaczyła ducha - odzywa się Tom, przerywając moją zadumę. - Nie było mnie tylko pięć dni.

- Chodzi mi o ten portret twojej matki - mówię. - Poznałeś kiedykolwiek mężczyznę, który go namalował?

- Był zawodowym artystą. Pozowała mu na długo przed moimi narodzinami, wiesz przecież o tym - odpowiada.

Po tych słowach wstaje, podchodzi do mnie i składa na moim policzku nieco urażony pocałunek. Jego zarost łaskocze i pocieram miejsce, gdzie mnie nim podrapał, a potem kicham. Być może zaczynam reagować alergią na własnego męża.

- Ale dlaczego w takim razie dał jej ten obraz? - pytam, pocierając nos i bardzo się starając wyglądać na trzeźwą.

- Nie mam pojęcia. Wiele lat przeleżał na strychu. Pierwszy raz zobaczyłem go wtedy, kiedy nam go przywiozła. Dlaczego zadajesz te wszystkie pytania? Sądziłem, że

zainteresujesz się biblioteką - mówi Tom lekko urażonym tonem.

- Prawdę mówiąc, to miałem nadzieję, że będziesz w domu, kiedy przyjadę.

Kiedyś było tak, że mogliśmy siedzieć w milczeniu, a potem, kiedy się odezwaliśmy, oboje mówiliśmy to samo. Byliśmy zsynchronizowani. To jasne, że stare zegary nigdy nie pokazują właściwego czasu. Może powinnam się cieszyć, że częściej się ze sobą zgadzamy niż nie zgadzamy, choć byłoby lepiej, gdybyśmy mniej dyskutowali. Ale może jeśli ludzie się zgadzają we wszystkich kwestiach, to każda rozbieżność wydaje się jeszcze bardziej niepokonana.

- Pojechałam zobaczyć nowy loft Emmy. Twoja matka zaproponowała, że posiedzi z dziećmi, no i musiałam się jakoś od niej wyrwać - odpowiadam. - Przepraszam. Nie sądziłam, że będziesz czekał.

- Wyjeżdża jutro rano - mówi Tom. - Zachowuje się nieco dziwnie. Wciąż powtarza, że nie wie, kiedy wróci. Mam nadzieję, że się nie pokłóciłyście.

- Nie, byłam zadziwiająco powściągliwa - odpowiadam w nadziei, że unikniemy dyskusji na temat Petry.

- Wszędzie jest porządek - stwierdza mój mąż. - Tylko nie tutaj. - Wskazuje złowieszczo na pogniecione zasłony z pokoju Joego, które z niewiadomego powodu leżą na parapecie. Nawet stojąc po drugiej stronie pomieszczenia, widzę, że na środku każdej z nich widnieją niezdarnie wycięte dziury. - Moja matka przyłapała Joego, jak próbował zrobić sobie z tych zasłon krótkie spodenki. Powiedział, że mu pozwoliłaś. Znajdował się w swoim pokoju sam z wielkimi nożyczkami - mówi, unosząc pytająco brew. - Prawdę powiedziawszy, wykonał kawał dobrej roboty. Poszedł spać razem ze spodenkami.

- Podchodzi do okna i podnosi do góry dwie zasłony z dziurami w kształcie spodenek. Na stole leżą wąskie paski materiału. - To szelki - wyjaśnia. Śmiejemy się. Ja pijacko, opierając się o poręcz w celu zachowania równowagi. - Tak czy inaczej myślę, że pieniądze, jakie zarobię na tej bibliotece, pozwolą nam się szarpnąć na nowe zasłony. Chodźmy do łóżka. Aha, przykro mi z powodu wyborów. Może jednak tak będzie lepiej.

Myślę o przyszłej środzie i perspektywie kolejnego wieczoru w towarzystwie Roberta Bassa. Powinnam odwołać to spotkanie już choćby z powodu tego, że wpływa zrywkowo na mój nastrój.

Kiedy wchodzimy do sypialni, Tom otwiera szafę i dostrzega slipki. Schludne małe stosiki w kolorze szarym, białym i czarnym. Wszystkie zostały wyprasowane i złożone na pół. Jego koszule wiszą według odcieni niczym próbnyki z kolorami farb Dulux.

- Masz łzy w oczach - mówię oskarżycielsko.

- Nie ożeniłem się z tobą, sądząc, że będziesz mi składać slipki - odpowiada.

- Dlatego właśnie za ciebie wyszłam - śmieję się. Wtedy chwyta mnie i przewracamy się na łóżko, całując się szaleńczo. Przyszpila mnie do łóżka dłońmi i całuje szyję tuż pod uchem. Z zarostem i krezą wygląda tak inaczej od mężczyzny, który wyjechał tydzień temu, że wyobrażam sobie, iż nagle znalazłam się w pokoju z kimś obcym. Jego dłoń znajduje się już w moich spodniach, a moja bluzka jest zupełnie rozpięta. Jego palce może i są duże oraz niezręczne, ale kiedy ta sama lekkość dotyku, dzięki której jest taki dobry w rysowaniu, odnosi się do mojego ciała, czuję, jak cała się rozpływam. Zastanawiam się, czy wszyscy architekci są podobnie uzdolnieni. Muszę pamiętać, by zapytać o to Cathy.

Zamykam oczy i przestaję myśleć o dylemacie związanym z Robertem Bassem.

- Naprawdę za tobą tęskniłem - szepcze mi Tom bez tchu do ucha, po czym przenosi zainteresowanie na moją lewą pierś.

Ale właśnie kiedy zdaje się nadchodzić kres seksualnej posuchy, do pokoju wchodzi Joe, trąc sennie oczy. Trzyma dwa kawałki materiału, które można bez trudu zidentyfikować jako krótkie spodenki.

- Tatusiu, co ty robisz mamusi? - pyta podejrzliwie. Tom zsuwa się ze mnie i kładzie się na łóżku, ciężko oddychając.

- Mocujemy się - mówi.

- Cóż, mam nadzieję, że nie jesteś zbyt brutalny - oznajmia Joe tonem niechybnie zapożyczonym ode mnie. - Mamusiu, czy mogę zrobić spodenki także dla Sama i Freda? - pyta. - Żebyśmy wyglądali jak von Trappowie.

Na wpół śpi, więc podnoszę go i zabieram z powrotem do jego pokoju, a on zasypia, ściskając w ręce dwa kawałki materiału, tak jakby ktoś mógł mu je w nocy ukraść. Kiedy wreszcie wracam do sypialni, Tom jest pogrążony w głębokim śnie. Kolejna stracona sposobność. Gdyby rodzicom wolno było kończyć rozmowy, życie wyglądałoby zupełnie inaczej.

Wtedy dostrzegam, że mój mąż, tak jak nasz syn, ściska w rękę małe kremowe pudełko z ciemnozieloną wstążką. Rozwieram mu dłoń, która zdążyła już zeszywnieć we śnie, i otwieram pudełko. W środku znajduje się mała kartka: „Dla Lucy. Od Toma. Za wyświadczone usługi”. To srebrny naszyjnik z kamieniami i wisiorkami u dołu. Jest tak piękny, że zagryzam wargę, by się nie rozpłakać. Próbuję obudzić męża, by mu podziękować, ale on jest nieosiągalny. Wkładam naszyjnik z powrotem do pudełka, tak by mógł mi go dać innym razem, a ja wtedy udam zaskoczenie. Ale mijają tygodnie i nic.

Grudzień zaczyna się niefortunnie.

- Pani Sweeney - mówi wychowawczyni Joego w środę rano, kiedy odprowadzam go do klasy. - Mogłabym zamienić z panią kilka słów?

Kiedy chodzi o dzieci, język strachu jest uniwersalny. A to jest jedno z tych zdań, które poraża serca rodziców na całym globie. Przekracza wszelkie bariery kulturowe i religijne. Ucisk w gardle, przyspieszony puls, suchość w ustach, napięcie mięśni. Walczę ze sobą, by do jej biurka nie udać się biegiem, lecz powolnym krokiem.

Na dzień przeciętnej matki składa się dużo rutyny i powtarzania, ale wszystkie wiemy, że łącząca to wszystko nić jest delikatna niczym pajęczyna. Media bombardują nas historiami przypadkowych katastrof: dziecko wlało do suszarki bębnowej i udusiło się, chłopiec zmarł, zakrztusiwszy się pomidorem koktajlowym, dziewczynka utopiła się w nadmuchiwanym basenie z pięcioma centymetrami deszczówki. Życie i śmierć na własnym podwórku. Za każdym razem, kiedy czytam w gazecie podobną wiadomość, obiecuję sobie, że będę bardziej tolerancyjnym rodzicem.

Wczoraj rano obudziłam się z postanowieniem, że spokojnie zmierzę się z polem minowym porannych katastrof. Kiedy się przekonałam, że nie ma sera do kanapek na drugie śniadanie, zaimprovizowałam z dżemem. Kiedy zobaczyłam, że Fred rozwinął i wepchnął do ubikacji całą rolkę papieru toaletowego, nałożyłam gumowe rękawice i odblokowałam kolanko. Nawet w godzinach szalonej nietolerancji przed szóstą rano, kiedy odkryłam, że chłopcy obudzili się wcześniej i ściągnęli wszystkie poduszki oraz kołdry ze swych łóżek, by zbudować na schodach łożę z nagromadzonymi przez osiem lat maskotkami na pokładzie i czekoladowymi śladami na ścianach dzięki zabranym potajemnie z kuchni ciasteczkom,



nawet wtedy obiecałam dzieciom, że nie posprzątam tego, tak by po powrocie ze szkoły mogli bawić się w to samo.

Tyle że zapomniałam poinformować Toma o łodzi. Wrócił do domu po północy, wstawiony i zmęczony po wieczornym spotkaniu z kolegami z pracy, potknął się o wielką pandę leżącą na dolnym stopniu i upadł tak niefortunnie, że rozciął sobie wargę. Znalazłam go, leżącego twarzą w twarz z pandą. Krew sączyła mu się z wargi i mruczał coś o wstrętnych pułapkach. Ciężko jest dbać o wszystkich w każdej minucie dnia.

Widzę, jak nauczycielka porządkuje coś na swoim biurku, i otwieram, i zamykam usta niczym złota rybka, próbując oblec twarz w wyraz zrelaksowany. To sztuczka, której się nauczyłam od prezenterów telewizyjnych, którzy robili to przed wejściem na antenę. Wtedy kątem oka dostrzegam, że Fred korzysta z tej nieoczekiwanej chwili, kiedy odwracam od niego uwagę, i kieruje się w kąt klasy. Nie mija kilka sekund, a spodnie i majtki z Bobem Budowniczym ma zrolowane w kostkach i siusia do niewielkiego kosza na śmieci. Podnosi głowę i uśmiecha się, pewny, że nie mogę zrobić awantury. Poziom mojej tolerancji zaczyna się niebezpiecznie obniżać. Zmieniam trasę, przemykam chyłkiem na drugi koniec pomieszczenia i wkładam kosz do swojej wielkiej torby na ramię, po czym nonszalancko kontynuuję trajektorię, nieco zbyt mocno trzymając Freda za rękę. Czuję, że przygląda mi się Robert Bass, i choć raz jego uwaga nie jest pożądana.

Podchodzę do biurka wychowawczyni. Nachyla się, a ja idę za jej przykładem, aż nasze czoła niemal stykają się ze sobą. To musi być coś złego. Przez moją głowę przebiega kilka scenariuszy. Joe zrobił komuś krzywdę. Ktoś zrobił krzywdę Joemu. Postawiono oficjalną diagnozę o zaburzeniach obsesyjno - kompulsywnych. Winią mnie. To mój chaos spowodował jego fiksacje. Odkryto skandal

pedofilski. Dostrzeżono mój flirt z Robertem Bassem, który teraz znajduje się na drugim końcu klasy, pomaga synowi wypakować z tornistra książki i zerkna na mnie.

„To niestosowne, by rodzice angażowali się w rozmowy połączone z flirtowaniem - wyobrażam sobie słowa wychowawczyni. - Codziennie mamy do czynienia z efektami ubocznymi takiego typu szukania przyjemności na krótką metę. Cztery razy zostanie pani za karę po lekcjach, pani Sweeney”.

Uznaję, że mam nadmierną obsesję na punkcie swojej osoby, jeśli umieszczam siebie w centrum swojego świata, podczas gdy powinnam zaakceptować miejsce na peryferiach. Oczywiście, że nie ma to nic wspólnego ze mną. Trzymam się także faktu, że wychowawczyni Joego jest najpewniej z dziesięć lat młodsza ode mnie. Niemniej jednak po prostu muszę cofnąć się do pełnych uporu lat młodości i stać z dłonią na biodrze w klasycznej wyzywającej pozie nastolatki.

- Powinnam zadzwonić do męża? - pytam z niepokojem.

- Nie ma takiej potrzeby. To niegroźna sprawa, pani Sweeney. Znaleźliśmy je w bocznej kieszeni tornistra Joego - mówi z uśmiechem, podając mi na wpół opróżnioną paczkę papierosów. Musiałam je tam schować, kiedy w zeszły piątek wróciłam do domu od Emmy.

- Mój mąż musiał je tam zostawić - odpowiadam.

- Mają państwo więcej niż szesnaście lat. Nie ma potrzeby chować się już za szopami na rowery - żartuje wychowawczyni, a ja uśmiecham się słabo.

Otwieram torbę, by wsadzić do niej papierosy, i widzę, że nauczycielka przypatruje się jej zawartości.

- Czy to nie jest przypadkiem mój kosz na śmieci? - pyta nieufnie.

- Nie, to przenośny nocnik - słyszę własne słowa.

- Wygląda zupełnie jak jeden z moich koszy - mówi. Uświadamiam sobie, że nie jest ona jedną z tych osób, które łyknęłyby coś takiego. Chce poznać całą prawdę i tylko prawdę.

- Znalazłam go na dziedzińcu w drodze do szkoły - mówię, zapominając o radzie Cathy, by nigdy nie ubierać kłamstwa w zbyt dużą liczbę szczegółów. - Wydaje mi się, że ktoś oddał do niego mocz, sądząc po kolorze i zapachu. To znaczy mały człowiek, nie dorosły. Ilość moczu sugeruje dziecko.

- Na twarzy nauczycielki maluje się potworna konsternacja.

- Miałam więc zamiar zabrać go do toalety, umyć, a potem zanieść z powrotem na dziedziniec. - Rzucam spojrzenie na drugi koniec klasy w stronę ziejącej dziury, gdzie jeszcze niedawno stał kosz na śmieci, i widzę, jak podchodzi Robert Bass i rozpina kurtkę, ukazując identyczny kosz wykradzony z innej klasy. Macha do mnie i stawia go na podłodze. - Proszę, pani kosz stoi tam - mówię.

Wychowawczyni odwraca się i widzi kosz tam, gdzie powinien się znajdować.

- Bardzo panią przepraszam. Nigdy nie widziałam takiego, eee, przenośnego nocnika, wygląda naprawdę zupełnie jak kosz - mówi, zupełnie zmieniając front. - Wykazała się pani postawą obywatelską, pani Sweeney. Potrzebni nam w szkole rodzice tacy jak pani.

Wychodzę z klasy razem z Robertem Bassem. Udajemy się na korytarz, gdzie wachluję się paczką wilgotnych chusteczek.

- Dzięki - mówię, ujmując dłoń Freda. - Wybawiłeś mnie z trudnej sytuacji.

- Nie ma sprawy. Zastanawiałem się, czy nie mogłabyś mnie podwieźć na to dzisiejsze spotkanie - mówi.

- Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić - słyszę własne słowa.

No i postanowienie unikania go tym samym gaśnie. Po raz pierwszy Robert Bass wyszedł z inicjatywą spotkania. Usprawiedliwiam swoją słabość tym, że odmówienie mu byłoby grubiaństwem i że przecież chodzi o zwyczajnie zawiezenie go na spotkanie w domu Mamy Alfa, gdzie mamy dokonać ustaleń w sprawie przyjęcia bożonarodzeniowego, o nic innego. Jest coś nieodpowiedzialnie nastoletniego w perspektywie przymusowej bliskości, którą zapewnia samochód. Ze zdumiewającą jasnością w mojej głowie pojawiają się obrazy niezdarnych manewrów, hamulca ręcznego wbijającego się w brzuch Roberta Bassa, gdy się nachyla, by mnie pocałować i przeciągnąć na swoje kolana. Nawet przy maksymalnym odchyleniu fotela uderzyłabym głową w dach. Następnie myślę o stanie samochodu. Spleśniałe jabłka na podłodze przed fotelem dla pasażera, lepka rączka od schowka i czekolada sprasowana na oparciu. Postanawiam nie sprzątać, ponieważ to powściągnie pokusę.

- Byłoby super, Lucy - mówi Robert Bass. - W takim razie do zobaczenia, uważaj na małych ludzi.

A potem odchyła głowę do tyłu i śmieje się tak głośno, że przyglądają mu się przechodnie.

Podrzuciwszy Freda do żłobka, udaję się na umówiony lunch z teściową. Mamy dziś jeden z tych zimnych zimowych dni, kiedy niebo jest cudownie błękitne, a słońce mile widziane po całych tygodniach nieobecności. Siedzę w autobusie w drodze do Johna Lewisa na Oxford Street, opieram policzek o zimną szybę i zamykam oczy w promieniach słońca, czując coś bliskiego zadowoleniu, pomimo czekającej mnie trudnej rozmowy. Jest przedpołudnie, nikt nie zajmuje siedzenia obok mnie, a kierowca łagodnie skręca, tak że nie uderzam głową w szybę.

Bycie samą jest dla mnie taką samą rozkoszą, jak dla Niezłej Mamuśki Nr 1 sesja u Micheline Arcier.

Moja teściowa wierzy w Johna Lewisa w taki sposób, w jaki niektórzy ludzie wierzą w Boga. Mówi, że jeśli czegoś nie można kupić w obrębie jego masywnych ścian, to rzecz ta nie jest warta posiadania. Kiedy Selfridges przeszło przemianę, jej wiara w nienaruszalną stałość Johna Lewisa tylko się wzmocniła. Choć w lekkiej pogardzie miała próby modernizacji działu meblowego i wprowadzenia nowego asortymentu odzieży, jej wieloletni związek z tym domem towarowym był ogólnie wierny i nieskomplikowany, pomimo przelotnego romansu z Fenwicksem krótko po tym, jak poznałam Toma.

Kiedy wchodzę do sklepu, najpierw przechodzę przez pasmanterię. Jest coś dziwnie uspokajającego w rzędach różnokolorowej wełny i nici. Na ścianie z tyłu wiszą kiczowate gobeliny z kociakami i szczeniętami. Wyobrażam sobie, jak wieczorem siedzę obok Toma na sofie, tkam gobelin i piję Horlicksa (Angielski mleczny napój w proszku (przyp. tłum.)), a wszelkie myśli o Robercie Bassie ulatują mi z głowy, ustępując miejsca niezawodnemu oddaniu rodzinie.

Robienie na drutach i szycie zostały zrehabilitowane jako mile widziane rozrywki modnych matek, więc może uwzględnię jednak również tkanie gobelinów. Mogłabym odczuwać żal za grzechy i utkać kilka dla miejscowego kościoła. Siadam na krześle naprzeciwko maszyn do szycia, zamykam oczy i oddycham głęboko. Czuję się niesamowicie zrelaksowana.

- Lucy, Lucy! - Otwieram oczy, a to moja teściowa delikatnie potrząsa moim ramieniem. - Spałaś? - pyta.

- Po prostu medytowałam - odpowiadam.

Ubrana jest w coś, co określiłaby jako swój najlepszy płaszcz: granatową wełnianą rzecz ze złotymi guzikami i o

szerokich ramionach, żywcem wyjętych z lat osiemdziesiątych. Do kołnierzyka ma przypiętą złotą broszkę, długą, cienką sztabkę z kokardami na końcach. Pachnie mydłem i perfumami Anais Anais.

Idziemy do ruchomych schodów. Stoję na stopniu za nią. Petra trzyma się prosto, pięty złączone, palce rozsunęte, niczym grenadier. W restauracji samoobsługowej obie zamawiamy sałatkę z krewetkami i plasterkami awokado na razowcu. To naturalna ewolucja koktajlu z krewetek, myślę sobie, kiedy udajemy się do stolika przy oknie z widokiem na Marble Arch. Przyglądamy się skwerowi i nieco zbyt energicznie mieszamy cappuccino. Wprowadzenie tego, co Petra nazywa „egzotyczną kawą”, stanowi jedyną zmianę, którą przyjęła z zadowoleniem.

- Zastanawiasz się pewnie, o co mi chodzi - zaczyna dzielnie.

Nadal ma na sobie płaszcz z zapiętym górnym guzikiem i to tak bardzo przypomina mi Toma, że muszę zdusić w sobie śmiech. Z całą pewnością musi istnieć guzikowy gen.

- Chyba wiem - odpowiadam, mając nadzieję, że moje aktywne podejście zbije ją z tropu. Patrzy na mnie z lekkim zdziwieniem. - Zauważyłam, że mnie obserwujesz - wyjaśniam.

- Wiem. Już od dłuższego czasu pragnęłam coś powiedzieć. - Przygląda mi się z niepokojem. - Ale odkładałam to na później, natomiast teraz sprawy przybrały taki obrót, że jeśli niczego nie powiem, to według mnie wyrządzi to jeszcze więcej szkody.

- Małżeństwo nie zawsze jest łatwe - mówię, postanawiając wziąć byka za rogi. Nie ma czasu na powolne zbliżanie się do sedna sprawy, ponieważ za niecałe dwie godziny muszę odebrać Freda ze żłobka. - Przechodzi się przez różne etapy, a pełna zgodność tak naprawdę nie istnieje.

- W rzeczy samej. Często te same rzeczy, które przyciągają nas do kogoś, przekształcają się w te, z którymi najtrudniej nam żyć. Nad zgodnością trzeba pracować.

Bierze do ust łyk cappuccino i przełyka je dopiero po irytująco długim czasie. Kiedy podnosi głowę, nad jej górną wargą widać cienką warstwę pianki.

- To prawda - przytakuje. - Nie zawsze łatwo być tolerancyjnym.

- Masz dużą intuicję, Lucy - mówi Petra. - I jesteś szczerą. Małżeństwo to rzeczywiście pasmo kompromisów i kobiety są lepszymi kameleonami od mężczyzn. Można to postrzegać jako ciężar przypisany kobiecie, ale w gruncie rzeczy jest to raczej wyzwalające niż ograniczające, gdyż zezwala na możliwość kochania wielu różnych ludzi.

- To wcale niczego nie ułatwia - stwierdzam. Dziesięć minut temu prowadzenie takiej rozmowy z moją teściową wydawałoby się niepojęte i usiłuję zrozumieć tę nieoczekiwaną zmianę w parametrach naszych relacji. Ona, z drugiej strony, przystosowała się do niej z wyraźną łatwością.

- Ale uważam, że jeśli można osiągnąć kompromis z jedną osobą, można to również zrobić z inną - mówi Petra. - Pomyśl, że ludzie przemierzają świat w poszukiwaniu swego idealnego partnera, zawsze wydawał mi się absurdalny. Sądzę, że może nam się podobać wielu różnych ludzi i że jeśli otrzymujemy szansę, powinniśmy ją wykorzystać.

Opiera się na krześle i wygląda trochę tak, jakby jej ulżyło, jakby od miesięcy szukała tych słów, odgrywając tę rozmowę w głowie późno w nocy. Ja, z drugiej strony, jestem ogłuszona jej bezpośredniością i nie mam pojęcia, co powiedzieć. Nie tego się spodziewałam. Desperacko próbuję sobie przypomnieć chwile z ostatnich sześciu miesięcy, podczas których pozwoliłam jej na tak totalny dostęp do moich najgłębszych myśli. Choć wiem, że przez minione

dziesięć lat odnosiła się do mnie z dezaprobatą, zaskoczona jestem tym, że tak łatwo chce się mnie pozbyć. Wygląda to tak, jakby dawała mi carte blanche na romans. Prawdę powiedziawszy, nieco boli mnie to, że uważa nasze małżeństwo za tak mało wartościowe.

- Zawsze sądziłam, że jesteś zwolenniczką monogamii, Petro - mówię ze zdumieniem.

Szok, jaki odczuwam w wyniku tej rozmowy, sprawia, że podnoszę głos, a kiedy unoszę głowę, widzę, że przyglądają nam się dziesiątki oczu. To nie jest właściwe tło dla tego typu dyskusji. I to nie jest właściwa widownia. To nie są fani programów typu reality show. To są miłośnicy Radia 4 i audycji „Czas na pytanie do ogrodnika”, pragnący cichych rozmów o najlepszych kosiarkach do trawy.

Czuję, że ziemia usunęła mi się spod nóg. Wszelkie założenia, które poczyniłam na temat mojej teściowej, pozostają teraz kwestiami otwartymi. Z pewnością nie jest jej obce pojęcie przyjęcia kluczykowego, ale żeby rodzice Toma prowadzili małżeństwo otwarte... O, to zbyt wiele jak na moją głowę.

- Oczywiście, że jestem zwolenniczką monogamii - odpowiada, nieco wstrząśnięta kierunkiem, w jakim poszła nasza rozmowa.

- Ale mówisz o kochaniu różnych osób - nie daję za wygraną. - Masz na myśli, że w sposób platoniczny, bez seksu?

- Cóż, sądzę, że seks może znaleźć się w programie - odpowiada, wyglądając na mocno skrepowaną. - Choć pociąg seksualny z wiekiem słabnie. - Rozpina górny guzik płaszcza i zaczyna wachlować kartą dań zarumienioną twarz. - Chyba nie wyrażam się jasno - dodaje.

- Uważam, że wyjątkowo jasno przedstawiłaś swoje stanowisko - oświadczam.



Ludzie z determinacją wpatrują się w swoje karty dań i wkładają łyżeczkami jedzenie do ust, ale wiem, że cały ich wysiłek koncentruje się na śledzeniu naszej rozmowy, ponieważ przestali przeżuwać i ich policzki są pełne jak u chomików.

- Lucy. Staram się powiedzieć ci w kilku słowach, że spotkałam mężczyznę, którego kochałam wiele lat temu, i wyjeżdżam do Marrakeszu, by z nim zamieszkać.

Próbuję ustalić, czy nagle uświadomienie sobie, że cała ta rozmowa dotyczyła jej, a nie mnie, dorównuje wstrząsowi, z którym przyjmuję informację, że moja teściowa oświadcza, że się w kimś zakochała i przeprowadza się za granicę. Siedzę i wpatruję się w nią przez krępująco długą chwilę.

- Czy to ten mężczyzna, który namalował twój portret? - pytam w przyływie natchnienia.

- Tak - odpowiada, wyglądając na zawstydzoną. - Nie wiem, jak mam powiedzieć o tym Tomowi. Znam tego mężczyznę od lat. Przez cały czas mojego małżeństwa z ojcem Toma ani razu się nie spotkaliśmy. Od czasu do czasu przysyłał mi listy, ale nigdy mu nie odpisałam. Byłam absolutnie wierna. Kilka lat temu przyjechał do Londynu, zadzwonił do mnie i poszliśmy razem na lunch. Jest starszy ode mnie o dwanaście lat. Miałam tylko dwadzieścia lat, kiedy przeżyliśmy romans. Chodzi o to, że właśnie otrzymałam szansę na szczęście, którą odrzuciłam przed czterdziestu laty, i nie chcę ponownie jej zaprzepaścić.

- Ale dlaczego nie wyszłaś za niego wtedy? - pytam.

- Ponieważ nie można było na nim polegać. Zbyt dużo pił. Nie byłby mi wierny i żylibyśmy w nędzy - wyjaśnia. - Łączyła nas wielka namiętność. Nigdy nie powiedziałam o tym ojcu Toma. Wtedy nie byłoby to właściwe, ale teraz jest.

- Ale czy nie myślałaś ciągle o tym, jak to by mogło być? - pytam, zastanawiając się nad silną wolą, jaką musiała w

sobie przywołać, by wyłączyć uczucia przy artyście i włączyć je ponownie, kiedy poznała ojca Toma.

- Oczywiście, że o nim myślałam, i pewnych aspektów naszego związku nie dało się zapomnieć, ale przyzwyczaiałam się do kogoś innego - mówi. - Próbowałam powiedzieć ci wcześniej, iż uważam, że to możliwe, by kochać wielu ludzi. Kochałam ojca Toma, był naprawdę uroczy i kochał mnie. Dał mi taką stabilność, jakiej pragnęłam. Jack sprowadziłby na nas smutek i ból, i to zniszczyłoby wszystko, co dobre.

- Ożenił się?

- Miał dwie żony i jest ojcem szóstki dzieci, jednego z kobietą, z którą nie był żonaty. Mówi, że gdybym z nim została, nigdy by się to wszystko nie wydarzyło, ale ja wiem, że nikt na świecie nie zdołałby zatrzymać go przy sobie. Lubił bystre kobiety, a ja nigdy nie byłam bystra w ten błyskotliwy, intelektualny sposób. Pociągały go kobiety niebezpieczne. Lubił ludzi po przejściach, ponieważ byli ekscytujący. Ja byłam zbyt prosta. Oczywiście, że piłam i imprezowałam, ale nie w takim stopniu jak on. Jedynym naszym wspólnym upodobaniem był seks.

Przez restaurację Johna Lewisa przetacza się odgłos gwałtownych wdechów, a ja odczuwam ulgę, bo choć odnowa w naszych relacjach jest mile widziana, akurat tego tematu tak naprawdę nie mam ochoty wnikliwie studiować.

- Chciałabym, żebyś powiedziała o tym Tomowi, Lucy, jeśli nie masz nic przeciwko temu - mówi Petra. - Ja nie jestem w stanie.

- Sądzę, że sama powinnaś to zrobić. Nie będzie temu niechętny w takim stopniu, jak ci się wydaje. On rozumie potrzebę bycia kochanym i strach przed samotnością. Wszyscy to rozumiemy. A może wpadniesz do nas wieczorem? Wychodzę na zebranie trójki klasowej.

- Skoro jesteś pewna, że tak będzie najlepiej.

- Jestem. - Odchylam się do tyłu i myślę o tym, jak mało w rzeczywistości wiemy o ludziach, którzy są nam najbliżsi. - Naprawdę będzie nam cię brakowało.

- Darmowej opieki nad dziećmi i sprzątaniam? - uśmiecha się. - Nie wspominając o wtrącaniu się. Mnie też będzie tego brakować. Musicie mnie odwiedzić w Marrakeszu, to niezwykle ekscytujące miasto i jestem pewna, że dzieciom się spodoba.

- Weźmiecie ślub? - pytam.

- Nie. Będziemy żyli w grzechu. Wyjeżdżam w Nowy Rok, tak, bym mogła spędzić Boże Narodzenie z wami wszystkimi. O ile to nadal odpowiada twoim rodzicom.

- Oczywiście. Bardzo się ucieszą - kłamię.

- Idziemy na zakupy? Zafunduję ci coś. Teraz, kiedy sprzedaję dom, czuję się jak bogaczka. Ściągnijmy z ciebie te dzinsy i ubierzmy cię w coś ładnego.

- Prawdę powiedziawszy, to z wystarczającym trudem wchodzę w swoje dzinsy. I właściwie to nie noszę niczego ładnego. W każdym razie dziękuję. A może zamiast tego poszukamy prezentów dla dzieci?

Udajemy się do działu z zabawkami. Od świetlówek, plastikowych brył w krzykliwych kolorach i liczby jeszcze niezakupionych gwiazdkowych prezentów zbiera mi się na mdłości. Chciałabym usiąść sama i w spokoju przetrawić wszystko, co powiedziała Petra, nauczyć się tej rozmowy na pamięć, ponieważ choć wiem, że oznaczała ona coś znamiennego, w tej chwili nie jestem pewna, co dokładnie może to być. Ale moja teściowa jaśniej z poczucia ulgi, że wreszcie wyrzuciła to z siebie, i chce przejść do spraw bardziej prozaicznych.

Wieczorem zostawiam Toma i jego matkę przy wspólnej kolacji, a sama jadę po Roberta Bassa z wilgotnym egzemplarzem „The Economist” leżącym ód niechcienia na

przednim fotelu pasażera. Mam nadzieję na przywrócenie naszym relacjom choć odrobiny aspektu intelektualnego i po szybkim przejrzeniu gazety w wannie uznałam, że rozmowa podczas naszej krótkiej podróży do domu Mamy Alfa powinna skupić się na sprawach światowych oraz innych bezpiecznych tematach. To może brzmieć nieco nienaturalnie, ale postanowiłam przejąć kontrolę nad wydarzeniami, żeby nie rozgrywały się dowolnie wokół mnie.

Z drugiej jednak strony fakt, że gazeta jest tak wilgotna, iż kartki posklejały się ze sobą, może mu sugerować, że czytałam ją w wannie. Naga, co może naprowadzić go na myśl o kwestiach innego typu. Mężczyźni larwo ulegają wpływom. Wystarczy powiedzieć „masło”, a oni już myślą o Ostatnim tangu w Paryżu.

Choć po raz pierwszy jadę do domu Roberta Bassa, drogę mam opracowaną na pamięć. Kilka tygodni temu pewnego wieczoru spędziłam kilka minut przy komputerze, próbując zlokalizować jego najbardziej logiczną trasę do szkoły, wykorzystując do tego celu lokalizator AA. Na kolanach mam rozłożoną możliwie najdokładniejszą mapę.

Zatrzymuję się przed domem Bassa i czekam, aż się pojawi. To klasyczny budynek w stylu wczesnowiktoriańskim, otynkowany na biało i ze świeżo pomalowanymi na niebiesko drzwiami. Ponad niskim białym murkiem widzę zejście do znajdującej się w piwnicy kuchni. Ktoś myje naczynia. Kobieta z krótko obciętymi włosami leniwie płucze rondle. Z całą pewnością nie są czyste, kiedy ustawia je koło zlewu. Widzę, jak podchodzi do niej Robert Bass i kładzie dłoń na jej kościstym ramieniu. Kobieta odwraca się, by pocałować go w usta. Ma na sobie obcisłe džinsy i botki Ugg. To musi być jego żona. W tle widzę niewielki cień dziecka, bawiącego się na podłodze pociągiem. Opieram w szoku głowę o zagłówek. Nigdy wcześniej nie widziałam żony Roberta. Wyobrażałam

sobie kogoś zupełnie innego niż ja, ostrą kobietę z City w pełnym makijażu i garniturze od Armaniego. Kobietę ze stalowym uśmiechem i starannie ułożonymi włosami. Zamiast tego prezentuje mi się ten wzór doskonałości. Oczywiście, że z bliska widać nieuniknione początki kurzych łapek, nieco luźnej skóry na brzuchu i być może cień w jej oczach, wskazujący na to, że nie wszystko jest takie idealne, ale z daleka ma sylwetkę godną pozazdroszczenia. Wpatruję się w nią tak intensywnie, że nie zauważam, jak Robert Bass wychodzi z domu. Otwiera drzwi i siada na gazecie.

- Lucy, to bardzo miło z twojej strony - mówi.

Odjeżdżamy i za każdym razem, gdy się porusza, zauważam, że coraz więcej „The Economist” ucieka spod niego, aż wreszcie magazyn ląduje na podłodze. Robert pochyla się, jakby miał zamiar go podnieść, ale postanawia zignorować gazetę i zamiast niej podnosi papiery, by przyjrzeć się uważnie czemuś innemu.

- Co to? - pytam, starając się koncentrować na jeździe. - Kostka masła - odpowiada. Słysząc, że jest speszony.

Podskakuję i chyba gwałtownie wciągam powietrze, gdyż szybko dodaje, że jeszcze nigdy nie spotkał nikogo, kto ma fobię związaną z masłem.

Wiem, że on myśli o Marlonie Brando i chciałabym przypisać sobie zasługi za dogłębne rozumienie męskiej psychiki, ale to nie jest najlepszy moment na coś takiego.

- Twój samochód niezmiennie mnie zdumiewa, Lucy - mówi.

- Niektórzy ludzie mają drugie domy, ja mam samochód. Pozwolisz, że zajadę na stację po benzynę? - pytam.

- Myślę, że byłoby to wskazane, jeśli uwzględnimy twoje niedawne niepowodzenie, prawda? - mówi zadowolony z siebie. Przegląda leżące w schowku płyty w pudełkach. -

Dlaczego wszystkie są ubłocone? - pyta. - Właściwie to nie powiem już ani słowa więcej.

- W odpowiedzi na twoje wcześniejsze pytanie: jest wiele znacznie gorszych rzeczy niż opróżniony bak w drodze do szkoły.

- Kilka, ale niezbyt wiele - odpowiada.

Kiedy wysiadam z samochodu, by iść zapłacić, czuję irytację na Roberta Bassa, częściowo dlatego, że jego krytyka dotyka mnie do żywego, ale głównie z powodu jego pięknej żony.

Czekam cierpliwie w kolejce, nadal dręczona widokiem tej kobiety w piwnicy, i grzebię w płaszczu w poszukiwaniu karty kredytowej. W jednej z kieszeni jest dziura i wreszcie znajduję kartę na dole pod podszewką. Ludzie za mną zaczynają ze zniecierpliwieniem przestępować z nogi na nogę. Wszystko wydaje się iść gładko, dopóki kobieta przy kasie nie mówi czegoś o „małym problemie” tonem, którego się używa, kiedy ma się na myśli coś dokładnie przeciwnego. Oznajmia, nachylając się nad kasą, tak że wszyscy zaczynają na nas patrzeć, że musi zawołać kierownika, i sugeruje, by pozostali klienci przeszli do drugiej kolejki.

- Obawiam się, że poproszono nas o zatrzymanie tej karty - oświadcza kierownik. Jego klatka piersiowa jest nadęta od wygórowanego mniemania o sobie, dzięki czemu plakietka z napisem „kierownik” staje się jeszcze bardziej widoczna. - Zgłoszono jej kradzież.

- Proszę posłuchać, mogę wszystko wyjaśnić - mówię, natychmiast uświadamiając sobie swój błąd. - Bo widzi pan, myślałam, że zgubiłam tę kartę, więc zgłosiłam jej kradzież, a teraz nagle znalazłam ją pod podszewką płaszcza. To ja jestem osobą na karcie. To ja jestem Sweeney, Lucy Sweeney. To proste.

Uśmiecham się, by wzbudzić w nim zaufanie. Spogląda na mnie powątpiewająco.

- Proszę pozwolić mi iść do samochodu, a przyniosę drugą kartę, która jest sprawna - mówię spokojnie.

- Musimy postępować zgodnie z procedurami - odpowiada. - A poza tym może pani zwać bez płacenia. Już my znamy ten typ.

- Jaki jest mój typ? Czy wiele z nas zwiewa bez płacenia? - słyszę własne słowa. - Czy naprawdę uważa pan, że istnieje stowarzyszenie matek, oszalałych z powodu połączenia braku snu, trosk finansowych i przepelnionych koszy z praniem, rozładowujących frustrację za pomocą oszustw z kartami kredytowymi na małą skalę? Oczywiście, że jeśli tak, to zostaniemy pociągnięte do odpowiedzialności, ponieważ matki stanowią taki łatwy cel.

Milknę, ponieważ wszyscy się we mnie wpatrują, i widzę, jak Robert Bass patrzy przez przednią szybę stojącego na parkingu auta.

- Poza tym czekamy na przyjazd policji - kontynuuje kierownik, przyglądając mi się z z troskaniem w oczach.

Źle, źle, źle i robi się jeszcze gorzej. Robert Bass wchodzi do środka, z wyrazem rozdrażnienia na twarzy, przeczesując nerwowo włosy.

- Spóźnimy się - mówi.

- Czy to pani współnik? - pyta kierownik, mierząc go wzrokiem od góry do dołu.

- Coś w tym rodzaju - odpowiada Robert Bass z irytacją. - Co się dzieje, Lucy?

Wyjaśniam mu. Każą nam usiąść na drewnianej ławce za ladą.

- Jest nieco wygodniejsza od tej, na której siedzieliśmy tamtego wieczoru - mówię, starając się wprowadzić nieco lekkości do biegu wydarzeń. Ale on siedzi obok mnie,

trzymając głowę w dłoniach i nerwowo przeczesując palcami gęstą czuprynę. - Obiecuję, że wszystko będzie w porządku - dodaje, a moja ręka wisi w powietrzu gdzieś w pobliżu jego ramienia.

- Proszę nie rozmawiać i trzymać ręce na kolanach - oświadcza kierownik. - Może być pani uzbrojona.

Pół godziny później pojawia się policjant w kamizelce kuloodpornej, założonej z pewnością nie z myślą o nas. Poleca kierownikowi, by nie marnował jego czasu i zadzwonił do mojego banku. W banku mówią mu, że w bieżącym roku finansowym zgubiłam jedenaście kart i radzą, by tę pociął na kawałki i nas puścił.

Wracamy do samochodu w milczeniu.

- Nie wiem, jak z tym wszystkim radzi sobie twój mąż - odzywa się słabym głosem Robert Bass. Odchyła fotel tak daleko, jak się da, i zamyka oczy. Ten widok oczyma wyobraźni widziałam dzisiaj wiele razy, ale nie w takich okolicznościach. - Z pozoru twoje życie wydaje się rutynowe, ale prawda jest taka, że pod powierzchnią aż kipi i strzela niczym w ogarniętym anarchią kraju Ameryki Środkowej. Nigdy nie wiadomo, czego się po tobie spodziewać - mówi, a jego oczy pozostają zamknięte. - Nie jestem sobie w stanie wyobrazić, jak on to wytrzymuje.

- Cóż, o większości spraw mu nie mówię.

- Jesteś w takim razie dobra w dochowywaniu tajemnic. - I nie odzywa się więcej ani słowem do chwili, gdy dojeżdżamy do domu Mamy Alfa. - Wymyśl jakieś usprawiedliwienie, to twoja specjalność. Ja nie mam na to energii - mówi, wzdychając, gdy wyłącza silnik.

Mama Alfa otwiera drzwi ubrana ze swobodną elegancją, który to wygląd zawsze zbija mnie z tropu.

- Sporo się spóźniliście - oświadcza na powitanie.



- Zresztą to było do przewidzenia. W każdym razie wydrukowałam program, więc nie powinno zająć nam to zbyt wiele czasu.

- Przepraszam - mówię. - Coś nam wypadło. Prowadzi nas do kuchni i pyta, czy chcielibyśmy się czegoś napić. Kiwam głową i już, już mam poprosić o kieliszek białego wina, kiedy ona wskazuje na szufladę z herbatami na różne okazje. Zapowiada się długi wieczór.

- Na co masz ochotę? - pytam Roberta Bassa. - „Cudowne marzenia”, „Nowa energia” czy „Łagodzenie napięcia”?

- To ostatnie brzmi nieźle - odpowiada słabym głosem.

Moje spojrzenie przyciąga półka z poradnikami dotyczącymi wychowania dzieci: 7 zwyczajów wyjątkowo efektywnych rodzin, Pozytywne rodzicielstwo od A do Z, Pójście do szkoły: jak pomóc swemu dziecku odnieść sukces.

- Jaką wyznajesz filozofię wychowania dzieci, Lucy? - pyta Mama Alfa.

- Powolne matkowanie - odpowiadam, zmyślając to na poczekaniu. - To część ruchu slow, w którego skład wchodzi także slow food, a którego celem jest wychowywanie dzieci w naturalnych warunkach.

- Och - stara się zamaskować zdziwienie. - O tym akurat nie słyszałam.

Na ścianie obok lodówki wisi plansza z cotygodniowymi zajęciami, która jest mojego wzrostu. Podczas gdy gotuje się woda w czajniku, podchodzę, by przyjrzeć się jej uważniej. Kumon matematyka, Suzuki skrzypce, szachy, joga dla dzieci.

- Ciężko pewnie zachowywać nad tym wszystkim kontrolę - mówię, wskazując na planszę.

- Słowo na „o”, Lucy. - Uśmiecha się porozumiewawczo.  
- Wszystko zaczyna się od niego.

- Och... - bezgłośnie poruszam ustami w galopie myśli.

- O jak organizacja - ripostuje surowo Mama Alfa i ogłasza początek zebrania. - Zaczniemy od naszej misji - oświadcza, patrząc na nas oboje.

To właśnie przytrafia się odnoszącym sukcesy zawodowe kobietom, które rezygnują z pracy i nie mają co ze sobą zrobić. Matki McKinsey, za dużo czasu, za dużo energii, za mało instynktu, myślę sobie, starając się przywołać na twarz minę wyrażającą pełne entuzjazmu zainteresowanie.

- Chcę, by semestr mojego przewodzenia został zapamiętany dzięki wprowadzanej do szkolnych wydarzeń dyscypliny intelektualnej - mówi Mama Alfa. Robert Bass wygląda na zaskoczonego. - Tak więc podczas imprezy bożonarodzeniowej, zanim Święty Mikołaj i jego mały pomocnik rozdadzą prezenty, proponuję krótki koncert dawnych kolęd angielskich.

Mama Alfa podaje nam kserówki trzech kolęd, które wybrała z książki o tym samym tytule.

- Nie uważacie, że to przyjęcie powinno być dobrą zabawą? - pyta Robert Bass, przebiegając wzrokiem po słowach następujących pieśni: 1) Kolęda, kolęda w całym mieście, 2) Przyrowadź nas w dobrym zdrowiu, 3) Gdy podróżowałem tą nocą. - Dzieci będą bardzo podekscytowane przybyciem Świętego Mikołaja. A poza tym one mają dopiero pięć lat, nierealne jest oczekiwanie, że się nauczą tych kolęd - protestuje.

- Dokładnie - odpowiada Mama Alfa. - Dlatego właśnie to my będziemy je śpiewać.

Robert Bass krztusi się herbatą.

- Ale ja nie umiem śpiewać - mówi słabo.

- To nie ma znaczenia, ponieważ nikt cię nie rozpozna. Oboje będziecie przebrani. - Patrzymy na nią w osłupieniu. - Święty Mikołaj i jego mały pomocnik - wyjaśnia, wskazując na nas teatralnym gestem.

- Nie! - jęczy Robert Bass.

- Spodziewałam się sprzeciwu ze strony Lucy, ale nie z twojej - oświadcza lodowatym tonem Mama Alfa.

Jestem urzeczona widokiem Roberta Bassa rozpinającego rękawy koszuli i podwijającego je. Co jest z tymi ramionami? Mama Alfa sprawia wrażenie nieporuszonej.

- To wszystko brzmi cudownie - mówię marzycielsko.

- Zdrajczyni - mówi bezgłośnie Robert Bass ponad stołem.

Jestem nieco zaskoczona. Ale dopiero kiedy godzinę później, po zakończeniu spotkania, proponuję mu podwiezienie do domu, przekonuję się, że wieczór okazał się fatalny w skutkach.

- Nie, dzięki, Lucy. Myślę, że tak będzie bezpieczniej. W innym świecie miałby na myśli niebezpieczeństwo płynące z naszego niegasnącego pożądania, wymykającego się spod kontroli. Prawda jest niestety bardziej prozaiczna: jestem dla niego powodem zbyt wielkiego niepokoju, nienależącego do sfery seksualnej.

Niespodzianką okazuje się więc to, że kiedy dwa tygodnie później zjawiam się w szkole na przyjęciu bożonarodzeniowym, Robert Bass entuzjastycznie macha do mnie piersiówką. Wychyla się z ubikacji dla dzieci, przebrany za Świętego Mikołaja.

Od czasu porażki, jaką okazał się wieczór u Mamy Alfa, moje lubieżne uczucia względem niego zaczęły powoli flaczeć niczym przebita opona, zwłaszcza po tym, jak odrzucił propozycję podrzucenia go do domu. Nie mogłam już dłużej oddawać się fantazjowaniu na temat tego, że w głębi duszy nie może mi się oprzeć, i wraz z wtargnięciem rzeczywistości moje zauroczenie zaczęło się wydawać absurdalne. Zaczął mi wracać zdrowy rozsądek.

- Szybko, udało mi się jej uciec - mówi Robert Bass teatralnie, mając na myśli Mamę Alfa. - Dla kurażu. Sam to zrobiłem. Jest całkowicie organiczne.

Rozgląda się, czy ktoś nas nie widzi, po czym wciąga mnie za ramię do ubikacji i opiera się mocno o drzwi. Opuszcza na dół doczepioną brodę i pociąga łyk tarniówki.

- Nie sądzisz, że powinieneś zwolnić? - pytam. Sprawia wrażenie bardziej lekkomyślnego niż zazwyczaj.

- Tylko w taki sposób jestem w stanie poradzić sobie z tą kobietą. Przebrała się za Królową Elfów. Ma na sobie migające lampki. Jak na Oxford Street - bełkocze. Podaje mi piersiówkę i pociągam z niej łyk, by okazać solidarność, i natychmiast robi mi się gorąco. - A może zdejmiesz płaszcz, Lucy? - pyta, pociągając kolejny łyk. - Chyba nie jest pod nim aż tak źle.

Ale jest. Pod długim do kostek płaszczem, który pożyczył mi Tom, mam na sobie kostium elfa, pospiesznie wykonany na tę okazję przez Mamę Alfa. Choć oświadczyła mi z dumą, że inspiracją do jego powstania był strój do jazdy figurowej na lodzie, podejrzewam, że jego celem jest spowodowanie maksymalnego upokorzenia. Składa się z krótkiej zielonej sukienki z filcu, przepasanej w talii, z plisowanym dołem tak zaprojektowanym, by zmaksymalizował rozmiar mego tyłka.

- Co myślisz? - pytam nerwowo.

- Ho, ho, ho. To właśnie może pomóc mi przetrwać ten wieczór. Wyglądasz jak jakiś wspaniały przejrzały owoc, jak renkloda - stwierdza, cofając się kilka kroków i wpadając na zlew. - Musi być do tego jakaś góra. - Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie. Kiedy poszliśmy razem do pubu, jego styl picia był wyraźnie powściągliwy. Podchodzę i pomagam mu wstać. - Przepraszam, niczego wcześniej nie jadłem - mówi.

- Jak ci idzie książka? - pytam, starając się przywrócić pozory normalności.

- Okropnie. Jestem udupiony. To bzdety. I przewaliłem już dwa terminy.

Ktoś zaczyna walić do drzwi.

- Święty Mikołaju, tu Królowa Elfów, i nakazuję ci wyjść. Jest tam z tobą Elf?

- Nie! - odkrzykuje. - Już idę, poprawiam tylko strój.

Podciąga brodę. Otwór, gdzie powinien mieć usta, znajduje się obok jego prawego ucha.

- Dlaczego skłamałeś? - syczę. - Teraz, kiedy wyjdziemy razem, będzie to wyglądało tak, jakbyśmy robili coś zakazanego.

- Wyjdź przez okno - mówi, a mnie owiewają opary tarniówki z jego oddechu.

Otwór jest mały i najpierw wystawiam głowę. Już drugi raz w czasie krótszym niż dwa miesiące robię coś takiego i niczego mnie nie nauczył poprzedni raz.

Wszystko idzie dobrze, dopóki mój tyłek się nie klinuje. Dół sukienki mam gdzieś wokół ramion i wiem, że jedyne, co oddziela moje pośladki od Roberta Bassa, to para wełnianych rajstop. Wiję się, a on pcha, i w innych okolicznościach mogłoby się to liczyć jako przyjemność. Podnoszę głowę i widzę, jak chodnikiem idzie Niezła Mamuśka Nr 1.

- Nie mam zamiaru o nic pytać - mówi, kiedy wyciągam rękę w jej stronę. Zaczyna mnie wyciągać. - Musimy przekreślić ją lekko na bok! - woła do Roberta Bassa, wyraźnie zadowolona z wyzwania. - Ten korek zaraz wyskoczy - piszczy radośnie.

Robert Bass przekreśla mnie, a ja ześlizguję się na chodnik. Moje poczucie godności jest w strzępach.

- My po prostu ćwiczymy - oświadczam jej. - To okno jest tej samej wielkości co komin.

Później tego wieczoru rozmyślałam o tym wydarzeniu. Wchodziła w rachubę pewna poufałość, bardziej w stylu Laurela i Hardy'ego niż Love Story, i przez krótką chwilę kontrolę przejął pomysł, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi, jak dwa miesiące temu sugerowała Cathy. Poczułam ulgę. Mogłam teraz przyjąć od Toma naszyjnik, kiedy ponownie się pojawi, w dobrej wierze.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Siedem lat trzeba znać człowieka, nim rozpali się jego ogień

W chwili, kiedy w Wigilię mój ojciec otwiera drzwi w wełnianej czapce na głowie, wiem już, że Boże Narodzenie będzie stanowić lekcję dyplomacji. To jedna z tych afgańskich czapek w żywych kolorach i z nausznikami. Możliwe, że to poza w celu sprowokowania Petry, która krzywym okiem patrzy na ten rodzaj buntowniczności w ubiorze. Najbardziej jednak prawdopodobny powód przywdziania tego nakrycia głowy to straszliwy ziąb w wiejskim domu rodziców na obrzeżach Mendips. Ściskam ojca na powitanie, przytulam mocno ze szczerego uczucia, ale także po to, by sprawdzić, ile warstw ubrań ma na sobie. To lepsza wróżba tego, co nas czeka w kwestii temperatury, niż jakikolwiek termometr.

- Nie myśl, że nie zdaję sobie sprawy z tego, co robisz, Lucy - szepcze mi do ucha ojciec. - Odpowiedź brzmi: trzy, nie licząc podkoszulka.

Temat ogrzewania w domu rodziców jest starszy ode mnie. Konsensus jest taki, że dom jest kiepsko ocieplony, kaloryfery niewydolne, a podwójne szyby marne, ponieważ zostały tanio kupione od telefonicznego sprzedawcy w połowie lat siedemdziesiątych. Moi rodzice znani są z tego, że z upodobaniem polują na okazje.

Szerokie kominki, których kamienne paleniska obiecują tak dużo ciepła w zimie, wdmuchują do środka zimny wiatr i bezlitośnie zasysają ciepło. Wielokrotnie widywałam przyjeżdżających gości, którzy wchodzili do salonu, na widok trzaskających w ogniu polan zdejmowali płaszcze i swetry, by przez resztę wizyty wciągać je na siebie ukradkiem, że by nie obrazić moich rodziców. Oni zaś polubili to widowisko i wiadomo, że robią zakłady o to, kto pierwszy się złamie.

To okrutne oszustwo - gorąco i przytulność kominka niedającego żadnego ciepła, jak pozbawione miłości małżeństwo. Przynajmniej z dala można utrzymywać iluzję pokrzepienia. Dopiero z bliska człowiek się orientuje, że nie ma nadziei na ciepło, i wtedy robi się jeszcze zimniej. Nauczyliśmy się więc dawno temu zbijać w gromadkę na dwóch sofach w salonie. Zapadające się bestie w geometryczne wzory pamiętają czasy naszego dzieciństwa. W tradycyjnej próbie improwizacji moja matka umieściła pod głównymi poduchami kilka małych poduszek, by zrekompensować zużyte sprężyny. Nawet ci, co mają obfite pośladki, krzywią się, kiedy zbyt ciężko siadają na tych sofach.

Ukrytą prawdą tego, co Tom nazwał zimną wojną, jest fakt, iż moi rodzice wyznają prezbiteriański pogląd na kwestię wygody, wywodzący się z ich doświadczeń w dzieciństwie, które przypadło na okres II wojny światowej, i nigdy nie zapomnieli idei reglamentacji. Choć mój ojciec przysięga, że nie wyłącza ogrzewania na noc, przez całą zimę po wiadomościach o dziesiątej pośród głośnego bulgotania i stukania ciepło jest w tajemniczy sposób wysysane z kaloryferów, a każdej nocnej wizycie w ubikacji nieodmiennie towarzyszy szczekanie zębami.

Minęło prawie sześć miesięcy od naszej ostatniej wizyty i dzięki tej przerwie postrzegam moich rodziców z niezwykłym obiektywizmem. Zauważam więc, że ojciec wygląda nieco starzej i niechlujniej. Mama obcięła mu włosy i zwisają teraz pasmami nad skrajem postrzępionego kołnierzyka. Kiedy podnosi rękę, by mnie uściskać, dostrzegam dziurę w jego swetrze. Z uszu i nosa niczym nieprzystrzyżone krzewy wystają mu długie czarne włoski.

Założył krawat, by sprawić przyjemność Petrze, która wyznaje zasadę, że mężczyzna jest naprawdę ubrany dopiero



wtedy, gdy ma go na szyi. Ale w połączeniu z czapką wygląda to na kolejną próbę ziryutowania mojej teściowej. Oczywiście, kiedy powiem ojcu, że Petra wyjeżdża do Marrakeszu, by zamieszkać ze swym dawnym kochankiem, nie będzie już odczuwał potrzeby strojenia sobie z niej żartów. Takie działanie pochwała, choć sam nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Tak jak ja, cieszy się czymś szczęściem.

Tom zbiera siły na jeden z mocnych uścisków dłoni mego ojca. W ramach zabezpieczenia nie zdjął skórzanych rękawiczek. Góruje teraz dobre pół głowy nad teściem i kładzie lewą dłoń na jego ramieniu, próbując osłabić jego uścisk.

Moja matka czai się w cieniu. Z niepojętych dla mnie przyczyn podejmuje się rywalizacji z Petrą na polu gospodarstwa domowego. Zauważam, że drewniana podłoga w korytarzu jest wypolerowana, ale kiedy na kamiennym parapecie przesuwam porcelanowy półmisek, by zrobić miejsce dla kluczyków od samochodu, promień wpadający przez okno podświetla warstwy kurzu. Matka zmieni pościel w sypialni dla gości, ale zapomni umyć wannę. Spizarnia będzie stanowić zwykłą zbieraninę starych gazet, plastikowych pudełek, przed których wyrzuceniem ma opory, i stert prania w czarnych workach na śmieci, stojących dokładnie w tym samym miejscu, gdzie podczas naszej ostatniej wizyty.

Odkąd poznała mego ojca, gdy wykładała na uniwersytecie w Bristolu i gdzie nadal pracuje na pół etatu na wydziale filologii angielskiej, ma pretekst do anarchii. Ja z kolei, wybrawszy inną drogę, nie jestem godna łagodniejszego wyroku.

Fakt, że zrezygnowałam z pracy krótko po narodzinach Joego, stanowił dla mojej matki źródło niezadowolenia. Nie

mogła uwierzyć, że porzuciłam pracę, którą kochałam, żeby siedzieć w domu z dziećmi.

- Zamienisz się w kurę domową - oświadczyła mi z nieskrywanym przerażeniem, zamykając drzwi od spiżarni, tak by nie słyszał nas Tom.

Lampa nie miała abażuru i przeciąg, który wpadał z kuchni pod drzwiami, sprawiał, że żarówka lekko się kołysała. Na ścianach tańczyły cienie, a mnie kręciło się w głowie.

- Bardziej poprawne określenie to domowa mama - odparłam.

Wiedziałam, że to będzie trudna rozmowa. Z tego powodu, że choć moja matka przy każdej możliwej sposobności wyrażała swe liberalne poglądy na temat wychowania dzieci, w gruncie rzeczy pragnęła narzucać mnie i mojemu bratu swój sposób życia.

- To Tom, prawda? - spytała. - Chce mieć gotowy obiad na stole, kiedy wraca do domu. Chce przekształcić cię w swoją matkę, uwięzić cię w bliźniakach.

Jako że sama miała na sobie wełnianą bluzę z kołnierzykiem polo pod długą suknią w krzykliwe wzory, którą ktoś niezyczliwy mógłby nazwać kaftanem, zignorowałam jej uwagę na temat garderoby Petry.

- Niewiele w zasadzie gotujemy wieczorem, chyba że on to robi - odparłam. - W porównaniu z wieloma mężczyznami dużo mi nawet pomaga i wie, że na froncie domowym jestem genetycznie upośledzona.

- Krytykujesz sposób, w jaki prowadzę dom? - zapytała. Nie byłam w stanie powstrzymać śmiechu. Przy całej swej hałaśliwej pogardzie dla wszystkiego, co trąciło obowiązkami domowymi, moja matka zawsze z ogromną niechęcią odnosiła się do wszelkich uwag na temat swojej w tym temacie niedoskonałości.

Myślę, że brała to do siebie, jako obrazę jej decyzji, by nie rezygnować z pracy. Bez względu na to, ile razy mówiłam jej, że trzynastogodzinne zmiany do wpół do dwunastej w nocy są mniej zgodne z wychowywaniem dzieci niż jej krótkie nieobecności, podczas których jeździła wygłaszać wykłady na temat D.H. Lawrence'a, z rozbijającą częstotliwością ciągle powraca do tego tematu.

Powrót do domu, w którym się dorastało, wraz z mężem, dziećmi i teściową, jest czymś w najlepszym wypadku zdumiewającym. Z jednej strony mamy uspokajającą swojskość otoczenia i powtarzalność rytuałów. Na przykład wiadomo, że jeśli chce się wziąć kąpiel, trzeba zabrać na górę spinacz, aby później wyciągnąć zatyczkę. Że o szóstej rano pobudkę urządza ojciec, hałasując podczas parzenia porannej herbaty w sypialni. Ile dokładnie trzeba siły do spuszczenia wody w toalecie na parterze. Z drugiej jednak strony wspomnienia wpadają na ciebie bez ostrzeżenia, rywalizując ze sobą, zmuszając cię do cofania się w czasie. Choć w większości przypadków są łagodne, w niekontrolowany sposób w dowolnej chwili absorbują twoje myśli. Nic z tych rzeczy nie budzi wspomnień w Tomie, dzieciach ani w Petrze, którzy patrzą na wszystko krytycznym spojrzeniem.

Podczas tej wizyty moje wspomnienia z dzieciństwa zderzają się jednak z czymś, co wydarzyło się znacznie później, podczas tak wyczekiwanej wycieczki do akwarium w ostatnim tygodniu semestru. W tak krótkim okresie zmieniło się tak wiele, że odnosi się wrażenie, iż wszystkie wcześniejsze wydarzenia nastąpiły całe lata wcześniej. Od tamtego czasu bezsenność o piątej nad ranem przekształciła się w coś bardziej przytłaczającego. Wcześniej był to czas na oddawanie się średnioterminowej myślowej jeździe na luzie - na przykład, dokąd udać się na wakacje, albo jak przekonać Emmę, by dała sobie spokój z Guyem - a teraz przepelnia

mnie postępujący niepokój, który zakrada się do każdego najmniejszego mięśnia i ścięgna. Jedyną pozytywną reperkusją to fakt, że wykorzystuję tę nerwową energię, by wstać o szóstej rano, sprzątać, szorować i polerować nasz dom na błysk. Tom zaczyna nabierać podejrzeń. Niesamowite, że życie potrafi tak bardzo się zmienić w tak krótkim czasie.

Rozlega się głośnie walnięcie w sufit i ojciec się krzywi. Oświadczam zebranym, że idę na górę zobaczyć, co z dziećmi, które ruszyły biegiem wąskimi drewnianymi schodami, gdy tylko weszliśmy do środka, kierując się do pokoju należącego niegdyś do mojego brata Marka. Ale znalazłszy się na górze schodów, zamiast skręcić w prawo i udać się do pokoju dzieci, skręcam w drugą stronę i skradam się do mojej dawnej sypialni. Muszę pobyć sama, by przetrwać wydarzenia ostatniego tygodnia semestru, choćby tylko przez dziesięć minut. I muszę opracować strategię kolejnych kontaktów z Robertem Bassem.

Mój dawny pokój pozostaje sanktuarium poświęconym Laurze Ashley, z kompletem zasłonek i tapetą w znajome kwiatowe wzory. Jedynym nawiązaniem do mego statusu mężatki jest niewielkie podwójne łóżko, które kiedyś stało w sypialni dla gości. Kładę się, wiedząc, zanim jeszcze głową dotknę poduszki, że materac jest tak miękki, iż nogi będą miała wyżej niż głowę i że każdego ranka będziemy się budzić z koszmarnym bólem głowy, a Tom zacznie się martwić, że ma guza mózgu. Jeśli przeżyję ten tydzień, będę przynajmniej mieć pewność, że naczynia krwionośne w mojej głowie są naprawdę wytrzymałe.

Wczołguję się pomiędzy dwie zimne kołdry, przykrywam je trzema grubymi wełnianymi kocami i narzutą z kolejnym wzorem Laury Ashley. To wszystko razem jest uspokajająco ciężkie i powoli moje ciało przestaje stawiać opór ciężarowi koców. Po raz pierwszy od czasu wycieczki do akwarium,

katalizatora obecnego niepokoju, czuję, jak napięcie opuszcza moje ciało. Pod sobą wyczuwam jeszcze jeden drapiący koc z wełny. Ale spanie przez tydzień na włosienicy może złagodzić nieco wyrzuty sumienia.

Powinnam wykorzystywać te cenne chwile w samotności na skupianie się na świętach, pakowanie prezentów, które kupiłam Tomowi podczas napędzanego poczuciem winy szaleństwa w sklepach, szykowanie skarpet na prezenty dla dzieci albo pomaganie matce w zyskaniu przewagi podczas świątecznego obiadu, co stanowi wyzwanie, któremu zazwyczaj nie jest w stanie sprostać. Zamiast tego leżę tutaj, bez końca odgrywając na nowo tamte wydarzenia, szukając wskazówek, które mogły mnie ostrzec zawczasu przed tym, co się stało.

Szkolna wycieczka do Londyńskiego Akwarium rozpoczęła się nieszczególnie, ponieważ zobaczyłam, jak Mama Alfa wchodzi do autobusu z Przewodnikiem po wodnym życiu wydawnictwa Dorling Kindersley. Wychowawczyni Joego popatrzyła na nią krzywo. Doskonale umie zawrzeć w jednym geście wiele emocji. Miażdżąca, lekceważąca i lekko niecierpliwa - to jej ulubiona mieszanka w kontaktach z Mamą Alfa.

- Przygotowałam krótki quiz, tak by dzieci nie nudziły się w drodze - oświadczyła Mama Alfa, stając z przodu autobusu obok kierowcy i machając kartkami papieru. - I pomyślałam sobie, że powinniśmy także zapisać wszystkich tych, którzy są alergikami, na wypadek, gdyby podczas podróży pomieszały się drugie śniadania. Poza tym zabrałam ze sobą świetnie zaopatrzoną apteczkę, łącznie z adrenaliną.

Następnie przeszła kawałek przejściem między fotelami i usiadła obok mnie. Joe udał się do tyłu, by siedzieć razem z kolegami. Zauważyłam, że pomimo swych obsesji wydaje się całkiem lubiany, i z dumą pokazał mnie swoim przyjaciołom.

Proszę, niech tylko Mama Alfa nie zaczyna rozmowy o tym, jak bardzo martwi się tym, że jej najmłodszy może nie dostać się do odpowiedniego żłobka i z tego powodu nie otrzymać szybkiego awansu w Goldman Sachs. Choć sporo nagrzeszyłam, nie zasługuję na coś takiego, pomyślałam.

Wkrótce po niej zjawił się Robert Bass. Wzruszył ramionami, kiedy zobaczył, że miejsce obok mnie jest zajęte. Wyczułam w tym gościu nieco ulgi, ale później stało się jasne, że to była mylna ocena. Gdyby Mama Alfa nie usiadła przy mnie, byłabym w stanie celniej określić jego nastrój, widząc, czy wybrał bliskość, czy zachowanie dystansu, a to może zmieniłoby bieg wydarzeń. Minęło kilka dni od naszego ostatniego spotkania, które zapoczątkowało, jak uważałam, nową zażyłość w naszych relacjach.

Mama Alfa otworzyła torbę i włożyła kartki do teczki, a potem wygładziła przód swoich schludnych, dopasowanych spodni.

- Martwię się żłobkami - oświadczyła.

Przed nami siedziało stado Niezłych Mamusiek z Niezłą Mamuską Nr 1 na czele, perorującą na temat tego, ile osób z personelu należy zabrać ze sobą na święta na Karaiby i czy optymalnym rozwiązaniem jest kucharz na stałe, czy dochodzący. Nie uznano mnie za godną udziału w tej dyskusji, choć ja optowałabym gorąco za kucharzem na stałe.

Zmartwienia są sprawą niezwykle subiektywną. Na moje składał się niepokój, że kiedy wrócę do domu, nie będzie na mnie czekała butelka wina, troska, że Tom znajdzie papierosy ukryte w szafie, i obawa, że zabrałam ze sobą obydwa komplety kluczyków do samochodu. Gdyby i teraz stanowiło to zakres moich zmartwień!

A miała upłynąć jeszcze godzina, nim znajdziemy się w akwarium.

- To, w którym mamy zaklepane miejsce, nie wykazuje zainteresowania uczeniem chwytu ołówkowego - opowiadała Mama Alfa. - Nie po to przez rok karmiłam piersią, zrezygnowałam z pracy i codziennie gotowałam dla mojego dziecka organiczne posiłki, by skończyło w żłobku o niskim standardzie. - Na mojej twarzy musiała malować się konsternacja, gdyż dodała: - Karmienie piersią podnosi IQ średnio o sześć punktów.

- Być może powinnaś nieco wyluzować - zasugerowałam. - Trochę się zabawić, odzyskać dystans. Łatwo w tym wszystkim zapomnieć o sobie.

- Nie zgadzam się na to, by moje dzieci upadły na skraju drogi - rzekła.

- Chodzi o to - odparłam - że nie ma sensu martwić się rzeczami, które po prostu pozostają poza twoją kontrolą.

Popatrzyła mi głęboko w oczy.

- Chodzi o to, Lucy, że aby wyjąć, trzeba włożyć - oświadczyła.

- Po co komu czwórka neurotycznych, osiągających wyniki lepsze od oczekiwanych dzieci, rywalizujących ze sobą i posiadających stosowne do tego cechy charakteru? - zapytałam. - Czy to przepis na szczęście lub samospelnienie?

I choć raz nie odezwała się na to ani słowem.

Wtedy zapiszczał mój telefon. Siedzący dwa rzędy dalej Robert Bass wysłał mi esemesa. Odważne.

„Wiesz, Lucy, obok mnie jest wolne miejsce”. Obejrzałam się, a on mi pomachał.

Powinłam była zachować więcej czujności, jeśli chodzi o tę propozycję, ale podczas minionych tygodni byłam zbyt strapiona reperkusjami decyzji Petry o wyjeździe do Marrakeszu. Pomimo początkowej spokojnej akceptacji, Tom nabrał przeświadczenia, że jej artysta jest włóczęgą, który ma zamiar żyć dzięki pieniądзом pochodzącym ze sprzedaży jej

domu. Staralam się przekonać mojego męża, że przed wydaniem osądu powinien dać tamtemu szansę. Co ciekawe, podczas gdy moje uczucia wobec Roberta Bassa słabły, wzrastały obawy, że Petra niewłaściwie ocenia swoją sytuację.

Tak więc podczas jedynej interaktywnej części wycieczki do akwarium moje myśli błądziły daleko od Roberta Bassa.

- Kto ma ochotę polaskotać ogończę? - zawołała wychowawczyni Joego.

- Ja! - odkrzyknęłam entuzjastycznie.

- Sądziłam, że damy dzieciom pierwszeństwo, pani Sweeney - nauczycielka mierzyła mnie nieufnym spojrzeniem.

- A potem zabierzemy je na lunch, by rodzice mieli krótką przerwę.

Kiedy więc dzieci wtopiły się w tło, by zjeść drugie śniadanie, ja stanęłam na schodku, który otaczał zbiornik z ogończami, i włożyłam lewą rękę do wody. Była niespodziewanie lodowata. Mój rękaw natychmiast zrobił się mokry. Palce bolały mnie od zimna, ale dotknięcie jednej z tych dziwnych, płaskich ryb stało się wtedy sprawą nadrzędną. Poruszałam lekko palcami, by było im cieplej, i próbowałam przyciągnąć uwagę ogończy, ponieważ widziałam, że tak właśnie robili inni ludzie. Za każdym razem podpływały drażniąco blisko, po czym odwracały się dokładnie w momencie, gdy już, już miałam ich dotknąć, pokazując lśniące białe podbrzusza i w milczeniu otwierając i zamykając pyszczki w kształcie wieszaków. Do tego czasu rękaw miałam już mokry aż do łokcia, ale nie przejmowałam się tym. Nawiązanie kontaktu fizycznego z ogończą stało się nierozdzielnie związane ze stanem mego umysłu. Tak sobie rozumowałam, że gdybym dotknęła jednej z nich, wtedy wszystko byłoby dobrze. Na zawsze. Pompa mieszała wodę w dużym zbiorniku, więc moje palce mimowolnie się naprężyły. Nie sposób było utrzymać je w zupełnym bezruchu.



Skoncentrowałam się na kolejnej ogończy, która pływała po mojej stronie zbiornika, siłą woli zmuszając ją do podpłynięcia. To była największa ryba w basenie, a krawędzie płetw miała postrzępione ze starości. Płynęła w moim kierunku, z długim nosem wystawionym wyniośle nad powierzchnią wody, niczym delfin robiący sztuczki, a potem przekreśliła się na brzuch, odsłaniając grzbiet, i zatrzymała się w wodzie tuż przede mną. Była zimna i gładka, a ja przesuwałam palcami po jej grzbiecie. Poruszała płetwami z wyraźną przyjemnością i starała się pozostać nieruchoma, opierając się ciśnieniu wody. A potem, kiedy nadal przyglądałam się rybie, uświadomiłam sobie, że inna dłoń zbliża się pod wodą do mojej. Przez chwilę odczuwałam irytację. Cierpliwie czekałam na to, by móc obcować z tym starym morskim stworzeniem, a teraz ktoś próbuje się wkreślić.

Ta ręka wcale jednak nie chciała pogłaskać ryby. Choć woda zniekształcała obraz, widziałam, że jest wyraźnie większa od mojej, i przyglądałam się w taki jakiś obojętny sposób, jak powoli zbliża się do mojej dłoni, a potem, na krótką chwilę, ujmuje ją. Odezwał się głos:

- Wiesz co, Lucy, chyba to się wymyka spod kontroli.

Podniosłam głowę. Oczywiście, wiedziałam, że to Robert Bass. Gładził moją dłoń pod wodą przez całe - zdawać by się mogło - wieki, ale najprawdopodobniej nie trwało to dłużej niż kilka sekund, i z rozdrażnieniem poczułam znajome motyle w brzuchu. Nasze twarze były tak blisko siebie, że mogłam przyjrzeć się uważnie bliznom po trądziku, które niespodziewanie dodawały mu atrakcyjności. Patrzył na mnie i przez chwilę sądziłam, że ma zamiar mnie pocałować. Wtedy po prostu zabrał rękę i odszedł. Stałam tam bez celu, próbując pojąć, co właśnie się wydarzyło. Wtedy dostrzegłam, że przygląda mi się Mama Alfa, siedząca na ławce w

zacienionym kącie na drugim końcu pomieszczenia. Rękawy miała zrolowane na nadgarstkach, a ramiona skrzyżowane z dezaprobatą na piersiach. Nie mogła widzieć tego, co zdarzyło się pod wodą, ale nie było wątpliwości co do intensywności naszych spojrzeń i fizycznej bliskości.

Teraz, kiedy nie czuję niepokoju, mam wyrzuty sumienia. Próbuję się usprawiedliwić, że tak naprawdę nic się nie wydarzyło. To nie ja byłam inicjatorką tej sceny ani nie zareagowałam w jakiś oczywisty sposób. A jednak muszę zaakceptować to, że odegrałam rolę w wydarzeniach prowadzących do tej pogmatwanej sytuacji. Zaaranżowałam spotkanie z Robertem Bassem, oddawałam się niestosownie lubieżnym marzeniom i łagodnie flirtowałam.

Teraz przeraża mnie to, do czego chyba doprowadziłam. Nigdy, nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie sądziłam, że moje uczucia mogą zostać odwzajemnione albo że przyjdzie mi się zmierzyć z rzeczywistą pokusą. Jeśli chodzi o Roberta Bassa, zupełnie nie pomyślałam o tym, że nasze uczucia nie są zsynchronizowane i że moje subtelne wycofanie się z naszego flirtowania po niezręcznym wieczorze u Mamy Alfa jedynie podsyciło jego zainteresowanie. Krótko mówiąc, zapomniałam, jak świetnie mężczyźni reagują na odrobinę zimnego prysznic. Zbyt późno odkryłam, że nie ma nic bardziej niewinnego lub zabawnego od nieodwzajemnionego pożądania. Pragnęłam fantazji o Robercie Bassie, nie rzeczywistości.

Złoszczę się na niego, ponieważ incydent w akwarium wydarzył się dokładnie wtedy, kiedy na nowo odnalazłam nieco spokoju, który oczywiście zniknął w chwili, gdy Robert Bass mnie dotknął. A najbardziej irytuje mnie to, że nagle stawka wzrosła. W moje fantazje o hotelach w Bloomsbury wkradła się spotęgowana rzeczywistość, raczej niepokojąca niż przyjemnie rozpraszająca. Łóżko jest niepościelone, na

podłódze leżą puste butelki, a w pokoju czuć zastałym dymem z papierosów. Kolory przyprawiają o mdłości.

- Tak właśnie dochodzi do romansów - oświadcza stanowczo Cathy, kiedy dzwonię do niej po radę, nadal ukrywając się z komórką pod narzutą Laury Ashley, na wypadek, gdyby ktoś słuchał pod drzwiami. - Jeśli miałaś choć trochę ochoty na wzajemność, trzymaj się z daleka. Nawet jeśli on tylko się bawi, jest to rozrywka najeżona ryzykiem.

- Postaram się go unikać - mówię. Opowiadam jej o ostatnim śnie, w którym główną rolę grał mój brzuch. - Seksowny Udomowiony Tata leżał nagi na łóżku, a ja nie mogłam swobodnie wydostać się z dzinsów. A potem, kiedy zobaczył mój brzuch, zaczął krzyczeć. Chyba sądził, że oddzielił się od reszty mego ciała.

- Cóż, przywołuj po prostu ten obraz, kiedy tylko będziesz czuła pokusę - radzi Cathy. - Przynajmniej możesz sobie odpuścić noworoczną dietę, by uratować swoje małżeństwo.

- A jeśli Tom ma takie samo zdanie na temat mojego brzucha? - pytam.

- Miał czas, by się do niego przyzwycząić.

Słyszę kroki za drzwiami. Moja matka pokazuje Petrze jej pokój. Korzystam z okazji, by wyjść z łóżka, i prześlizguję się korytarzem, chcąc sprawdzić, co z dziećmi. Słyszę, jak skaczą sobie z łóżka na podłogę. Nie mam nic przeciwko temu, ponieważ przynajmniej będzie im dzięki temu ciepło. Zanim wyjechaliśmy z Londynu, wykapałam je i ubrałam w piżamy oraz szlafroki, gdyż wiedziałam, że tutaj nie będzie gorącej wody w ilości wystarczającej dla wszystkich. Kąpanie się w tej samej wodzie należy do trwałych wspomnień z mego dzieciństwa.

Otwieram drzwi pokoju brata. Ściany są jasnofioletowe, pomalowane przez Marka w semestrze, podczas którego przygotowywał się do próbnej matury. Przeczytał gdzieś wtedy, że kolor czerwony wznieca namiętność, i uznał, że będzie dobrą scenerią do ćwiczenia jego technik uwodzenia na dziewczynach ze szkoły, głównie moich koleżankach. W rogu znajduje się zlewozmywak w obudowie koloru awokado, z drzwiczkami, które są także pomalowane na fioletowo.

Podchodzę do tej szafki i otwieram ją. Butelka Old Spice'a przewróciła się na bok i poplamiała półkę. Znajdują się tam także butelki nie do końca zużytego szamponu, szczoteczka do zębów ze sterującym włosiem, częściowo opróżniony słoiczek kremu Brylcreem, dwa stare egzemplarze „Playboya” z końca lat siedemdziesiątych - wyjmuję je i kładę na górze szafy - oraz, o dziwo, moje stare numery „Jackie”, czasopisma, które brat najwyraźniej mi wykradł w celu zgłębiania tajników kobiecej psychiki.

Plakat Bo Derek wyblakł i miejsce, gdzie kiedyś tak dumnie sterczały jej sutki, teraz jest niemal szarą plamą. Mimo to Sam jest pod wrażeniem.

- Piersi - mówi, pokazując na ścianę.

Następnie pokazuje na jeszcze jeden plakat z tyłu drzwi. Powiesili swoje skarpety świąteczne tuż pod plakatem, na którym widnieją sfotografowana z tyłu kobieta w bardzo krótkiej sukience do tenisa. Od niechcenia podnosi skraj sukienki, pokazując, że nie ma pod spodem majtek, odwróciła głowę i patrzy przez ramię prosto w aparat.

Patrząc na bożonarodzeniowe skarpety wiszące dokładnie pod lewym pośladkiem tenisistki, nie mogę powstrzymać uśmiechu na wspomnienie kłótni o ten plakat pomiędzy Markiem a naszą matką. To musiało być lato 1984, okres strajku górników. Siedzieliśmy w salonie i oglądaliśmy wiadomości, kiedy na ekranie pojawiły się niezwykle sceny

zaciętej batalii pomiędzy policją a górnikiem gdzieś na południu Yorkshire.

- Dlaczego wieszasz na ścianach te wszystkie plakaty półnagich kobiet? - zapytała matka, gdy tymczasem policja biegła za górnikiem, trzymając przed sobą plastikowe tarcze ochronne.

- A co chciałabyś zobaczyć na moich ścianach, mamó? - zapytał Mark.

Od zawsze był znacznie lepszy ode mnie w kłótniach. Ja zawsze zbyt szybko starałam się dojrzeć punkt widzenia drugiej strony.

- No, a co powiesz na Nikaraguę, ruch przeciw apartheidowi, coś bardziej opiniotwórczego? - odparła matka.

Wszyscy się skrzywiliśmy, gdy jeden z policjantów dzielił pałką górnika po głowie.

- Arthur Scargill nieszczególnie na mnie działa, mamó - odparł Mark.

- Uważam, że powinieneś zdjąć ten plakat. Okazuje brak szacunku wobec kobiet - matka nie dawała za wygraną.

- Ależ ja mam wobec niej bardzo dużo szacunku - utrzymywał mój brat.

- W ogóle cię nie interesuje, co się dzieje w jej głowie, obchodzi cię tylko jej ciało - upierała się matka.

- Oczywiście, że tak - odezwał się mój ojciec, podnosząc głowę znad gazety. - To przecież nastoletni chłopak.

Wszyscy wpatrywaliśmy się w niego ze zdziwieniem, ponieważ mój ojciec, spokojniejszy, bardziej melancholijny od swej żony, na samym początku małżeństwa nauczył się, że lepszą taktyką jest chowanie swego zdania dla siebie, kiedy ona okazywała nagle przekonanie w nowej sprawie.

- Myślałem, że jesteś za wolnością słowa, mamó - oświadczył Mark, wyczuwając, że znajduje się blisko zwycięstwa.

Moja matka nie odpowiedziała ani słowem i udała się do kuchni.

Drzwi pokoju otwierają się i kobieta z tyłkiem znika na chwilę, dopóki Tom nie zamyka ich mocno za sobą. Decyduje się na pozytywne nastawienie wobec problemu z ogrzewaniem, korzystając z każdej sposobności, by zwrócić uwagę na zimno, co jest nieco męczące, ale stawia czoło wyzwaniu z wyraźnym zadowoleniem, niczym Scott na Antarktydzie. Nadal na głowie ma czapkę, a na dłoniach rękawiczki. Z upływem dni to podekscytowanie przekształci się w niezadowolenie, a on nie będzie już w stanie powstrzymać chęci krytykowania.

To najzimniejszy grudzień od 1963 roku. Spadł śnieg i od ponad tygodnia elementem codziennych wiadomości jest czynnik chłodzący wiatru. To świetna pora dla osób lubiących liczby, tak jak Joe, który każdego dnia zaznacza na wykresie wzrost i spadek temperatury, dopingowany w swych wysiłkach przez ojca.

- Chciałem sprawdzić wasze palce u nóg, by się przekonać, czy nie ma na nich oznak odmrożenia - żartuje Tom, każąc dzieciom ustawić się do inspekcji. - Ten jest jakby trochę czarny, Joe - mówi.

Podnosi stopę Joego, aż palec znajduje się na równym poziomie z jego oczami. Po chwili, kiedy widzi malujący się na twarzy synka niepokój, próbuje się wycofać, ale jest już za późno.

- Palec odpadnie mi w nocy - mówi Joe.

- Jeśli się tak stanie, to czy możemy przeprowadzić jego sekcję, mamusiu? - pyta Sam.

- Tatuś tylko żartował, musiałyby być poniżej zera, żeby palce zamarzły - odpowiadam spokojnie.

- Termometr na korytarzu pokazuje, że w domu jest jedenaście stopni - oświadcza Tom.

- Myślę, że mógłbym to dodać do mojego wykresu temperatury - mówi Joe, którego uwagę odwraca wzmianka o liczbach.

- Pupa, tatusiu - odzywa się Fred, ciągnąc Toma za ramię i pokazując z podekscytowaniem na plakat. - Bez majtek. Jak ja.

- Tato, czy opisałbyś jej pupę jako seksowną? - pyta w zamyśleniu Sam. Zbyt dużo słucha Christiny Aguilery.

- Co znaczy seksowna, Sam? - pyta go Tom w klasycznej próbie zmiany toku rozmowy. Z tej samej taktyki korzysta podczas dyskusji ze mną.

- Tak naprawdę to nie wiem - odpowiada nasz syn. - Chyba ma to coś wspólnego z owocami. Wydaje mi się, że jeśli pupa wygląda jak brzoskwinia, to jest seksowna.

Dzieci zawsze śpią w tym pokoju i jest to dla nich niezmiennie ekscytujące. Mimo że znajduje się tutaj łóżko, wolą wszyscy spać na podłodze, spleceni ze sobą niczym szczenięta w koszu, a jako że jest ogólnie zimno, zachęcam ich do tego. Fred, któremu zazwyczaj trzeba czytać bajki, dopóki nie zaśnie, zawsze leży w środku.

- Widzę swój oddech, mamusiu - mówi teraz dumnie.

- Palisz - stwierdza Sam. - Jak mamusia.

- Ja nie palę - protestuję.

- W takim razie dlaczego chowasz w kozakach papierosy? - pyta Sam.

- Są tylko na wyjątkowe okazje. A tak w ogóle, to czemu myszkujesz w mojej szafie?

- To nie ja - odpowiada. - Babcia mi powiedziała.

- Nie wierzę, że taki z ciebie krętacz, Lucy - oświadcza Tom.

- To połowa zabawy - mówię. - Powinieneś się cieszyć, że nadal pozostaję dla ciebie tajemnicą.

- Czy Święty Mikołaj będzie wiedział, że tutaj jesteśmy? - pyta Joe, wyczuwając zbliżającą się kłótnię. - Jest tak zimno, że może sobie pomyśleć, iż nikt tu nie mieszka. Myślisz, że ma takie specjalne okulary do termolokacji?

Sam wyciąga z szaty adapter Marka i szuka jego starych płyt. Wybiera ze stosu krążek Davida Bowiego i włącza go. Wchodzę z Tomem do dawnego łóżka Marka, podciągam kołdrę aż pod nos i słucham Scary Monsters. Kiedy podczas refrenu Joe zaczyna żuć rękawy, proszę Sama, by ostrożnie uniósł igłę i przesunął ją na inną piosenkę, i mówię im, że wrócę za dwadzieścia minut, by wyłączyć światło. Postanawiam, że powiem mężowi o wszystkim, co się wydarzyło. Ale kiedy wracam, wszyscy już śpią, łącznie z Tomem.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Niekompletna wiedza może być niebezpieczna

W ciągu następnych kilku dni z alarmującą częstotliwością padają zarzuty i są odwoływane. Nie ma otwartego wypowiedzenia wojny, jedynie podteksty napięcia, które kończą się okresami wzmożonych walk na słowa. Mój brat Mark, który przyjechał wczoraj późnym wieczorem bez swojej dziewczyny, mówi, że cieszy się z tych rodzinnych spotkań, ponieważ dzięki nim w styczniu pacjenci walą do niego drzwiami i oknami.

Kiedy w pierwszy dzień świąt schodzę do kuchni, wyczuwam w powietrzu chłód, w żaden sposób niezwiązany z pogodą. Przy dużym sosnowym stole na środku kuchni stoi Petra, z wysiłkiem mieszając w misce lukier do gołego tortu świątecznego. Wiem, że z samego rana tort odziany był w gładkie, czyste warstwy cukiernianego lukru i próbuję zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

W dalszej części kuchni Tom bierze właśnie dużą dawkę leków przeciwbólowych na receptę, które dostał od mojego brata na ból głowy powodowany przez łóżko.

- Nie pij za dużo, kiedy je bierzesz - mówi Mark.
- Powtórz mi, proszę, klasyczne objawy guza mózgu - prosi Tom pomiędzy łykami wody.
- Bóle głowy, zazwyczaj silniejsze rankiem, zawroty głowy, mdłości - wymienia mój brat, nie podnosząc głowy znad wczorajszej gazety.
- Sądysz, że powinienem umówić się na wizytę do specjalisty? - nie daje za wygraną mój mąż.
- Nie - odpowiada Mark. - To wina łóżka. Zawsze kiedy tutaj przyjeżdżasz, jesteś przekonany, że masz guza mózgu. A może zajmiesz się czymś pożytecznym, na przykład porządkowaniem przypraw? To świetne zajęcie zamiennie. Rodzaj terapii, którą przepisuję praktycznie każdego dnia.

- Jeśli te bóle nie ustąpią, umówisz mnie na tomografię mózgu? - pyta Tom.

- Mogę ci polecić jakiegoś neurologa, ale obaj wiemy, że te bóle głowy znikną, gdy tylko przestaniesz spać w tym łóżku. Staraj się po prostu unikać czynności, które mogłyby spowodować nagły napływ krwi do głowy - Mark śmieje się na całe gardło.

Zastanawiam się, czy w kontaktach z pacjentami jest bardziej uspokajający. Chyba musi być dobry, skoro został awansowany na dyrektora oddziału psychologicznego w dużej londyńskiej klinice.

Petra rzuca mu pełne dezaprobaty spojrzenie, ponieważ tego właśnie oczekuje od niej Mark, ale od zawsze jest zaskakująco życzliwa wobec mojego brata. Kiedy z nim rozmawia, używa irytującego, wysokiego dziewczęcego głosu, który plasuje się na skraju kokieterii.

- Opowiedz mi więc o twojej afrykańskiej przygodzie, Petro - mówi z pobłażaniem w głosie Mark. - Kiedy poznamy twego kochanka? - Wypowiada słowo „kochanek” powoli, kładąc akcent na pierwszej sylabie.

Petra ubrana jest w tę samą podwójną warstwę kaszmirowego bliźniaka, którą miała na sobie wczoraj. Jasnoróżowy na kremowym, jak pianka żelowa. Ignoruje pytanie Marka i oblewa się rumieńcem. Rzucam pełne niepokoju spojrzenie Tomowi, który nadal ma problem z zaakceptowaniem faktu, że jego matka ma chłopaka.

Fred leży pod stołem w koszyku dla psa, z zadowoleniem oblizując drewnianą łyżkę. Moja matka oznajmia Petrze, że zrobiła to ciasto już jakiś czas temu. Wiem, że to kłamstwo, gdyż wczoraj wieczorem znalazłam w spizarni opakowanie po nim. By uniknąć wykrycia tego oszustwa, musiała rano zdrapać oryginalny lukier.

- Myślę, że jeśli doda się do tego łyżeczkę soku z cytryny, łatwiej będzie ukreślić lukier - mówi do niej Petra.

- Zawsze robiłam lukier z wody i cukru pudru - odpowiada pewnie moja matka z drugiego końca stołu. - Po prostu mieszaj, dopóki nie zmięknie.

- Uważam, że im energiczniej się kręci, tym twardsze to się staje - stwierdza stanowczo Petra, ale nie odkłada łyżki.

Nie bez wysiłku zmusza sztywny cukier puder do przemieszczania się wokół miski i zdejmuje jeden sweterek. Zauważam, że obcas butów ma dociśnięte do siebie i wysuwa palce na zewnątrz w geście lekceważenia dostrzegalnym tylko dla tych, którzy znają ją od wielu lat.

- No więc, Petro, gdzie będziecie mieszkać? - pyta Mark. Tom i ja od tygodni staramy się zebrać na odwagę, by zadać jej tego typu pytania, i podziwiam bezpośredniość mojego brata. Od sławetnego lunchu u Johna Lewisa w moich kontaktach z teściową ponownie zagościł chłód. I choć udało jej się powiedzieć Tomowi o swych planach, zdecydowała się na podanie jedynie ogólnego zarysu sytuacji i od tamtej pory nie poruszali tego tematu, z wyjątkiem załatwiania kwestii organizacyjnych związanych ze sprzedażą domu.

Wygląda na to, że jedynym jej sposobem na zniesienie poczucia winy stało się unikanie rozmów innych niż powierzchowne. Być może Petra obawia się, że po jakimkolwiek głębszym kontakcie zmieniałaby zdanie.

- John posiada dom w Medynie - mówi. - Ale kupił także coś w górach Atlas i będziemy spędzać tam część roku, kiedy w Marrakeszu robi się zbyt gorąco. Lubi tam malować. Ma także dom w Santa Fe. Jest Amerykaninem, dość dobrze znanym w Stanach.

Tom i ja wymieniamy spojrzenia, ponieważ akurat tego nie wiedzieliśmy. Petra przestaje na chwilę mieszać i wygląda tęsknie przez okno w kuchni na rozjaśniony mrozem

krajobraz. Wszystko ma różne odcienie białości. Stado wtulonych w siebie owiec przypatruje się nam z pola, które zaznacza koniec ogrodu. Co jakiś czas zaczynają beczeć, tak jakby plotkowały o tym, czego są świadkami. Nic tak nie łagodzi rodzinnych ekscesów jak publiczność, myślę sobie, ciesząc się, że owce także mają coś na święta.

Próbuję ocenić, czy to nagłe ujawnienie informacji poprawia sytuację, czy ją pogarsza. Ciężko rozszyfrować wyraz twarzy Toma. Stoi na schodku naprzeciwko kuchenki, umyślnie ignorując wymianę zdań naszych matek. Zamiast tego poszedł za radą Marka i układa właśnie zioła mojej matki w kolejności alfabetycznej.

- Sądysz, że czarny pieprz powinienem umieścić pod „c”, czy pod „p”? - pyta Petrę.

- Chyba lepiej będzie pod „p” - odpowiada ona.

Ten rodzaj wymiany zdań oznacza ich głęboką bliskość duchową.

Czasami wydaje mi się, że to ten konserwatywny pogląd na domową rutynę pomógł Petrze poradzić sobie ze śmiercią ojca Toma. Musiała trzymać poziom, nawet w tych strasznych dniach tuż po jego rozległym zawale, który stał się przyczyną śmierci. Pamiętam, jak dwa tygodnie po jego śmierci moja teściowa poprosiła, byśmy przyjechali do domu, w którym mieszkali razem przez ostatnie czterdzieści lat, by pomóc jej w porządkowaniu jego ubrań. Gest ten wydawał mi się nieco przedwczesny. Ale od czasu tego koszmarnego telefonu we wczesnych godzinach porannych w niedzielę, Petra była irytująco dostojna w swym podejściu do utraty męża. Żadnej hysterii. Ani użalania się nad sobą. Żadnych spazmów.

- Nie będzie przy nas płakać - rzekł wtedy Tom. - To nie w jej stylu. Płacz zostawi na chwile, gdy będzie sama.

Kiedy więc pewnego ranka zeszałam do kuchni podczas ataku bezsenności i zastałam ją szlochającą bezgłośnie

podczas prasowania bielizny należącej do ojca Toma, którą najwyraźniej wyprała poprzedniego wieczoru po naszym pójściu do łóżek, niemal mi ulżyło. Jej ramiona podnosiły się i opadały, a na białe slipki i siatkowe podkoszulki spływały kałuże łez. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że jej pranie nigdy nie szarzeje. Jak udawało jej się płakać tak bezgłośnie i elegancko. Pomyślałam o własnych atakach płaczu, słonej mieszaninie wody, smarków i śliny, przez którą byłam cała spuchnięta i czerwona. By to zatamować, potrzebowałam męskiej chustki. Petra z kolei ocierała kąciaki oczu małą koronkową chusteczką z wyhaftowanymi różyczkami.

W kącie stały trzy duże worki na śmieci, jeden ze schludnie poukładanymi koszulami w paski, w których jej mąż chodził do pracy. Uważał się za odważnego, bo nosił skarpetki w żywych kolorach do poważnych garniturów i krawatów. Księgowi mają być nijacy, zawsze powtarzał. Nikt nie chce mieć ekscentrycznego księgowego. Były tam marynarki z czasów, kiedy elegancko - swobodny wygląd wymagał podejmowania decyzji, czy inni goście wybiorą blezer z dużymi mosiężnymi guzikami, czy swobodniejszą marynarkę sportową, czy też nawet ubiorą się w garnitur. Na podłodze leżała para dużych czarnych kaloszy.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam, ujmując łokieć teściowej i trzymając go tak długo, aż odłożyła parujące żelazko.

- To nie jest łatwe, Lucy - odparła, delikatnie pociągając nosem.

- Dlaczego prasujesz te ubrania? - zapytałam łagodnie.

- Nie potrafiłabym oddać ich do sklepu z używanymi rzeczami pogniecionych - odpowiedziała, patrząc na mnie wstrząśnięta. - Gdybym to zrobiła, wszystko by się rozpadło.

Podczas tego ponurego okresu Petra prała pościel raz w tygodniu. Jej bielizna zawsze była wyprasowana. A

zamrażarka nadal była pełna domowego jedzenia, aczkolwiek w małych, smutnych, owiniętych w folię aluminiową porcjach dla jednej osoby zamiast dla dwóch. Rzadko to jadła.

Trzymam się tego obrazu, by wzniecić uczucie sympatii do niej, które zostało zeszłego wieczoru poważnie nadszarpnięte po tym, jak otworzyłam mój prezent gwiazdkowy. Zarówno mnie, jak i mojej matce kupiła po egzemplarzu Jak się nie ubierać autorstwa Trinny i Susannah, podając nam je z wielkim podekscytowaniem.

- Pomyślałam sobie, że powinnam dać wam je już teraz, bo może się okazać pomocne w okresie świąt - oświadczyła.

Moja matka obrzuciła książkę spojrzeniem bez wyrazu. Nie licząc wiadomości, od wczesnych lat osiemdziesiątych niezbyt często oglądała telewizję. Trinny i Susannah nie zostały zarejestrowane przez jej radar.

Moja matka odchodzi od lodówki. Najwyraźniej jeszcze nie przestudiowała książki, ponieważ jej świąteczny wygląd składa się z ciekawego zestawu: spódnica z oddartym rąbkiem, który zwisa z tyłu, i halka widoczna zarówno w dekolcie jej niezapiętej bluzki, jak i na dole. Koszulę w paski, którą pamiętam z czasów, kiedy mieszkałam jeszcze w domu, ma krzywo zapiętą. Wszystko jest krzywe.

Raczej koń pociągowy niż koń czystej krwi, myślę sobie, porównując ją na jej niekorzyść z Petrą. Moja matka zrobiła sobie nawet makijaż. Ale nie ma w tym wprawy i najpewniej używa kosmetyków kupionych ponad dziesięć lat temu. Podkład jest gęsty i gromadzi się w zmarszczkach na czole i wokół oczu, usta ma pomalowane na pomarańczowo, a policzki czerwone od rózu.

Niefrasobliwe nastawienie mojej matki do własnego wyglądu kiedyś stanowiło uroczą ekscentryczność. Teraz wygląda po prostu niechlujnie i staro. Ogarnia mnie nagła potrzeba chronienia jej przed bezlitosnymi spojrzeniami. To

nowe dla mnie uczucie i po raz pierwszy uświadamiam sobie, że równowaga w naszych relacjach ulega zachwianiu i że będę proszona o przejmowanie coraz większej odpowiedzialności. Zaczyna brakować mi tchu na myśl o czekającym mnie w przyszłości ciężarze.

Moje uczucia względem matki są dość proste z tego powodu, że jest ona ogólnie nieskomplikowana. Brak szantażu emocjonalnego. Zero pasywnego, agresywnego zachowania i krytyki moich technik wychowawczych, oprócz oczywiście nieuniknionego niedowierzania, że jej córka zdecydowała się wziąć rozbrat z karierą zawodową. Jej system przekonań ledwie ewoluował od czasu mego dzieciństwa, a z upływem lat jej stanowcze opinie stały się kojące w swej przewidywalności. Większość z nich należy do innej ery. Jej feminizm odlany jest z formy Betty Friedan. Jej lojalność wobec Partii Pracy odnosi się raczej do Neila Kinnocka niż Tony'ego Blaira. Wiem, że miała nadzieję, że gdy dorosnę, mój kompas będzie ustawiony na te same wartości, ale mnie nic nigdy nie wydawało się pewne. Nadal zbyt łatwo jest mi przyjąć punkt widzenia drugiej osoby. Wierzenie w coś zbyt mocno wydaje się niemal zuchwałe. Jej strach, że posiadanie dzieci może przykuć ją do kuchni i zagrozić z trudem wywalczonej wolności, skutkowało tym, że przez większość naszego dzieciństwa uciekała od nas. Tak jakby wszystko miało być dobrze, o ile tylko pozostanie w ciągłym ruchu. Bała się poddać uczuciom macierzyńskim, na wypadek, gdyby miały się okazać niemożliwe do odparcia. Fizycznie często znajdowała się w pobliżu, to tylko myślami przebywa gdzieś indziej, najczęściej zatopiona w czytaniu jak nie jednej książki, to drugiej. Mój brat ten dystans emocjonalny obarcza winą za swoją niezdolność do zbudowania trwałego związku.

- Zachowujesz się jak pacjent na terapii, winiąc rodziców za swoje niedoskonałości, zamiast wziąć odpowiedzialność za

własne przeznaczenie - oświadczyłam mu podczas jednego z naszych ostatnich sporów na ten temat, krótko po tym, jak zakończył dwuletni związek.

- Jeśli zachowuję się jak pacjent na terapii, to może dlatego, że chodzę na terapię - odparł mój brat, ponieważ psychologowie muszą się uczyć zarówno prowadzenia terapii, jak i poddawania się jej. - Ty po prostu nie osiągnęłaś takiego poziomu świadomości, by zdać sobie sprawę z tego, że nasze dzieciństwo było problematyczne.

- Wszyscy rodzice mają wady - rzekłam. - Nie ma czegoś takiego jak idealny rodzic. Rodzice powinni natomiast dążyć do tego, by być wystarczająco dobrzy.

- Czytałaś Winnicotta - odparł Mark oskarżycielsko.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- To teoria Winnicotta. Wystarczająco dobra matka... zaczyna od niemal całkowitego podporządkowania się potrzebom niemowlęcia, a z upływem czasu podporządkowuje się coraz mniej, w miarę jak rośnie zdolność niemowlęcia do radzenia sobie z takim postępowaniem.

- Cóż, w takim razie chwała Winnicottowi - stwierdziłam.

- To ludzie tacy jak ty podważają to, co robią matki. Stworzyliście łańcuch dowodzenia z ekspertami na szczycie i rodzicami na dole. Dlatego właśnie te biedne kobiety zamknięto w więzieniu, niesłusznie oskarżone o zabicie własnych dzieci, na podstawie błędnych dowodów jakiegoś naukowca, którego nigdy nie poznały. To podejście do matek w stylu Guantanamo: jesteś winny, dopóki nie udowodnisz swej niewinności.

Wcale nie twierdzę, że moja matka nie ma wad. Ale nawet gdy byłam nastolatką, mogłam z nią porozmawiać o wszystkim, oczywiście jeśli tylko miałam na to ochotę. Nie krytykowała i była praktyczna. W naszej rodzinie niewiele było sekretów, w przeciwieństwie do rodziny Toma, gdzie



ciężko musiałam się starać, by rozszyfrować rozmowy i interpretować miny niczym na pierwszej wymianie zagranicznej, uświadomiwszy sobie wreszcie po wielu latach, że to, co mówiono, bardzo często znaczyło coś całkiem przeciwnego niż to, co myślano. U nas odbywały się długie, hałaśliwe dyskusje do późna w nocy, a na wpół opróżnione butelki wina uprzątno nazajutrz rano. Większość sporów pozostawała nierozstrzygnięta, było także sporo werbalnej niepowściągliwości, głównie ze strony mojej matki, ponieważ ojciec miał bardziej dowodowe, a mniej instynktowne podejście do dyskusji, ale przynajmniej wszystko można było poddać dyskusji. Niczego nie tłumiono. Mój brat jest mniej wielkoduszny w kwestii naszego dzieciństwa, ale sądzę, że dzieje się tak dlatego, iż ja rozumiem, z czym muszą się mierzyć kobiety.

- Może ty chciałabyś spróbować? - słyszę nagle głos Petry, zadającej to pytanie lodowatym tonem.

Podaje drewnianą łyżkę mojej matce, machając nią przed jej twarzą niczym szablą. Lukier na łyżce jest twardy niczym wyraz twarzy Petry. Zapina górny guzik swetra. Linie bojowe zostały wyznaczone.

Moja matka, która nie ma w zwyczaju nie podejmować rękawicy, bardzo się stara poruszyć białą masę, używając do tego celu wcale niemałej siły. Przesuwa ją lekko i ten subtelny ruch stanowi dla niej potwierdzenie słuszności jej wcześniejszych słów. Ale jest to jedna wielka masa w kształcie miski o konsystencji i formie hełmu wikingów. Jeśli siła woli mojej matki nie jest w stanie poruszyć lukru, nie uczyni tego nic poza szpikulcem do lodu.

- Przekroję to na pół i spodnią część położę na cieście - mówi wyzywająco moja matka, pokazując na szufladę z nożami.

Chcę, by wygrała tę bitwę, ponieważ ma niewielkie na to szanse. Szuflada z nożami się zacina i ciężko ją otworzyć, i kiedy wreszcie mi się to udaje, znajduje się w niej wiele rzeczy, ale nie ostry nóż.

- Nie mamy ostrych noży od początku lat osiemdziesiątych - odzywa się mało pomocnie ojciec, patrząc na mnie, po czym wraca do czytania gazety, błogo nieświadomy dramatu rozgrywającego się przy kuchennym stole. Petra nachyla się ponad moim ramieniem i zerka do szuflady. Widzę, jak przeprowadza analizę zawartości. Stare rachunki, pojedyncze karty do gry, korki, plastikowe zakrętki, nekrolog wycięty z „Guardiana”, kawałki sznurków w różnych kolorach, ziarenka ryżu, płatki owsiane i inne niezidentyfikowane resztki, które przez lata znalazły tu sobie miejsce. Owce na zewnątrz beczą głośno, jakby omawiały tę ekspozycję. Wyczuwają wzrost napięcia.

- Chcesz, żebym to uporządkowała? - pyta gorliwie moja teściowa. Nie czekając na odpowiedź, wyjmuję szufladę i natychmiast bierze się za pracę. - Jak dzieci mają ustawić na tym lukrze renifera i Świętego Mikołaja? Jest twardy jak beton, nikt nie zdoła go ugryźć - mówi, sprawnie segregując różne rzeczy na określone kategorie. - Dlaczego nie pozwolisz mi go zrobić od początku?

- Ponieważ w taki właśnie sposób zawsze go robiłam - odpowiada ostro moja matka.

Wątpię, by wcześniej choć raz robiła lukier, i zdumiewające jest dla mnie to jej całe zachowywanie pozorów. Nie jest ekspertem w tej dziedzinie i obie kobiety byłyby bardziej zadowolone, gdyby to Petra zajęła się wszystkim, co ma związek ze świątecznym jedzeniem.

- Może zajmę się pieczonymi ziemniakami? - pyta moja teściowa, która w tej chwili ma dyplomatyczną przewagę.

- Wiesz, jeśli przed włożeniem do piecyka posypie się je kaszą manną, a nie mąką, będą bardziej chrupiące.

Zbliża się do miski z owocami i zanim jeszcze tam dociera, wiem, że nie będzie w stanie się powstrzymać przed wyrzuceniem nadgniętego jabłka, które dostrzegam na samym wierzchu.

Moja matka udaje się do spiżarni znajdującej się na końcu kuchni, a ja idę tam tuż za nią.

- „K” jak kanalie - kipi z wściekłości, a ja zamykam drzwi, by odbyć jedną z tych sławetnych spiżarnianych rozmów.

- To dla nich trudny czas - wyjaśniam. - Im bardziej są niespokojni, tym więcej sprzątają. Spróbuj się tym cieszyć. Nie bierz tego do siebie. Petra szczyli się swymi zdolnościami w gospodarstwie domowym, stanowią one integralną część jej osobowości. Ty masz w swoim życiu wiele innych rzeczy, więc bądź wielkoduszna.

- Niełatwo jest mi gościć ich tutaj oboje w tym samym czasie - mówi, siadając na taborecie i niechcący zahaczając czubkiem buta o pułapkę na myszy. - Myślałam, że decyzja przeprowadzki do Maroka ją wyluzuje. Nie mieści mi się w głowie, że może być zaangażowana w coś tak impulsywnego i jednocześnie mieć obsesję na punkcie konsystencji lukru.

- Czerpie ulgę z powtarzalności tych rytuałów, tak jak ty z corocznego wygłaszania wykładu inauguracyjnego na temat D.H. Lawrence'a grupie studentów pierwszego roku i przyglądania się ich minom, kiedy wypowiadasz słowo „cipa” - mówię. - Myślę, że to z powodu jej wyjazdu do Maroka chcesz, by się męczyła z twoim lukrem. By dostosowała się do twoich oczekiwań. Uważam, że masz jej za złe ten późny powiew wolności w jej życiu, więc próbujesz zagonić ją z powrotem do kąta. Tak czy inaczej, ma rację co do lukru.

- Dlaczego miałabym być zazdrosna? - pyta matka. Jestem zaskoczona użyciem przez nią tego przymiotnika, ponieważ tak naprawdę wcześniej nie przyszło mi do głowy, że może być zazdrosna o życie Petry.

- Dlatego, że po raz pierwszy, odkąd ją znasz, robi coś bardziej ekscytującego niż ty - odpowiadam. - Nie jesteś przyzwyczajona do tego, że to ona znajduje się w centrum uwagi.

To wyjaśnienie zdaje się ją satysfakcjonować. Wyczuwam, jak przenosi się na inne terytorium.

- No więc, Lucy, kiedy zamierzasz znaleźć sobie prawdziwą pracę? - pyta.

- Mam prawdziwą pracę. Opiekowanie się dziećmi to prawdziwa praca.

- To nieodpłatna harówka. '

- Nie mogę się z tobą nie zgodzić. Ale znając twoje sympatie polityczne, sądziłabym, że będziesz ostatnią osobą oceniającą czyjąś wartość według wysokości jego zarobków. Fakt, że nie zarabiam żadnych pieniędzy, nie oznacza, że to, co robię, pozbawione jest wartości.

- Nie mogę uwierzyć w to, że moja córka wybrała życie kury domowej - mówi matka, a jej usta wykrzywiają się, jakby te słowa miały gorzki smak.

- Prawdę powiedziawszy, mamo, częścią tego problemu są feministki twojego pokroju, ponieważ wyolbrzymiając znaczenie pracujących kobiet, kompletnie zdevaluowałyście życie domowe - oświadczam. - Tak naprawdę jesteś w sposób pośredni odpowiedzialna za obecną schizmę pomiędzy matkami pracującymi a niepracującymi.

Wygląda na nieco zaskoczoną

- Fred chodzi już do żłobka, z pewnością masz teraz więcej czasu - nie daje za wygraną.

- No, a co z wakacjami? - pytam. - Czy wiesz, ile musiałabym zarabiać, żeby opłacić dzieciom opiekę?

Ignoruje ten argument.

- Chodzi mi o to, kiedy masz zamiar zabrać się za coś, co angażuje twój mózg.

- Cóż, to inne pytanie. Ja naprawdę używam mózgu, tyle że w sposób mniej oczywisty, a bardziej lateralny - odpowiadam. - Tak czy inaczej, to nie ja opuściłam pracę, ale praca opuściła mnie. Gdybym mogła znaleźć coś na pół etatu, co dałoby się pogodzić z posiadaniem dzieci, zrobiłabym to.

- Taka szkoda - stwierdza, rozkręcając się w tym temacie ze znajomym zapałem.

- Wiedziałaś, że matki, które mają dzieci i pozostają bez zatrudnienia dłużej niż pięć lat, mają mniejsze szanse na zatrudnienie niż imigranci z Europy Wschodniej niemówiący po angielsku? Nie czytałaś o tym w gazecie w zeszłym tygodniu? Nikt nie chce dać nam pracy, a przynajmniej nie taką, jaką my byśmy chciały. To dylemat, nad którym ty i twoje koleżanki feministki możecie podyskutować w pubie.

- Ale czy czujesz się spełniona, Lucy? - upiera się przy swoim. - Czy to daje ci satysfakcję?

Jedną z najbardziej uroczych cech mojej matki jest jej niewyczerpana ciekawość motywacji ludzi, zwłaszcza wtedy, gdy ich wybory nie zgadzają się z jej przekonaniem. Jej wytrwała linia przepytowania może się wydawać krytyczna, zwłaszcza że to kobieta o zdecydowanych poglądach, ale w jej podejściu jest dziecięca niewinność, niezaspokojone pragnienie szczerego zrozumienia tego, skąd pochodzi ktoś inny.

- Na koniec dnia często czuję się tak, jakbym niczego nie osiągnęła. Dzień zwieńczony sukcesem to utrzymanie status quo. Udało mi się bez większych problemów zaprowadzić dzieci do żłobka i szkoły, a potem je odebrać. Przygotowałam

trzy posiłki, wykąpałam troje dzieci i poczytałam im wszystkim na dobranoc. Kiedy porównuję to ze swoimi wcześniejszymi zajęciami, widzę absurd, zwłaszcza że chyba staję się w roli matki coraz lepsza.

- Ale czujesz się swobodnie w towarzystwie swoich dzieci. Ja chyba nigdy tak się nie czułam - wzdycha.

Coś w mojej kieszeni zaczyna brzęczeć. - Co to? - pyta podejrzliwie moja matka.

- Tamagotchi Joego - wyjaśniam, wyjmując elektroniczne zwierzątko mojego syna i wciskając kilka guzików. - Trzeba go nakarmić. Obiecałam mu, że się nim zaopiekuję, podczas gdy on będzie oglądał Dźwięki muzyki.

W rogu spiżarni dostrzegam duży obiekt przykryty folią aluminiową.

- Co to? - pytam.

- O Boże, to indyk! Tak mnie zdenerwowała ta kobieta, że zapomniałam go wstawić do piekarnika. - Matka odsuwa folię, ukazując potężnego, łysego ptaka. Jego kolor i faktura pasują do jej ramion. - Znowu wygrała.

- Dlaczego tak rywalizujesz z Petrą? - dziwię się. - Twoje katastrofy kulinarne są do przewidzenia. Nikt się nawet nie spodziewa czegoś innego.

- Ciężko to wytłumaczyć - odpowiada matka. - Chyba porównuję się z nią i widzę swoje braki jako gospodyni domowej. Wtedy się zastanawiam, czy postępowałam we właściwy sposób z dziećmi.

- Oczywiście, że tak. Nie jesteśmy popieprzeni bardziej niż przeciętnie. Tak naprawdę to nawet mniej niż przeciętnie. To dobry wynik. Przeciętność jest dobra. Zapobiega ekstremum.

Drzwi się otwierają i do spiżarni wchodzi Mark. Podjada chipsy prosto z opakowania.

- Przewiduję późny obiad - stwierdza.

- I znowu krytyka - mówi moja matka, wraz z indykiem opuszczając ze wzburzeniem spiżarnię.

Mark siada na zwolnionym przez mamę taborecie i natychmiast wpada w potrzask kolejnej pułapki na myszy.

- Cholera. To zabolalo - mówi, pocierając duży palec u nogi. Ma na stopach grube, robione na drutach skarpety, które Petra podarowała mu na Gwiazdkę. Pułapka zwisa bezwładnie z końca jednej z nich. - Co słysząc, Lucy? - pyta mój brat. - Praktycznie nie miałem czasu, by porządnie z tobą porozmawiać. Wydajesz się nieco zatroskana - stwierdza, zdejmując skarpetę, by potrzeć palec.

- Czy to zawodowa ocena? - pytam. - Czy też próbujesz jedynie odwrócić moją uwagę w celu uniknięcia trudnych pytań o miejsce pobytu twojej dziewczyny i brak gwiazdkowych prezentów?

- Zostały w Londynie - odpowiada, a na jego twarzy maluje się poczucie winy.

- Prezenty czy dziewczyna?

- Jedno i drugie. Ale nie w tym samym miejscu. I to jest znamienne. Kupiłem dla chłopców trochę badziewia na stacji benzynowej. Nieważne, nie mówmy o mnie.

- Ale jestem pewna, że twoje opowieści są bardziej interesujące od moich - oznajmiam.

- Chcesz, żebym ci powiedział, co sędzę o Joem? - pyta nagle. - Przyrzekam, że nie próbuję unikać niezręcznych kwestii. Sądziłem po prostu, że może tym właśnie się martwisz.

- To jedna z wielu spraw, które siedzą w mojej głowie

- odpowiadam, łagodniejąc. Mark jest dla naszych dzieci niezwykle dobrym i wiernym wujkiem. - Powiedz mi, co o nim sądzisz.

- Wydaje mi się, że choć wykazuje pewne tendencje nerwicowe, mało jest w tym powtórzeń i rytuałów,

stanowiących klasyczny objaw zaburzeń obsesyjno - kompulsywnych - oświadcza mój brat.

- A to przejmowanie się Dźwiękami muzyki i kurczeniem? - pytam.

- To objaw niepokoju, głęboko zakorzonego pragnienia, by wszystko pozostało bez zmian, przewidywalne i rutynowe - odpowiada Mark. Wstał z taboretu i obchodzi teraz spiżarnię, podnosząc przykrywkę różnych pudełek i zaglądając do środka, by się przekonać, co się w nich kryje. - Kurczenie się jest bardziej skomplikowane. Myślę, że ma to coś wspólnego z pragnieniem wycofania się ze świata do miejsca, gdzie wszystko jest bezpieczne i ma sens. To wyjątkowo wrażliwe dziecko. Najpewniej będzie się w przyszłości zajmował czymś twórczym.

- Nie uważasz, że to moja wina? Że przez mój chaos jest neurotykiem? - pytam.

- Nie, lepszy już taki chaos niż nadmierna kontrola. Za niespokojnym dzieckiem często kryje się neurotyczny rodzic. Bycie dobrą matką uzależnione jest od określenia właściwej dawki oddania. Zbyt mało i dziecko wędnie, zbyt dużo i czuje się stłamszone.

- Więc nie uważasz, że powinnam iść z nim do jakiegoś specjalisty?

- Krótko mówiąc, uważam, że musisz zaakceptować to, iż jest synem swojego ojca.

Mark zajęty jest wyrzucaniem zaatakowanego przez robaki pudełka z ryżem, które znalazł na jednej z półek. Coś ponownie odzywa się w mojej kieszeni i wyjmuję Tamagotchi. Ale zwierzątko śpi, więc wydobywam z tylnej kieszeni dzinsów komórkę, by sprawdzić wiadomości, i doznaję szoku na widok trzech od Roberta Bassa. Wszystkie wysłane wcześniej tego ranka.

Każda brzmi tak samo: „Chcę się kochać. Gdzie jesteś?”.



Trudno to nazwać logicznym rozwinięciem kroku wykonanego w akwariu. Ze zdumienia upuszczam telefon, który ślizga się po zatuszczonej podłodze w stronę mego brata.

- Dobrze, że mama nie dała tego ryżu Petrze - mówi Mark, schylając się po komórkę.

Robię to samo, ale on jest zbyt szybki. Nie może się oprzeć pokusie zerknięcia na ekranik i trzyma aparat wysoko w górze, wykorzystując swój wzrost. Prywatność to dla Marka pojęcie obce. Jako nastolatka musiałam chować swój pamiętnik pod deskami w podłodze, by uniemożliwić bratu jego przeczytanie.

Jego twarz natychmiast pochmurnieje. Mrużąc oczy, czyta esemesa jeszcze raz, by się upewnić, że dobrze zrozumiał. Następnie majstruje przy telefonie, by sprawdzić nadawcę.

- Kim, do cholery, jest SUD? - pyta.

- Nie wiem - odpowiadam słabym głosem.

- Widnieje na twojej liście kontaktów, w przeciwnym wypadku nie wyświetliłaby się jego nazwa - oświadcza Mark, przyglądając mi się podejrzliwie.

- Jeśli już musisz wiedzieć, to skrót od „Seksowny Udomowiony Tata” - mówię obronnym tonem.

- Czy to jedna z tych firm, które przysyłają ci mężczyzn sprząających dom nago? - pyta Mark.

Pomysł ten jest tak niedorzeczny, że zaczynam się śmiać.

- Czy dlatego właśnie tak bardzo zwlekasz z rozpoczęciem życia małżeńskiego na przedmieściach? - pytam, chichocząc tak bardzo, że aż muszę skrzyżować nogi.

A potem, ponieważ tak bardzo się denerwuję esemesem i że mój brat go przeczytał, nie potrafię przestać, i za każdym razem, kiedy próbuję się wziąć za poważne wyjaśnienie tego, co się dzieje, śmieję się jeszcze bardziej. Nagle czuję się znowu jak młodsza siostra, a to uczucie nieczęsto pojawia się

w naszych relacjach, od kiedy to ja jestem osobą z mężem i dziećmi, a Mark stał się seryjnym randkowiczem, niezdolnym do podjęcia decyzji, z którą dziewczyną się ożenić.

Wtedy dzwoni moja komórka i Mark upuszcza ją na podłogę. Oboje wpatrujemy się w aparat, wreszcie podnoszę go, by odebrać.

- Lucy, to ja - mówi Robert Bass. - Słuchaj, naprawdę cię przepraszam, miałem wysłać te esemesy żonie, ale przez pomyłkę wybrałem twój numer. Mam nadzieję, że nie pomyślałaś sobie, eee, że, eee... - wyrzuca z siebie.

Starając się, by w moim głosie nie słychać było zbyt dużej ulgi, mówię:

- Jeśli mam być szczerą, to wolę podejście bardziej subtelne.

- Wygląda na to, że siedzisz mi w głowie - śmieje się słabo. Ma rację. Nic nie mogę poradzić na to, że nieco mi to schlebia. Wtedy po drugiej stronie zapada cisza.

- Halo, halo, jesteś tam? - pytam.

- Z kim rozmawiasz? - słyszę, jak pyta jego żona. - Kto siedzi ci w głowie? Równie dobrze możesz mi powiedzieć, ponieważ jedyne, co muszę zrobić, to zajrzeć do twojego telefonu.

Połączenie zostaje przerwane. Niewiele mam czasu na zastanowienie się nad konsekwencjami tego zdarzenia, ponieważ mój brat stoi nade mną z dłońmi na biodrach.

- Czy ty masz romans? - pyta:

Kiedy byliśmy młodszy, jego nastawienie do moich chłopaków wahało się od lekceważącego, kiedy flirtowanie pozostawało nieodwzajemnione, do ukradkiem opiekuńczego, kiedy wchodziłam w nowy związek. Zasadniczo przyjmował założenie, że wszyscy mężczyźni prowadzą równie bogate życie seksualne jak on.

- To dlatego, że moja matka jest feministką i mieliśmy zbyt wiele au pair, z którymi można było sypiać. Jestem zaangażowany w pewnego rodzaju zemstę Edypa - często kiedyś powtarzał. - Pamiętaj tylko, Lucy: mężczyźni mogą prowadzić rozmowy wstępne, ale to nie oznacza, że chcą posunąć się dalej.

A potem wbrew rozsądkowi robię sobie miejsce na parapecie, odstawiając na bok puste puszki po kawie i brudne butelki po mleku, i siadam, by opowiedzieć bratu ze szczegółami o Robercie Bassie. Niewinnym flircie, który zakończył się kiepskim epizodem podczas szkolnej wycieczki. Słyszę, jak absurdalnie to brzmi, kiedy wyjawiam wszystko od początku do końca. Mark nie przerywa i przygląda mi się uważnie.

- To naprawdę nic wielkiego - mówię. - Nic się nie wydarzyło.

- Podoba ci się ten facet? - pyta.

- Tak, teoretycznie - przyznaję ostrożnie.

- W takim razie to coś wielkiego, ponieważ ty jemu wyraźnie się podobasz.

- Naprawdę tak uważasz?

- Nie bądź taka naiwna, Lucy. Gdybyś sądziła inaczej, oszukiwałabyś siebie na wielką skalę. Zwodzisz samą siebie, pozwalając na sytuację, w której romans może się rozkwitnąć. Prawdę mówiąc, jestem szczerze zaskoczony.

- Sądzisz, że przechodzę kryzys wieku średniego? - pytam. - Myślałam, że to przywilej mężczyzn.

- Nie - śmieje się. - Odłączyłaś się od Toma i zamiast naprawić to zwanie, szukasz nowego połączenia z kimś innym. Ale w tym mężczyźnie nie znajdziesz odpowiedzi. One znajdują się w tobie.

- Nie sądzisz, że mogłabym po prostu przeżyć mały romans, a potem wszystko zostawić za sobą? - pytam go.

- Kobiety są w tym beznadziejne. I wcale nie uważam, że jest to cecha negatywna. Niezdolność kobiet do oddzielenia uczuć od seksu nie jest słabością, lecz siłą. Rozwija ona związek i wzajemne zrozumienie. Nigdy nie mogłem pojąć, dlaczego kobiety traktują przygody na jedną noc i ostre balangowanie jako oznakę postępu społecznego. Dlaczego czymś właściwym jest przyjmowanie cech bardziej utożsamianych z mężczyznami? Mężczyznom gorzej by poszło upodobnienie się do kobiet. Mówię to jako osoba, dla której okazało się to trudne do zdefiniowania.

- Co więc powinnam zrobić? - pytam.

- Powiedz Tomowi - odpowiada. - Wpuszczając ludzi do swojej fantazji, zminimalizujesz ryzyko możliwości przekształcenia jej w rzeczywistość. A jeśli mu nie powiesz, ja to zrobię. Może i różnicie się od siebie jak dzień od nocy, ale ogólnie wasz związek jest udany, a życie polega na czymś znacznie więcej niż krótkotrwałym szukaniu przyjemności, zwłaszcza gdy ma się dzieci. Dlatego właśnie wszyscy jesteśmy tacy żalśni. Mamy obsesję na punkcie ostrego imprezowania, kilku ścieżek koki, by impreza była jeszcze lepsza, i nieprzyzwoitego pieprzenia się z zamężną kobietą. Ale to oddziela nas od tego, kim jesteśmy. To raczej niszczy naszego ducha niż nas na duchu podnosi. Czy wiesz, na jakim obszarze najbardziej rozwija się moja profesja? Problemy dorastających chłopców, którzy tyle czasu spędzają na oglądaniu w Internecie stron pornograficznych, że zupełnie nie umieją nawiązywać relacji z kobietami na poziomie seksualnym bądź emocjonalnym. Jeżeli myślałaś, że mężczyźni z twojego pokolenia są popieprzeni, to powinnaś przyjrzeć się uważnie tym dzieciakom. Wychowywanie się na „Playboyu” było wiekiem niewinności.

- Naprawdę nie rozumiem, w jaki sposób odnosi się to do mnie - mówię ostrożnie. Jestem zdumiona wybuchem Marka,

nie z powodu treści jego słów, ale bardziej dlatego, że zazwyczaj stara się trzymać z dala od czegokolwiek, co można by uznać za system przekonań, a to z obawy, że zacznie przypominać naszą matkę. - Wiesz co, postaram się go unikać.

- Próbuję ci powiedzieć, że musisz być kowalem swego losu, Lucy. To jedna z twoich najgorszych cech: pozwalanie, by wydarzenia rozgrywały się wokół ciebie, jakbyś nie miała żadnego wpływu na ich rozwój.

- Dlatego właśnie tyle jem - oświadczam. - Im więcej będę jadła, tym będę grubsza, a wtedy nie będę mogła z nikim romansować.

- Niezupełnie to miałem na myśli. Ale można to interpretować jako mały krok we właściwym kierunku.

Mój telefon ponownie się odzywa. Mark mierzy go podejrzliwym spojrzeniem, ale tym razem to wiadomość od Emmy. Zaprasza Toma i mnie na kolację do siebie i Guya w ich nowym mieszkaniu. Donosi, że Guy dzisiaj wreszcie się zgodził, gdyż zżera go poczucie winy, że nie może z nią spędzić nawet części świąt.

- To Emma - mówię. - Chce, żebyśmy poznali jej chłopaka.

Mark wygląda na zainteresowanego.

- Poważny związek? - pyta z powątpiewaniem. - Sądziłem, że specjalnością Emmy jest trzymanie wszystkich uczuć na wodzy.

- Zamieszkali razem - odpowiadam wymijająco.

- Ale w takim razie dlaczego nie poznałaś go do tej pory? - pyta. I wtedy uśmiecha się porozumiewawczo. - Jest żonaty, prawda? Od zawsze takie było jej przeznaczenie: znalezienie kogoś, kogo nie może mieć.

- Wydaje mi się, że całkiem mocno się zaangażował - mówię, po czym zmieniam kurs, ponieważ Emma i mój brat to

niezręczny temat. - Mama uważa, że powinnam wrócić do pracy.

- Na ludzi nie ma lekarstwa - stwierdza. - Co dobrego dałoby twojej rodzinie to, że jedziesz do Iraku w poszukiwaniu dobrej historii?

- Albo gdybym tkwiła w Londynie, zazdrośnie przyglądając się moim kolegom i temu, że mogą bez chwili namysłu wyjechać za granicę. Być może jednak bardziej bym się angażowała w ogólny obraz świata.

- Życie człowieka to suma jego związków. Wszyscy chcemy wchodzić w relacje z innymi ludźmi - mówi Mark. - I nigdy nie przestaną nam się podobać. Pomyśl tylko o Petrze. Zanoszą się na to, że będzie uprawiać seks częściej niż my wszyscy, a jest już po sześćdziesiątce, czy też „seksdziesiątce”, jak mówimy w erze viagry.

- Tylko nie poruszaj przypadkiem tego tematu - błagam. Otwierają się drzwi. Do środka z wahaniem zagląda Tom.

- Szkoda jechać tak daleko, a potem spędzać cały czas w spizarni - mówi. - Szukam dwóch kurczaków. Postanowiliśmy dać sobie spokój z indykiem i zjeść go jutro.

Podnoszę z parapetu telefon komórkowy i wkładam go głęboko do tylnej kieszeni, notując sobie w myślach, by skasować te wiadomości, gdy tylko znajdę wolną chwilę.

Później tego wieczoru leżę w łóżku obok Toma, pełna dobrych intencji, by powiedzieć mu to, co wcześniej wyznałam Markowi. Czytamy właśnie książki, które daliśmy sobie nawzajem na Gwiazdkę. Dla niego: Alain de Botton o architekturze. Dla niej: biografia pani Beeton autorstwa Kathryn Hughes. I wiecie co? Okazuje się, że pani Beeton była w takim samym stopniu domową oszustką, jak ja. Szkoda, że nie podarowałam tej książki Petrze.

Jest tak zimno, że zapięłam się po szyję w kraciastej piżamie. Oboje mamy na sobie grube polary, a Tom skarpetki,

które zrobiła na drutach jego matka. Sprytnie podłożył pod tylne nóżki łóżka książki wykradzione z mojej półki. Po raz pierwszy patrzymy na swoje stopy z góry, a nie z dołu.

Dzieci są w swoim pokoju i śpią w legowisku z kołder na środku podłogi, a wokół nich leżą porozrzucone ulubione prezenty. Joe tuli do siebie zestaw do pobierania odcisków palców. Odwracam się do Toma i biorę głęboki oddech, ale on podnosi rękę, sygnalizując, że chce coś powiedzieć jako pierwszy. Uważnie zaznacza czytane miejsce zakładką, po czym odkłada książkę na nocną szafkę, manewrując nią, aż ma pewność, że znajduje się dokładnie na środku blatu. Opieram moją na kolanach, kartkami do kołdry, a Tom się krzywi.

- Złamiesz grzbiet - mówi łagodnie, zabierając ode mnie panią Beeton i ostrożnie wkłada skrzydełko okładki tam, gdzie kończy się drugi rozdział. - Wiem, co masz zamiar powiedzieć - oświadcza. - I winię za to siebie. Byłem zupełnie pochłonięty moją biblioteką. Można nawet powiedzieć, że obsesyjnie. Zapominam, że opiekowanie się dziećmi jest cięższe niż praca, ponieważ nie pozwala ci na luksus skupiania się na jednym temacie. Wiem także, że mój wewnętrzny przymus sprzątnięcia i porządkowania jest irytujący, ale kiedy patrzę na swoją matkę, wiem, że nie ma nadziei na to, iż to się zmieni. To moje genetyczne przeznaczenie. Twój brat mówi, że nie ma różnicy pomiędzy charakterem moich budynków a tym, co siedzi w mojej głowie. Ale wiesz co, gorzej byłoby mieć za męża Johna Pawsona.

- Ale ty zawsze byłeś taki sam. Nawet kiedy zajmowałeś się przebudową loftu, zawsze pochłaniało cię to, co robisz. Jesteś tym samym mężczyzną, którego poślubiłam, problem musi tkwić we mnie - mówię.

- Po prostu musimy więcej czasu spędzać razem - stwierdza. - Trudno nie być opętanym tą biblioteką. To najbardziej prestiżowy projekt, w jaki byłem zaangażowany, i

zabrał mi całe życie. Drażniło mnie wszystko, co mnie od niego odciągało.

Wtedy uświadamiam sobie, że on tak naprawdę niczego nie wie. Sądzi, że chodzi o niego, szlachetne uczucie w tym sensie, że nie próbuje uchylać się od odpowiedzialności za zaistniałą sytuację. Nie próbuje także zrzucić winy na mnie. Ale nie szuka odpowiedzi poza samym sobą i stwierdzam, że mam mu to za złe. Przeskakuje jedynie po powierzchni problemu, gdy tymczasem ja potrzebuję, by ktoś oheblował moje uczucia, zdarł każdą warstwę, dopóki nie zostanie odsłonięta jego istota.

Nim mam okazję wyjaśnić Tomowi, że się myli, że się pogubiłam, że widzę, skąd pochodzę, ale nie widzę, dokąd zmierzam, i że jest mi potrzebny do odzyskania równowagi, on sięga pod poduszkę, wyjmuje stamtąd prezent i podaje mi go z uśmiechem. Robię minę, która, mam nadzieję, wyraża radosne zdziwienie, i rozpakowuję go, spodziewając się zobaczyć naszyjnik. Zamiast tego widzę parę majtek Spanx. Rozkładałam je. Mają kolor i fakturę flaka od kiełbaski i najprawdopodobniej pełnią podobną funkcję. W kroczu jest duża dziura do siusiania.

- Kupiłem je w Mediolanie - mówi z dumą. - Kobieta w sklepie powiedziała, że nosi je nawet Gwyneth Paltrow. Wygładzają wszystkie nierówności i fałdki.

Jęczę głośno i daję nura pod kołdrę.

- Mam dla ciebie coś jeszcze. - Zagląda pod nią, by podać mi znajome kremowe pudełko. - Czekałem na właściwy moment, by ci to dać. Zamówiłem to, gdy byłem w Mediolanie.

Otwieram pudełko, a potem szybko przytulam się do Toma, ponieważ nie przychodzi mi łatwo zachowywanie pozorów, że nigdy wcześniej nie widziałam tego naszyjnika. Jesteśmy tak bardzo opatuleni w różne warstwy ubrań, że



tulimy się do siebie, trzymając między palcami jedynie swoje polary. Siła tego uścisku sprawia, że łóżko zsuwa się z książek i z głośnym walnięciem uderzamy o podłogę. Fajnie by było uprawiać seks. Ale czasami jest po prostu zbyt zimno. Jutro zjemy indyka. Jutro założę mój nowy naszyjnik. Jutro powiem Tomowi o Robercie Bassie.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane

Wracamy do Londynu, Nowy Rok przychodzi i odchodzi. Przekonuję się, że o tej porze roku nie ma się czego zbytnio trzymać i czynię kilka postanowień, by nadać jakąś strukturę roztaczającej się przede mną niepewności. Nigdy nie zdołam zrozumieć, dlaczego ludzie mają ochotę świętować początek kolejnego roku. Jak mogą być tak pewni, że to, co ich czeka, będzie lepsze od tego, co minęło? Po trzydziestce trzeba nieco brawury, by założyć, że przyszłość skrywa więcej obietnic niż przeszłość. Bo z całą pewnością więcej może się nie udać niż udać, prawda? Kiedy skończy się rok, proces globalnego ocieplenia będzie posunięty do przodu. Kolejna szansa na pandemię ptasiej grypy. Jeszcze więcej ofiar w Iraku. Większa szansa na to, że będę mieć romans z Robertem Bassem, a więc nieodwołalnie wyrządę szkodę memu małżeństwu, a moje dzieci będą obarczać mnie w przyszłości winą i rachunkami za wizyty u terapeuty.

Aby z tym wszystkim walczyć, postanowiłam, że to będzie rok, w którym w końcu obudzę w sobie powagę. To mi pomoże przewyciężyć uczucia, które trzymają mnie w szachu, i wprowadzi w moim życiu porządek. Gdy rok się skończy, długi na kartach kredytowych, pleśń w samochodzie i wszystko inne, co świadczy o domowym niechlujstwie, będą już tylko odległym wspomnieniem.

Kiedy obudziłam się tego ranka o piątej, pomimo wszystkich wcześniejszych dobrych chęci z niecierpliwością wyczekiwałam ponownego ujrzenia Roberta Bassa po trzytygodniowej przerwie spowodowanej feriami świątecznymi. Zabrałam się za przymierzanie ewentualnych strojów, które mogłabym mieć na sobie podczas odprowadzania dzieci do szkoły, i na wybiegu dominowały dzinsy z bluzeczkami w różnych odcieniach, a jednocześnie

wiedziałam, że nieuchronnie skończy się to tak, że włożę na siebie to, co wczoraj, ponieważ zastanawianie się nad wyborem stroju jest luksusem nieosiągalnym podczas szkolnych poranków.

Oddałam się kilku ulubionym fantazjom, poświęconym głównie obściskiwaniu się pod ścianami na ciemnych ulicach gdzieś w okolicach Greek Street, obiecując sobie, że to ostatni raz, kiedy pozwalam moim myślom zapuszczać się tak daleko, i usprawiedliwiając własną niepowściągliwość myślą, że wkrótce będzie wieczorami zbyt jasno, by coś takiego rzeczywiście mogło się wydarzyć. W imię powagi zmusiłam się także do wymyślenia neutralnych tematów do rozmowy, gdyby oczywiście zaistniała taka potrzeba, zaczynając od znikania Grenlandii, a kończąc na względnej wyższości polskich au pair nad innymi narodowościami. Co nie znaczy, byśmy mieli wolny pokój dla au pair, ale to całkiem dobry temat.

Kiedy Tom się obudził, zaproponował, że zaprowadzi dzieci do szkoły. Bardzo się starałam ukryć rozczarowanie.

- Myślałem, że to cię naprawdę ucieszy - rzekł.

- Super, to prawdziwa pomoc - odparłam nieprzekonująco.

- Słowo daję, czasami nie da się zrozumieć kobiet - stwierdził, wychodząc z łóżka i mierząc podejrzliwym spojrzeniem stosy ubrań na podłodze. - Stroisz się, kiedy odprowadzasz dzieci do szkoły? - zapytał retorycznie. - Zmieniasz się w jedną z tych niezłych mamusiek? A może jest ktoś, na kim próbujesz wyrzucić wrazenie?

- Staję się matką poważną - odparłam.

- Błagam, nie popadnij tylko w neurozę na moim punkcie. Nadal nie przyznałam się Tomowi do swego zauroczenia

Robertem Bassem, choć Markowi powiedziałam coś wręcz przeciwnego, przez co czuję się, jakbym prawie to

zrobiła. Nie podoba mi się świadomość, że okłamuję brata; wolę myśleć, że prawda jeszcze go nie dogoniła, tak jakby żył w innej strefie czasowej, kilka godzin wcześniej niż ja. Pomijając wszystko inne, on nigdy nie przychodzi do mnie z problemem, o ile najpierw nie zgarnie wszystkich bonusów. Postanawiam, że powiem Tomowi jeszcze w tym tygodniu.

Zastanawiam się, czy Mama Alfa pozwoliłaby sobie i na takie zapamiętanie się. Ona bez wątpienia miałaby tyle samodyscypliny, by pohamować fantazje, by zamknąć je szczelnie w małym pudełku w którejś z tych wysprzątaných szuflad w kuchni, obok kartonu z napisem: „Kartki na wszystkie okazje”. Łatwo wyobrazić sobie niektóre kobiety uprawiające seks z wieloma osobami. Weźmy na przykład Niezłą Mamuskę Nr 1. Choć nigdy nie poznałam jej męża, umiem ją sobie wyobrazić splecioną w uścisku z osobistym trenerem, z niezwykłym entuzjazmem stawiającą czoło pozycjom seksualnym wymagającym sprawności fizycznej dwudziestodwulatki. Potrafię ją sobie nawet wyobrazić w uścisku z jej nianią lub, skoro o tym mowa, z Tomem. Mama Alfa to przypadek trudniejszy do zdefiniowania. Obsesja na punkcie zarazków, czystości i porządku to zajęcie bardziej prostolinijne.

Hamuję się, by sobie przypomnieć o postanowieniach . noworocznych: 1) stać się jedną z tych matek, które się prosi o radę w kwestiach edukacyjnych (specjalistyczne szkoły profilowane w północnym Londynie), 2) nigdy nie zapominać o szczegółach w rodzaju odebrania dzieci ze szkoły i 3) regularnie się depilować, kładąc nacisk na regulację i farbowanie brwi.

Tom przyklasnął pierwszym dwóm postanowieniom, kiedy zeszłego wieczoru ujawniłam moją strategię działania, natomiast do ostatniego odniósł się z wyraźną rezerwą.

- Nie rozumiem, jakie to może mieć znaczenie - rzekł. Pokazałam mu zdjęcie Fiony Bruce, wyrwane z jakiegoś magazynu specjalnie w tym celu.

- Wszystko zależy od brwi - Oświadczyłam. - Gdybym tak wyglądała, ludzie traktowałiby mnie naprawdę poważnie. I ja też traktowałabym siebie poważniej.

Tom nie wyglądał na przekonanego. Nie wspomniałam mu o postanowieniu numer 4: porzucić niestosowne myśli o Robercie Bassie (już niedotrzymane) i unikać przebywania z nim sam na sam.

Uznaję, że na początek muszę się skupić na trzecim postanowieniu i dlatego w drodze powrotnej po zawiezieniu Freda do żłobka wstępuję do drogerii, by kupić zestaw do samodzielnego farbowania brwi.

- Czy coś może się nie udać? - pytam dziewczynę za ladą.

- Nie, jeśli będzie pani postępować zgodnie z instrukcjami - odpowiada leniwie, zamykając jakieś czasopismo i podnosząc głowę.

Moja matka przespała się z moim chłopakiem, Odkryłam, że mój brat jest moim ojcem, Mój tata uciekł z moją siostrą - oto tytuły na okładce. Zwykle pozamałżeńskie romanse całkowicie wyszły z mody.

- Lubi pani czytać o takich rzeczach? - pytam ekspedientkę z ciekawością.

- Ja tylko przeglądam - odpowiada, bawiąc się kolczykiem w pępku. Brzuch nie jest jej oczywistym atutem i zastanawiam się, dlaczego zdecydowała się podkreślać w taki sposób jego kwitnącą potęgę. - Chyba że jest to coś naprawdę niezwykłego.

Mam ochotę poprosić ją o zdefiniowanie terminu „coś naprawdę niezwykłego”.

- Czytała kiedyś pani o ludziach, którzy robią sobie krzywdę nieudolnym farbowaniem brwi? - pytam.

- Nigdy - odpowiada zdecydowanie.

Kiedy więc Fred zasypia w wózku w drodze powrotnej ze żłobka, a ja mam wolną godzinę, zanim udam się po chłopców do szkoły, postanawiam przeprowadzić eksperyment z brwiami. Biegnę na górę do łazienki po lusterko. Powiększające, to, którego Tom używa do golenia. Przyglądam się swojej twarzy niczym ktoś, komu dopiero co usunięto kataraktę i widzi się wyraźnie po raz pierwszy od lat.

Podkreślona jest każda niedoskonałość. Kurze łapki wokół moich oczu pogłębiły się i przekształciły w kanały, które pewnie któregoś dnia zaczną przekierowywać łzy na boki twarzy. Otworzyły się nowe rowy, niektóre w formie siateczki z pionowymi kroplami. Tytułem eksperymentu robię kilka min, by się przekonać, które konkretnie są ich sprawcami. Wreszcie natrafiam na dziwną kombinację, w której usta mam szeroko otwarte, a oczy są tak przymknięte, że tworzą jedynie małe szparki. Z całą pewnością nie robię często i nieświadomie takiej miny, chyba że we śnie.

Mój nos wygląda na bardziej spiczasty. Nieustannie rośnie, myślę, próbując sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał za dwadzieścia lat. Skóra na szyi wydaje się lekko przesuszona. Ale jeszcze trochę czasu upłynie, nim zmienię się w jaszczurkę. Albo moją matkę. Na brodzie mam małego pryszcza. Zastanawiam się, co to za przekleństwo, że kobiety po trzydziestce nagle znajdują u siebie pryszcze, będące do tej pory zmorą nastolatków. Jaka mieszanka hormonów ponosi odpowiedzialność za tę zdradę? W każdym razie ładne brwi zrekompensują to wszystko i odwrócą uwagę od moich wad niczym piękny kominek w pokoju z łuszczącą się farbą. Wtedy się okazuje, że posiałam gdzieś instrukcję.

Nie chcąc dać za wygraną, postanawiam kontynuować proces samoupięszania. Wszystko wydaje się bardzo proste.

Kobiety na całym świecie robią coś takiego każdego dnia. Mieszam farbę i wodę utlenioną z satysfakcją osoby przeprowadzającej eksperyment na maturze z chemii. Ta prosta czynność sprawia, że czuję się, jakbym już odzyskiwała kontrolę nad własnym życiem. Nakładam farbę na brwi i czekam na zadziałanie kosmetycznej alchemii. Kiedy mija pięć minut i nic się nie dzieje, postanawiam pomalować brwi jeszcze raz.

Potem zaczynam przeczesywać dom w poszukiwaniu pesety, gotowa na drugą część procesu. Kładę się płasko na podłodze w naszej sypialni, by zajrzeć pod łóżko, odrzucając na bok wzgardzone spodnie z dzisiejszego poranka i pewna, że peseta musi być gdzieś tutaj. Znajduję kostkę ze Snakes and Ladders. I kartę kredytową. To są znaki pozytywnych zmian w moim życiu, myślę. Wtedy zahaczam spojrzeniem o króliczy budzik Toma. Jest już po trzeciej i gdybym chciała zjawić się w szkole na czas, musiałabym całą drogę pokonać biegiem.

Puszczam się biegiem, pchając wózek z Fredem i zastanawiam się, jak postanowienia noworoczne mogą tak szybko sprzysiąc się przeciwko sobie, wypaczając wrodzone poczucie sprawiedliwości. Jesteśmy już prawie w szkole, kiedy Fred się budzi. Obrzuca mnie jednym spojrzeniem, kuli się w wózku ze strachem wypisanym na twarzy i zaczyna głośno wyć. Przestaję na chwilę biec, by wyjąć z kieszeni płaszcza paczkę z ziarnami słonecznika, czyli zdrową przekąskę dla dzieci, składającą się na mój Wielki Krok Naprzód. Dłonie mam śliskie od potu i trudno jest mi otworzyć paczkę. Wreszcie rozdzieram ją zębami i ziarenka rozsypują się po chodniku. Wydaję z siebie uspokajające - jak sądzę - dźwięki, które mają zapobiec jednemu z tych zrzędliwych humorów, jakie mogą ogarnąć trzylatka po popołudniowej drzemce, kiedy jedyne, co może wywołać jego uśmiech, to niepełna paczka ziaren słonecznika.

Rzuca ją gniewnie na ziemię. Rodzice, którzy odebrali już ze szkoły swoje dzieci, mijają nas i przyglądają się, jak kucam przed Fredem, starając się go uspokoić. Ich miny wahają się od pełnych empatii uśmiechów do kiepsko skrywanej pogardy, zależnie od liczby kontaktów, jakie mieli z własnymi dziećmi. Matki z częstymi kontaktami mieszczą się w tej drugiej kategorii.

- Włochate potwory! - płacze Fred.

Zakładam, że miał zły sen o piosence Davida Bowiego, która tak bardzo przstraszyła Joego podczas świąt.

- Nie ma żadnych potworów - powtarzam mu, ale on nie przestaje pokazywać na moją twarz.

Ktoś puka mnie w ramię i jeszcze zanim się obejrzę, wiem, że to Robert Bass, ponieważ choć Fred ma właśnie napad złości, czuję, jak przez moje ciało przebiega dreszcz, zatrzymując się gdzieś w okolicach krocza.

Próbuję sobie przypomnieć, co Mark opowiedział mi o nornikach. Nornik preriowy jest monogamistą i kojarzy się w pary na całe życie. Z kolei norniki łąkowe są rozwiązłe. Kojarzą się w pary, a potem ruszają na dalsze łowy. Ale jedyną prawdziwą różnicą pomiędzy nimi są hormony.

- Ty jesteś nornikiem preriowym, Lucy - rzekł Mark. - Ja jestem nornikiem łąkowym.

- Ale ja jestem się w stanie identyfikować z nastawieniem nornika łąkowego - odparłam.

- To wcale nie oznacza, że musisz postępować zgodnie z tymi odczuciami. Możesz sobie myśleć, że z Seksownym Udomowionym Tata łączy cię tylko i wyłącznie najzwyklejsza na świecie rozmowa, ale tak naprawdę w twoim ciele zachodzi złożona reakcja chemiczna i jeśli czujesz, że następuje między wami połączenie, tak właśnie najpewniej jest. Nauka udowodniła, że przyciągają nas ludzie z konkretną kombinacją genów i dzieje się tak w głównej mierze za pomocą zmysłu



węchu. Partnerzy z różniącymi się od siebie genami płodzą zdrowsze potomstwo. Na tym właśnie polega seksualna chemia. Bierzesz pigułkę?

- Eee, nie - odparłam, nie mając pewności, w jakim to zmierza kierunku.

- To dobrze, ponieważ kobiety przyjmujące pigułkę mają przeciwny instynkt i wybierają partnerów, którzy nie są genetycznie odpowiedni - rzekł. - Ale to taka uwaga na marginesie. Próbuję ci natomiast powiedzieć, że jeśli ktoś ci się podoba, to najpewniej istnieje między wami pociąg. Podczas intymnych rozmów wydzielasz hormony, które tworzą uczucie bliskości z drugą osobą. Prawdę mówiąc, dowiedziono empirycznie, że im dłużej patrzysz w czyjeś oczy, tym bardziej ci się ta osoba podoba. Przede wszystkim powinnaś więc przestać rozmawiać z tym facetem, by nie pozwolić miłośnej biochemii na przejęcie kontroli. A jeśli nie potrafisz tego uczynić, musisz przypominać racjonalnej części siebie, że masz silną wolę, która powstrzyma cię przed przekroczeniem linii.

- Czym jest ta linia? - spytałam.

- Przekonasz się, kiedy nadejdzie czas, by podjąć decyzję o jej przekroczeniu. Ale moja rada jest taka: zrób krok do tyłu teraz, zanim w ogóle zdążysz się do niej zbliżyć.

- Wszystkiego najlepszego w nowym roku, Lucy. Przyjemnie spędziłaś święta? - pyta Robert Bass wesoło.

- Jestem nornikiem preriowym, jestem nornikiem preriowym - szepczę do siebie pomiędzy zawodzeniem Freda.

To złożony dylemat. Jeśli wypuszczę synka z wózka, najpewniej położy się plackiem na ziemi i nie da się podnieść - to sekretna broń wykorzystywana przez małe dzieci, kiedy wyczuwają, że mogą przegrać spór. Postanawiam wykorzystać własną sekretną broń i wyjmuję z kieszeni paczkę czekoladowych miśków. Płacz natychmiast cichnie.

- Czy ty właśnie powiedziałaś, że jesteś nornikiem preriowym? - pyta Robert Bass, mierząc czekoladowe miśki spojrzeniem pełnym dezaprobaty. Z całą pewnością należy do zwolenników ziaren słonecznika. Co prawdopodobnie czyni go nornikiem łąkowym, jako że słoneczniki nie występują na prerii.

- To uspokaja Freda - mówię.

Następnie odwracam się, by z nim porozmawiać, nadal unikając kontaktu wzrokowego. Nie łamię postanowienia numer 4, ponieważ jest ze mną Fred, ale natychmiast czuję się winna, że moje najmłodsze dziecko mimowolnie pełni rolę przyzwoitki.

- Tak, zastanawiałam się nad szkołami dla Sama, czuwałam nad wszystkim innym. Jak zawsze - mówię z przekonaniem. To wcale nie jest trudne.

- O mój Boże - mówi Robert Bass, ignorując to, co właśnie powiedziałam. - Skąd one uciekły?

Jego twarz zbliża się tak blisko mojej, że czuję na policzku jego ciepły oddech: całkiem przyjemną mieszankę kawy i miętówek. Przelotnie zastanawiam się, pomimo obecności mnóstwa rodziców ze szkoły i Freda, czy to właśnie Ta Chwila. Daleka od zawracania głowy racjonalnej części mnie, wydaję się wkraczać do jeszcze bardziej mrocznych zakamarków swej podświadomości. Tak właśnie się dzieje, kiedy zbyt dużo czasu spędza się na rozmowach z psychologami.

Epizod nierozsądnej namiętności, odłożony w mroczne zakamarki pamięci wiele lat temu, toruje sobie drogę na wierzch, a towarzyszą mu zdumiewające szczegóły. Ale to nie szczegóły dotyczące tego, co się wydarzyło, a raczej zrodzone z tego poczucie winy jako pierwsze chwyta w szpony mój żołądek. Wtedy czuję jeszcze większą skruchę, ponieważ ta ostatnia chwila nierozsądnej namiętności była naprawdę

grzeszna. Brał w niej bowiem udział mężczyzna żonaty i sądziłam, że skazałam ją na uwięzienie w tej części mózgu, do której już nigdy nie będzie dostępu.

Na krótko przed moim ślubem, zimą 1995 roku, tuż przed końcem wojny na Bałkanach, kolega z pracy, który nieświadomie pocieszył mnie, kiedy odkryłam niewierność Toma czekał na taksówkę do domu w tym samym czasie co i ja, we wczesnych godzinach porannych, po długiej dyskusji nad Newsnight. Ani razu nie wspomnieliśmy o przygodzie z zeszłego roku i choć nadal krążyliśmy wokół siebie z zalotnym entuzjazmem, znaczyło to mniej niż wcześniej, wiedzieliśmy bowiem, iż ta historia nie powinna się powtórzyć, żeby nie stała się zwyczajem. Poza tym on był teraz świeżo upieczonym mężem, ja zaś miałam wziąć ślub za kilka miesięcy i nasi koledzy patrzyli na takie wysoki z mniejszym pobłażaniem.

Właśnie wróciłam z dwutygodniowego zbierania materiałów w Sarajewie. Wiedziałam, że brakowało mu mnie, ponieważ za każdym razem, gdy dzwoniłam, to on chciał ze mną omawiać szczegóły dotyczące tego, na którą godzinę ustawiłam przekaz satelitarny, z kim przeprowadzałam wywiad, czy pamiętałam o zakładaniu kasku i kamizelki kuloodpornej. Kamizelki nie nosiłam, ponieważ miała klapkę chroniącą męską anatomię. Chodziłam przez nią pokracznie niczym pingwin.

Tamtej nocy po programie wszyscy się wstawiliśmy znacznie bardziej niż zazwyczaj. Nastąpiło krótkotrwałe zakłócenie przekazu ze Stanów i prezenter musiał improwizować przez jakieś trzydzieści sekund, nim udało nam się ponownie nawiązać połączenie. W studio był Iain Duncan Smith, odpowiadający na pytania związane ze Srebrenicą, a on zawsze lubił zostawać po programie i pić w Green Roomie do późnej nocy. A ja czułam ulgę, że wróciłam do Londynu,

ponieważ za cztery miesiące wychodziłam za mąż i musiałam znaleźć sobie jakąś kieckę.

- Pojedziemy jedną taksówką? - zapytał mnie wtedy mój kolega. Musiałam się zawahać, gdyż dodał: - Usiądę z przodu, na wypadek, gdybyś nie mogła się opanować.

Uśmiechnęłam się. W jakiś sposób to mnie uspokoiło. Dzięki temu ta perspektywa wydała się absurdalna. Wtedy usiadł na tylnym siedzeniu.

Jechaliśmy przez uliczki Shepherd's Bush, kierując się w stronę mojego mieszkania. Zanim dojechaliśmy do Uxbridge Road, jego ręka zdążyła przysunąć się do mojej i delikatnie ją gładził środkowym palcem. Wiedziałam, że powinnam się od niego odsunąć, ale każde zakończenie nerwowe na wierzchu mojej dłoni pragnęło dalszej uwagi, a moja silna wola topniała, aż poczułam, że czas obraca się wokół tej chwili.

- Jedźmy do mojego mieszkania, Lucy - nachylił się, by wyszeptać mi do ucha.

- A twoja żona? - usłyszałam własne słowa. - Wyjechała. Wtedy zaczęliśmy się całować, obściskując się po omacku na tylnym siedzeniu taksówki jak nastolatki, jego kolano wciśnięte między moje nogi, dłoń coraz głębiej w moich spodniach. Próbowałam go odepchnąć, kiedy zobaczyłam, że kierowca - wtedy w tej korporacji zatrudnieni byli tylko Bośniacy i Serbowie - ochoczo przygląda się w lusterku rozwojowi sytuacji. Ale okazało się to niemożliwe i pozwoliłam sobie na delectowanie się tą chwilą.

- Zmiana kierunku? - zapytał z silnym akcentem taksówkarz.

- Tak - odparłam i wyrecytowałam z pamięci adres tego mężczyzny.

No i spędziliśmy ze sobą noc. Krótco potem on napisał swój pierwszy scenariusz filmowy i odszedł z Newsnight. Czułam ulgę. Obiecał pozostać w kontakcie, ale wiedziałam,

że nie dotrzyma obietnicy, i nie zobaczyłam się z nim przez kilka lat. Problem ze wspomnieniem dobrego seksu jest taki, że tak jak w przypadku ulubionej restauracji odczuwa się zawsze pokusę, by tam wrócić i spróbować ponownie tego samego dania, aby się przekonać, czy można coś jeszcze udoskonalić.

Gdyby Mark o tym wiedział, miałby może więcej wątpliwości co do mojego statusu nornika preriowego.

Kiedy więc Robert Bass wyciąga rękę i dotyka mojej brwi, zastanawiam się, co mogłoby zdarzyć się później. Na szczęście brwi są strefami mniej erogennymi, a poza tym przygląda się mojej twarzy z nieco zbyt dużą uwagą. Myślę z ulgą, że w taki oto sposób upada teoria Marka o kontakcie wzrokowym.

- Żegnaj, Lucy Sweeney, witaj, Denisie Healy - mówi Robert Bass ze zdumieniem.

Nachylam się, by popatrzeć w lusterko boczne zaparkowanego w pobliżu samochodu. Moje brwi nie są już jaśniutkie. Przeistoczyły się w krzaczaste czarne gąsienice. Po mojej twarzy spływa słona mieszanka farby i potu. Jak to reaguje w zetknięciu z wodą utlenioną? Czy te smugi mi zostaną? Wyobrażam sobie, jak dziewczyna w drogerii czyta z ożywieniem artykuł na mój temat, zatytułowany Po domowym farbowaniu wyglądam jak tygrys. Trę gorączkowo brwi i wyglądają jeszcze bardziej dziko i niesfornie. Na rękach zostaje mi czarna farba.

- Zdecydowanie bardziej półkula południowa, na myśl przychodzą mi dżungle w Borneo - mówi Robert Bass.

Przez ulicę przechodzi do nas Niezła Mamuśka Nr 1, ale kiedy podchodzi bliżej, zatrzymuje się w bezruchu z rękami zastygłymi w powietrzu.

- Będę musiała je rozjaśnić - mówię z desperacją w głosie.

- Nie robiłbym tego - stwierdza Robert Bass. - Wtedy będziesz wyglądać jak pantera. Albo lew albinos. Albo...

- Kapuję - mówię.

- Nigdy więcej prostych domowych rozwiązań, Lucy - oświadcza Niezła Mamuśka Nr 1, przejmując kontrolę nad sytuacją. - Przypomnij sobie lata trzydzieste. Spódnice ołówkowe. Roland Mouret. Scarlett Johansson. Pomyśl o tym, że elegancja to nowa bohema. - Robert Bass słucha zelektryzowany. - Przypomnij sobie Marlenę Dietrich i wąskie, wygięte w łuk brwi wyregulowane przez moją dyskretną domową kosmetyczkę. Do niej chodzi Fiona Bruce. Zjaw się u mnie w domu w przyszłym tygodniu.

Robert Bass i Niezła Mamuśka Nr 1 biorą mnie opiekuńczo między siebie i idziemy razem do szkoły, zaś kilka kroków za nami, niczym gwardia pretoriańska, podąża ich potomstwo. Na speszzone spojrzenia odpowiadają protekcyjnymi uśmiechami. Będę musiała zrewidować swoją opinię o Niezłej Mamuśce Nr 1. Pomimo naturalnej skłonności do otaczania się ludźmi swego pokroju, w obliczu kryzysu wykazuje się właściwymi odruchami.

Kiedy dochodzimy do grupy rodziców czekających, by odebrać dzieci z klasy pierwszej, w powietrzu czuć dreszczyk podniecenia, który na szczęście nie ma związku z moimi brwiami. Normalnie rodziców o tej porze nie ma już w szkole.

- Co się dzieje? - szepczę do Niezłej Mamuśki Nr 1 - Wszyscy się spóźnili?

- Nie słyszałaś? - odpowiada konspiracyjnie. - Do naszych szeregów dołączył sławny tata. Dlatego właśnie jesteśmy podekscytowani i wyczekujemy go na dziedzińcu.

Kiedy styczeń wydawał się smętny i szary, do klasy Joego dołączył Sławny Tata. Czy też raczej jego syn. Nie mogę ujawnić prawdziwej tożsamości Sławnego Taty w obawie, że paparazzi zaczęliby się czaić pod szkolną bramą. Wystarczy

jednak powiedzieć, że to aktor amerykański, ciemny i złowieszczy typ w stylu seks - w - windzie, i jeśli wierzyć bulwarówkom, notoryczny kobieciarz, pomimo istnienia żony numer 3.

- Spodziewam się przyjęć dla dzieci z atrakcją w postaci kina domowego, basenów w domu i ogrodzie, okazji do przebywania w towarzystwie bogatych i sławnych - mówi Niezła Mamuśka Nr 1.

Natychmiast zaczynam współczuć Sławnemu Synowi, ponieważ zawsze będzie żył w cieniu rodziców i nawet jeśli uda mu się to przewyciężyć, nigdy nie będzie miał poczucia, że zrobił to zupełnie sam.

Nad dziedzińcem unoszą się feromony. Dostrzegam, że Niezła Mamuśka Nr 1 wyjątkowo się postarała i ma ze sobą białą torbę Chloe Paddington, ubrana zaś jest w płaszcz ze sztucznego futra w stylu dziewczyny rockmana.

Muszę przyznać, że na pierwszy rzut oka nie rozpoznaję Sławnego Taty, gdyż wygląda zupełnie inaczej niż na zdjęciach, które widziałam w gazetach. Poza tym mam tylko jedno szkło kontaktowe. Trochę niewyraźnie widzę rozgrywającą się scenę.

- Mamo, mamo, Fred zaraz nasika temu panu na nogę - mówi Sam, kiedy czekamy przed klasą na pojawienie się Joego.

Fred odkrył, że to niepowtarzalny sposób przyciągania uwagi rodzicielskiej. Zanim jednak mam szansę na reakcję, spodnie ma w kostkach i siusia na but Sławnego Taty. Mężczyzna nachyla się, by przyjrzeć się uważnie adidasowi. Podbiegam i zaczynam wycierać go „The Timesem”, ponieważ nie należę do mam, które noszą ze sobą wilgotne chusteczki na każdą ewentualność.

- Fred, to takie niegrzeczne - mówię, upominając najmłodszego syna. - Powiedz: „przepraszam”.

- Przepraszam - mówi Fred, uśmiechając się dumnie.

- Nie ma sprawy - odpowiada Sławny Tata, chcąc sprawiać wrażenie wyluzowanego, ale tak naprawdę wygląda na zaniepokojonego. - Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że farba drukarska zostawi ślady.

Za późno, farba zdążyła już poplamieć but sportowy z limitowanej edycji. Wiem, że jest limitowana, ponieważ później Niezła Mamuśka Nr 1, która się temu wszystkiemu przygląda, mówi mi, że ten but jest odpowiednikiem Chloe Paddington. Jest po prostu bezcenny.

- Tak strasznie mi przykro - mówię do Sławnego Taty.

- Naprawdę nic się nie stało - upiera się. - Prawdę powiedziawszy, to całkiem miłe, że ktoś ze mną rozmawia. Wszyscy mnie ignorują z wyjątkiem tamtej kobiety. To pewnie jest w stylu angielskim? - Pokazuje na Mamę Alfa. - Zapytała, czy nie przyłączyłbym się do komitetu organizującego przyjęcie dla rodziców.

- Ale my nie organizujemy żadnego przyjęcia.

- Ale ja się zgodziłem - odpowiada z konsternacją Sławny Tata.

- Może to w takim razie przyjęcie tylko dla ciebie i dla niej - mówię w sposób zdradzający lekkie zdziwienie.

- Co ci się stało w brwi? - pyta on.

- Katastrofa podczas domowego farbowania - wyjaśniam.

Z bliska, nawet jeśli widzę dobrze tylko na jedno oko, mogę podziwiać ogólny efekt. Sławny Tata odbiera dziecko i odchodzi. Matki natychmiast do mnie podbiegają.

- O czym rozmawialiście? - pyta Niezła Mamuśka Nr 1.

- O jego problemach małżeńskich, tym, czy powinien zmienić agentów, dlaczego nie ma niani, o historiach zakulisowych - odpowiadam nonszalancko.

- Gra w jednym z filmów, o których piszę - mówi Robert Bass.



Ale nikt go nie słucha. Utracił pozycję dominującego samca. Patrzy na mnie z czymś nieznanym w spojrzeniu, czymś, z czym nie miałam do czynienia od wielu lat. Zazdrością.

Postanawiam, że rozmowa z Tomem może poczekać ze dwa tygodnie. Utrata kontroli Roberta Bassa jest większa niż moja, a to stawia mnie w chwili obecnej na silniejszej pozycji. Nowy semestr rozpoczął się niezwykle obiecująco. Może i nie uda mi się uniknąć dojścia do linii, ale sądzę, że to przynajmniej nie ja ją przekroczę. A to akurat jest pozycja godna pozazdroszczenia.

Później tego tygodnia oznajmiam Tomowi, że mam zamiar zaszyć się w gabinecie, by wysłać e - maila. Temat: „Wieczorne spotkanie rodzice/nauczyciele”. O pomoc w jego zorganizowaniu Mama Alfa, jako przewodnicząca trójki klasowej, właśnie poprosiła mnie jako swojego sekretarza.

- Nie rozumiem, dlaczego się w to angażujesz - mówi stłumionym głosem mój mąż. - To się skończy jedną wielką katastrofą.

Bez patrzenia wiem, że właśnie dokonuje wypadającej dwa razy w tygodniu inspekcji lodówki.

- Popatrz - mówi, triumfująco trzymając w rękach dwa opróżnione do połowy słoiki z sosem pesto. - Jak to się stało?

Sprawdza przytwierdzoną do drzwi wydrukowaną listę zawartości lodówki. Zostawiła to po sobie Petra podczas swego ostatniego weekendu w Anglii.

- Uważam, że znacznie łatwiej będzie ci organizować robienie zakupów, jeśli odkreślisz jakąś rzecz, gdy tylko ją zużyjesz - oświadczyła.

Pokiwałam posłusznie głową, ponieważ wiedziałam, że minie nieco czasu, nim moja teściowa ponownie nas odwiedzi.

Staram się mieć dużo cierpliwości dla Toma, gdyż po wyjeździe matki czuje się zagubiony.

- Nie jest zaznaczone, że drugi słoik pesto opuścił lodówkę - mówi.

- Może ma potajemny romans ze spaghetti - odpowiadam.

Mruczy coś pod nosem o systemach, a ja stanowczo zamykam drzwi do kuchni i udaję się na górę, by zabrać się za tworzenie e - maila do rodziców z listy klasowej.

Szybko mnie to jednak nudzi. Postanawiam, że najpierw napiszę list do Cathy. Wiem, że jest jeszcze w biurze i chcę zaznajomić ją ze szczegółami nawet bardziej ważnego wydarzenia, które niedawno rozegrało się pod naszym dachem.

„Czas postu się skończył - piszę. - Seksualna posucha minęła. Hurra!”

Wyjaśniam jej dość szczegółowo, że zeszłej nocy, mniej więcej o trzeciej, wpadłam na Toma w pokoju Freda.

- Co tutaj robisz? - zapytałam go.

- Szukam tygrysa - odparł ze znużeniem.

- Cóż za zbieg okoliczności. Ja też. Ale gdzie jest Fred?

- Śpi w naszym łóżku - wyjaśnił.

Wtedy zapytałam, dlaczego oboje nie śpimy w tych późnych godzinach nocnych, tylko szukamy tygrysa. To niezwykle, ale byliśmy już mocno zdesperowani. Tak więc miesiące głodu zakończyły się, a potem resztę nocy spędziliśmy w małym łóżku Freda pod kołdrą z Thunderbirdami, a Tom poruszył swój ulubiony temat po seksie.

- Gdyby przystawiono ci pistolet do głowy i musiałabyś uprawiać seks z jednym z rodziców z klasy Joego, mężczyzną lub kobietą, kogo byś wybrała? - zapytał.

- Dlaczego z klasy Joego?

- Rodzice są bardziej atrakcyjni - odparł, przyglądając mi się uważnie.

Wymawiałam się zmęczeniem, a wtedy on stwierdził:

- Mnie całkiem podoba się ta mama z idealnym tyłkiem. Wyjaśniam Cathy, że chodziło mu o Niezłą Mamuśkę Nr 1.

- Ale ona jest taka płytka - zaprotestowałam.

- Nie bardziej kałużowata niż Głęboka Płycizna - odparł z miażdżącą pogardą. - Cała ta staranna niechlujność jest zbyt zmanierowana. Założę się, że pewnie przycina sobie włosy łonowe nożyczkami do paznokci. I ta poza udrećzonego pisarza jest po prostu śmieszna.

- O kim ty, u licha, mówisz? - zapytałam, i tak znając odpowiedź.

Klikam „wyślij” i przez chwilę obijam się, zwlekając z napisaniem szkolnego e - maila. Kilka minut później moje serce fika koziołka, kiedy widzę, że napisał do mnie Robert Bass. Po raz pierwszy, odkąd się znamy. Ponieważ to nie łamie żadnej z moich zasad, rozpiera mnie cicha radość.

„Bardzo mnie cieszą te dobre wieści, ale dziwię się, że masz chęć dzielić się nimi z klasą, chyba że zastanawiasz się nad zorganizowaniem imprezy w stylu lat siedemdziesiątych z kluczykami samochodowymi. Mogę tylko założyć, że to ja jestem kałużą. Nie wpływa to dobrze na moje poczucie własnej wartości”.

Wpatruję się w ekran w stanie szoku, ale nie mam czasu na zastanawianie się, ponieważ niemal natychmiast otrzymuję wiadomość od Niezłej Mamuśki Nr 1:

„Droga Lucy, za dużo informacji jak na mój gust. Mogę tylko założyć, że to ja jestem kobietą z idealną tylną częścią ciała. Ciao, ciao”.

A potem pisze Mama Alfa:

„Nie mogę dłużej tolerować twych niewybrednych prób sabotowania mych rządów jako przewodniczącej trójki klasowej i chciałabym, abyś zastanowiła się nad swym zachowaniem”.

Co tam kałuże i płycizny. Znalazłam się głęboko pod wodą. Ten e - mail został wysłany do wszystkich z klasowej listy. Wychodzę z salonu, czując się nieco słabo. Tom zdążył już się położyć. Oglądam do końca Newsnight i uznaję, że nic, co przytrafiło mi się w pracy, nie było tak przerażające jak to, czego właśnie doświadczyłam.

Wczesnoporanna bezsenność zamienia się w noc spędzoną na rzucaniu się na łóżku i przekręcaniu z boku na bok. Ciemność z przeraźliwą umiejętnością potęguje strach. Żołądek skręca mi się z nerwów. O drugiej trzydzieści wydaje mi się, że słyszę jakieś dźwięki i schodzę cicho na dół, trzymając w dłoni świetlny miecz z Gwiezdných wojen.

- Niech moc będzie ze mną - mówię do siebie.

W salonie postanawiam spustoszyć sekretny zapas słodczy Sama, obiecując sobie, że nazajutrz odkupię mu wszystko. Zabieram do sypialni czekoladowe jajko Cadbury i zmuszam się do tego, by jeść je powoli. Najpierw liżę je jak lizaka, aż zaczyna się rozpuszczać. Kiedy ukazuje się białe wnętrze, pozwalam sobie na skubanie boków, odliczając dwadzieścia sekund między każdym gryzem. A potem zapominam o rozsądku, wpycham sobie resztę jajka do buzi i jem je głośno z otwartymi ustami. To daje znacznie więcej satysfakcji, ale moje nerwy pozostają nieukozone. Nie mogę się oprzeć pokusie wyżalenia się Tomowi. Daję mu kuksańca w żebra. Jęczy.

- Nie ma żadnych włamywaczy i nie schodzę na dół, by to sprawdzić - mruczy. - Dorwie ich pies.

- Ale my nie mamy psa - mówię z ustami pełnymi czekolady.

- Wyobraź sobie, że mamy, a wtedy będziesz się mniej bała.

- To coś gorszego, Tom.

- Znowu wybuchł bojler? - pyta sennie i natychmiast zapada w drzemkę. Budzę go, drapiąc go paznokciami lewej stopy w łydkę. - Lucy, miej litość - mówi i ponownie zamyka oczy.

- Tom. Wysłałam e - mail do wszystkich rodziców w klasie Joego, w którym opisałam to, co się wydarzyło wczorajszej nocy - mówię.

Teraz, kiedy wypowiedziałam to na głos, problem wydaje się jeszcze większy.

- A co się wydarzyło wczorajszej nocy? - mruczy mój mąż.

- Uprawialiśmy seks i rozmawialiśmy na temat tego, które z rodziców jest najbardziej ponętne, a ty powiedziałaś, że optujesz za Niezłą Mamuską Nr 1 z powodu jej idealnego tyłka.

- Czy ty próbujesz mnie uwieść? - pyta Tom, sennie przekręcając się na bok. Jego spojrzenie jest pełne nadziei.

- Boże, co ty masz w ustach?

- Czekoladowe jajko. Próbuję ci powiedzieć, że zrobiłam coś strasznego - mówię, oblizując wargi.

- Ludzie tacy jak ty nie robią strasznych rzeczy, Lucy - odpowiada. - Kładź się spać.

- Robią - mówię błagalnym tonem, pragnąc, by mnie wysłuchał. - Nie celowo. Przez przypadek. Nie znaczy to, że próbuję zwolnić się z odpowiedzialności za własne czyny, ponieważ wiem, że to jedna z moich najgorszych cech.

- Co konkretnie zrobiłaś? - pyta, wzdychając i ponownie zamykając oczy.

- Sądziłam, że wysłałam Cathy e - maila na temat odrodzenia się naszego życia seksualnego, ale wysłałam go do listy klasowej - wyjaśniam.

Siada wyprostowany. Rozumie.

- Ty cholerna idiotko - mówi powoli, trzymając głowę w dłoniach i kołysząc się w przód i w tył. - Przez cały ten czas robiłem, co tylko w mojej mocy, by utrzymać z tymi rodzicami przyjazne relacje. Była to starannie wyważona strategia, żeby nie być ani zbyt przyjacielskim, ani zbyt nieprzyjaznym, a teraz ty ujawniłaś, jak wygląda nasze życie seksualne. Od teraz najpewniej będę impotentem, ponieważ już zawsze seks będę utożsamiać ze strachem.

- Naprawdę strasznie mi przykro - tłumaczę. - Wydaje mi się, że Niezłej Mamuśce Nr 1 tak naprawdę to schlebiło. Nieczęsto widuje męża, to pewnie dobrze podziało na jej ego. - Tom wydaje z siebie jęk. - Myślę, że bardziej urażony poczuł się tata, który opiekuje się dziećmi.

- Napisałaś, że nazwałem go Głęboką Płycizną? - pyta słabo.

- Tak.

- Prawdę powiedziawszy, uważam, że to całkiem fajny gość. Próbowałem jedynie cię zdenerwować, ponieważ wydaje mi się, że podobacie się sobie - mówi. - A tak w ogóle to czemu pisałaś Cathy o tym wszystkim?

- Ponieważ wiedziała, że od wieków nie uprawialiśmy seksu - mówię słabym głosem, ignorując jego pierwszą uwagę.

- Naprawdę musisz się dzielić tego rodzaju szczegółami z przyjaciółkami? - pyta. - Niedługo będę siedział obok niej na kolacji.

- Wiem. Ale o to akurat nie musisz się martwić, gdyż w końcu nie otrzymała tego listu - stwierdzam.

- Niezła z ciebie Pollyanna. Już nigdy więcej nie odprowadzę dzieci do szkoły. A tak przy okazji, to czy pisałaś, że uprawialiśmy seks dwa razy?

- Nie.

- Ale to przecież najważniejszy szczegół - mówi z żalem, a potem ponownie zapada w głęboki sen.

Kiedyś zdolność Toma do zasypiania w sytuacjach kryzysowych działała na mnie uspokajająco. Zmniejszyła wagę mych zmartwień, obracając je w końcu w pył. Z upływem lat zaczęła mnie irytować, zawsze bowiem to ja tłukłam się po domu, radząc sobie w oszalałym stanie zmęczenia z tym, czym ciemność zdecydowała się we mnie rzucić. To ja byłam nocnym strażnikiem płaczących dzieci, a potem dzieci z gorączką, która zawsze w nocy rosła. Widziałam, jak noc tchnie życie w zwyczajne zadrażnienia, przekształcając je w poważne problemy. Z kolei Tom spał przez ten cały czas obok mnie, nieczuły na to drewno wyrzucone na brzeg naszej sypialni, czasami narzekając, jeśli mu przeszkadzałam, kiedy wreszcie wdrapywałam się z powrotem do łóżka, wyczerpana, ale bez wielkiej nadziei na zaśnięcie.

Nazajutrz rano, otumaniona ze zmęczenia, ze szkoły wracam sama. Postanawiam wstąpić na kawę, by zebrać myśli.

- Witaj, Lucy, przyłączysz się do mnie? - odzywa się nagle z tyłu kolejki Robert Bass. - Nie mam dziś rano żadnych pilnych spotkań i obiecuję, że nie będę mówił o mojej książce.

Podskakuję. Z uwagi na wczorajszy e - mail, nie mogę odrzucić jego propozycji, nawet jeśli wiem, że w ten sposób łamię jednocześnie kilka postanowień. Wpatruję się z determinacją w ziemię. Unikanie kontaktu wzrokowego wcale nie jest trudne w ranek taki jaki ten.

- Poproszę podwójne frappuccino latte z odtłuszczonym mlekiem - mówię bez tchu przy ladzie.

- Nie istnieje - odpowiada kelnerka.

- Chcesz, żebym zamówił za ciebie? - pyta Seksowny Udomowiony Tata. - Idź sobie i usiądź tam. - Pokazuje na

mały stolik dla dwojga w najbardziej dyskretnym kącie kafejki.

Podchodzi z dwoma kubkami kawy i siada naprzeciwko mnie.

- Jak tam twoje brwi? - pyta takim tonem, jakby mówił o jakimś zwierzątku domowym. - Nie odpowiedziały na zew natury?

- Nic im nie jest - odpowiadam, po czym zaciskam zęby i pocieram nieprzytomnie czoło. - Jestem po prostu trochę zmęczona.

- Wcale mnie to nie dziwi po wszystkich twoich, eee, działaniach - mówi.

Siedzimy przez kilka minut w przyjaznej ciszy, sącząc kawę i wyglądając przez okno.

- Naprawdę przepraszam cię za tego esemesa w Boże Narodzenie. Wygląda na to, że technika nie jest po naszej stronie - odzywa się Robert Bass. - Byłbym wdzięczny, gdybyś nie wspominała o tym nikomu. To znaczy ja wcale nie uważam, że jesteś jakoś strasznie niedyskretna, po prostu po tym wczorajszym e - mailu zacząłem się martwić, że mogłabyś nieumyślnie ujawnić światu moje niestosowne zachowanie.

- Nie powiem nikomu ani słowa - mówię, starając się sobie przypomnieć, komu zdążyłam już powiedzieć. - Ta pomyłka czegoś mnie nauczyła.

- Prawdę powiedziawszy, to ten e - mail uspokoił nieco moją żonę. Po mojej, eee, gafie w Boże Narodzenie, zaczęła się odnosić do ciebie z nietypową podejrzliwością. Powiedziała, że w związku istnieją linie, których nie należy przekraczać. Kiedy pokazałem jej wczoraj wieczorem twoją wiadomość, zrozumiała, że nadal stanowisz jedność ze swym mężem, jeśli wiesz, co mam na myśli.



- Wiem - odpowiadam, kiwając głową tak energicznie, że kawa wylewa mi się z kubka.

- Jeśli się wie, że istnieje linia, wtedy trudniej jest ją przekroczyć - oznajmia powoli, jakby szukając właściwych słów.

Nie jestem dokładnie pewna, o czym on mówi, i podnoszę głowę. Kładzie dłoń i ściska moje ramię tuż poniżej łokcia. Oczekuję przyjemnych doznań, ale on ściska mi rękę tak mocno, że czuję, jak w palcach zaczyna pulsować mi krew. Patrzy na drugi koniec kafejki, a ja podążam za jego spojrzeniem.

Kątem oka zauważam Mamę Alfa i, co więcej, większość matek z klasy naszych synów. Siedzą wokół stolika na drugim końcu kafejki. Zapada grobowa cisza, kiedy cała grupa odwraca się, by na nas spojrzeć.

Nagle przypominam sobie, że to dzień naszego spotkania matek przy kawie. Nawet Robert Bass blednie.

- Przyszliśmy tu przed wami - macham pogodnie ręką, przewracając na niego kubek. - Nie spodziewaliśmy się tak dużej frekwencji. Chcecie przyłączyć się do nas czy my mamy przejść do was? - wołam, wycierając szalikiem gorącą kawę z jego kolan.

Seksowny Udomowiony Tata krzywi się.

- Jak widzę, nic za darmo - szepcze konspiracyjnie, odzyskując panowanie nad sobą.

Wstaję, udaję się z determinacją w stronę ich stolika i siadam obok Niezłej Mamuśki Nr 1. Robert Bass siada po mojej drugiej stronie. Podziwiam jego luz.

- Nigdy nie przepaszaj, nigdy się nie tłumacz, to moje motto, Lucy - szepcze Niezła Mamuśka Nr 1. Nie jest jasne, do której części mego życia ma się to odnosić. - Mniejsza z tym, muszę cię spytać o coś znacznie ważniejszego. Mogę

liczyć na twoją dyskrecję? Nie chcę, by rodzice otrzymali na ten temat jakiegoś e - maila.

Jestem zaintrygowana, aczkolwiek nieco nieufna, wiedząc, że jej rewelacje nieuchronnie okażą się rozczarowaniem.

- Mój mąż ma wszy - szepcze z obrzydzeniem. - Nie same jajeczka. Normalne, żywe wszy.

- Złapał je od dzieci? - pytam.

- Nie - odpowiada. - Kazałam niani je sprawdzić. Ani jednego jajeczka. Mówi, że jego sekretarka złapała je od swoich dzieci, a on z kolei od niej. Tak czy inaczej, zastanawiałam się, pamiętając, że to twoje dzieci przyniosły te zwierzątka do szkoły, czy mogłabyś mi polecić najlepszą metodę pozbycia się ich.

Mama Alfa odkasłuje z dezaprobatą. Ubrana jest w elegancki garnitur z czasów McKinseya i ma ze sobą laptopa, którego teraz włącza.

- Uważam, że im mniej padnie słów na temat wczorajszego e - maila Lucy, tym lepiej. Przekroczyła dopuszczalne granice i teraz rozważa ponownie swoje stanowisko - oświadcza z powagą.

- Brzmi to tak, jakby Lucy zastawiała się nad kilkoma stanowiskami - odzywa się Sławny Tata, który właśnie się zjawił, nieco spóźniony.

Prosi Roberta Bassa o przesunięcie się, tak by mógł usiąść obok mnie, choć wolne jest krzesło obok Mamy Alfa. Kawowe poranki nagle stały się znacznie bardziej ekscytujące.

- Gdzie tygrys? - szepcze mi do ucha. Siedzę z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

- Jeśli ktoś jest zainteresowany zastąpieniem Lucy, proszę dać mi znać. To całe przewodniczenie trójce klasowej staje się pracą na pełny etat - mówi, śmiejąc się na cały głos.

Wszyscy uśmiechamy się blado.

- Nigdy nie byłem na kawowym poranku mam - mówi do mnie Sławny Tata, wypowiadając słowo „mam” z angielskim akcentem. - A tak w ogóle to świetny e - mail. W szkołach w Stanach nigdy nie było tak zabawnie. Z całą pewnością patrzę na to z innej perspektywy. Za co jestem bardzo wdzięczny. Na pewno więc zjawię się na tym przyjęciu. Mam nadzieję, że spełni moje oczekiwania.

- Czy ktoś chce poruszyć jakieś kwestie? - pyta Mama Alfa, starając się ponownie zwrócić na siebie uwagę grupy i wyraźnie mając nadzieję, że takowych kwestii brak.

Niezła Mamuśka Nr 1 podnosi rękę. - Martwi mnie zawartość nylonu w szkolnych bluzach - mówi. - Skóra dzieci nie może oddychać.

Mama Alfa należycie wpisuje ten problem w otwarty arkusz kalkulacyjny.

- Mam kilka nowych pomysłów, którymi chciałabym się z wami podzielić - mówi. Krzywię się w duchu i wyczuwam, że Robert Bass czyni to samo. - Musimy myśleć perspektywicznie - dodaje i proponuje, byśmy zaczęli czynić plany związane z letnim festynem. - Być może pomocne okazałoby się to, gdybyście mi powiedzieli, czym się zajmowaliście przed urodzeniem dzieci, tak bym mogła ocenić wasze mocne i słabe strony jako grupy. Czym się zajmowałaś przed dziećmi, Lucy? A może zawsze byłaś gospodynią domową?

- Prawdę powiedziawszy, byłam producentką Newsnight. Pełna zdumienia cisza.

- Przechodząc do innego tematu, dyrektorka prosi rodziców, by nie parkowali na podwójnych żółtych liniach, kiedy się rankiem spóźniają, i by pamiętali, że w klasie jest dziecko z bardzo silną alergią na orzechy. Rodzic, którego nazwiska nie wymienię, posłał do szkoły swe dziecko z batonem Walnut Whirl - mówi, patrząc na mnie.

- Naprawdę to zrobiłaś? - pyta głośno Robert Bass.

- Mówiłem, że jest niebezpieczna - stwierdza Sławny Tata.

- Posłuchaj, niewłaściwie mnie zrozumiałeś - mówię do niego.

Mama Alfa energicznie uderza w kolejny przycisk w swoim komputerze.

- Lista na przyjęcie rodziców - oświadcza zadowolona z siebie.

Ale zamiast niej na ekranie pojawia się ponętna naga brunetka, siedząca okrakiem na blondynce w niezwykle kompromitującej pozie.

- Gem, set i mecz, Lucy Sweeney - mówi Niezła Mamuśka Nr 1.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Nie chwał dnia przed zachodem słońca

Wjeżdżając na górę do mieszkania Emmy dwa tygodnie później, Tom i ja milczymy. Stoimy sztywno po przeciwnych stronach dużej windy, przed lustrami aż do podłogi, tak że kiedy mój mąż wreszcie się odzywa, widzę go zarówno z przodu, jak i z tyłu. Drapie się jedną ręką w ucho, a drugą wsuwa i wysuwa z tylnej kieszeni - taki gest wykonuje, kiedy czuje się zdenerwowany. Jego usta wyglądają na mniejsze i bledsze, ponieważ są zasznurowane. Ogarnia mnie nagły przyływ uczucia do niego. Jestem najprawdopodobniej jedyną osobą na świecie, która potrafi ocenić każdy element tego tajemnego języka. Trzeba lat, by stworzyć tak obszerny słownik zachowania drugiej osoby. Potrafię dokładnie ocenić stopień zdenerwowania, gniewu, ciekawości i zmęczenia. Wiem, jak bardzo jest rozstrojony i rozdrażniony dzisiejszą kolacją. Czynię dwa kroki do przodu, wyciągam dłoń i kładę ją na jego policzku, a on przytula się do niej i zamyka oczy.

- To ty mi powiedziałaś, bym żyła i pozwoliła żyć innym - mówię łagodnie. To nie ma brzmieć jak wzajemne oskarżanie się.

- Tolerowanie romansu nie jest tym samym, co stawanie twarzą w twarz z jego rzeczywistością - odpowiada. - Cieszę się, że Emma bez końca opowiada o tym mężczyźnie, choć może nie z takimi szczegółami, jakie by się chciało usłyszeć, ale nie mam ochoty go poznawać. To nie jest moralne ocenianie; po prostu nie czuję się w tej sytuacji swobodnie i nie mieści się ona w moim pojęciu fajnego wieczornego wyjścia z żoną.

- Ale rozumiesz, dlaczego musimy iść? - pytam. Ignoruje to pytanie.

- Wydaje mi się, że dobre jest to, że dzięki temu czuję się niezwykle wdzięczny, że prowadzimy tak nieskomplikowane

życie - mówi, ziewając. - Nie jestem w stanie sobie wyobrazić scenariusza, w którym urządzałbym kolację z kobietą, która nie jest moją żoną, by poznać jej przyjaciół, wiedząc, że moja rodzina jest w domu w łóżkach. To jest zbyt popieprzone.

- Ja też nie - mówię.

I to prawda. Zastanawiam się, czy fakt, że nie potrafię sobie tego wyobrazić, odzwierciedla płytkość mych uczuć do Roberta Bassa - to jednak mimo wszystko jednotorowa relacja - czy też ta miła domowa scenka stanowi po prostu przeciwieństwo tego, dokąd mam ochotę uciec.

- Wiem, że to będzie ciężka próba. Powiedz tylko słowo, jeśli będziesz chciał dać nogę.

- Hasło to „głęboka płycizna” - mówi żartobliwie. - Widziałaś się z nim ponownie?

- Tak, kilka razy - odpowiadam zgodnie z prawdą.

- Umyślnie cię ignorował? - pyta.

- Nie, był nawet przyjazny - odpowiadam, a Tom unosi brew. - Prawdę powiedziawszy, to znacznie częściej pojawia się jego żona. Sławny Tata stanowi wielki haczyk. Dodaje życiu nas wszystkich nieco splendoru.

- Jak Joe radzi sobie w szkole?

- Pomijając fakt, że chodzi do łóżka w szkolnym mundurku, na wypadek, gdybyśmy zaspali, myślę, że dobrze. Wiesz, że raz obejrzał Dźwięki muzyki w całości, bez przewijania fragmentu z nazistami? Ma także dziewczynę, ale twierdzi, że jeszcze nawet nie rozmawiali na temat słowa na „m”.

- Ale przecież wie, że mamy dwa budziki. Nigdy nie zaśpimy. A co to za słowo na „m”?

- Małżeństwo - wyjaśniam. - Całkiem poważnie podchodzi do tych spraw.

- Dzwoniłaś do majstra w sprawie ciekącego dachu w sypialni? - pyta Tom.

- Tak.

- Przedłużyłaś ważność polisy ubezpieczeniowej domu?

- Tak.

- Boże, Lucy, jaka ty jesteś nietypowo zorganizowana. Gdybym nie znał cię lepiej, powiedziałbym, że masz nieczyste sumienie - stwierdza.

- Znasz mnie w takim razie zbyt dobrze - odpowiadam, ale winda właśnie się zatrzymuje i Tom nie słyszy.

Drzwi otwierają się i z całej siły pchamy żelazne kraty. Takie wejście działa na korzyść tych, którzy znajdują się już w środku. Otwieranie się windy na wielki salon jest zaprojektowane po to, by zaskoczyć przybyszów, którzy wchodzą z ciemności do światła, mrużąc oczy. Kraty czynią taki hałas, że nie sposób pojawić się niezauważonym. Pary nerwowych oczu patrzą na nas, gdy wkraczamy do salonu, ale nie mamy żadnej szansy na to, by dokonać oceny konfiguracji zgromadzonych w pomieszczeniu postaci albo by zaznaczyć terytorium, które możemy zająć. Zbyt jesteśmy zajęci próbą ucieczki z klatki.

Bankowiec Emmy, wyczuwając nasze skrepowanie, czyni krok naprzód i wyciąga rękę, by się z nami przywitać, ciągnąc za sobą moją przyjaciółkę. Obejmuje ją zdecydowanie drugim ramieniem. Wpatruję się w to ramię, śledząc je od góry aż do miejsca, gdzie dłoń spoczywa tuż nad jej lewym pośladkiem, a końce palców wsunięte są już w pasek dzinsów biodrówek.

Pupa Emmy to jej zdecydowany atut. Tak zostało uznane wiele lat temu. I on wyraźnie się z tym zgadza. Są ze sobą spleceni w sposób sugerujący, że rozdzielenie ich podczas kolacji i posadzenie po przeciwnych stronach stołu będzie trudne.

- Cześć - mówi Emma.

Nachyla się, by nas pocałować, po czym opiera głowę o ramię Guya i przygląda się nam z lekka idiotycznie, czekając,

aż jedno z nas coś powie. Ma to marzycielskie, odległe spojrzenie spotykane u kobiet, które albo są w ciąży, albo właśnie uprawiały seks. Jego natomiast otacza aura samozadowolenia mężczyzny w średnim wieku, który niedawno się przekonał, że jego dotyk nadal jest w stanie zamienić kobietę w rozedrganą galaretę.

- Jestem Guy - odzywa się pewnie bankowiec. Stojący obok mnie Tom wzdryga się. Ze względu na

Emmę czuję ulgę, że Guy postanowił dzisiejszego wieczoru grać rolę aktywną i zaakceptować tę sytuację z całą jej niezręcznością. Przynajmniej temu jednemu nie będzie musiała stawiać czoła w pojedynkę. Już jestem na niego zdenerwowana, a także, w mniejszym stopniu, na nią. Następnie ogarniają mnie wyrzuty sumienia, gdy przypominam sobie, że to pierwsza kolacja urządzana przez Emmę. Chcą, byśmy cieszyli się ich szczęściem, ale najwyraźniej mnie jest trudniej niż im zapomnieć, że on ma żonę. Nie wiem, czego się wcześniej spodziewałam, ale sądziłam, że będą nieco powściągliwsi albo nieśmiali, albo przynajmniej na tyle wrażliwi, by zdawać sobie sprawę z tego, iż dla innych ludzi może to być krepujące. Wydaje się to takie fałszywe.

Ponieważ czuję silny przymus przerwania pełnej skrepowania ciszy, która panuje między nami, nie mam zbyt wielkiej szansy na coś więcej niż pobieżną ocenę stojącego przed nami mężczyzny. Ma na sobie strój w stylu elegancko - swobodnym, który najpewniej zestawiała mu Emma. Dżinsy True Religion, koszula w paski od Paula Smitha i adidas, tak lśniące i nowe, że wątpię, by miały już okazję opuścić mury tego budynku. Zastanawiam się, co nosi w domu, ale to akurat jest uzależnione od tego, czy jego żona ubiera się u Bodena, czy u Marca Jacobsa. Mężowie zawsze upodabniają się do żon.



Jest niższy, niż się spodziewałam, nie niski, ale też i nie wysoki, tak że Emma ma na nogach płaskie złote balerinki. Atrakcyjny, choć w mniej oczywisty sposób, niż to sobie wyobrażałam, i wygląda na mniej niż czterdzieści trzy lata, ponieważ sądząc po płaskim brzuchu, rysującym się pod nieco zbyt obcisłą koszulą, należy do mężczyzn chodzących na siłownię. Zastanawiam się, kiedy ma na to czas. Posiadanie wszystkiego podwójnie to sytuacja wyczerpująca. Dwie kobiety, dwa królewskiej wielkości łóżka, dwie szafy: jedna wypełniona ubraniami wybranymi przez żonę, druga ubraniami wybranymi przez Emmę, no i musi dokładnie pamiętać, która co mu kupiła. Przynajmniej nie ma dwóch kompletów dzieci. Na razie.

- Miło cię wreszcie poznać - mówię.

- Mam nadzieję - odpowiada Guy. - Wiem, że to niekonwencjonalne.

Kiedy się uśmiecha, jestem w stanie zrozumieć, co Emmę do niego przyciągnęło, ponieważ pomimo emanującej z niego pewności siebie na jego twarzy maluje się otwartość, sugerująca kogoś, kto jest mniej niż powinien pewny osiągniętej w życiu pozycji. I ja potrafię się z tym utożsamić. Przygląda mi się nieco zbyt długo, ale nie żałuję mu, niech ocenia mnie w taki sam sposób, w jaki ja właśnie oceniłam jego. Zważywszy na to, że jesteśmy sobie zupełnie obcy, oboje wiemy o sobie znacznie więcej, niż powinniśmy. Zastanawiam się, co konkretnie powiedziała mu o mnie Emma i czy tak bardzo się od siebie różnimy. On może i przekroczył linię, ale ja nie zostaję zbyt daleko z tyłu. Jestem na tyle blisko, by widzieć go po drugiej stronie.

Dostrzegam Cathy, siedzącą na sofie pomiędzy dwoma nieznanymi mężczyznami. Patrzy na mnie przepaszającym wzrokiem i wzrusza ramionami, by pokazać, że przyprowadzili ze sobą współlokatora. Ale z miejsca, w

którym stoję po przeciwnej stronie pomieszczenia, nie od razu jest oczywiste, który z nich jest jej chłopakiem. Cathy siedzi na sofie bez butów, nogi ma podkulone pod siebie w taki sposób, że jej kolana opierają się o mężczyznę z lewej strony. Ale on wygląda na metroseksualnego, myślę z lekką konsternacją. Na włosy, krótkie i sterczące, wymagające przynajmniej comiesięcznej wizyty u fryzjera, z całą pewnością nałożone są jakieś produkty do stylizacji. Śmieje się głośno. Mężczyzna z drugiej strony bawi się włosami Cathy, odsuwając z jej twarzy kilka niesfornych kosmyków. To tak jak stary obraz, gdzie trzeba się nieźle napracować, by odgadnąć relacje pomiędzy namalowanymi postaciami, szukając wskazówek w symbolice znajdujących się w tle przedmiotów, tyle że w tym mieszkaniu niemal wszystko jest nowe, a przez to jeszcze bardziej zagmatwane.

Tom ciągnie mnie za sobą za rękę, jakby prowadził nieco krnąbrnego kucyka.

- Supermiejsce. Ogólnie mówiąc - stwierdza. - Nie jestem pewny co do tego mechanizmu przesuwającego ściany, ale wygląda mi na trochę tani. Napijmy się jeszcze.

Kieruje się w stronę butelki stojącej na końcu wyspy w aneksie kuchennym. Ogarnia mnie niepokój, gdy dostrzegam, że zdążył już wysączyć jeden kieliszek szampana.

- Który to chłopak Cathy? - szepczę mu do ucha, gdy napełnia mój kieliszek.

- Ten po prawej - odpowiada z dumą. - Uznałem, że będą do siebie świetnie pasować. Pete wydaje się przyzwoitym gościem, nigdy nie był żonaty, o ile mi wiadomo, nie ma dzieci i chyba jest całkiem przystojny, choć mnie, rzecz jasna, trudno to ocenić. Wiem za to, że jest biurowym obiektem kobiecych westchnień.

- Skąd wiesz? - pytam, patrząc na Pete'a przez pokój spod przymrużonych powiek.

- Przeprowadziłem sondaż wśród kilku koleżanek - odpowiada Tom.

- Problem ze swataniem jest taki, że to nie jest coś metodycznego - mówię. - To bardziej chemia.

Ale kiedy podchodzimy bliżej, staje się jasne, że mój mąż ma rację. Ten facet jest fantastyczny. Mimo że ubrał się w mundurek architekta, składający się z czarnej koszuli, czarnych dżinsów i marynarki. Zbliża się także do czterdziestki i nie jest żonaty, a w takim wypadku zawsze trzeba zadać pewne pytania.

- A tak w ogóle to zapomniałem ci powiedzieć, że świetnie wyglądasz. Uwielbiam tę sukienkę - mówi Tom.

- Och, dzięki - odpowiadam zadowolona.

To sukienka portfelowa z długą szarfą, którą kiedyś wiązałam z boku, ale odkąd moje kształty stały się pełniejsze, sięga coraz dalej wokół talii.

Kolega Toma macha do nas, byśmy podeszli i usiedli. Wygląda, jakby mu ulżyło na nasz widok, i wstaje z sofy, by się przedstawić. Wyciąga nieprawdopodobnie długą rękę, by uścisnąć nasze dłonie. Jest wysoki, chudy i góruje nad nami.

- To Pete - mówi z podekscytowaniem Cathy. - A to jego współlokator, James.

- Miło cię poznać, Lucy. Oczywiście, rozpoznaję cię ze zdjęcia z dziećmi, które Tom trzyma na biurku - odzywa się Pete.

To mnie nieco rozbraja, ponieważ nie miałam pojęcia, że mój mąż zabrał do pracy nasze zdjęcie. Wydaje się to słodkim gestem, uzewnętrznieniem mężowsko - ojcowskiej dumy. Pomijając wszystko inne, z daleka życie rodzinne wygląda tak świetnie i czysto. Ale wolałabym najpierw zaaprobować fotografię, jeśli miała się ona znajdować na tak publicznym widoku.

- Jakie to zdjęcie? - pytam Toma.

- To, na którym trzymasz Sama i Joego, kiedy wkrótce masz urodzić Freda - odpowiada Tom, opuszczając wzrok na kieliszek, gdyż wie, że to wielkie faux pas.

Z jakiegoś powodu od zawsze uwielbia tę właśnie fotografię. Być może dlatego, że podkreśla ona jego jurność. Ale ja jestem przerażona, i on o tym wie. Mam na nim oblicze łani, charakterystyczne dla kobiet w ostatnim stadium ciąży, a moje rysy twarzy są rozlane aż na szyję. Wyglądam jak pies z tulącym się miotem szceniąt. Później będę musiała to załatwić, choć i tak już za późno, gdyż to właśnie ten obraz pozostanie w pamięci kolegów Toma.

- Wyglądasz niesamowicie, niczym sugestywny aztecki symbol płodności - oświadcza Pete.

Brak mi słów. Nie taki image jest moim celem. Założę się, że Niezłej Mamuśki Nr 1 nikt nigdy nie porównuje do pradawnych symboli płodności. Jej ostatnia ciąża z czwartym dzieckiem przez pierwsze sześć miesięcy minęła niezauważona, a nawet później dyskutowano nad tym, czy po prostu tylko nie przytyła.

Dostrzegam z ulgą, że Emma nie została w kuchni sama. Guy zdaje się być głównodowodzącym i wskazuje właśnie na talerze, wyjaśniając, ile dokładnie rukoli powinno znajdować się na każdym z nich i w jakiej kolejności należy nakładać prosciutto, fetę i orzechy włoskie. Cały ten proces zabiera nieco czasu, ponieważ co kilka minut przerywają, by się całować.

- Jeśli dalej będą tak robić, nie uda im się wytrzymać do czasu kolacji - stwierdza Pete, patrząc z pobłażaniem na Cathy i nachylając się, by pocałować ją w usta. - Możliwe, że nam też nie.

- Uważam, że gdybym ja po raz pierwszy i może ostatni wydawała kolację z mężczyzną, którego kocham, też mogłabym taka być - mówi ona.

Pete obejmuje ją ramieniem z miną właściciela.

- Możemy zorganizować tyle kolacji, ile masz tylko ochotę - oświadcza.

- Ja pomogę przy gotowaniu - wtrąca James.

- Jest świetnym kucharzem - mówi Pete. - Prawda, Cathy?

- Bardzo dobrym - odpowiada moja przyjaciółka, patrząc na mnie i przewracając oczami. - Wychodzę na papierosa. Chcesz iść ze mną, Lucy? Tak dla towarzystwa.

- Wiem, że ona popała - mówi z lekceważeniem Tom. - Dzieci mi powiedziały.

Otwieramy drzwi na balkon. Jest cieplej, niż można się było spodziewać, i siadamy na krzesłach wokół okrągłego stolika, otoczone małymi żarówkami wyglądającymi z donic. Przez okno widzę Toma i Guya, pochłoniętych ożywioną rozmową. Zapalam marlboro light z paczki należącej do Cathy. Staralam się zachować moją jak najdłużej, ponieważ dopóki nie kupię następnej paczki, czuję się tak, jakby nie było to na poważnie. Zdarzało mi się nawet wypalić pół papierosa, zgasić go w ogrodzie i dokończyć kilka dni później. Czuję, że jeśli będę w stanie utrzymać to pod kontrolą, to jakimś cudem zdołam także utrzymać porządek we wszystkim innym.

Próbuję wytłumaczyć to Cathy, ale przygląda mi się tylko z powątpiewaniem.

- Lucy, bez względu na to, jak bardzo się starasz usprawiedliwiać wszystko w swojej głowie, wiem, że znajdujesz się na kursie kolizyjnym - stwierdza. - Twój brat ma rację. Powinnaś trzymać się od tego faceta z daleka, zwłaszcza teraz, kiedy wiesz, że twoje uczucia są odwzajemnione.

- To, że o czymś myślisz, wcale nie oznacza, że to się wydarzy - mówię. - A poza tym on mi poprawia nastrój i dobrze się bawię.

- Jeśli oboje myślicie o tym samym, zwiększa się szansa na realizację. Zwłaszcza dlatego, że nie wykazujesz chęci rezygnacji.

Chciałabym kontynuować tę rozmowę, ale właśnie wtedy na balkon wychodzi James i wszystko staje się nieco zagmatwane, ponieważ obejmuje ramieniem Cathy w sposób sugerujący, że pomiędzy nią a nim wydarzyło się znacznie więcej niż pomiędzy Robertem Bassem a mną. James patrzy mi prosto w oczy, podczas gdy jego palce błędzą w górę i w dół po boku Cathy. Ona próbuje się od niego odsunąć, nie tyle dlatego, że chce, by przestał, ale ponieważ umie czytać w moich myślach. Zastanawiam się, dlaczego tak bardzo przejmuję się moją moralną prawością, gdy tymczasem oczywiste jest, że sypia z dwoma mężczyznami? Drugie pytanie, na które chciałabym uzyskać od niej odpowiedź, to czy Pete o tym wie, ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać, gdyż on też pojawia się na balkonie, a kiedy Cathy i James wcale nie próbują się od siebie odsunąć, dociera do mnie, że jest to bardziej skomplikowane, niż to sobie wcześniej wyobrażałam.

- Kolacja gotowa - oznajmia Pete i obaj mężczyźni wchodzą do środka.

- Co się dzieje? - pytam Cathy stanowczo.

- Nie jestem pewna - odszeptuje. - Wiem, że to trochę dziwaczne. Nie ma między nimi pierwiastka gejowskiego. Wydaje mi się, że tyle razy walczyli o te same kobiety, że w końcu postanowili się dzielić. Wtedy na żadnym z nich nie ciąży presja zaangażowania się. Wiem, że to niekonwencjonalne, ale całkiem dobrze robi mojemu ego.

Uderza mnie myśl, że wszyscy, którzy są mi bliscy, łącznie z moją teściową, znajdują się w samym środku wielkiej przygody. Moje flirtowanie z Robertem Bassem wydaje się czymś błahym. Jestem wystarczającą realistką, by

wiedzieć, że w ciągu następnej dekady moje ciało zdradzi mnie na wiele więcej sposobów i nagle rozsądne, a nawet wskazane wydaje się skorzystanie z okazji do jednej, ostatniej przygody. To dla mnie ostatni dzwonek. Pomyślcie tylko o Madonnie. Cztery godziny ćwiczeń dziennie. Ścisła dieta makrobiotyczna. Walka z czynionymi przez czas spustoszeniami po przekroczeniu pięćdziesiątego roku życia to praca na pełny etat. Przed Tomem z kolei następne dwadzieścia lat przyciągania młodych kobiet. Gdybyśmy przespali się z Robertem Bassem raz i zawarli układ, że to się więcej nie powtórzy, moglibyśmy mieć kontrolę nad falą uderzeniową. Kluczem do tego jest niepozwolenie, by sprawy posunęły się dalej. Tak jak z paleniem. Tym sposobem można sprawować kontrolę nad skutkami ubocznymi. Być może jest to decyzja podjęta z marszu, ale postanawiam, że nie mam zamiaru zrobić niczego, by kontynuować ten związek ani czynić żadnych kroków w celu zapobieżenia mu.

Po raz pierwszy od sześciu miesięcy mam jasność.

- Nie pochwalasz tego, Lucy? - pyta Cathy. - Wyglądasz na bardzo ożywioną.

- Nie. Zastanawiam się po prostu, czy to ma ręce i nogi.

- Oczywiście, że nie. Nie ma czegoś takiego, jak lobby menage a trois, które uczyniłoby to akceptowalną formą związku.

- A gdyby tak było, to czy brałabyś to pod uwagę? - pytam.

- Może gdybym nie miała dziecka, ale raczej trudno byłoby wyjaśnić Benowi pojęcie trzech tatusiów - śmieje się. - Naprawdę, to po prostu sposób na oddalenie się od tych wszystkich okropieństw związanych z rozwodem, zwalczanie nienawiści.

- Myślałam, że jest już trochę lepiej.

- Lepiej byłoby chyba dopiero wtedy, gdyby jedno z nas umarło - odpowiada Cathy. - Przynajmniej wtedy zostałyby nam kilka dobrych wspomnień. Teraz zastanawiam się, czemu w ogóle za niego wyszłam, a to każe mi nie ufać własnemu osądowi w kwestii wszystkich innych związków. Nie licząc oczywiście przyjaźni. Ty i Emma zawsze stoicie za mną murem.

Wstajemy, by wejść do środka. Robię to tak szybko, że zacinam się o rosnącą w donicy trawę pampasową. Przesuwam palcem po skaleczeniu i patrzę na nie. Odrobina krwi.

Guy przywołuje mnie do stołu.

- Chciałem siedzieć obok ciebie, Lucy - mówi, wysuwając dla mnie krzesło. - Wydajesz się podobna do mnie.

Nie masz pojęcia, jak bardzo - myślę sobie, próbując wyrzucić z myśli obraz jego i Emmy uprawiających seks w jego gabinecie.

- Od jak dawna znacie z Cathy Emmę? - pyta.

- Byłyśmy trójką długo przed moim wyjściem za mąż - mówię. Czuję, że oblewam się rumieńcem. Guy przygląda się swojej sałatce, krytycznym okiem oceniając proporcje orzechów w stosunku do fig, i nie widzę wyrazu jego twarzy. - Poznałyśmy się na studiach. Na ostatnim roku razem mieszkałyśmy i sporo razem imprezowałyśmy. We trzy. Jako trójka - wyjaśniam. W niecałą minutę wypowiedziałam dwa razy słowo „trójka”.

- Cóż innego mogłaś mieć na myśli? - pyta lekko speszony.

„Głęboka płycizna, głęboka płycizna” - mam ochotę zawołać do Toma ponad stołem.

Z rękawa Guya wystaje przywieszka z ceną 110 £ i pokazuję mu ją. Ma na tyle przyzwoitości, by wyglądać za zakłopotanego, i prosi mnie, bym ją usunęła. Rozpina guzik i



podwija rękaw, odsłaniając przedramię. Patrzą na nie. Jest wiotkie i wygląda na słabe, niemal kobiece. Włoski są bardzo delikatne i tak jasne, że widać pod nimi piegi. Nadgarstek ma tak chudy, że gdybym zrobiła kółko z palca środkowego i kciuka, niemal byłabym w stanie go objąć. Na palcu serdecznym dostrzegam prostą złotą obrączkę.

- Emma stara się, bym jak najlepiej wyglądał - uśmiecha się bankowiec Emmy.

Próbuję złamać mały kawałek plastiku, który łączy przywieszkę z koszulą. Kiedy wreszcie łamie się na pół, moja dłoń odskakuje od ręki Guya tak prędko, że przewracam na niego mój kieliszek z winem. Stara się odsunąć jak najszybciej od stołu, ale jest już za późno: jego koszula jest przemoczona.

- Boże, przepraszam - mówię.

Widzę, jak Tom przygląda mi się ze zdziwieniem z drugiego końca stołu.

- Czy to jakiś rodzaj testu? - pyta Guy, ale uśmiecha się życzliwie. - Nie przejmuj się. W teczce mam jeszcze jedną koszulę. Moja sekretarka zawsze ją tam dla mnie trzyma. Nie wiem, co zrobię, kiedy odejdzie na emeryturę.

- Ale czy ona nie jest na to jeszcze zbyt młoda? - pytam bezmyślnie.

Tak sobie myślę, czy nie rozwinęła się we mnie odmiana syndromu Tourette'a, polegająca na wtrącaniu do każdej rozmowy podtekstów seksualnych pochodzących z mojej wiedzy o rozmówcy.

- Skąd mogłabyś wiedzieć, ile lat ma moja sekretarka? - pyta Guy podejrzliwie, wycierając się ścierką do naczyń, którą podaje mu Emma. Moja przyjaciółka słyszy to pytanie i krzywi się do mnie.

Gdy on zmienia koszulę, daję sobie pięć minut na wykombinowanie neutralnego tematu, ale to wcale nie jest takie proste. Robię kilka głębokich wdechów, by się uspokoić.

To trudne zadanie. Mówienie o żonach, dzieciach, szkołach i wszystkim wiążącym się z gospodarstwem domowym w ogóle nie wchodzi w rachubę. Próbuję sobie przypomnieć, jaki ostatnio widziałam film.

Walka żywiołów. O rozpadzie małżeństwa. Co jeszcze widziałam? Syriana. Ale nie mogę rozmawiać o tym filmie, skoro nawet w kinie nie mogłam nadażyć za fabułą. Akcja toczyła się w Dubaju czy w Katarze? Wtedy doznaję olśnienia: Irak. Musimy porozmawiać o Iraku, tak wiele opinii do omówienia. Nie ma tu miejsca na romanse, trójkąty czy sekretarki.

Poza tym dużo mówi o kimś to, kogo popierał przed wojną w Iraku, choć teraz oczywiście ludzie się tego wypierają. Uznaję, że Guy był za interwencją, ale tylko przy zgodzie ONZ. Pytam go, czy w jego pracy obecny jest jakiś kontekst polityczny, a on mówi, że nie. A potem pytam, czym konkretnie się zajmuje.

- W zasadzie zajmuję się tworzeniem mechanizmów służących do wymiany długów zagranicznych na rynku międzynarodowym - odpowiada. Na mojej twarzy maluje się konsternacja. - Nie przejmuj się. Nawet ludzie w moim banku nie rozumieją, co robię. W przeciwieństwie do Emmy.

Patrzy z dumą przez stół na moją przyjaciółkę, która uśmiecha się do niego. Następnie opowiada mi o niedawnym obiedzie czołowych członków branży biznesowej z Gordonem Brownem i o tym, jak Brown nie potrafił opowiadać dowcipów i że przez to ludzie patrzyli na niego podejrzliwie.

- Brakuje ci tego wszystkiego? - pyta. - Wiem wszystko o twojej przeszłości.

Mówi to w sposób sugerujący, że nie chodzi mu tylko o moją pracę.

- Czasami brakuje mi przyływów adrenaliny, ponieważ taka praca jest pasjonująca. I tęsknię za kolegami -

odpowiadam, pragnąc sprowadzić rozmowę z powrotem na neutralny teren. - Ale cieszę się, że kiedy dzieją się jakieś straszne rzeczy, nie muszę już poskramiać w sobie podekscytowania i mogę się do nich odnosić z autentycznym współczuciem. Oświadczenie, że jest się domową mamą, nie działa na ludzi w taki sam sposób, jak informacja, że pracuje się w Newsnight, choć ludzie głównie chcieli wiedzieć, jaki był Jeremy Paxman.

- Jaki więc on był? - pyta.

Powstrzymuję się, by nie westchnąć. To zawsze pierwsze pytanie, jakie wszyscy mi zadają, kiedy się dowiadują, że przez siedem lat pracowałam w Newsnight. Niektórzy krążą wokół tematu, zadając trafne pytania, które mają mnie przekonać o ich autentycznym zainteresowaniu procesem powstawania programu telewizyjnego i tym samym do ujawnienia jakichś zupełnie nowych wieści na temat Jeremy'ego Paxmana. Ale wiem, że nie minie dużo czasu i będą chcieli o niego spytać.

- To naprawdę świetny facet. Niezwykle błyskotliwy. Wszyscy go uwielbiają - mówię, w nadziei, że to Guyowi wystarczy. - Najczęściej jednak z trudem sobie przypominam, jak wyglądało moje życie przed narodzinami dzieci.

Śmieje się.

- No cóż, wszyscy mamy z tym problem - mówi. - Lubisz swoją pracę? - pytam.

- Kiedyś lubiłem - odpowiada. - Kiedy miałem dwadzieścia kilka lat, musiałem wiele innym udowodnić i harowałem jak wół. Po trzydziestce zostałem dyrektorem zarządzającym mojego banku i nadal harowałem jak wół. Zarabiałem więcej pieniędzy, niż nawet moja żona mogła wydawać. Kiedy stuknęła mi czterdziątka, zacząłem tracić zainteresowanie. Nie chcę, by to zabrzmiało arogancko, ale nie stoi już przede mną żadne wyzwanie, mogę to robić z

zamkniętymi oczami, a zarabianie pieniędzy nie stanowi już wystarczająco silnej motywacji.

- Tylko ktoś, kto nie ma żadnych finansowych zmartwień, może powiedzieć coś takiego - stwierdzam.

Kilka dni temu usiadłam przy biurku, wyjęłam z kryjówki rachunki za karty kredytowe, obliczyłam łączną kwotę niezapłaconych mandatów i wyszedł mi taki wynik, że aż mi zabrakło tchu. Dwanaście tysięcy siedemset sześćdziesiąt funtów i dwadzieścia dwa pensy. Początkowy dług stanowił najprawdopodobniej połowę tej kwoty, reszta to odsetki narosłe od niezapłaconych należności.

- Zacząłem się także przejmować własną śmiertelnością. Zastanawiam się, czy kiedy zejdem z tej karuzeli, zdołam obejrzeć się i stwierdzić, że dobrze przeżyłem życie - mówi Guy. - Twój mąż jest szczęściarzem.

- Że ma mnie za żonę? - pytam, uradowana tym komplementem.

- Tego to akurat nie wiem. Chodzi mi o to, że zajmuje się czymś, co go szczerze pasjonuje. Dla mnie jedyną prawdziwą pasją jest Emma; ona wypełniła pustkę, tchnęła we mnie nowe życie. Już od dawna nie byłem szczęśliwy w małżeństwie.

- Ale czy nie uważasz, że jest to po prostu argument usprawiedliwiający twoje oszustwo? - pytam, nachylając się ku niemu. - Nie możesz ot, tak wykorzystywać Emmy jako krótkoterminowego antidotum.

- Możliwe, że jest antidotum długoterminowym - odpowiada Guy, także nachylając się w moją stronę.

- Wszyscy ludzie, którzy mają romanse, lubią uważać, że ich sytuacja jest wyjątkowa, tak jakby ich uczucia były w jakiś sposób silniejsze niż kogokolwiek innego, kto przeżył coś podobnego. Ale prawdę powiedziawszy, to komunał. Jesteś po prostu jednym z tysięcy mężczyzn w średnim wieku przechodzących przez coś takiego - mówię i jeszcze przed

końcem tej diatryby wiem, że powinnam się była zatrzymać po pierwszym zdaniu. - Mój brat, który jest psychologiem, twierdzi, że mężczyznami kieruje seks, że nie są stworzeni do monogamii, że ich zadaniem jest rozsiewanie nasienia i że ci, którzy unikają tego rodzaju sytuacji, znajdują się wyżej na drabinie ewolucyjnej. No, a co z twoją żoną? Czy ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, co się dzieje? Czy ona nie zasługuje na szansę zrozumienia tego, co się dzieje w twojej głowie? A jeśli nie jej, to czy nie jesteś tego winien swoim dzieciom?

Guy wygląda na kompletnie wstrząśniętego. Przez chwilę nie odzywa się ani słowem. Pamiętam, jak Emma mówiła, że nie lubi, gdy przypomina mu się o żonie, i widzę, że jest na mnie zły. Odstawia kieliszek z winem nieco zbyt gwałtownie i przejeżdża wokół jego brzegu palcem, tak że słychać cichy szum.

- W żadnym wypadku nie muszę usprawiedliwiać przed tobą swego zachowania, ale ze względu na przyjaźń chcę, byś wiedziała, że próbowałem rozmawiać z żoną o tym, co czuję, ale ona lekceważy mój kryzys i twierdzi, że sobie pobłażam. Mówiłem jej, że chcę ograniczenia i zmiany stylu naszego życia. Mówiłem jej, że mam dość kolacji z innymi bankowcami i ich żonami, podczas których rozmowy obracają się wokół szkół, dzieci oraz pracy i czuć wyraźnie, że za tym wszystkim stoi chęć rywalizacji. Ona mówi, że nie możemy sobie pozwolić na to, bym zarabiał mniej pieniędzy, ale tak naprawdę chodzi jej o to, że nie chce pójść na kompromis w sprawie swego stylu życia. Czasami sobie myślę, że to właśnie mam dzięki pieniądзом: żonę, czwórkę ślicznych dzieci, dom w Notting Hill i świetną dziewczynę, która dba o moje ego i o te inne miejsca, do których nie jest już w stanie dotrzeć nikt inny.

- No, ale co z Emmą? Nie zasługuje na coś więcej niż status kochanki? - pytam. - A dzieci?

- Emma nie chce mieć dzieci. A gdyby chciała, nie widzę powodu, dla którego ta sytuacja miałaby wykluczać posiadanie dziecka.

Jestem w szoku.

- No, a ty, Lucy? Czy twój mąż wie, co się dzieje w twojej głowie? - pyta Guy, nadal przesuwając palcem po brzegu kieliszka. - Czy istnieją w ogóle pary, w których każdy wie dokładnie, co się dzieje w głowie jego partnera? Czy ty sama wiesz, co się dzieje w twojej głowie?

- Ale na pewno lepiej by było zająć się własnym kryzysem egzystencjalnym przed wdawaniem się w romans. Pożądanie jest bardzo rozprasające.

- Tak też słyszałem - mówi, unosząc brew. - Czy ty tak właśnie robisz?

- Słucham? - pytam, zastanawiając się, czy dobrze go zrozumiałam.

- Emma mówi, że borykasz się z własnym kryzysem - wyjaśnia Guy. - W gruncie rzeczy nie różnimy się od siebie. Chodzi o to, Lucy, że jesteśmy podobni do wielu różnych ludzi, i jest to zarazem cudowne i straszne.

Upuszczam nóż na podłogę i wszyscy odwracają się w naszą stronę. Wtedy dzwoni mój telefon. Opiekunka do dzieci.

- Fred wszędzie zwymiotował, Lucy, nie można go uspokoić; naprawdę mi przykro, ale czy moglibyście wrócić do domu? Mówi, że zjadł opakowanie tabletek, które znalazł w waszej sypialni. - Głos Polly drży ze strachu i napięcia.

- Jakie tabletki? - pytam, a żołądek ściska mi się natychmiast z niepokoju.

- Z boku jest napisane: „omega trzy”.

- Tran - mówię z niejaką ulgą. - Zaraz jedziemy.

Wieczór kończy się na ostrym dyżurze w szpitalu, gdzie pracuje Mark.

- Co pan myśli? - pytam lekarza.

- Jest trochę zielony przy skrzelach - mówi z uśmiechem.

- Przepraszam, kiepski żart. Jestem na dyżurze od dziewiątej rano.

- Wystąpią jakieś długofalowe skutki uboczne? - pyta Tom.

- Jeśli zaczną mu rosnać płuca, to przyprowadźcie go z powrotem i wtedy go przebadamy - oświadcza lekarz.

Niosę Freda na rękach, jak niemowlaka, nucąc mu do ucha piosenki, a on szybko zasypia, wyczerpany płaczem i wymiotami. To są te same kołysanki, które matki śpiewają swoim dzieciom od wieków, nic przeciągana przez kolejne pokolenia.

Prawie dokładnie trzy lata temu nieśliśmy Freda do domu z tego samego szpitala. Czuję upływ czasu niczym przesypujący się między palcami piasek. Być może to dobrze, że kiedy dorastamy, pamiętamy tylko fragmenty z dzieciństwa. W przeciwnym wypadku poczucie straty byłoby zbyt duże do zniesienia.

Dojeżdżamy do domu, ale nie sposób zasnąć. Strach jest trudny do kontrolowania, kiedy już wsączył się do krwiobiegu. Tom, który zazwyczaj zasypia, gdy tylko znajdzie się w pozycji horyzontalnej, leży i wpatruje się w sufit.

- Co więc sądzisz? - pyta.

- Sądzę, że powinniśmy byli schować tabletki do apteczki - mówię.

- Nie o tym mówię. Co sądzisz o Guyu?

- Nie jestem pewna. Nie uważam, by można było na nim zbyt wiele polegać, ale jest w nim pewna wrażliwość, której się nie spodziewałam - odpowiadam.

Tom prychnął.

- Dostępność, chyba to miałaś na myśli - stwierdza.
  - To po prostu taki typ.
  - Jaki typ? - pytam.
  - Typ męczyzny, który bzyka się na prawo i lewo, i próbuje to usprawiedliwić, budząc litość, że jest nierozumiany
- odpowiada Tom. - To świetna strategia po czterdziestce. Może ci nawet pomóc przejść przez ten wiek. Zaskoczyło mnie tylko, że wydawał mi się znajomy. Chyba gdzieś go już spotkałem.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Lepiej przeżyć jeden dzień jako tygrys niż tysiąc lat jako owca

Kiedy traci się poczucie prawidłowości własnego życia, można przeoczyć ważne wskazówki, gdy tymczasem inne stają się przedmiotem szczegółowej analizy. Szybko zapominam o *deja vu* Toma w odniesieniu do Guya. Zamiast tego pochłania mnie kwestia, która dotknęła mnie bezpośrednio, ponieważ na początku lutego, w tym okresie roku, kiedy każda kobieta zasługuje na codzienną porcję wzniosłości, Robert Bass zapadł się pod ziemię bez żadnego wytłumaczenia.

W każdy poniedziałek ruszałam do szkoły z lekka sprężystym krokiem, mając nadzieję, że to właśnie będzie ten dzień, kiedy on wyłoni się ze swej kryjówki. Im bliżej było końca tygodnia, tym mój chód stawał się wolniejszy, a ramiona coraz bardziej opadały na myśl o kolejnym weekendzie pełnym wyczekiwania. Częściej niż nakazywałyby to rozsądek sprawdzałam w komórce nieodebrane połączenia i pisałam do Roberta Bassa e - maile, których nigdy nie wysyłałam, ponieważ nie potrafiłam znaleźć odpowiedniego tonu i bałam się, że przez pomyłkę mogę je wysłać do niewłaściwej osoby. Zamiast niego dzieci do szkoły odprowadzała jego żona albo *au pair*. Próbowałam je ignorować, gdyż nie chciałam, by deptały po moich marzeniach.

Tygodnie ciągnęły się bez choćby jednej atrakcji. Sławny Tata udał się do L.A., by promować swój najnowszy film. Tom często wyjeżdżał na kilka dni do Mediolanu. Cathy pochłaniało bycie uszczęśliwianą przez dwóch mężczyzn. A Emma nadal próbowała przekształcić swój loft w dom za pomocą zarówno mebli, jak i męża, wziętego na kredyt od innej kobiety.

Prawdę powiedziawszy, nie dzwoniła już do mnie tak często jak dawniej, a kiedy to robiła, mniej mówiła o Guyu. Wspomniała o podróży do Paryża, awansie w pracy, a raz o nowym samochodzie, ale tylko po to, by podkreślić fakt, że zapomniałam o jej urodzinach. Złożyłam jej zachowanie na karb mojego wykroczenia podczas kolacji oraz tego, że moja przyjaciółka wkroczyła w bardziej ustabilizowany etap związku. Potem dałam sobie spokój. Uważałam, że przyjaźnie, tak jak ogrody, czasem ponownie rozkwitają, jeśli na jakiś czas zostawi się je bez nadzoru.

Nawet Niezła Mamuśka Nr 1 zniknęła, wysyłając z dziećmi do szkoły swoją gosposię. Jako że moja własna droga ucieczki nagle się zamknęła, zazdrościłam im wszystkim, że mają dokąd jechać, nie zastanawiając się nad tym, że tam, dokąd się człowiek udaje, nie zawsze jest równie satysfakcjonująco jak tam, skąd przyjechał.

Pozostała mi Mama Alfa, która zapisała się na kurs łaciny, by móc pomagać najstarszemu synowi w odrabianiu pracy domowej.

- Errare hwnanum est. Ego te absolvo - rzekła pewnego ranka. - Możesz zachować swoje stanowisko.

Odpowiedziałam za pomocą jedyne go zwrotu po łacinie, jaki pamiętałam:

- Non sum pisces. - Co oznacza: „Nie jestem rybą”. Mama Alfa wyglądała na zaskoczoną.

- Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że znasz łacinę, Lucy.

Przestałam przejmować się tym, w co się ubrać rano, i na pospiesznie narzucone ciuchy wkładałam obszerny płaszcz Toma, tak by nikt nie zauważył, że zapadam się w sobie. Zaczęłam myśleć, że mogę już nigdy więcej nie zobaczyć Roberta Bassa, a potem irytowałam się, że pozwalałam mu wpływać w taki sposób na mój nastrój, zwłaszcza w

momencie, kiedy to ja byłam stroną dominującą. Z drugiej jednak strony od czasu, gdy zniknął, ulotniła się też konieczność powiadomienia o nim Toma. Seksowny Udomowiony Tata stał się postacią historyczną. Moja pewność przywiedła i zyskałam przekonanie, że celowo mnie unika, ponieważ przeniósł swe uczucia na inny obiekt.

Czasami musiałam się starać, by sobie przypomnieć, jak dokładnie wygląda Robert Bass, choć nie mogłam zapomnieć tego, jak dzięki niemu się czułam. Potrafiłam wyobrazić sobie każdą cechę osobno, ale ciężko mi było połączyć je wszystkie w jedną spójną całość. Pamiętałam zielone oczy, ale wtedy nos tracił na ostrości, albo przypominałam sobie dokładny kąt nachylenia podbródka, ale nie miałam pewności co do kształtu jego ust. Robert Bass stał się mieszaniną ledwie pamiętanych cech, które nie łączyły się ze sobą zbyt poprawnie. Patrzyłam na szkolne zdjęcia jego córki, próbując odnaleźć w niej jego twarz, ale szybko doszłam do wniosku, że znacznie bardziej podobna jest do matki, której dziarski krok i cechy chłopczycy były mi wtedy bardziej znane niż te należące do jej ojca.

Lutowa pogoda podkreślała raczej to, co było niemożliwe, niż to, co możliwe. Trochę padało, nastaly niekończące się dni wilgoci i mżawki. Pomimo wszelkich wcześniejszych oznak nie była to najzimniejsza zima od 1963 roku, a jedynie najbardziej szara. Moje zwycięstwo w kwestii ogrzewania straciło na znaczeniu. Nieco pocieszenia dało się czerpać z powtarzalności codziennych rytuałów: owijania kanapek z serem folią, bujania Freda na huśtawkach w pustych parkach, zatrzymywania się, by popatrzeć na zmiataczy ulic z urządzeniami przypominającymi gigantyczne suszarki do włosów, którymi zdmuchiwali liście na kupki, a potem przyglądania się, jak wiatr je roznosi nad ulicą, zanim zmiatacze mieli szansę je zebrać. Dzieci każdego ranka

zadawały te same pytania, a ponieważ odpowiedzi miałam dobrze przećwiczone, mogłam jednocześnie mówić i myśleć.

- Czy coś takiego to dwa kroki naprzód i jeden w tył? - zapytał Sam, pokazując na mężczyzn zdmuchujących liście.

- Tak - odparłam. - Nieważne, wiosna jest tuż za rogiem.

- A potem co jest za następnym rogiem, mamusiu? Lato? - dopytywał się Joe.

Dzieci popychają cię do przodu, a o tej porze roku to coś dobrego.

W tle Fred właśnie dokonywał codziennej inwentaryzacji poziomych znaków drogowych.

- Pojedyncza żółta - oznajmiał, wychylając się z wózka, by przyrzeć się uważnie chodnikowi. A potem kilka minut później: - Podwójna żółta. - Każdy znak na drodze zasługiwał na jego komentarz. - Linia przerywana! - wołał triumfalnie, ponieważ rzadziej się je spotyka.

Sam zbierał czerwone gumki recepturki zostawiane na ziemi przez listonoszy. Pomyślałam o wszystkich tych rzeczach, na które nie zwracałam uwagi przed urodzeniem synów: że w większości innych europejskich krajów ludzie są miłsi dla dzieci i matek, że do toalety nie idzie się już w pojedynkę, że nie można mieć wszystkiego.

- Nie rozumiem, dlaczego liście wiatr podnosi, a gumki spadają - rzekł Sam.

W pewien środowy poranek na początku marca apatycznie potrząsam tamburynem w Grupie Muzycznej Munchkin, zachęcając Freda do mniej brutalnego posługiwania się marakasami, ponieważ niepokoi w ten sposób siedzącą obok dziewczynkę. Dumam nad tym, że za dwadzieścia lat moim dzieciom przyjdzie pracować raczej z ludźmi o imionach Tiger i Calypso niż Peter i Jane.

Choć na obrzeżach sali parafialnej porozstawiane są sfatygowane krzesła obite sztuczną skórą, z powodów, których

nigdy nie pojęłam, wymaga się od nas, byśmy siedzieli na podłodze na karimatach, z dziećmi pomiędzy nogami, w odróżnieniu do kobiety prowadzącej grupę, która ma prawo patrzeć na nas z góry z wysokości swego krzesła. Jest zimno i niewygodnie, i kiedy godzina dobiega końca, moje uda i pośladki zdążą już usnąć, czyniąc powstanie bolesnym doświadczeniem. Ale potrzeba poświęcenia i cierpienia dla dobra Freda przepętnia mnie uczuciem oddania, które zazwyczaj trwa przez resztę dnia, choć być może to upajające działanie ma większy związek z wdychaniem przez godzinę mieszaniny środków dezynfekującego i odkażającego. Ponieważ salka parafialna wykorzystywana jest nie tylko na spotkania matek, lecz także jako ośrodek dla bezdomnych. Obie te grupy gromadzą osoby pozbawione praw obywatelskich.

Dzisiaj mam podwójnego pecha, bo siedzę obok kobiety, na którą my, matki chłopców, mówimy Zadowolona z Siebie Matka Dziewczynek. Gdy ma dobry dzień, ogranicza się do głębokich westchnień i pełnych samozadowolenia uwag.

- Moje dziewczynki są tak samodzielne, że cały dzień spędzają na rysowaniu - mówi, patrząc, jak chłopcy biegają szaleńczo po sali, a za nimi ich matki.

Gdy dzień jest kiepski, mruczy o nadpobudliwości i o wlewaniu ritalinu (Lekarstwo podawane chorym na ADHD (przyp. red.)) do sieci wodociągowej. Przysięgam, że na koniec zajęć każdego tygodnia jej klatka piersiowa jest nadęta jak u indyka.

- Czy ten brutalny chłopiec cię niepokoi? - pyta swoją córkę, przyglądając się Fredowi. Cała się zjeżam i gryzę się w język. - Czy wie pani, że nie chciałam mieć trzeciego dziecka, z obawy, że mogłabym urodzić chłopca? - kontynuuje.

- To szkoda, bo może wtedy nie byłaby pani taką nadętą indyczką - odpowiadam, zaszokowana słowami, które

wypływają z mych ust. Patrzy na mnie ze zdumieniem i przesuwa się po podłodze, tworząc między nami tyle przestrzeni, ile się da na jednej karimacie. Drzwi do sali parafialnej otwierają się i pojawiają się znajome włosy, nieco dłuższe i bardziej potargane, niż kiedy widziałam je po raz ostatni, i zdecydowanie nieumyte. Wchodzi Robert Bass ze swoim dzieckiem. Od razu poprawia mi się nastrój i potrząsam tamburynem z nową energią. Wygląda na nieco zdziwionego, kiedy dostrzega Freda i mnie.

Spóźnił się i jest to naruszenie, które normalnie zasłużyłoby co najmniej na zjadliwe spojrzenie groźnej kobiety prowadzącej zajęcia z rytmiki. Ale kiedy Robert Bass posyła w jej stronę jeden ze swych ujmujących uśmiechów, zauważam, że ona rumieni się i zachęca go, by wszedł i się przyłączył, stanowczo pokazując miejsce obok siebie. Jak łatwo kobiety w moim wieku rozplývają się w obliczu odrobiny uwagi! Wiemy, że czekają nas lata niewidzialności.

Robert Bass ignoruje jednak umizgi prowadzącej Grupę Muzyczną Munchkin i decyduje się usiąść obok mnie i Freda, za co na pewno za jakiś czas przyjdzie mi zapłacić. Życzliwość tej pani nie rozciąga się na matki.

Kiedy robię mu miejsce na swojej macie, myślę o tym, że w całej historii naszego flirtowania jeszcze nigdy nie byliśmy tak blisko fizycznie. Zapomnijcie o pubach i kafejkach - jeśli naprawdę chcecie się zbliżyć do mężczyzny, grupy muzyczne dla małych dzieci są niezrównane. Większość prawej części mego ciała dotyka Roberta Bassa, choć przyjemność jest o tyle niepełna, że nie mam już czucia w górnej części uda. Myśl, że przez następną godzinę będziemy siedzieć głowa przy głowie, rzuca na niekończący się refren piosenki Nawiń szpulkę zupełnie nowe światło. Ponieważ to jego inicjatywa i otaczają nas inni ludzie, uznaję, że mogę cieszyć się tą chwilą

czystej przyjemności, tym słodsza, że poprzedzał ją okres suszy.

Teraz wszystko to idzie w niepamięć i przepelnia mnie nowy entuzjizm. Macham tamburynem z Fredem usadowionym między nogami.

- Przestań, mamusiu, przestań - mówi, łapiąc mnie lepkimi rączkami za bluzkę.

- Ćśśś, Fred - nakazuję mu, energicznie potrząsając instrumentem, by zrekompensować pasywność swego syna.

- Pani Sweeney, pani Sweeney - mówi kobieta prowadząca rytmikę. - Na ścianie nie wiszą już zielone butelki. Może pani przestać.

Rozglądam się i widzę, że wszyscy na mnie patrzą, łącznie z Robertem Bassem, który mierzy mnie nieufnym spojrzeniem.

- Wydajesz się pełna entuzjazmu, Lucy - nachyla się i szepcze mi do ucha.

- Po prostu czasami daję się ponieść - odszeptuję, delektując się muśnięciem jego oddechu na mojej szyi.

Znajduję się tak blisko niego, że go czuję. Zamykam oczy i wdycham bardziej intensywną niż zwykle mieszankę potu, kawy i pasty do zębów. Zastanawiam się, czy on robi to samo, i żałuję, że przed wyjściem z domu zapomniałam popsikać się dezodorantem. Ale w ten sposób przekonamy się chociaż, czy nasz skład genetyczny jest podobny.

- A jak robią owce? - woła przywódczyni Grupy Muzycznej Munchkin, przerywając moją zadumę.

- Beee! - słyszę, jak beczę entuzjastycznie. Zapada kamienna cisza.

- To było do dzieci, pani Sweeney - oświadcza zimno prowadząca.

- Gdzie się podziewałeś? - szepczę do Roberta Bassa.

- Moja żona wzięła dwa miesiące urlopu, żebym mógł skończyć książkę - odszeptuje. - Miałem zamiar do ciebie zadzwonić, ale uznałem, że to byłoby zbyt, eee, rozprasające.

Trzymam właśnie w dłoni kartonik soku jabłkowego i jestem tak zaskoczona tą uwagą, że ściskam ją nieco zbyt mocno, a strużka płynu wyskakuje przez słomkę prosto do oka Seksownego Udomowionego Taty.

- Celny strzał - komentuje, ocierając oko i marynarkę w kolorze khaki, która tak bardzo do niego pasuje.

Tom ma rację. Ta dbałość o szczegóły nie jest nieświadoma. Mniej pewne pozostaje to, czy Robert Bass czyni to z myślą o mnie, czy też o kobietach ogólnie. Dostrzegam, że po raz kolejny spojrzenia wszystkich obecnych skierowane są na nas.

- Zawsze zapominam o tej mieszance przyjemności i bólu w twojej obecności - mówi on. - Katusze i ekstaza.

Czuję, jak robi mi się gorąco.

- Czy mogą państwo poczekać z rozmową do końca zajęć? - pyta surowo prowadząca Grupy Muzycznej Munchkin.

Otwieram torebkę i po omacku zaczynam szukać chusteczek, ale Fred ma mnie dość i wierci się pomiędzy moimi nogami. Podnosi okruchy czekoladowych herbatników leżące na podłodze sali parafialnej i wkłada je sobie do buzi. Jego twarz i ręce pokrywa cienka warstwa czekolady. Chwytam go za dłonie, by ślady się nie rozprzestrzeniały. Zadowolona z Siebie Matka Dziewczynek patrzy na nas z dezaprobatą.

Robert Bass proponuje, że pomoże mi poszukać chusteczek, i w duchu tej nowej poufałości pozwalam mu grzebać w mojej torebce, gdy tymczasem sama przytrzymuję moje lepkie dziecko. Przyciągam Freda mocno do siebie, upajając się miękkością jego ud i pupy, łaskocząc go w tył



szyi, za co on nagradza mnie pełnymi uczucia całusami o smaku czekolady. To przyjemność, która nawet często powtarzana nie traci na jakości.

Robert Bass wyjmuję z mojej torebki, niekoniecznie w takiej właśnie kolejności, jeden ogryzek, jedną parę majtek z Bobem Budowniczym (czystych), dwa lizaki, a potem majstersztyk: kanapkę z serem owiniętą w folię spożywczą, czarno - niebieską od pleśni.

- Twoja torba żyje - stwierdza. - Dziwię się, że nie gra na tamburynie.

- Sprawdź w bocznej kieszeni - popędzam go, potrząsając energicznie marakasami. Wyjmuję prezerwatywę i obraca ją w palcach, jakby nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego. O Boże. Jak to się tutaj znalazło? Może myśli sobie, że to dla niego?

Muzyka cichnie i prowadząca Grupy Muzycznej Munchkin posyła nam miazdzące spojrzenie. Na sali panuje cisza, nie licząc odzywających się dzieci.

- Trzymam ją na wypadek, gdyby dzieci nudziły się podczas podróży samochodem - słyszę, jak wyjaśniam grupie matek i Robertowi Bassowi. - Można ją nadmuchać i wygląda wtedy zupełnie jak balon.

- Pani Sweeney - odzywa się prowadząca Grupy Muzycznej Munchkin. - To już naprawdę szczyt wszystkiego. Będę musiała poprosić panią i pani przyjaciela o opuszczenie sali.

Robert Bass zgarnia nasze dzieci i wycofujemy się zawstydzeni. Zostaliśmy wyproszeni z grupy muzycznej dla małych dzieci. Zadowolona z Siebie Matka Dziewczynek jest tak nadęta, że obawiam się, iż może eksplodować.

- Cóż, akurat te zajęcia okazały się przelotne - mówi Robert Bass, kiedy znajdujemy się już na chodniku.

Zaczął ponownie mżyć. Postanawiam, że zaproponuję mu podwiezienie do domu, próbując sobie przypomnieć dokładny status bałaganu w samochodzie.

- Chcesz, żebym cię podrzuciła do domu? - pytam z wahaniem, pamiętając, że ostatnim razem odrzucił taką propozycję.

- Byłoby super - odpowiada. - O ile tylko nie będziemy się zatrzymywać na żadnych stacjach benzynowych.

Usadzamy dzieci z tyłu i zauważam, że Robert Bass wstrzymuje oddech, kiedy się nachyla, by zapiąć pas, a potem robi wydech, kiedy ponownie znajduje się na zewnątrz.

- Z przodu nie jest tak źle - mówię.

- Nigdy nie wiem, co mogę tutaj znaleźć - śmieje się nerwowo. - Zawsze okazuje się to bardziej ryzykowne, niż można się było spodziewać. Dokąd więc jedziemy? - pyta.

- Może na spacer do Heath? - proponuję zuchwale. - Czy też powinieneś teraz pracować?

- Myślę, że zasługuję na krótką przerwę.

Szuka po omacku na podłodze i pyta mnie, czy mam coś do picia. Właśnie pokonuję trudny zakręt na ruchliwej ulicy i bezmyślnie odpowiadam mu, by poszukał na tylnym siedzeniu. Nagle widzę, jak Robert Bass podnosi plastikową butelkę z żółtym płynem i pociąga duży, spragniony łyk.

Następnie wydaje z siebie odgłos, który stanowi uzewnętrznienie zarówno bólu, jak i obrzydzenia, i opluwa mnie tym płynem.

- Co ty robisz? - piszczę. - Cała jestem mokra!

- O mój Boże, co to takiego? Jest tak obrzydliwe, że smakuje jak siki - mówi.

Ma wilgotne oczy. Wszystkie palce prawej ręki wsadził do ust, desperacko starając się usunąć wszelkie ślady tajemniczego płynu.

Natychmiast uświadamiam sobie, że wziął to, co nazywamy „butelką do siusiania”. We wczesnych latach rodzicielstwa odkryłam, że nigdy nie dotarlibyśmy nigdzie na czas, gdybyśmy zatrzymywali się za każdym razem, kiedy któremuś z chłopców zachciewa się siusiu. Tak więc cała trójka była od najmłodszych lat szkolona w korzystaniu z plastikowej butelki.

Robert Bass ostrożnie wacha pozostały w butelce płyn.

- To siki, prawda, Lucy?! - wrzeszczy.

- Nie zauważyłeś, że płyn miał dziwny kolor? - ripostuję.

- Myślałem, że to lukożada albo jeden z tych napojów z elektrolitami - odpowiada. - Myślisz, że powinienem pójść do lekarza?

- Nie - odpowiadam zdecydowanie. - Nie bądź niemądry. Niektórzy ludzie piją mocz w celach zdrowotnych. Tito, Lady Di...

- Ale świeży. W tej butelce jest go z pół litra. Jak długo on tu jest, Lucy?

- Posłuchaj, nic ci nie będzie - mówię uspokajająco, zastanawiając się, czy to typ mężczyzny, który przed seksem chce, by kobieta wzięła prysznic.

- Zawieź nas do domu, proszę; muszę umyć zęby.

W sumie uznaję, że przez większość czasu nasze spotkanie miało pozytywny wydźwięk.

W piątek Tom przyjeżdża do domu późnym wieczorem. Leżę już w łóżku, tak bardzo zmęczona, że nie jestem pewna, czy śpię, czy nie, kiedy potykając się, wchodzi do sypialni z walizką. Włącza światło, a ja zamykam oczy przed oślepiającym blaskiem, gdy tymczasem mój mąż przebiera się w kolejną nową piżamę. Jest w pogodnym nastroju. Wiem to, ponieważ zapina tylko jeden, środkowy guzik.

Opowiada mi z podekscytowaniem, że rozpoczęły się już prace budowlane nad biblioteką. Potężne betonowe bloki są

tak wielkie, że do przewiezienia ładunku w powolnym konwoju przez Mediolan zaangażowano ciężarówki normalnie używane przez drwali, na cały dzień blokując ruch uliczny.

Miejscowa gazeta zamieściła na ten temat artykuł i Tom wpycha mi w dłoń „Corriere della Sera” z tytułem Il genio inglese. A pod spodem znajduje się zdjęcie mojego męża, na którym on obejmuje ramieniem atrakcyjną szatynkę, wpatrzoną nie w aparat, lecz w niego.

- Kto to? - pytam.

- To Kate - odpowiada Tom. - Należy do grupy młodszych architektów pracujących nad tym projektem.

- Bardzo atrakcyjna.

- To jedna z dawnych miłości Pete'a - wyjaśnia lekceważącym tonem.

- Jeździ z tobą na wszystkie delegacje?

- Tak. I zanim mnie zapytasz, odpowiedź brzmi: nie. Nienawiść mojego męża do włoskiej biurokracji, która spowodowała opóźnienie projektu o niemal dwa lata, została zastąpiona przez miłość do serów z regionu Lombardii. Tom wyjmuje z walizki duży plaster gorgonzoli, kawał grana padano i mediolańskiego salami. Przywiózł nawet do domu owiniętą w papierowy ręcznik trufkę, którą zamierza każdego ranka ścierać na wierzch jajecznicy. Macha nią przed moim nosem, a ja wydaję z siebie odpowiednio wdzięczne odgłosy uznania. Odpakowuje sery, układa je rzędkiem na komodzie i zamyka oczy, by wdychać ich zapach z wyrazem rozkoszy na twarzy.

- Spały - mówi.

- Ja też. - Staram się, by nie zabrzmiało to zrzędliwie.

- Muszą oddychać - wyjaśnia, pokazując odwinięte sery.

- My także - stwierdzam, niechętnie wstając z łóżka, by zanieść je na dół.

Okazuje się, że to trafna decyzja, gdyż na stole kuchennym leży otrzymany rankiem list od Petry. Jest krótki i formalny, nienaganny interpunkcyjnie, napisany jej znajomym starannym pismem. Ponownie przebiegam po nim wzrokiem, chcąc się upewnić, że dobrze zrozumiałam to, co napisała.

Droga Lucy!

Proszę, przeczytaj to, kiedy Toma nie będzie w pobliżu, a potem zniszcz ten list, ponieważ wiem, że w przeciwnym wypadku zostawisz go na stole w kuchni. Kiedy mieszkałam u Was w Londynie tuż przed wyjazdem do Maroka, pewnego ranka posprzątałam twoje biurko i natrafiłam na wiele rachunków oraz zawiadomień od komorników, wskazujących na to, że różnym ludziom jesteś winna znaczną sumę pieniędzy. Mam nadzieję, że nie uważasz mojego zachowania za wścibskie. Wreszcie dotarły do mnie pieniądze ze sprzedaży domu i załączam czek, który pomoże w rozwiązaniu zaistniałej sytuacji. Przyzwyczajam się do życia w Marrakeszu.

Pozdrawiam serdecznie,  
Petra

PS. Przeczytaj książkę o pani Beeton. Nikt z nas nie jest taki, jaki się wydaje, ale nadał sugerowałabym Ci wyznaczenie jednego konkretnego dnia na robienie prania.

W drodze na górę wkładam list i czek na dziesięć tysięcy funtów do górnej szuflady mojego biurka, czując niezwykłą lekkość bytu. To niczym ułaskawienie. Zaczęłam już robić listę osób, które spłacę jako pierwsze, z tym miłym komornikiem na czele.

Dobry nastrój Toma jest zaraźliwy, kiedy więc wracam, oceniam, że to odpowiedni moment na zapytanie go, czy nie posiedziałyby w przyszłym tygodniu z dziećmi, tak bym mogła świętować ostatni awans Emmy. Wiem, że do połowy

przyszłego tygodnia jego projektowi zdąży się przytrafić jakaś inna katastrofa i nastrój mego męża ulegnie obniżeniu.

- Nie ma problemu - mówi. - Tego wieczoru przychodzi tu ktoś, by przeprowadzić ze mną wywiad dla „Dziennika Architekta”. Mówiłem ci, że jeden z włoskich architektów zaprosił nas, byśmy przyjechali na dwa tygodnie do jego domu w Toskanii?

- Fantastycznie - mówię ze szczerym entuzjazmem. - Żadnych namiotów?

- Żadnych namiotów. Palazzo z winnicą. Choć nie uważam, by to kemping ponosił całkowitą odpowiedzialność za fiasko wakacji w Norfolk.

- W takim razie co? - pytam.

Nie dane jest mu udzielić mi odpowiedzi, ponieważ dzwoni telefon stojący na jego szafce nocnej. Oboje mierzymy aparat podejrzliwym spojrzeniem, gdyż telefony o tak późnej porze zazwyczaj są zwiastunami złych wieści. Przechyliam się nad Tomem, by odebrać, ale on kładzie stanowczo dłoń na słuchawce, czekając, aż dzwonek odezwie się dokładnie pięć razy.

- Halo? - pyta ostrożnie. - Och, Emma. Chcesz rozmawiać z Lucy? Już ci ją daję.

- Wydaje się trochę dziwna - szepcze, zakrywając dłonią niewłaściwą część słuchawki. Życzliwość Toma wobec moich przyjaciółek nie rozciąga się na radzenie sobie z kryzysami emocjonalnymi.

- Lucy, to ja - mówi Emma. Nie płacze, ale w jej głosie słycać panikę i oddycha z wyraźnym trudem.

- Jest chora? - pyta Tom, ciągnąc mnie za ramię. - Być może to jedna z tych energicznych kobiet zapadających na choroby, które do tej pory utożsamiano bardziej z mężczyznami, jak na przykład zawał albo wylew. Czytałem o tym w Internecie.

- Gdzie jesteś? - pytam ją, ignorując Toma, ponieważ nawet kiedy mówi o dolegliwościach innych ludzi, i tak chodzi mu o samego siebie.

- Przed waszym domem - odpowiada moja przyjaciółka. - Zejdiesz?

Podchodzę do okna, odsuwam zasłonę i widzę, jak macha do mnie z siedzenia dla kierowcy starego, jasnoniebieskiego sportowego mercedesa, którego jeszcze nie widziałam. To pewnie ten prezent od Guya.

Myślę o moim ostatnim prezencie urodzinowym od Toma: aromaterapeutycznej świeczce z jakiegoś sklepu sieciowego, która po zapaleniu wydzielala woń spalonego cukru i tanich chemikaliów. Stanowiło to minimalną poprawę w porównaniu z poprzednim rokiem, kiedy podarował mi zestaw do manicure. W sumie uznaję, że jeśli to właśnie jest cena, jaką się płaci za to, że nie trzeba się dzielić własnym mężem, to warto ją zapłacić. Wtedy przypominam sobie, jak bardzo poprawiła się jakość jego ostatnich prezentów.

- Nie możesz wejść do środka? - pytam Emmę.

- Nie. Zrobiłam coś okropnego i muszę się z tym teraz uporać - mówi powoli i wyraźnie w celu podkreślenia powagi sytuacji. - Proszę, powiedz, że mi pomożesz.

- Cokolwiek zrobiłaś, Em, nie może być aż tak źle.

- Dokąd idziesz? - pyta Tom.

- Nastąpił kryzys - odpowiadam mu szeptem.

- Ubierzesz się w coś ciemnego? - pyta Emma. - Widzę, że jesteś jeszcze w piżamie. Wyjaśnię ci wszystko, kiedy zejdiesz. Tak bardzo cię przepraszam.

Moja przyjaciółka nie ma skłonności do przepraszania. Prawdę mówiąc, chyba po raz pierwszy powiedziała mi coś takiego. Nie w tym rzecz, że nie zdaje sobie sprawy, że coś schrzaniła. Po prostu nigdy nie lubi przyznawać się do tego, że może nie mieć racji. To kobieta przekonana.

Otwieram drzwi wejściowe, wychodzę i drżąc z zimna oraz zmęczenia, wślizguję się na miejsce pasażera, wdychając ciepły zapach starej skóry i podziwiając drewnianą deskę rozdzielczą z tarczami i wykończeniami z orzecha. Naprawdę chciałabym mieć taki samochód. Przez chwilę myślę o leżącym w mojej szufladzie czeku od Petry.

- Naoglądałaś się za dużo Thelmy i Louise? - pytam Emmę, kiedy jedzie Fitzjohn's Avenue, a następnie kieruje się na zachód w stronę Maida Vale, podążając za instrukcjami przenośnego zestawu do nawigacji satelitarnej, który ma zamocowany na desce rozdzielczej. - Nie jedziemy na południe w stronę rzeki, co? - pytam, ponieważ słyszałam o ludziach, których zestawy nawigacyjne skierowały prosto do rzeki.

- Nie, do Notting Hill.

Emma zawsze jeździ szybciej ode mnie. Przez cały czas trzyma rękę na dźwigni skrzyni biegów i ciągle je zmienia, bardziej po to, by przyspieszyć niż przyhamować. Prawdę powiedziawszy, to odkąd się poznałyśmy w Manchesterze pod koniec lat osiemdziesiątych, zawsze robiła wszystko szybciej niż reszta świata. Wyobrażam ją sobie jako dziecko, wzdychającą z nudów, kiedy jej czteroletnie koleżanki chciały się bawić lalkami zamiast eksperymentować z makijażem. Potem zapewne coraz bardziej się frustrowała jako nastolatka, kiedy jej przyjaciółki godzinami nakładały na twarz tanie kosmetyki firmy Avon, gdy tymczasem ona zdążyła już przejść do bardziej naturalnego wyglądu, w którym nie było miejsca na podkłady w odcieniach amerykańskiej opalenizny.

Widziałam jej zdjęcia z dzieciństwa i nawet wtedy w jakiś niewytłumaczalny sposób wydawała się bardziej wytworna niż reszta nas. Zagorzała londynka, zaczęła studia, ciesząc się wszystkimi oczywistymi zaletami, jakie oferuje życie w wielkim mieście. Podczas gdy ja z konieczności kupowałam



ubrania w second handach, tworząc styl, który w najlepszym razie można było nazwać workowatym, z naciskiem na źle dopasowane, robione na drutach kardigany i za duże swetry, ona łączyła już części garderoby z okresu niedostatku z rzeczami z Miss Selfridge. Wiedziała, jak wciągać kokainę bez kichania i nie sposób się było z nią nudzić. Śpiewała w zespole. Nawet rozwód jej rodziców wydawał się ekscytujący z tymi wszystkimi wzajemnymi oskarżeniami i rzucaniem talerzami. Emma sprawiała, że wszyscy czuliśmy się tak, jakbyśmy nie mieli żadnego życiowego doświadczenia. Wtedy przez swą nieufność i cynizm wydawała się odlotowa. W wieku dziewiętnastu lat była już znudzona życiem. Była także jedyną znaną mi osobą, która miała pewność, co chce robić po ukończeniu studiów. Podczas ostatnich dwóch lat na uniwersytecie w Manchesterze pracowała w każdy weekend w lokalnej gazecie. Wiedziała, dokąd zmierza, gdy tymczasem reszta z nas zdążyła zaledwie otworzyć mapę.

Na ostatnim roku Emma przyjechała razem z Cathy na weekend do domu moich rodziców. To właśnie w ten weekend moja opinia na jej temat się skryształizowała. Mark przyjechał na kilka dni, by lizać rany po zakończeniu swego ostatniego związku. Chciał o tym ze mną pogadać. Ale kiedy do pokoju weszła Emma, wyparowało gdzieś całe jego cierpienie wypływające z niezdolności do bycia wiernym.

- Jak mogę zdecydować się na jedną kobietę, kiedy na świecie jest tyle cudownych dziewczyn? - oświadczył.

- Ale czy nie ma jednej, która wydaje ci się bardziej cudowna niż pozostałe? - zapytałam z nutką irytacji w głosie.

- Wszystkie są fantastyczne w różnych momentach - odparł.

- Nie można mieć dziewczyny, którą by się dopasowywało do nastroju - upierałam się.

- Ależ można, w tym problem - stwierdził.

Nawet kiedy mówiłam surowo, że potrzebny jest mu okres samotności i wyciszenia się przed wejściem w kolejny związek, odpowiedziom Marka towarzyszyły głębokie spojrzenia rzucane na Emmę.

Nim pierwszy wieczór dobiegł końca, mój brat i ona szukali nieprzekonujących wymówek, by być sami. To nie była pierwsza moja koleżanka, która mu się spodobała, i miałam niemal pewność, że nie ostatnia. Ale po raz pierwszy to do niego nie oddzwoniono. Kilka miesięcy później Mark mierzył się z gorzkim i piekącym bólem odrzucenia. Ani on, ani Emma nie rozmawiali ze mną na ten temat; w każdym razie pewne jest to, że duma mojego brata została okrutnie zraniona.

Wtedy Cathy i ja byłyśmy już przyzwyczajone do tego, że to Emma znajduje się w centrum uwagi. Byłam zadowolona ze swego statusu obserwatora. Życie nie obracało się wokół mnie. To ja obracałam się wokół życia i było mi z tym dobrze.

Gdy zmierzamy w stronę Notting Hill, przepełnia mnie to samo uczucie bycia obserwatorką życia Emmy, ale kiedy gasi silnik na ciemnej ulicy tuż przy Colville Terrace, wiem, że tym razem moja przyjaciółka wymaga ode mnie czegoś więcej.

- Lucy, wiesz, że zazwyczaj jestem osobą racjonalną, która bardzo rzadko traci kontrolę - zaczyna, zmieniając pozycję, tak by zwrócić się twarzą do mnie. Kiwam głową. Ale już w to nie wierzę. - Cóż, przez ostatni miesiąc w moim życiu wrzało - mówi. - Mniej więcej cztery tygodnie temu Guy powiedział mi, że postanowił zostawić żonę i wprowadzić się do mnie. - Czyni pauzę dla wywołania dramatycznego efektu, a ja zastanawiam się nad jakimiś właściwymi przymiotnikami. Nagle wydaje się bardzo późno i moje ciało pragnie położyć się spać.

- To niesamowite - odpowiadam sennie, zastanawiając się, dlaczego musiała jechać aż do Notting Hill, by mi o tym powiedzieć.

- Byłoby, tyle że tego nie zrobił. Na początku tego tygodnia zajrzałam do jego BlackBerry i zobaczyłam, że zarezerwowali na sierpień dwutygodniowe wakacje na Sycylii. Kiedy mu o tym powiedziałam, odrzekł, że pomyślał, iż mógłby spędzić ostatnie rodzinne wakacje, a potem o wszystkim jej powiedzieć. No, a w ten weekend mieliśmy jechać razem do Paryża i w ostatniej chwili wystawił mnie, ponieważ chciał jechać z nimi na narty do Francji. Nagle dotarło do mnie, że zawsze będzie miał gotową wymówkę, by uniknąć powiedzenia jej o wszystkim, i że mogłabym spędzić całe lata, starzejąc się i gorzkniejąc, daremnie czekając, by to w końcu zrobił. Postanowiłam więc wziąć sprawy w swoje ręce.

Prostuję się i przeciągam, zbyt zmęczona, by zastanawiać się nad tym, co się teraz wydarzy.

- No więc dziś wieczorem uczyniłam coś radykalnego. Wiedziałam, że wyjechali, zadzwoniłam więc do jego domu i zostawiłam wiadomość, która musiała całkowicie zapchać im automatyczną sekretarkę, opisując ze szczegółami nasz romans i wszystko, co się dzieje.

Patrzę na nią z niedowierzaniem.

- Ale po czymś takim nie ma mowy, by on został z tobą - mówię. - Jego żona będzie zdruzgotana.

- Właśnie - przyznaje Emma, opierając głowę o kierownicę. - I dlatego znajdujemy się tutaj. Musimy dostać się do ich domu i wykasować wiadomość. - Prostuje się zdecydowanie, otwiera drzwiczki samochodu i wysiada, nakładając żółte kuchenne rękawice. Podaje mi takie same.

- Nie możemy zostawić odcisków palców. Proszę, podaj mi tę torebkę, Lucy. - Podchodzi, by otworzyć drzwi od strony

pasażera i pokazuje na moje stopy. To jej ulubiona czarna Chloe Paddington. Jest tak ciężka, że muszę użyć obu rąk, by ją podnieść. - Zrobię to, z tobą czy bez ciebie - oświadcza z żelazną determinacją.

Otwieram torbę i zaglądam do środka. Jest pełna narzędzi: kilka śrubokrętów, wiertarka i wyglądający na solidny młotek. Zamykam ją natychmiast i przytulam do siebie. Emma próbuje wyrwać mi torebkę z rąk.

- Odbiło ci - oświadczam. - Zaraz zadzwonię do Toma.

- Nie mam wyboru - mówi ona. - Podjęłam niewłaściwą decyzję i jeśli to zrobię, mogę zmienić bieg historii. Obiecuję ci, Lucy, że jeśli mi pomożesz, skończę z Guyem. Wreszcie.

- Ale powiedziałaś, że robisz to po to, żeby cię nie zostawił.

- Lucy, nie jest tak źle, jakby się mogło wydawać - tłumaczy, ignorując moją uwagę. - Od jego sekretarki dostałam klucze do jego domu i wiem, jak rozbroić alarm. Ubezpieczam się po prostu na wypadek, gdyby automatyczna sekretarka znajdowała się w zamkniętym pomieszczeniu. Mam plan. Do diabła z narzędziami. Zresztą na pewno w domu też jakieś będą.

Zaczyna się oddalać od samochodu. Wysiadam, by ją dogonić, mocując się z torbą od Chloe. O tej porze w nocy niebezpieczne są samotne spacerki, choć w ciemnych ubraniach i żółtych gumowych rękawicach to my wyglądamy najpewniej jak osoby, których lepiej unikać. Emma zaczyna biec, naciągając na twarz kapelusz.

- Na wypadek, gdyby była tam kamera - mówi, tak jakby znajdowała się w najzupełniej znajomej sytuacji.

Staram się ją dogonić i w końcu truchtam obok niej przez Powis Square. Jestem tak zdyszana, że nie mogę wydobyć z siebie ani słowa. Wpadamy w swego rodzaju wspólny rytm i

skręcamy w małą brukowaną uliczkę. Rozsadza mi płuca z wysiłku potrzebnego do dotrzymania Emmie kroku.

Nagle doznaję objawienia. Jestem przekonana, że na końcu tej uliczki moja przyjaciółka skręci w lewo i zatrzymamy się przed dużym domem z epoki wczesnowiktoriańskiej na St Luke's Road. Nigdy wcześniej nie byłam w tym domu, ale wiem, kto tam mieszka.

Ponieważ dzięki jednemu z tych dziwnych zbiegów okoliczności, z których składa się życie, uświadamiam sobie z absolutną pewnością, że Emma ma romans z mężem Niezłej Mamuśki Nr 1. Wcześniej pojawiało się wiele wskazówek, ale za bardzo byłam pochłonięta własnymi dylematami i zignorowałam to, co oczywiste.

- Znam ludzi, którzy tutaj mieszkają - oznajmiam, kiedy wchodzimy po schodkach do wejścia. Pochyliłam się i ciężko dyszę, opierając dłonie na udach.

- Oczywiście, to dom Guya - odpowiada Emma, przyglądając mi się spod runda kapelusza. - Dobrze się czujesz, Lucy?

- Chodzi mi o to, że znam jego żonę. I jego dzieci - wyjaśniam. - Nasze dzieci chodzą do tej samej szkoły. Jest kimś pomiędzy znajomą a przyjaciółką. Prawdę mówiąc, w przyszłym tygodniu przyjeżdżamy tutaj na szkolne przyjęcie.

- Boże, to niedobrze - mówi, ale wytrwale wsadza kolejne klucze do zamków. Co kilka sekund podnosi nerwowo głowę, by sprawdzić, czy nikt nas nie obserwuje. To dramat Emmy i tak naprawdę ona nie chce, bym rościła sobie prawo do jego części. - Naprawdę mi przykro, że wplątuję cię w to wszystko, ale wiedziałam, że będziesz miała dość wyobraźni, by pomóc mi w naprawieniu tej sytuacji. Jesteś taka niewzruszona.

Drzwi wejściowe otwierają się i wchodzimy do korytarza domu Niezłej Mamuśki Nr 1.

- Naprawdę? - pytam nieco zdziwiona, zamykając za sobą drzwi i zapominając, że Emma zawsze używa pochlebstw, by dostać to, czego chce.

Wyjmuje z kieszeni małą kartkę papieru i zaczyna wstukiwać w klawiaturę alarmu kombinację liczb.

- Pewnie dlatego, że jesteś przyzwyczajona do radzenia sobie z nieprzewidywalnymi sytuacjami w nieprzyjaznych otoczeniach - szepcze. - Matki są w tym dobre.

- Mówisz to w taki sposób, że czuję się jak funkcjonariusz służb specjalnych - stwierdzam, rozglądając się.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ponieważ nie miałam luksusu zastanawiania się nad tym. Włączam światło i przyglądam się pięknemu żyrandolowi z różnokolorowymi kryształkami, który rzuca światło na kremowe ściany. Jest ono tak jasne, że mrugam oczami. Obok dużego lustra stoi stolik z bukietem kwiatów, a w odbiciu widzę czarno - biały rodzinny portret wiszący nad podestem schodów.

Niezła Mamuśka Nr 1 leży na zarośniętym trawniku razem z Guyem. W tle widać dom i tak sobie myślę, że to musi być ich ustronie w Dorset. Głowę ma odrzuconą do tyłu i śmieje się. Guy patrzy na nią z pobłażaniem. Otacza ich czwórka pociech. To zdjęcie musiało zostać zrobione latem, gdyż dzieci mają na sobie stroje kąpielowe, a Niezła Mamuśka Nr 1 obcięte džinsy odsłaniające jej długie, zgrabne nogi. Emma podchodzi, by przyjrzeć się zdjęciu, i wzdycha.

- Jak ja się w to wszystko wplątałam? - pyta ze znużeniem.

- Zdjęcia nigdy nie opowiadają całej historii - tłumaczę, starając się ją pocieszyć. - Stanowią projekcję tego, jak ludzie chcą być postrzegani.

Na stole stoi duży wazon z fioletowymi czosnkiem ozdobnym, bzem i zielonymi chryzantemami.

- Dokładnie taki bukiet przysłał mi na urodziny - mówi moja przyjaciółka z goryczą. - Pewnie kupił hurtem u Pauli Pryke. Chodźmy i poszukajmy tej automatycznej sekretarki.

Wślizgujemy się do wielkiego salonu, który przylega do korytarza, i obie zdejmujemy buty. Wysokie aż do sufitu okna zakrywają drewniane okiennice. Włączam małą lampkę na stole na końcu pomieszczenia. Stoi tam automatyczna sekretarka, mruganiem wskazując, że są nowe wiadomości.

- Mam nadzieję, że nie odsłuchali ich zdalnie - mówi Emma, zaniepokojona.

Żuje rękawy czarnej koszulowej bluzki. Wygląda na małą i kruchą. Wciskam przycisk „play”. Ciszę wypełnia głos Emmy. Powoli, lekko zachrypłym głosem zdaje Guyowi i jego żonie relację z tego, co się dzieje. Siadam na krześle przy stole, zdejmuję okulary i sennie trę oczy.

- Pani mąż prowadzi podwójne życie... - zaczyna się wiadomość. Chcę wysłuchać wszystkiego, ale moja przyjaciółka podchodzi i zanim zdążę ją powstrzymać, wciska przycisk „delete”. Czuję się z lekka oszukana, ponieważ tak mi się wydaje, że gdybym mogła odsłuchać całe nagranie, może udałoby mi się dotrzeć do tych części Emmy, które normalnie pozostają nieosiągalne.

- Nie chcę, byś to słyszała - mówi. - Wydaję się tak żałośnie zdesperowana. Racjonalna część mnie wie, że powinnam skończyć z Guyem, ale jestem na to za słaba. Nigdy nie czułam się tak bardzo z kimś związana. Uważam, że mówi prawdę, kiedy zapewnia, że mnie kocha, ale teraz dociera do mnie, że jest także szczęśliwy wtedy, kiedy przebywa ze swoją rodziną, gdy tymczasem moje życie ulega wstrzymaniu aż do jego powrotu. Jeszcze nigdy nie czułam się taka bezbronna. A było oczywiste, że tak właśnie się stanie. - Wtedy zaczyna płakać. - Tak właśnie się dzieje, kiedy zaczynasz być od kogoś zależna. Stajesz się bezsilna. To

właśnie przytrafiło się mojej matce, a teraz to samo stanie się ze mną.

- Z zakochaniem się zawsze wiąże się ryzyko - oznajmiam, lekko zaszokowana tą wyłożoną bez ogródek filozofią związkową Emmy. - Ale to nie jest oznaka słabości. Można wręcz twierdzić, że to oznaka siły. Ponieważ nieuchronnie nastąpią okresy zwątpienia i niedopasowania, ale kiedy się pokona kryzysy, przekształcają się w coś jeszcze bardziej cenniego. Chodźmy na dół i napijmy się herbaty.

Moja przyjaciółka śmieje się słabo.

- Czasami chciałabym być tobą, Lucy - mówi. - Wszystko zorganizowane.

- Nie mów głupstw. Wszystko jest domkiem z kart. W każdej chwili może się zawalić.

Stoimy koło schodów w znajdującej się w piwnicy kuchni. Włączam światło. Otacza nas olbrzymia przestrzeń. Przyglądamy się wyspie, która jest tak długa, że wygląda jak prowizoryczny pas do lądowania. Na jednym jej końcu stoi czajnik, na drugim zaś leży stos papierów. Zdejmuję gumowe rękawice i zaczynam otwierać i zamykać szafki w poszukiwaniu herbaty. Emma przegląda dokumenty, pochłonięta czymś, wygląda jak wyciąg z konta Niezłej Mamuśki Nr 1.

- Spójrz tylko na to, Lucy - mówi. - Jego żona myśli, że otrzymuje pieniądze za wynajem mieszkania, w którym mieszkam.

No tak, co miesiąc na jej konto wpływa kwota dwóch i pół tysiąca funtów, a tytuł wpłaty to „Czynsz Clerkenwell”. Rozglądam się po kuchni. Wszystko tu jest do pary: dwa zlewy, dwie zmywarki, dwa czajniki. Przyrządzam nam miętową herbatę.

- Właśnie zauważyłam, że te wszystkie urządzenia są dokładnie takie same, jak te w moim mieszkaniu - oznajmia



Emma, a do jej głosu ponownie wkrada się przygnębienie. - Idę zobaczyć sypialnię.

Biegnie po schodach, a ja za nią, odstawiając kubek z herbatą na schodek. Na drugim piętrze Emma znajduje sypialnię Guya.

- Wiedziałam - mówi. - Łóżko jest identyczne. Czy możesz uwierzyć, że wybrał dla nas dokładnie takie samo łóżko jak to, które dzieli z żoną?

- To wskazuje na pewien brak wyobraźni - odpowiadam. - Ale ty zawsze mówisz, że bankowcy działają ostrożnie i pewnie kiedy już znajdą idealne łóżko, pozostają mu wierni. Myślę, że powinniśmy już iść, nim ktoś zacznie się zastanawiać, dlaczego włączone są wszystkie światła.

Ale Emma zdążyła już zniknąć w garderobie. Udaję się za nią. Zawsze mnie ciekawiła kolekcja ubrań Niezłej Mamuśki Nr 1 i nie rozczarowuję się. Choć nieco większe wrażenie robi na mnie sposób, w jaki są poukładane, niż sama zawartość garderoby. Jest osobne miejsce na buty, każda para w pudełku z przyklejonym na zewnątrz zdjęciem. Widać całe rzędy poukładanych według kolorów kaszmirowych sweterków. Robię komórką zdjęcie, by pokazać to Tomowi.

Emma wydaje się czegoś szukać. Zdejmuje gumowe rękawice i ze zdumieniem patrzę, jak grzebie w szufladzie z bielizną Niezłej Mamuśki Nr 1. Wyjmuje prześliczny komplet Agent Provocateur i wpycha go sobie za pasek spodni.

- Nie możesz kraść jej bielizny - mówię, chwytając za ramiączko stanika. - To już naprawdę zboczone. Odłóż to, najpewniej nie nosicie nawet tego samego rozmiaru.

- Chcę to mieć jako dowód - oświadcza. - Wiesz, że kupił mi dokładnie taki sam komplet?

- Czy jeśli puszczę to ramiączko, to wyjdiesz teraz ze mną z tego domu? - pytam.

- Umowa stoi - odpowiada Emma. - Chcę zrobić tylko jeszcze jedno. - Udaje się do przyległej łazienki i wraca, trzymając w ręce wibrator Rampant Rabbit. - Dwa takie - mówi.

- Chcesz powiedzieć, że ma więcej niż jeden? - pytam.

- Nie, mnie kupił taki sam model - odpowiada.

Już nigdy więcej nie będę w stanie spojrzeć Niezłej Mamuśce Nr 1 prosto w oczy. Emma włącza wibrator. Pokój wypełnia hałas. Następnie wraca do garderoby i zostawia go włączonego w kieszeni jednego z garniturów Guya.

- To będzie dla niego dowód, że tu byłam - mówi, wysyłając mu esemesa, informującego o tym, co właśnie zrobiła.

Weekend Guya w Alpach zakończył się gwałtownie. Walczę z chęcią współczucia mu. Na tym właśnie polega problem z umiejętnością patrzenia na wszystko z punktu widzenia drugiej osoby.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Małżeństwo to coś więcej niż cztery gole nogi w łóżku

Sam leży na naszym łóżku, podczas gdy Tom i ja szykujemy się na szkolne przyjęcie. Mówi nam, że jego następny projekt dotyczy średniowiecza. Pyta, czy nie moglibyśmy nieco mu pomóc z tym tematem. Cieszę się, że odwraca tym moją uwagę od innych spraw. Ku zdumieniu Toma jestem gotowa od niemal godziny. Założyłam sukienkę powiększającą dekolt i spłaszczającą brzuch. Przez ostatni tydzień moim stałym towarzyszem był niepokój i przekonałam się, że oprócz potencjału do wspomżenia gubienia kilogramów, posiada on także zdolność przekształcenia mnie w osobę ciągle spoglądającą na zegarek. Co tam powaga, pod skórą każdej zorganizowanej matki znajdują się bogate pokłady nerwicy.

Wyglądam sukienkę na brzuchu. Znam ją dobrze niczym wierną przyjaciółkę i przypomina mi dawne czasy, inne przyjęcia z innymi ludźmi, zgromadzonymi z mniej przypadkowego powodu niż ten, że nasze dzieci chodzą do tej samej szkoły. Łączy mnie z czasami przedmałżeńskimi i w tym znaczeniu jest to strój o wielkiej mocy, którą znam tylko ja.

Sam przygląda się, jak nakładam krem na ręce, a potem wmasowuję go w palce, specjalną uwagą obdarzając wierzchy dłoni. Ich suchość, początki brązowych plam wątrobowych i pergaminowa skóra wokół knykci kojarzą mi się z moją matką. Obie zawsze same myłyśmy garnki. Matka nigdy nie nosiła rękawic, gdyż uważała, że symbolizują domowe podporządkowanie się kobiet. Ja ich nie nosiłam z tego powodu, że nigdy nie mogłam ich znaleźć we właściwym momencie. Uważam, że to właśnie podsumowuje najważniejszą różnicę między nami. Jej pasję i moją

pasywność. A jednak pochodzeniu obu tych słów jest takie sarno: z łacińskiego *passus*, „cierpieć”.

Skórki wokół moich paznokci są pogryzione i krem piecze te otwarte, czerwone rany. Kiedy moje dłonie są tak gładkie, że aż lśnią, przenoszę uwagę na przedramiona i widzę, że oczy Sama podążają za ruchem moich palców, poruszających się energicznie w górę i w dół.

- Co ty robisz? - pytam go.

- Próbuję się zahipnotyzować - odpowiada mój syn, siedząc w bezruchu.

Głaszczę go po włosach i choć raz mi na to pozwala, przytulając się do mojego ramienia. Pamiętam, że kiedy Sam był mały, leżałam obok niego na podłodze w kuchni, nim był w stanie przekrócić się sam na bok, starając się obliczyć wartość zajmowanej przez niego niewielkiej przestrzeni i uświadamiając sobie, że nie ma ceny, którą można by za nią zapłacić. Kiedy byłam w ciąży z Joem, wydawało mi się niemożliwe, bym to nowe dziecko pokochała równie mocno. Wyobrażałam sobie, że będę musiała podzielić uczucia na pół, ponieważ z całą pewnością istnieje ograniczony poziom miłości. Ale to właśnie był cud macierzyństwa: odkrycie, że zawsze istnieją niewykorzystane zapasy. I każdego dnia, pomimo zamieszania i chaosu, są takie krótkie chwile, kiedy czuję jedynie właśnie to: czystą przyjemność miłości.

Przedstawiłam Tomowi skróconą wersję tego, co wydarzyło się podczas mojej nocnej wyprawy z Emmą, ponieważ wiedziałam, że gdybym zaznajomiła go z całą historią, w żadnym wypadku nie zgodziłby się dzisiaj iść na to przyjęcie. Oczywiście, że kiedy już się tam znajdziemy i rozpozna Guya, uświadomi sobie, że nastąpiło drobne zderzenie dwóch światów, ale wtedy będzie za późno. Jest to najpewniej nieodpowiedzialne myślenie z mojej strony, ale mam nadzieję, że być może to odkrycie odwróci uwagę od

nieszczęsnego incydentu z wysianym na niewłaściwy adres e - mailem, stanowiącym źródło jego olbrzymiej troski. Oboje jesteście równie zdenerwowani perspektywą spotkania z Robertem Bassem, choć z odmiennych powodów. Uważam, że przejmowanie się koniecznością stanięcia twarzą w twarz z jedną osobą mu wystarczy. Gdyby Tom musiał się mierzyć z takim samym niepokojem, jaki ogarniał mnie na myśl o spotkaniu z Guyem i Niezłą Mamuską Nr 1, byłoby to nie do zniesienia. Z roztargnieniem zaczynam wcierać krem do rąk w twarz, zapominając, że psuję sobie w ten sposób makijaż.

- Jak myślisz, o co chodzi ze średniowieczem? - pytam Sama, nakładając ponownie podkład.

Siada po turecku, przez chwilę zastanawia się nad tym pytaniem z palcem na ustach, a potem odpowiada z namysłem:

- Twoje nowe brwi, łysienie tatusia, nieustanne zmęczenie, roztargnienie. Och, i rozpadanie się. - To jego nowe ulubione słowo.

- Masz na myśli średni wiek - wyjaśniam mu. - Średniowiecze to coś zupełnie innego.

Opowiadam mu o wędrownych minstrelach, turniejach na kopie, puszczaniu krwi i pojawieniu się w Anglii oliwy z oliwek. Sam oddycha z ulgą.

- To się wydaje znacznie fajniejsze - mówi i idzie na dół, gdzie opiekunka przygotowuje dla nich wszystkich gorącą czekoladę.

- Myślisz, że się rozpadamy? - pytam Toma. Nieszczerze podoba mi się taka wizja.

- W znaczeniu takim, że obecnie większa część naszych komórek umiera niż się rozwija, to chyba tak! - odkrzykuje z łazienki. - Zbliżamy się do średniego wieku, nawet jeśli ludzie nie lubią już się określać w taki właśnie sposób.

- Cóż, ja się naprawdę nie czuję jak osoba w średnim wieku - mówię.

- To dlatego, że przechodzisz kryzys wieku średniego - odpowiada mój mąż przez przymknięte usta. Na pewno goli teraz ten fragment po prawej stronie podbródka. - Kurczowo trzymasz się ostatnich śladów młodości.

- Zdefiniuj kryzys wieku średniego - proszę z lekkim niepokojem.

- Niezadowolenie ze statusu quo, nerwowość, kwestionowanie podjętych przed laty decyzji, przekonanie, że się oddała od męża, zastanawianie się, czy szczęście nie czeka przy boku innego mężczyzny, włamywanie się do domu zupełnie obcych osób - wymienia Tom, wystawiając głowę przez drzwi. Macha maszynką, by podkreślić to ostatnie. - Ale przejdzie ci.

- Dlaczego wcześniej nic mi o tym nie wspomniałeś? - pytam.

- Nie chcę pogłębiać twojego kryzysu - odpowiada. - I martwię się, że to może być zaraźliwe.

- Mark mówi, że już się nie komunikujemy we właściwy sposób.

- Dlatego, że zawsze nam ktoś przeszkadza, najczęściej nasze dzieci, ale czasami twoje przyjaciółki, a ostatnio moja praca. Lucy, nie mam czasu, by zagłębiać się we wszystko, co dzieje się w twojej głowie - wyznaje Tom. - Ale dobrze rozumiem ogólny obraz i nie uważam, by godziny analizowania cokolwiek poprawiły. Prawdę powiedziawszy, mogłyby wywołać skutek dokładnie przeciwny. Jednakże w chwili obecnej znacznie bardziej przejmuję się tym, byś pozostała na tyle trzeźwa, by nie ujawniać zupełnie obcym ludziom dalszych szczegółów naszego pożycia seksualnego.

- To nie są zupełnie obcy ludzie - mówię. - Co więcej, będziemy znać tych ludzi przez następne sześć lat. Prawda jest

taka, że czasami się odkrywa, iż ludzie, o których się myśli, że się ich nie zna, okazują się bardziej znajomi niż ci, o których się sądziło, że się ich zna. Jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Nie jestem pewien - odpowiada z westchnieniem. Wkrótce będziesz - mówię do siebie w myślach.

- A poza tym nie włamałyśmy się do domu Guya, miałyśmy klucze - oświadczam.

- To jakby powiedzieć, że człowiek, który ukradł samochód, ponieważ zostawiłaś kluczyki na schodach, tylko go sobie pożyczył - ripostuje Tom.

- Obiecałeś, że już nigdy więcej o tym nie wspomnisz.

- Wciąż do siebie dochodzę po tym, jak się dowiedziałem, że pomogłaś Emmie w realizacji jej planu. I że kiedy wróciłaś do domu, obudziłaś mnie, by pokazać zrobione telefonem zdjęcie garderoby, tak jakby to właśnie było w tym wszystkim najbardziej godne uwagi.

- Cóż, bo w pewien sposób było.

Niecałą godzinę później stoimy na progu domu Niezłej Mamuśki Nr 1. Jest jeszcze na tyle jasno, by zobaczyć, że schody pokrywa mozaika małych płytek w kolorze białym, niebieskim i brązowym. Po jednej ścianie domu pną się wisteria, która jeszcze nie zdążyła zakwitnąć. W ogrodzie od frontu rosną trawy, wilkomlec i olbrzymi len nowozelandzki w kolorze wina. Wygląda to urzekająco niedbale, ale wiem, że to efekt drobiazgowego planowania, jako że był to jeden z Wielkich Projektów Niezłej Mamuśki Nr 1. Inne to Szklana Dobudówka Podwójnej Wysokości i Mieszkanie do Wynajęcia, w którym teraz rezyduje Emma.

Drzwi otwiera nieznana mi kobieta. To pewnie ta filipińska gosposia, myślę, próbując sobie przypomnieć konfigurację narodowościową personelu Niezłej Mamuśki Nr 1. Pamiętam, jak wspominała o dwojgu au pair z Europy Wschodniej, mężczyźnie i kobiecie, „tak by nie zblądzili”, i

jednej angielskiej niani. Przez długi czas miała też nocną nianię, która za pomocą technik Ajurwedy trenowała dziecko, by przespiało całą noc. No i jeszcze słowacki osobisty trener. To się nazywa globalizacja.

Wprowadzają nas do salonu, gdzie proponuje się nam wino. Jeszcze zanim zobaczę butelkę, wiem, że to Pulligny Montrachet. Emma ma rację. Guy nie ma zbyt wielkiej wyobraźni.

Słucham toczącej się za mną rozmowy.

- Mogliśmy IPO z MBO, co zrobiliśmy w zeszłym roku, a John zbije fortunę na swoim LTIP - mówi jeden mężczyzna w garniturze do drugiego.

Tom patrzy na mnie, unosząc brew. To może być długi wieczór - mówi jego spojrzenie.

Przez pomieszczenie przepływa Niezła Mamuśka Nr 1. Wygląda nawet szczuplej niż przed feriami, cienka i sucha jak papier. Choć to szkolne przyjęcie, wyraźnie widzi siebie w roli gospodyni. Ubrana jest w obcisłe białe dzinsy, buty na korkowych, klinowych obcasach i top w stylu etnicznym, pewnie z Selfridges. Wygląda fantastycznie.

Cóż za marnotrawstwo tych wszystkich godzin zainwestowanych w siłownię i staranne dobieranie garderoby. To tak, jak uczenie się do egzaminów, które w ostatniej chwili zostają odwołane. Jeśli robisz to wszystko, a mimo to twój mąż skacze w bok, w takim razie niewiele sensu wydaje się mieć poddawanie się tym czasochłonnym odmładzającym technikom. Lepiej zostawić miejsce na udoskonalenie niż osiągnąć doskonałość. Patrząc na te długie nogi, które Emma podziwiała w zeszłym tygodniu na zdjęciu, obleczone spodniami tak obcisłymi, że zwązają się w kolanach, a potem lekko rozszerzają, by otulić łydkę, uznaję, że bez względu na to, co dyktuje moda, przez resztę życia pozostanę przy moich kilku dodatkowych kilogramach i będę nosić wygodne dzinsy.



Rozglądam się po pokoju i obserwuję pozostałych rodziców. Inne Niezłe Mamuśki są ubrane w różne wariacje tego samego stylu i nie po raz pierwszy zastanawia mnie, skąd wiedzą, co każda z nich będzie miała na sobie, i jaki ma sens zadawanie sobie tego całego wysiłku, skoro wszystkie i tak ostatecznie wyglądają tak samo. Ale może o to właśnie chodzi. To kwestia środowiskowa. Dokładna wiedza na temat tego, jaka marka dżinsów z L.A. znajduje się obecnie na topie. Dla Niezłej Mamuśki Nr 1 coś takiego z całą pewnością przybrało formę sztuki.

Mamy Korporacyjne ubrane są w garsonki wykradzione z szafy ze strojami służbowymi, które wyglądają nieco formalnie z tymi wszystkimi prostymi cięciami i spokojnymi kolorami. No i są też mamy takie jak ja, Mamy Fleje, siejące zamieszanie i przytępione, te, które nie wiedzą, co zrobić, kiedy przytrafia im się wolna chwila, ponieważ zdarza się to tak rzadko. Mamy na sobie stare sukienki, które z upływem lat poszerzały się razem z nami.

- Lucy, fantastycznie cię widzieć - wita nas Niezła Mamuśka Nr 1, nachylając się, by pocałować mnie w oba policzki. Ten kontakt jest tak nieoczekiwany, że kończy się niezdarnym pocałunkiem w usta. - A to pewnie Tom - mówi, tak jakby po raz pierwszy został zarejestrowany przez jej radar, choć z pewnością spotkała go wcześniej w szkole.

Zauważam, że paraduje z tym odwróconym image'em pandy, tak bardzo lubianym przez narciarzy. Białe oczy pośród ciemnobrązowej opalenizny.

- Udały ci się ferie? - pytam.

- Les Ares, z przyjaciółmi - odpowiada. - Fantastyczny śnieg. A tobie?

- Les Mendips - mówię z francuskim akcentem. - Z moimi rodzicami. W Wielkanoc spadł świeży śnieg. Nietypowo jak na tę porę roku.

Tom czyni krok w bok, by spojrzeć na mnie, skonsternowany kierunkiem tej rozmowy, i wzrusza ramionami.

- Nie słyszałam o tym kurorcie. Czy to w Bułgarii? - pyta Niezła Mamuśka Nr 1.

- Trochę bardziej na zachód - odpowiadam wymijająco.

- Mark Warner? Powder Byrne? Jazda poza wyznaczonymi szlakami? Trudne trasy? - pyta Niezła Mamuśka Nr 1, używając skrótów werbalnych, by zaznaczyć rychły koniec naszej dyskusji na temat zalet kurortów narciarskich.

Jak na zawołanie widzę stado Niezłych Mamusiek z identyczną opalenizną, machających do niej z drugiego końca pomieszczenia.

Myślę o pełnej napięcia godzinie spędzonej na przemierzaniu małych wiosek w dolinie rzeki Avon po tym, jak najpierw zapomniałam powiedzieć Tomowi, by skręcił z M4, po czym odkryłam, że w naszej mapie drogowej Wielkiej Brytanii brakuje kluczowej strony z rzeczonymi wioskami.

- Dramatycznie - mówię. - Zjeździliśmy się jak nie wiem co.

Należy do tego dodać kłótnie: 1) o to, dlaczego nasze ubrania zapakowane były w plastikowe torby zamiast walizek, 2) jak to możliwe, że pomimo nadmiaru plastikowych toreb w bagażniku, wewnątrz nie ma ani jednej pustej na wypadek choroby lokomocyjnej i 3) na jakiej podstawie uznaliśmy się kiedyś za wystarczająco ze sobą zgodnych, by wziąć ślub.

- Kurort miał dużo gwiazdek? - pyta Niezła Mamuśka Nr 1 uprzejmie.

- Raczej przeciętnie. Było jednak bardzo zimno - odpowiadam. - Czy twojemu mężowi udało się wziąć z pracy trochę wolnego?

- Przyleciał do nas „pomarańczowym okiem” na obydwie weekendy - mówi. I dodaje, kiedy widzi, że wyglądam na oszołomioną: - To lot Easy Jet do Genewy wcześniej rano w sobotę.

Niezła Mamuśka Nr 1 przenosi uwagę na mojego męża.

- Bardzo chciałabym cię oprowadzić, Tom, i dowiedzieć się, co myślisz o domu - mówi. - Choć wiem, że już wiele lat temu przestałeś pracować w firmie zajmującej się szklanymi dobudówkami.

- Cóż, przez długi czas stanowiło to moje źródło utrzymania - odpowiada Tom. Wtedy Niezła Mamuśka Nr 1 woła swojego męża, by podszedł i nas poznał.

- Guy, Guy! Chodź tu i poznaj Sweeneyów. Właśnie wrócili z Les Mendips i było tam fantastycznie.

Guy zbliża się do nas z drugiej części pomieszczenia. Uśmiecha się jak ktoś, kto jest wyraźnie przyzwyczajony do kontrolowania sytuacji. Mężczyzna, który podczas kolacji ma zawsze na podorędziu jakąś niezłą anegdotę, który wie, jak sprawić, by kobieta będąca obiektem jego zainteresowania poczuła się, jakby była jedyną osobą na świecie, który potrafi otaksować wzrokiem pomieszczenie, dostrzec osobę najbardziej przydatną w jego karierze i nawiązać rozmowę z tą osobą, niezdającą sobie w ogóle sprawy, że jej rozmówca wyrabia sobie właśnie kontakty.

To ten sam uśmiech, którego używa, kiedy dobija Ważnego Interesu albo kiedy popisuje się przed młodszymi kolegami z pracy lub poznaje przyjaciół swej kochanki. Unosi na powitanie butelkę wina. Przyglądam mu się uważnie, pragnąc zarejestrować dokładny moment, kiedy dotrze do niego, że nie jest już panem sytuacji.

Trwa to kilka sekund dłużej niż zakładałam, ponieważ po drodze zatrzymuje się, by się przywitać z innymi gośćmi, i korzysta z okazji, by rozejrzeć się po salonie i pławić się w

zainteresowaniu. Jak na mężczyznę niskiego wykonuje całkiem długie kroki. Kiedy znajduje się jakieś dwa metry od nas, jego uśmiech znika zupełnie i przez chwilę stoi znieruchomiały z szoku, a jego oczy biegają od Toma do mnie. Przez chwilę wyobrażam sobie, że w pomieszczeniu zapada cisza, po czym Guy ponownie rusza do przodu, być może nieco sztywno, ale udaje mu się przywołać na twarz coś na kształt zadowolenia, choć kiedy się do nas zbliża i ściska mi dłoń, widzę, jak mięśnie jego policzków drgają z wysiłku, którego wymaga zachowanie przyjaznego wyrazu twarzy. Jego spojrzenie jednakże pozbawione jest uśmiechu. Jest zimne i zagniewane.

- Mam szczęście, że tutaj jest, gdyż ostatnim razem, kiedy mieliśmy spotkać się z przyjaciółmi na kolacji, Guy musiał lecieć do Paryża do pracy - mówi Niezła Mamuśka Nr 1.

- Praca to jego kochanka. Nieprawdaż, skarbie?

Tom sztywnieje obok mnie i trzymamy się za ręce nieco zbyt mocno, by zapewnić sobie nawzajem choć takie wsparcie.

- Miło was poznać - mówi Guy, w sposób formalny ściskając nam dłonie.

Tomowi potrzeba nieco więcej czasu, by dojść do siebie, i podczas gdy udaje mu się uścisnąć dłoń Guya, wzdryga się lekko, kiedy ją puszcza i wsuwa swoją do tylnej kieszeni spodni, gdzie jego ręka drga nerwowo przez kolejne pięć minut.

- Lucy jest w trójce klasowej - wyjaśnia ciepło Niezła Mamuśka Nr 1 mężowi. - Pomogła zorganizować dzisiejszy wieczór i udało jej się przekonać kobietę, która tym wszystkim dowodzi, że nie musimy przychodzić przebrani za ulubione postaci z książek.

- Za to letni festyn będzie się odbywać pod hasłem „Starożytny Rzym”.

Tom i Guy milczą, pozostając w bezruchu.

- To jedna z moich zadeklarowanych sojuszniczek - mówi Niezła Mamuśka Nr 1.

Patrzy z niepokojem na męża, tak jakby chciała, by powiedział coś stosownego. Staram się nie dopuścić do tego, by jej słowa mi schlebiali, gdyż wiem, że ona tylko zachowuje pozory i że nadal będę pomijana na szkolnym dziedzińcu, jeśli pojawią się smaczniejsze kąski.

- Dużo o tobie słyszałem - odzywa się wreszcie Guy. Obejmuje ramieniem żonę, by zachować równowagę.

Napełnia kieliszek Toma winem i dostrzegam, że lekko drży mu ręka.

- Mogę pożyczyć go sobie na chwilę? - pyta Niezła Mamuśka Nr 1, wskazując na Toma. - Naprawdę bardzo chcę mu pokazać kuchenną dobudówkę. Mieliśmy tego samego architekta co David Cameron. Mieszka tuż za rogiem. Bardzo ekscytujące jest mieszkanie w sąsiedztwie następnego premiera.

Oddała się z jedną dłonią w tylnej kieszeni dżinsów, prezentując pupę w jej całej obcisłej chwale, i wiem, że jest to gest adresowany bezpośrednio do mojego męża.

- Nie ma to nic wspólnego ze średnim wiekiem - szepcze do mnie Tom, po czym udaje się za nią.

Wiem, że w drodze do domu czeka mnie fala wyrzutów, ale wiem także, że mogę polegać na moim mężu, który z całą pewnością nie urządzi żadnej sceny.

- Później cię znajdę, Lucy. Muszę z tobą o czymś porozmawiać - mówi na odchodne Niezła Mamuśka Nr 1.

Tym razem udaje mi się powstrzymać impuls do wymyślania ekscytujących scenariuszy. Jeśli pragnie po prostu mojej rady na temat szkół, to moją transformację w Poważną Matkę będzie można uznać za zakończoną.

Guy i ja zostajemy sami. Biorę z jego ręki butelkę wina i nalewam sobie hojnie do kieliszka, po czym odstawiam ją na stół, na którym znajduje się automatyczna sekretarka. Tym razem nie mruga do mnie. Przysiadam na krawędzi stołu, a Guy odwraca się przodem do okna, tak by nikt nie widział, że rozmawiamy.

- Jesteś fanem Camerona? - pytam uprzejmie. - Czy też uważasz, że w każdym konserwatyście drzemie duch Normana Tebbita?

- W co ty się, kurwa, bawisz? - pyta. Jego głos jest cichy, ale przepełniony agresją, a twarz ma tak blisko mojej, że czuję gorąco jego oddechu. - Druga wizyta w ciągu tygodnia? Mam wielką ochotę zadzwonić na policję. Z pewnością wszędzie znajdują się wasze odciski palców.

- Nie bądź niemądry - mówię. - Co powiedziałbyś policji?

- Cóż, myszkowałyście po moim domu, ukradłyście żonie bieliznę, no i jeszcze zostawiłyście mi w kieszeni to... urządzenie - odpowiada z wściekłością. - Jeszcze działało, kiedy wróciłem do domu.

- Miałyśmy rękawiczki.

- Wiem, ponieważ zostawiłyście jedną parę w garderobie mojej żony. Musiałem zabrać je ze sobą do pracy, by się ich pozbyć.

- Ja byłem tylko obserwatorką. Jedyne, co zrobiłam, to pomogłam usunąć wiadomość Emmy, i myślę, że zgodzisz się ze mną, iż oddałam ci w ten sposób przysługę. Pomyśl tylko o drugiej ewentualności - mówię, starając się go uspokoić za pomocą logiki.

Kładzie dłoń na tylnej części głowy i zaczyna pocierać ją z rozdrażnieniem. Zauważam, że przerzedzają mu się włosy.

- Przepraszam, to strasznie stresujący okres, Emma nie odbiera moich telefonów, żona obserwuje każdy mój krok. Uważam, że mogłaś mnie ostrzec - mówi. - Dlaczego Emma

nie powiedziała mi, że znasz moją żonę i że nasze dzieci chodzą do jednej szkoły? - z jego gardła wydobywa się jęk.

- Musiałam tu przyjść, gdyż pomagałam w organizowaniu tego przyjęcia - wyjaśniam, zataczając ręką koło. - A jeśli chodzi o Emmę, być może lepiej będzie zadać to pytanie jej.

Moja ręka uderza w coś twardego i odwracam się dokładnie w chwili, gdy zawartość kieliszka z winem rozlewa się na koszulę w paski jakiegoś ojca ze szkoły. Podnoszę głowę, by się przekonać, czy znam tę osobę i już, już mam przeprosić, kiedy moje ciało ogarnia znajomy dreszczyk podekscytowania, bo widzę, jak Robert Bass stara się zebrać nadmiar wina chusteczką, wyglądającą na niezbyt czystą.

- Boże, przepraszam - mówię, zastanawiając się, jak to możliwe, że taki mały kieliszek wina zostawił tak wielką plamę na jego koszuli. - Guy, to Robert Bass. Jego syn chodzi do tej samej klasy, co nasze dzieci.

- Więc to ty jesteś tym pisarzem - odzywa się zimno Guy, przerywając niestosownie długie milczenie, i wiem, że udaje mu się dojść do właściwych wniosków. - Lucy opowiadała mi o tobie.

- Och - mówi Robert Bass, wyglądając na zadowolonego.

- Rozmawialiśmy o jej urlopie w kurorcie narciarskim Les Mendips - dodaje Guy. - I czy to moralnie naganne jeździć na nartach poza wyznaczonymi trasami, gdy się wie, że coś takiego może spowodować lawinę.

Następnie oddala się bez słowa.

- Pójdę poszukać ręcznika albo czegoś w tym rodzaju - mówię do Roberta Bassa, czując się wyjątkowo podenerwowana tą sytuacją.

- Co go ugryzło? - pyta. - Pójdę z tobą. Wychodzimy na korytarz. Nie ma tam nikogo. Wszyscy są albo w salonie, z którego właśnie wyszliśmy, albo na dole w kuchni. Wchodzę do niewielkiego pomieszczenia obok drzwi wejściowych,

które pamiętam z zeszłotygodniowej wizyty. Biegnie przez całą szerokość domu i jest używane jako szatnia oraz ogólnie składowisko wszystkiego. Na końcu, obok wychodzącego na ogród okna, znajduje się niewielki zlew. Biorę ręcznik i podaję go Robertowi Bassowi.

- Skąd wiedziałaś o tym pomieszczeniu? - pyta, wycierając wino ręcznikiem.

Bierze do ręki kieliszek i wypija to, co w nim pozostało, jednocześnie nie spuszczać ze mnie wzroku. Przygląda się zarysowi mojej sukienki, tam, gdzie dotyka skóry na ramieniu, przesuwać spojrzenie od twardości mostka aż do miękkich konturów nad dekoltem. Zagryza dolną wargę w zamyśleniu i wpatruje się we mnie z takim napięciem, że muszę odwrócić wzrok.

- Instynkt - odpowiadam.

- Musisz mieć dobrze rozwinięty.

- Czasami.

- Cóż, znajdujemy się bez wątplenia na uboczu, Lucy - mówi, zamykając za sobą drzwi.

W związku nadchodzi taki moment, że to, co nie zostało powiedziane, staje się ważniejsze od tego, co powiedziano, i właśnie dotarłam do takiego momentu z Robertem Bassem. Ale powinnam mu była powiedzieć, że moje intencje były szlachetne, kiedy zaproponowałam, że poszukam ręcznika, i że nie miałam zamiaru zwabiać go do tego pomieszczenia. Milczę jednak. Światło jest włączone, ale mimo to jest tutaj ciemnowo, a od świata zewnętrznego oddzielają nas płaszcze i swetry, które wiszą schludnie na kołkach po obu stronach szatni. To taka chwila, do której człowiek po latach wraca i zastanawia się, jak sprawy by się potoczyły, gdyby się obrało inną drogę. To czas na podjęcie decyzji.

Robert Bass wyciąga rękę i środkowym palcem przesuwa po linii, którą minutę temu parzył swym spojrzeniem, aż



wreszcie zatrzymuje go w tym miękkim rowku między piersiami. Słyszę westchnienie, które w mniej milczącym kontekście mogłoby przejść niezauważone, i ze zdumieniem stwierdzam, że to ja je wydaję. Przyjemność jest ogromna. To tak, jakby mój rozum odłączył się od ciała, a ja obserwuję, jak to wszystko przytrafia się komuś innemu. Opieram się o kozuch Niezłej Mamuśki Nr 1 i unoszę lekko głowę ku sufitowi, by Robert Bass miał dostęp do niższych rejonów mej szyi. Teraz to ja zagryzam dolną wargę. Nie chcę, by przestał, ale nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za wyjście mu naprzeciw.

Odsuwa palec, a ja ponownie wzdycham, ponieważ każda część mego ciała żąda dalszej uwagi. Wtedy widzę, jak nachyla się ku mnie. Kładzie jedną dłoń na ścianie, pozwalając reszcie ręki oprzeć się o moje ramię, natomiast drugą wsuwa mi pod sukienkę na ramieniu, po czym sunie nią powoli w dół, aż odsłania większość górnej połowy mego ciała. Drzę z rozkoszy towarzyszącej wyczekiwaniu. Ryzyko nakrycia jedynie zwiększa ekscytację i zastanawiam się, jak przez tyle lat udało mi się trzymać z daleka od tego rodzaju przeżyć. Wtedy Robert Bass nachyla się jeszcze bardziej, a ta dłoń, która przed chwilą znajdowała się na moim ramieniu, przyciąga mnie teraz do niego i już, już mamy się pocałować, kiedy rozlega się pukanie do drzwi.

- Lucy, czy to ty tam jesteś? - odzywa się zza drzwi męski głos. - Lucy?

Strach przed przyłapaniem pomniejsza nieco fakt, że nie jest to ani Tom, ani żona Roberta Bassa. Ale pukanie jest tak uporczywe, że nieuchronnie przyciągnie uwagę innych gości.

Podchodzę do drzwi i uchylam je lekko. To Sławny Tata.

- Ćśśś - mówię, kładąc palec na ustach.

- Nie trzeba być cicho na imprezach! - woła, wpychając się do środka. - Wiedziałem, że to ty, Sweeney. Byłem w ogrodzie, spojrzałem w to okno i rozpoznałem twoją sukienkę.

- W ogrodzie? - mówię.

- Myślałem, że bierzesz kokę. - Biorę kokę?

- Będziesz powtarzać wszystkie moje słowa? - pyta. Zatrzaszkuje za sobą drzwi. Robert Bass zdążył się cofnąć na koniec pomieszczenia i stoi teraz za jakimiś długimi płaszcami obok zlewu. Widzę jego nogi pomiędzy parami kaloszy i innych butów. Ale Sławny Tata ma własny plan i z kieszeni marynarki wyjmuje kartę kredytową oraz małą torebeczkę z białym proszkiem. Zamyka drzwi na klucz, siada na niskim taborecie, bierze ze sterty koło drzwi jakieś czasopismo i wprawnie przygotowuje ścieżki kokainy. Wielkodusznie podaje mi czasopismo, ale ja odmawiam.

- Mam dość problemów bez chemicznego wspomagania - mówię.

Sławny Tata nachyla się nad czasopismem i wciąga ścieżkę przez zwinięty banknot dwudziestodolarowy. Widok ten jest mi tak znajomy, że przez chwilę zastanawiam się, w oszołomieniu wywołanym winem, niezaspokojonym pożądaniem i brakiem powietrza, czy przypadkiem nie oglądam właśnie któregoś z jego filmów. Możliwe, że ten, który wyreżyserował Quentin Tarantino. Następnie zaczynam oceniać, czy gorzej byłoby zostać nakrytą in flagranti z jednym rodzicem, czy podejrzewaną o branie narkotyków z innym, i dochodzę do wniosku, że nie ma wielkiego wyboru między nimi dwoma i że muszę się stąd wydostać jak najszybciej.

- Co w takim razie tutaj robiłaś? - pyta Sławny Tata.

Patrzy na sukienkę, która zwisa mi z ramienia. Podciągam ją w górę, ale wtedy rozsuwa się na brzuchu. Jedyńm wyjściem jest rozwiązanie tej kopertowej sukienki i

zawiązanie jej od początku. Tak więc szybko ją odwiązuję, po czym owijam wokół siebie i wiązę nad talią ciasny węzeł.

- Poprawiałam sukienkę - mówię. - Nie spodziewałam się widowni.

- Fantastycznie jest wyjechać z L.A. i znaleźć się znowu w kraju, gdzie kobiety wyglądają jak kobiety - oświadcza z entuzjazmem Sławny Tata. - Uwielbiam te wasze biusty i pupy, to znacznie zdrowsze niż obracanie się w towarzystwie kobiet w średnim wieku z ciałami dziewczynek przed okresem dojrzewania. Poprawiaj więc wszystko, na co tylko masz ochotę.

- Naprawdę muszę zaczerpnąć świeżego powietrza - mówię, kiedy już jestem przekonana, że odzyskałam poczucie przyzwoitości. - Chyba pójdę się przejść po ogrodzie.

- Pójdę z tobą. Ta kobieta nie dawała mi spokoju, wciąż mnie pytała o dodatkowe zajęcia moich dzieci, czy mają zamiar studiować na Harvardzie, o moją opinię na temat rodzicielskiej dyscypliny. Każdy by przez nią zaczął brać prochy.

- Co więc jej powiedziałaś? - pytam.

- Zapytałam, czy mogłaby mnie przedstawić tym dwóm paniom, które wyskoczyły na ekranie jej komputera, kiedy byliśmy w kafejce - odpowiada.

Schodzimy do kuchni i tłum rzędzie, jak zawsze, kiedy się zbliża Sławny Tata. Kelnerka podchodzi do nas z tacą maleńkich tajwańskich sajgonek i korzystam z okazji, by wziąć sobie kilka. Zastanawiam się, czy Sławny Tata dostrzega to całe milczące zainteresowanie. Czy to poważanie zaczęło się w ciągu jednego dnia po premierze tego filmu braci Coen, czy też było to coś, co narastało powoli, tak że początek pozostał niezauważalny?

Szukam w tłumie Toma, ale nie mogę go znaleźć. Pomimo pełnych zazdrości spojrzeń innych matek, to z nim najbardziej

chciałabym być w tej właśnie chwili. Wychodzę do ogrodu ze Sławnym Tata, świadoma obserwujących mnie wielu par zawistnych oczu. Kiedy oddycham wieczornym powietrzem, ignorując mżawkę, i sącę kolejny kieliszek wina, moje ciało zaczyna ogarniać słabość, która nadchodzi po przeżyciu niespodziewanego szoku. Tak sobie myślę, że nie jestem typem osoby, która potrafi przyzwyczać się do takich sytuacji. Taka jest właśnie różnica między Guyem a mną. On jest niewierny w sposób profesjonalny, gdy tymczasem ja na zawsze pozostanę amatorką. Już mnie dręczy poczucie winy z powodu pocałunku, do którego nawet nie doszło. Postanawiam sobie tu i teraz, że już nigdy nie znajdę się w tak kompromitującej sytuacji. A mimo to w głowie na nowo raz po raz rozgrywam tę scenę, zastanawiając się, gdzie by się to wszystko skończyło i czy, założywszy, że zaistniałyby podobne okoliczności, mogłoby się to przytrafić ponownie. Ponieważ czasami, kiedy ludzie zobaczą, co się znajduje nad przepaścią, dochodzą do wniosku, że wolą uczynić kilka kroków w tył, mimo że widok jest naprawdę fantastyczny. A im dłużej o tym myślę, tym bardziej żałuję, że nie znajduję się nadal w tej szatni.

- Przeszkadza ci sposób, w jaki ludzie zachowują się w twoim towarzystwie? - pytam Sławnego Tatę, mając nadzieję, że rozmowa oderwie mnie od tych niespokojnych myśli.

- Co masz na myśli? - pyta, głośno pociągając nosem. Doszliśmy do końca ogrodu, ale zabrało nam to dobre pięć minut. W rogu, obok wielkiej kosiarki do trawy i drabinek dla dzieci, które można znaleźć w dobrym londyńskim parku, znajduje się nieskazitelnie czysty domek do zabawy z małą werandą i parapetem, na którym poustawiano prawdziwe rośliny. Wokół okna rozwieszane są mrugające małe lampki.

Sławny Tata otwiera drzwi domku.

- Panie przodem - mówi z udawaną galanterią. - Prawda jest taka, Lucy, że nieczęsto spotykam się z osobami, które nie są sławne. Wiem, że brzmi to arogancko, ale tak już jest. I czasami te osoby zdążyły już zapomnieć o tym, kim są, więc fajnie jest znaleźć się w towarzystwie zwykłych ludzi. Nieprzewidywalnych. Jak ta kobieta, która przewodniczy trójce klasowej. Jest przezabawna. Mam zamiar ją zdemoralizować. To będzie moja misja. Da się rozpoznać osoby podatne na demoralizację. Ty nie jesteś jedną z nich.

- Skąd to wiesz? - pytam.

- Instynkt - odpowiada.

Schylamy się, by przejść przez małe drzwi, ale w środku jest tak przestronnie, że ponownie możemy się wyprostować.

- Nic nie mów. Wiem, że w prawdziwym życiu jestem niższy - mówi Sławny Tata. - Nie mów mi tego, co wiem; powiedz mi to, czego nie wiem.

- O to mi właśnie chodzi. Spodziewasz się, że będziesz zabawiany, a dla reszty z nas życie wcale tak nie wygląda. Sami musimy się troszczyć o własną rozrywkę.

- Lucy, kiedy jestem z tobą, wiem, że będę się dobrze bawił - oświadcza Sławny Tata.

Stawia na środku małe dziecięce krzeselko i przygotowuje kilka kolejnych ścieżek koki. Przyglądam się usytuowanej w rogu domku umywalce i ze zdumieniem odkrywam, że kiedy przekreśli się maleńki kran, leci z niego prawdziwa woda.

- Nie możesz tego tutaj robić - mówię, odwracając się i wyglądając przez okno, na wypadek, gdyby w pobliżu znajdowali się inni rodzice. - Schowaj to. To nie tego rodzaju impreza.

- A tak przy okazji, to widziałem go tam. Wisiał pomiędzy tymi wszystkimi płaszcami niczym jakaś instalacja artystyczna - oświadcza Sławny Tata, ignorując moją uwagę.

- O czym ty mówisz? - pytam ostrożnie, choć i tak znam już odpowiedź.

- Widziałem Głęboką Płyciznę razem z tobą w tamtym pomieszczeniu - wyjaśnia. - Ale nie zdradzę nikomu twojego małego sekretu, o ile ty nie zdradzisz mojego.

- To nie tak - protestuję.

Nie ma nic gorszego niż oskarżenie o niewierność, jeśli człowiek nie cieszył się jej rozkoszami.

Wtedy Sławny Tata wstaje i teatralnie recytuje ze względnie przyzwoitym angielskim akcentem:

- Jakie od kobiet mężczyzn wymaganie? Zaspokojone pożądanie.

Jakie od mężczyzn kobiet wymaganie?

Zaspokojone pożądanie.

Lucy, właśnie wokół tego obraca się świat. William Blake wiedział o tym. Ja wiem o tym. Tam, skąd pochodzę, wszyscy tak robią, to nic wielkiego.

- Ale ty nie rozumiesz. Dla mnie jest. Jeśli chcesz wiedzieć, to naprawdę kocham mojego męża, w taki długoterminowy sposób.

- Dobrze, to w takim razie dlaczego chcesz się bzykać z innym facetem? - pyta, a w jego głosie da się wyczuć irytację.

- Nie jestem pewna - odpowiadam. - Pewnie chcę zrobić coś lekkomyślnego, by poczuć, że żyję.

- Żaden ze mnie mędrzec, ale jedno mogę ci powiedzieć: niepewność nie stanowi dobrej podstawy dla niczego. Jestem po raz trzeci żonaty, pamiętasz? Borykam się w życiu z całym mnóstwem niepewności. Chodzę na terapię dłużej, niż trwało którekolwiek z moich małżeństw.

Wtedy nagle wstaje.

- Może w takim razie powinieneś się ożenić ze swoją terapeutką.

- To facet - mówi. - Lepiej już pójdę i poobracam się wśród mas. Chyba włączę jakąś muzykę. Ludziom przyda się trochę wyluzować. Pomijając oczywiście siebie. Tobie może przydałoby się śpięcie.

Wracamy do środka i Sławny Tata włącza płytę Radiohead, po czym rusza na poszukiwanie Mamy Alfa, by ją zapytać, czy nie miałaby ochoty zatańczyć.

W rogu pomieszczenia dostrzegam Roberta Bassa, rozmawiającego z Tomem. Obaj podnoszą głowy, by na mnie spojrzeć. Seksowny Udomowiony Tata odwraca wzrok nieco zbyt szybko. Nieważne, jak na to patrzeć, linia została przekroczone. Ale linie czasami są zamazane i można je przekroczyć, nie uświadamiając sobie tego. Mark tego akurat nie wziął pod uwagę.

Wypijam kolejny kieliszek wina, mając nadzieję, że podziała na moje ciało znieczulająco. Każde zakończenie nerwowe znajduje się w stanie podwyższonej gotowości. Odruchy przygotowane są do aktywacji. Czuję się dziwnie pobudzona, gotowa na detonację. Mark powiedziałby mi, że w moim ciele buzuje adrenalina i że jestem w nastroju walcz - albo - uciekaj. Ale uzasadnianie uczuć odbiera życiu tajemniczość.

Dostrzegam, jak zaaferowana dyrektorka szkoły zbliża się dziarsko w moim kierunku.

- Wielkie dzięki za całą pani ciężką pracę - mówi, uśmiechając się.

- To nic takiego - odpowiadam.

- Zorganizowane, ale nie za bardzo. Przyjęcie idealne. Wiedziałam, że będzie miała pani wpływ hamujący, pani Sweeney. Wystarczająco trudno zdecydować, w co się ubrać, bez dodatkowych komplikacji w postaci przebierania się za ulubionego bohatera z książki. Na pewno czuje pani ulgę, dzieląc ten ciężar z panem Bassem.

Zaczynam się dławić sajgonką. Przestałam liczyć, ile ich zjadłam, kiedy doszłam do siedmiu.

- Absolutnie tak - mówię bardziej entuzjastycznie, niż zamierzałam.

Następnie jeszcze trochę kaszlę i nie słyszę początku oraz końca jej następnego pytania. Środkowe słowa to chyba „zastanowić się nad czwartym”.

- Troje to nasz limit. Właściwie to mój mąż zastanawia się nad wazektomią - słyszę słowa wydobywające się z moich ust. Powinnam na tym poprzestać, ale przemożne pragnienie podzielenia się naszymi sypialnianymi sekretami pcha mnie do wspomnienia o obsesji Toma na punkcie antykoncepcji. - Nie zakłada jeszcze dwóch prezerwatyw naraz, ale jesteśmy blisko - mówię ze śmiechem. - Prawdę powiedziawszy, co jakiś czas wpada w szal, ponieważ raz wspomniałam o czwórce. To znaczy nie czterech prezerwatywach, ale o czwórce dzieci.

Dyrektorka stoi z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Jest przyzwyczajona do wylewnych rodziców. Wyczuwam, że inne matki przyglądają nam się intensywnie, zastanawiając się bez wątpienia, co trzyma przy mnie zabieganą dyrektorkę aż tak długo. Zdażyły do nas podejść zarówno Mama Alfa, jak i Niezła Mamuśka Nr 1, i przysłuchują się końcówce tej rozmowy.

- Uważam, że cztery to idealna liczba, ponieważ wtedy nikt nie zostaje poza wyciągiem krzeselkowym - stwierdza Niezła Mamuśka Nr 1.

- Najtrudniej jest mi zawieźć moją pięciolatkę na lekcje harfy, ponieważ w tym samym czasie mój czterolatek ma lekcje skrzypiec Suzuki - odzywa się Mama Alfa. Oczekuje od dyrektorki aprobaty, natomiast otrzymuje jedynie lodowaty uśmiech. Nie daje tak łatwo za wygraną. - Bieganie z harfą to naprawdę ciężka praca. Na początku każdego roku szkolnego



wieszam na ścianie w kuchni rozkład zajęć wszystkich moich dzieci i męża, tak by o niczym nigdy nie zapomnieć.

Patrzy znacząco na mnie.

- Prawdę powiedziawszy, to pytałam panią, czy nie rozważyłaby pozostania w trójce klasowej na czwarty semestr - mówi dyrektorka, odwracając się do mnie, po czym kiwa ze zrozumieniem głową i oddala się, by dołączyć do kolejnej grupy rodziców.

- A więc zapisujesz wszystkie swoje zajęcia? - pytam Mamę Alfa, naprawdę pod wrażeniem.

- Wszystko - odpowiada.

- Nawet seks? - pytam, zastanawiając się, czy nie stanowi to może rozwiązania dla jego niedostatku w naszej rodzinie. - Nie czyni to go mniej spontanicznym? Poza tym trzeba by powiesić na ścianie naprawdę dużą kartkę, jako że piąta nad ranem wydaje się być jedyną porą, kiedy obie strony są wolne w tym samym czasie.

- To nie jest coś, co ustalamy z wyprzedzeniem - oświadcza.

Mówię, że to dziwne, iż moje wolne przyjaciółki mają mnóstwo czasu na seks, ale nie mają go z kim uprawiać.

- Ja tak naprawdę nie mam już wolnych przyjaciółek, raczej utrzymujemy kontakty z innymi parami - mówi Mama Alfa w taki sposób, jak matki, które twierdzą, że ich dzieci jedzą dosłownie wszystko.

Odpowiadam jej więc, że sporo traci, ponieważ podczas ostatnich spotkań z wolnymi przyjaciółkami rozmawiałam wyłącznie o technikach uprawiania seksu, dzięki czemu cieszyłam się, że hemoroidy poporodowe i ograniczenia czasowe wykluczają wszystko poza seksem z zegarkiem w rękę. Ona odpowiada, że jest bardzo zadowolona z nowej polityki przeciwko zastraszaniu w szkole, a potem oddala się.

- Oto kobieta, która od lat nie uprawiała seksu z mężem - mówi Niezła Mamuśka Nr 1. - Lucy, masz chwilę?

Idzie na górę i pokazuje mi gestem, bym udała się za nią. Przez chwilę zastanawiam się, czy ma zamiar zaprowadzić mnie do szatni i tam zgromić za moje niestosowne zachowanie, ale ona kieruje się jeszcze wyżej, do sypialni. Ten wieczór przekształca się w jeden z tych koszmarów, w których każda paskudna rzecz, jaką zrobiłaś w życiu, wraca, by cię prześladować, a przyjaciele i wrogowie oraz ludzie, którzy nawet nie znają się nawzajem, pojawiają się w tajemniczy sposób w tym samym czasie, by cię zdemaskować. Kiedy wchodzę po schodach, rozważam najgorszy możliwy scenariusz i zastanawiam się, czy w tej sypialni nie siedzi mój kolega z dawnych lat z Newsnight wraz z Tomem, i czy nie dzielą się wrażeniami.

- Mogę skorzystać z ubikacji? - pytam Niezłą Mamuśkę Nr 1, kiedy wchodzimy do pokoju.

Kręci mi się w głowie, pragnę opryskać twarz zimną wodą i być może w ten sposób połączyć na nowo umysł z ciałem.

- Pewnie - mówi, a ja kieruję do tej samej łazienki, którą w zeszłym tygodniu zwiedzałam wraz z Emmą.

- Skąd wiedziałaś, że to łazienka, a nie garderoba? - pyta podejrzliwie.

- Instynkt - odpowiadam pogodnie.

Wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi, po czym opieram się o nie, by uspokoić oddech. Składałam sobie kilka nierozważnych obietnic. Już nigdy więcej nie będę narzekać, że życie jest nudne. W każdej sytuacji będę się zachowywać z najwyższą godnością. Nigdy nie przekroczę limitu na karcie kredytowej. Poświęcę jeden dzień w tygodniu na pranie. Będę tak robić, jeśli tylko ujdzie mi to wszystko na sucho.

Patrzę z niedowierzaniem na zegarek. Jak to możliwe, że tak wiele wydarzyło się w tak krótkim czasie? Jesteśmy tutaj od niecałych dwóch godzin.

Dostrzegam swoje odbicie w lustrze. Rozmazał mi się tusz. Woda z kranu okazuje się zimna i zmywam nią z twarzy makijaż, aby znaleźć w lustrze kogoś, kogo rozpoznaję. Następnie wychodzę z łazienki do sypialni, gdzie Niezła Mamuśka Nr 1 siedzi wyprostowana na końcu łóżka. Nogi ma skrzyżowane.

- Dobrze się czujesz, Lucy? - pyta, przypatrując się memu ciału w kopertowej sukience w sposób dostępny tylko kobietom. - Wyglądasz na nieco podenerwowaną.

Przez chwilę myślę, czy nie powiedzieć jej o wszystkim. O tym, co właśnie się wydarzyło z Robertem Bassem, że jej mąż ma romans z jedną z moich najlepszych przyjaciółek, że jej dom w centrum Notting Hill to tak naprawdę domek z kart. Zwalczam w sobie jednak tę chęć, wiedząc, że ulgę z powodu wyznania wszystkiego natychmiast zastąpią zupełnie nowe troski, spowodowane rozpoczęciem nowego, nieprzewidywalnego łańcucha zdarzeń. Teraz trzeba mi zmiany towarzystwa. Zjedzenia czegoś pożywnego. Spania przez dwa dni. Złożenia ślubów milczenia.

- Co myślisz o Guyu? - pyta, poklepując miejsce na łóżku obok siebie.

Drzwi do jej garderoby są otwarte i robi mi się lekko niedobrze na widok znajomych rzędów butów.

- Wydaje się uroczy, bardzo ciepły i przyjacielski - mówię zdecydowanie.

- Sądzę, że ma romans - oświadcza Niezła Mamuśka Nr 1.

Moja klatka piersiowa zaciska się i skupiam się na robieniu wdechów i wydechów przez nos, by uniknąć hiperwentylacji.

- Dlaczego miałbyś chcieć go mieć? - pytam bez tchu. - Ma za żonę oszałamiającą kobietę, gromadkę fantastycznych dzieciaków, idealne życie. To byłoby nielogiczne, gdyby ryzykował utratę tego wszystkiego.

- Ależ to właśnie dlatego mógłbyś go mieć. Wszystko jest zbyt przewidywalne - mówi, wstając i podchodząc do komody. Wyjmuje paczkę papierosów, otwiera okno, zapala jednego i mocno się zaciąga, po czym podaje mi go. - Możemy wyjść na balkon. Zawsze tak robię.

- Dlaczego sądzisz, że twój mąż ma romans? - pytam.

- W kolejności według znaczenia - mówi, wdzięczna, jak zakładam, że ma okazję wyrzucić to z siebie. - Po pierwsze ma nową koszulę, której z całą pewnością nie kupiłam mu ja, i wiem, że on też by jej nie kupił, gdyż jest od Paula Smitha, a on nigdy nie robi tam zakupów. Przejrzałam także jego wyciągi z konta i nie znalazłam w nich żadnych dowodów na te nowe ciuchy, które co jakiś czas się pojawiają. Po drugie, kiedy uprawiamy seks, robi rzeczy, których nie robił od lat. Po trzecie, od dziesięciu dni jest w paskudnym nastroju i woła przez sen imię kogoś innego. Po czwarte, mamy kwestię małych gości.

- Czy masz na myśli siedmiu krasnoludków? - pytam, ponieważ na tym etapie wieczoru nie zdziwiłoby mnie nawet pojawienie się Elvisa Presleya.

- Wszy - wyjaśnia. - Zapytałam o nie jego sekretarkę i poczuła się urażona, że sądziłam, iż to ona zaraziła go nimi. A więc jeśli to nie ona, to kto?

- Przyznaję, to wszystko brzmi dość przekonująco - mówię, ponieważ absurdem byłoby nie zgodzić się z nią. - Ale to nie jest rozstrzygające.

Zaciągam się mocno jej papierosem.

- Nie udawaj, że mnie żałujesz. Nie należę do osób, których ludzie żałują. Prawdę mówiąc, ludzie raczej mają

nadzieję, że coś takiego przytrafi się komuś takiemu jak ja - stwierdza Niezła Mamuśka Nr 1.

- Co masz więc zamiar zrobić z tymi podejrzeniami? - pytam, walcząc z chęcią podrapania się po głowie.

- Mam całkiem spory wybór. Mogłabym zrobić to, co moja matka, i przymknąć oczy na jego grzeszki, ale problem w tym, że Guy jest tego typu facetem, który łatwo uznałby, że się zakochał w kimś innym i zdecydowałby się mnie zostawić. A ja nie mam zamiaru ryzykować, że coś takiego się zdarzy. On nie jest praktyczny, a jeśli moje życie ma ulec rozpadowi, to ja chcę być osobą kontrolującą ten rozpad. Mogłabym zrobić to, co jego matka zrobiła jego ojcu, i rozwieść się z nim, wywalczywszy w sądzie ogromne alimenty. A potem już nigdy nie otrzymywałabym zaproszeń na kolacje, ponieważ kobiety zawsze by się bały, że mogę im ukraść mężów. Albo mogę ujawnić tę sytuację i spróbować odbudować nasze małżeństwo.

- Kochasz go?

- Kocham osobę, którą był kiedyś, ale nie kocham tego, kim się stał - odpowiada w zamyśleniu. - I sędzę, że on to samo powiedziałby o mnie. To dziwne, ale pieniądze sprawiają, że stajesz się mniej pewna wszystkiego, ponieważ pozwalają na zbyt duży wybór. Uważam, że potrzebujemy radykalnych rozwiązań. Prawdę mówiąc, to zdążyłam już poczynić pewne kroki.

- Jakie kroki? - pytam nieufnie.

- Chodzę na kurs - oświadcza.

- Ogrodniczy? - pytam nieco zbyt skwapliwie, ponieważ to właśnie jest kolejny logiczny krok w jej życiowej trajektorii.

- Nie bądź śmieszna, Lucy. To kurs detektywistyczny. Dla ludzi, którzy chcą szpiegować innych. Popularny wśród kobiet w mojej sytuacji. Nawet jeśli się okaże, że zawiódł

mnie instynkt, będzie stanowić dobrą polisę ubezpieczeniową na kolejne dwie dekady, dopóki nie zaniknie jego popęd seksualny. To ktoś, kogo trzeba krótko trzymać. Jest próżny, a próżni mężczyźni zawsze są podatni na pochlebstwa.

- Jestem pod wrażeniem - mówię, organizując jednocześnie debatę w swojej głowie.

Mogę ostrzec przed tym Emmę, naciskać na nią, że jeśli ma zamiar zakończyć ten związek, koniecznie powinna zrobić to natychmiast, tym samym gwarantując, że nie będzie nic do wykrycia. Niezła Mamuśka Nr 1 może odłożyć dowody na bok, spalić koszulę od Paula Smitha i cieszyć się owocami bardziej urozmaiconego życia seksualnego. Gdybym to była ja, czy chciałabym wiedzieć?

- A tak przy okazji, to czyje imię woła przez sen? - pytam z udawaną niewinnością.

Gniewnie gasi papierosa, nieco zbyt blisko mojej lewej łydki. Przed dłuższą chwilę panuje cisza, podczas której Niezła Mamuśka Nr 1 nerwowo wygładza nogawki dżinsów. Czekam z napięciem, ponieważ wiem, co zaraz powie.

- Twoje - oświadcza wreszcie. A potem patrzy na mnie z napięciem. - Powtarza ciągle to samo: „Lucy Sweeney, coś ty zrobiła?”. I teraz ja zastanawiam się nad tym samym. A więc powiedz mi, czy pieprzysz się z moim mężem? Gdzie go poznałaś? Czy to całe flirtowanie z Robertem Bassem jest jedynie przykrywką? I zanim jeszcze bardziej mnie upokorzysz, kłamiąc, powinnaś wiedzieć, że odkryłam, iż Guy ma dwa inne telefony komórkowe zarejestrowane na jego nazwisko i że na bilingach jednego z tych numerów są niezliczone rozmowy z tobą. I nie jest tajemnicą, że to twoje dzieci przyniosły do szkoły wszy w zeszłym semestrze.

Otwieram i zamykam usta niczym złota rybka, ale nie wydostaje się z nich żaden dźwięk. Najpewniej mówi o telefonie Emmy.

- Czy możemy później do tego wrócić? - pytam z nadzieją.

- Nie - odpowiada surowo. Przez chwilę siedzimy w milczeniu.

- Nie pomyślałaś o tym, że ten biling, który masz, może nie być mój, ale należeć do kogoś innego, kto mnie zna? - pytam wreszcie, ostrożnie dobierając słowa.

- Nie. Ale prawdę powiedziawszy, to ma sens, ponieważ z drugiego numeru jest wykonywanych mnóstwo telefonów do tego pierwszego, i kiedy zadzwoniłam pod pierwszy numer, to nie byłaś ty, a kiedy zadzwoniłam na drugi, odebrał Guy. Powiedz mi, co wiesz. Proszę. Jeśli nie możesz zrobić tego dla mnie, pomyśl o moich dzieciach. Jeśli dzieci stawia się na pierwszym miejscu, wtedy wszystko inne jest logiczne. - Ściska mnie mocno za kolano. - Nie wyobrażasz sobie, jakie to piekło, Lucy, przechodzić przez coś takiego. Wszystko, co brało się za pewnik, nagle wydaje się niepewne. Nie ma żadnych gwarancji. Podejrzewam wszystkich i wszystko. Wyobrażasz sobie moje upokorzenie, kiedy czekałam na jego pojawienie się w tamtej restauracji? Powtarzałam ludziom, że zjawi się lada chwila i bez końca dzwoniłam na jego komórkę, ale on nie przyszedł. Ludzie wiedzieli, że dzieje się coś dziwnego, ponieważ unikali zadawania najbardziej oczywistych pytań o miejsce jego pobytu. Dlatego właśnie muszę to teraz wszystko rozwiązać, gdyż w przeciwnym wypadku skończy się to tak, że go znienawidzę.

- Być może powinnaś skonfrontować to z Guyem?

- Nie zdradzę się ani słowem, dopóki nie będę mieć wszystkich dowodów. W tej chwili uczymy się technik obserwacyjnych. Potem, kiedy nadejdzie właściwa pora, wybiorę odpowiednią chwilę i zadziałam - mówi. - Jak myślisz, która z twoich koleżanek może mieć romans z Guyem? Zastanów się, to będzie ktoś oczywisty, najpewniej

kobieta, którą poznał dzięki pracy. Zawsze duże wrażenie robiły na nim te błyskotliwe kobiety w garniturach. W taki właśnie sposób ja go poznałam.

- Poważnie się nad tym zastanowię i oddzwonię do ciebie - mówię.

- Przrzekasz, że nie wiesz? - pyta.

- Mam kilka przypuszczeń, ale nic potwierdzonego - odpowiadam, zastanawiając się, czy można to uznać za kłamstwo.

- Daj mi znać, gdy tylko czegoś się dowiesz. Proszę. Słyszemy, jak drzwi sypialni się otwierają. Wystawiamy głowy za róg balkonu i oto naszym oczom ukazują się wchodzący do środka Sławny Tata i Mama Alfa. Rozglądają się po sypialni, a potem zamykają za sobą drzwi. Sławny Tata podstawia krzesło pod klamkę. Zabiera się za szykowanie kolejnych ścieżek kokainy. Po chwili Niezła Mamuśka Nr 1 i ja przyglądamy się ze zdumieniem, jak Mama Alfa łapczywie wciąga dwie ścieżki, a następnie oboje wychodzą.

- Jak nic robiła to już wcześniej - szepcze Niezła Mamuśka Nr 1.

Nie ma co do tego wątpliwości.

W taksówce w drodze do naszego domu na przedmieściach siedzę w milczeniu, próbując zrozumieć wszystko, co się wydarzyło dzisiejszego wieczoru. Zawsze mnie zastanawiało, jak ludzie mogą mieć tak różne odczucia odnośnie tego samego przyjęcia.

- Boże, ależ było nudno! - mówi Tom. - Pomijając ten epizod z Guyem, ale prawdę powiedziawszy, sądzę, że miałaś rację, nie mówiąc mi o tym. Jego żona wydaje się jednak miła. Co jest zaskakujące. Uciałem sobie także pogawędkę ze Sławnym Tata. Mówi, że jesteś najbardziej autentyczną osobą, jaką kiedykolwiek poznał, i chce, żebym go zabrał na mecz Arsenalu. I pogodziłem się z Głęboką Płycizną. Chyba mi



wybaczył. A więc wszystkie wątpliwości zostały wyjaśnione.  
A gdzie ty zniknęłaś?

Zamykam oczy i udaję, że śpię. Tchórzliwa droga ucieczki.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY

Skutki dawnych grzechów sięgają bardzo daleko

Niekiedy podczas mojej bezsenności o piątej na ranem próbuję ponownie zasnąć, licząc, ile decyzji podjęłam poprzedniego dnia. Kiedy zeszłego lata byliśmy na kempingu w Norfolk, od którego to momentu, jak sobie teraz uświadamiam, zaczęła się ta bezsenność, raz doliczyłam się aż siedemdziesięciu jeden. Razem przybrały kształt piramidy, na której dole znajdowały się te najmniej istotne: czy wytrzymać jeszcze jeden dzień bez prysznic w zimnej, zabłoconej wspólnej toalecie na polu namiotowym albo czy spełnić prośby synów, by z powodu zimna zjeść śniadanie w namiocie, wiedząc, że płatki Rice Krispies w jakiś dziwny sposób dostaną się do mojego śpiwora, gdzie mieszają się z piaskiem i wyschniętym błotem, tworząc warstwę papieru ściernego, przez którą pójście spać będzie przeżyciem jeszcze trudniejszym niż do tej pory w obrębie małego namiotu z trójką niespokojnych dzieci.

- Postrzegaj to jako darmową eksfoliację - rzekł Tom wcześniej tamtego tygodnia, kiedy próbował odgrywać rolę fajnego taty, zanim popadł w ponury nastrój.

W porównaniu z całością obrazu konsekwencje tamtych decyzji pozbawione były znaczenia.

Przechodziły one następnie w decyzje średniego kalibru: czy powinniśmy opuścić pole namiotowe na rzecz małego pensjonatu gdzieś na wybrzeżu? Czy powinnam powiedzieć Tomowi, że zaginiony paszport, powód, dla którego musieliśmy zrezygnować z wakacji we Francji i jechać na deszczowe pole namiotowe do Norfolk, znalazł się w samochodowym schowku? W obydwu wypadkach uznałam, że lepiej tego nie robić. No i mamy w końcu te duże. Śmiać się czy płakać? Zostać czy odejść? I ta brzemienna w skutki, od której rozpoczął się proces rozkładu. Jedna z tych błahych

decyzji, która miała swój początek na dole piramidy, a potem przemieściła się na sam jej szczyt w momencie, kiedy najmniej się tego spodziewałam.

Jeśli małżeństwo jest niczym krajobraz, wtedy na północnym wybrzeżu Norfolk tego lata chyba dotarłam do swego naturalnego domu. Obejrzałam się za siebie na plaży i zobaczyłam rozciągające się bagna, a za nimi szereg artretycznie wyglądających drzew, których gałęzie wiatr wyginał w najdziwniejszy sposób. Przede mną znajdowało się morze, wyglądające ponuro i zdradziecko. Zależnie od pływu, mogło cię zanieść albo kilometr za kilometrem wzdłuż wybrzeża do Cromer, albo daleko w stronę Holandii. Widziałam, skąd przyszłam, ale nie, dokąd zmierzam. Wiedziałam siebie jako bagaż na jednym z tych wielkich statków pasażerskich, które dryfowały na horyzoncie, z naklejką: „Miejsce przeznaczenia nieznane”.

W uszach czułam tak duży ból od zimna, że przechodził on aż do gardła, ale akurat to nie było nieprzyjemne. Działo uspokajająco. Zostałam zmniejszona przez żywioły. Pozwoliły mi na chwilę uciec od siebie. Staliśmy tam w szeregu, przechyleni do przodu z powodu wiatru, głowy w dole, zbici w grupkę niczym żołnierze podczas odwrotu. Fred stał między Tomem a mną i trzymał nas za ręce, ponieważ przekonaliśmy się wcześniej, że silny szkwał jest w stanie go przewrócić i Joe się bał, że zostanie uniesiony w powietrze, tak jak Dorotka w początkowej scenie Czarnoksiężnika z krainy Oz.

- Wieje prosto z Rosji! - zawołał Tom do chłopców ponad hukiem wiatru i nawet na Fredzie zdawało się to zrobić wrażenie. - Dlatego właśnie jest tak przejmujący. - Wyjęłam z torby jeszcze jedną bluzę i wciągnęłam ją na siebie. - Nie jest wcale tak zimno - dodał. - Jest gorzej, kiedy się nie ma slipek, to pewne. Moje pośladki są cieniem tego, czym były.

- Obiecałeś, że już więcej nie wspomnisz o slipkach - przypomniałam mu.

- To byłby rewanz, gdybyś przestała narzekać na pogodę - odkrzyknął.

- To ty mówisz, że jest zimno. Ja nie narzekałam na pogodę, tylko włożyłam bluzę - nie dawałam za wygraną.

- Ja to werbalizuję. Wkładanie bluzy jest kryptokrytyką - odparł. - Wkładaj swoje bluzy w jakiś mniej publiczny sposób.

- A gdzie miałabym to robić? - zapytałam, zataczając ręką krąg po wyludnionej plaży.

Czarno - biały ostrygojad odwrócił głowę, wciśniętą głęboko w ciało w celu zachowania ciepła, i popatrzył na mnie z zaciekawieniem, jakby się zastanawiał, dlaczego tak się daje ponieść emocjom. Oszczędzaj energię, zdawał się mówić.

- Nie rozumiem po prostu, jak mogłaś zapomnieć spakować mi slipki, gdy tymczasem włożyłaś dziesięć par dla Sama, sześć par krótkich spodenek dla Joego i trzy czapki z pomponem dla Freda. To wszystko jest takie irracjonalne, Lucy. Nie sporządziłaś listy przed naszym wyjazdem?

- wrzasnął Tom.

- Dlaczego nie pomyślisz o tych wszystkich rzeczach, o których pamiętałam, a nie o tych, których zapomniałam? Sam mogłaś spakować swoje ubrania.

- Ale wiesz, jak bardzo byłem zajęty, próbując rozwiązać ten problem w Mediolanie - odparł.

- Cóż, mogłaś kupić jakieś slipki w Holt - odparowałam, pełna determinacji, by mu się nie dać.

- Nie robię tego dla zasady. - Do głosu mojego męża wkradł się świętoszkowaty ton.

- A to dla jakiej zasady? - zapytałam, wiedząc już, że to pytanie to strategiczny błąd.

- Zasady, że ważne jest, by uczyć się na własnych błędach, i że już nigdy nie zapomnisz spakować mi slipek,

jeśli będę musiał przetrwać bez nich cały tydzień - odparł, zadowolony z siebie.

- Nie zapomnę, ponieważ już nigdy więcej cię nie spakuję. Zachowujesz się tak absurdalnie, Tom, że nie mam nawet zamiaru zaszczycić tego odpowiedzią.

A potem zaczęliśmy się śmiać, ponieważ to było tak niedorzeczne, i dzieci także się śmiały, nie wiedząc dlaczego.

Byliśmy rodziną rozbitków. Skazaną na swoje towarzystwo w obrębie namiotu o kubaturze około trzynastu metrów sześciennych. Wiedziałam to, ponieważ Tom i Sam spędzili jedno deszczowe popołudnie z centymetrem, dokonując szczegółowych pomiarów. Wszystko szwankowało od momentu, kiedy wyjechaliśmy z domu. Przyszłość biblioteki w Mediolanie, projektu, który pochłaniał mojego męża niemal od dwóch lat, stała pod znakiem zapytania. Nasza sytuacja finansowa była niewesoła. Firma Toma zdążyła już zainwestować w bibliotekę zbyt wiele czasu i pieniędzy. Kiedy staliśmy na chodniku przed naszym domem i pakowaliśmy się na wyjazd, po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać nad tym, że być może będziemy musieli go sprzedać.

Przyglądałam się, jak Tom ustawia na chodniku bagaż, starając się znaleźć idealny sposób na jego zapakowanie. Może i nie mógł kontrolować kaprysów wydziału architektonicznego Mediolanu, ale potrafił zaprowadzić porządek w bagażniku naszego auta.

- O ile tylko wszystko się zmieści do środka, nie ma chyba znaczenia, jak jest zapakowane? - zapytałam błagalnie, myśląc o niecierpliwących się dzieciach, przypiętych pasami na tylnym siedzeniu.

- Systemy, wszystko opiera się na systemach - mruknął Tom. - Staram się ocenić, czego będziemy potrzebować zaraz

po przyjeździe, i umieścić to na wierzchu. Wiesz, co ugotujesz na obiad?

Kolejna decyzja. Ale taka, która mogła i musiała zaczekać, ponieważ określenie o dziewiątej rano, co będziemy jedli na obiad, dzieli zaledwie krok od szaleństwa.

- Kupimy coś na miejscu - odparłam. - Albo po drodze.

- Ale zatrzymanie się po drodze wymaga innego systemu - rzekł, zmieniając kolejność w szeregu małych składanych krzeseł i butli z gazem. - I czy zatrzymamy się na stacji benzynowej, czy zjemy kanapki gdzieś na poboczu?

- Musisz zaakceptować fakt, że potrzebna nam pewna elastyczność, Tom - odparłam, starając się nie dopuścić do kolejnej kłótni. - Brak wiedzy na temat tego, co się zdarzy, może naprawdę dawać poczucie swobody. Prawdę powiedziawszy, to właśnie niekończąca się powtarzalność i rutyna zabijają w ludziach ducha.

Spojrzał na mnie tak, jakbym była postacią z innej planety. Zamknęłam drzwi od strony pasażera, otworzyłam schowek i wtedy zobaczyłam paszport. Sam także.

- Nie piśnij ani słowa - nakazałam mu. Zrozumiał. Pewnego dnia z Sama będzie bardzo dobry mąż.

No i wynikła kwestia tych slipek. Czując wyrzuty sumienia, pewnego popołudnia po naszej kłótni na plaży, jedyne dnia, kiedy słońce świeciło jednym ciągiem dłużej niż dwie godziny, zaoferowałam się, że wrócę do Holt i znajdę jakiś sklep z bielizną. To był przyjazny gest, który oznaczał zawieszenie broni pomiędzy Tomem a mną. Dwustronna zgoda.

- Jesteś pewna, Lucy? - zapytał mój mąż z wdzięcznością.

- To naprawdę miłe z twojej strony.

- Może i jesteśmy spłukani, ale nowe slipki nie przechyłały szali. Tak czy inaczej, to szlachetne z mojej strony - zgodziłam się, ponieważ chciałam zbierać wystarczająco

punktów, by jakoś przeżyć pozostałe trzy dni urlopu. Oczywiście niewiele jest poświęcenia w możliwości spędzenia popołudnia we własnym towarzystwie i włóczeniu się po sklepach jednego z miasteczek w północnym Norfolk, które sprzedaje pięć różnych rodzajów oliwy z oliwek i oparło się presji wybudowania kompleksu handlowego na swych obrzeżach. Byłam zadowolona z perspektywy kilku godzin samotności i zostawiłam Toma na plaży z dziećmi.

W Holt szybko znalazłam dom towarowy, którego dział z bielizną miał wysokie aspiracje. Asortyment był zaskakująco szeroki jak na sklep tego rozmiaru i położony w takim miejscu. Można tam było znaleźć wszystko, od lubieżnych skąpych majteczek w pastelowych odcieniach, po bokserki w kolorach, które ostatnio widziałam jako nastolatka, kiedy Mark upierał się przy noszeniu tylko czerwonej bielizny, mającej stanowić jego referencje jako „gorącego kochanka”. No i były też koronkowe figi i staniki, na których widok chciało mi się płakać, ponieważ były tak bardzo białe i delikatne, i z całą pewnością wystrzępiłyby się i poszarzały po tygodniu nalenia do mnie. Były także bardzo drogie i ponieważ projekt biblioteczny Toma wstrzymano na czas nieokreślony, a moje długi na kartach kredytowych zdążyły się wymknąć spod kontroli, zwalczyłam w sobie pokusę zakupu, ale nie mogłam wyjść bez przymierzenia.

Stałam tam przed lustrem i przekonałam się, że ta bielizna w jakiś sposób zmniejszyła wałeczki tłuszczu wokół mego brzucha i sprawiła, że moje piersi zignorowały grawitację. Tak więc, wybrawszy Tomowi praktyczne bokserki z grubej białej bawełny, która będzie chronić jego męskość przed morskimi szkwałami, uznałam, że popatrzę jeszcze trochę na te figi i stanik, by cieszyć się tą chwilą troszkę dłużej.

Oddawałam się snom na jawie pod dużym szyldem z napisem „Bielizna dla niego i dla niej” z czerwonymi sercami

narysowanymi wokół słów „niego” i „niej”, kiedy uświadomiłam sobie, że nie jestem już sama. Jakiś mężczyzna oglądał bieliznę Calvina Kleina. Zastanawiałam się, czy na męskie ego ma wpływ kupowanie slipek w rozmiarze S, i czy powinnam wymienić emki, które wybrałam dla Toma, na ikselki, a więc wyświadczyć mu jeszcze większą przysługę, kiedy ów mężczyzna odwrócił się przodem do mnie i natychmiast do mnie dotarło, że go znam.

Był nieco cięższy niż dziesięć lat wcześniej. Policzki miał zaróżowione i pełne, i widziałam wyraźniej, jak mógł wyglądać jako grubiućkie niemowlę, ponieważ dodatkowa waga oznaczała mniej zmarszczek. Wyglądał jak ktoś, kto lubi dobrze zjeść i wypić. Włosy miał rzadsze, przez co jego twarz wydawała się nieproporcjonalnie duża, a pod pierwszym podbródkiem widniał zarys drugiego. Przez kilka sekund poddawaliśmy się wzajemnie bezlitosnej ocenie i doszłam do wniosku, że w sumie czas okazał się odrobinę łaskawszy dla mnie, głównie dlatego, że mnie było łatwiej ukryć słabe strony.

- Lucy - odezwał się mężczyzna ze zdumieniem. - Co ty tutaj robisz? Weszłaś za mną?

Zjeżyłam się. To było takie typowe dla niego: nawet po tylu latach założyć, że go śledzę. Podstawy naszej relacji leżały we wzajemnym flirtowaniu, nieco zbyt długim nachylaniu się nad biurkiem, by zobaczyć coś w gazecie, i pozwalaniu, by nasze ramiona stykały się ze sobą, zbyt częstym rozśmieszaniu się bez udziału osób trzecich i upewnianiu się zawsze, że siedzimy obok siebie na służbowych imprezach. To był pościg równych sobie. Ale pod tą całą wystudiowaną nonszalancją on był mężczyzną próżnym. W taki sam sposób, w jaki pierwsze wrażenie często zapewnia jasność osądu, cieszyłam się, odkrywając, że nieplanowane spotkanie po prawie dekadzie potwierdziło



moje wcześniejsze wnioski. Odległość niekoniecznie dodaje uroku, podobnie jak wtedy, gdy jest się w średnim wieku, kiedy nostalgia za przeszłością i strach przed przyszłością mogą okazać się wybuchowymi partnerami teraźniejszości.

- Prawdę mówiąc, to weszłam tu przed tobą i wydaje mi się, że oboje szukamy tego samego - rzekłam, podnosząc do góry wybraną przez siebie bieliznę.

- Nie umiem zdecydować, czy noszę M, czy L - stwierdził. Roześmiałam się.

- M, o ile pamiętam.

Teraz to on się roześmiał. Czasami, kiedy spotyka się dawnego kochanka, mamy do czynienia z łatwością komunikacji, która przebija się przez lata. Towarzyszyć jej może poczucie straty, ponieważ już nigdy nie da się powtórzyć dawnego poziomu zażyłości. Ulżyło mi, że czułam tylko to pierwsze.

- Masz ochotę na kawę? - zapytał ciepło.

Uważam, że współczesny mężczyzna zapraszający kobietę na kawę stanowi odpowiednik dżentelmena z epoki wiktoriańskiej pytającego damę, czy przyjdzie obejrzeć jego kolekcję znaczków. To pozornie niewinne zaproszenie, wypływające z pozornie niewinnych zamiarów, a jednak ukrytą kwestią pozostaje bycie ze sobą sam na sam. Oboje więc nieco zbyt szybko odłożyliśmy upatrzoną bieliznę i udaliśmy się do niewielkiej kafejki, gdzie serwowano herbatę w porządnych porcelanowych filiżankach na białych obrusach. W ciągu następnej godziny powiedział mi, co następuje: że jest na wakacjach w Norfolk z żoną i dwójką ich dzieci. Gdzieś w pobliżu Holt wynajęli zaadaptowaną stodołę za całkiem sporą sumkę. Reżyserował właśnie niezależny film, którego akcja toczy się w Bradford i opowiada o romansie pomiędzy Azjatką a białym chłopcem. Zasiadał w radzie Brytyjskiego Instytutu Filmowego. Wiele czasu spędzał na

podróżach. Jego żona była w porządku. Tak częste rozstania oznaczały, że bycie razem okazywało się jeszcze trudniejsze, ponieważ prowadzili oddzielne życia. Nigdy nie powiedział jej o nas i nigdy więcej nie przytrafiło mu się nic podobnego. Nie byłam pewna, czy mu wierzę, ale zyskiwałam wyobrażenie, jak pragnął postrzegać samego siebie. W sposób charakterystyczny dla niego, ponieważ zdążyłam zapomnieć, jak bardzo jest zapatrzony w siebie, o nic mnie nie zapytał, dopóki herbata w dzbanku nie wystygła, a na zewnątrz nie zaczęło ponownie padać.

- A ty co porabiasz, Lucy? - zapytał wreszcie.

- Mąż, troje dzieci. Zajmuję się ich wychowaniem - odparłam. - To praca, na wspomnienie której kończą się wszystkie rozmowy. Odeszłam z Newsnight kilka lat po tobie. Pracowałam przez jakiś czas, kiedy urodził się nasz pierwszy syn.

- Dlaczego to zrobiłaś, skoro tak bardzo kochałaś tę pracę? - zapytał. - Miałaś tyle planów, tyle pomysłów. Myślałem, że twoim przeznaczeniem jest wielka kariera. Osobiście zatrudniłbym cię w każdej chwili.

- Równowaga pomiędzy pracą a życiem okazała się nieosiągalna. Pomyślałam więc, że zrobię sobie rok przerwy, potem znowu zaszłam w ciążę, a potem jeszcze raz, i nagle okazało się, że minęło osiem lat - wyjaśniłam.

Chciałam go zapytać, czy pamięta któryś z moich świetnych pomysłów, ponieważ ja za nic na świecie nie mogłam ich sobie przypomnieć, a mogłyby się teraz okazać użyteczne. Tak jak te wszystkie dodatkowe godziny snu, które przed urodzeniem dzieci brałam za pewnik. Żałowałam, że nie zdeponowałam tego wszystkiego z myślą o przyszłości.

- A więc odpowiada ci bycie pełnoetatową matką? - zapytał.

- Zrezygnowanie z pracy przypomina trochę przeprowadzenie się z miasta na wieś - odparłam. - Kiedy już się to zrobiło, trudno wrócić. Zostałam wciągnięta w rodzicielski wir. Tempo życia ulega zmianie, to dziki i niesforny teren, kultura współczesna omija cię szerokim łukiem i chodzisz do łóżka coraz wcześniej, ponieważ to takie wyczerpujące, ale ponownie uczysz się żyć zgodnie z rytmem natury. I sądzę, że moje dzieci lubią, gdy jestem w pobliżu, i ja też lubię z nimi przebywać. Teraz oczywiście nie mam szans na zatrudnienie i mam niższy status niż striptizerka.

Roześmiał się. I uśmiechnęliśmy się na myśl o ironii losu, jego i moich aspiracjach i ich krańcowo odmiennych wynikach, ponieważ feminizmowi może i udało się przejść długą drogę, ale to kobiety nadal podejmują trudne decyzje.

- Striptizerki to nie byle kto - stwierdził. Milczał przez chwilę. - Jak tam życie małżeńskie?

Pytanie zawisło w powietrzu, gdyż to było niebezpieczne terytorium. Utkwiłam spojrzenie w mojej filizance z zimną herbatą.

- Dobrze; czasami wyboiste, innym razem tragikomiczne - odparłam ze szczerością dozwoloną wobec osoby, której nigdy się już nie spotka. Szczerością, na którą pozwala podróżowanie po obcych krajach. - Posiadanie dzieci prowadzi do ekstremów i związki mogą się zagubić w domowym bagnie.

- Nie musisz mi nic mówić. Czasami wydaje mi się, że łatwiej być zakochanym w kimś, zanim się naprawdę pozna tę osobę i zanim spadnie ona z piedestału - stwierdził. - Kiedy zamieszkałem z moją żoną i zobaczyłem, jak obcina paznokcie u stóp, a potem je zjada, jakaś mała część mnie umarła. Dlatego właśnie te dawne związki, które nigdy nie przekroczyły etapu pożądania, pozostają tak żywe w pamięci.

- To prawda - odparłam bezmyślnie.

- O tym właśnie jest mój następny film, bardziej komercyjny; opowiada o mężczyźnie i kobiecie, którzy spotykają się ponownie na jakimś zjeździe przyjaciół sprzed lat i próbują na nowo rozpalić płomień dawnego romansu - powiedział.

- Ma amerykańskich sponsorów, więc musi mieć hollywoodzkie zakończenie.

- Czy ona zostaje z mężem, czy odchodzi z dawnym chłopakiem? - zapytałam.

- Opuszcza męża.

- Ale jak można to nazwać szczęśliwym zakończeniem?

- Nie powiedziałem, że ten film ma szczęśliwe zakończenie, tylko że hollywoodzkie - odparł.

- Ale czy nie byłoby bardziej romantycznie, gdyby została z mężem? - upierałam się.

- Lucy, gdyby z nim została, to byłyby nudy.

- A więc co się dzieje z jej mężem?

- Wiąże się z kimś innym - odparł z lekkim zniecierpliwieniem.

- A co z żoną tego dawnego chłopaka?

- Nie żyje - odparł, ziewając. - Tak jest wygodniej. Długotrwałe związki nie są podstawą do dobrych filmów; ludzie chcą oglądać to wczesne stadium, seksualne napięcie i podekscytowanie.

- Uważam, że długoterminowa miłość to bardziej postawa niż stan umysłu. Polega na tym, ile możecie sobie dać, a nie, co możecie od siebie dostać. Prawdę mówiąc, to bywa bardziej interesująca niż niedojrzały związek - rzekłam.

- Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Powolny, wieloletni stały zwrot inwestycji? - zapytał.

- Coś w tym rodzaju.

- Cóż, w takim razie moje małżeństwo skazane jest na niepowodzenie, gdyż jestem egoistycznym draniem - stwierdził. - Jaki jest twój mąż?

- Zwraca bardzo dużą uwagę na szczegóły, co potrafi być nieznośne, ale prawdę powiedziawszy, nie jest egoistą - odparłam. - Nie w taki sposób, jak ty. Ale być może dlatego właśnie odniosłeś taki sukces.

- Problem z sukcesem jest taki, że zawsze spotyka się ludzi, którzy odnieśli jeszcze większy sukces niż ty. Kiedy zrobiłem mój pierwszy film, sądziłem, że to wystarczy. Teraz zdaję sobie sprawę, że jeśli nie będę produkował czegoś równie dobrego, będę się czuł tak, jakbym osiągał wyniki poniżej swoich możliwości. Są chwile euforii, ale rzadko się czuję zadowolony. Gdzieś po drodze zgubiłem zadowolenie.

Wiem, że przegapiłam oczywiste wskazówki, ale ten mężczyzna nie był już dla mnie atrakcyjny. Moja ciekawość była ciekawością osoby, która знаła początek historii. Pragnęłam się dowiedzieć, co się wydarzy w środku i czy nastąpi szczęśliwe zakończenie.

Kiedy zerknęłam na zegarek, z przerażeniem uświadomiłam sobie, że siedzimy w tej kafejce od prawie dwóch godzin. Sklep był już zamknięty, no i w końcu nie kupiłam tych bokserów. Powrót na pole namiotowe bez nich był nie do pomyślenia. Zaczęłam grzebać w torbie w poszukiwaniu portfela. Wtedy odkryłam, że przez przypadek gwizdnęłam stanik i figi, które mierzyłam w sklepie. Po raz pierwszy w życiu coś ukradłam. Natychmiast postanowiłam, że zatrzymam tę bieliznę. Nie miałam żadnych wyrzutów sumienia, gdyż kradzież nie nastąpiła z premedytacją. Wolno było angażować się w pochopne czyny o wątpliwej moralności, o ile tylko następowało to nieświadomie.

- Wiesz, że zawsze się skrywałaś na dnie moich myśli, Lucy? Zawsze zastanawiałem się, jak by to mogło być,

gdybyśmy związali się ze sobą - rzekł nagle. - Czy nie okazałoby się, że to ty jesteś odpowiedzią.

Filizanka wydawała się maleńka pomiędzy jego dłońmi.

- Naprawdę? - zapytałam ze zdumieniem. Dostrzegłam, że jedna z jego dłoni przesuwa się w stronę mojej i gwałtownie wstałam z krzesła. Pojechało do tyłu i oparło się niepewnie o kaloryfer. Zostawiłam je tam. - Nie okazałoby się. Oczekiwanie, że inni ludzie cię uszczęśliwią, zawsze okazuje się błędne. To pomaga, ale nie stanowi panaceum - oznajmiłam.

- Lepiej już pójdę. - Zostawiłam na stoliku banknot pięciofuntowy, wiedząc, że on nie ma przy sobie gotówki, ponieważ tak było zawsze. - Naprawdę miło było cię znowu spotkać.

Wstał z zakłopotaniem i powiedział, byśmy pozostali w kontakcie, ale wiedziałam, że wcale nie mówi poważnie. Zbyt długą przeszliśmy drogę i ponowne spotkanie byłoby trudne.

W pewnym sensie było to fortunne wydarzenie, ponieważ dla mnie stanowiło zamknięcie rozdziału. Ale reperkusje tego, że zapomniałam kupić Tomowi slipy i ukradłam dla siebie bieliznę, przetrwały. Kiedy wróciłam na pole namiotowe, mój mąż był wściekły, jeszcze zanim mu powiedziałam, że moje wysiłki okazały się bezowocne.

- Co ty robiłaś przez całe popołudnie? - zapytał ostro.

- Fred wpadł w błoto i płakał przez godzinę. Joe sądził, że wysycha, ponieważ słona woda pomarszczyła mu skórę. I znalazłem w samochodzie ten paszport, więc Sam się rozpłakał, gdyż martwił się, że uznasz, że to on mi powiedział.

Spojrzałam na Freda. Włosy miał upstrzone kawałkami wodorostów, twardymi kawałkami wyschniętego błota i nawet małymi piórkami. Na jego twarzy widniały dwie czyste smugi pomiędzy błotem. Zapewne spływały tamtędy wodospady łez.

- Dlaczego go nie umyłeś? - zapytałam, ujmując w dłonie jego małą twarz.

- Myślałem, że wrócisz, by mi pomóc - odparł z dezaprobatą Tom.

Popatrzyłam na męża, a potem powiedziałam do Sama:

- Teraz będziemy się trochę kłócić. Przypilnuj, proszę, Freda i Joego.

Powiedziałam więc Tomowi, że wpadłam na dawnego kolegę z pracy. Pamiętał go wyjątkowo dobrze i zapytał, czy kiedykolwiek z nim spałam, ponieważ zawsze podejrzewał, że coś między nami było. Podjęłam złą decyzję. Nie udało mi się spojrzeć na tę sytuację z punktu widzenia Toma i założyłam, że dlatego, iż dla mnie nie było to ważne, z nim będzie podobnie. Powiedziałam mu więc prawdę o naszym pierwszym razie, gdyż uznałam, że to wydarzyło się tak dawno temu, iż nie ma już znaczenia, i cieszyłam się odkryciem, że ten mężczyzna tak mało dla mnie znaczy. Ale oczywiście to miało znaczenie. Nie wspomniałam więc ani słowem o drugim razie. A potem oświadczyłam Tomowi, że jest hipokrytą, ponieważ to on przespał się z Joanną Saunders, i że robił to częściej i dłużej niż ja. No i na nowo otworzyły się te wszystkie niezabliźnione rany. Zapomnieć jest czasami łatwiej niż wybaczyć.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Me należy występować w cyrku, jeśli nie umie się jeździć na dwóch koniach jednocześnie

Kiedy miesiąc po imprezie u Niezłej Mamuśki Nr 1 otrzymuję od Roberta Bassa esemesa o treści: „Musimy porozmawiać. Spotkasz się ze mną na kawie? Skończyłem książkę”, rozpoznaję, że bez względu na moją odpowiedź, stanowi to ważną decyzję z samego szczytu piramidy. Po tym, co się wydarzyło na przyjęciu, nasze kontakty nabrały specyficznego podtekstu. W naszej szatnianej schadzce nie było nic impresyjnego. Przyciąganie było jednoznaczne, co teraz oznacza, że muszę przejąć większą odpowiedzialność za swoje czyny. Taka jest różnica pomiędzy świadomą a nieświadomą kradzieżą bielizny z tego sklepu w Holt. Tak właśnie się dzieje, gdy fantazja przeradza się w rzeczywistość.

Zmuszam się do odczekania z odpowiedzią przynajmniej pół godziny, po czym piszę: „Gratuluję, ale to chyba nie jest dobry pomysł”. Przyznając się po cichu do tego, co się stało, nie tylko ograniczam szanse na to, by coś zdarzyło się ponownie, ale także wykluczam możliwość choćby nieszkodliwego flirtu. Staram się czuć samozadowolenie z powodu właściwej - z racjonalnego punktu widzenia - decyzji. Gdyby w ogrodzie Edenu nie było zakazanego owocu, Ewa nigdy by nie musiała podejmować decyzji, czy go zjeść. W tonie mojej wiadomości do Roberta Bassa mało jest wątpliwości, ale nie jest ona napisana z pełnym przekonaniem. Bycie rozsądną to jedna z tych długoterminowych inwestycji z niewielką ilością natychmiastowych dywidend.

Choć czułam się winna, nie jest to rodzaj dręczącego poczucia winy, które może złagodzić dramatyczne wyznanie wszystkiego. To raczej przewlekła odmiana, jak sądzę, blednąca z upływem czasu. Pocieszam się faktem, że tak naprawdę nic się nie wydarzyło. Oznacza to, że nie ma nic do



rozwikłania, a tym samym jeszcze mniej do przyznania się. Nikt więc, z wyjątkiem Sławnego Taty, nie jest świadomy tego, że w ogóle byliśmy z Robertem Bassem sam na sam. Ignoruję oczywisty fakt, że tajemnice stanowią paliwo dla fantazji.

Kilka tygodni po wysłaniu tego esemesa, gdy ferie wielkanocne stanowią już jedynie odległe wspomnienie, odprowadziwszy starszych chłopców do szkoły, a Freda do żłobka, udaję się do miejscowej kafejki na zwołane przez Mamę Alfa zebranie w celu omówienia zbliżającego się festynu szkolnego. Po raz pierwszy od tamtego przyjęcia znajdę się tak blisko Roberta Bassa, ponieważ jak na razie udawało mi się mieć z nim kontakty jedynie bardzo powierzchowne.

Kiedy pojawiając się w drzwiach, macha do mnie Niezła Mamuśka Nr 1. Gestem właścicielki klepie miejsce obok siebie, a ja podchodzę, by usiąść, i czuję ulgę, że zjawiłam się wcześniej i że Roberta Bassa jeszcze nie ma. Jestem w równym stopniu ucieszona i niespokojna. Z jednej strony wtapiam się w tło przy boku Niezłej Mamuśki Nr 1, mającej na sobie sukienkę w stylu lat pięćdziesiątych w żywych kolorach i wielkie okulary przeciwsłoneczne, z drugiej jednak wiem, że nieuchronnie będzie chciała porozmawiać o Guyu.

- Witaj, Isobel.

- Po raz pierwszy usłyszałam z twoich ust moje imię - mówi, wyglądając na zadowoloną.

Cofam się nostalgicznie myślami do czasów, wcale nie tak odległych, kiedy miałam szczęście, jeśli Isobel rzucała mi kilka okruchów uwagi, a nawet one wyzbyte były wszelkiej emocjonalnej zawartości. Teraz na moje uczucia względem niej składa się nieprzyjemna mieszanka niedobrych smaków, niczym w kulinarnym eksperymencie, gdzie kucharz amator łączy nieprawdopodobne składniki w beznadziejnej

próbie stworzenia niezapomnianego nowego dania. Curry, cukier i sól. Podziw, współczucie i poczucie winy. Podziw za sposób, w jaki zdecydowała się zmierzyć z tą sytuacją, ponieważ dźwigała ciężar emocjonalny sama, nie zarażając dzieci swym niepokojem, i stawiała twarzą w twarz ze światem z niezmiennym połączeniem humoru, obojętności i znakomitego gustu w kwestii ubioru. I właśnie te cechy potęgują moje współczucie.

Ale dominujące uczucie to poczucie winy. Jestem rozdarta wewnątrz. Na początku czułam, że zdradzenie Emmy byłoby czymś niewłaściwym. Rozległości i głębi mojego związku z nią nie da się porównać z kiełkującą przyjaźnią z Isobel. Ale teraz odczuwam większe wyrzuty sumienia z powodu oszukiwania Isobel niż z powodu mego własnego kontaktu z Robertem Bassem. Jeśli ja pozostanę nieugięta, nie pojawią się dla mnie żadne reperkusje, nastąpi jedynie powrót status quo. Jej sytuacja jest znacznie mniej przewidywalna i nieuchronnie wiąże się z nią dużo bólu.

W ciągu pierwszych kilku tygodni po przyjęciu odbyłam z Isobel sporo pełnych skrepowania rozmów telefonicznych na temat tożsamości kochanki jej męża i nowych, odkrytych przez nią faktów na temat skali oszustw Guya. Fakt, że te telefony ustały, może znaczyć jedynie to, że jest bliższa odkrycia tożsamości Emmy na własną rękę albo że czuje, iż należą do spisku, co wszak jest zgodne z prawdą.

Wpadam także w coraz większą frustrację, jeśli chodzi o Emmę. Próbowałam jej wytłumaczyć, że im dłużej trwa jej związek z Guyem, tym większy gwarantuje to ból i gniew dla Isobel i tym trudniej będzie naprawić ich małżeństwo. Za każdym razem, kiedy rozmawiam z moją przyjaciółką, obiecuje, że jest bliska zakończenia romansu. Stosuje metodę, którą nazywa „powolnym wycofaniem”. Według mnie brzmi to niczym jakaś technika seksu tantrycznego, ale Emma

utrzymuje, że to część jej kampanii do wyjścia z tej sytuacji z utrzymaniem silnej pozycji.

Zdemaskowanie Emmy jest kuszące, ale w tym momencie raczej nie poprawi sytuacji. Isobel udaje się zachować godność częściowo dzięki pracy detektywistycznej, na której skupia się jej gniew i która daje jej czas potrzebny do zastanowienia się nad właściwą reakcją.

Moje zapasy złości nakierowane są więc na Guya. Co zaskakujące, dzwonił do mnie wiele razy, pragnąc zapewnienia, że nie powiem jego żonie o tym, co się dzieje, ani nie namówię Emmy do tego, by go zostawiła. Zastanawiam się, czy Isobel nadal monitoruje jego rozmowy i do jakiego dojdzie wniosku na widok najnowszego bilingu.

Przyglądam się jej. Uznaję, że zmartwienia jej służą. Wręcz promienieje.

- Wyglądasz jak Jackie Kennedy, kiedy spędzała miesiąc miodowy w Acapulco - oświadczam.

- To niezbyt fortunna analogia z wielu względów - mówi, zerkając ponad krawędzią okularów przeciwsłonecznych. - Choć na tym etapie zastrzelenie Guya jest jedną z wielu opcji, które rozważam. Zwłaszcza od kiedy odkryłam, że tego wieczoru, kiedy odbyła się pamiętna kolacja w restauracji, w ogóle nie był we Francji.

- Chodziło mi o twój wygląd. A poza tym JFK najprawdopodobniej wtedy nie miał jeszcze romansów - mówię, starając się jednocześnie dodać Isobel otuchy i odwieść ją od rozmowy o jej mężu.

- Wcale nie myślałam o jego romansach - szepcze lapidarnie. - Założyłam te okulary, ponieważ podczas ćwiczeń doznałam kontuzji.

- Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że można wzmacniać mięśnie twarzy - mówię z autentycznym zdumieniem.

- Czy coś takiego nie powoduje zmarszczek?

- Czy ty jesteś rozmyślnie przekorna, Lucy? - pyta Isobel, ale wiem, że taka rozmowa jest dla niej przyjemnie rozpraszająca.

Chciałabym jej powiedzieć, że niesamowicie mnie krępuje wymuszona poufałość naszych relacji i że pragnę powrotu na pozycje, które zajmowałyśmy do tej pory. Ale jest już za późno. Okoliczności związały nas ze sobą.

Unosi okulary, pokazując podbite oko - siniec ciągnie się od lewej brwi aż do połowy policzka.

- Niechcący uderzyłam się pięścią w twarz podczas zajęć kick boxingu - wyjaśnia. - Ponieważ myślałam gdzie indziej.

- Posiadanie takiego świetnego tyłka musi wiązać się z pewnym elementem cierpienia - stwierdzam.

- Lucy, w życiu masz dwa wybory - mówi, wzdychając.

- Można ocalić twarz albo tyłek, i ja wybrałam to drugie. - Muszę mieć minę pełną konsternacji, ponieważ kontynuuję: - Jeśli dużo ćwiczysz, masz zmarszczki, a jeśli jesteś puszysta, twarz wygląda młodziej.

- Ale przecież twój mąż widuje cię częściej od przodu niż od tyłu, prawda? - pytam. - Czy nie byłoby sensowniej zainwestować w twarz?

- Skoro już pytasz, to wiedz, że obecnie nie widuje mnie zbyt wiele ani z przodu, ani z tyłu. Cofnęłam wszystkie świadczenia. A poza tym mój osobisty trener mówi, że powinnam się skupić na tym, co mam najbardziej atrakcyjnego - mówi. - To inwestycja na przyszłość, na wypadek, gdyby sprawy kiepsko się potoczyły.

Głos Isobel nieco drży i spod lewego szkła jej okularów wydostaje się mała łza. Ociera ją, delikatnie siakając nosem. Wyciągam rękę i dotykam jej ramienia. Chciałabym, żeby Emma mogła zobaczyć tę wersję historii.

- Nie bądź dla mnie miła; nie znoszę, jak ludzie mi współczują. Powiedz coś paskudnego, tak bym nie płakała.

- Twoja sukienka wygląda jak klomb z chryzantemami. Podczas rozwodów sędziowie nie patrzą łaskawym okiem na osobistych trenerów. Twoim następnym samochodem będzie G - Wizz - mówię.

Uśmiecha się słabo.

Do naszej grupy podchodzi Robert Bass, a ja próbuję skoncentrować się na moim soku pomarańczowym, sącząc go głośno przez słomkę i walcząc z pokusą podniesienia głowy. Pozwalam sobie na przyjrzenie się jego nogom od ud w dół i zauważam, że ma na sobie krótkie spodenki, kończące się nierówno tuż nad kolaniem. Gorące lato nie jest najlepszą porą roku do porzucenia pożądlivych myśli. Patrzę, jak jego nogi zbliżają się do krzesła obok Mamy Alfa. Staram się znaleźć coś śmiesznego w jego kolanach, poszukać włosków na palcach u nóg, pęcherzy na pięcie, czegokolwiek, co mogłoby przekłuć bańkę pożądania.

Gdybym powiedziała, że nie myślałam o nim przynajmniej raz dziennie, skłamałabym, choć za każdym razem, kiedy pojawia się nieproszony w mej głowie, zmuszam się, by myśleć o czymś innym, o jakimś poważnym temacie, który podkreśli infantylność mojej obsesji. Na przykład sporządzam w myślach listy krajów najbardziej odczuwających błędy polityki zagranicznej USA, a potem, jeśli to nie jest wystarczająco rozpraszające, próbuję poustawiać je w jakiejś kolejności. Czy w Iraku jest większy bajzel niż w Wietnamie? Czy powinno się osądzać sytuację po liczbie ofiar cywilnych, czy po dekadach, które zostaną utracone po to tylko, by wrócić do punktu, z którego nie ma odwrotu? W którym przypadku Nikaragua ucierpiała bardziej niż Somalia? Czasami moje myśli błądzą. Czy kontakt z niewiernością radykalnie zmieniłby krajobraz naszego

małżeństwa? Ile czasu zabrałby powrót do status quo? Ile byłoby ofiar?

Gdyby mojemu postanowieniu potrzeba było wzmocnienia, zatrzymałabym się i popatrzyłam na moje dzieci, i byłabym wtedy pewna, że mam tyle silnej woli, by oprzeć się wszelkim propozycjom ze strony Roberta Bassa. Nie potrafiłam natomiast zrozumieć, dlaczego skoro ja próbuję się wycofać, on nadal prowadzi pościg. Moja słabość polegająca na patrzeniu na sytuacje z punktu widzenia wszystkich zaangażowanych osób zawiodła mnie dokładnie w momencie, kiedy mogłaby być bardzo użyteczna.

Pomimo tego wszystkiego uważam się jednak za szczęściarę, gdyż kiedy tylko wspomnienie spędzonych w szatni chwil grozi zdominowaniem moich myśli, potrafię po prostu przenieść uwagę na inne dylematy, którym początek dał ten brzemienisty w skutki wieczór. Przeniesienie niepokoju, tak Mark nazwałby te zachodzące na siebie pętle zmartwień, ponieważ on musi przypiąć etykietę wszystkiemu.

Mama Alfa klaszcze słuźbiście w dłonie, by dać znać, że zebranie się rozpoczęło, i wręcza mi długopis i kartkę, bym zajęła się sporządzaniem notatek. Wszyscy siadamy na miejscach, a ja nadal zwalczam w sobie chęć popatrzenia na Roberta Bassa. Do kafejki wchodzi leniwie Sławny Tata. Ma na sobie klapki, obcisłe džinsy Super Fine, które muszą należeć do jego żony, i kapelusz wsunięty na głowę tak nisko, że widać jedynie dół jego twarzy. Prosi Isobel i mnie o przesunięcie się, tak by mógł usiąść obok mnie. Jestem teraz wciśnięta pomiędzy ich dwoje. Sławny Tata wydziela z siebie zapach potu i alkoholu. Siedzi blisko i jego ramię przyklejone jest do mojego. Kiedy porusza się, by podnieść do ust filiżankę z czarną kawą, ukradkowo liżę nadgarstek i przekonuję się, że smakuje alkoholem. Sławny Tata poci się czystą whisky.

- Co się dzieje, Sweeney? - szepcze gardłowo.

Chciałabym, żeby przestał mówić do mnie po nazwisku.

- Ona wnosi propozycję, by szkolny festyn odbył się pod hasłem cesarstwa rzymskiego i żebyśmy wszyscy pojawili się w kostiumach i mówili po łacinie - mówię.

- Czy to jeden z tych dziwacznych angielskich zwyczajów? - pyta Sławny Tata, zdejmując okulary przeciwsłoneczne.

- Nie, to tylko jeden z tych dziwacznych zwyczajów północnego Londynu - odpowiadam. Sławny Tata wygląda okropnie, jakbyśmy spotkali się pod koniec długiej nocy, a nie na początku nowego dnia. Oczy ma tak nabiegłe krwią, że czuję, jak moje zaczynają łzawić. - Myślę, że powinieneś zostawić je na nosie - mówię, pokazując na Isobel. - Masz dobre towarzystwo.

- Imploduję, Sweeney - mówi i wydaje z siebie dźwięk wybuchającej bomby.

Mama Alfa rzuca nam spojrzenie pełne dezaprobaty.

- Moja żona odeszła. Zabrała ze sobą dzieci z powrotem do Stanów. Moja najmłodsza zapytała, czy nie jestem równy.

- Co miała na myśli? - pytam.

- Niezrównoważony - odpowiada. - Ale to nie tak. Przechodzę okresy autodestrukcji, a potem wracam. To mój sposób radzenia sobie z życiem.

- Co więc w takim razie tutaj robisz, skoro nie jesteś już rodzicem? - pytam.

- Za cztery tygodnie rozpoczynam kręcenie filmu w Pradze. Nie mam do roboty nic lepszego - wyjaśnia. - To bardziej zajmujące niż oglądanie telewizji, no i muszę mieć na ciebie oko.

Liczę w myślach do dwustu pięćdziesięciu i pozwalam sobie na podniesienie głowy i spojrzenie po raz pierwszy na Roberta Bassa. Zauważam, że rękawy białego T - shirta ma

niedbale zrolowane, dzięki czemu widać mu górną część ramienia i nawet odrobinę barku. Jego skóra jest opalona. Siedzi oparty, nogi ma wyciągnięte przed siebie. Palcem wskazującym lewej dłoni, tym palcem, którym mnie dotykał, rysuje niewielkie kółka na zakurzonej stoliku. Drugą ręką od czasu do czasu przeczesuje włosy, aż w końcu zaczynają sterczeć na końcach.

Wspominam konstelację niezręcznych sytuacji, które przetoczyły się tamtego wieczoru przez przyjęcie, niczym naukowiec zbierający dowody empiryczne potrzebne do wyliczenia prawdopodobieństwa wystąpienia klęski żywiołowej. Myślę o ludziach w biurach w Kolorado, monitorujących każdego dnia niewielkie ruchy tektoniczne, jak próbują przewidzieć prawdopodobieństwo trzęsienia ziemi. Gdyby zastosowali to samo do mojego życia, bez wątplenia doszliby do wniosku, że nadal nieuchronne jest poważne wydarzenie. Uznaję, że przekształciłam się w uskoc San Andreas.

Zamykam oczy i robię głęboki wdech, starając się przy tym nie wzdychać. Potrafię sobie przypomnieć zapach kożucha Isobel, dźwięk wody kapiącej z kranu, to, że dotyk dłoni Roberta Bassa na moim ciele był tak gorący, że później sprawdziłam, czy nie zostawił po sobie śladu. Myślę o tym, jak materiał mojej portfelowej sukienki rozciągał się pod wpływem siły, której on użył do ściągnięcia jej z mego ramienia. Najpewniej tkanina już nigdy nie odzyska dawnego kształtu. Zaczynam się zastanawiać, co dokładnie zrobiłby w dalszej kolejności, gdyby nie przerwał nam Sławny Tata. Wyobrażam sobie zataczającą kółka na stole dłoń pod materiałem mojej sukienki, przesuwaną się coraz niżej i niżej. A potem wzdycham głośno. Sławny Tata mnie szturcha.

Kiedy otwieram oczy, Robert Bass patrzy właśnie na mnie. Zastanawiam się, od jak dawna. Zabiera palec ze stołu i



dotyka nim w zamyśleniu dolnej wargi. Następnie uśmiecha się do mnie. To taki półuśmiech, częściowo zakryty przez palec. Jestem pewna, że wie, o czym teraz myślę.

- Weź się w garść, Sweeney - szepcze mi do ucha Sławny Tata. - Chyba że chcesz, aby cała klasa zauważyła te wygłodniałe spojrzenia.

- Popielice i denary. Bogowie i gladiatorzy - słyszę pełen podekscytowania głos Mamy Alfa.

- Zobaczysz, że zaraz wprowadzi do tego wszystkiego element współzawodnictwa - szepczę do Sławnego Taty.

- I nagroda dla rodzica, który przybędzie w najlepszym przebraniu - oświadcza triumfująco Mama Alfa.

- Uwielbiam to, że Anglicy zawsze szukają pretekstu, by się przebrać - stwierdza Sławny Tata. - Zwłaszcza, jeśli tkwi w tym potencjał do transwestytyzmu.

- Uważam, że powinniśmy nad czymś takim przeprowadzić głosowanie - odzywa się kapryśnie Robert Bass, nachylając się do przodu. Prawy rękaw jego T - shirtu zjeżdża na dół i zakrywa górną część ramienia.

- In vita priore ego imperator romanus fui - oświadcza Mama Alfa. - Poza tym w starożytnym Rzymie nie było demokracji. Uzgodniliśmy w zeszłym semestrze, że wszystkie szkolne wydarzenia powinny nieść ze sobą jakieś przesłanie edukacyjne.

- Ale nie jesteśmy w starożytnym Rzymie, jesteśmy w północnym Londynie - nie daje za wygraną Robert Bass.

- Nie wszyscy z nas uczą się łaciny, by pomagać dzieciom w pracy domowej.

Wygląda jeszcze atrakcyjniej, kiedy jest zagniewany

- myślę, patrząc na niego marzycielskim wzrokiem. To z całą pewnością bije na głowę jego monologi na temat znaczenia produkcji kompostu i reżyserowania dziecięcego przedstawienia.

- Być może mógłbym wykorzystać kostium, który nosiłem w Troi - proponuje Sławny Tata, próbując naprawić postrzępione końce dyskusji.

Robert Bass posyła mu gniewne spojrzenie.

- Nie ta epoka, ale cóż za wspaniały pomysł! - oświadcza Mama Alfa, klaszcząc z ekscytacją w dłonie, po czym otwiera laptopa.

- Mam nadzieję, że ponownie przyprowadziłaś ze sobą te panie - mówi Sławny Tata, pochylając się ku niej.

Mama Alfa wierci się na krześle, a jej uśmiech jest pełen napięcia. Wyraźnie jednak podoba jej się to zainteresowanie.

- Czy twój kostium ma kolczugę i nagolenice? - pyta z fałszywą skromnością.

- Wszyściutko, łącznie z hełmem z czerwonym krzyżem - odpowiada Sławny Tata.

- Sugerujesz, byśmy wszyscy sami przygotowali sobie kostiumy? - pytam.

- Możesz sobie przecież uszyć coś szybko na maszynie, no nie? - odpowiada ze zniecierpliwieniem Mama Alfa.

- Nie mam maszyny do szycia, a zrobienie kostiumu Misia Barneya do szkolnego przedstawienia zabrało mi tydzień - błagam.

- A co mają włożyć mężczyźni? - pyta Robert Bass. - Nie wszyscy mamy kostiumy z hollywoodzkich filmów.

- Coś krótkiego, plisowanego, sandały z rzemyków - odparowuje Mama Alfa, wiedząc, że to ona jest u steru. - Jestem pewna, że Lucy ci pomoże. Proponuję, byście wspólnie prowadzili stragan z rzymskim ciastem.

- Nie jestem pewna, czy to taki dobry pomysł - mówię. Spojrzenia wszystkich obecnych kierują się na mnie. - Nie mogę zamiast tego prowadzić zabawy „Przypnij ogon” z koniem trojańskim?

- Niewłaściwa epoka - odpowiada z lekceważeniem Mama Alfa. - Dlaczego nie chcesz stać na straganie z ciastem razem z Robertem? - Patrzy na mnie, a potem na Roberta Bassa, który wzrusza obojętnie ramionami. - Martwi cię poziom jego entuzjazmu? - pyta.

Krztuszę się sokiem pomarańczowym.

- Ja też wam pomogę, Lucy - odzywa się Sławny Tata.

- Ja jestem Spartakus.

I przyjmuje pozę Kirka Douglasa.

- Nie, to ja jestem Spartakus - oponuje Robert Bass.

- Nie, ja jestem Spartakus - dołącza się Isobel. Wszyscy zaczynamy się śmiać. Następnie Isobel nagle wstaje, wyciąga rękę, wskazując dłonią na niebo. Wszyscy przyglądamy jej się w pełnym podziwu milczeniu.

- Już mam - mówi. - Pleats Please (Nazwa jednej z kolekcji Issey Miyake (przyp. tłum.)), olśniewające sandaalki gladiatora z turkusami od Miu Miu, westalska dziewczica.

- Mamy przecież zbierać pieniądze, a nie je wydawać - mówi surowo Robert Bass.

- Cieszę się, że niektórzy z was potrafią wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu - oświadcza Mama Alfa. - Spotkamy się na szkolnym dziedzińcu wcześniej rano w sobotę wraz z tym, co każdy ma przynieść, no i oczywiście w kostiumach.

Wszyscy potulnie kiwamy głowami.

- Dlaczego upiekłaś tyle ciast? - pyta Tom w piątek późnym wieczorem. - Jedno za każdy kieliszek wina, który wypić wieczorem?

- Muszę mieć po prostu jedno idealne - odpowiadam, rozsiadając się na fotelu i otulając mężowskim szlafrokiem.

- Mój cały status matki zależy od zrobienia idealnego ciasta.

- Nie bądź śmieszna, Lucy. Jak pieczenie może odzwierciedlać twoje umiejętności rodzicielskie? To zupełnie

nielogiczne. Zachowujesz się jak twoja matka podczas Bożego Narodzenia.

- Nieumiejętność upieczenia ciasta jest uwarunkowana genetycznie.

- Nie mogłaś zlecić Głębokiej Płyciźnie, żeby upiekł je za ciebie? - pyta. - Przecież razem stoicie na tym straganie.

- Musisz przestać tak go nazywać.

- Cóż, raczej nie mogę go nazywać Seksownym Udomowionym Tata, prawda? - pyta żartobliwie. - Isobel powiedziała mi, że tak właśnie mówią na niego mamy. Myślałem, że pieczenie to jego specjalność?

- No bo tak jest, i w tym właśnie problem - odpowiadam i zaczynam się denerwować.

- Dlaczego są takie płaskie? - pyta Tom, naciskając jedno z ciast, a ono natychmiast opada jeszcze bardziej. - Wyglądają jak frisbee. - Milknie na chwilę. - Może będziesz udawać, że to rzymskie dyski?

Patrzę na niego z podziwem.

- Cóż za doskonały pomysł - mówię, niemal szlochając z ulgi. Podchodzę, by go uściskać.

- Ten szlafrok jest ohydny - mówi mój mąż, przytulając mnie. Stoimy tak razem w milczeniu. - Wszystko w porządku? - pyta. - Ostatnio wydajesz się bardzo strapiona, nawet jak na twoje standardy. Martwisz się o Emmę? Albo o Cathy? Albo o Isobel?

- Nic mi nie jest. Czekam z niecierpliwością na lato i wyjazd do Włoch - odpowiadam.

- Do tego czasu prace nad biblioteką będą już wrzeć i zrobię sobie porządny urlop - oświadcza Tom. - Możemy ponownie siebie odnaleźć, musimy jeszcze tylko przetrwać miesiąc. Idę do łóżka. Wspomniałem ci, że następny tydzień znowu muszę spędzić w Mediolanie?

Nie wspomniał, ale prawdę mówiąc, przyzwyczaiłam się do jego nieobecności. Problemem nie jest bycie osobno, ale uczenie się na nowo bycia razem. Proces oddalania rozpoczął się wiele miesięcy temu i tak naprawdę to teraz łatwiej jest mi być samej. Muszę jedynie wytrzymać do końca roku szkolnego. Wakacje rysują się na horyzoncie niczym suchy ląd po burzliwym rejsie na morzu. Jeśli uda mi się przebrnąć przez szkolny festyn, będę bezpieczna. Wakacje wprowadzą odpowiedni dystans między mną a Robertem Bassem, a poza tym potem on wyjedzie promować swoją książkę.

O piątej nad ranem, potykając się, wchodzę do kuchni, gotowa do podjęcia działań wojennych. Jeszcze przed zejściem na dół do mojego nosa dociera gryząca woń przypalonego ciasta. Pod koniec wczorajszego wieczoru połączenie braku snu i zbyt dużej ilości wina sprawiło, że zasnęłam podczas pracy, skazując mój ostatni eksperyment, biskopt, na niepewną przyszłość, której na pewno nie stanowiło Imperium Romanum.

Dopijam wino pozostałe od wczoraj w kieliszku, aby ukoić nerwy, mając nadzieję, że w drodze do szkoły nie będę musiała dmuchać w balonik. Czeka na mnie przytłaczający widok, raczej pole walki niż domowa sielanka. Każda miska wezwana do działania podczas tych późnowieczornych ćwiczeń jest wypełniona masą, która zdążyła już bezlitośnie zastygnąć. Na kredensie panoszy się ziemia niczyja jakiejś niezidentyfikowanej mazi i dwóch pustych butelek po winie. Brudne garnki tkwią w kałużach lukru. Mikser jest częściowo pokryty warstwą czekolady. Dokonuję oceny sytuacji z godną podziwu zimną krwią i postanawiam beznamiętnie, że da się ocalić starannie uformowaną czekoladową popielicę wraz z ogonem, a także lekko przypalony biskopt kakaowy i trzy dyski.

Następnie włączam radio i słucham programu skierowanego do ludzi, którzy wstają wcześniej, by dojść krowy i piec ciasta. Po chudych latach coraz więcej jaskółek wraca do Wielkiej Brytanii; brakuje pasterzy i wiejskich pastorów. Ta sielankowa wizja ma właściwości uspokajające i ze świeżym wigorem zabieram się za kolejne ciasto. Kiedy wbijam jajka do miski, rzucam przez okno spojrzenie na ogród i widzę na linie lekko powiewające prześcieradło. Wtedy uświadamiam sobie, że czując przymus pieczenia ciasta, zapomniałam o najważniejszym elemencie tego dnia: własnoręcznie wykonanym kostiumie Rzymianki. Zdecydowanym krokiem udaję się do ogrodu, podniesiona na duchu porannym kieliszkiem wina, i ściągam prześcieradło z linki. Grzywacz mierzy spojrzeniem biskopt, który zostawiłam na trawniku, i szczebiocze z uznaniem z drugiego końca ogrodu.

Nil desperandum, każdy problem ma rozwiązanie, a moje patrzy mi prosto w twarz. Idealnie czyste, aczkolwiek niewyprasowane prześcieradło czeka na swoją chwilę chwały. Przy pomocy kuchennych nożyczek wycinam niezbyt równe koło tam, gdzie powinna znajdować się głowa. Przy wyprodukowanych przez Joego krótkich spodenkach wygląda to na amatorszczyznę, ale jeśli przewiążę się sznurkiem w talii, mogę ujść za niewolnicę albo jakąś inną starożytną służkę. Zasłony u sąsiadów pozostają szczelnie zasunięte. Zdejmuję szlafrok i strząsam prześcieradło.

Słyszę hałas w oknie i podnoszę głowę. Z naszej sypialni wygląda Tom, wyraźnie skonsternowany. Otwiera okno i wychyla się śpiący.

- Dlaczego stoisz naga w ogrodzie o piątej nad ranem? - pyta ze znużeniem, jakby bał się odpowiedzi. Zauważyła leżące na środku trawnika ciasto. - Tylko mi nie mów, że ćwiczysz rzucanie czekoladowym dyskiem. Zaczynam się zastanawiać

nad zdrowiem psychicznym rodziców w tej szkole, zwłaszcza twoim.

- Ćśśś, bo wszystkich pobudzisz - mówię, wycinając wokół szyi nieco większą dziurę.

- Dlaczego zniszczyłaś to prześcieradło? - chce wiedzieć mój mąż.

- Proszę bardzo, czy teraz to nie jest oczywiste?

- Nie dla przypadkowego obserwatora.

- To mój rzymski kostium - wyjaśniam.

- To zabawne, bo wygląda, jakbyś miała na sobie prześcieradło z wyciętą w środku dziurą - oświadcza Tom, zatrzaskując okno i mrużąc coś pod nosem.

Kilka minut później wtacza się do kuchni. Zerkając na czekoladowe plamy na suficie, mówi z nutką desperacji w głosie:

- Boże, Lucy, powiedz mi tylko, jak ty robisz aż tyle bałaganu? Dlaczego nie sprzątasz na bieżąco? To wypróbowany system, sprawdzony od wieków. Nawet w czasach imperium rzymskiego. Spójrz tylko na obraz mojej matki: wygląda, jakby miała jakiś problem dermatologiczny.

Wyciera palcem plamy z portretu Petry i starannie wylizuje je do czysta.

Wyjaśniam, że w kluczowym momencie podczas robienia ciasta nie mogłam znaleźć wieczka od blendera, więc dzięki pomysłowości godnej Heatha Robinsona improwizowałam, używając kawałka kartonu z wyciętą w środku dziurą na ręczny mikser.

- Czy to coś, co zobaczyłaś w „Błękitnym Piotrusiu”? - pyta Tom. - Mogłaś przecież włożyć to wszystko w mniejszą miskę.

Wyjmuję z piekarnika moje ostatnie dzieło i wytrząsam je z formy. Uparło się, by być jednocześnie przypalone na wierzchu i niedopieczone w środku.

- Jak to możliwe? - pytam Toma z rozpaczą. - To tak, jakby się jednocześnie było chudą i grubą.

Mój mąż udaje się do skrzynki z narzędziami i przynosi piłę do metalu.

- W zeszłym roku to zadziałało podczas urodzin Joego - mówi uspokajającym tonem. - Potem możesz wyciąć w środku dziurę i napęlić ją czekoladowymi jajkami.

- Ale czekoladowe jajka nie są autentycznie rzymskie.

- Stragan z ciastami też nie. Nie rozumiem, dlaczego zgodziłaś się robić coś, co nieuchronnie skończy się katastrofą. To takie masochistyczne. - A potem urywa. - Trudno prowadzić poważną rozmowę z dorosłą osobą ubraną w prześcieradło.

Idzie na górę i przynosi swój stary tweedowy płaszcz.

- Wiem, że jest ciepło, ale nie możesz iść do szkoły w takim stroju. Wyglądasz nedorzecznie. Wracam do łóżka. Wyszykuję chłopców i później ich przyprowadzę.

Dwie godziny później w buntowniczym nastroju opuszczam dom, niosąc w koszyku dyski i czekoladową popielicę. Idę w kierunku szkoły, jest mi gorąco w płaszczu Toma i wszystko mnie swędzi. Tuż przed szkolną bramą zauważam przypinającego rower Roberta Bassa z formą do pieczenia Cath Kidston pod pachą. Za późno, by uniknąć spotkania z nim.

- Ciasto marchewkowe. W stu procentach naturalne - uśmiecha się nonszalancko. - Moja specjalność.

Postanawiam przypominać sobie to zdanie za każdym razem, gdy o nim pomyślę, ponieważ jeśli istnieje kilka słów potrafiących ugasić pożądanie, to właśnie je przed chwilą usłyszałam.

On też ubrany jest w długi płaszcz. Wpatruję się w jego łydki i dostrzegam, że owinięte są skórą, na wzór starożytnych Rzymian.



- Co masz pod spodem? - pytam.

- Zgodnie z instrukcjami mam na sobie krótką togę z odkrytymi ramionami i skórzany pas - uśmiecha się, zaciskając zęby.

- Jak krótką?

- Cóż, ujmę to tak: mogliśmy znaleźć tylko dziecięce prześcieradło - oświadcza, rozchylając poły płaszcza, by pokazać mi się w pełnej krasie.

Robert Bass włożył na szkolny festyn minispódniczkę. Z pobłażaniem przyglądam się jego nogom, nieco zbyt owłosionym jak na mój gust, ale ładnie umięśnionym. W duchu dzielonego upokorzenia pokazuję mu własne prześcieradło z pospiesznie wyciętą dziurą pośrodku. Wyraźnie blednie.

- Duszek Kacper - stwierdza, cofając się do żywopłotu, by mieć lepszy widok.

Od dalszej krytyki ratuje mnie pojawienie się Isobel. Parkuje samochód obok nas i opuszcza elektryczną szybę.

- Dzielicie się wrażeniami? - pyta retorycznie. Wychodzi z samochodu w długiej do ziemi kremowej sukni z idealnie odprasowanymi plisami i na cieniutkich ramiączkach.

- Jak ci się, u diabła, udało coś takiego? - pytam, pod silnym wrażeniem.

- Issey Miyake - odpowiada.

- Nie wiedziałem, że masz japońską sprzątaczkę - mówi Robert Bass.

- Specjalnie ją zamówiłam - informuje mnie Isobel.

Wtedy dociera do mnie, że moje priorytety nie są właściwe. Czekoladowe ciasta pozostają anonimowe, ale kod ubraniowy widać z daleka.

Robert Bass i ja idziemy w milczeniu w stronę naszego straganu z ciastami.

- To przyjęcie u Isobel, Lucy... - odzywa się w końcu. -  
Musimy porozmawiać.

- Nie mam nic do powiedzenia - oznajmiam, rozglądając się, by sprawdzić, czy ktoś nie słucha.

- Nie możesz już zawsze mnie unikać - mówi, stając za blatem na kozłach i krzyżując ręce na piersiach.

Trudno sobie wyobrazić okoliczność, która byłaby bardziej zajmująca niż ta rozmowa, którą Robert Bass próbuje właśnie przeprowadzić. Ale na szkolnym dziedzińcu zapada cisza, gdy w naszym kierunku zmierza bardzo autentycznie wyglądający centurion w krótkiej białej spódniczce, pełnej zbroi oraz hełmie z przyłbicą i krzyżem.

- Hail, Cezar! - woła do nas, wymachując w powietrzu włócznią.

Oto przybył Sławny Tata.

- Jestem tutaj, by bronić twego honoru, Lucy - szepcze, gdy Robert Bass udaje się na drugą stronę stołu, by wypakować ciasta. - O ile wcześniej nie zemdleję - dodaje. - To wszystko jest trochę przyciasne. Chyba przytyłem od czasu kręcenia tego filmu. To pewnie przez piwo.

- A nie przez whisky? - pytam.

- Przez nią też.

- Proszę, by wszyscy zajęli swoje miejsca! - woła Mama Alfa, klaszcząc w dłonie.

Kiedy stoimy za stołem z ciastami, chmury rozchodzą się i oboje z Robertem Bassem stwierdzamy, że kiedy stoimy tyłem do słońca, nasze prześcieradła stają się zupełnie przezroczyste.

- Nie zostawiają zbyt wiele wyobraźni - stwierdza Sławny Tata, mierząc nas od góry do dołu spojrzeniem spod przyłbicy, a warstwy jego spódniczki podskakują wesoło. - Przynajmniej ty masz zabudowane majtki - mówi do Roberta Bassa, obejmując go ramieniem i trącając w brzuch włócznią.

- O ile tylko pozostaniemy za straganem, naszą godność będą chronić ciasta. Będziemy musieli stać za nimi tak długo, jak się da - oznajmia Robert Bass.

- Co tak rozprawiacie? Mamy mnóstwo pracy - ponagla Mama Alfa.

Teatralnym gestem rozkłada obrus, na którym osobiście wyhaftowała cyfry rzymskie, by pasowały do idealnie uformowanych okrągłych ciasteczek z łacińskimi inskrypcjami z lukru. Moja starannie uformowana popielica wygląda teraz bardzo rolniczo.

- Gdzie twoje rzymskie sandałki, Lucy? - pyta Mama Alfa, przyglądając się moim koturnom i podając mi tacę z rzymskimi monetami. - Oto denary; pamiętajcie, że chcemy, aby dzieci odebrały to wszystko jako autentyczne.

- Cóż, w takim razie powinnam była spędzić wieczór na skubaniu ptactwa i pieczeniu popielicy - mówię, przesuwając moje ciasto czekoladowe na front straganu.

Mama Alfa podnosi je, chwieje się przesadnie i kieruje swoje ciasteczka na sam przód, po czym chwyta za krawędź stołu i przechyla go niebezpiecznie.

- Myślę, że to autentyczne pyrrusowe zwycięstwo - mówi Robert Bass, ratując moje zagrożone ciasto i pomagając Mamie Alfa w podnoszeniu ukraszonych ciasteczek.

- Lucy, co ty do niego dodałaś? - mruczy. - Waży więcej niż ja.

Zanim zdążę odpowiedzieć, Mama Alfa oświadcza, że właśnie wpadła na doskonały pomysł i postanowiła użyć mojego ciasta do konkursu „Zgadnij, ile waży czekoladowy dysk”.

- Ale w czasach rzymskich nie robiło się tego - protestuję słabo, w duchu przeklinając Roberta Bassa.

- Nie mieli też loterii fantowych ani czekoladowych popielic, ale musimy jakoś zebrać pieniądze - ripostuje zwięźle Mama Alfa.

Robert Bass patrzy na mnie przepaszająco i wzrusza ramionami.

- Przepraszam, to kobieta z misją, Lucy.

- Być może Robert mógłby poprowadzić ten konkurs zamiast mnie? - sugeruję nieco zbyt skwapliwie.

Isobel przepływa przez szkolny dziedziniec, a za nią łagodnie falują plisy. W ręku trzyma włócznię.

- Oto westalka - mówi, patrząc Sławnemu Tacie prosto w oczy.

- Ale ty masz czworo dzieci - zauważam.

- To raczej Minerwa - wtrąca Robert Bass. - Może mógłbym być twoim niewolnikiem.

- Albo ja - odzywa się Sławny Tata.

- Trzeba wczuć się w ducha tego wszystkiego, Lucy - mówi do mnie łagodnie Isobel.

- Ona tak zrobiła - oznajmia Robert Bass, pokazując na mój kostium. - Przebrała się za duszka Kacpra.

Wszyscy parszczają śmiechem i nawet ja uśmiecham się niechętnie. Robert Bass oddala się, by przygotować konkurs, a ja znowu czuję spokój.

Słońce wyłania się zza niewielkiej chmury i ponownie widać mnie w pełnej chwale. Isobel przygląda się memu kroczu i wydaje z siebie jęk.

- Gdybyś użyła prześcieradła ze stuprocentowej bawełny egipskiej, mogłabyś tego wszystkiego uniknąć - kiwa palcem.

- Ale je trzeba tak długo prasować.

- Nie wiem, nie moja działka - ripostuje. - No i, Lucy, było wiadomo, że poliester nieuchronnie będzie ci się przylepiać do ciała. Następnym razem koniecznie włóż

bawełniane prześcieradło i zastanów się nad depilacją brazylijską.

Gdy pojawiają się inni rodzice i szkolny dziedziniec się zapelnia, rozchodzi się wiadomość o intymnej naturze przeżycia proponowanego przy straganie z rzymskimi ciastami. Nagle otoczeni jesteśmy rodzicami i dziećmi, którzy zaczynają się licytować nad czekoladowymi dyskami i popielicą. Utworzyła się zdyscyplinowana kolejka osób chętnych do udziału w konkursie „Zgadnij, ile waży czekoladowy dysk”.

Słońce praży teraz tak niemiłosiernie, że otula mnie całą mokra od potu poliestrowa prezerwatywa, przywierająca bezlitośnie do mego ciała. Pospiesznie wycięta dziura zdążyła się strasznie postrzępić i w ciągu godziny dekolt ze skromnego przekształcił się w głęboki. Za każdym razem, kiedy nachylam się do pudełka z napisem „Denary”, by wydać resztę, muszę przytrzymywać przód prześcieradła przy piersiach. Wciąganie brzucha staje się coraz bardziej wyczerpujące. Podawanie ciasta wymaga dwóch rąk i Sławny Tata usłużnie ocala moją godność, kładąc mi rękę gdzieś tuż nad piersiami.

Podczas chwili przerwy mierzy mnie wzrokiem od góry do dołu, oceniając moje ciało bez cienia wstydu ani skruchy.

- Wydaje mi się, że bardziej Wenus niż Minerwa - mówi żartobliwie. - Nic tak jak zaokrąglona Rzymianka nie zaostrza apetytu uniżonego centuriona.

Dostrzegam zbliżającego się Toma, za którym podąża trzech naszych synów.

- Słyszę, że stragan z rzymskimi ciastami robi na festynie największą furorę, Lucy - mówi z niedowierzaniem mój mąż. - Powinienem być mieć więcej wiary. - Przygląda się Sławnemu Tacie. - Niezły kostium. Może powinieneś założyć coś innego, kiedy wybierzemy się na mecz Arsenalu. - Słońce ponownie

wychodzi. - Boże, Lucy, równie dobrze mogłabyś być naga. Dobrze, że masz centuriona do obrony honoru.

A potem chyba przez minutę śmieje się z odrzuconą do tyłu głową.

- Widzę majtki mamusi - oznajmia Sam wszystkim w zasięgu swego głosu.

- Wrócę później - mówi Tom.

- Nic tak jak dzieci nie sprowadza cię na ziemię - odzywa się ze smutkiem Sławny Tata. - Czasami człowiek nie wie, co ma, dopóki tego nie straci. Niepewni ludzie to niebezpieczni ludzie, Lucy. A tak przy okazji, to zwolniłem mojego terapeutę. Uznałem, że jest częścią problemu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Ogień jest znakomitym narzędziem, pod warunkiem że jest pod kontrolą

Później tego samego dnia wchodzę ospale po schodach prywatnego klubu, do którego należy Emma. To jeden z tych letnich dni w Londynie, kiedy żar leje się z nieba, a potem odbija od chodnika, tak że jego pełną moc odczuwa się gdzieś na poziomie talii. Ubrania lepią się do mnie i trochę żałuję, że nie zostałam w domu, tyle że ten wieczór jest poświęcony świętowaniu ostatniego awansu mojej przyjaciółki. Wchodzę piętro za piętro i robi się coraz bardziej gorąco, aż wreszcie docieram do najwyższej kondygnacji. Opieram się o drewniane panele, by złapać oddech, mając nadzieję, że nieco się dzięki nim ochłodzę, ale one są ciepłe i lepkie, i zostawiają brązowe ślady na mojej białej bluzce.

Myślę tęsknie o kwiecistej sukience Isobel i wyobrażam sobie, jak wydymająca się spódnica chłodzi moje ciało. Dociera do mnie, że od prawie roku nie kupiłam sobie nic nowego do ubrania. Gospośia Isobel potrzebowała całego dnia, by posegregować jej letnią i zimową odzież. W moim życiu nie ma takich sezonowych rozgraniczeń. Włożyłam te same džinsy, które miałam na sobie podczas ostatniej bytności tutaj, dziesięć miesięcy temu.

Czuję się tak wyczerpana nocnym i porannym pieczeniem ciast, że przeżywam jedną z tych chwil, które przytrafiały mi się często, kiedy dzieci były małe. Idąc wtedy ulicą, czułam nagle szarpnięcie, jakby ktoś próbował mnie obudzić. Byłam wówczas rozbudzona czy pogrążona we śnie? Odpowiedź na to pytanie nie zawierała żadnego pierwiastka filozoficznego; było to po prostu fizyczne doznanie, efekt niemal dwóch lat z ani jedną nocą nie przespaną w całości. Pocieszałam się faktem, że jeszcze nikt nie umarł z braku snu, choć niewątpliwie stan ten odpowiada za nieobliczalne zachowanie.

Mówię to wszystko, żeby wyjaśnić choć część późniejszych wydarzeń. Od samego początku wszystko wydawało się odrealnione. To nie jest usprawiedliwianie się, a jedynie częściowe wyjaśnianie.

Tom zgodził się zostać z dziećmi, ponieważ miał wyrzuty sumienia, że zapomniał mi powiedzieć o wyjeździe do Mediolanu na kolejny tydzień. Ale ta propozycja uzależniona była od tego, by przed moim wyjściem z domu chłopcy znaleźli się w łóżkach, tak by on mógł przed wyjazdem jeszcze trochę popracować. Tak więc chcę zauważyć, że pomiędzy porannym festynem a wieczorną wyprawą do klubu udało mi się osiągnąć, co następuje: jednocześnie gotowałam spaghetti bolognese na kolację i opatrywałam zranione kolano Freda - Joe niechcący kopnął go podczas gry w piłkę w ogrodzie. Mój średni syn namówił najmłodszego, by ten był Jensem Lehmannem. Ale Fred stał bez ruchu, kiedy jego brat przymierzał się do strzelenia gola, a ponieważ Joe miał na nogach buty piłkarskie, połała się krew. Coś takiego zawsze stanowiło dla naszych chłopców źródło fascynacji, nawet dla Sama, który w wieku dziewięciu lat jeszcze nie doświadczył dramatycznych skutków poważnego zranienia.

- Jest krew? - zawsze pytał jeden z nich z nadzieją, a kiedy odpowiedź była twierdząca, czułam ich ekscytację, połączenie fascynacji i respektu. Wydaje mi się, że krew jest dla dzieci dowodem, że żyją oddzielone od rodziców. Znakiem, że pewnego dnia same będą sobie musiały radzić z trudami życia.

Następnie w tym samym czasie załadowałam pranie do pralki i przepytałam Sama z ortografii, zadzwoniłam do innej matki, by potwierdzić obecność Joego na zbliżającym się przyjęciu urodzinowym, naprawiłam półkę, no i wyprasowałam wilgotne dzinsy, które mam teraz na sobie, odpowiadając jednocześnie na pytania średniego syna o



plemniki. Przeszła mu obsesja na punkcie Dźwięków muzyki, przerzucił się za to na programy przyrodnicze Davida Attenborough.

- Mamo, jak duży jest plemnik? - dopytywał się Joe.

- Malutki.

- Nawet jeśli jest się kaszalotem?

- Zgadza się - odparłam, mając nadzieję, że jeśli nie dam się wciągnąć w rozmowę, mój syn wybierze inny moment na taką dyskusję. - Nieważne, jak jest się dużym, plemnik i tak jest malutki.

- Mogę trzymać kilka jako zwierzątka domowe? - zapytał.

- Nie żyją długo po opuszczeniu swojego domu - odparłam.

Wiedziałam, że ta wiadomość zasieje później ziarno zamętu, ale czas po prostu nie był moim sprzymierzeńcem. Miałam się spotkać z Emmą i Cathy za niecałą godzinę.

- Tata mógłby ci trochę dać - podpowiedział Sam, starając się być pomocny. - Hoduje je.

Joe popatrzył na niego podejrzliwie. Sam żyje sobie po tej jasnej stronie życia, ale dla jego brata zawsze będą istniały pytania.

To byłby dobry moment na rozpoczęcie podstawowej pogadanki o ptaszkach i pszczołkach, ale po prostu nie miałam czasu. Wyobraziłam sobie Joego w wieku szesnastu lat, uprawiającego seks ze swoją dziewczyną, która zachodzi w ciążę, a on wini mnie, ponieważ mu powiedziałam, że plemniki na zewnątrz umierają. Doszłam jednak do wniosku, że do tego czasu będzie w sumie jeszcze mnóstwo okazji na przeprowadzenie tego typu rozmów.

- Chyba zacznę oszczędzać kieszonkowe i kupię sobie kilka - oświadczył.

- Może lepsza byłaby złota rybka - odparłam. - Ma ciekawszą osobowość. A może obaj zagrabilibyście sobie w Top Trumps?

To nie była sytuacja, którą nazywam opieką nad dziećmi z naddatkiem, kiedy miałabym z głowy kąpiel i czytanie przed snem, co zabiera mniej więcej półtorej godziny, nawet jeśli próbuję się streszczać. Raczej taka opieka nad dziećmi, kiedy wychodząc z domu, jest się wykończonym. Czytałam Joemu i czułam, jak powieki robią mi się ciężkie. Tom mnie obudził o wpół do dziewiątej.

- Położyłem Freda do łóżka - oznajmił. - Pospiesz się, a jeszcze zdążysz.

Popędziłam do drzwi, mruczając podziękowanie, ale byłam na niego wściekła, ponieważ na palcach jednej ręki mogłam policzyć, ile razy opiekował się za mnie dziećmi w tym roku, gdy tymczasem straciłam rachubę, ile razy sama kładłam synów spać. Nie doczekałam się żadnych braw, wiem natomiast, że mój mąż uważa się za zasłużonego za to siedzenie z naszymi chłopcami o wiele bardziej, niż ja się zasłużę kiedykolwiek. Co każe nawet tym najbardziej pomocnym mężczyznom określać ilościowo ich domowe czynności? Każdy najmniejszy wkład jest skrupulatnie notowany, od kąpania dzieci i przygotowania śniadania do wyjęcia naczyń ze zmywarki. Chcą i oczekują podziękowania oraz poklasku. Wiem, że gdy wrócę do domu, zastanę na stole resztki kolacji i że będzie się ode mnie oczekiwać, że to ja zajmę się Fredem, kiedy się obudzi, co się dzieje prawie każdej nocy.

Choć więc myśl o spędzeniu wieczoru z przyjaciółkami zazwyczaj napędza mnie rodzajem entuzjazmu zarezerwowanym dla nastolatki wybierającej się na pierwszą randkę z nowym chłopakiem, dzisiaj akurat nie pragnę

niczego bardziej niż wieczoru przed telewizorem z butelką wina do towarzystwa.

Ale kiedy z drugiego końca pomieszczenia machają do mnie Emma i Cathy, nastrój lekko mi się poprawia. Minęły już prawie dwa miesiące od naszego ostatniego spotkania, a moja ostatnia eskapada z Emmą była niezapomniana, tyle że z niewłaściwych powodów. Z całą pewnością nie było w niej zbyt wiele miejsca na poplotkowanie sobie. No i przeżywam spadek formy, odkąd postanowiłam zaprzestać kontaktów z Robertem Bassem. W końcu powróci mi energia, ale jak na razie w moim życiu istnieje próżnia.

- Za światową dominację! - oświadcza Emma, podając mi kieliszek z szampanem, gdy siadam naprzeciwko niej. - Mam teraz pod sobą Europę, Amerykę Północną i Środkowy Wschód.

Piję szampana tak, jakby to była woda, i wznoszę toast za sukces przyjaciółki. Umiejętność Emmy patrzenia na zewnątrz zawsze mnie zdumiewa i robi na mnie wrażenie. Ona zdobywa nowe terytorium niczym jakieś kolonialne supermocarstwo, podczas gdy ja czuję się tak, jakbym była zaangażowana w nieustającą walkę o zachowanie kontroli nad niewielką częścią terenu pozostającego pod moim dowództwem. Nawet stos prania znajduje się w ciągłym stanie buntu.

- To pewnie trochę tak, jakby się miało troje dzieci - mówię. - Najstarsze jest względnie spokojne, ale ma skłonność do kłótni o pieniądze, średnie zawsze czuje się pomijane, a najmłodsze jest uparte i wybuchowe. - Opieram się o pluszową sofę, zadowolona ze swego relatywizmu geograficznego. - Nadal czytam gazety, wiecie?

Wtedy dzwoni moja komórka. Wiem, nawet bez patrzenia na numer, że to Tom. Gdybym ja miała być jakimś regionem, byłabym Afryką Centralną, niekontrolującą niczego,

zmierzającą prosto do wojny domowej i zarządzaną przez małosłownych dyktatorów.

- Lucy, nie mogę znaleźć żadnej pieluchy - mówi. - A Fred wszystko zasika, jeśli nie założy mu się jej na noc.

- Możliwe, że nam się skończyły. Kupię kilka w drodze do domu. Będziesz musiał improwizować - odpowiadam, odsuwając telefon od ucha.

- Co konkretnie proponujesz? - pyta mój mąż podejrzliwie.

- Cóż, mógłbyś użyć papierowych ręczników, a na nie włożyć jakieś duże majtki. W ten sposób zyskasz przynajmniej dwie godziny.

- Robiłaś już tak wcześniej, prawda? - pyta Tom ze złością. A potem połączenie zostaje przerwane.

- Nie potrafię sobie wyobrazić sytuacji, w której nie udałoby ci się znaleźć rozwiązania - mówi Emma, wyglądając na pełną podziwu. - Jesteś taka dobra w improwizacji. To prawdziwa umiejętność.

- To zależy od terytorium - odpowiadam. - Trójka dzieci i mąż w gorącej wodzie kąpany uwalniają w tobie pomysłowego Dobromira.

- Nie wyobrażam sobie, bym kiedyś miała trójkę dzieci, by móc porównać wrażenia - stwierdza moja przyjaciółka bez odrobiny smutku w głosie. - To ironiczne, ale choć po raz pierwszy od lat miałam stałego chłopaka, temat dzieci jest dla mnie bardziej odległy niż kiedykolwiek wcześniej. Guy z całą pewnością nie chciał mieć ich więcej.

Klepie wielką czarną torbę, którą wykorzystwała do schowania narzędzi podczas naszej nocnej wizyty w domu Guya, w sposób, w jaki ciężarne kobiety klepią się po brzuchu. Torba wygląda na pełną i zastanawiam się, co może być w środku, mając na względzie jej zawartość podczas naszego ostatniego wspólnego wyjścia.

- No i bardzo dobrze, jako że on ma także stałą żonę  
- stwierdzam i zauważam, że mówiąc o Guyu, Emma użyła czasu przeszłego, a nie teraźniejszego.

- I ja też nie będę miała więcej dzieci, o ile moja obecna sytuacja przetrwa - odzywa się Cathy. - Uważam, że w sumie Pete byłby lepszym ojcem, niemniej jednak nie byłby to obiecujący początek życia rodzinnego.

- Ale czy nie mogłabyś wybrać jednego z nich? - pytam.

- Albo mieć dziecka z jednym, a potem z drugim? - dodaje Emma.

- Wtedy miałabym troje dzieci z trzema różnymi ojcami - stwierdza Cathy. - Jak to by o mnie świadczyło? Tak czy inaczej, to nie wchodzi w rachubę. Wydaje mi się, że możliwe jest albo spotkanie się z nimi dwoma, albo z żadnym, choć nigdy nie dokonujemy głębokiej analizy tej sytuacji. Prawdę powiedziawszy, razem tworzą mężczyznę idealnego.

- O czym w takim razie rozmawiacie? - pytam.

- O piłce nożnej, filmach, restauracjach, dokąd pojechać na wakacje, o czytanych książkach, takich zwykłych sprawach - odpowiada Cathy. - Przy tej całej dziwaczności jest całkiem normalnie. Trochę mnie to jednak wyczerpuje. Fantastycznie jest uprawiać tyle seksu i być adorowaną przez dwóch mężczyzn, ale przypomina to nieco zjedzenie zbyt dużej ilości czekolady. Coś dobrego także może się przejeść.

- Kiedy więc Ben jest ze swoim tatą, a ty spędzasz z nimi weekend, w jaki sposób decydujecie, w czym spać łóżku? - pytam.

- Śpimy we trójkę w jednym łóżku.

- Bardzo przytulnie - uznaje Emma.

- Prawdę mówiąc, to obecnie trochę za gorąco.

- No więc w którym momencie ten drugi wie, że może się do was przyłączyć? - pytam, wyobrażając sobie system dzwonek, spotykany w niektórych wiejskich posiadłościach.

W przebywaniu z moimi przyjaciółkami fajne jest to, że ich sytuacje życiowe są niezmiennie ciekawsze od mojej.

- Cóż, to jedyna część naszego związku, która ewoluuje - mówi Cathy. - Nie wdając się w zbyt wiele szczegółów, powiem wam tyle, że wszystko tak jakoś dzieje się w tym samym czasie.

- A więc jednak mamy element gejowski - oświadcza Emma triumfująco, ponieważ uważa to za potwierdzenie swojej początkowej teorii.

- Nie sądzę, żeby to było takie proste - odpowiada Cathy.

- Ich chyba podnieca patrzenie, jak uprawiają seks z tą samą kobietą. I jest w tym pewien element współzawodnictwa.

- Jak we wszystkim u facetów - stwierdza Emma.

- Boże, będę musiała opowiedzieć o tym Tomowi - mówię. - Chcę odkryć na nowo przyjemność seksu waniliowego - oznajmia Cathy.

- A co to takiego? - pytam, wyobrażając sobie scenariusz, w którym udział biorą lody, i nie jest to wizja, którą miałabym osobiście ochotę wcielić w życie, jako że pogorszyłaby tylko moją niepewną sytuację z praniem.

- Chodzi mi o prosty, zwyczajny seks - wyjaśnia Cathy.

- Jakoś nie możemy dotrzeć do tego etapu, no wiecie, „rozwaleni przed telewizorem z jedzeniem na wynos”.

- Macie przed sobą całe lata na tego rodzaju rzeczy - mówię ze znużeniem.

- I nie ma w tym zbyt dużo poczucia braterstwa dusz. Twój brat mówi, że lojalność i czułość to ważne cechy u mężczyzny, i że gdy mamy dwadzieścia kilka lat, lekceważymy tych, którzy je posiadają. Potem, gdy przekraczamy trzydziestkę, ci mężczyźni są już zajęci, a nam zostaje reszta, gdy tymczasem nasze priorytety ulegają zmianie.

- Czy Mark zalicza siebie do tej reszty? - pytam z ciekawością.

- O tak - odpowiada Cathy. - Opisuje siebie jako klasycznego związkofoba, niezdolnego do utrzymania związku z jakąkolwiek kobietą przez okres dłuższy niż dwa lata.

- Och. Widziałaś się z nim w takim razie? - pytam, ponieważ nie jest to rozmowa, którą odbywa się przez telefon.

- Wpadłam na niego parę tygodni temu i kilka razy zjedliśmy razem lunch.

Podchodzi kelner z kolejną butelką szampana.

- Ma pani ochotę na piwo imbirowe? - pyta mnie, przywitawszy się z Emmą.

To ten sam kelner, co poprzednim razem, i gratuluję mu znakomitej pamięci, po czym zerkam z zazdrością w dół, by przyjrzeć się jego fartuchowi. Od wyjazdu Petry krajobraz z praniem uległ lekkiej zmianie. Znalazłam pralnię, do której oddaję koszule Toma, a opiekunka do dzieci otrzymuje dodatkowe pieniądze za zajmowanie się resztą. Nastąpił tu pewien postęp, ale kwestia ta pozostaje jednym z tych odwiecznych problemów.

Ku memu zdziwieniu fartuch kelnera jest pognieciony i pokryty plamami. Jest ich tak dużo, że wygląda to niczym mapa świata. Szukam konturów różnych państw i znajduję plamę po winie, która wygląda jak Australia, i parę małych czerwonych plamek wzdłuż większej plamy, pochodzących, jak mi się wydaje, od sosu pomidorowego, które można uznać za Grecję oraz kilka wysp, może Kretę i Korfu. Kelner dostrzega moje spojrzenie i potrząsa ze smutkiem głową.

- Porzucił mnie - wyjaśnia. - Wciąż zostawiałem otwarte drzwi od lodówki. Pewnego ranka podczas tej fali upałów zszedłem rano na dół, a tam wszystko zdążyło się rozpuścić i to był koniec. Trzy lata wykrochmalonych fartuchów

rozpląły się w mniej niż pięć minut nad kartonem zsiadłego mleka.

Wzrusza ramionami, nalewa mi następny kieliszek szampana, po czym odchodzi.

- Nie mogę uwierzyć, że pary rozstają się z tak błahych powodów - odzywa się Emma.

- Te powody wydają się błahe, jeśli analizujesz je osobno, ale prawie zawsze są wyrwane z całego łańcucha zdarzeń - mówię.

Opowiadam przyjaciółkom o mojej ostatniej domowej kłótni z Tomem.

- Po długich dyskusjach wreszcie wyraził zgodę na to, by na szóste urodziny kupić Joemu chomika, pod warunkiem że biorę na siebie pełną odpowiedzialność za to zwierzątko - zaczynam.

- Nie chcę, by biegał wolno, przegryzając kable i robiąc bałagan - oświadczył Tom.

- Przecież nie trzeba zabierać ich na spacer ani nic w tym rodzaju. To małe stworzenia. Nawet go nie zauważysz - odparłam.

Opowiadam, jak pojechałam do miejscowego sklepu zoologicznego z trójką chłopców i wybraliśmy rudego chomika, którego postanowili nazwać Rover, gdyż tak naprawdę to chcieli mieć szczeniaka. Zwierzak zastępczy, jak nazwałby to Mark. Na te słowa Cathy śmieje się głośno.

Zanim zdążyliśmy przyjechać do domu, Rover wygryzł dziurę w pudełku po butach i zaginął w akcji gdzieś w samochodzie. Dzieci były niepocieszone, więc wróciliśmy do sklepu zoologicznego, by natychmiast kupić drugiego chomika, którego przetransportowałam do domu w kulistym akwarium przymocowanym pasami do przedniego siedzenia i natychmiast przeniosłam do super zabezpieczonej klatki w ogrodzie.



Następnego ranka, kiedy wsiedliśmy do samochodu, by dokądś jechać, przekonałam się, że Rover sobie tutaj zamieszkał. Dostał się do schowka i przegryzł jakieś czerwone i białe przewody. Poza tym zjadł ułamaną pałeczkę chlebową oraz ogryzek i wszędzie pozostawił po sobie wizytówki.

Tom próbował włączyć CD, ale odtwarzacz nie działał. Ani światło w schowku. Zajrzał do środka i wyjął pogryziony baton czekoladowy.

- Dziwne, gotów byłbym się założyć, że to ślady po zębach jakiegoś gryzonia - stwierdził podejrzliwie.

- Cóż, Rover siedzi grzecznie w swojej klatce - odparłam.  
- Sam go widziałeś.

- Kim jest Rover? - zapytał. - Myślałem, że chomik ma na imię Spot.

- To jego drugie imię - wyszeptałam. - Nie mów o tym głośno, ponieważ kłócili się o to, jak go nazwać.

Tom podniósł z podłogi za siedzeniem dla pasażera plan miasta. Kiedy to uczynił, wokół niego zaczęły fruwać małe skrawki papieru. Rover najwyraźniej mościł sobie gniazdko.

- Lucy, co się u licha stało tej mapie? - zapytał. - Coś zjadło połowę Islington.

Na szczęście zbyt zajęty był łączeniem strony i nie zauważył małego chomika, wpatrującego się weń z głębi schowka. Niestety, dzieci go dostrzegły.

- Mamusiu, patrz, Rover wrócił - rzekł Joe.

Rover wyskoczył ze schowka na kolana Toma, który podskoczył na fotelu, przeklinając przy tym głośno.

- Tatuś powiedział słowo na „k”, tatuś powiedział słowo na „k”! - rozległ się chór głosów z tyłu.

Rover zniknął w tylnej części samochodu.

Pół godziny trwało, nim pojмалиśmy go ponownie do niewoli, częściowo dlatego, że kłóciliśmy się tak głośno, iż chomik nie chciał wyjść.

- Jesteś beznadziejna w wymyślaniu podstępów - stwierdził Tom, kiedy zamknęliśmy drzwiczki klatki. - To przynajmniej oznacza, że nigdy nie będziesz miała romansu, a nawet jeśli, to i tak nie uda ci się go utrzymać w tajemnicy.

\* \* \*

- Cóż, on ma rację - przyznaje Emma. - Jesteś taka prostolinijna.

- Chodzi o to, że za trzy miesiące ten chomik może być postrzegany jako moment określający - mówię w zamyśleniu. - Wyznacznik.

- Co masz na myśli? - pyta nieufnie Cathy.

- Nic konkretnego. Chodzi mi jedynie o to, że tylko z perspektywy czasu można zobaczyć, jak jedno wydarzenie wpływało na drugie. Reakcja łańcuchowa.

- To znaczy tak jak wtedy, kiedy arcyksiążę Ferdynand został zabity w Sarajewie? - chce wiedzieć Emma.

- Dokładnie.

Skończyłam szampana i Emma nalewa mi kolejny kieliszek.

- No więc jak się rzeczy mają z Seksownym Udomowionym Tata? - pyta Cathy.

- Straciłam zainteresowanie - odpowiadam. - Staliśmy się przyjaciółmi. Z rozpraszej fantazji przekształciło się to w banalną rzeczywistość.

- No a on?

- Ani jednego dreszczyku - mówię tak przekonująco, że niemal wierzę we własne słowa.

- Chciałabym móc wyłączyć seksualny pociąg do Guya - mówi Emma. - To najtrudniejsza część tego procesu.

- Jakie są więc ogólne prognozy? - pytam.

- To jest już prawie rozwiązane w mojej głowie i mogę zagwarantować, że przed końcem weekendu zostanie całkowicie zakończone - odpowiada tajemniczo. - Prawdę

mówiąc, to spotykam się z nim później. Obiecuję, że kiedy już to zrobię, opowiem wam wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, ale teraz nie chcę o tym mówić, ponieważ może mnie dopaść trema.

- Nie mogę bez końca okłamywać Isobel. Okropnie się przez to czuję.

- Nie wyobrażam sobie, jakie to musi być trudne - mówi Emma.

- Może powinnaś nieco bardziej się postarać - oświadcza stanowczo Cathy. Emma zignorowała fakt, że to takie samo terytorium, jakie Cathy przemierzała przed dwoma laty, kiedy zostawił ją mąż. - Jeśli nie jesteś przekonana co do Guya, masz moralny obowiązek natychmiast zakończyć ten związek. Prawie zawsze to dzieci są stroną przegraną, kiedy rodzice się rozstają. Dorastają i wchodzą w związki, nie mając żadnego wzoru, który mogłyby naśladować. Spójrz na siebie. Fakt, że twój ojciec zostawił matkę, ma nadal na ciebie taki wpływ, że umawiasz się tylko z mężczyznami, którzy nie chcą mieć prawdziwego domu.

- Ale z Benem wydaje się być wszystko w porządku - odzywa się po dłuższej chwili Emma, przerywając pełną skrepowania ciszę.

- Bo częściowo tak jest. Staramy się przedstawiać mu w pozytywnym świetle fakt, że jego rodzice już ze sobą nie mieszkają. Mówię mu, że szczęściarz z niego, że ma dwie sypialnie, dwa domy, dwa prezenty od Mikołaja, podwójne wakacje. Ale nawet wypowiadając te słowa, tak naprawdę w to nie wierzę.

- Posłuchaj, ja już prawie skończyłam - mówi Emma. - Za każdym razem, gdy z nim jestem, znajduję coś nowego do nielubienia i wreszcie poczuję się wystarczająco silna, by zupełnie dać sobie z nim spokój. Zasadniczo to potrzebuję zastępstwa.

- Jacyś kandydaci? - pyta Cathy.

Cieszę się, że bierze udział w tej rozmowie. Skłonność Emmy do patrzenia na wszystko tylko z własnego punktu widzenia w tego typu sytuacjach bywa najbardziej frustrująca.

- Zaczęłam ostro flirtować z kimś z pracy.

- Co więc stanowi przeszkodę?

- Pracuje w nowojorskiej filii. Ale nie jest żonaty. Łatwiej pokonać ocean niż małżeństwo.

Nie mam pewności, czy Emmą wie, że to skuteczny sposób na zmianę naszego sposobu zadawania pytań, czy też rzeczywiście wymyśliła plan pożegnania się z Guyem. Postanawiam jednak, że bez względu na to, co się stanie, w przyszłym tygodniu powiem Isobel prawdę.

Kończę kolejny kieliszek szampana. Czuję, że już mi się trochę kręci w głowie. Upał, zmęczenie, alkohol i brak powietrza w tym wyłożonym drewnem pomieszczeniu tworzą mieszanę, która uderza do głowy. Zamykam oczy. Świat zaczyna się kręcić. Kiedy je otwieram, obok stolika stoi mój brat.

- Co ty tutaj robisz? - pytam, zaskoczona jego niezapowiedzianym pojawieniem się.

- Jutro rano mam wykład na konferencji i skierowali mnie do hotelu. Nie zostanę więc długo, ponieważ w przeciwnym wypadku zbyt dużo wypiję. Cathy mówiła mi, że przyjdiesz, więc pomyślałem, że się do was przyłączę. Chcesz coś jeszcze do picia? - Udaje się w stronę baru, a ja idę za nim.

- Nie masz nic przeciwko temu, że tak bezceremonialnie wtargnąłem na wasz babski wieczór? - pyta.

- O ile tylko nie sypiasz z żadną z moich przyjaciółek

- odpowiadam żartobliwie, zastanawiając się, ile razy wpadł na Cathy.

- Jestem na to za stary - odpowiada Mark. - Gdzie Tom?

- W domu z dziećmi. Opiekun mimo woli. Taki, że zaczynasz żałować, iż nie zapłaciłaś za to komuś. Choć za każdym razem, kiedy rzeczywiście komuś płacimy, czujemy się zobowiązani do dobrej zabawy. Ale zdążył już dwa razy zadzwonić, a z domu wyszłam zaledwie przed godziną.

Mark zamawia u barmana piwo.

- A projekt biblioteki? - pyta.

- Wrócił na właściwy tor. Niewiarygodne. Ta biblioteka zdążyła się stać częścią naszego życia i trudno mi je sobie wyobrazić bez niej. Dzięki niej Tom ma kilka innych dobrych zleceń, więc nasza sytuacja finansowa wygląda znacznie lepiej niż do tej pory.

Normalnie nie wyobrażam sobie czegoś bardziej relaksującego niż przebywanie z moim bratem. Dorastanie w niewielkiej wsi oznaczało, że przez większą część dzieciństwa byliśmy od siebie zależni w kwestiach zabawowych. Choć rzekomo go irytowałam, kiedy odwiedzali nas jego koledzy, wiedziałam, że to tylko takie gadanie, by nie stracić twarzy. Bycie nastolatkiem jest wystarczająco skomplikowane bez dodatkowej odpowiedzialności za młodszą siostrę. Rozumiałam to i nie oponowałam, ponieważ ich nastoletnie rozmowy ograniczały się do trzech głównych tematów: dziewczyny, seks i jak to ze sobą połączyć. Mój brat zawsze miał dziewczynę i koledzy zasięgali u niego porad.

- Rozmawiajcie z nimi i traktujcie je jak boginie - pamiętam, jak mówił swoim kolegom. - Wtedy wszystko jest do wzięcia. Analizujcie, one uwielbiają analizować. I seks oralny. To kwestie zasadnicze.

Mark lubił kobiety. No, a kobiety lubiły Marka. Nawet jeśli wiedziały, że nie można na nim polegać. Nieprzyjemne związki udawało mu się przekształcać w przyjaźnie, gdyż zawsze był chętny wszystko przedyskutować.

Naprawdę niewiele poddaję cenzurze podczas rozmowy z nim i myślę, że on by powiedział to samo. Ale dzisiaj czuję się skrepowana, przebywając z bratem sam na sam. Usiadł na taborecie barowym, przekrzywił głowę na bok i wyraźnie nie planuje rychłego powrotu do naszego stolika. Na jego twarzy widać kilkudniowy zarost i ma brudną koszulę. W sposób, w jaki wyczuwa się członków rodziny, rozumiem, że zjawił się tutaj z konkretną misją.

- Przyjechałeś prosto z pracy? - pytam.

- Mmm - odpowiada marzycielsko, odchylając głowę, by wypić z butelki kilka łyków piwa. Zauważam, że rzuca spojrzenie na nasz stół, uśmiecha się lekko, po czym ponownie pije piwo. - Jak się mają moi uroczy siostrzeńcy?

- Bardzo dobrze. Przesadnie entuzjastyczne szczeniaki. Biegają po domu, robią straszny bajzel, nawet kiedy próbują coś posprzątać, mocują się ze sobą i biją przynajmniej dwa razy dziennie, mniej więcej bez przerwy jedzą i non stop mówią, najczęściej zadając mi pytania, cała trójka jednocześnie, a potem oskarżając, że któregoś z nich Kocham bardziej od innego, kiedy jedno z pytań traktuję priorytetowo. Już się nie mogę doczekać wakacji.

- Dlaczego? - pyta Mark podejrzliwie. - Do tej pory wakacje uważałaś za wyczerpujące. Prawdę mówiąc, lato było jedyną porą, kiedy słyszałem, jak poważnie rozważałaś możliwość powrotu do pracy na pełny etat.

- To zabawne, że ludzie mówią o powrocie do pracy, tak jakby opiekowanie się trójką dzieci nią nie było - mówię. - Praca zawodowa jest znacznie prostsza od opieki nad dziećmi.

- Czytałem wywiad z Johnem McEnroe, w którym powiedział, że łatwiej mu było grać w finale Wimbledonu niż opiekować się dziećmi. Matki samoudręczają się znacznie bardziej niż większość innych ludzi, pomijając starsze wiekiem katoliczki.

- Prawdę powiedziawszy, macierzyństwo i poczucie winy są ze sobą tak ściśle związane, że nie wiadomo, kiedy kończy się jedno, a zaczyna drugie. Poczucie winy staje się po prostu drugą naturą. Choć od kiedy zrezygnowałam z pracy, trzeba jakoś wypełnić próżnię poczucia winy - mówię, wiedząc, że on traktuje mnie jak jedną ze swych pacjentek, delikatnie rzucając pytania w coraz ciaśniej szych okręgach, aż temat, który pragnie poruszyć, wreszcie znajdzie się w centrum. Ale zapomina, że byłam kiedyś dziennikarką, która spędzała wiele czasu na obserwowaniu polityków wymigujących się od odpowiedzi na niewygodne pytania. - W każdym razie mam sporo planów - dodaję. - Możliwe, że pojedę do koleżanki do Dorset, a potem do mamy i taty, no i jedziemy do Włoch.

- Kim jest ta koleżanka z Dorset? Poznałem ją? - pyta.

- To znaczy: czy z nią spałeś? Odpowiedź na obydwa pytania jest przecząca. To jedna z matek ze szkoły i żona chłopaka Emmy - odpowiadam.

- Wygląda to skomplikowanie - stwierdza Mark.

- To trudna sytuacja. Moja koleżanka Isobel wie, że jej mąż ma romans i jest bliska odkrycia tożsamości Emmy, ale Emma nie chce, żebym to powiedziała Isobel, dopóki ona nie wypłacze się ze związku z Guyem - wyjaśniam. - A proces wypłatywania się trwa dłużej, niż to wcześniej zakładałam.

Myślę o Isobel. Rzadko zdarza mi się spotkać osobę tak bardzo przekonaną do sposobu, w jaki skonstruowane jest jej życie. Przez cały ten czas, odkąd się znamy, ani razu nie wykazała choćby odrobiny wątpliwości. A jednak jej mąż przez ostatni rok systematycznie przewiercał się przez fundamenty, tak że cały gmach grozi teraz zawaleniem. Zastanawiam się, czy Isobel zdoła wydostać się spod gruzów.

- No a jak tam twoje zadurzenie? - pyta mój brat, zamawiając kolejne piwo i jednocześnie sprawdzając, czy nie ma w komórce jakichś wiadomości. Mark jest jednym z

niewielu znanych mi mężczyzn, którzy naprawdę są w stanie robić dwie rzeczy w tym samym czasie. - Już od dawna o nim nie wspominałaś. Prawdę mówiąc, jego nieobecność jest intrygująca.

- Zadawanie pytania w taki sposób jest tak bardzo w stylu Jonathana Rossa. Gdzie się podziała subtelność? - pytam, mając nadzieję zrećtnie ominąć ten temat.

- Mówisz wymijająco.

- U niego wszystko dobrze. Nie rozmawiamy już ze sobą zbyt dużo

- A dlaczego?

- Pewnie straciliśmy zainteresowanie sobą - odpowiadam łagodnie. - Jak ci się podoba celibat? Życie w pojedynkę nie należy do twoich mocnych stron.

- Lucy, nie wierzę, że pewnego dnia obudziliście się i przekonaliście, że już się sobie nie podobacie. Coś takiego może się zdarzyć tylko wtedy, gdy nie nastąpiła deklaracja zamiarów.

- Naprawdę nie chcę o tym rozmawiać - mówię, wstając.

- Przespałaś się z nim, prawda? Wyglądasz na rozkojarzoną.

To oburzająca prowokacja i daję się schwytać prosto w pułapkę.

- Byliśmy na przyjęciu, nastąpił minimalny kontakt, nawet się nie pocałowaliśmy i uznałam, że powinniśmy zachować nieco dystansu - oświadczam. - Prawdę powiedziawszy, uważam, że zachowałam się bez zarzutu.

- Powiedziałaś Tomowi? - pyta Mark. - Jeśli nie, to ja nadal będę podejrzliwy.

- Nie było o czym mówić.

- Skoro nie było o czym mówić, to dlaczego teraz mówisz o tym wszystkim w sposób tak wymijający?



- Na to trzeba dużo koncentracji - odpowiadam. -  
Unikanie myślenia o kimś jest całkiem wyczerpujące.

- Nie ma nic odprężającego w stanie ciągłego pożądania -  
stwierdza mój brat.

Podchodzi do nas Emma.

- Czy wy dwoje do nas dołączycie? - pyta z uśmiechem.

- Czy też macie zamiar spędzić resztę wieczoru na  
roztrząsaniu kwestii rodzinnych?

Wracamy do stolika i ponownie siadamy. Cathy i Mark wymieniają znaczące uśmiechy. Jestem przekonana, że to ona go namówiła, by sprawdził prawdziwość mojej relacji na temat kontaktów z Robertem Bassem. Ale nie jestem zła, gdyż wiem, że obojgu leży na sercu moje dobro. Ta myśl działa na mnie kojąco.

Emma zadaje Markowi pytania o jego pracę.

- Lubisz wszystkich swoich pacjentów?

- Obecnie mniej już zajmuję się pacjentami, ale wcześniej uważałem, że każdy ma jakieś sympatyczne cechy. Ciekawe natomiast jest to, że pewne grupy pacjentów są miłsze od innych.

- Co masz na myśli? - pyta Emma.

- Cóż, pewne psychopatologie cechują się wspólnymi cechami osobowościowymi - wyjaśnia mój brat. - I niektóre z tych cech są bardziej atrakcyjne od innych. Anorektycy, na przykład, to najczęściej perfekcyjniści w zadowalaniu innych. Ludzie z zaburzeniami obsesyjno - kompulsywnymi są bardzo sztywni i zawsze sprzątają mi na biurku.

- A jaka jest twoja ulubiona grupa? - chce wiedzieć Cathy.

- Ludzie uzależnieni od seksu - wyznaje Mark bez chwili wahania. - Nie dlatego, że zawsze próbują cię uwieść, co rzeczywiście czynią, nawet mężczyźni, ale dlatego, że ich sukces jest uzależniony od bycia niezwykle czarującym. Są

świetnymi rozmówcami i dużo się można z nimi śmiać. Są zdecydowani dobrze się bawić.

- Tak jak Russell Brand? - upewnia się Emma. - Właśnie.

- Jak się opierasz ich zalotom? - pyta Cathy.

- Myślę o tym, że straciłbym pracę, gdybym im uległ - odpowiada mój brat. - Analizuję w głowie konsekwencje. Z mężczyznami jest prościej, nic nie mogę poradzić na to, że jestem zadeklarowanym heteroseksualistą. No i w gabinecie spotykam częściej ich niż kobiety. To problem częściej dotykający mężczyzn.

- Jak rozpoznać uzależnienie od niezdrowej obsesji? - pytam.

- Niektórzy ludzie mogą postrzegać to wszystko jako formę uzależnienia - wyjaśnia. - Ale aby uznać to za uzależnienie, te sprawy muszą zdominować twoje życie na poziomie codziennym: odsuwasz się od ludzi, to uzależnienie staje się twoim przyjacielem. Jest jeszcze także element nienawiści do samego siebie. Ty, Lucy, może i masz obsesję, ale nie jesteś uzależniona.

Siada wygodnie, zadowolony z siebie. Mark uwielbia swoją pracę.

- Myślisz, że jestem uzależniona od Guya? - pyta z wahaniem Emma.

- Nie. Guy równie dobrze mógłby być kimś innym. Jesteś po prostu uzależniona od typu mężczyzny, który nigdy nie może być twój. Unikasz zażyłości z obawy przed odrzuceniem.

Jestem nieco zaskoczona. Żadna z nas nigdy nie rozmawiała z Emmą tak szczerze.

- Jakie jest więc na to lekarstwo? - pyta ona i sprawia wrażenie mniej pewnej siebie niż wcześniej.

- Powinnaś świadomie unikać tego rodzaju mężczyzn. W takim samym stopniu, w jakim ty ich rozpoznajesz, oni

rozpoznają ciebie. Prawdopodobnie powinnaś poszukać profesjonalnej pomocy.

- No a co z tobą? - pyta Emma.

- Prawdę mówiąc - wyznaje Mark - to wydaje mi się, że spotkałem kobietę, z którą mógłbym chcieć się ożenić.

- O cholera - mówię. - Kiedy ją poznamy?

- Niedługo - odpowiada mój brat z tajemniczą miną.

Ktoś puka mnie w ramię. Zakładam, że to ten uprzejmy kelner, i niemrawo odwracam się w stronę poręczy sofy, by poprosić go o jeszcze jedną butelkę szampana, jako że postanowiłam traktować dzisiejszy wieczór tak, jakby nie było jutra. Ale to nie kelner. To Robert Bass.

Kładzie dłonie na poręczy sofy i nachyla się, by ze mną porozmawiać. Ma rozczapierzone palce i zauważam, że drapie plusz, co sugeruje pewną nerwową determinację.

- Co ty tutaj robisz? - pytam, starając się, by słychać było w tym zdaniu mniej zdziwienia niż rzeczywiście czuję.

- Właśnie skończyłem kolację z moim wydawcą - odpowiada. - Zobaczyłem cię i uznałem, że byłoby niegrzecznie, gdybym wyszedł, nie przywitawszy się. Co tu robisz? Mówiłaś, że nigdy nie wychodzisz wieczorami.

- Bo zazwyczaj nie wychodzę. Jestem tutaj z przyjaciółkami i bratem - mówię, ale nie robię nic w kierunku przedstawienia im go.

Wstaję z sofy i staję przed Robertem Bassem równoległe do stolika, by dać mu do zrozumienia, że nie powinien się do nas przysiadać. Nachyla się i całuje mnie raz w policzek. To gest, który na poziomie powierzchniowym wygląda na nic nieznaczący. Ani Mark, ani moje przyjaciółki nie wydają się zaniepokojeni. Zakładają, że to dawny znajomy, pewnie ktoś z czasów pracy w Newsnight. Ale ten pocałunek trwa nieco dłużej niż powinien. Czuję jego policzek przy moim policzku, jego dłoń na moim ramieniu. To są znaczące gesty, ciąg

dalszy poufałości na tamtym przyjęciu. Dociera do mnie, że musieliśmy oboje odgrywać ten epizod bez końca w głowie. Kiedy patrzymy na siebie, w oczach Roberta Bassa znajduję odzwierciedlenie mego pożądanego. Zaczyna mi brakować tchu. Widzę, jak przód mojej bluzki zbyt szybko się unosi i opada, i zagryzam dolną wargę. Pragnę, by zaczęła krwawić, by ból odwrócił moją uwagę i wypłatał mnie z tej sytuacji. Myślę o maleńkim, zakrwawionym kolanie Freda i o tym, jak płakał za mną, jakby na świecie nie było nikogo innego, dzięki komu mógłby się lepiej poczuć. Myślę o Tomie, spokojnym, racjonalnym, pewnym wszystkiego.

- Lucy, masz obowiązek porozmawiać ze mną; nie możesz udawać, że nic się nie zdarzyło - szepcze mi do ucha Robert Bass. - Jesteśmy współwinni.

- Mam obowiązki wobec swojej rodziny, a ty wobec swojej - odpowiadam. - Posłuchaj, to nie jest odpowiedni czas ani miejsce.

- Powiedz tylko, kiedy i gdzie - mówi. - Nie potrafię sobie sam z tym poradzić. To mnie naprawdę dręczy.

Wtedy mój brat, jak zawsze towarzyski i przyjacielski, wstaje i podchodzi do nas.

- Masz ochotę się czegoś napić? - pyta Roberta Bassa. Przedstawiam go przy stoliku, czując ulgę, że wszyscy znają go tylko jako Seksownego Udomowionego Tatę. Muszę go stąd spławić tak szybko, jak się da.

- Pozwólcie, że postawię kolejkę - mówi Robert Bass, po czym udaje się do baru.

Siadam, czując lekkie mdłości. Ale tym razem nie mogę winić za to alkoholu. Jest mi niedobrze z pożądanego. To tak, jakby próbować powstrzymać chemiczny eksperyment, kiedy składniki zdążyły już zostać umieszczone w probówce.

- Kto to? - pyta w teatralny sposób Emma. - Jest fantastyczny. Z całą pewnością mógłby odciągnąć mnie od Guya.

Przyjemnie słyszeć, że przyjaciółka potwierdza mój gust do mężczyzn, ale z drugiej strony zaczynam się zastanawiać, czy Robert Bass nie jest po prostu zbyt oczywisty.

- To dawny znajomy - odpowiadam. - Nie widzieliśmy się od wieków. Ale z tego, co wiem, jest żonaty.

- Małżeństwo to stan umysłu - stwierdza Emma. - Tak właśnie mówi Guy. Kiedy przebywa z żoną, czuje się żonaty, a kiedy jest ze mną, to ma ochotę się pieprzyć. Mówi, że idealnie by było, gdyby w ciągu tygodnia mógł być singlem, a w weekend żonaty.

- To dlatego, że mężczyźni mają przerażającą umiejętność szufladkowania swego życia - wzdycham. - Kobiety nigdy nie byłyby w stanie żyć w taki sposób.

- No więc skąd go znasz? - pyta Mark. - Musiała już minąć dekada, odkąd zrezygnowałaś z pracy, to znaczy odkąd postanowiłaś przemienić się z pracownika biurowego w fizycznego.

- Dlaczego fizycznego? - dziwi się Emma.

- Opiekowanie się dziećmi jest niczym praca na przodku w kopalni, z tym wyjątkiem, że nigdy nie ma przerwy między zmianami - odpowiadam. Następnie odwracam się do Marka i patrzę mu prosto w oczy. - To dawny znajomy - mówię, celowo ogólnikowo.

Mój brat unosi dwukrotnie brew, ale Robert Bass wraca właśnie do stolika, siada na fotelu obok mnie, mając po drugiej stronie Emmę.

- Co więc tutaj robisz? - pyta Emma, zwracając się całym ciałem w jego stronę i uśmiechając ujmująco. Jest niepoprawna.

Robert Bass opiera się na lewym łokciu, tak że jest zwrócony plecami do mnie. Ale jego nogi wślizgują się głębiej pod stół. Wiem, że powinnam przesunąć sofę, by nie dopuścić do jakiegokolwiek kontaktu fizycznego, bo moje mechanizmy obronne znajdują się w opłakanym stanie i każdorazowe nasze dotknięcie wywołuje straszną reakcję.

Ale zanim zdążę wprowadzić w życie ten plan, czuję, jak lewa noga Roberta Bassa wsuwa się zdecydowanie pomiędzy moje kolana, po czym przepycha się wyżej, w stronę ud. Albo robił już wcześniej coś takiego, ponieważ wymaga to niezłej odwagi, albo po prostu ma zamiar uprawiać ze mną seks. Na szczęście stół jest na tyle wysoki, że odgradza nas od podejrzliwych spojrzeń.

Cathy kontynuuje rozmowę. Jest niczego nieświadoma. Mark siedzi po drugiej stronie stołu naprzeciwko Roberta Bassa i na pewno też niczego nie widzi. Wiem, że powinnam się po prostu odsunąć, ale jako że to może skierować uwagę innych na to, co się dzieje, postanawiam cieszyć się tą chwilą.

- No więc, Lucy, podjęłaś już jakieś decyzje, co zrobić we wrześnie, kiedy Fred pójdzie do przedszkola na cały dzień? - pyta Cathy.

- No wiesz, chyba zacznę znowu malować - odpowiadam marzycielsko, nachylając się tak daleko do przodu, jak to tylko możliwe, by obszar pod stołem był zasłonięty. Na zewnątrz zaczyna się ściemniać, ale w klubie nie włączono jeszcze światła. - Mam pomysł na książkę dla dzieci i myślę, że zacznę robić do niej jakieś ilustracje i zobaczę, dokąd mnie to zaprowadzi. Nie mam zamiaru szukać czegoś na cały etat. Wiem, że to oznacza, iż wciąż nie będziemy mieli wystarczająco pieniędzy, bym mogła zupełnie wykupić się z domowego chaosu, ale uznałam, że w zasadzie nie ma to tak naprawdę znaczenia.

- Brzmi super - mówi Cathy. - Moim głównym celem jest przekształcenie mojego trójkąta w linię prostą, zanim zmieni się w kwadrat. - Patrzy na mnie enigmatycznie. Nie mam pojęcia, o czym ona mówi. - Chcę wyplątać się z tego związku i wejść w coś bardziej linearnego.

Emma wstaje i udaje się do toalety. Cathy rozmawia z Markiem, a Robert Bass odwraca się do mnie przodem. Wyraz jego twarzy nie zdradza niczego. Nachyla się do mojego lewego ucha. Jego oddech łaskocze mnie w szyję.

- Wyobraź sobie moją dłoń tam, gdzie jest teraz moja noga - szepcze. - A potem wyobraź sobie moją głowę tam, gdzie jest dłoń.

- Jesteś niegrzeczny - odpowiadam.

- Nie jestem; wiem jedynie, czego pragnę - stwierdza. - To cudowny zbieg okoliczności, że oboje jesteśmy tutaj dzisiaj, wykorzystajmy to. Możemy spędzić razem kilka godzin, a potem zapomnieć, że to się w ogóle wydarzyło. Na chwilę zawiesić rzeczywistość, a potem wrócić do naszego dość nudnego, rutynowego życia. No dalej, Lucy, pożyj trochę.

Przypisywanie zbyt dużo zbiegowi okoliczności zawsze brzmi kusząco. Ale prawda jest taka, że pewnym wydarzeniom przypisujemy znaczenie, a innym nie. Na przykład przypisanie znaczenia temu spotkaniu jest bardzo kuszące, zważywszy na fakt, że Robert Bass znajduje się tu dzisiejszego wieczoru, podczas gdy w minionym roku byłam w tym klubie zaledwie dwa razy. Mogłabym powiedzieć, że to przeznaczenie maczało w tym palce i zwolnić się z odpowiedzialności za swoje czyny. Ale prawdę powiedziawszy, szansa na wpadnięcie na mego brata jest statystycznie jeszcze mniejsza, a jednak nie uznałam tego za zbieg okoliczności. A co z tym, że obsługuje nas ten sam

kelner? Lubimy szukać symetrii w otaczającym nas świecie, by znaleźć znaczenie w jego przypadkowości.

Dłoń Roberta Bassa przesuwa się w górę i jego palce zataczają małe kółka gdzieś na wewnętrznej części mego uda. Oczywiście, że mogłabym wstać i odejść, ale to jest po prostu takie przyjemne.

Zauważam, że oboje wpatrujemy się w swoje kieliszki. Nie jesteśmy w stanie odezwać się ani słowem, tak jakby wszystko zostało zredukowane do tego prostego ruchu jego dłoni na moim udzie.

- Skąd więc się znacie? - pyta nagle mój brat z drugiego końca stołu. Cała się wzdrygam. Niemal zdążyłam zapomnieć, że są tutaj jeszcze inni ludzie. - Nie macie sobie zbyt wiele do powiedzenia jak na osoby, które się nie widziały od lat.

Posyłam mu spojrzenie, które jest wystarczająco złowrogie - mam nadzieję - by go powstrzymać przed tego typu pytaniami. Robert Bass nie cofa ręki.

- Wszystko już omówiliśmy - mówi. - Lepiej już pójdę do domu. - Wyjmuje kawałek kartki, pisze coś na niej i podaje mi. - Mój adres, na wypadek, gdybyś chciała pozostać w kontakcie.

Kiedy zdejmuje dłoń z mojej nogi, ogarnia mnie natychmiastowe poczucie straty. Wstaję, by się z nim pożegnać. Ponownie całuje mnie w policzek, ale tym razem jest to gest zdawkowy i szybki.

- No to na razie - rzuca w stronę Cathy i mojego brata.

- Mam nadzieję, że go nie wystraszyłem - mówi Mark. Ignoruję go i rozkładam kartkę.

„Czekam na ciebie w hotelu Aberdeen w Bloomsbury” - czytam. Zgniatam ją szybko i wkładam do kieszeni. Do stolika wraca Emma.

- Poszedł już? - pyta. - Myślałam, że impreza dopiero się rozkręca.



Tłumaczę się zmęczeniem, piętnaście minut później łapię taksówkę i jadę do hotelu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Podróż jest przeznaczeniem

Kiedy docieram do hotelu Aberdeen, z wysoko podniesioną głową podchodzę do mężczyzny w recepcji i mówię mu, że mam rezerwację. W pierwszej chwili czuję się dotknięta tym, że nie wstaje z krzesła, kiedy ze mną rozmawia, ale po chwili uświadamiam sobie, że ten człowiek w obszernym uniformie jest tak niski, iż nawet wyprostowany ledwie dotyka łokciami kontuaru. Nie dodaje to sytuacji stosownej powagi. Rozglądam się w poszukiwaniu kogoś innego, ale lobby jest puste. Hotele, które wynajmują pokoje na godziny, raczej nie świadczą usług na miarę Sandersona. Widzę ze zdziwieniem, że recepcjonista ostrzy ołówek.

- Bierze pani udział w konwencji poświęconej lękom? - pyta powoli z silnym hiszpańskim akcentem, gładząc się mądrze po brodzie.

- Wyglądam na nerwową? - odpowiadam.

Jestem zaintrygowana tym, że zupełnie obca osoba może tak właściwie odczytać moje emocje. On wskazuje na wiszący obok wind plakat, zapraszający gości na trzecią doroczną konferencję poświęconą lękom. Gościnnie występujący mówcy poruszają różnorodne tematy, łącznie z 1) rolą głębokiego oddychania w kontrolowaniu nerwowości, 2) uczynieniem z lęku swego przyjaciela oraz 3) przełamaniem kręgu napięcia. Następnie odbędzie się przerwa, by niespokojni delegaci mogli się wspólnie napić kawy i herbaty.

- Czasami mówienie o tym po prostu nie pomaga - oświadczam. - A kofeina spowoduje jedynie nasilenie problemu.

Recepcjonista mierzy mnie podejrzliwym spojrzeniem i odkłada temperówkę.

- Jeśli ma pani jakieś wątpliwości, mogę dla pani znaleźć jakiegoś eksperta, z którym mogłaby pani porozmawiać.

Często tak się dzieje. Niespokojni ludzie czują lęk przed udziałem w konferencji poświęconej lękowi.

Przez chwilę się zastanawiam, czy ten hotel, znany z tego, że gości u siebie potajemnych kochanków, nie stał się taki jak te programy telewizyjne, które prezentują wstrząsające dramaty, a potem podają numery telefonów, pod które można dzwonić, jeśli program okaże się zbyt zatrważający. Może dobrze byłoby porozmawiać z ekspertem od lęku o przyczynach, dla których się tutaj znalazłam.

- Jestem umówiona z panem Robertem Bassem - mówię zdecydowanie. - O pierwszej w nocy.

- Czy jest jednym z prowadzących konferencję? - pyta.

- Nie - odpowiadam. - Jest, eee, przyjacielem. Bass, jak ta ryba.

- Przyjazna ryba? - pyta. Następnie mówi powoli: - Nocna, przyjazna ryba.

Zaczyna sprawdzać listę rezerwacji, przesuując dłonią powoli po dużej, oprawionej w skórę księdze. Zatrzymuje się na chwilę przy każdym nazwisku, wskazuje na nie czubkiem świeżo zatemperowanego ołówka, po czym mruczy pod nosem to nazwisko.

- Smith... Klein... Robinson... McMannus... Smith... Villeroy... Raphael... Smith - mówi, akcentując każdą sylabę, jakby był właśnie na lekcji angielskiego, i dźwięcznie wymawiając „r”, także brzmi ono jak wystrzały z karabinu maszynowego. - Roderick Riley - oznajmia z satysfakcją, uśmiechając się do mnie.

Są dwie strony z nazwiskami. Dotarcie do końca może potrwać cztery albo i pięć minut. Nawet czytając do góry nogami, zdążyłam już zobaczyć, że na pierwszej stronie nie widnieje nazwisko Bass. Rozglądam się nerwowo po hotelowym foyer, zastanawiając się, jak się wytłumaczę, kiedy zobaczę kogoś znajomego, po czym uspokajam samą siebie,

że i jego obecność raczej też nie miałyby niewinnego wyjaśnienia, chyba że brałby udział w konwencji poświęconej lękowi.

Patrzę na nazwisko na klapie marynarki recepcjonisty, przekręcając lekko głowę, gdyż plakietka nie jest przypięta prosto. Ma na imię Diego.

Kiedy podnoszę głowę, patrzy mi prosto w twarz, a jego głowa przechylona jest pod takim samym kątem. Uśmiecha się krzepiąco.

- Myśli pani, że podał swoje prawdziwe nazwisko? - pyta.
- Każdego dnia pojawia się tutaj wielu Smithów.
- Jestem pewna, że zarezerwował pokój na nazwisko Bass
- odpowiadam. - Myślę, że to trucha po hiszpańsku.
- Trucha to pstrąg. Może chodzi pani o merluza?
- A to nie jest lucjan? - pytam. - Albo coś w tym rodzaju? On to bardziej zimnowodna ryba. Angielska ryba.
- Mamy tyle cudownych ryb w Kostaryce - mówi tęsknie.
- Była tam pani kiedyś?

Potrząsam głową, pragnąc, by przeszedł do następnej strony listy rezerwacji, ponieważ widzę, że pojawił się ktoś jeszcze i czeka za mną w stosownej odległości, przestępując z nogi na nogę i starając się nie słuchać naszej rozmowy.

- A on jest tutaj z powodu cudzołóstwa czy lęku? - żartuję nerwowo.

Diego uśmiecha się łagodnie i nic nie odpowiada.

- No i brzegowce - mówi. Wyczuwa moje zniecierpliwienie. - Pstrąg, pstrąg, pstrąg - mruczy pod nosem.

- Nie, Bass, B - A - S - S - powtarzam. - Chce pan, żebym to ja zerknęła?

Teatralnym gestem podaje mi księgę i odwraca kartkę. Przebiegam spojrzeniem listę i kiedy znajduję wpis „Robert Bass”, ogarnia mnie podekscytowanie pomieszane z mdłościami.

- Ach - mówi Diego, mrugając do mnie. - Zadzwoił zaledwie dwadzieścia minut temu. Zaprowadzę panią do pokoju. Jest zarezerwowany na trzy godziny, ale jeśli przekroczycie ten czas, nie pobiorę dodatkowej opłaty.

Rusza w kierunku windy. Nie mogę uwierzyć, że Robert Bass zarezerwował pokój na tak długo. Czy żona nie nabierze podejrzeń, jeśli on wróci dopiero po czwartej nad ranem? To dziwne, ale nie przychodzi mi do głowy zadać to samo pytanie w odniesieniu do Toma.

Próbuję obliczyć, ile razy możemy uprawiać seks w ciągu trzech godzin, i robi mi się trochę słabo. Mężczyzna, który stał za mną w kolejce do recepcji, wygląda na speszzonego, gdy posłusznie udaję się za Diegiem do windy.

- Widzę, że nie ma pani bagażu - mówi recepcjonista, zamykając za nami drzwi windy i wybierając piąte piętro.

- Nie przyjechałam tutaj na długo - odpowiadam. Spogląda na moją obrączkę. Chowam dłonie za plecami i patrzę w sufit.

Winda zatrzymuje się z szarpnięciem na piątym piętrze. Idziemy długim korytarzem, a potem Diego z dumą otwiera drzwi od pokoju numer 507.

- To jeden z naszych najlepszych pokoi - oświadcza.

Podchodzi do łóżka, unosi narzutę i odsuwa górne rogi kołder, tak że spoczywają na prześcieradle niczym idealnie trójkątna kanapka. Wyobrażam sobie Roberta Bassa i siebie leżących na tym łóżku, i wyciągam rękę, by się czegoś przytrzymać.

Diego chce mi pokazać łazienkę.

- Wanna jest olbrzymia. Wystarczająco duża dla dwóch osób. Albo trzech. Ale za mała dla brzegowca.

Bez względu na to, co mówi, w jego głosie i tak pobrzmiewa smutek. Wraca do sypialni i pyta, czy chcę, by obsługa hotelowa coś mi przyniosła.

- Mamy herbatę „Łagodzenie lęków” dla niespokojnych delegatów - podsuwa uprzejmie.

- Byłoby super - odpowiadam.

Długie wyczekiwanie niekoniecznie zwiększa pożądanie. Dla profesjonalnie niewiernych, tych, którzy notorycznie czekają na swoich kochanków w hotelowych pokojach w Bloomsbury, może to być czas wykorzystany na wprowadzenie się w odpowiedni nastrój, na przełączenie się z pracy na zabawę, wzięcie prysznic i myślenie o czekających ich rozkoszach. Być może leżą na starannie zaścielonym łóżku z narzutą, która stanowi komplet z zasłonami, i oglądają kanał Playboya, czytają książkę lub zamawiają butelkę taniego wina.

Ja z kolei siadam ostrożnie na brzegu łóżka i zastanawiam się, na ile czysty jest materac, zważywszy na jego obciążenie pracą. Moje omdlewające pożądanie minęło i zaczynam robić się aż nazbyt świadoma otoczenia. Kiedy patrzę na klucze do drzwi, leżące obok mnie na łóżku, zaczynam przypisywać tym cyfrom absurdalne emocjonalne znaczenie. Pięćset siedem. Jeśli od pięćdziesięciu odejmie się siedem, mamy czterdzieści trzy, wiek Toma. Wzięliśmy ślub 5 lipca. Zamachy w londyńskim metrze miały miejsce 7 lipca. Zastanawiam się, o której godzinie rano ma się rozpocząć ta konferencja. Dochodzę do wniosku, że wcześniej, dlatego że niedobrze jest kazać pełnym napięcia ludziom czekać zbyt długo na odkupienie.

W pokoju jest telewizor, ale ja wolę ciszę. Jeśli się okaże zbyt przytłaczająca, zawsze mogę włączyć radio i posłuchać World Service. Ciekawe, czy Robert Bass słucha World Service i czy mogłabym mu zaproponować, byśmy w ramach gry wstępnej leżeli po prostu obok siebie w przyjacielskim milczeniu i słuchali radia przez piętnaście minut, a potem pojechali do domu. Następnie zastanawiam się, co on ogląda w telewizji, jakie książki czyta, czy zostawia kelnerom

przyzwoite napiwki, czy jego szklanka jest w połowie pełna, czy do połowy pusta, jaki film oglądał ostatnio. Uderza mnie, że wiem o nim bardzo mało, jeśli nie liczyć tego typu rutynowych informacji, jakimi dzielą się ze sobą rodzice. Wiem, że jego dzieci dostały jednorazowe szczepionki przeciwko odrze i że w dni powszednie nie wolno im oglądać telewizji, i że każde z nich gra na dwóch instrumentach.

Czy Rober Bass potrafiłby rozpaść ognisko podczas wyprawy pod namiot, kiedy jest bardzo wilgotno? Czy przeprowadza kontrole lodówki w poszukiwaniu niewyjaśnionych zmian w sposobie organizacji jedzenia na półkach? Czy zwróciłby uwagę, na przykład, gdyby jogurty znajdowały się na tej samej półce, co kurczak, gdyby sałata przebywała w bliskim sąsiedztwie wyjedzonego dżemu albo jeśli kartony z mlekiem nie byłyby ustawione według dat przydatności do spożycia? Czy mówi przez sen? Ma kompleks swojej matki? Czy jego rodzice żyją? Ma rodzeństwo?

Oczywiście mogłabym się przekonać, że zgadzamy się we wszystkim. Bardziej prawdopodobne jest to, że odkryłabym, iż niedoskonałości Roberta Bassa są inne od tych, które cechują Toma, ale niekoniecznie choć trochę mniej irytujące na dłuższą metę. Za pierwszym razem, kiedy ktoś śpi na ukos w łóżku, a jego nogi przechodzą na drugą stronę, pragnienie kontaktu w samotnych godzinach nocnych wydaje się słodkim gestem. Po tygodniu robi się to nieco irytujące i bolesne. W oddali rysuje się wizja pojedynczych łóżek.

Wtedy myślę o tym, że kiedy Robert Bass się odzywa, zbyt często jego słowa okazują się dla mnie irytujące. To coś, co w ciągu ostatnich miesięcy próbowałam w sobie stłumić, ale teraz wszystkie jego drażniące komentarze i nawyki tłoczą się jeden za drugim, rywalizując o moją uwagę.

Próżność objawiająca się w zdejmowaniu kasku rowerowego i przeczesywaniu włosów przed wejściem do

szkoły wydaje się śmieszna; sposób, w jaki rozprawia o swych rodzicielskich technikach - zero telewizji w tygodniu, znaczenie bawienia się z dziećmi bez kierowania zabawą, niespożywanie przetworzonego jedzenia, nawet puszki fasolki w sosie pomidorowym - stają się niesamowicie denerwujące. Nawet to, w jaki sposób chodzi, jak kowboj, nagle wydaje się absurdalne. Wszystko jest takie zmanierowane. Blizny na jego twarzy wcale nie są męskie, a stanowią jedynie pozostałość po trądziku młodzieńczym.

Przypomina mi to coś, co się zdarzyło dawno temu podczas wakacji, kiedy ni z tego, ni z owego do domu moich rodziców zadzwonił Simon Miller i zapytał, czy mógłby mnie odwiedzić. Od naszego ostatniego spotkania minęły co najmniej dwa lata i studiowałam wtedy w Manchesterze. Rodzice wyjechali na urlop i byłam w pełni przygotowana na to, że zostanie na noc, a wtedy moglibyśmy odnowić naszą nastoletnią namiętność. Kiedy przyjechał, zauważyłam, że ma białe frotowe skarpetki i z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu to właśnie zdetonowało całą serię negatywnych uczuć, czego kulminacją było spędzenie przez niego nocy w pokoju gościnnym, gdy tymczasem ja liczyłam godziny do jego odjazdu. Kiedy poznałam Toma i on popełnił znacznie gorsze ubraniowe harakiri, z ulgą się przekonałam, że nie wywiera to żadnego efektu. Nawet włochaty szlafrok był uroczy. Myśl o Tomie budzi we mnie nostalgię.

Rozlega się delikatne pukanie do drzwi. Nie wiem, co zrobić. Uznaję, że leżenie na łóżku może się wydawać nieco przedwczesne, ale z drugiej strony otworzenie drzwi może się okazać jeszcze bardziej niezręczne, ponieważ nie jest oczywiste, gdzie powinniśmy oboje usiąść. Przy oknie stoi niewielki stolik i jedno krzesło. Wszystkie drogi prowadzą do łóżka. Mogłabym przysiąc, że widać wydeptaną ścieżkę pomiędzy drzwiami a łóżkiem, niczym ślad zostawiony przez



kosiarke w wysokiej trawie, utworzony przez ludzi, dla których liczy się czas.

- Otwarte! - wołam.

Wchodzi Diego z dzbankiem z herbatą i pomarańczowym kubkiem. Kiedy dociera do mnie, że czuję ulgę, iż to on, a nie Robert Bass, wiem już, że czar przysł. Tak już jest z pożądaniem: jest bardzo amorficzne. Gdybyśmy razem się tutaj zjawili, niewątpliwie oddawałabym się teraz czynnościom cudzołożnym z ojcem ze szkoły. Czar by nie przysł.

- Mam nalać? - pyta z troską Diego.

- Ja to zrobię - odpowiadam.

- Nadal ani śladu pana Bassa. Gdyby potrzebowała pani czegoś jeszcze, proszę po prostu zadzwonić do recepcji.

Jest pierwsza trzydzieści. Jak ja się tutaj znalazłam? Zerkam na komórkę, czy nie przysłał może esemesa. Nie ma nic. Żadnych nieodebranych połączeń. Żadnych wiadomości. To w takim razie pierwsza lekcja dla cudzołożnika: spóźnić się. Druga to zaciągnąć zasłony i przygasić światło. Zdążyłam już popełnić dwa błędy, ponieważ wyjątkowo jak na siebie zjawiłam się tutaj przed czasem, a teraz wyglądam przez okno, zastanawiając się, jaką trasę mógł wybrać Robert Bass. Trzecia lekcja to unikać rozmowy z personelem hotelowym, ale zdążyłam już złapać się w tę pułapkę. Myślę teraz o florze i faunie na Kostaryce i analizuję zalety tego miejsca w odniesieniu do rodzinnych wakacji, kiedy czasy nie będą już takie chude.

Ponownie kładę się na łóżku, ale tak naprawdę mam ochotę jechać do domu. Pomimo klimatyzacji w pokoju jest tak gorąco, że moje łydki przywierają do poliestrowej narzuty. To lśniąca zielono - fioletowa mieszanina splatających się ze sobą kształtów i kręci mi się w głowie, gdy patrzę na nią zbyt długo. Dywan jest w innym odcieniu zieleni, nieco głębszym,

a lampki przy łóżku są fioletowe. Emma tyle razy wyrażała się z sympatią o tym hotelu, ale ja nie czuję nic z tego, co opisywała.

- Jest taki krzykliwy - powiedziała nam. - Jak we francuskim filmie. Każdy ma jakiś sekret do ukrycia, nad wszystkim unosi się ciężka aura pożądania. To idealne tło dla seksu bez zahamowań.

Ale mnie się jakoś z tym nie kojarzy. Zamiast tego myślę o rozmowie, którą Tom i ja odbyliśmy po tamtym pamiętnym przyjęciu.

- Wiesz, uważam, że podobasz się Głębokiej Płyciźnie - stwierdził mój mąż tuż po tym, jak obudziłam się o piątej nad ranem. Leżał na boku, opierając się na łokciu, a drugą rękę trzymał na moich pośladkach. - Marnie wyglądasz - rzekł, gdy jęknęłam.

Moje picie zaczynało się wymykać spod kontroli i kiedy Tom poszedł do łóżka, ja usiadłam w ogrodzie i wypaliłam dwa ostatnie papierosy. Wysunęłam nogę z łóżka i postawiłam jedną stopę mocno na ziemi, by powstrzymać uczucie wirowania.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytałam, próbując wziąć się w garść.

- Sposób, w jaki unikał cię podczas przyjęcia, w jaki na ciebie patrzy, to, że zawsze obejmuje ramieniem żonę, kiedy widzi, że mu się przyglądam, tak jakby chciał podkreślić fakt, że to nią się interesuje - wymieniał Tom.

- Cóż, to nieprawda - odparłam nieco zbyt defensywnie.

- Jest szczęśliwy w małżeństwie.

- Bycie szczęśliwym w małżeństwie nie wyklucza tego, by podobali ci się inni ludzie - odrzekł nie bez racji mój mąż.

- A tobie się on podoba?

- Nie jest nieatrakcyjny.

- Nie takie było pytanie. Czy on ci się podoba?

- A tobie podobają się inne kobiety? - zapytałam.
- Czasami. Najczęściej wtedy, kiedy Arsenal wygrywa. Przestań unikać odpowiedzi na pytanie.
- Kusi cię więc kiedykolwiek?
- Zdarzyło się, że taka myśl pojawiła się w mojej głowie - przyznał Tom. - Jestem tylko człowiekiem. Ale jest duża różnica pomiędzy myśleniem o robieniu czegoś a rzeczywistym tego robieniem.
- Robieniem czego konkretnie? - dociekałam.
- Różnica pomiędzy pieprzeniem się z kimś a niepieprzeniem się z nim, Lucy. Nie bądź taka prostolinijna - oświadczył.
- Uważasz, że istnieje coś takiego jak emocjonalne cudzołóstwo? - zapytałam go.
- Co masz na myśli?
- Czy sądzisz, że jeśli zbyt dużo czasu poświęcasz myślom o uprawianiu seksu z kimś, kto nie jest twoim mężem albo żoną, to czy wtedy popełniasz jakiś rodzaj cudzołóstwa?
- Nie - odparł. - To absurd. Jeśli spędzasz z kimś dużo czasu, myśląc, że chciałabyś uprawiać z nim seks, wtedy wkraczasz na bardziej niebezpieczne terytorium, ponieważ to oznacza, że oboje czekacie na okazję, kiedy coś mogłoby się wydarzyć.
- Znalazłeś się już kiedyś w takiej sytuacji? - zapytałam. - To miała być rozmowa o tobie, nie o mnie. - Nie odpowiedziałeś na pytanie.
- Cóż, ty też nie - odparował.
- Mamy po jednym pytaniu. Ja pierwsza. Kusiło cię kiedyś?
- Była taka sytuacja - przyznał. - We Włoszech. Pewnego wieczoru wyszedłem na drinka z Kate, a kiedy wróciliśmy do hotelu, zapytała mnie, czy chciałbym pójść do jej pokoju.
- I poszedłeś?

- Już zadałaś swoje pytanie. Teraz moja kolej. Podoba ci się Głęboka Płycizna?

- Czasami, zwłaszcza kiedy na dworze jest upał - odparłam. - No więc co jej powiedziałaś?

- Powiedziałem, że to nie jest dobry pomysł. No bo i nie jest. A potem poszedłem do swojego pokoju. Sam. Jeśli mam być szczery, to cieszę się, że ten etap biblioteki jest już zakończony i pokusa usunęła się z drogi.

- Ale jak oprzeć się pokusie? - zapytałam.

- Myślisz o tych wszystkich dobrych rzeczach o mnie i ignorujesz resztę: jestem dobrym ojcem, nie gram w golfa w każdy weekend, nie podrywam twoich przyjaciółek, jestem względnie wypłacalny. Myślisz o tym, że nie chcesz się stać kolejną banalną kobietą w średnim wieku. Niewierność to nie jest dobry nawyk, którego można nabrać po czterdziestce. W przeciwnym wypadku można skończyć tak jak Głęboka Płycizna.

- Co masz na myśli?

- Seryjny cudzołożnik. Ma to wypisane na czole - odparł.

Rozlega się pukanie do drzwi - pojedyncze, ostre pukanie, które sprawia, że podskakuję.

- Otwarte! - wołam nieco zbyt głośno.

Robert Bass wsuwa głowę przez drzwi, po czym wchodzi do pokoju. Zamyka je za sobą i opiera się o nie, ciężko dysząc. Ma rozwiane włosy i w jednej ręce znajomy zielony kask rowerowy. Wyobrażam sobie, że przez co najmniej trzydzieści sekund przeczesywał palcami włosy, by osiągnąć ten efekt potarganej swobody. Je jakiś batonik muesli.

- Powoli uwalniające się węglowodany - mówi, ocierając rękawem czoło i uśmiechając się.

- Coś cię goni? - pytam. Uśmiecha się słabo.

- Nie, wyczerpało mnie tak szybkie pedałowanie. Bałem się, że sobie pójdziesz - odpowiada. Obficie się poci. -

Przepraszam za spóźnienie. Boże, tak mi gorąco, na dworze musi być jakieś trzydzieści stopni.

Podchodzi do łóżka i siada na rogu, na trójkącie koców i prześcieradeł, które odsunął Diego. T-shirt ma mokry od potu. Nachyla się, by mnie pocałować.

- Robiłeś to już wcześniej? - pytam, odsuwając się od niego.

Wydaje się nieco zakłopotany tym pytaniem.

- Nie - odpowiada, prostując się. - A czemu pytasz?

- Wiedziałeś o tym hotelu.

- Wszyscy wiedzą o tym hotelu - odpowiada. - Ty też. Nie przyjechałem tutaj na przesłuchanie, wystarczająco często robi to moja żona - mówi, ocierając z czoła nową falą potu.

- A o co wypytuje? - pytam. Patrzy na mnie nieufnie.

- Normalne rzeczy. A potem następne. Głównie o to, dlaczego nie zarabiam tyle pieniędzy, by ona mogła mniej pracować. Posłuchaj, naprawdę nie przyjechałem tu, żeby prowadzić tego typu rozmowę.

- A może się wykąpiesz? - proponuję, pokazując na małe drzwi umieszczone pomiędzy dwiema szafami. Nie rozumiem, dlaczego hotelowe szafy są tak duże, skoro większość ludzi ma tak mało bagażu.

- Tak właśnie zrobię - mówi, wchodząc do łazienki. Wystawia głowę zza drzwi. - Masz ochotę się przyłączyć?

- Chyba wysłucham do końca tego programu o cyklu życia amazońskich paproci - odpowiadam. - To naprawdę interesujące.

Spogląda na mnie powątpiewająco i wchodzi do łazienki.

Kiedy jestem pewna, że zostałam sama, biorę głęboki oddech i opieram się o szafę. Trzeszczy i niebezpiecznie się chwieje. Nie mogę uwierzyć, że znajduję się w hotelowym pokoju w Bloomsbury z Robertem Bassem, który spodziewa się uprawiać ze mną seks. Choć w ciągu minionego roku

wyobrażałam sobie tę scenę niezliczoną liczbę razy, teraz, kiedy to ma się urzeczywistnić, jakoś nie umiem się zaangażować.

Nie tego chcę. Po raz pierwszy od niemal roku jestem czegoś absolutnie pewna. Nie mogę uwierzyć, że zaszłam aż tak daleko. Kładę to na karb jego daru przekonywania, alkoholu i czegoś bardziej nieuchwytnego: pragnienia, by zrobić coś zuchwałego. Czasami trzeba dojść do punktu, z którego nie ma odwrotu, by wiedzieć dokładnie, dokąd się zmierza. Uświadamiam sobie, że pragnęłam bardziej iluzji niż rzeczywistej ucieczki.

Robert Bass zostawia drzwi otwarte i kiedy jestem pewna, że siedzi w wannie, wstaję, by wyjść. Postanawiam nic mu nie mówić, na wypadek, gdyby miał siłę odwieść mnie od tego. Tak czy inaczej, nie mam ochoty widzieć go nagiego podczas kąpieli.

Woda przestaje lecieć i Robert Bass nuci piosenkę Coldplay. Wyłączam radio, ale na korytarzu słyszę podniesione głosy. Podchodzę do drzwi i słucham. Słysząc, jak ktoś biegnie, potem jakaś kobieta zaczyna krzyczeć, dołącza się męski głos i drzwi się zatrząskują, a potem znowu otwierają. Wystawiam głowę za drzwi na wypadek, gdyby komuś potrzebna była pomoc.

Pokój naprzeciwko jest otwarty i ten hałas zdecydowanie pochodzi ze środka. Przechodzę na palcach po brzydkiej, podniszczonej wykładzinie i wchodzę do numeru 508.

Stoi tam troje ludzi. W pierwszej chwili nie zauważają mnie w drzwiach. To daje mi czas na przyjęcie do wiadomości, że rozpoznaję ich wszystkich. Cała trójka mówi naraz, podniesionymi głosami, zamaszystymi gestami podkreślając siłę wyrazu swoich słów. Kiedy mnie dostrzegają, milkną, ich ciała nieruchomieją, choć ręce pozostają w górze w dziwnych pozycjach i z pewnością bołą

ich mięśnie. Tryptyk ziemistych, nieruchomych, wpatrzonych we mnie twarzy.

- Lucy Sweeney, co ty, do kurwy nędzy, zrobiłaś? - odzywa się ze złością Guy.

Znajduje się po prawej stronie dwuosobowego łóżka. Koszulę ma rozchełstana, a spodnie wiszą mu wokół bioder, rozpięte i pogniecione. Mam nadzieję, że się rozbierał, a nie ubierał. Ręce ma opuszczone, dłonie zaciśnięte w gniewne pięści. Rękawy koszuli opadają mu na ręce. Szuka kogoś, na kim mógłby wyładować swoją wściekłość.

- To nie ma nic wspólnego z nią! - wołają jednocześnie Emma i Isobel. Ale to jedyna harmonijna chwila podczas następnej pełnej udręki godziny, jaką spędzamy w tym pokoju.

- Lucy, dzięki Bogu, że tu jesteś - mówi Emma, tak jakby było to coś, co razem zaplanowałyśmy. Czuje wyraźną ulgę na mój widok. - To nie idzie zgodnie z planem.

Najwyraźniej uważa, że znalazłam się tutaj z jej powodu. W jej głowie nie zaświtałaby myśl, że moja obecność mogłaby mieć coś wspólnego z moim własnym życiem.

- Dotarłam do końca tropu - wyjaśnia Isobel, nie odrywając spojrzenia od Emmy.

W jej głosie pobrzmiewa odrobina dumy, ale poza tym sprawia wrażenie wykończonej. Wiem, że dokładnie w tej chwili bezlitośnie ocenia stojącą przed sobą kobietę, zastanawiając się, co ma tamta, czego nie może zapewnić ona. Mam ochotę powiedzieć Isobel, że to błąd, że próba porównywania żony z dziesięcioletnim stażem z roczną kochanką to bezcelowa debata, przemawiająca wyłącznie na korzyść tej nowej dziewczyny. Fakt, że Isobel ma prawdopodobnie lepsze ciało niż Emma, która chyba nigdy w życiu nie znalazła się nawet w pobliżu siłowni, pozostaje nieistotny. Moja przyjaciółka ma po swojej stronie urok

nowości. Czas czyni ludzi bardziej krytycznymi wobec siebie, tracą aurę tajemniczości, żony robią się jędzowate, a mężowie humorzaści.

- To tak jak porównywanie katedry świętego Pawła i Gherkina - odzywam się. - Jedna budowla jest stara i znajoma, druga nowa i ekscytująca. Pytanie tylko, która przetrwa.

- Wybacz, ale się zgubiłam, Lucy - mówi Emma. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że mówię na głos.

- Wiedziałaś przez ten cały czas? - pyta Isobel, odwracając się do mnie.

Zauważam, że jej podbite oko zbladło i jest nieźle odstawiona. Jej sandaalki od Rogera Viviera sprawiają, że góruje wzrostem nad nami wszystkimi, i ma na sobie sukienkę, która bardziej nadaje się na doroczne przyjęcie w Serpentine. Ale to wszystko jest oczywiście nieistotne. Aczkolwiek zdaję sobie sprawę z tego, że zachowanie poziomu ma dla niej ogromne znaczenie psychologiczne. Tak sobie myślę, że z całą pewnością nadawałaby się do szkoły rozwiedzionych kobiet Jerry Hall.

- Naprawdę mi przykro, Isobel - mówię. - Chciałam ci powiedzieć, ale sądziłam, że Emma zakończy ten związek, zanim się dowiesz. Postawiono mnie w naprawdę niezręcznej sytuacji.

- Rozumiem twój dylemat, Lucy. Ale powinnaś była uznać, że w sumie miałam prawo o tym wiedzieć. - Isobel podnosi teczkę i trzyma ją przed sobą w obu rękach. Zaczynam sobie wyobrażać, co może być w środku. Przez chwilę zastanawiam się, czy nie planuje przypadkiem zastrzelić Guya. Ale zaraz sobie tłumaczę, że mając miesięcznie tyle pieniędzy na życie, mogłaby sobie kogoś wynająć. - Prawdę powiedziawszy, wyświadczyłaś mi przysługę, ponieważ cztery tygodnie temu nie odkryłabym skali jego oszustw i może nawet brałabym pod uwagę



pojednanie - oświadcza. - Nie zdawałabym sobie sprawy z tego, że to niepoprawny kłamca.

Otwiera teczkę i wyjmuje różne dokumenty oraz zdjęcia. Zaczyna wymieniać fakty na głos. Niektóre są mi znane, inne okazują się niespodzianką. Isobel wie, że Emma mieszka w ich lofcie w Clerkenwell. Wie, że Guy złapał wszy pośrednio od moich synów. Wie nawet o tym, że Emma i ja włamałyśmy się do ich domu. Gdy to mówi, patrzy na mnie, a ja wpatruję się w swoje stopy niczym skruszone dziecko.

- Przepraszam, okropnie się czuję. Sądziłam, że jeśli Emma wykasuje tę wiadomość, zdołam zmienić bieg wydarzeń.

Inne odkrycia okazują się niespodziankami. Emma poznała jego dwoje młodszych dzieci. Spędziła weekend w hotelu niedaleko ich domu w Dorset, tak że Guy mógł do niej przyjeżdżać, kiedy mówił, że idzie biegać. Isobel posiadała nawet informacje na temat innej kobiety, z którą przespał się kilka razy w ubiegłym roku.

- Nic dla mnie nie znaczyła, Emmo - mówi Guy, błagając ją o ponowne przemyślenie wszystkiego.

- Za późno, Guy - odpowiada moja przyjaciółka. - Kiedy tamtej nocy pojechałam do twojego domu, zrozumiałam, że nigdy nie miałeś zamiaru opuścić żony.

- Jak możesz ją przeproszać, skoro jesteś żonaty ze mną od ponad dziesięciu lat? - pyta Isobel.

Ciche łzy płyną strumieniem po jej policzkach i starannie zrobiony makijaż oczu zaczyna się rozmazywać. Podaję jej brudną chusteczkę, którą znajduję w kieszeni, i podchodzę, by objąć ją ramieniem, ale mnie odpycha.

- Tak bardzo mi przykro - mówi Emma. - Nie chciałam, żeby to wszystko się stało.

- A co chciałaś, żeby się stało? - pyta ostro Isobel, podchodząc do niej powoli. - Za czynami idą konsekwencje.

- Myślę, że po prostu cieszyłam się chwilą - odpowiada Emma, cofając się w stronę stolika nocnego. - Sądziłam, że jestem zakochana. To Guy powinien się czuć odpowiedzialny za swoje czyny, nie ja.

- Nie masz prawa zakochiwać się w mężu innej kobiety! - woła Isobel, którą w tej chwili od Emmy dzieli nie więcej jak pół metra. - Ty nie tylko zabrałaś go mnie, ale także jego dzieciom. Poznałaś nawet dwoje moich dzieci i nie miałaś z tego powodu wyrzutów sumienia. Chciałaś ukraść komuś rodzinę, ponieważ nie masz własnej! - Isobel wyjmuje kopertę. - Dowody fotograficzne - mówi, kładąc ją na toalecie.

Guy jest w zbyt dużym szoku, by cokolwiek powiedzieć. Zastanawiam się, czy kiedy Isobel wparowała do pokoju, Emma zdążyła już zakończyć ich związek.

Rzucam spojrzenie na łóżko. Nie było używane i podążając szlakiem komentarzy Emmy z dzisiejszego wieczoru, natychmiast rozumiem, że ma to duże znaczenie. Przyglądam się uważniej i widzę, że na zielono - fioletowej narzucie, takiej samej, jak w moim pokoju, porozkładane są różne przedmioty i części garderoby. Wygląda to trochę tak, jak te pamięciowe gry, w które bawią się dzieci, kiedy się kładzie na tacy różne przedmioty, a pięć minut później trzeba pamiętać, co tam było. Rozpoznaję stanik i figi Agent Provocateur, które Emma zabrała z domu Guya, częściowo dlatego, że podczas naszej przepychanki urwało się jedno ramiączko. Zajmują honorowe miejsce na środku łóżka. Rampant Rabbit stoi na baczność po lewej stronie fig. Po prawej znajdują się inne rzeczy, które są zapewne prezentami Guya dla Emmy: bransoletka identyczna jak ta, którą nosi Isobel, perfumy Jo Malone, powieść i kilka biletów samolotowych z różnych weekendowych wypadów. W nogach łóżka leży pusta czarna Chloe Paddington.

- Właśnie kończyłam ten związek, Lucy - odzywa się Emma, szukając u mnie aprobaty. - Mówiłam ci, że do końca tego weekendu będzie po wszystkim.

- Powiedziałaś mi, że jesteś w Niemczech - wtrąca się Isobel. - Jak możesz okłamywać mnie z takim przekonaniem? Nie masz ani odrobiny szacunku wobec mnie ani naszych dzieci?

Isobel stoi bez ruchu, a razem z nią cała reszta obecnych w pokoju osób.

Guy wygląda na spanikowanego. Patrzy błędnym wzrokiem to na jedną osobę, to na drugą, aż jego spojrzenie zatrzymuje się wreszcie na gruncie neutralnym, gdzieś pomiędzy. Przegląda się w lustrze toaletki.

- Nasze małżeństwo było martwe u podstawy - oświadcza zimno Guy. - Byłem dla ciebie jedynie portfelem. Nie chciałaś nawet myśleć o tym, bym zmienił pracę, ponieważ za bardzo lubiłaś płynące z niej korzyści. Prawie w ogóle nie uprawialiśmy seksu. Nasze życie było tak określone twoimi niekończącymi się planami, że się topiłem. Dusłem się na przedmieściach.

- Notting Hill trudno nazwać przedmieściami - stwierdza Isobel.

- Przedmieścia to stan umysłu - ripostuje Guy.

- Uprawialiśmy seks raz na dwa tygodnie; to chyba całkiem niezła częstotliwość, prawda, Lucy?

- Ona ma rację - wtrąca Emma. - Lucy znacznie dłużej nie uprawiała seksu z Tomem.

- To dlatego, że ona nie ma nikogo do pomocy w domu - mówi Isobel.

Po raz pierwszy któreś z nich wspomina o mnie. To dziwne, ale choć powód ich obecności w tym hotelu jest dziwaczny, lecz wytłumaczalny, w moim przypadku tak nie jest, a jednak nikt mnie nie pyta, co tutaj robię w samym

środku nocy. Zerkam na zegarek i widzę, że już po drugiej. Zaczynam martwić się tym, jak bardzo zmęczona będę rano i jak mogę wydostać się z tego pokoju i poprosić Diega o zamówienie dla mnie taksówki, bym mogła wrócić do domu. Nagle nie ma na świecie drugiego miejsca, w którym chciałabym być tak bardzo, jak w łóżku obok Toma.

Przypominam sobie nagle, że w wannie w pokoju naprzeciwko znajduje się Robert Bass. To mi się wydaje jeszcze bardziej niesłychane niż przed dziesięcioma minutami. Jestem pochłonięta cudzym życiem i zapomniałam o dramatyzmie własnego. Ponieważ moje sprawy zostały rozwiązane. Zauważam krzesło przy otwartych drzwiach i siadam na nim. Wszyscy patrzą na mnie podejrzliwie. Wyraźnie widać, że nikt nie chce, bym stąd wyszła.

- Mam zamknąć drzwi? - pytam Isobel. - Myślę, że lepiej byłoby to zrobić.

- Nie, zostaw je otwarte, Lucy - odpowiada.

Na korytarzu słyszę więcej podniesionych głosów. Być może coś takiego zdarza się tu nagminnie. Być może w innym pokoju, w dalszej części korytarza, rozgrywa się identyczna scena. Diego musi być do tego przyzwyczajony. Słyszę na zewnątrz jego głos.

- Tędy, proszę; te hałasy dochodziły stąd, to pewnie kilku niespokojnych delegatów - szepcze.

Wciąż siedząc na krześle, ponieważ wygląda na to, że wszyscy się niepokoją, kiedy sprawiam wrażenie, iż chcę wyjść, przesuвам się do tyłu, by wychylić się na korytarz i sprawdzić, co się dzieje. Jeśli to Robert Bass, być może uda mi się go złapać, zanim zauważą go pozostali. Ale to jakaś inna para.

- Idę zobaczyć, co się dzieje - oświadczam zgromadzonemu towarzystwu.

- Wróc zaraz, dobrze? - mówi Guy, a w jego głosie pobrzmiwa nutka paniki.

Patrzę na niego beznamiętnie. Nie chce zostać sam w jednym pokoju z Isobel i Emmą.

Wychodzę na korytarz. Para zdążyła już prawie dojść do swego pokoju.

- Lucy! - woła jedno z nich ze zdumieniem. - Co się dzieje?

To mój brat, trzymający za rękę Cathy.

- Cicho bądź - odpowiadam szeptem, tak jakbym prowadziła spóźnialskich na ich miejsca w teatrze. - Co tutaj robisz?

- Mam odczyt na jutrzejszej konferencji - odszeptuje Mark. - Mój pokój jest na tym piętrze. Mężczyzna w recepcji powiedział, że doszło do jakiejś sprzeczki, i poprosił mnie, bym to zbadał. Hotel jest pełen niespokojnych delegatów.

- A ty co tutaj robisz? - pytam Cathy. - Też jesteś niespokojna?

- Tylko na twój widok - odpowiada ona. - Prawdę mówiąc, zostaję tutaj na noc. Z twoim bratem.

Z zakłopotaniem opuszcza spojrzenie na swoje stopy. Cieszę się, że przez tyle lat zajmowałam się wyłapywaniem newsów, ponieważ nigdy nie utraciłam zdolności absorbowania informacji z wielu źródeł naraz i natychmiastowego szeregowania ich według ważności oraz jednoczesnego przetwarzania reperkusji krótko - , średnio - i długoterminowych. A więc minusy będą takie: 1) słuchanie, jak Cathy zachwyca się moim bratem, 2) radzenie sobie z obojgiem, jeśli związek się rozsypie i 3) powiedzenie o nich Emmie.

- Chcieliśmy ci powiedzieć - mówi szybko moja przyjaciółka. - Miałam znaleźć odpowiedni moment. Poza tym to się zaczęło nie dalej niż miesiąc temu.

- Ale na nim nie można polegać - mówię do niej. - Jesteś pewna, że chcesz podjąć to ryzyko?

- To takie nielojalne z twojej strony, Lucy - stwierdza Mark, ale nie jest zły. Prawdę mówiąc, ma tę potulną minę faceta we wczesnym stadium zakochania. - Natomiast ciekawi jesteśmy, co ty tutaj robisz - dodaje.

Pokazuję na pokój 508 i zdaję im krótką relację z tego, co się wydarzyło.

- Uważam, że zasadnicze znaczenie ma to, by wszyscy wyszli stąd tak szybko, jak tylko się da - mówię do Marka, starając się nie ujawniać płynących z tego własnych korzyści.

Idziemy tam wszyscy troje. Isobel i Emma nadal się kłóca. Guy siedzi na łóżku, trzymając głowę w dłoniach. Ubranie ma wciąż w nieładzie. Żadne z nich nie wydaje się zdziwione na widok kolejnych osób wchodzących do pokoju. Troje bezstronnych obserwatorów powinno nieco osłabić napięcie.

- Jestem bratem Lucy, Mark - ścisnął dłonie zebranych i złożył na policzku Emmy symboliczny pocałunek. - A to moja dziewczyna, Cathy, którą Guy miał już okazję poznać.

Obejmuje ramieniem Cathy i uśmiecha się z miną właściciela, tak jakby prawdziwym powodem naszego zebrania się w tym pokoju było świętowanie jego nowego związku.

Stoi i czeka na gratulacje. Cathy uśmiecha się do niego radośnie. To może być denerwujące, myślę, mimowolnie parskając śmiechem na widok malującej się na twarzy Guya konsternacji.

Wtedy dostrzegam minę Emmy i dociera do mnie, że dla niej ten nagły rozkwit ich związku jest bardziej przykry.

- Nie wiedziałam, że masz brata - odzywa się Isobel, uprzejmie ściskając dłoń Marka.

- Myślę, że będziemy się zbierać do domu. Isobel, podrzucić cię po drodze? - pytam, ale to bardziej rozkaz niż

pytanie. Ona patrzy na mnie, czekając na dalsze wskazówki, a potem kiwa zgodnie głową. Jej ramiona opadają i popędzam ją, by spakowała wszystkie dokumenty i zdjęcia, które starannie rozłożyła na toalecie.

- My odwieziemy Emmę - mówi Cathy. Zauważam, że podejmuje już decyzje w imieniu Marka.

- Ale czy nie zostaniemy tutaj na noc? - pyta ją mój brat, przeczesując palcami jej włosy, po czym przyciąga ją do siebie.

- Nie chcę sama wracać do Clerkenwell - oświadcza Emma. - Mogę zatrzymać się u ciebie, Lucy? Tylko do czasu, aż się znowu wprowadzę do mojego starego mieszkania. Nie zniosę, żeby odwozili mnie do domu Cathy i twój brat. Zawsze myślałam, że może jakoś uda nam się wszystko naprawić.

Trudno mi uwierzyć, że Emma wybrała moment, kiedy Mark publicznie ogłosił swój związek z Cathy, na ujawnienie łączących ich nierozwiązanych kwestii. Nie po raz pierwszy myślę sobie, że on ma rację, że w ułożeniu sobie wszystkiego w głowie pomogłaby mojej przyjaciółce seria spotkań z terapeutą.

- Bylibyśmy beznadziejni - mówi nieco zbyt pośpiesznie Mark. - Tak czy inaczej, odgrzewanie dawnych związków jest zawsze błędem.

Zgadzam się więc zadzwonić do Toma, by mu powiedzieć, że przyjedzie ze mną Emma i zostanie u nas na czas nieokreślony, i odwieźć Isobel do jej domu w Notting Hill.

Nie mam problemu z wyeksmitowaniem wszystkich z tego hotelu, ale pozostaje mniej jasne, w jaki sposób wytłumaczę swoją obecność tutaj, kiedy później pojawią się nieuchronne pytania. Nabieram pewności, że zdołam się z tego wywinąć, opowiadając niejasną historyjkę o tym, jak to przyjechałam

tutaj za Emmą po wyjściu z klubu z powodu głębokiej troski o jej samopoczucie. O ile tylko nikt nie przyjrzy się faktom zbyt uważnie, może jakoś uda mi się zneutralizować podejrzenia.

Tylko będę się musiała przygotować na szczegółowe pytania Toma.

„Ale przecież mówiłaś, że wyszłaś pierwsza, prawda? - wyobrażam sobie, jak mówi. - I jak to się stało, że przechodziłaś właśnie obok tego hotelu, który znajduje się daleko od miejsca, w którym spędzałaś wieczór, a nie jechałaś do domu?”.

Pozostaje mieć nadzieję, że dramatyzm wydarzeń tej nocy zaspokoi jego ciekawość i odciągnie uwagę od logiki.

- No, a co ze mą? - pyta mnie Guy, kiedy wszyscy się zbierają do wyjścia.

Wydaje się nieco nadąsany, jakbym to ja była odpowiedzialna za uporządkowanie tego wszystkiego.

- Sądzę, że możesz zostać na noc tutaj albo jechać do swojego mieszkania w Clerkenwell - mówię mu, pełna zdumienia, że oczekuje ode mnie rozwiązania swoich problemów mieszkaniowych i nie jest w stanie pojąć konsekwencji tego, co się wydarzyło w ciągu minionej godziny. - Ten pokój został i tak zarezerwowany, a jeśli ten nie jest dostępny na całą noc, na pewno znajdzie się jakiś inny.

- Proszę, czy mogę jechać do domu z tobą? - zwraca się błagalnie do żony.

- Nie wierzę, że przeprosiłeś swoją kochankę za niewierność z inną kobietą, nie okazałeś żadnych wyrzutów sumienia za to, co uczyniłeś mnie i dzieciom, a teraz prosisz mnie, byś mógł wrócić i zostać ze mną na noc. Jeśli chodzi o cudzołóstwo, to musisz zrozumieć, że obniża ono jakość twego istniejącego związku. Coś zabiera i tego czegoś już nigdy nie da się wstawić w to samo miejsce - oświadcza gniewnie Isobel, wskazując na Emmę, a potem ponownie



odwracając się do Guya. - Zakładasz, że masz prawo robić to, na co masz ochotę, bez żadnych reperkusji. Arogancja to twoja najgorsza wada.

- Ale gdzie ja będę mieszkał? - pyta on, dostrzegając, że jego spodnie są rozpięte. Podciąga je wysoko.

- To nie mój problem. Utraciłeś prawo nazywania tego budynku swoim domem. Możesz wprowadzić się do mieszkania w Clerkenwell - mówi Isobel. - Przyjedź jutro po południu i wtedy możemy wyjaśnić wszystko dzieciom.

- Ale co ja im powiem? - pyta Guy.

- Że zakochałeś się w kimś innym - odpowiada ona i zaczyna znowu płakać. - Nie mogę go przyjąć z powrotem - zwraca się do nas wszystkich. - Zdrada też ma swoje stopnie i Guy dotarł aż na szczyt. Już nigdy nie byłabym w stanie mu zaufać, zwłaszcza że ta kobieta nie była pierwsza i jestem pewna, że nie będzie ostatnia. Nasze małżeństwo poległo na pierwszej przeszkodzie.

Wszyscy przyznają jej rację i mądrze kiwają głowami, nawet Mark, który często kończył związki na zakładkę. Być może z czasem Isobel zmieni zdanie, kiedy przemyśli to na chłodno i kiedy ucichnie emocjonalne echo tej nocy. Guy mógłby się zmienić. To doświadczenie może nauczyć go pokory. Oboje mogą dojść do wniosku, że wcześniej na zbyt długo pozostawili swoje małżeństwo samemu sobie, że małżeństwo to coś więcej niż akt wiary, że wymaga troskliwej opieki i uwagi. Czuję się, jakbym patrzyła na logiczne przedłużenie mego fiaska w komunikowaniu się z Tomem, tak jakby dano mi szansę zobaczenia, co się dzieje, jeśli zacznie się proces gnicia. Postanawiam jechać do domu i opowiedzieć mu o wszystkim od początku do końca.

Dokładnie w chwili, gdy zaczynam się czuć, jakby wieczór zbliżał się ku końcowi, pojawia się Robert Bass z białym ręcznikiem wokół bioder. Wchodzi do pokoju.

- Czekałem tam tak długo - mówi do mnie, pokazując na pokój naprzeciwko. Wtedy dociera do niego, że wpatruje się w niego pięcioro innych ludzi. Przez, jak mi się wydaje, całe wieki panuje cisza. Robert Bass przeczesuje palcami włosy.

- Co tutaj robią ci wszyscy ludzie? - pyta wreszcie. - Czy to jakaś pułapka? Powinienem był to przewidzieć i nie zbliżać się do ciebie. Jesteś gwarantem katastrofy. Moja żona siedzi najprawdopodobniej w szafie.

Wszyscy spoglądamy nerwowo na szafę i nawet ja się zastanawiam, czy nie wybrałaby właśnie tego momentu na pojawienie się.

- O mój Boże, Lucy - odzywa się Cathy, wyglądając na mocno zaniepokojoną. - Co on tutaj robi?

Isobel stoi pełna zdumienia.

- Wszyscy tacy jesteście - szlocha. - Nie mogę uwierzyć, że masz romans z ojcem ze szkoły. To wszystko jest takie zepsute.

- Sądziłem, że to dawny kolega z Newsnight - mówi Mark, zamykając drzwi.

- Nie bądź śmieszny. To Seksowny Udomowiony Tata - oświadcza wszystkim Isobel. - Flirtują ze sobą cały rok. Myślałam, że to takie tylko przekomarzanie się. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to się przekształci w pełnoprawny romans.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś - oznajmia Emma, zakrywając usta dłonią. Jest w wyraźnym szoku.

- Ona nie jest lepsza ode mnie; to najgorszy rodzaj hipokryzji - odzywa się Guy, po raz pierwszy tej nocy wyraźnie ożywiony.

Zbieg okoliczności może sprawić, że czujesz się, jakby w życiu istniała dziwna logika, ale zbyt wiele zbiegów okoliczności jednego wieczoru podkreśla jego zasadniczy chaos, tak jakby wszystko mogło się zdarzyć w każdej chwili.

- Nic się nie wydarzyło - oświadczam wszystkim. Nie wyglądają na przekonanych.

- On jest praktycznie nagi, Lucy - mówi Cathy. - To nie wygląda dobrze.

- Bo właśnie się kąpał - odpowiadam, tak jakby mogło stanowić to dla nich wiarygodne wyjaśnienie.

- Lucy, nikt nie przyjeżdża do takiego hotelu, by wziąć kąpiel - oświadcza gniewnie Mark. - Zaraz mi powiesz, że przyjechałaś tu, by posłuchać World Service.

- Prawdę mówiąc, słuchałam World Service - przyznaję.

- Nie mogę uwierzyć, jak wielkimi wy jesteście hipokrytami. Nie licząc Isobel, wszyscy jesteście zamieszani w niewierność, jak nie taką, to inną. Przez cały miniony rok zastanawiałam się, co zrobić z tym mężczyzną, i nawet się porządnie nie pocałowaliśmy.

- Ona ma rację - mówi Robert Bass. - Wiem, że to nie wygląda dobrze, ale naprawdę do niczego nie doszło. Prawda jest taka, że wiele razy Lucy próbowała się oprzeć moim zalotom.

Rozlega się pukanie do drzwi. Wszyscy wpatrujemy się w nie nerwowo. To nie jest ciche, nieśmiałe, rytmiczne pukanie Diega. To jest bardziej stanowcze i wymagające.

- Kto to? - pyta Robert Bass, patrząc na mnie. Wszyscy inni też patrzą na mnie.

- Kto to, Lucy? - pyta ostro Mark.

- Skąd mogę wiedzieć, kto stoi za drzwiami? - odpowiadam z irytacją.

- To ty jesteś tutaj wspólnym wątkiem nas wszystkich - stwierdza mój brat.

- Otworzę - odzywa się zdecydowanie Isobel. - To może być ktoś z mojego kursu detektywistycznego.

- Ja to zrobię - mówię. - To może być Tom.

Myślę o tym, co mnie czeka. Miesiące wzajemnych oskarżeń, powątpiewania w autentyczność mojej historii, podejrzenia ze strony wszystkich obecnych w tym pokoju osób, że Robert Bass i ja nie mówiliśmy prawdy. Jak mam zawisnąć, to niech przynajmniej wiem, za co. Wtedy myślę o tym, jak wszyscy będą używać mojej historii, by pomniejszyć dramatyzm własnej, aż w końcu reszta tej nocy okaże się mało znacząca w porównaniu z moją rzekomą niewiernością. Tom będzie chciał mi wierzyć, ale będzie się mierzył z upokorzeniem ze strony wszystkich tych ludzi, zakładających, że jest ślepy. Wzdycham głęboko. To pierwsze westchnienie z wielu zapewne, które mnie czekają. Tom może mnie zostawić. Może uznać, że jestem niegodna zaufania i że lepiej będzie dla dzieci, jeśli zamieszkają w domu, w którym będzie mniej podejrzeń i napięcia. Może wziąć odwet i naprawdę mnie zdradzić, a nie jedynie mieć niewydarzone fantazje na ten temat.

Obracam gałkę w drzwiach.

- Sweeney - odzywa się męski głos, pchając drzwi, kiedy wyczuwa mój opór. - Wpuść mnie. Przyjechałem ci na ratunek.

Ostatnie zdanie wypowiada z południowym akcentem. Reszta stoi jak zahipnotyzowana, gdy Sławny Tata wchodzi do pokoju. Martwię się, że wreszcie dopadło go częściowe załamanie nerwowe i przeżywa ponownie rolę, którą grał w jakimś hollywoodzkim filmie. Możliwe, że coś osadzonego w tropikach, według Grahama Greene'a, ponieważ ubrany jest w brudny garnitur, który tydzień rozpoczął najpewniej jako kremowy, ale skończył go jako szary.

- Tylko nie on! - jęczy Robert Bass. - Mój bete noire (Z fr. antypatia, rzecz lub osoba szczególnie obmierzła (przyp. tłum)).

- O mój Boże - mówi Emma, ożywiając się. - Czy wolno mi powiedzieć, że widziałam wszystkie twoje filmy i uważam, że masz niezwykły talent? Jestem także świeżo upieczoną singelką.

Sławny Tata mierzy ją pełnym uznania spojrzeniem.

- Co ty tutaj robisz? - pytam go.

- Przyjechałem z konkretną misją, a jest nią zabranie cię do domu - oświadcza. - Na zewnątrz czeka samochód.

- Podrzuciłbyś mnie po drodze? - pyta Isobel.

- Muszę przyznać, że naprawdę wiesz, jak rozwodzić się z fasonem - mówi z podziwem Sławny Tata. - I oczywiście, że mogę cię podzucić.

- Słabe to pocieszenie - mówi Isobel, ale widzę, że jednak lekko pomaga.

- Ale skąd wiedziałeś, że tu jestem? - pytam.

- Tom do mnie zadzwonił - odpowiada. - Jakies trzy godziny temu usiadłaś na swoim telefonie i połączyłaś się z numerem domowym. Tom słuchał wszystkiego, co się działo od tamtej pory. Znalazł mój numer na liście klasowej, zadzwonił i poprosił, żebym po ciebie pojechał.

- Od jak dawna słuchał? - pytam, nerwowo szarpiąc go za rękaw marynarki.

- Odkąd przyjechałaś do pokoju hotelowego i zaczęłaś słuchać tego programu o paprociach w Amazonii - wyjaśnia Sławny Tata. - Dość niekonwencjonalne erotyczne preludium.

- A więc wie, że do niczego nie doszło między mną a Robertem Bassem? - pytam.

- Jak najbardziej - odpowiada Sławny Tata. - Wywnioskował, że czujesz się strasznie zagubiona, i zadzwonił do mnie po pomoc. Szybko mnie zaznajomił z tym, co się dzieje, i oświadczył, że wplątałaś się w sytuację, która wymaga natychmiastowej interwencji, a jako że znam wszystkie zamieszane w nią osoby, no i kibicuję Arsenalowi,

jestem najbardziej odpowiednią osobą, żeby tu przyjechać i załatwić wszystko.

- Ale dlaczego sam tego nie zrobił? - pytam.

- Martwił się, że Fred może się obudzić i znaleźć na sofie śpiącego pijanego amerykańskiego aktora - wyjaśnia. - Poza tym znam ten hotel. Mam bardzo miłe wspomnienia z Aberdeen. - Śmieje się tęsknie.

Do pokoju wchodzi Diego.

- Państwa czas się skończył - mówi do mnie ze smutkiem.  
- Zazwyczaj liczymy za osobę.

Sławny Tata podaje mu zwitek banknotów.

- To powinno wystarczyć. Resztę zapłaci on - mówi, pokazując na Guya, który przez cały czas siedzi na łóżku.

- To tak jak scena z Wściekłych psów - oświadcza Emma.  
- A może to był Traffic? Albo Tajemnice Los Angeles? Boże, nie mogę uwierzyć, że on tutaj z nami jest.

W drodze do domu w samochodzie Sławnego Taty siedzimy obok siebie na tylnym siedzeniu. Jest czysto i schludnie, a kierowca włączył odprężającą muzykę. Isobel milczy. Sławny Tata wyjmując z małego barku za siedzeniem kierowcy butelkę whisky, pociąga z niej łyk, po czym podaje ją jej. Isobel odchyła głowę i pije łapczywie, wzdrygając się z powodu goryczy trunku.

- Ciężko będzie to zrobić w pojedynkę - mówi. - Wiem, że wiele osób mi pomaga, ale ostatecznie to ja będę musiała przejąć odpowiedzialność.

- Mogłabyś być żoną kogoś takiego jak ja, a wtedy i tak wszystko robiłabyś sama - mówi Sławny Tata.

- Możliwe, że nie zawsze będziesz sama - odzywam się.

- Na razie muszę mieć czas na opłakiwanie mojego małżeństwa i próbę zrozumienia tego wszystkiego. Ja też nie jestem bez winy. Tyle że płacę za swoje błędy wysoką cenę -

mówi Isobel ponuro. - Ale nie będę karać dzieci za grzechy ojca. A ty co masz zamiar zrobić? - pyta Sławnego Tatę.

- Prawdę mówiąc, to całe doświadczenie dużo mnie nauczyło - odpowiada, połykając sylaby i co chwila unosząc w górę palec. - Kiedy prowadzi się tak publiczne życie, człowiek zaczyna odczuwać strach przed samym sobą, ponieważ między jego prywatnym a publicznym wydaniem istnieje tak wielka przepaść. Lubię wierzyć w swoją legendę, ale za każdym razem, gdy patrzę w lustro, widzę jedynie rzeczywistość. Myślę, że potrzebuję czasu spędzonego gdzieś daleko razem z żoną i dziećmi, by ponownie znaleźć grunt pod nogami. Gdzieś, gdzie w promieniu pięćdziesięciu mil nie będzie sklepu monopolowego. Kiedy tej nocy zadzwonił do mnie Tom, poczułem się tak, jakbym miał w życiu jakiś cel, a nie tylko potrzebę dobrej zabawy. Tak naprawdę fajnie być poproszonym o zrobienie czegoś pozytywnego. Czegoś prawdziwego. To także dobra praktyka. Mam już zaklepaną rolę w filmie o dawnych kochankach, którzy spotykają się na zjeździe przyjaciół z przeszłości... A co z tobą, Sweeney? - pyta.

Oboje patrzą na mnie.

- Pewnie bez większych zmian - odpowiadam z niezwykłą pewnością w głosie.

Nie jestem pewna, czego oczekiwać, kiedy szukam kluczy, by otworzyć drzwi domu, ale prawdę mówiąc, spodziewałam się jakiegoś komitetu powitalnego. Starłam się nie myśleć o humorze Toma ani o kłótniach, które mogą nas czekać, ponieważ często trudno jest go rozszyfrować, a - przynajmniej z mojego punktu widzenia - ten wieczór oznaczał koniec czegoś.

W środku panuje jednak ciemność. Udaję się na górę do sypialni. Drzwi do łazienki są lekko uchylone i światło się świeci. Idę umyć twarz i wyjąć soczewki kontaktowe. Nie

mogę znaleźć pudełeczka na nie, więc wkładam je do kubka, który stoi na półce, a potem chowam go w górnej części szafki z pościelą. Nagle słyszę cichy plusk na drugim końcu pomieszczenia.

Tom znajduje się oczywiście w wannie. To jest najzupełniej przewidywalne i cieszę się z logiki tej sytuacji. Podchodzę, zaglądam za zasłonkę prysznicową i widzę, jak leży pod wodą, a wokół jego twarzy pływają włosy. Wyciągam rękę, by odsunąć pasmo, które przykleiło mu się do policzka, kiedy chwytła mnie za nadgarstek.

- Lucy - mówi, uśmiechając się. - Wróciłaś.



## PODZIĘKOWANIA

Chciałabym w szczególności podziękować Gill Morgan za to, że pozwoliła Lucy Sweeney wyzalać się co tydzień w „The Times Magazine”. Bez niej nic by się nie wydarzyło. Jestem także wdzięczna Simonowi Trewinowi, który towarzyszył mi przez całą drogę, oraz Zoe Pagnamenta z Nowego Jorku. Dziękuję bardzo moim redaktorkom, Nikoli Scott i Kate Elson z Century i Arrow, oraz Sarah McGarth z Penguina i ekipie Random House za ich szczery entuzjazm i oddanie. Żadne podziękowania nie oddadzą ogromu mojej wdzięczności wobec mojego męża, Edwarda Orlebara, za jego znakomite rady dotyczące absolutnie wszystkiego, i za przejęcie domowych obowiązków wtedy, kiedy to miało największe znaczenie. Helen Townshend i Henry Tricks przeczytali rękopis i od samego początku mocno mnie wspierali. Helen Johnston była dla mnie inspiracją pod każdym względem. Jestem bardzo wdzięczna Sally Johnston, że pozwoliła mi wejść w życie BBC, oraz Imogen Strachan za rady z dziedziny psychologii. Podziękowania dla moich rodziców za tak wiele rzeczy, ale głównie za ich poczucie humoru. Prawdziwe Mamy Fleje - dziękuję wam za waszą przyjaźń i, co najważniejsze, za podzielenie się branżowymi sekretami. Powinniście wiedzieć, o kogo mi chodzi, ale na wypadek, gdyby były jakieś wątpliwości: Louise Carpenter, Carey Combe, Caroline Combe, Alexa Corbett, Sarah Dodd, Vicky McFadyen, Ros Mullins i Amanda Turnbull. No, a na koniec ogromne podziękowania dla Lucy Sweeney, będącej inspiracją dla nas wszystkich.